

BEZ PUDŁA

LEE CHILD

Tłumaczenie: Paulina Arbiter

BEZ PUDŁA

Tytuł oryginału: WITHOUT FAIL

Copyright © 2002,2006 Lee Child. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o. Redakcja:
Aleksandra Ring Korekta: Aleksandra
Gietka-Ostrowska Skład: KOMPEJ

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej: ISA
Sp. z o.o. Al. Krakowska 110/114 02-256 Warszawa tel./fax (0-22) 846 27 59
e-mail: isa@isa.pl ISBN: 83.7418-043-9
ISBN: 978-83-7418-043-6

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:

[www. isa.pl/sensacja](http://www.isa.pl/sensacja)

Książkę tę dedykuję mojemu bratu Richardowi
z Gloucester w Anglii,
mojemu bratu Davidowi z Brecon w Walii,
mojemu bratu Andrew z Sheffield w Anglii
i mojemu przyjacielowi Jackowi Hutchesonowi
z Penicuik w Szkocji.

1

Dowiedzieli się o nim w lipcu. Przez cały sierpień byli wściekli, we wrześniu próbowali go zabić. Zdecydowanie za wcześnie; nie byli gotowi. Próba zakończyła się fiaskiem. Mogło dojść do katastrofy, ale w istocie zdarzył się cud, bo nikt niczego nie zauważył.

Posłużyli się tradycyjną metodą, by oszukać ochronę, i zajęli pozycję trzydzieści metrów od miejsca, w którym miał przemówić. Użyli tłumika i chybili o parę centymetrów. Pocisk musiał przelecieć mu tuż nad głową, może nawet przez włosy, ponieważ cel natychmiast podniósł rękę i przyglądził je z powrotem, jakby wiatr wzburzył mu

fryzurę. Później oglądali to wiele razy w telewizji. Podniósł rękę i przyglądał włosy. Nic poza tym. Kontynuował wystąpienie, nieświadom niczego, bo z definicji kula z broni z tłumikiem jest zbyt szybka, by dało się ją dostrzec, i zbyt cicha, by ją usłyszeć. Chybiła zatem i poleciała dalej. Nie trafiła też w nikogo innego za jego plecami, w żadną przeszkodę, budynek - leciała dalej prosto, niestrudzenie, póki nie wyczerpała się jej energia, a siła ciężenia nie ściągnęła jej na ziemię wprost na rozległe łąki. Nikt nie zareagował, nikt nic nie zrobił. Zupełnie jakby kuli wcale nie wystrzelono. Nie próbowali ponownie. Byli zbyt wstrząśnięci.

A zatem klęska i cud, a także nauczka. Przez cały październik działali niczym zawodowcy, którymi byli. Uspokajali się, zaczynali od nowa, rozmyślali, uczyli się, przygotowywali drugą próbę. To będzie lepsza próba, starannie zaplanowana i właściwie wykonana. Połączenie techniki, drobiazgowości i wyrafinowania, przyprawionych drożnym strachem. Godna próba. Twórcza. I przede wszystkim zakończona sukcesem.

A potem nadszedł listopad i reguły się zmieniły.

* * *

Filizanka Reachera była pusta, lecz wciąż ciepła. Uniósł ją ze spodeczka i przechylił, obserwując spływającą ku niemu resztkę kawy, powolną i brązową niczym muł rzeczny.

- Kiedy trzeba to zrobić? - spytał.

- Jak najszybciej - odparła.

Skinął głową. Wysunął się zza stolika i wstał.

- Odezwę się za dziesięć dni - oznajmił.

- Żeby poinformować o swojej decyzji?

Pokręcił głową.

- Żeby powiedzieć, jak mi poszło.

- To akurat będę wiedziała.

- No dobra, w takim razie żeby powiedzieć, gdzie masz

wysłać pieniądze.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Spojrzał na nią.

- Sądziłaś, że odmówię? — spytał. Uniosła powieki.

- Sądziłam, że trudniej cię będzie przekonać. Wzruszył ramionami.

- Tak jak mówił Joe, uwielbiam wyzwania. Joe zwykle miał rację w takich sprawach. Zwykle miał rację w wielu sprawach.

- Teraz nie wiem, co powiedzieć. Chyba powinnam podziękować.

W milczeniu odwrócił się ku wyjściu, w tym momencie jednak wstała, blokując mu drogę. Przez chwilę trwali bez ruchu, skrępowani, uwięzieni za stolikiem. Wyciągnęła rękę, on ją uściśnił. Przytrzymała go ułamek sekundy dłużej, a potem wspięła się na palce i ucałowała w policzek. Usta miała miękkie, ich dotyk palił niczym uderzenie prądem.

- Uścisk dłoni nie wystarczy - oznajmiła. - Zrobisz to dla nas. - Zawiesiła głos. - A poza tym o mało nie zostałeś moim szwagrem.

Reacher milczał, skinął tylko głową i szurając nogami, wydostał się zza stołu. Raz jeden obejrzał się za siebie, potem wyszedł po schodach na ulicę. Na jego dłoni pozostał ślad jej perfum. Reacher poszedł do kabaretu, zostawił w garderobie list do przyjaciół, potem ruszył w stronę autostrady. Miał dziesięć dni na to, by znaleźć sposób zabicia czwartej najlepiej strzeżonej osoby na świecie.

* * *

Wszystko zaczęło się osiem godzin wcześniej. W sposób następujący: szefowa zespołu, M.E. Froelich przysłała do pracy w poniedziałkowy rano trzynastdzieci dni po wyborach, w godzinę przed drugą naradą strategiczną, siedem dni po tym, jak ktoś pierwszy raz wymówił słowo „zamacz”, i podjęła ostateczną decyzję. Natychmiast ruszyła na poszukiwanie swego bezpośredniego przełożonego.

Znalazła go w pokoju sekretarki przed gabinetem. Wyraźnie dokąś szedł i widać było, że się spieszył. Pod pachą trzymał teczkę, jego twarz miała wyraz mówiący jasno: trzymaj się z daleka. Ona jednak odetchnęła głęboko i dała mu do zrozumienia, że musi porozmawiać natychmiast.

Pilnie. Rzecz jasna nieoficjalnie i na osobności. Przystanął na chwilę, odwrócił się gwałtownie i skierował z powrotem do swego gabinetu. Pozwolił jej wejść do środka, po czym zamknął drzwi - dość cicho, by niezaplanowane spotkanie nabrało nieco spiskowego charakteru, lecz dostatecznie stanowczo, aby nie miała cienia wątpliwości, że zakłócenie porządku dnia mocno go zirykowało. Zwykle szczęknięcie zamka niesło ze sobą wyraźną wiadomość, wyrażoną w jasnym i zrozumiałym języku biurowej hierarchii: oby nie była to strata czasu.

Po dwudziestu pięciu latach pracy był weteranem i szybkimi krokami zbliżał się do emerytury. Przekroczył już pięćdziesiątkę, dawne czasy minęły bezpowrotnie. Wciąż wysoki, wciąż szczupły i umięśniony, szybko jednak siwiał i stawał się miękki. Nazywał się Stuyvesant; gdy pytano o pisownię, wyjaśniał nieodmiennie: „Jak ostatni dyrektor generalny Nowego Amsterdamu”, po czym, czyniąc ukłon w stronę współczesnego świata, dodawał: „Jak papierosy”. Przez całe życie ubierał się w klasyczne stroje od Brook Brothers, uważano jednak, iż potrafi dostosować swą taktykę do okoliczności. A co najważniejsze, nigdy nie przegrał, ani razu, a pracował od bardzo dawna i miewał sporo trudnych chwil. Tym samym w bezlitosnym rachunku organizacji uważano go za dobrego szefa.

- Wydajesz się nieco nerwowa - zauważył.
- Jestem zdenerwowana - przyznała Froelich.

Gabinet miał mały i cichy, skąpo umeblowany, bardzo czysty. Ściany pomalowano na biało, wnętrze oświetlała lampa halogenowa. W jedynym oknie wisiała biała wertykalna żaluzja - do połowy zaciągnięta, przysłaniała szary

świat zewnętrzny.

- Czemu się denerwujesz? - spytał.
- Muszę prosić o pozwolenie.
- Na co?
- Na coś, czego chcę spróbować — odparła.

Była dwadzieścia lat młodsza od Stuyvesanta, miała dokładnie trzydzieści pięć lat. Raczej wysoka, ale nie przesadnie: może 3,5 centymetra więcej niż średnia wzrostu Amerykanek jej pokolenia. Lecz promieniujące z niej inteligencja, energia i żywotność sprawiały, że opisując ją, nikt nie użyłby słowa „przeciętna”. Jednocześnie gibka i muskularna, z jasną, połyskującą skórą i błyszczącymi oczami wyglądała jak sportsmenka. Włosy miała krótkie, jasne i dość potargane. Sprawiała wrażenie, jakby w pośpiechu wyskoczyła spod prysznic i przebrała się, świeżo po zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie, najpewniej w sporcie drużynowym; zupełnie jak by nie zaszło nic wielkiego, jakby chciała zniknąć ze stadionu, nim zjawią się dziennikarze telewizyjni i zasypią ją pytaniami. W sumie wyglądała na osobę bardzo kompetentną i jednocześnie skromną.

- Co dokładnie? - spytał Stuyvesant.

Obrócił się i położył teczkę na biurku. Wielki mebel był zwieńczony blatem z szarego sztucznego kamienia - przykład nowoczesnego mebla biurowego, obsesyjnie czystego i wychuchanego niczym antyk. Stuyvesant słyszał z tego, że nigdy nie zostawiał niczego na blacie. Biurko miał zawsze puste. Nadawało to jego gabinetowi aurę niezwykłej fachowości.

- Chcę, żeby zrobił to ktoś z zewnątrz - oznajmiła Froelich.

Stuyvesant ułożył teczkę dokładnie w narożniku biurka i przesunął palcami po krawędzi, jakby sprawdzał, czy dobrze wpasował ją w kąt.

- Uważasz, że to dobry pomysł?

Froelich milczała.

- Przypuszczam, że masz już kogoś na oku.
- Znakomitego kandydata.
- Kogo?

Froelich pokręciła głową.

- Nie powinienes o niczym wiedzieć - rzekła. - Tak będzie lepiej.

- Polecono go?
- Albo ją.

Stuyvesant skinął głową. Dzisiejsze czasy.

- Czy osoba, którą masz na myśli, została polecona?
- Tak, przez doskonałe źródło.
- Z organizacji?
- Tak - powtórzyła Froelich.
- Zatem już o tym wiemy.
- Nie, źródła nie ma już w organizacji.

Stuyvesant odwrócił się ponownie i przesunął teczkę równolegle do dłuższej krawędzi blatu, a potem znów do krótszej.

- Pozwól, że zabawię się w adwokata diabła. Awansowałem cię cztery miesiące temu. Cztery miesiące to bardzo długo. Decyzja o sprowadzeniu kogoś z zewnątrz może świadczyć o pewnym braku wiary we własne siły, nieprawdaż? Co na to powiesz?

- Nie mogę się tym przejmować.

- A może powinnaś. To może ci zaszkodzić. Sześciu facetów chciało dostać tę pracę. Jeśli zatem to zrobisz i sprawa się wyda, będziesz miała prawdziwy problem. Przez resztę życia, aż do emerytury, sześć sępów będzie siedziało ci na karku, powtarzając „a nie mówiłem”. Ponieważ zaczęłaś wątpić we własne umiejętności.

- W takiej sytuacji muszę w nie wątpić. Tak myślę.
- Myślisz?
- Nie, ja wiem. Nie widzę innego wyjścia.

Stuyvesant nie odpowiedział.

- Wcale mnie to nie cieszy - dodała Froelich. - Wierz mi. Ale uważam, że trzeba to zrobić. Takie jest moje zdanie.

W gabinecie zapadła cisza. Stuyvesant milczał.

- Zatem autoryzujesz to? - spytała Froelich.

Jej szef wzruszył ramionami.

- Nie powinnaś w ogóle pytać. Powinnaś po prostu to zrobić.

- To nie mój styl.

- A zatem nikomu nie mów. I żadnych dokumentów.

- I tak bym tego nie zrobiła. To mogłoby tylko zaszkodzić.

Stuyvesant tylko skinął głową. A potem, jak przystało na biurokratę, którym się stał, wypowiedział najważniejsze pytanie.

- Ile będzie kosztować ta osoba?

- Niewiele - odparła Froelich. - Może w ogóle nic. Może tylko wydatki. Coś nas łączy. Teoretycznie. W pewnym sensie.

- To może zablokować ci karierę. Koniec awansów.

- Alternatywa może ją zakończyć.

- Ja cię wybrałem - oznajmił Stuyvesant. - Osobiście. Zatem wszystko, co zaszkodzi tobie, zaszkodzi też mnie.

- Rozumiem to.

- Odetchnij głęboko i policz do dziesięciu. A potem powiedz mi, że to naprawdę niezbędne.

Froelich przytaknęła. Odetchnęła i milczała dziesięć, może jedenaście sekund.

- To naprawdę niezbędne - oznajmiła. Stuyvesant podniósł teczkę.

- W porządku, zrób to - rzucił.

* * *

Natychmiast po naradzie strategicznej zabrała się do roboty i nagle uświadomiła sobie, że najtrudniejsze dopiero przed nią. Pytanie o pozwolenie zdawało się jej dotąd tak

ogromną przeszkodą, iż jej umysł uznał je za najtrudniejszy etap całego projektu. Teraz jednak widziała, że to nic w porównaniu z odszukaniem celu. Dysponowała jedynie nazwiskiem i bardzo skrótową biografią, która mogła - bądź nie - odpowiadać prawdzie, a w dodatku obejmowała okres sprzed ośmiu lat. Jeśli w ogóle zdoła przypomnieć sobie szczegóły. Kochanek wspomniał jej o nich przelotnie pewnego późnego wieczoru, niemal żartem, w łóżku, tuż przed snem. Nie była nawet pewna, czy w ogóle uważnie go słuchała. Postanowiła zatem nie polegać na szczegółach. Wystarczy jej samo nazwisko.

Zapisała je dużymi drukowanymi literami na górze kartki żółtego papieru. Przywoływało wiele wspomnień, nieco złych, większość dobrych. Przez długą chwilę się w nie wpatrywała, potem skreśliła je i napisała zamiast tego UNSUB. To pomoże jej się skupić. Nagle cała sprawa stała się bezosobowa, pozwalając umysłowi wrócić do podstawowych zasad szkolenia. *Unknown subject* - obiekt nieznan - to ktoś, kogo należy zidentyfikować i zlokalizować. To wszystko, nic dodać, nic ująć.

Jej główną przewagą stanowiła moc obliczeniowa. Froelich miała dostęp do znacznie większej ilości baz danych niż przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych. Z całą pewnością wiedziała, że UNSUB to wojskowy. Połączyła się zatem z krajową bazą rejestrów wojskowych. Mieściła

się ona w St. Louis w stanie Missouri i obejmowała każdego mężczyznę i kobietę, którzy kiedykolwiek, gdziekolwiek służyli w armii amerykańskiej. Froelich wypisała nazwisko, odczekała chwilę. Na ekranie pojawiły się zaledwie trzy odpowiedzi. Jedną wyeliminowała natychmiast dzięki imieniu. Wiem na pewno, że to nie on, prawda? Kolejną wykluczała data urodzenia: o pokolenie za stary. Trzecia zatem to musiał być UNSUB, nie ma innej możliwości. Przez sekundę wpatrywała się w pełne imię i na-

zwisko, po czym przepisała na kartkę datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego. Następnie kliknęła ikonkę „szczegóły” i wpisała hasło. Ekran zamrugał, po czym na monitorze pojawiła się skrócona historia służby wojskowej.

Złe wieści. UNSUB nie służył już w wojsku. Opis służby kończył się pięć lat wcześniej odejściem po trzynastu latach. Stopień w chwili odejścia: major. Wymieniono też odznaczenia, w tym Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce. Odczytała pochwały, zapisała nieco szczegółów, po czym odkreśliła tę część żółtej kartki wyraźną kreską, oznaczającą koniec jednej ery i początek następnej. Znowu zabrała się do dzieła.

Kolejnym logicznym krokiem było przeszukanie indeksu śmierci bazy ubezpieczeń społecznych. Podstawowa zasada: nie ma sensu szukać kogoś, kto już nie żyje. Wpisała numer i uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Szukanie nie przyniosło jednak wyników, UNSUB wciąż żył, przynajmniej według danych rządowych. Następnym krokiem było sprawdzenie Narodowego Centrum Informacji Kryminalnych. Znowu kwestia podstawowych zasad postępowania - nie można zaangażować kogoś, kto siedział w więzieniu. Nie żeby sądziła, że w przypadku UNSUBA było to prawdopodobne, nigdy jednak nie wiadomo. Niektórzy ludzie żyją zawsze blisko tej delikatnej granicy. Baza danych NCIK działała wolno jak zawsze, toteż Froelich zgarnęła do szuflad dokumenty z ostatnich dni, potem wstała i ponownie napełniła kubek kawą. Po powrocie znalazła na ekranie wynik przeszukania bazy danych osób aresztowanych bądź skazanych na więzieniu. Nic. Wyszukiwanie dostarczyło jednak krótką informację, że UNSUB figuruje w rejestrach FBI. Ciekawe. Zamknęła stronę i udała się prosto do bazy FBI. Szybko znalazła akta i odkryła, że nie może ich otworzyć. Wiedziała jednak dosyć na temat systemu kwalifikacji Biura, by rozszyfrować nagłówki. Zwy-

kłe informacje opisowe, nic więcej. UNSUB nie był uciekinierem, za nic go nie poszukiwano, nie miał żadnych kłopotów.

Zapisała wszystko na kartce, po czym przeszła do ogólnokrajowej bazy DPM (Departamentu Pojazdów Mechanicznych). I znów złe wieści. UNSUB nie miał prawa jazdy. Bardzo dziwne i bardzo irytujące. Ponieważ brak prawa jazdy oznaczał brak aktualnego zdjęcia i adresu. Przeszła do komputera administracji weteranów w Chicago i zaczęła szukać po nazwisku, stopniu i numerze. Nic. UNSUB nie odbierał renty, nie podał też adresu kontaktowego. Cemu nie? Gdzie ty do diabła jesteś? Wróciła do ubezpieczeń społecznych i wywołała informację o zatrudnieniu. Brak. UNSUB od czasu wyjścia z wojska nie pracował, przynajmniej nie legalnie. Na wszelki wypadek sprawdziła też IRS, to samo. UNSUB od pięciu lat nie płacił podatków. Nawet się nie zarejestrował.

No dobra, bierzmy się do dzieła. Wyprostowała się w fotelu, zamknęła strony rządowe i odpaliła nielegalne oprogramowanie, które zaprowadziło ją wprost do prywatnego świata bankowości. Uczciwie rzecz biorąc, nie powinna wykorzystywać go do tych celów; do jakichkolwiek celów. Nie spodziewała się jednak żadnych problemów. Oczekiwała natomiast wyników. Jeśli UNSUB miał choćby jedno konto w jakimkolwiek banku w pięćdziesięciu stanach, znajdzie je - nawet skromny rachunek bieżący, nawet konto puste bądź porzucone. Wiedziała, że mnóstwo ludzi radzi sobie bez kont bankowych, miała jednak przeczucie, że UNSUB do nich nie należy. Nie ktoś, kto był majorem w armii amerykańskiej. Odznaczonym.

Dwukrotnie wprowadziła numer ubezpieczenia społecznego, raz w pole SSN i raz w pole identyfikacji podatkowej. Wpisała nazwisko, nacisnęła „szukaj”.

* * *

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów dalej Jack Reacher za-

drzał z zimna. Atlantic City w połowie listopada z całą pewnością nie należało do najcieplejszych miejsc na ziemi. Wiatr znad oceanu niósł ze sobą dość soli, by wszystko wokół było stale wilgotne i lepkie. Kolejne ostre podmuchy unosiły w powietrze śmieci i chłostały nogi Reachera, który miał na sobie cienkie spodnie. Pięć dni temu był w Los Angeles i z każdą chwilą nabierał pewności, że powinien tam zostać. Ale skoro nie został, to lepiej, żeby wrócił tam jak najszybciej. Południowa Kalifornia w listopadzie to bardzo przyjemne miejsce. Powietrze było tam ciepłe, a wiatry łagodnie pieściły skórę, zamiast mrozić ją i atakować kolejnymi falami piekącej soli morskiej. Powinien wracać, a już z pewnością powinien się stąd wynieść.

Albo może powinien zostać, tak jak go poproszono, i kupić sobie kurtkę.

Przyjechał na wschód ze starą czarnoskórą kobietą i jej bratem. Łapał okazję w Los Angeles, bo miał ochotę odwiedzić pustynię Mojave. Staruszkowie zaprosili go do swego sędziwego buicka roadmastera. Natychmiast zauważył wśród bagaży mikrofon, prymitywny sprzęt nagłaśniający i zapakowany w pudło keyboard Yamahy. Staruszka poinformowała go, że jest piosenkarką i wyjeżdża na krótkie występy aż do Atlantic City. Powiedziała też, że brat akompaniuje jej na keyboardzie i prowadzi samochód. Nie jest już jednak zbyt ciekawym rozmówcą, nie jest też zbyt dobrym kierowcą, a roadmaster nie jest zbyt dobrym samochodem. Istotnie, staruszek cały czas milczał, a przez zaledwie pierwszych dziesięć kilometrów kilka razy znaleźli się wszyscy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Aby się uspokoić, staruszka zaczęła śpiewać. Wystarczyło kilka pierwszych taktów *You Don't Love Me* Dawn Penn, by Reacher postanowił jechać z nią aż na wschód, byle tylko móc jeszcze posłuchać. Zaproponował, że sam siądzie za kierownicą. Ona śpiewała dalej. Miała słodki, zmysłowy głos, który już dawno powinien uczynić z niej

bluesową supergwiazdę, tyle że zapewne zbyt wiele razy znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i dlatego nic z tego nie wyszło. W starym samochodzie nie działało wspomaganie kierownicy, spod maski wciąż dobiegały trzaski, łomoty i gruchotanie. Gdy doszli do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, owe dźwięki zamieniły się w coś w rodzaju sekcji rytmicznej. Słabe radio odbierało niekończącą się paradę kolejnych miejscowych stacji UKF, zmieniających się co dwadzieścia minut. Staruszka śpiewała im do wtóru, stary mężczyzna milczał i przez większą część drogi spał na tylnym siedzeniu. Reacher przez trzy dni prowadził przez osiemnaście godzin na dobę i dotarł na New Jersey, czując się, jakby był na wakacjach.

Klub okazał się pięciorzędną ruderał osiem przecznic od promenady. Kierownik nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu można by zaufać w sprawie dotrzymania warunków kontraktu, Reacher zatem zajął się liczeniem klientów i sumowaniem na bieżąco pieniędzy, które powinny znaleźć się pod koniec tygodnia w kopercie. Czynił to bardzo demonstracyjnie i widział, że kierownik z każdą chwilą wkurza się coraz bardziej. Wkrótce zaczął prowadzić krótkie tajemnicze rozmowy telefoniczne, zasłaniając dłonią słuchawkę. Cały czas wpatrywał się w twarz Reachera. Reacher odpowiadał spokojnym spojrzeniem i lodowatym uśmiechem. Nie ustępował. W ciągu weekendu wysłuchał trzech koncertów, potem jednak znów ogarnął go niepokój. Poza tym było mu zimno, toteż w poniedziałkowy rano miał już zmienić zdanie i z powrotem ruszyć w drogę, gdy stary klawiszowiec wyszedł za nim po śniadaniu i w końcu przerwał ciszę.

- Chciałbym poprosić, żebyś z nami został - rzekł. Wymówił to „chdziałbym?”. W jego starych, pełnych bólu oczach rozbliżyła iskierka nadziei. Reacher nie odpowiedział.

- Jeśli nie zostaniesz, kierownik z pewnością nas oszuka

- ciągnął staruszek. Zabrzmiało to tak, jakby oszukiwanie na honorariach było czymś naturalnym, co spotyka muzyków, tak jak dziurawe dętki czy przeziębienia. - Ale gdybyśmy dostali wszystko, mielibyśmy dość na benzynę, by dojechać do Nowego Jorku, może załatwić sobie występ u B.B. Kinga przy Times Square, wskrzesić naszą karierę. Ktoś taki jak ty mógłby tu wiele zdziałać, możesz mi wierzyć.

Reacher nie odpowiedział.

- Oczywiście widzę, że się niepokoisz. Taki kierownik musi mieć na podreździu kogoś nieprzyjemnego.

Reacher uśmiechnął się, słysząc to subtelne określenie.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytał staruszek. - Jakimś bokserem?

- Nie - odparł Reacher - żadnym bokserem.

- Zapaśnikiem? - naciskał stary człowiek. - Takim jak w kablówce?

- Nie.

- Z pewnością jesteś dość silny. Dość silny, by nam pomóc, jeśli zechcesz - wymówił to „zechcesz”, nie miał przednich zębów. Reacher milczał.

- To kim właściwie jesteś? - powtórzył staruszek.

- Byłem żandarmem wojskowym - odparł Reacher. - Trzynaście lat w wojsku.

- Odszedłeś?

- Coś w tym stylu.

- I nie mają dla was pracy?

- Nie taką, jaką bym chciał.

- Mieszkasz w L.A.?

- Nigdzie nie mieszkam - wyjaśnił Reacher. - Podróżuję.

- My, wędrowcy, powinniśmy trzymać się razem - mruknął staruszek. - To takie proste. Pomagać sobie nawzajem, wspierać się.

„Wzbielać się”.

- Tu jest bardzo zimno - zauważył Reacher.
- Cholerna racja. Ale mógłbyś kupić sobie kurtkę.

Stał zatem teraz na wietrznym rogu ulicy, wichura znad morza mroziła go do szpiku kości, a on musiał podjąć ostateczną decyzję. Sklep z ciuchami czy droga. Przez chwilę się rozmarzył: La Jolla, tani pokój, ciepłe wieczory, jasne gwiazdy, zimne piwo. A potem: stara kobieta w nowym klubie B.B. Kinga w Nowym Jorku, na widownię wpada akurat młody pracownik wytwórni, mający obsesję na punkcie brzmienia retro, podpisują kontrakt, kobieta nagrywa płytę, rusza w trasę koncertową, piszą o niej w „Rolling Stone”, zdobywa sławę, pieniądze, nowy dom. Nowy samochód.

Odwrócił się plecami do autostrady i skulony w porywach wiatru ruszył na wschód w poszukiwaniu sklepu z ubraniami.

* * *

W ten poniedziałek w Stanach Zjednoczonych działało niemal 1200 licencjonowanych i ubezpieczonych w FDIC instytucji bankowych. W sumie prowadziły ponad miliard odrębnych rachunków, lecz tylko jeden z nich odpowiadał nazwisku i numerowi ubezpieczenia społecznego UNSUBA. Był to zwykły rachunek bieżący w filii regionalnego banku w Arlington w stanie Wirginia. M.E. Froelich ze zdumieniem wpatrywała się w adres filii. To niecałe siedem kilometrów stąd, pomyślała. Przepisała szczegóły na kartkę. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do starszego kolegi z drugiego krańca organizacji. Poprosiła go, by skontaktował się z bankiem i wyciągnął z niego wszystkie możliwe szczegóły, zwłaszcza adres domowy. Błagała też, by działał jak najszybciej, ale bardzo dyskretnie. I całkowicie nieoficjalnie. Potem odwiesiła słuchawkę. Teraz musiała czekać, zniecierpliwiona i sfrustrowana chwilowym brakiem zajęć. Problem polegał na tym, że drugi kraniec organizacji mógł bez problemu

zadać bankowi kilka dyskretnych pytań. Natomiast gdyby odezwała się do nich Froelich, uznano by to za bardzo, bardzo dziwne.

* * *

Trzy przecznice bliżej oceanu Reacher znalazł magazyn z przecenionymi ubraniami i szybko wcisnął się do środka. Wąskie pomieszczenie było długie na kilkadziesiąt metrów. Na suficie zamontowano niezliczone jarzeniówki, rzędy wieszaków ciągnęły się bez końca. Stwierdził, że po lewej wiszą stroje kobiece, pośrodku dziecięce, a po prawej męskie. Zaczął zatem od najdalszego kąta, wędrując w stronę kasy.

Bez wątpienia zgromadzono tu wszystkie dostępne na rynku rodzaje kurtek i płaszczy. Pierwsze dwa wieszaki wypełniały krótkie puchowe kurtki. Do niczego. Dobrze zapamiętał sobie sentencję, którą lubił powtarzać stary kumpel z wojska. Dobra kurtka jest jak dobry prawnik, osłania ci tyłek. Trzeci wieszak wyglądał bardziej obiecująco. Wisiały na nim rzędy długich do pół uda płóciennych kurtek w neutralnych barwach, z grubymi flanelowymi podpinkami. Może podpinkki miały w sobie trochę wełny, może jeszcze co innego. Wydawały się dość ciężkie.

- Mogę w czymś pomóc?

Odwrócił głowę i ujrzał stojącą obok młodą kobietę.

- Czy te kurtki nadają się na tutejszą pogodę?

- Są idealne - odparła. Z ożywieniem zaczęła opowiadać mu o substancjach, którymi spryskano wierzchnią płócienną warstwę, by uczynić ją wodoodporną. Opowiedziała też o specjalnej podpince, zarzekając się, że pozwoli mu utrzymać ciepło nawet podczas mrozu. Reacher przesunął dłonią po wieszaku i wybrał ciemnooliwkową XXL.

- W takim razie biorę tę.

- Nie chce pan przymierzyć?

Zawahał się chwilę, po czym naciągnął na siebie kurtkę. Pasowała całkiem nieźle - no może nie do końca, może była nieco przyciasna w ramionach i miała odrobinę za krótkie rękawy.

- Potrzebuje pan 3XLT - oznajmiła kobieta. - Ile pan ma, sto dwadzieścia?

- Sto dwadzieścia czego?

- Centymetrów. Obwód klatki.

- Nie mam pojęcia, nigdy się nie mierzyłem.

- Wzrost metr dziewięćdziesiąt dwa?

- Mniej więcej.

- Waga?

- Sto dziesięć kilo - rzekł. - Może sto piętnaście.

- Zdecydowanie potrzebuje pan rozmiaru na nietypowy wzrost. Proszę przymierzyć 3XLT.

Kurtka, którą mu wręczyła, miała tę samą ciemną barwę co XXL, ale pasowała znacznie lepiej. Była luźna. Reacher lubił luźne. I rękawy sięgały tam, gdzie trzeba.

- Chce pan też spodnie? - zawołała kobieta. Stała teraz przy innym wieszaku i przeglądała ciężkie płócienne, robocze spodnie, zerkając na jego pas i długie nogi. Po chwili przyniosła parę pasującą do jednego z kolorów flanelowej podpinkki kurtki. - I proszę też zmierzyć koszulę - dodała. Przeskoczyła do kolejnego wieszaka, demonstrując całą tęczową gamę koszul flanelowych. - Pod spód wystarczy podkoszulek i zniesie pan każdą pogodę. Jakie kolory pan lubi?

- Coś niejaskrawego.

Wyłożyła wszystko na jednym z wieszaków. Kurtkę, spodnie, koszulę, podkoszulek. Pasowały do siebie - brązy, khaki, oliwkowa zieleń.

- W porządku? - spytała radośnie.

- W porządku - odparł. - Macie tu też bieliznę?

- Tam - pokazała.

Zaczął grzebać w koszu bokserek drugiej jakości. Wybrał parę białych, do tego parę bawełnianych skarpet w

brązowo-zielone cętki.

- W porządku? - powtórzyła kobieta.

Reacher skinął głową. Zaprowadziła go do kasy z przodu sklepu i przesunęła pod czytnikiem wszystkie metki.

- Sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów - powiedziała.

Przez chwilę przyglądał się czerwonym cyferkom na wyświetlaczu kasy.

- Zdawało mi się, że to magazyn towarów przecenionych - zauważył.

- To naprawdę rozsądna cena - odparła.

Reacher pokręcił głową, sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął zwitek podniszczonych banknotów. Odliczył sto dziewięćdziesiąt i dostał dolara reszty. W sumie dysponował obecnie czterema dolarami w gotówce.

* * *

Starszy kolega z drugiego krańca organizacji oddzwonił do Froelich po dwudziestu pięciu minutach.

- Masz adres domowy? - spytała go.

- Bulwar Waszyngtona 100 - odparł. - Arlington, Wirginia. Kod pocztowy 20310-1500.

Froelich to zapisała.

- W porządku, dzięki. To chyba wszystko, czego mi trzeba.

- Myślę, że trzeba ci czegoś więcej.

- Czemu?

- Znasz Bulwar Waszyngtona? Froelich się zastanowiła.

- Biegnie aż do Memorial Bridge, prawda?

- To tylko jezdnia.

- Żadnych budynków? Muszą tam być jakieś budynki.

- Owszem, jeden, za to duży. Paręset metrów z boku.

- Co takiego?

- Pentagon - wyjaśnił jej rozmówca. - To fałszywy adres, Froelich. Po jednej stronie Bulwaru Waszyngtona mieści się cmentarz Arlington, po drugiej Pentagon. To wszyst-

ko, nie ma nic więcej. Numer 100 nie istnieje. Nie ma tam żadnych adresów prywatnych. Sprawdziłem na pocztce. A kod odpowiada departamentowi wojska w Pentagonie.

- No super - mruknęła Froelich. - Zawiadomiłeś bank?

- Oczywiście, że nie. Prosiłaś o dyskrecję.

- Dzięki. Ale wróciłam do punktu wyjścia.

- Może nie. To bardzo dziwny układ, Froelich. Sześciocyfrowe konto, ale wszystko na rachunku bieżącym, zero oprocentowania. A klient podejmuje gotówkę wyłącznie poprzez Western Union. Nigdy nie zjawia się osobiście, wszystko załatwia przez telefon. Dzwoni, podaje hasło, bank przesyła telegraficznie pieniądze do Western Union.

- Nie ma karty bankomatowej?

- Żadnych kart. Nigdy nie wydano też książeczki czekowej.

- Wyłącznie Western Union? Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Czy prowadzą jakieś rejestry?

- Geograficznie rzecz biorąc, podejmował już gotówkę prawie wszędzie. Czterdzieści stanów w ciągu pięciu lat. Od czasu do czasu depozyt. Do tego mnóstwo niewielkich wypłat, wszystkie przesyłane do filii Western Union w najróżniejszych miastach, wszędzie.

- Dziwne.

- Tak jak powiedziałem.

- Możesz coś zrobić?

- Już zrobiłem. Zawiadomią mnie, kiedy odezwie się następnym razem.

- A ty dasz mi znać?

- Może.

- Wypłaty są regularne?

- Niespecjalnie. Ostatnio największy odstęp wynosił kilka tygodni. Czasami to zaledwie kilka dni. Często w poniedziałki, w weekendy banki są zamknięte.

- Zatem może dziś mi się poszczęści.

- Owszem, może - odparł jej rozmówca. - Pytanie brzmi: czy mnie także się poszczęści?

- Nie aż tak - mruknęła Froelich.

* * *

Kierownik klubu patrzył, jak Reacher wchodzi do swego motelu. Potem przemknął ponownie na boczną wietrzną uliczkę i włączył telefon komórkowy. Oslaniając go dłonią, zaczął mówić cicho, z naciskiem, prosząco, lecz z szacunkiem, jak należy.

- Ponieważ wchodzi mi w drogę - rzekł, odpowiadając na pytanie.

- Dziś byłoby świetnie - rzucił, odpowiadając na inne.

- Przynajmniej dwóch - odparł w końcu na ostatnie. - To duży facet.

* * *

Reacher rozmienił w recepcji jednego ze swych dolarów na ćwiartki i ruszył w stronę budki. Z pamięci wybrał numer banku, podał hasło i poprosił o przesłanie pięciuset dolarów do filii Western Union w Atlantic City. Miały tam dotrzeć przed zamknięciem. Następnie wrócił do pokoju, odgryzł wszystkie metki i włożył nowe ubranie. Przełożył śmieci z kieszeni, wepchnął letnie ciuchy do kubła i przejrzał się w długim lustrze obok drzwi szafy. Wystarczyłaby broda i okulary przeciwsłoneczne, a mógłbym ruszyć pieszo aż na biegun północny, pomyślał.

* * *

Froelich dowiedziała się o przelewie jedenaście minut później. Na moment przyknęła oczy, z poczuciem triumfu zacisnęła pięści, po czym sięgnęła na półkę za plecami i zdjęła z niej plan samochodowy Wschodniego Wybrzeża. Przy sprzyjającym ruchu trzy godziny. Może zdążę, pomyślała. Złapała kurtkę i torebkę, i pobiegła do garażu.

* * *

Reacher zmarnował godzinę w pokoju, po czym wy-

szedł, żeby wypróbować swoją nową kurtkę. Próba polowa, tak to nazywali w dawnych czasach. Ruszył na wschód, w stronę oceanu, pod wiatr. Po chwili bardziej poczuł, niż ujrzał kogoś za swymi plecami. Charakterystyczny dreszczyk u dołu kręgosłupa. Reacher zwolnił i zerknął w wiotryną niczym w lustro. Dostrzegł ruch pięćdziesiąt metrów z tyłu. Za daleko, by wyłapać szczegóły.

Szedł dalej. Kurtka okazała się całkiem niezła, ale powinien kupić do niej czapkę, dostrzegł to jasno. Ten sam kumpel, który zdradził mu swe zdanie co do kurtek, powtarzał też często, że połowę ciepła człowiek traci przez czubek głowy, i Reacher zdecydowanie tak się czuł. Zimny wiatr unosił mu włosy i sprawiał, że do oczu napływały łzy. Listopad na wybrzeżu Jersey wymagał czapki wojskowej. Reacher zapisał w pamięci, żeby w drodze powrotnej z filii Western Union poszukać sklepu z towarami z demobilu. Z doświadczenia wiedział, że zwykle mieszczą się w tych samych okolicach.

Dotarł do molo i ruszył na południe. Cały czas czuł lekkie swędzenie w krzyżu. Odwrócił się nagle, niczego jednak nie ujrzał. Pomaszerował z powrotem na północ. Solidne deski pod jego stopami poskrzypywały lekko. Po drodze dostrzegł znak informujący, że zrobiono je ze specjalnego drewna, najtwardszego drewna na świecie. Cały czas nie opuszczało go uczucie, że jest śledzony. Skręcił i poprowadził swych niewidzialnych prześladowców na molo główne. Była to oryginalna stara konstrukcja, doskonale zachowana i pusta. Nic dziwnego, zważywszy na pogodę. Brak ludzi podkreślał jeszcze aurę nierzeczywistości otaczającą to miejsce. Zupełnie jakby nagle znalazł się na zdjęciu ze starego podręcznika architektury. Jednakże kilka starych budek było otwartych i oferowało swe towary. W jednej sprzedawano zupełnie nowoczesną kawę w styropianowych kubkach. Reacher kupił dużą czarną. Kosztowała go resztę gotówki, lecz

mocno rozgrzała. Popijając gorący płyn, dotarł do końca molo, wrzucił pusty kubek do kosza i stał przez chwilę, wpatrując się w szary ocean. Następnie zawrócił na pięcie, skierował się w stronę brzegu i ujrzał maszerujących ku niemu dwóch mężczyzn.

Byli mocno zbudowani, niscy, lecz szerocy w ramionach. Ubrani niemal identycznie w niebieskie marynarskie kurtki i szare drelichowe spodnie. Obaj mieli na głowach czapki - małe, szare, wełniane czapki, wciśnięte na okrągłe czaszki. Niewątpliwie doskonale wiedzieli, jak się ubrać w taką pogodę. Ręce trzymali w kieszeniach, toteż nie mógł stwierdzić, czy włożyli też rękawiczki. Ponieważ kieszenie w kurtkach były dość wysoko, ich łokcie sterczały na boki. Na nogach mieli ciężkie wysokie buty z rodzaju tych, jakie mogliby nałożyć robotnicy, pracujący na rusztowaniach bądź w porcie. Albo mieli krzywe nogi, albo też próbowali przybrać groźną postawę. Nad ich brwiami Reacher dostrzegł jasne blizny. Mężczyźni wyglądali niczym para wykidajłów z wesołego miasteczka albo nadzorców portowych sprzed pół wieku. Zerknął za siebie, nie dostrzegł nikogo. Droga wolna aż do Irlandii. Zatem po prostu przystanął.

Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by się oprzeć o poręcz.

Obaj mężczyźni szli dalej, zatrzymali się dwa metry przed nim. Reacher rozprostował lekko palce, sprawdzając, jak bardzo zmarzły. Dwa metry to ciekawa odległość. Oznaczała, że zanim cokolwiek zrobią, chcą porozmawiać. Poruszył palcami u stóp i kolejno napiął mięśnie łydek, ud, pleców, ramion. Przekrzywił głowę z boku na bok, potem odchylił nieco w tył, by rozluźnić mięśnie karku. Odetchnął przez nos. Wiatr wiał mu w plecy. Mężczyzna po lewej wyjął ręce z kieszeni. Nie miał rękawiczek. Natomiast albo cierpiał na paskudny artretyzm, albo też trzymał w dłoniach rulony ćwierćdolarówek.

- Mamy dla ciebie wiadomość - oznajmił.

Reacher zerknął na poręcz i dalej na ocean. Morze było szare i wzburzone, temperatura bliska zeru. Gdyby ich tam wrzucił, praktycznie równałoby się to zabójstwu.

- Od kierownika klubu? - spytał.

- Owszem, od jego ludzi.

- On ma ludzi?

- To Atlantic City - powiedział tamten. - Logiczne, że musi mieć ludzi.

Reacher skinął głową.

- Niech zgadnę. Mam wynieść się z miasta. Zjeżdżać, spadać, znikać, nigdy nie wracać. Nigdy więcej nie przestąpić waszego progu, zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem.

- Nieźle ci idzie.

- Umiem czytać w myślach. Kiedyś pracowałem w lunaparku. Miałem własny namiot tuż obok kobiety z brodą. Wy tam nie dorabialiście? Trzy minuty dalej? Najbrzydsze bliźniaki świata?

Mężczyzna po prawej wyjął rękę z kieszeni. Cierpiał na to samo schorzenie dłoni albo też ukrywał w nich kolejne rulony ćwierćdolarówek. Reacher się uśmiechnął. Lubił rulony ćwierćdolarówek. Porządna, staroświecka technika. Sugerowała, że mężczyźni nie mają broni palnej. Nikt nie sięga po rulon monet, jeśli trzyma w kieszeni splotkę.

- Nie chcemy ci zrobić krzywdy - oznajmił gość po prawej.

- Ale musisz stąd zniknąć - dodał ten z lewej. - Nie lubimy, kiedy obcy ingerują w gospodarkę naszego miasta.

- Wybierz zatem łatwiejsze wyjście - poradził ten z prawej. - Odprowadzimy cię na dworzec autobusowy albo staruszkom też stanie się krzywda, i to nie tylko finansowa.

Reacher usłyszał w głowie absurdalny głos, pochodzący z zamierzchłego dzieciństwa. Głos matki mówiącej: „Proszę, nie bij się w nowym ubraniu”. W jego umyśle

odezwał się wojskowy instruktor walki wręcz: „Uderz szybko, uderz mocno i bardzo boleśnie”. Napiął ramiona pod kurtką. Nagle poczuł głęboką wdzięczność dla kobiety w sklepie za to, że przekonała go do wzięcia większego rozmiaru. Spojrzał na obu intruzów. Jego wzrok wyrażał jedynie lekkie rozbawienie i absolutną pewność siebie. Przesunął się nieco w lewo, a oni obrócili się wraz z nim. Podszedł odrobinę bliżej, zacieśniając trójkąt. Uniósł dłoń i przyglądał wzburzone przez wiatr włosy.

- Lepiej, żebyście już poszli - rzekł.

Nie zrobili tego, dokładnie tak jak przewidywał. Zareagowali na wyzwanie, odrobinę zmniejszając dystans. Za ledwie drobny ruch, napięcie mięśni, przenoszące środek ciężkości ciała w przód. Muszę ich załatwić na tydzień, pomyślał. Najlepiej kości policzkowe. Ostre uderzenie, złamanie kości, może chwilowa utrata przytomności, mocny ból głowy. Nic wielkiego. Zaczekał na kolejny poryw wiatru, uniósł prawą dłoń i ponownie zgarnął włosy za lewe ucho. Nagle zastygł, nie spuszczać ręki, z uniesionym łokciem, jakby nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Umiecie pływać? - spytał.

Trzeba by nadludzkiego opanowania, by na takie słowa nie zerknąć na ocean. Obaj mężczyźni nie byli nadludźmi. Niczym roboty odwrócili głowy. Reacher rąbnął łokciem w twarz mężczyznę z prawej. Ponownie uniósł łokieć i uderzył tego z lewej, gdy tamten odwrócił się gwałtownie, słysząc trzask pękających kości towarzysza. Jednocześnie wyładowali na deskach. Rulony ćwierćdolarówek pękły i wokół posypały się monety. Przez chwilę tańczyły na deskach, kręcąc srebrzyste piruety, zderzając się i opadając, orły i reszki. Reacher zakasłał, zakrztusił się mroźnym powietrzem. Stojąc bez ruchu, odtworzył w myślach całą scenę. Dwóch facetów, dwie sekundy, dwa ciosy, gra skończona. Wciąż jestem niezły, pomyślał. Odetchnął głęboko, otarł z

czoła zimny pot, po czym ruszył naprzód. Zeskoczył z moła na nabrzeże i zaczął szukać filii Western Union.

Wcześniej sprawdził adres w motelowej książce telefonicznej, ale tak naprawdę go nie potrzebował. Filię Western Union można znaleźć na wycucie, wyłącznie dzięki intuicji. Algorytm był prosty: stajesz na rogu ulicy i pytasz samego siebie, czy należy skręcić w lewo, czy w prawo. Potem znowu i wkrótce znajdujesz się we właściwej okolicy. Tuż przed bankiem przy hydrancie parkował dwuletni chevy suburban, czarny, z przyciemnianymi szybami, idealnie czysty i błyszczący. Z dachu sterczały trzy krótkie anteny radiowe. Za kierownicą siedziała samotna kobieta. Zerknął na nią przelotnie, po czym zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Miała jasne włosy, wydawała się jednocześnie odprężona i czujna. Rozpoznał coś znajomego w sposobie, w jaki oparła rękę na oknie. Bez wątpienia była też ładna. Miała w sobie ów szczególny magnetyzm. Odwrócił wzrok, wszedł do środka i odebrał gotówkę. Zwinął banknoty, wsunął do kieszeni, wyszedł i ujrzał kobietę czekającą na chodniku. Patrzyła wprost na niego, na jego twarz, jakby porównywała ją z przechowywanym w myślach obrazem. Natychmiast poznał ten proces. Oglądał go już parę razy wcześniej.

- Jack Reacher? - spytała.

Raz jeszcze pogrzebał w pamięci, bo nie chciał się pomylić, choć nie sądził, by było to możliwe. Krótkie jasne włosy, piękne oczy, patrzące wprost na niego, cicha pewność siebie w postawie i zachowaniu. Z pewnością by ją zapamiętał. Ale nie pamiętał. Zatem nigdy wcześniej jej nie widział.

- Znałaś mojego brata - rzekł.

Wyraźnie zdumiało ją to stwierdzenie. Sprawilo jej też przyjemność. Na moment jakby zabrakło jej słów.

- To widać - dodał. - Kiedy ludzie tak na mnie patzą,

myślą zwykle o tym, jak bardzo byliśmy podobni, a jednocześnie jak się różniliśmy.

Milczała.

- Miło było cię poznać - dodał i ruszył naprzód.

- Zaczekaj! - zawołała.

Odwrócił się.

- Możemy porozmawiać? Szukałam cię.

Skinął głową.

- Możemy pomówić w wozie. Zaczynam zamarzać.

Przez sekundę nie odpowiadała. Uważnie wpatrywała mu się w twarz. Potem poruszyła się nagle, otwierając drzwi od strony pasażera.

- Proszę - rzekła.

Wsiadł do środka, ona okrążyła samochód i zajęła swoje miejsce. Uruchomiła silnik, by zadziałało ogrzewanie. Nie ruszyła z miejsca.

- Bardzo dobrze znałam twojego brata - powiedziała. - Spotykaliśmy się z Joem, bardziej niż spotykaliśmy. Byliśmy prawie zaręczeni, przed jego śmiercią.

Reacher nie odpowiedział. Kobieta się zarumieniła. - No, oczywiście przed jego śmiercią - dodała. - Głupio to zabrzmiało. Umilkła.

- Kiedy? - spytał Reacher.

- Byliśmy razem dwa lata. Zerwaliśmy rok przed.

Reacher przytaknął.

- Jestem M.E. Froelich - dodała.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie: czy kiedykolwiek o mnie wspominał? Reacher ponownie skinął głową, starając się sprawiać wrażenie, jakby nazwisko zabrzmiało znajomo. Ale nie. Nigdy o tobie nie słyszałem. Ale chyba żałuję.

- Emmy? - spytał. - Jak nagrody telewizyjne?

- M.E. - wyjaśniła. - Używam inicjałów.

- Co oznaczają?

- Tego ci nie powiem. Zawahał się chwilę.

- Jak cię nazywał Joe?
- Mówił mi Froelich - wyjaśniła.
Przytaknęła.
- Tak, to do niego podobne.
- Wciąż za nim tęsknię.
- Ja chyba też - rzekł Reacher. - Chodzi zatem o Joego czy o coś innego?

Znów ucichła. Przez sekundę milczała, potem otrząsnęła się lekko, niemal niedostrzegalnie i znów zaczęła mówić rzeczowo.

- O jedno i drugie - odparła. - No, głównie o to drugie.
- Powiesz mi, o co dokładnie?
- Chcę cię do czegoś zatrudnić - powiedziała. - W ramach pośmiertnej rekomendacji Joego, z powodu tego, co mi o tobie opowiadał. Od czasu do czasu o tobie mówił.

Reacher skinął głową.

- Zatrudnić do czego?

Froelich ponownie zwiesiła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Przećwiczyłam ten tekst - przyznała. - Kilka razy.
- Niech go więc usłyszę.
- Chcę cię zatrudnić do zabicia wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

2

Nieżyły tekst - mruknął Reacher. - Ciekawa propozycja.

- Jak brzmi twoja odpowiedź? - spytała Froelich.
- Nie - odparł. - W tej chwili sądzę, że taka jest najbezpieczniejsza.

Ponownie uśmiechnęła się nieśmiało i uniosła torebkę.

- Pozwól, że pokażę ci dokumenty. Pokręcił głową.
- Nie musisz - rzekł. - Pracujesz w Secret Service.

Spojrzała na niego.

- Szybki jesteś.

- To przecież jasne.

- Tak?

Przytaknęła. Dotknął swego prawego łokcia, stłuczony.

- Joe dla nich pracował - wyjaśnił. - Dobrze go znałem i wiem, że zapewne pracował bardzo ciężko. Był też trochę nieśmiały, więc jeśli się z kimś umawiał, to najpewniej poznał go w pracy, w przeciwnym razie nigdy by się nie spotkali. Poza tym kto inny prócz pracowników rządowych tak skrupulatnie myje dwuletni samochód i parkuje obok hydrantu? I kto inny prócz służb specjalnych zdołał by wysledzić mnie tak skutecznie dzięki przelewom bankowym?

- Szybki jesteś - powtórzyła.

- Dziękuję - mruknął. - Ale Joe nie miał nic wspólnego z wiceprezydentami. Pracował w dziale przestępstw finansowych, nie ochrony Białego Domu.

Przytaknęła.

- Wszyscy zaczynamy w dziale przestępstw finansowych. Odwalamy praktykę, walcząc z fałszerzami, a on kierował tą walką. I masz rację, poznaliśmy się w pracy. Tyle że wówczas nie chciał się ze mną umówić. Twierdził, że to niestosowne. I tak jednak planowałam przenieść się do działu ochrony. Gdy tylko to zrobiłam, zaczęliśmy się spotykać.

Znów umilkła. Spuściła wzrok, wpatrując się w torebkę.

- I? - rzucił Reacher.

Uniosła wzrok.

- Pewnej nocy coś powiedział. Byłam wtedy pełna zapału i ambitna. No wiesz, zaczynałam nową pracę. Zawsze się zastanawiałam, czy robimy wszystko, co się da. Wyglupialiśmy się z Joem i wtedy powiedział, że istnieje tylko jeden sposób sprawdzenia naszych umiejętności: zatrudnić kogoś z zewnątrz, by spróbował namierzyć nasz

cel. Sprawdzić, czy to w ogóle możliwe. Nazwał to audytem ochrony. Spytałam go, kogo moglibyśmy zatrudnić. A on na to: „Świetnie nadawałby się mój młodszy brat. Jeśli ktokolwiek zdołałby to zrobić, to właśnie on”. Za brzmiało to bardzo groźnie.

Reacher się uśmiechnął.

- Typowy Joe. Jeszcze jeden kretyński plan.

- Tak sądzisz?

- Jak na tak mądrego faceta, Joe potrafił być czasem bardzo głupi.

- Czemu to głupie?

- Bo jeśli zatrudnisz kogoś z zewnątrz, wystarczy, żebyś czekała, aż przyjedzie. To zbyt łatwe.

- Nie. On uważał, że ta osoba musi zjawić się anonimowo, niezapowiedziana. Oprócz mnie nikt nie wie o twoim istnieniu.

Reacher skinął głową.

- No dobra, może nie był taki głupi.

- Uważał, że to jedyny sposób. No wiesz, nieważne, jak bardzo się staramy, myślimy według pewnych schematów. Joe uznał, że powinniśmy się sprawdzić w zetknięciu z wyzwaniem z zewnątrz.

- I wskazał mnie?

- Twierdził, że byłbyś idealny.

- To czemu czekałaś tak długo? Tę rozmowę musieliście prowadzić co najmniej sześć lat temu. Odnalezienie mnie nie zabrało ci sześciu lat.

- Osiem lat temu - poprawiła Froelich. - Na samym początku naszego związku, tuż po tym, jak zostałam przeniesiona. A znalazłam cię w jeden dzień.

- Czyli też jesteś szybka - zauważył Reacher. - Ale czemu czekałaś osiem lat?

- Bo teraz ja wszystkim kieruję. Cztery miesiące temu awansowałam na szefa ochrony wiceprezydenta. I wciąż jestem pełna zapału i ambitna. Nadal chcę wiedzieć, czy

wszystko robimy jak należy. Postanowiłam zatem posłuchać rady Joego, bo teraz to moja decyzja. Uznałam, że przeprowadzimy audyt ochrony, a ty miałeś rekomendację. Sprzed wielu lat, od kogoś, komu bardzo ufałam. No i jestem tutaj, i pytam, czy to zrobisz.

- Napijesz się kawy?

Spojrzała na niego zdumiona, jakby w ogóle nie myślała o kawie.

- To bardzo pilne - rzekła.

- Nic nie jest zbyt pilne w porównaniu z kawą - powiedział. - Wiem to z doświadczenia. Podrzucić mnie do motelu, a ja zabiorę cię do knajpki. Dają tam niezłą kawę i jest bardzo ciemno. Idealne miejsce na poważne rozmowy.

* * *

Rządowy suburban był wyposażony we wbudowany w deskę rozdzielczą system nawigacyjny, oparty na DVD. Reacher patrzył, jak Froelich uruchamia go i wybiera adres motelu z długiej listy hoteli w Atlantic City.

- Sam mogłem ci powiedzieć, gdzie to jest - zauważył.

- Przywykłam już do tego - rzekła. - Rozmawia ze mną.

- Nie zamierzałem mówić na migi.

Uśmiechnęła się ponownie i włączyła się w ruch. Nie był specjalnie intensywny. Zapadał już zmierzch, wciąż wiał wiatr. Kasyna zarabiała niezłe, lecz molo, przystań i plaże przez następnych sześć miesięcy nie będą miały zbyt wielu gości. Reacher siedział w ciepłym wozie. Przez chwilę myślał o Froelich i swym nieżyjącym bracie. Potem skoncentrował się na tym, jak prowadziła. Była niezła. Zaparkowała przed drzwiami motelu, a on zaprowadził ją schodami do restauracji. W powietrzu unosiła się lekka woń stęchlizny, było jednak ciepło, a na ekspresie za barem stał dzbanek świeżej kawy. Reacher wskazał go ręką, potem siebie i Froelich, i barman wziął się do roboty. Reacher pierwszy ruszył w stronę stolika w rogu i wsunął się głęboko na pokryte winylem siedzenie, plecami do ściany, tak

żeby widzieć całą salę. Stare nawyki. Froelich wyraźnie miała te same nawyki, bo postąpiła podobnie. Toteż usiedli obok siebie, niemal dotykając się ramionami.

- Jesteś bardzo do niego podobny - zauważyła.

- Pod pewnymi względami, pod innymi nie. Na przykład wciąż żyję.

- Nie byłeś na pogrzebie.

- Wypadł w nieodpowiednim czasie.

- Mówisz zupełnie jak on.

- Braciom często się to zdarza.

Barman przyniósł im kawę na poplamionej korkowej tacy. Dwa czarne kubki, małe plastikowe dzbanuszki ze sztuczną śmietanką, małe papierowe opakowania cukru, dwie tanie łyżeczki ze stalowej blachy.

- Ludzie go lubili - powiedziała Froelich.

- Chyba był w porządku.

- To wszystko?

- W ustach brata to komplement.

Uniósł kubek, zsuwając z talerzyka - mleko, cukier i łyżeczkę.

- Pijesz czarną - zauważyła Froelich. - Zupełnie jak Joe.

Reacher przytaknął.

- Nie mogę oswoić się z myślą, że zawsze byłem młodszym bratem, a teraz jestem o trzy lata starszy, niż on będzie kiedykolwiek.

Froelich odwróciła wzrok.

- Wiem. Po prostu przestał istnieć, ale świat trwał dalej.

Powinien był się zmienić, choćby odrobinę.

Pociągnęła łyk kawy. Czarnej, bez cukru. Zupełnie jak Joe.

- Nikt nigdy o tym nie myślał? To znaczy prócz niego?

- spytał Reacher. - Nikt nie chciał wykorzystać kogoś z zewnątrz do audytu ochrony?

- Nikt.

- Secret Service to dość stara organizacja.

- I co z tego?

- To, że mam zamiar zadać ci oczywiste pytanie.

Przytaknęła.

- Prezydent Lincoln powołał was do życia tuż po lunchu 15 kwietnia 1865 roku. Tego samego wieczoru poszedł do teatru i został zamordowany.

- Ironia losu.

- Z naszego punktu widzenia owszem. Wówczas jednak mieliśmy jedynie pilnować waluty. A potem w 1901 zabito McKinleya i rząd uznał, że ktoś powinien na stałe opiekować się prezydentami. Dostaliśmy tę robotę.

- Bo aż do lat trzydziestych nie istniało FBI.

Pokręciła głową.

- Prawdę mówiąc, w 1908 powstało pierwsze wcielenie Biura. Wtedy nazywano je Office Of The Chief Examiner. W 1935 przekształciło się w FBI.

- Zupełnie jakbym słyszał Joego. Zawsze znał wszystkie duperelowe szczegóły.

- To chyba on mi o tym powiedział.

- No tak, uwielbiał historię.

Reacher zauważył, że Froelich z wysiłkiem zmusza się do mówienia.

- Jak zatem brzmi twoje oczywiste pytanie? - spytała.

- Po raz pierwszy od stu jeden lat chcesz skorzystać z pomocy kogoś z zewnątrz. Musisz mieć jakiś powód, ważniejszy niż własny perfekcjonizm.

Froelich zaczęła coś mówić, umilkła, zawahała się chwilę. Zobaczył, że decyduje się skłamać, zdradził mu to kąś nachylenia ramion.

- Jestem pod mocnym ostrzałem - rzekła. - No wiesz, zawodowo. Mnóstwo ludzi czeka, żebym coś schrzaniła. Muszę mieć pewność.

Milczał. Czekał na dalsze szczegóły. Kłamcy zawsze podają mnóstwo szczegółów.

- Nie byłam oczywistą kandydatką - ciągnęła. - Wciąż rzadko się zdarza, by kobieta kierowała całą grupą. To kwe-

stia seksizmu, tak jak wszędzie. Niektórzy z moich kolegów przypominają nieco neandertalczyków.

Przytaknął. Wciąż milczał.

- Cały czas mnie to prześladowe. Muszę sprawdzić. To wszystko.

- O którego wiceprezydenta chodzi? - zapytał. - Nowego czy starego?

- Nowego. Brooka Armstronga, ściśle mówiąc, wiceprezydenta elekta. Wyznaczono mnie do jego ochrony, gdy zapowiedział start w wyborach. Zwykle staramy się zachować ciągłość, toteż wybory dotyczą też nas samych. Jeśli nasz klient wygrywa, nadal mamy pracę. Jeśli przegrywa, wracamy do szeregu.

Reacher się uśmiechnął.

- Czyli na niego głosowałaś?

Nie odpowiedziała.

- Co mówił o mnie Joe?

- Mówił, że spodoba ci się wyzwanie, że dołożysz wszelkich starań, by to zrobić. Twierdził, że jesteś bardzo pomysłowy. Z pewnością znajdziesz trzy bądź cztery metody i wiele się od ciebie nauczymy.

- A ty co powiedziałaś?

- Nie zapominaj, to było osiem lat temu. Byłam wtedy strasznie pewna siebie. Odparłam, że w żaden sposób nie zdołasz się zbliżyć. A on odparł, że mnóstwo ludzi popełniło ten błąd.

Reacher wzruszył ramionami.

- Osem lat temu byłem w wojsku. Prawdopodobnie stacjonowałem piętnaście tysięcy kilometrów stąd i tkwiłem po uszy w wojskowych bzdurach.

Froelich przytaknęła.

- Joe o tym wiedział. Wszystko to było czysto teoretyczne. Spojrzał na nią.

- Ale najwyraźniej teraz nie jest już teoretyczne. Osem lat później zamierzasz to zrobić. I wciąż zastanawiam się

czemu.

- Jak już mówiłam. Teraz decyzja należy do mnie. Jestem pod wielką presją, by dobrze się spisać.

Milczał.

- Zastanowisz się nad tym? - spytała Froelich.

- Niewiele wiem o Armstrongu. Praktycznie o nim nie słyszałem.

Przytaknęła.

- Nikt nie słyszał. To dość zdumiewający wybór. Młodszy senator z Dakoty Północnej. Typowy ojciec rodziny, żona, dorosła córka, opiekuje się na odległość chorą matką. Nigdy niczym się nie wyróżnił. Ale gość jest w porządku jak na polityka. Lepszy niż większość. Jak dotąd, bardzo go lubię.

Reacher skinął głową. Nadal milczał.

- Oczywiście zapłacilibyśmy ci - powiedziała Froelich.

- To nie problem. No wiesz, rozsądne honorarium.

- Niespecjalnie interesują mnie pieniądze. Nie potrzebuję pracy.

- Mógłbyś zgłosić się na ochotnika.

- Byłem żołnierzem. Żołnierze nigdy nie zgłaszają się na ochotnika.

- Joe mówił co innego. Twierdził, że robiłeś najróżniejsze rzeczy.

- Nie lubię dla nikogo pracować.

- No jeśli chcesz to zrobić za darmo, nie będziemy protestować.

Na moment umilkł.

- Pewnie wiązałyby się to z wydatkami. Gdyby ktoś miał to zrobić jak należy.

- Oczywiście pokrylibyśmy wszystkie wydatki. Czegokolwiek potrzebowałby ów ktoś. Wszystko jak najbardziej oficjalnie, po fakcie.

Reacher przebiegł wzrokiem po blacie.

- Czego dokładnie chciałabyś od owego ktosia?

- Chcę ciebie, nie jakiegoś ktosia. Żebyś odegrał rolę zabójcy. Przyjrzał się wszystkiemu z zewnątrz, znalazł luki w ochronie i dowiódł ich istnienia, podając daty, godziny, miejsca. Jeśli chcesz, mogę ci przekazać plan jego zajęć.

- Proponujesz to każdemu zabójcy? Jeżeli zamierzasz to zrobić, to powinnaś grać jak należy, nie sądzisz?

- Dobra - mruknęła.

- Nadal uważasz, że nikt nie może się zbliżyć?

Starannie rozważyła swoją odpowiedź; zabrało to jakieś dziesięć sekund.

- Szczerze mówiąc, tak. Bardzo ciężko pracujemy. Myślę, że uwzględniliśmy wszystko.

- Zatem uważasz, że Joe się mylił?

Nie odpowiedziała.

- Czemu zerwaliście? - spytał.

Na sekundę odwróciła wzrok. Pokręciła głową.

- To sprawa prywatna.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści pięć.

- Zatem osiem lat temu miałaś dwadzieścia siedem.

Uśmiechnęła się.

- A Joe prawie trzydzieści sześć. Był starszy. Obcho-
dziłam z nim jego urodziny. Trzydzieste siódme też.

Reacher odsunął się odrobinę i ponownie zmierzył ją wzrokiem. Joe miał dobry gust. Z bliska wyglądała dobrze, dobrze pachniała. Idealna cera, świetne oczy, długie rzęsy. Ładne kości policzkowe, mały prosty nos. Sprawiała wrażenie gibkiej i silnej. Atrakcyjna, bez dwóch zdań. Zastanawiał się, jakby to było obejmować ją, całować, iść z nią do łóżka. Wyobraził sobie Joego, jak zastanawia się nad tym samym, gdy pierwszy raz weszła do jego biura. I w końcu się dowiedział. Brawo, Joe.

- Chyba zapomniałem mu wysłać kartkę na urodziny - rzekł. - Jedne i drugie.

- Nie sędzę, by się tym przejął.
- Nie byliśmy zbyt blisko. W sumie nie rozumiem dlaczego.

- Lubił cię - powiedziała. - Często to podkreślał. Od czasu do czasu o tobie mówił. Myślę, że na swój sposób był z ciebie dumny.

Reacher nie odpowiedział.

- To co, pomożesz mi? - spytała.

- Jaki był jako szef?

- Świetny. W naszym zawodzie był supergwiazdą.

- A jako narzeczony?

- W tym też był całkiem niezły.

Zapadła długa cisza.

- Gdzie się podziewałeś, odkąd odszedłeś ze służby? - spytała Froelich. - Nie zostawiłeś zbyt wielu śladów.

- Taki miałem plan - stwierdził Reacher. - Nie lubię niczego ujawniać.

Spojrzała na niego pytająco.

- Nie martw się - dodał - nie jestem radioaktywny.

- Wiem - odparła - bo sprawdziłam. Ale teraz, kiedy cię poznałam, zrobiłam się ciekawa. Wcześniej byłeś tylko nazwiskiem.

Ponownie spuścił wzrok, starając się spojrzeć na siebie obiektywnie, z zewnątrz, opisanego z drugiej ręki przez brata. Ciekawa perspektywa.

- Pomożesz mi? - powtórzyła.

W sali było ciepło, więc rozpięła płaszcz. Pod spodem miała śnieżnobiałą bluzkę. Przesunęła się nieco bliżej i na wpół odwróciła, tak by patrzeć mu prosto w twarz. Byli równie blisko, jak kochankowie w leniwe popołudnie.

- Nie wiem - rzucił.

- To będzie niebezpieczne. Muszę cię ostrzec, nikt poza mną nie będzie wiedział, że tam jesteś. Na tym polega największy problem. Jeśli ktoś cię zauważy... Może to zły pomysł, może nie powinnam prosić.

- Nikt mnie nie zauważy - wtrącił Reacher.

Uśmiechnęła się.

- Dokładnie to samo powiedział Joe osiem lat temu.

Reacher milczał.

- To bardzo ważne - dodała. - I pilne.

- Chcesz mi powiedzieć, dlaczego to ważne?

- Już mówiłam.

- Chcesz mi powiedzieć, czemu to pilne?

Nie odpowiedziała.

- Nie sądzę, by była to kwestia teoretyczna - rzekł.

Milczała.

- Myślę, że masz poważny problem.

Brak odpowiedzi.

- Myślę, że wiesz, że ktoś tam jest. Prawdziwe zagrożenie.

Odwróciła wzrok.

- Nie mogę tego skomentować.

- Byłem w wojsku - rzucił. - Często słyszałem podobne odpowiedzi.

- To tylko audyt ochrony - upierała się. - Zrobisz to dla mnie?

Przez długą chwilę Reacher milczał.

- Pod dwoma warunkami.

Odwróciła się z powrotem i spojrzała na niego.

- Jakimi?

- Po pierwsze, będę pracował w chłodnym klimacie.

- Czemu?

- Bo właśnie wydałem sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów na ciepłe ciuchy.

Uśmiechnęła się lekko.

- Wszystkie miejsca jego listopadowych spotkań są dość chłodne.

- Dobra. - Reacher sięgnął do kieszeni, podsunął jej pudełko zapalek i wskazał wydrukowaną na nim nazwę i adres. - Jest pewna para staruszków, pracujących tydzień w tym

klubie. Martwią się, że kierownik oszuka ich z wypłatą. Muzycy. Wszystko powinno być dobrze, ale muszę mieć pewność. Chcę, żebyś pogadała z miejscowymi glinami.

- Twoi przyjaciele?

- Od niedawna.

- Kiedy mają dostać wypłatę?

- W piątek wieczorem po ostatnim występie, koło północy. Muszą odebrać pieniądze, spakować rzeczy do wozu. Potem wyjadą do Nowego Jorku.

- Poproszę, by jeden z agentów co dzień sprawdzał, co się u nich dzieje. To chyba lepsze niż gliniarze. Mamy tu swoje biuro. W kasynach w Atlantic City piorą pieniądze na wielką skalę. Zatem zrobisz to?

Reacher znów umilkł. Pomyślał o swoim bracie. Wrócił i znów mnie nawiedził. Wiedziałem, że pewnego dnia to się stanie. Filizankę miał pustą, lecz wciąż ciepłą. Uniósł ją ze spodeczka i przechylił, obserwując spływającą ku niemu resztkę kawy, powolną i brązową, niczym muł rzeczny.

- Kiedy trzeba to zrobić?

* * *

Dokładnie w tym momencie około dwustu kilometrów dalej w magazynie na tyłach portu w Baltimore odbywała się wymiana: gotówka za dwie sztuki broni i odpowiednią amunicję. Mnóstwo gotówki. Świetna broń, specjalna amunicja. Planowanie drugiej próby rozpoczęli od obiektywnej analizy swego pierwszego fiaska. Jako rozsądni zawodowcy nie chcieli przypisywać całej winy nieodpowiedniemu sprzętowi, uznali jednak, że lepsza broń zawsze się przyda. Sprawdzili zatem, czego potrzebują, i zlokalizowali sprzedawcę. Miał to, czego chcieli, cena im odpowiadała. Wynegocjowali gwarancję w typowy dla siebie sposób: poinformowali sprzedawcę, że jeśli będą mieli problemy z jego towarem, wrócą i przestrzelą mu kręgosłup, nisko, tak by do końca życia siedział w fotelu na kółkach.

Zdobycie broni stanowiło ostatni etap przygotowań. Te-

raz byli gotowi podjąć działania.

* * *

Wiceprezydent elekt Brook Armstrong miał sześć zadań, które musiał wypełnić w ciągu dziesięciu tygodni pomiędzy wyborami i inauguracją. Szóste i najmniej ważne stanowiło kontynuację pracy młodszego senatora z Dakoty Północnej aż do oficjalnego wygaśnięcia mandatu. W stanie mieszkało niemal 650 tysięcy ludzi; ktoś z nich w każdej chwili mógł pragnąć rozmowy. Armstrong jednak zakładał, iż wszyscy rozumieją, że w tej chwili nastął okres

przejściowy, do czasu przejęcia obowiązków przez jego następcę, a że Kongres praktycznie nic nie robił aż do stycznia, obowiązki senatorskie nie zajmowały mu zbyt wiele czasu.

Piątym zadaniem było bezbolesne przekazanie stanowiska następcy. Zaplanował w stanie dwa wiece, tak by móc pokazać nowicjusza swym oswojonym dziennikarzom. Wiedział, że musi przemówić im do wyobraźni. Staną ramieniem w ramię, będą ścisnąć się przed kamerami. Armstrong w przerośni odsunie się o krok, nowicjusz wystąpi krok naprzód. Pierwszy wiec zaplanowano na 20 listopada, następny cztery dni później. Uciążliwe, lecz wymagała tego lojalność partyjna.

Czwartym zadaniem było nauczenie się pewnych rzeczy. Na przykład już niedługo miał zostać członkiem Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Powinien wiedzieć rzeczy, których nie wymaga się od młodszego senatora z Dakoty Północnej. Wyznaczono mu nauczyciela z CIA. Wkrótce mieli się też pojawić ludzie z Pentagonu i z Departamentu Spraw Zagranicznych. Wszystko idealnie zaplanowano, wymagało jednak sporo pracy i czasu.

A kolejne zadania stawały się coraz pilniejsze. Choć ciężby trzecie. Istniały dziesiątki tysięcy darczyńców, którzy w całym kraju wspierali kampanię finansowo.

Największym z nich podziękują w inny sposób, lecz ci drobniejsi, wpłacający po tysiąc dolarów i więcej, też musieli uczestniczyć w sukcesie. Partia zatem zaplanowała całą serię wielkich przyjęć w Waszyngtonie. Tam goście będą mogli spotkać się z innymi i poczuć się naprawdę ważni. Miejscowe komitety zaproszą ich, by mogli otrzeć się o wielki świat, i poinformują, że oficjalnie nie wiadomo, czy podejmie ich nowy prezydent, czy też nowy wiceprezydent.

W praktyce trzy czwarte przyjęć miało przypaść Armstrongowi.

Drugie zadanie było naprawdę poważne. Chodziło o ugłaskanie Wall Street. Zmiana administracji to w świecie finansów ważna sprawa. W sumie nie było powodów, by cokolwiek zakłóciło rynek, lecz tymczasowe zdenerwowanie i niepokój często narastają, a zachwiania na giełdzie zaszkodziłyby nowemu prezydentowi. Wkładano zatem wiele wysiłków w uspokojenie inwestorów. Większością spotkań zajmował się osobiście prezydent elekt. Najwięksi gracze spotykali się z nim twarzą w twarz. Armstrongowi natomiast przypadli ci z drugiego szeregu, z Nowego Jorku. W ciągu dziesięciu tygodni miał zaplanowanych pięć takich wyjazdów.

Lecz pierwszym i najważniejszym zadaniem Armstronga było kierowanie zespołem przejściowym. Nowa administracja wymagała zatrudnienia niemal ośmiu tysięcy ludzi. Około ośmiuset z nich musiało zostać zatwierdzonych przez Senat. Osiemdziesięciu należało do pierwszej ligi. Armstrong musiał uczestniczyć w ich wyborze, a potem wykorzystać swe kontakty w Senacie, by ułatwić im zatwierdzenie. Centrum operacyjne mieściło się oficjalnie w biurach przy G Street. Armstrong jednak wolał kierować wszystkim po cichu ze swego starego biura senackiego. W sumie nie było to wcale przyjemne. Mnóstwo ciężkiej roboty, ale na tym polega różnica

między byciem szefem i wice.

Zatem trzeci tydzień po wyborach wyglądał następująco: Armstrong spędził wtorek, środę i czwartek w Waszyngtonie, pracując z zespołem przejściowym. Jego żona odpoczywała na zasłużonych powyborczych wakacjach w domu w Dakocie Północnej. On sam mieszkał tymczasowo w willi w Georgetown. Froelich przydzieliła do jego ochrony swych najlepszych agentów i kazała im uważać na wszystko.

Czterech agentów mieszkało wraz z nim. Czterech policjantów cały czas czuwało na zewnątrz w radiowozach - dwóch na ulicy, a dwóch w alejce na tyłach. Limuzyna Secret Service odbierała go co rano i przewoziła do biur senackich. Za nią podążał drugi samochód, nazywano go artylerią. Transfer z wozu i do wozu odbywał się szybko i sprawnie. Przez cały dzień towarzyszyli mu trzej agenci, jego osobista ochrona: trzech wysokich mężczyzn w ciemnych garniturach, białych koszulach, stonowanych krawatach i ciemnych okularach, nawet w listopadzie. Cały czas otaczali go dyskretnie, tworząc ochronny trójkąt. Poważne miny, czujne oczy, subtelna kontrola. Czasami słyszał ciche szmery dobiegające ze słuchawek. Na przegubach nosili mikrofony, pod marynarkami ukrywali broń automatyczną. Armstrong uważał, że to imponujące, wiedział jednak, iż wewnątrz nic mu nie grozi. Budynek otaczała policja miejska, a Kapitol miał własną ochronę, nie wspominając już o wykrywaczach metalu we wszystkich wejściach. Ludzie, których widywał, albo należeli do zespołu, albo też zostali już wcześniej wielokrotnie dokładnie sprawdzeni.

Lecz Froelich nie była tak spokojna. Cały czas szukała Reachera, w Georgetown i na Kapitolu. Nie dostrzegła go jednak. Nie było go. Nie było też nikogo innego, kim mogłaby się martwić. Powinna poczuć się lepiej - ale nie.

Pierwsze przyjęcie dla darczyńców zaplanowano na czwartkowy wieczór w sali balowej wielkiego hotelu. Po

południu cały budynek sprawdziła policja z psami. Policjanci zajęli też kluczowe pozycje. Mieli tam pozostać aż do odjazdu Armstronga, wiele godzin później. Froelich postawiła przy drzwiach dwóch agentów Secret Service, sześciu w holu, ośmiu w samej sali. Kolejna czwórka zabezpieczała rampę towarową, którą miał wejść Armstrong. Dyskretnie rozmieszczone kamery wideo kontrolowały cały hol i salę. Każdą z nich podłączono do osobnego magnetowidu, te z kolei do jednego głównego zegara, tak by całe przyjęcie zostało starannie zarejestrowane.

Lista gości obejmowała tysiąc osób. Ponieważ był listopad, nie mogli ustawić ich na chodniku, a charakter spotkania wyklucał zbyt ostrą i nachalną kontrolę. Zastosowano zatem standardowy protokół zimowy: goście zostali wpuszczeni do holu przez wykrywającą metal bramkę. Tam jakiś czas czekali, w końcu docierali do drzwi sali balowej. Wewnątrz agenci sprawdzali drukowane zaproszenia i prosili o dokument ze zdjęciem. Zaproszenia na moment kładziono na szklanym blacie, następnie oddawano gościom na pamiątkę. Pod blatem tkwiła kamera, podłączona do tego samego zegara co pozostałe. Dzięki niej Froelich dysponowała portretem każdego gościa wraz z nazwiskiem. Następnie goście przechodzili przez drugi wykrywacz metalu. Ludzie Froelich poważnie traktowali swą pracę, zachowywali się jednak przyjaźnie, dzięki czemu goście mieli wrażenie, że to ich chroni się przed jakimś niezwykle, podniecającym niebezpieczeństwem, nie zaś Armstronga przed nimi.

Froelich cały czas obserwowała monitory wideo, szukając niepasujących twarzy. Nikogo nie dostrzegła, ale i tak się martwiła. Ani śladu Reachera. Nie była pewna, czy czuć ulgę, czy irytację. Robi to czy nie? Przez moment zastanawiała się, czy nie oszukać i nie przekazać agentom jego opisu. Potem jednak wrócił jej rozsądek. Tak czy inaczej, musiała wiedzieć.

Niewielki konwój, wiozący Armstronga, zatrzymał się przed rampą pół godziny później. Goście tymczasem zdążyli już wypić parę kieliszków taniego wina musującego i nasycić się lekko rozmoczonymi kanapkami. Osobista trzyosobowa ochrona przeprowadziła go tylnym wejściem, cały czas trzymając się w odległości trzech metrów. Na przyjęcie zaplanowano dwie godziny, co dawało mu nieco ponad siedem sekund na gościa. Na trapezie siedem sekund to wieczność, lecz tu wszystko wyglądało inaczej. Głównie sprowadzało się do metody ściskania dłoni. Polityk uczestniczący w kampanii bardzo szybko uczy się ścisnąć tył dłoni, nie ją samą. Taki uścisk mówi: mam tu tak wielkie poparcie, że muszę działać szybko, a do tego, co jeszcze ważniejsze, sprawia, że to polityk decyduje, kiedy puścić, nie jego rozmówca. Lecz podczas takiej uroczystości Armstrong nie mógł skorzystać z owej taktyki. Musiał zatem ścisnąć dłonie jak należy i uwijać się szybko, by nie przekroczyć siedmiu sekund na osobę. Niektórym gościom to odpowiadało, inni starali się przytrzymać go nieco dłużej, wylewnie gratulując mu wyboru, jakby nigdy wcześniej tego nie słyszał. Część mężczyzn preferowała dwuręczny uścisk przedramienia, niektórzy obejmowali go, pozując do prywatnych zdjęć. Część była zawiedziona, że nie towarzyszy mu żona, część nie, zwłaszcza pewna kobieta, która mocno uścisnęła mu dłoń i przytrzymała dziesięć czy nawet dwanaście sekund, przyciągając go do siebie i szepcząc coś do ucha. Była zdumiewająco silna, o mało nie pozbawiła go równowagi. Tak naprawdę nie usłyszał, co szepnęła - może numer swego pokoju? Była jednak szczupła i ładna, miała ciemne włosy i czarujący uśmiech, toteż niespecjalnie mu to przeszkadzało. Po prostu uśmiechnął się z wdzięcznością i zapomniał o tym.

Agenci Secret Service nie mrugnęli nawet okiem.

Do końca okrążył salę, nic nie jedząc, nic nie pijąc, i

opuścił ją tylnymi drzwiami po dwóch godzinach i jedenastu minutach. Trzech agentów odprowadziło go do samochodu i zawiozło do domu. Przejście przez chodnik poszło gładko, po kolejnych ośmiu minutach dom został zamknięty na noc i zabezpieczony. W hotelu reszta ochrony wycofała się niepostrzeżenie, a tysiąc gości bawiło się jeszcze godzinę.

* * *

Froelich pojechała wprost do biura i tuż przed północą zadzwoniła do domu do Stuyvesanta. Odpowiedział natychmiast, zupełnie jakby wstrzymywał oddech, czekając na dzwonek telefonu.

- Bezpieczny - oznajmiła.
- Dobra - odparł. - Jakież problemy?
- Niczego nie zauważyłam.
- I tak powinnaś przejrzeć kasety. Szukaj twarzy.
- Taki mam zamiar.
- Zadowolona z jutrzejszych ustaleń?
- Z niczego nie jestem zadowolona.
- Twój gość z zewnątrz już pracuje?
- Strata czasu. Minęły trzy dni i nigdzie go nie widziałam.
- A nie mówiłem? To nie było konieczne.

* * *

W piątek rano w Waszyngtonie Armstrong nie miał nic do załatwienia, został zatem w domu i przez dwie godziny wysłuchiwał wykładów pracownika CIA. Następnie jego ochrona przeciwoczyła zjazd w pełnym szyku z autostrady. Posłużyli się opancerzonym cadillakiem, dwoma suburbanami eskorty, dwoma radiowozami i motocyklami policyjnymi. Kawalkada wkrótce dotarła do bazy lotniczej Andrews, z której w południe Armstrong miał lecieć do Nowego Jorku. W ramach uprzejmości pokonani kontrkandydaci pozwolili mu korzystać z Air Force Two,

choć formalnie rzecz biorąc, samolot nie mógł posługiwać się tym znakiem rozpoznawczym aż do chwili oficjalnej inauguracji wiceprezydenta. Chwilowo był zatem jedynie wygodnym prywatnym odrzutowcem. Gdy wylądował na lotnisku La Guardia, trzy samochody z nowojorskiego biura Secret Service odebrały gości i zawiozły ich na południe, na Wall Street, w towarzystwie policyjnych motocykli.

Froelich zajęła już pozycję wewnątrz budynku giełdy. Biuro nowojorskie od dawna współpracowało z policją, toteż nie wątpiła, że budynek został stosownie zabezpieczony. Spotkania Armstronga odbywały się w gabinecie na tyłach i trwały dwie godziny, mogła się więc odprężyć aż do sesji fotograficznej. Spece od mediów z zespołu politycznego chcieli zrobić zdjęcia do gazet tuż po zamknięciu giełdy, na chodniku przed kolumnadą budynku. Nie miała wyboru - nigdy nie zdołałaby ich przekonać, by z tego zrezygnowali. Rozpaczliwie potrzebowali pozytywnej reklamy. Froelich była jednak głęboko nieszczęśliwa, gdy musiała pozwolić swemu podopiecznemu stanąć na dworze bez osłony. Poleciała agentom filmować wszystkich fotografów, dwukrotnie sprawdzić legitymacje prasowe i przeszukać każdą torbę na aparat, każdą kieszeń każdej kamizelki. Połączyła się przez radio z porucznikiem policji i potwierdziła, że kordon nadal jest zabezpieczony, trzysta metrów na ziemi, sto pięćdziesiąt w górę. W końcu pozwoliła Armstrongowi wyjść na dwór z grupą bankierów i maklerów. Przez pięć niewiarygodnie długich minut pozowali wspólnie. Fotografowie kucali na chodniku tuż u stóp Armstronga, tak by móc uchwycić twarze i ramiona swych „modeli” wraz z widniejącym u góry na frontonie napisem Giełda Nowojorska. Wszyscy są za blisko, pomyślała Froelich. Armstrong i finansisci z optymizmem i radością patrzyli w dal. Wreszcie sesja dobiegła szczęśliwie końca. Armstrong jak zawsze pomachał w geście ozna-

czającym: z radością zostałbym dłużej, i wycofał się do budynku. Finansiści podążyli za nim, fotografowie rozeszli się szybko. Froelich ponownie mogła odetchnąć. Teraz czekał ich rutynowy powrót do Air Force Two i lot do Dakoty Północnej na pierwszy z wieców Armstronga. Czternaście godzin odpoczynku.

* * *

Jej komórka zadzwoniła w samochodzie, gdy zbliżali się do lotniska La Guardia. Dzwonił starszy kolega z Departamentu Skarbu.

- Konto bankowe, które obserwujemy - rzekł. - Klient znów się odezwał. Przesyła dwadzieścia tysięcy do Western Union w Chicago.

- Gotówką?

- Nie. Czekiem na okaziciela.

- Czek na okaziciela Western Union? Na dwadzieścia tysięcy? Musi komuś za coś płacić, towar albo usługi. Musi.

Kolega nie odpowiedział. Froelich wyłączyła telefon i przez sekundę przytrzymała go w dłoni. Chicago? Armstrong nie planował nawet najkrótszej wizyty w tym mieście.

* * *

Air Force Two wylądował w Bismarck i Armstrong pojechał na spotkanie z żoną i nocleg we własnym łóżku, w domu rodzinnym wśród jezior na południe od miasta. Był to stary, wygodny dom. Secret Service zajęła mieszkanie służbowe nad garażem. Froelich odwołała osobistą ochronę pani Armstrong, by dać wiceprezydenckiej parze nieco spokoju. Dała wolne członkom ochrony osobistej i wysłała czterech agentów do pilnowania domu: dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Do tego policja stanowa w samochodach zaparkowanych w promieniu trzystu metrów od budynku. Na koniec osobiście wszystko sprawdziła. Gdy znalazła się na podjeździe, zadzwoniła komórka.

- Froelich? - spytał Reacher.

- Skąd masz ten numer?

-Byłem żandarmem wojskowym. Potrafię zdobywać numery.

- Gdzie jesteś?

- Nie zapomnij o tych muzykach, dobrze? W Atlantic City, dziś wieczór.

Rozłączył się. Froelich wróciła do mieszkania nad garażem. Jakiś czas siedziała bez ruchu, w końcu o pierwszej w nocy zadzwoniła do biura w Atlantic City i usłyszała, iż staruszkowie dostali obiecaną kwotę, zostali odeskortowani do samochodu i wyjechali na autostradę 1-95, na której skręcili na północ. Froelich wyłączyła telefon. Przez dłuższą chwilę siedziała przy oknie, zatopiona w myślach. Była cicha, bardzo ciemna noc. Bardzo samotna, zimna. Od czasu do czasu z daleka dobiegało szczekanie psów. Na ciemnym niebie nie świecił księżyc ani gwiazdy. Froelich nienawidziła podobnych nocy. Pobyty w domu rodzinnym zawsze należały do najtrudniejszych. Każdego w końcu zaczyna męczyć ochrona i choć Armstronga wciąż bawiła nowość całej sytuacji, Froelich wiedziała, że jej podopieczny pragnie trochę odpocząć. Z całą pewnością chciała też tego jego żona. Froelich wycofała zatem agentów ze środka budynku, polegając wyłącznie na posterunkach zewnętrznych.

Wiedziała, że powinna zrobić więcej, ale nie miała wyjścia, przynajmniej póki nie wyjaśni Armstrongowi rozmiarów aktualnego zagrożenia. Tego zaś nie zrobiła, ponieważ Secret Service nigdy tego nie robi.

* * *

Sobotni rano w Dakocie Północnej był słoneczny i chłodny. Tuż po śniadaniu rozpoczęto przygotowania. Wiec miał się odbyć o pierwszej na dziedzińcu kościoła w południowej dzielnicy. Froelich zaskoczyła wiadomość, iż ma to być impreza na świeżym powietrzu, ale Armstrong poinformował ją, że takie panują tu zwyczaje. Mieszkańcy Dakoty zwykle zaczynali spotykać się pod dachem dopiero po Świącie Dziękczynienia. W tym momencie Froelich

poczuła przemożne pragnienie odwołania całego spotkania. Wiedziała jednak, że politycy stawiają opór, i nie chciała tak wcześnie toczyć z góry przegranej bitwy. Nic zatem nie powiedziała. Później o mało nie zaproponowała, by Armstrong włożył pod gruby płaszcz kamizelkę z kevlaru. W końcu zrezygnowała. Biedaka czekają całe cztery lata, może osiem, pomyślała. Jeszcze nawet nie przeszedł inauguracji, jest za wcześnie. Później pożałowała, że nie posłuchała głosu instynktu.

Teren kościelny miał rozmiar boiska piłkarskiego. Od północnej strony zamykał go kościół, piękna drewniana budowla, pod każdym względem tradycyjna. Pozostałe trzy boki prostokąta zabezpieczało solidne ogrodzenie. Dwa z nich wychodziły na domy mieszkalne, trzeci na ulicę. Duża brama prowadziła na niewielki parking. Froelich na ten dzień zakazała parkowania, umieściła przy bramie dwóch agentów i miejscowego policjanta. Kolejnych dwunastu pieszych policjantów czekało na trawnikach tuż za ogrodzeniem. Na każdej z sąsiednich ulic rozmieściła dwa radiowozy. Kościół kazała przeszukać miejscowym policjantom z psami, po czym dokładnie zamknąć na klucz. Podwoiła ochronę osobistą do sześciu agentów, bo Armstrongowi towarzyszyła żona. Poleciała, by cały czas trzymali się bardzo blisko. Armstrong nie protestował. Pojawienie się w otoczeniu sześciu twardzieli wyglądało bardzo poważnie. Jego następcy też z pewnością się spodoba. Może i na niego spadnie odrobina waszyngtońskiego splendoru władzy.

Armstrongowie przestrzegali zasady, by nigdy nie jeść publicznie. Zbyt łatwo zrobić z siebie idiotę mówiącego z pełnymi ustami, gestykulującego zatłuszczonymi dłońmi. Zjedli zatem wczesny lunch w domu, przyjechali otoczeni niewielkim konwojem i natychmiast wzięli się do roboty. Nie było to zbyt trudne, wręcz relaksujące. Armstrong nie musiał się już przejmować miejscową polityką; szczerze mówiąc - podobnie jego następcy. Miał za sobą sporą,

świeżo zdobytą przewagę i brylował w blasku odbitym od pary wiceprezydenckiej. W sumie popołudnie okazało się jedynie miłą przechadzką w uroczym otoczeniu. Żona Armstronga była piękna, następca cały czas trzymał się u jego boku, prasa nie zadawała żadnych niewygodnych pytań. Na miejscu zjawili się przedstawiciele wszystkich czterech sieci telewizyjnych oraz CNN. Miejscowe gazety przysłały fotografów, pojawili się także wolni strzelcy z *Washington Post* i *New York Timesa*. W sumie wszystko poszło tak gładko, iż Armstrong zaczął żałować, że zaplanowali jeszcze jeden wiec. Nie był wcale potrzebny.

Froelich obserwowała twarze, lustrowała też kordon bezpieczeństwa i tłum, starając się wyczuć jakiegokolwiek zmiany w stadnym zachowaniu, wskazujące na napięcie, niepokój, nagłą panikę. Niczego nie dostrzegła. Nie zauważyła też ani śladu Reachera.

Armstrong przedłużył imprezę o pół godziny, bo słabe jesienne słońce grzało przyjemnie, nie wiał nawet najslabszy wiatr, on sam świetnie się bawił i nie miał żadnych planów na wieczór, prócz cichego obiadu z najważniejszymi członkami władz stanowych. Agenci odwieźli jego żonę do domu. Osobista ochrona odprowadziła go do samochodu i zawiozła na północ, do centrum Bismarck. Obok restauracji mieścił się hotel; Froelich zarezerwowała im pokoje, by mogli odpocząć przed posiłkiem. Armstrong zdrzemnął się godzinę, wziął prysznic i ubrał się. Obiad przebiegał w świetnej atmosferze, gdy nagle zjawił się szef jego personelu z wiadomością. Obecny prezydent i wiceprezydent oficjalnie wezwali prezydenta elekta i wiceprezydenta elekta na jednodniową konferencję w sprawie przekazania władzy w Bazie Wsparcia Marynarki Wojennej w Thurmont. Konferencja miała się zacząć następnego dnia wczesnym rankiem. Zaproszenie nie stanowiło niespodzianki - bez wątplenia mieli wiele spraw do omówienia - zostało też przekazane w tradycyjny sposób, w ostatniej

chwili i z wielką pompą, ponieważ przegrana para chciała jeszcze raz trochę się porządzić. Froelich jednak była zachwycona, gdyż nieoficjalna nazwa Bazy Wsparcia Marynarki Wojennej w Thurmont brzmi Camp David. Na całym świecie nie istnieje bezpieczniejsze miejsce niż ta za-drzewiona działka w górach stanu Maryland. Postanowiła, że natychmiast polecą do Andrews, a stamtąd helikop-terami piechoty morskiej do obozu. Jeśli spędzą tam całą noc i dzień, będzie mogła odpocząć przez pełną dobę.

* * *

Lecz późnym niedzielnym rankiem steward z marynarki znalazł ją, gdy jadła śniadanie w mesie, i podłączył do gniazdka obok krzesła telefon. W Camp David nikt nie używa telefonów bezprzewodowych ani komórek; zbyt łatwo je podsłuchać.

- Rozmowa przekierowana z pani głównego biura -
oznajmił.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem ode-
zwał się głos.

- Powinniśmy się spotkać - oznajmił Reacher.

- Czemu?

- Nie mogę powiedzieć przez telefon.

- Gdzie się podziewałeś?

- Tu i tam.

- Gdzie jesteś teraz?

- W pokoju w hotelu, w którym odbyło się czwartkowe
przyjęcie.

- Masz dla mnie coś pilnego?

- Wnioski.

- Już? Minęło zaledwie pięć dni, mówiłeś o dziesięciu.

- Pięć wystarczyło.

Froelich osłoniła słuchawkę dłonią.

- Jakie są wnioski?

Odkryła, że wstrzymuje oddech.

- To niemożliwe - oznajmił Reacher.
 - Wypuściła powietrze z płuc i uśmiechnęła się.
 - Mówiłam.
 - Nie, twoje zadanie jest niemożliwe do wykonania.
- Musimy porozmawiać, pilnie. Przyjeżdżaj tu natychmiast.

3

Przez całą drogę do Waszyngtonu siedząca za kierownicą suburbańska Froelich zastanawiała się gorączkowo. Jeśli wieści okażą się naprawdę złe, kiedy ma włączyć w to Stuyvesanta? Teraz, później? W końcu zatrzymała się w Dupont Circle, zadzwoniła do niego do domu i zadała mu wprost to pytanie.

- Włączę się, kiedy będę musiał - oznajmił. - Kogo wykorzystasz?

- Brata Joego Reachera.

- Naszego Joego Reachera? Nie wiedziałem, że miał brata.

- Ale miał.

- Jaki on jest?

- Bardzo podobny do Joego. Może nieco surowszy.

- Młodszy czy starszy?

- Jedno i drugie - odparła Froelich. - Zaczynał jako młodszy, teraz jest starszy.

Stuyvesant milczał przez chwilę.

- Jest równie mądry jak Joe? - spytał w końcu.

- Jeszcze nie wiem - rzekła.

Ponowne milczenie.

- Zadzwoni więc, kiedy będziesz musiała. Ale raczej wcześniej niż później, dobrze? I nie mów nikomu innemu.

Froelich skończyła rozmowę i z powrotem włączyła się do niedzielnej jazdy. Pokonawszy ostatni kilometr, zaparkowała przed hotelem. W recepcji już jej oczekiwano i

posłano wprost do pokoju 1201 na dwunastym piętrze. Przeszła przez drzwi zaraz za kelnerem niosącym tacę z dzbankiem kawy i dwiema odwróconymi filiżankami na spodeczkach. Żadnego mleka, cukru, łyżeczek. Jedyne samotna różowa róża w wąskim porcelanowym wazonie. Pokój był wyposażony standardowo. Dwa podwójne łóżka, zasłony w kwiatki, nieciekawe litografie na ścianach, stół, dwa krzesła, biurko ze skomplikowanym telefonem, komoda z telewizorem, drzwi łączące z sąsiednim pomieszczeniem. Reacher siedział na bliższym łóżku. Miał na sobie czarną nylonową kurtkę, czarne dżinsy i czarne buty. W jego uchu tkwiła słuchawka, na kołnierzu kurtki całkiem niezła podróbka odznaki Secret Service. Był gładko ogolony, włosy miał krótko przystrzyżone i starannie uczesane.

- Co dla mnie masz? - spytała.

- Później - rzekł.

Kelner postawił tacę na stole i dyskretnie wycofał się z pokoju. Froelich patrzyła, jak drzwi się za nim zatraskują, po czym z powrotem odwróciła się do Reachera. Przez sekundę milczała.

- Wyglądasz zupełnie jak jeden z naszych - zauważyła.

- Jesteś mi winna mnóstwo forsy.

- Dwadzieścia tysięcy? Uśmiechnął się.

- Prawie tyle. Zawiadomili cię?

Przytaknęła.

- Ale czemu czek na okaziciela? To mnie zaskoczyło.

- Wkrótce zrozumiesz.

Wstał i podszedł do stołu. Odwrócił filiżanki, podniósł dzbanek i nalał kawy.

- Świetnie wyliczyłeś czas.

Uśmiechnął się ponownie.

- Wiedziałem, gdzie jesteś, wiedziałem, że wrócisz samochodem. Jest niedziela, zero ruchu, łatwo to obliczyć.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Że jesteś dobra - oznajmił. - Jesteś naprawdę bardzo dobra. Nie sądzę, by ktokolwiek poradził sobie lepiej od ciebie.

Umilkła.

- Ale?

- Ale nie jesteś dość dobra. Musisz pogodzić się z tym, że ktokolwiek tam jest, może się do niego dostać i załatwić sprawę.

- Nie mówiłam, że jest ktoś taki.

Reacher nie odpowiedział.

- Po prostu przekaz mi informacje, Reacher.

- Trzy i pół - rzekł.

- Trzy i pół czego? Z dziesięciu?

- Nie. Armstrong nie żyje. Zginął trzy i pół raza.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Już?

- Według moich wyliczeń.

- Co to znaczy pół?

- Trzy pewne próby, jedna możliwa.

Froelich zastygła w pół drogi do stołu. Przez moment stała oszołomiona.

- W ciągu pięciu dni? - spytała z niedowierzaniem. - Jak? Czego nie zrobiliśmy?

- Napij się kawy - poradził.

Niczym automat podeszła do stołu. Reacher wręczył jej filiżankę. Wzięła ją i cofnęła się na łóżko. Porcelana zadrzęła jej w dłoni.

- Istnieją dwa podstawowe podejścia do sprawy - zaczął Reacher. - Tak jak w kinie. John Malkovich albo Edward Fox. Widziałaś te filmy?

Przytaknęła tępo.

- Mamy człowieka, który je monitoruje, w Biurze Badawczym. Analizuje wszystkie filmy o zamachach. John Malkovich wystąpił w Na linii ognia z Clintem Eastwoodem.

- I Rene Russo - uzupełnił Reacher. - Była całkiem

niezła.

- Edward Fox nakręcił Dzień Szakala, dawno temu.

Reacher przytaknął.

- John Malkovich chciał zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych. Edward Fox prezydenta Francji. Dwóch fachowych zabójców działających solo. Istniała jednak podstawowa różnica. Malkovich wiedział od początku, że nie przeżyje zamachu. Wiedział, że zginie w sekundę po prezydencie. Natomiast Edward Fox zamierzał ująć z życiem.

- Ale nie uszedł.

- To był film, Froelich. Musiał się tak skończyć. W istocie mógłby z łatwością uciec.

- I co?

- Mamy zatem do rozważenia dwie strategie. Misja samobójcza z bliska albo czysta robota na odległość.

- Wiemy o tym wszystkim. Mówiłam ci już, mamy człowieka, który nad tym pracuje. Dysponujemy transkryptami, analizami, zapiskami, omówieniami. Czasem rozmawiamy ze scenarzystami, jeśli wymyślą coś nowego. Chcemy wiedzieć, skąd czerpią pomysły.

- Nauczyliście się czegoś?

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk kawy. Dostrzegł, że wysiła pamięć, zupełnie jakby przechowywała wszystkie transkrypty, notatki i zapiski gdzieś w zakamarkach głowy.

- Dzień Szakala zrobił na nas wrażenie - zaczęła. - Edward Fox grał zawodowego strzelca, dysponującego karabinem zbudowanym tak, by można go było ukryć w kuli kalekiego kombatanta. Dzięki temu przebraniu dostał się do pobliskiego budynku kilka godzin przed wystąpieniem publicznym prezydenta. Planował strzał z daleka w głowę, z wysokiego okna. Używał tłumika, by móc uciec. Teoretycznie to mogłoby się udać. Lecz wszystko działa się bardzo dawno temu. Jeszcze przed moim urodzeniem, gdzieś

na początku lat sześćdziesiątych. Generał De Gaulle po kryzysie algierskim, prawda? Obecnie narzucamy znacznie szersze kordony bezpieczeństwa. Przypuszczam, że przyczynił się do tego właśnie ten film. Oraz oczywiście nasze własne problemy na początku lat sześćdziesiątych.

- A Na linii ognia! - spytał Reacher.

- John Malkovich grał renegata z CIA. W piwnicy wyprodukował plastikowy pistolet, by móc przedostać się przez wykrywacze metalu. Następnie podstępem dostał się na wiec polityczny, zamierzając zastrzelić prezydenta z bardzo bliska. Oczywiście, jak sam mówiłeś, natychmiast potem byśmy go zastrzelili.

- Ale stary Clint skoczył i sam dostał kulkę - dodał Reacher. - Uważam, że to całkiem niezły film.

- My uważamy, że jest kompletnie nieprawdopodobny - odparła Froelich. - Dwa podstawowe błędy w założeniu. Po pierwsze pomyśl, że hobbysta mógłby skonstruować działający pistolet, jest absurdalny. Cały czas to sprawdzamy. Jego pistolet eksplodowałby, oderwał mu rękę w przegubie. Pocisk po prostu wypadłby na ziemię. A po drugie, bohater filmu wydał w sumie sto tysięcy dolarów. Mnóstwo podróży, fałszywe biura do odbioru poczty oraz dotacja dla partii, pięćdziesiąt tysięcy, żeby mógł dostać się na spotkanie. Według naszej oceny człowiek z takimi zaburzeniami psychicznymi nie dysponowałby dużymi pieniędzmi. Skreśliliśmy ten scenariusz.

- To był tylko film - przypomniał Reacher. - Ale stanowił niezłą ilustrację.

- Czego?

- Pomyślu dostania się na spotkanie i zaatakowania celu z bardzo bliska. W odróżnieniu od wcześniejszej idei bezpiecznego zamachu z daleka.

Froelich zawahała się, następnie uśmiechnęła z rosnącą ulgą, jakby wielkie niebezpieczeństwo zaczęło się oddalać.

- Czy to wszystko, czym dysponujesz? - spytała. - Po-

mysły? A już się martwiłam.

- Na przykład tutejsze spotkanie w czwartkowy wieczór - ciągnął Reacher. - Tysiąc gości, czas i miejsce podane z wyprzedzeniem. Więcej, reklamowane.

- Znalazłeś stronę w Sieci?

Reacher przytaknął.

- Bardzo mi się przydała. Mnóstwo informacji.

- Wszystkie kontrolujemy.

- Dowiedziałem się z niej jednak, gdzie będzie Armstrong, kiedy i w jakim otoczeniu. Na przykład tutaj w czwartkowy wieczór, wśród tysiąca gości.

- I co z nimi?

- Jednym z nich była ciemnowłosa kobieta. Chwyliła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

Froelich spojrzała na niego zaskoczona.

- Byłeś tam? Pokręcił głową.

- Nie, ale słyszałem o tym.

- Skąd?

Puścił pytanie mimo uszu.

- Widziałaś to?

- Tylko na wideo - rzekła. - Po fakcie.

- Ta kobieta mogła zabić Armstronga. To była pierwsza sposobność. Do tego momentu radziłaś sobie świetnie. Podczas spotkania rządowego na Kapitolu spisałaś się na piątkę.

Froelich uśmiechnęła się ponownie, z lekkim lekceważeniem.

- Mogła? Marnujesz mój czas, Reacher. Chciałam czegoś lepszego, niż mogła. Wszystko może się zdarzyć. W budynku może uderzyć piorun czy nawet meteoryt. Wszechświat może przestać się rozszerzać, a czas zawrócić bieg. Ta kobieta była zaproszonym gościem, partyjnym darczyńcą. Przeszła przez dwa wykrywacze metalu. Sprawdzono ją w drzwiach.

- Jak Johna Malkovicha.

- Już to przerabialiśmy.
- Przypuśćmy, że to specjalistka od walki wręcz. Może szkolona w wojsku do zadań specjalnych. Mogła skrócić kark Armstrongowi równie łatwo, jak ty łamiesz ołówek.
- Przypuśćmy, przypuśćmy.
- Przypuśćmy, że była uzbrojona.
- Nie była. Przeszła przez dwa wykrywacze metalu.
Reacher sięgnął do kieszeni i wyciągnął wąski, brązowy przedmiot.

- Widziałas kiedyś coś takiego? - spytał.

Wyglądało to jak nóż kieszonkowy, długi na 7,5 centymetra, z zakrzywioną rękojeścią. Reacher nacisnął przycisk i wyskoczyło z niej brązowe, nakrapiane ostrze.

- Jest zrobiony z materiału ceramicznego - wyjaśnił. - Podobnego do glazury łazienkowej. Twardością przewyższa go tylko diament. Z pewnością jest twardszy niż stal i ostrzejszy niż stal. I nie uruchamia wykrywaczy metalu. Ta kobieta mogła mieć przy sobie coś podobnego. Mogła rozpruć nim Armstronga od pępka po szyję albo poderżnąć mu gardło, albo może wbić mu nóż w oko.

Podał jej broń, Froelich obejrzała ją uważnie.

- Produkuje je firma Boker - dodał Reacher. - W Solingen w Niemczech. Są drogie, ale nietrudno je dostać.

Froelich wzruszyła ramionami.

- No dobra. Kupiłeś nóż. To niczego nie dowodzi.

- Ten nóż był w sali balowej w czwartkowy wieczór. Tkwił w lewej dłoni kobiety, w jej kieszeni, z otwartym ostrzem. Przez cały czas, gdy ścisnęła rękę Armstronga i przyciągała go do siebie. Od jego brzucha dzieliło ją pięć centymetrów.

Froelich zamarła.

- Mówisz poważnie? Kim była?

- Zwolenniczką partii. Elizabeth Wright z Elizabeth w stanie New Jersey. Taki zbieg okoliczności. Przekazała na rzecz kampanii cztery tysiące dolarów, po tysiąc w imieniu

swoim, męża i dwójki dzieci. Przez miesiąc wkładała listy do kopert, umieszciała znak na podwórku, w dzień wyborów obsługiwała telefon.

- Czemu zatem miałyby mieć przy sobie nóż?

- Tak naprawdę nie miała.

Reacher wstał i podszedł do łączących pokoje drzwi. Otworzył swoje i zapukał głośno w drugie skrzydło.

- No dobra, Neagley! - zawołał.

Drzwi się otworzyły, do środka weszła kobieta. Przed czterdziestką, średni wzrost, szczupła. Ubrana w niebieskie dzinsy i miękką, szarą bluzę. Miała ciemne włosy, ciemne oczy, czarujący uśmiech. Jej sposób poruszania i ścięgnięta przegubów świadczyły o tym, że spędza dużo czasu na siłowni.

- To ciebie widziałam na taśmie - rzuciła Froelich.

Reacher się uśmiechnął.

- Frances Neagley, poznaj M.E. Froelich. M.E. Froelich, poznaj Frances Neagley.

- Emmy? - spytała Frances Neagley. - Jak nagrody telewizyjne?

- Inicjały - wyjaśnił Reacher. Froelich patrzyła na niego oszołomiona.

- Kim ona jest?

- Najlepszym zawodowym sierżantem, z jakim zdarzyło mi się pracować. Znakomitym fachowcem we wszelkich możliwych formach walki z bliska. Sam się jej boję. Zwolniono ją w tym samym czasie co mnie. Pracuje jako konsultantka w firmie ochroniarskiej w Chicago.

- Chicago - powtórzyła Froelich. - Dlatego kazałeś tam wysłać czek.

Reacher przytaknął.

- To ona wszystko opłaciła, bo ja nie mam karty kredytowej ani książeczki czekowej. Zresztą pewnie już wiesz.

- Co zatem stało się z Elizabeth Wright z New Jersey?

- Kupiłem ten strój - powiedział Reacher. - Czy raczej wy mi go kupiliście. I buty, okulary przeciwsłoneczne. Moją własną wersję munduru Secret Service. Poszedłem do fryzjera, goliłem się co dzień, chciałem wyglądać wiarygodnie.

Potem zacząłem szukać samotnej kobiety z New Jersey. Wyszedłem w czwartek na kilka lotów z Newark. Obserwowałem tłum. W końcu zagadnąłem panią Wright. Poinformowałem ją, że jestem agentem tajnych służb, że mamy kłopoty z ochroną i że musi iść ze mną.

- Skąd wiedziałeś, że wybiera się na przyjęcie?

- Nie wiedziałem. Sprawdziałem wszystkie kobiety wychodzące z bagażem. I starałem się ocenić, jak wyglądają i co mają ze sobą. Nie było to łatwe. Elizabeth Wright zagadnąłem jako szóstą.

- I uwierzyła ci?

- Miałem imponujące dokumenty. Za dwa dolce kupiłem słuchawkę radiową w Radio Shack. Do tego przewód, znikający gdzieś na karku. Wynająłem samochód, czarny lincoln town car. Wierz mi, wyglądałem jak trzeba. Ona mi uwierzyła, była bardzo podekscytowana. Przywiozłem ją do tego pokoju i pilnowałem cały wieczór. Tymczasem Neagley zajęła jej miejsce. Cały czas słuchałem przez słuchawkę i gadałem do zegarka.

Froelich przeniosła wzrok na Neagley.

- Nie bez powodu potrzebowaliśmy kogoś z New Jersey - powiedziała ciemnowłosa sierżant. - Ich prawa jazdy najłatwiej jest podrobić, wiedziałeś o tym? Miałam ze sobą laptop i kolorową drukarkę. Wcześniej zrobiłam Reacherowi legitymację Secret Service. Nie mam pojęcia, czy przypomina te prawdziwe, ale wyglądała świetnie. Zrobiłam prawo jazdy z Jersey z moim zdjęciem, stosownym nazwiskiem i adresem, wydrukowałam je, zafoliowałam w maszynie, którą kupiliśmy w Staples za sześćdziesiąt dolarów, przytarłam krawędzie papierem ściernym, trochę po gięłam i wsadziłam do torebki. Potem wystroiłam się, za-

brałam ze sobą zaproszenie pani Wright i zeszłam na dół.

Do sali balowej dostałam się bez problemów, z nożem w kieszeni.

- I?

- Trochę się pokręciłam. Potem dorwałam waszego faceta i przytrzymałam go chwilę.

Froelich spojrzała wprost na nią.

- Jak byś to zrobiła?

- Trzymałam go za prawą rękę, przyciągnęłam bliżej, odwrócił się lekko. Miałam wolną drogę aż do jego szyi. Siedmiocentymetrowe ostrze. Przecięłam tętnicę szyjną, potem trochę poszarpała. W ciągu niecałej pół minuty wykrwawiłby się na śmierć. Wystarczył jeden ruch ręki. Twoi ludzie byli w odległości trzech metrów. Oczywiście po wszystkich by mnie dorwali, ale nie zdołaliby mnie powstrzymać.

Froelich pobladła śmiertelnie. Neagley odwróciła wzrok.

- Bez noża byłoby trudniej - dodała. - Ale to możliwe. Skręcenie mu karku sprawiłoby pewien kłopot, bo ma trochę mięśni. Musiałabym błyskawicznie się przesunąć, żeby go ruszyć. Gdyby twoi ludzie okazali się dostatecznie szybcy, powstrzymaliby mnie na czas. Przypuszczam zatem, że wybrałabym uderzenie w krtań, dość mocne, by ją zmiażdżyć. Cios lewym łokciem w zupełności by wystarczył. Zapewne zginęłabym jeszcze przed nim, ale udusiłby się tuż po mnie. Chyba że macie pod ręką ludzi, którzy w ciągu niecałej minuty mogliby przeprowadzić tracheotomię na podłodze sali balowej. A bardzo w to wątpię.

- Nie - przyznała Froelich. - Nie mamy. - Znow umilkła.

- Przykro mi, że zepsułam ci dzień - powiedziała Neagley. - Ale hej, chciałaś przecież wiedzieć, prawda? Nie ma sensu przeprowadzać audytu i nie ujawniać wyników.

Froelich przytaknęła.

- Co mu szepnęłaś?

- Powiedziałam: „Przyszłam z nożem, tak dla zabawy”. Ale bardzo cicho. Gdyby ktokolwiek się czepiał, wyjaśniłabym, że mówiłam: „Może się spotkamy?” Jakbym na niego leciała. Podejrzewam, że od czasu do czasu to się zdarza.

Froelich ponownie przytaknęła.

- Owszem, od czasu do czasu. Co jeszcze?

- W swoim domu jest bezpieczny - oznajmiła Neagley.

- Sprawdziliście?

- Co dzień - rzekł Reacher. - Byliśmy na miejscu w Georgetown od wtorkowego wieczoru.

- Nie widziałam was.

- Taki był plan.

- Skąd wiedzieliście, gdzie mieszka?

- Jechaliśmy za limuzynami.

Froelich milczała

- Niezłe limuzyny - dodał Reacher. - Zgrabna taktyka.

- Najlepszy był piątkowy rano - dodała Neagley.

- Ale reszta piątku poszła znacznie gorzej - uzupełnił Reacher. - Brak koordynacji spowodował poważny błąd komunikacyjny.

- Gdzie?

- Twoi ludzie z Waszyngtonu sfilmowali salę balową. Najwyraźniej jednak ludzie z Nowego Jorku nie widzieli tych taśm, bo Neagley była nie tylko kobietą z czwartku, ubraną w wieczorową suknię, ale też jednym z fotografów przed budynkiem giełdy.

- Pewna gazeta z Dakoty Północnej ma swoją stronę w Sieci - wyjaśniła Neagley. - Tak jak inne, z grafiką przedstawiającą nagłówek. Ściągnęłam ją, zmodyfikowałam i przerobiłam na legitymację prasową. Zafoliowałam, zabezpieczyłam otwory i powiesiłam na szyi na metalowej lince. Pogrzebałam w antykwariatach na Manhattanie, szukając zniszczonego sprzętu fotograficznego. Cały czas trzymałam przed sobą aparat, żeby Armstrong mnie nie poznał.

- Powinniście stworzyć zamkniętą listę - oznajmił Reacher. - Jakoś to kontrolować.

- Nie możemy - mruknęła Froelich. - Gwarancje konstytucyjne. Pierwsza poprawka daje dziennikarzom pełny dostęp do polityków, gdy tylko zechcą. Ale wszystkich przeszukaliśmy.

- Nie miałam przy sobie broni - wyjaśniła Neagley. - Po prostu dla zabawy przeszłam przez ochronę. Ale mogłam mieć broń, wierz mi. Przy takiej rewizji mogłabym wnieść do środka bazookę.

Reacher wstał, podszedł do komody, wyciągnął jedną z szuflad i wyjął z niej plik zdjęć. Były to zwykłe odbitki 15 na 10 centymetrów. Uniósł pierwszą z nich. Ujęcie od dołu przedstawiające Armstronga stojącego przed budynkiem giełdy. Nad jego głową niczym aureola unosił się fronton z charakterystycznym napisem.

- Zrobiła je Neagley - rzekł. - Całkiem niezłe zdjęcie. Może powinniśmy sprzedać je jakiejś gazecie, odzyskać trochę kosztów.

Wrócił na łóżko, usiadł i podał zdjęcie Froelich, która wzięła je i zapatrzyła się w nie bez słowa.

- Chodzi o to, że byłam metr od niego - podjęła Neagley. - Gdybym chciała, mogłabym go załatwić. Znów jak John Malkovich, ale co tam.

Froelich przytaknęła tępo.

Reacher wręczył jej kolejną odbitkę, niczym kat. Ziar-niste zdjęcie z teleobiektywu, wyraźnie zrobione z daleka i z góry, znad poziomu ulicy. Pokazywało Armstronga stojącego przed giełdą, małą postać pośrodku klatki. Wokół jego głowy flamastrem wymalowano tarczę strzelniczą.

- To jest ta połówka - wyjaśnił. - Siedziałem na sześćdziesiątym piętrze budynku biurowego trzysta metrów dalej. Wewnątrz kordonu policyjnego, ale wyżej niż sprawdzali.

- Z karabinem?

Pokręcił głową.

- Z kawałkiem drewna tej samej wielkości i kształtu co karabin. I oczywiście drugim aparatem fotograficznym. Oraz teleobiektywem. Ale zagrałem jak trzeba. Chciałem sprawdzić, czy to możliwe. Uznałem, że ludziom nie spodoba się opakowanie w kształcie karabinu, toteż skombinowałem duże pudło po monitorze komputerowym, wsadziłem do środka mój kij po przekątnej, a potem wwiozłem

go do windy na wózku, udając, że jest bardzo ciężki. Widziałem kilku gliniarzy. Miałem na sobie ten sam strój bez fałszywej odznaki i słuchawki. Pewnie wzięli mnie za dostawcę czy kogoś w tym stylu. W piątek po zamknięciu giełdy w dzielnicy robi się bardzo spokojnie. Znalazłem okno w pustej sali konferencyjnej. Nie otwierało się, mu siałbym wyciąć kawałek szyby. Ale mogłem strzelić, tak jak strzeliłem zdjęcie. Gdybym był Edwardem Foxem, mogłoby mi się udać.

Froelich przytaknęła niechętnie.

- Czemu tylko pół? - spytała. - Wygląda na to, że miałeś go na widelcu.

- Nie na Manhattanie - odparł Reacher. - Byłem trzysta metrów od niego, dwieście metrów nad nim. To oznacza strzał z odległości trzystu sześćdziesięciu metrów.

W normalnych warunkach żaden problem. Ale prądy powietrzne wokół wieżowców sprawiają, że strzał zamienia się w loterię. Nie da się zagwarantować trafienia. To dla ciebie dobre wieści. Żaden zawodowy snajper nie spróbuje strzelać z daleka na Manhattanie. Tylko idiota, a idiota z pewnością spudłuje.

Froelich ponownie przytaknęła, z lekką ulgą.

- Dobra - mruknęła.

Czyli nie obawia się idioty, pomyślał Reacher. To musi być zawodowiec.

- A zatem - rzekł - jeśli chcesz, możesz zmniejszyć wynik do trzech, i zapomnieć o połówce. Nowym Jorkiem w ogóle się nie przejmuj. Wszystko było niepewne.

- Ale Bismarck było pewne - wtrąciła Neagley. - Do-tarliśmy tam około północy, zwykłym lotem pasażerskim przez Chicago.

- Gdy dzwoniłem w sprawie muzyków, byłem półtora kilometra od ciebie - wyjaśnił Reacher.

Wręczył jej następne dwa zdjęcia.

- Film na podczerwień - dodał. - W ciemności.

Pierwsza fotografia pokazywała tył domu rodzinnego Armstrongów. Zdjęcia były bezbarwne i zniekształcone, zrobione w podczerwieni. Ale z bliska. Wyraźnie widać było każdy szczegół, drzwi, okna. Froelich dostrzegła na-wet jednego z agentów, stojących na podwórku.

- Gdzie byliście? - spytała.

- Na sąsiedniej posesji - wyjaśnił Reacher. - Jakies dwadzieścia metrów dalej. Prosty nocny manewr, infil-tracja w ciemności. Standardowa technika piechoty, cicha, dyskretna. Parę psów zaszczekało, ale przedostaliśmy się bez problemów. Żołnierze w samochodach niczego nie zauważyli.

Neagley wskazała palcem drugie zdjęcie. Ukazywało front domu. Te same kolory, te same szczegóły, ta sama odległość.

- Ja byłem po drugiej stronie ulicy z przodu - dodała. - Za czymś garażem.

Reacher pochylił się na łóżku.

- Plan zakładałby użycie dwóch M-16 z granatnikami oraz innych karabinków szturmowych. Może nawet kara-binów maszynowych M-60 na trójnogach. Mielibyśmy dość czasu, by je przygotować. Z M-16 wstrzelilibyśmy do bu-dynku granaty z fosforem. Jednocześnie z przodu i z tyłu, na parter. Armstrong albo spłonąłby w łóżku, albo też za-strzelilibyśmy go, gdyby wybiegł drzwiami bądź wysko-

czył przez okno. Zaczęlibyśmy koło czwartej rano. Pełny szok, całkowite zaskoczenie, olbrzymie zamieszanie. W zamęcie z łatwością wyeliminowalibyśmy twoich agentów. Moglibyśmy zamienić cały dom w kupę drewna. Zapewne też wydestalibyśmy się bez problemów. A potem mielibyśmy na głowie jedynie standardowe poszukiwania, na prowincji. Nie najlepiej, ale przy odrobinie szczęścia najpewniej by nam się udało. Znów Edward Fox.

Odpowiedziała mu cisza.

- Nie wierzę - rzekła w końcu Froelich. Cały czas wpatrywała się w zdjęcie. - To nie może być piątkowa noc, tylko jakaś inna. Tak naprawdę wcale was tam nie było.

Reacher nie odpowiedział.

- Byliście? - dodała cicho.

- Zobacz tutaj.

Podał jej kolejne zdjęcie, zrobione teleobiektywem. Ukazywało ją samą, siedzącą w oknie mieszkania nad garażem, patrzącą w ciemność, z komórką przy uchu. Jej sylwetka była serią plam, czerwonych, pomarańczowych, różowych, lecz bez wątpienia była to ona. Niemal na wyciągnięcie ręki.

- Dzwoniłam do New Jersey - niemal szeptała. - Twoi przyjaciele muzycy wyjechali bez żadnych problemów.

- Świetnie - mruknął Reacher. - Dzięki, że to załatwiłaś.

Froelich wpatrywała się w trzy zrobione w podczerwieni zdjęcia. Oglądała je kolejno, milczała.

- A zatem sala balowa i dom to pewniaki - podjął Reacher.

- Dwa do zera dla drani. Ale najlepszy był ostatni dzień. Wczoraj. Wiec pod kościołem.

Podał jej ostatnie zdjęcie. Zwykle, zrobione w dzień z wysoka, ukazywało Armstronga w grubym płaszczu, marszerującego przez trawnik. Ukośne, złociste promienie słońca sprawiały, że rzucał długi cień. Otaczała go luźna grupa ludzi, wyraźnie jednak było widać jego głowę, wokół której wyrysowano kolejną tarczę.

- Siedziałem na wieży kościelnej - oznajmił Reacher.
- Kościół został zamknięty.
- O ósmej rano. Byłem tam od piątej.
- Przeszukano go.
- Siedziałem na dzwonnicy, na szczycie drewnianej drabiny, za kłapą. Drabinę obsypałem pieprzem. Wasze psy straciły zainteresowanie i zostały na dole.
- To byli miejscowi ludzie. Partacze. Zastanawiałam się, czy nie odwołać tej imprezy.
- Powinnaś była.
- Potem chciałam poprosić, by włożył kamizelkę.
- Nic by to nie dało, celowałbym w głowę. Był piękny dzień, Froelich. Czyste niebo, słońce, ani śladu wiatru, chłodne gęste powietrze. Idealne. I niecałe sto metrów odległości. Mogłem go trafić prosto między oczy.

Umilkła.

- John Malkovich czy Edward Fox? - spytała.
- Załatwiłbym Armstronga, a potem tak wielu ludzi, ilu bym zdołał. Trzy, cztery sekundy. Głównie gliniarzy, ale także kobiety i dzieci. Celowałbym tak, by ranić, nie zabić. Najpewniej w brzuch, to najskuteczniejsze. Ludzie rzucający się na ziemi, krwawiący... Gwarantowana ogólna panika. To dość, by uciec. W ciągu dziesięciu sekund wypadłbym z kościoła i zniknął w najbliższej uliczce. Neagley czekała w samochodzie. Włączyłaby silnik, gdy tylko usłyszałaby strzały. Zatem prawdopodobnie byłbym Edwardem Foxem.

Froelich wstała, podeszła do okna, położyła dłonie na parapecie, spoglądając w przestrzeń.

- To katastrofa - oznajmiła.

Reacher nie odpowiedział.

- Chyba nie przewidywałam aż takiej determinacji - dodała. - Nie wiedziałam, że może dojść do regularnej wojny partyzanckiej.

Reacher wzruszył ramionami.

- Zamachowcy nie muszą być łagodnymi istotkami, a to

oni ustanawiają tu reguły gry.

Froelich przytaknęła.

- Nie wiedziałam też, że będziesz miał pomoc, zwłaszcza pomoc kobiety.

- W pewnym sensie cię ostrzegłem. Mówiłem, że nie mógłbym działać, gdybyś się mnie spodziewała. Nie możesz oczekiwać, że zamachowcy zgłoszą się wcześniej i przedstawią ci swoje plany.

- Wiem - rzekła. - Po prostu wyobrażałam sobie samotnego człowieka.

- To zawsze będzie zespół - powiedział Reacher. - Samotnicy nie istnieją.

W szybie odbił się ironiczny uśmiezek Froelich.

- Zatem nie wierzysz raportowi Warrena?

Pokręcił głową.

- I ty też nie - dodał. - Żaden zawodowiec w to nie uwierzy.

- Dziś nie czuję się jak zawodowiec.

Neagley wstała, podeszła do okna i przysiadła na parapecie obok Froelich, zwrócona plecami do szyby.

- Ważny jest kontekst - rzekła. - To o nim musisz pamiętać. Nie jest wcale tak źle. Reacher i ja służyliśmy w wydziale spraw karnych armii Stanów Zjednoczonych. Byliśmy wysoce kwalifikowanymi specjalistami, wyszkolonymi w najróżniejszych dziedzinach. Przede wszystkim uczono nas myśleć, podejmować inicjatywę. I oczywiście działać bez litości oraz zachowywać pewność siebie. Musieliśmy być twardsi niż ludzie, za których odpowiadaliśmy, a niektórzy z nich byli naprawdę twardsi. Toteż jesteśmy raczej nietypowi. W całym kraju nie znajdziesz więcej niż dziesięć tysięcy osób wyszkolonych podobnie jak my.

- Dziesięć tysięcy to mnóstwo - zauważyła Froelich.

- Spośród dwustu osiemdziesięciu jeden milionów? A ilu z nich jest akurat w odpowiednim wieku, ma czas i motyw? Z punktu widzenia statystyki to pomijamy mar-

gines. Nie przejmuj się więc, bo to i tak niewykonalne zadanie. Musisz pozwalać mu się odsłaniać, bo to polityk, cały czas musi być widoczny. Nam nawet by się nie śniło pozwolić komukolwiek na rzeczy, które robi Armstrong. Nigdy, przenigdy. Byłoby to kompletnie niedopuszczalne.

Froelich odwróciła się, powiodła wzrokiem po pokoju. Raz jeszcze przełknęła ślinę i skinęła lekko głową.

- Dzięki - powiedziała. - Za to, że próbowałaś mnie pocieszyć. Ale teraz muszę trochę pomyśleć.

- Kordony - wtrącił Reacher. - Powinny mieć szerokość trzech czwartych kilometra. Nie dopuszczaj do niego ludzi i niech cały czas towarzyszy mu co najmniej czterech agentów, dosłownie w zasięgu ręki. Tyle przynajmniej możesz zrobić.

Froelich pokręciła głową.

- Nie mogę - rzekła. - Uznano by to za nierozsądne, a nawet niedemokratyczne. Przez najbliższe trzy lata czekają go setki podobnych tygodni. Po trzech latach sytuacja jeszcze się pogorszy, bo ostatni rok kadencji to rok wyborów. Obaj będą próbowali wygrać, toteż będziemy musieli rozluźnić kontrolę. A za jakieś siedem lat Armstrong zacznie ubiegać się o własną nominację. Widzieliście kiedyś, jak to robią? Spotkania z tłumami, wszędzie, w całym kraju, począwszy od New Hampshire. Nieformalne wiece w miasteczkach, imprezy charytatywne, absolutny koszmar.

W pokoju zapadła cisza. Neagley zsunęła się z parapetu i przeszła na drugą stronę do komody. Wyjęła z szuflady, z której pochodziły zdjęcia, dwie cienkie teczki. Uniosła pierwszą.

- Raport pisemny - oznajmiła. - Najważniejsze spostrzeżenia i zalecenia z punktu widzenia zawodowców.

- W porządku - mruknęła Froelich.

Neagley podniosła drugą teczkę.

- I nasze wydatki - dodała. - Na wszystko mamy

rachunki, kwity i tak dalej. Wystawcie czek na nazwisko Reachera, to jego pieniądze.

- W porządku - powtórzyła Froelich. Wzięła teczki i przycisnęła je do piersi, niczym talizman.

- No i jeszcze Elizabeth Wright z New Jersey - wtrącił Reacher. - Nie zapomnij też o niej. Musicie się nią zająć. Powiedziałem, że w ramach rekompensaty za stracone spotkanie prawdopodobnie zaprosicie ją na bal inauguracyjny.

- W porządku - oznajmiła Froelich po raz trzeci. - Jasne, bal... Nieważne. Pomówię z kimś o tym.

Przez chwilę stała bez ruchu.

- To katastrofa - powtórzyła.

- To niewykonalne zadanie - przypomniał Reacher. - Nie zdręczaj się.

Skinęła głową.

- Joe mówił mi to samo. Mówił, że zważywszy na okoliczności, powinniśmy uważać dziewięćdziesięciopięć-procentowe powodzenie za swój sukces.

- Dziewięćdziesięcioczworoprocentowe - poprawił Reacher. - Odkąd przejęliście zadania ochrony, straciliście jednego prezydenta z osiemnastu. Sześć procent niepowodzenia, nie tak źle.

- Dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć - rzekła Froelich. - Nieważne. Wygląda na to, że miał rację.

- Z tego, co pamiętam, często mu się to zdarzało.

- Ale nigdy nie straciliśmy wiceprezydenta - dodała. - Jak dotąd.

Wsunęła teczki pod pachę, ułożyła zdjęcia na komodzie i przesunęła tak, że utworzyły równiutki stosik. Wówczas podniosła je i wsunęła do torebki. Powiodła wzrokiem kolejno po czterech ścianach, jakby uczyła się na pamięć każdego szczegółu. Widać było, że jest lekko rozkojarzona. Ponownie pozdrowiła skinieniem głowy pustą przestrzeń i skierowała się do drzwi.

- Muszę iść - powiedziała.

Wyszła z pokoju, drzwi zamknęły się za nią z młaśnięciem. Przez chwilę w pokoju było cicho, potem Neagley wstała. Chwyciła mankiety bluzy i wyciągnęła ręce wysoko w górę. Odchyliła głowę do tyłu i ziewnęła. Jej włosy spłynęły na ramiona. Rąbek koszuli uniósł się i Reacher ujrzał twarde mięśnie nad paskiem dżinsów. Brzuch miała karbowany niczym skorupa żółwia.

- Wciąż świetnie wyglądasz - zauważył.

- Ty też. Do twarzy ci w czarnym.

- Zupełnie jakbym był w mundurze - mruknął. - Ostatnio miałem na sobie mundur pięć lat temu.

Neagley skończyła się przeciągać, przyglądała włosy i poprawiła koszulę.

- Skończyliśmy już? - spytała.

- Zmęczona?

- Wykończona. Harowaliśmy jak woły, żeby zrujnować biedaczce dzień.

- Co o niej myślisz?

- Spodobała mi się. I, jak jej mówiłam, uważam, że ma beznadziejną pracę. W sumie jest całkiem niezła. Wątpię, by ktokolwiek mógł spisać się lepiej. Ona sama też to chyba wie, ale się zadrecza. Boli ją świadomość, że musi się zadowolić dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami zamiast stu.

- Zgadzam się.

- Co to za Joe, o którym mówiła?

- Dawny narzeczony.

- Znałeś go?

- To mój brat. Spotykała się z nim.

- Kiedy?

- Zerwali sześć lat temu.

- Jaki on jest?

Reacher spuścił wzrok. Nie poprawił „jest” na „był”.

- Ucywilizowana wersja mnie.

- Może więc zechce też spotkać się z tobą. Ucywilizowanie jest przereklamowane, a większość dziewczyn bawi zaliczenie całego kompletu.

Reacher nie odpowiedział. W pokoju zapadła cisza.

- No to chyba ruszę do domu, z powrotem do Chicago. Do prawdziwego świata. Ale muszę przyznać, że ponowna praca z tobą to prawdziwa przyjemność.

- Kłamczucha.

- Nie, mówię serio.

- No to zostań. Zakład dziesięć do jednego, że w ciągu godziny tu wrócisz.

Neagley się uśmiechnęła.

- Żeby się z tobą umówić?

Reacher pokręcił głową.

- Nie, żeby nam powiedzieć, na czym polega jej prawdziwy problem.

4

Froelich przeszła przez chodnik do swego wozu, rzuciła teczkę na fotel pasażera, uruchomiła silnik i mocno nacisnęła hamulec. Z torebki wyciągnęła telefon, otworzyła go. Powoli wprowadziła domowy numer Stuyvesanta, następnie zawahała się z palcem na przycisku. Telefon czekał cierpliwie. Na małym zielonym ekraniku świecił się numer. Froelich spojrzała przed siebie przez szybę, pełna wątpliwości. Popatrzyła na telefon, z powrotem na ulicę. Nagle zamknęła telefon i położyła go na teczkę. Jeden ruch sprzęgła i odjechała od krawężnika z donośnym piskiem wszystkich czterech opon. Skręciła w prawo, w lewo, w prawo i skierowała się do biura.

* * *

Kelner z obsługi hotelowej wrócił po tacę.

Reacher zdjął kurtkę, powiesił w szafie. Wyciągnął z

dżinsów podkoszulek.

- Głosowałeś w wyborach? - spytała Neagley.

Pokręcił głową.

- Nie jestem nigdzie zarejestrowany. A ty?

- Jasne - rzekła. - Zawsze głosuję.

- Głosowałaś na Armstronga?

- Nikt nie głosuje na wiceprezydenta, może poza rodziną.

- Ale na tę opcję? Skinęła głową.

- Tak. A ty byś na nich głosował?

- Chyba tak - mruknął. - Słyszałaś wcześniej o Armstrongu?

- Raczej nie. Interesuję się polityką, ale nie jestem wariatką, nie umiem wymienić wszystkich stu senatorów.

- Chciałabyś wystartować w wyborach?

- Za żadne skarby. Lubię stać w cieniu, Reacher. Byłam sierżantem i w głębi ducha zawsze pozostanę sierżantem. Nigdy nie pragnęłam zostać oficerem.

- Miałaś potencjał.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się jednocześnie.

- Może. Nie miałam natomiast ochoty. I wiesz co? Sierżanci dysponują naprawdę sporą władzą. Nie zdajecie sobie nawet sprawy jak dużą.

- Ja sobie zdawałem sprawę - zaprotestował. - Wierz mi.

- Ona nie wróci. Siedzimy tu, gadamy, tracimy czas. Ja tracę kolejne połączenia z domem, a ona nie wróci.

- Wróci.

* * *

Froelich zaparkowała w garażu i skierowała się na górę. W ochronie prezydenckiej nie ma wolnych dni, lecz niedziele nadal wyglądały inaczej. Ludzie ubierali się inaczej, atmosfera była spokojniejsza, telefony rzadziej dzwoniły. Niektórzy cały dzień spędzali w domu. Na przykład Stuyvesant, pomyślała. Zamknęła drzwi swego biura,

usiadła za biurkiem i wysunęła szufladę. Wyjęła rzeczy, których potrzebowała, i wsadziła je do dużej brązowej koperty. Następnie rozpięła teczkę z wydatkami Reachera, przepisała ogólną sumę na pierwszą kartkę swego żółtego notatnika i włączyła niszczarkę. Po kolei wsuwała do niej kartki z teczki, całą zawartość. Na następny ogień poszła teczka z zaleceniami i wszystkie zdjęcia. Tekturowe teczki także zniszczyła. Potem pomieszała długie skręcone paski w koszu, aż splątały się beznadziejnie. Wyłączyła maszynę, zabrała kopertę i pomaszzerowała do garażu.

* * *

Reacher dostrzegł jej samochód z okna pokoju hotelowego. Wynurzył się zza rogu i zwolnił. Na ulicy było zupełnie pusto. Późne niedzielne popołudnie w listopadzie, w stolicy kraju. Turyści tkwili w hotelach, brali prysznice, szykowali się do kolacji. Miejscowi siedzieli w domach, czytali gazety, oglądali mecze hokeja, płacili rachunki, pracowali. Niebo ciemniało powoli, latarnie kolejno ożywały. Czarny suburban miał włączone reflektory. Na jego oczach zawrócił i zjechał na postój taksówek.

- Wróciła - oznajmił.

Neagley dołączyła do niego w oknie.

- Nie możemy jej pomóc.

- Może nie szuka pomocy.

- To po co by wracała?

- Nie wiem - rzekł. - Po drugą opinię, potwierdzenie?

Może po prostu chce porozmawiać, podzielić się problemem, zmniejszyć własne brzemie.

- Ale czemu z nami?

- Bo my jej nie zatrudniliśmy i nie możemy zwolnić.

Nie byliśmy też rywalami w pracy. Wiesz, jak działają takie organizacje.

- Czy w ogóle wolno jej z nami rozmawiać?

- Nie rozmawiałaś nigdy z kimś, z kim nie powinnaś?

Neagley się skrzywiła.

- Od czasu do czasu. Na przykład z tobą.
- A ja rozmawiałem z tobą. To jeszcze gorsze, bo nie byłaś oficerem.

- Ale miałam potencjał.

- To na pewno. - Spuścił wzrok. - Teraz po prostu tam siedzi.

- Ma w ręce telefon, dzwoni do kogoś. W tym momencie zadzwieczał dzwonek.

- Najwyraźniej do nas - zauważył Reacher. Podniósł słuchawkę.

- Nadal tu jesteśmy - rzucił. Słuchał krótką chwilę. - Dobra - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Wejdzie na górę? - spytała Neagley.

Reacher przytaknął, wrócił do okna akurat na czas, by ujrzeć Froelich wysiadającą z samochodu. W rękę trzymała kopertę. Przemknęła przez chodnik i zniknęła mu z oczu. Dwie minuty później usłyszeli dzwonek windy zatrzymującej się na piętrze, po dwudziestu sekundach rozległo się pukanie do drzwi. Reacher otworzył. Froelich weszła i zatrzymała się na środku pokoju. Najpierw zerknęła na Neagley, potem na niego.

- Możemy chwilkę pomówić na osobności? - spytała.

- Nie musimy - zapewnił. - Odpowiedź brzmi: tak.

- Nie wiesz nawet, jakie jest pytanie.

- Ufasz mi, bo ufałaś Joemu, a Joe ufał mnie. To zamyka krąg. Teraz chcesz wiedzieć, czy ufam Neagley, abyś mogła zamknąć również ten krąg. Odpowiedź brzmi: tak, ufam jej bezgranicznie. Zatem i ty możesz jej zaufać.

- W porządku - przyznała Froelich. - Chyba faktycznie o to chciałam spytać.

- Zdejmij więc żakiet i rozgość się. Chcesz jeszcze kawy?

Froelich zsunęła marynarkę, rzuciła na biurko. Podeszła do stołu i położyła na nim kopertę.

- Bardzo chętnie.

Reacher zadzwonił do room service, poprosił o duży dzbanek, trzy filiżanki, trzy spodeczki i absolutnie nic więcej.

- Wcześniej powiedziałam ci tylko pół prawdy - przyznała Froelich.

- Zgadłem - mruknął Reacher.

Froelich przepaszająco skinęła głową i podniosła kopertę. Otworzyła ją. Wyciągnęła z niej przezroczystą plastikową teczkę; w środku coś tkwiło.

- To kopia pewnego listu - oznajmiła.

Położyła ją na stole. Reacher i Neagley przysunęli bliżej krzesła i przyjrzeni się. Teczka była zupełnie standardowa, kryła w sobie kolorowe zdjęcie 20 na 25 centymetrów. Przedstawiało kartkę białego papieru, leżącą na drewnianej powierzchni, z drewnianą biurową linijką obok, wskazującą skalę. Wyglądało to na zwykły papier listowy. Pośrodku, parę centymetrów bliżej górnej krawędzi widniały trzy słowa. Czeka cię śmierć. Grube, ciemne litery, niewątpliwie wydrukowane z komputera.

W pokoju panowała cisza.

- Kiedy to przyszło? - spytał Reacher.

- W poniedziałek po wyborach - odparła Froelich. - Ekspressem.

- Na adres Armstronga?

Froelich przytaknęła.

- W senacie. Ale on tego nie widział. Otwieramy całą publiczną pocztę adresowaną do naszych podopiecznych i przekazujemy tylko to, co uznamy za stosowne. Nie sądziliśmy, że to jest stosowne. A wy?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, to prawda.

- Nie, jeśli zdołam coś na to poradzić.

- Odkryłaś tajemnicę nieśmiertelności? Każdego czeka śmierć, Froelich. Mnie, ciebie. Może dożyjemy setki, ale nie będziemy żyć wiecznie. Zatem technicznie rzecz biorąc, to stwierdzenie faktu. Absolutnie prawdziwa przepo-

wiednia, nie tylko groźba.

- Co nasuwa pytanie - wtrąciła Neagley. – Czy jej autor był dość mądry, by świadomie tak ją sformułować?

- W jakim celu?

- By uniknąć kary, gdybyście go znaleźli? Albo ją oczywiście. Móc powiedzieć: hej, to nie była groźba, po prostu stwierdzenie faktu. Mikroślady mówią cokolwiek o inteligencji nadawcy.

Froelich spojrzała na nią ze zdumieniem i ze sporym szacunkiem.

- Dojdziemy do tego - rzekła. - I jesteśmy niemal pewni, że to on, nie ona.

- Czemu?

- Dojdziemy do tego - powtórzyła Froelich.

- Ale dlaczego w ogóle się tym przejmujecie? - spytał Reacher. - To moja druga reakcja. Z pewnością wszyscy oni dostają całe worki podobnych groźb.

Froelich skinęła głową.

- Zwykle kilkanaście tysięcy rocznie. Tyle że większość z nich trafia do prezydenta. Rzadko się zdarza, by list wysłano wyłącznie do wiceprezydenta. Większość jest pisana na starych kawałkach papieru, kredkami, z błędami ortograficznymi, pokreślona. Ma jakieś wady. Ten nie. Od początku się wyróżniał. Toteż obejrzelśmy go uważnie.

- Gdzie nadano list?

- W Las Vegas. Co niestety w niczym nie pomaga. Jeśli chodzi o przyjezdnych Amerykanów, Vegas może poszczycić się największą liczbą turystów.

- Jesteście pewni, że przysłał to Amerykanin?

- To kwestia procentów. Nigdy jeszcze nie dostaliśmy pisemnej groźby od cudzoziemca.

- I nie sądzicie, że mieszka w Vegas?

- Mało prawdopodobne. Uważamy, że pojechał tam, by wysłać list.

- Z powodu? - wtrąciła Neagley.

- Z powodu śladów - wyjaśniła Froelich. - Wyniki są bardzo niezwykle. Wskazują na niezmiernie ostrożnego i starannego sprawcę.

- Szczegóły?

- Byłaś specjalistką w żandarmerii wojskowej?

- Specjalizowała się w skręcaniu ludziom karków - mruknął Reacher. - Ale czasami interesowały ją inne rzeczy.

- Nie słuchaj go - prychnęła Neagley. - Przeszłam sześciomiesięczne szkolenie w laboratoriach FBI.

Froelich przytaknęła.

- Wysłaliśmy to do FBI. Mają większe możliwości niż my.

Ktoś zapukał do drzwi. Reacher wstał, przysunął oko do wizjera. Kelner z kawą. Otworzył drzwi, odebrał mu tacę. Duży dzbanek, trzy odwrócone filiżanki, trzy spodeczki. Ani śladu mleka, cukru bądź łyżeczek - oraz samotna różowa róża w wąskim porcelanowym wazonie. Zaniósł tacę do stołu. Froelich przesunęła zdjęcie, by zrobić miejsce. Neagley ustawiła filiżanki i zaczęła nalewać.

- Co odkryło FBI? - spytała.

- Koperta była czysta - powiedziała Froelich. - Standardowa, brązowa, normalnej wielkości z klejem i zamknięciem na metalowy motylek. Adres wydrukowano na samoprzylepnej etykiecie, najprawdopodobniej z tego samego komputera co wiadomość. List wsunięto bez składania. Klej zwilżono wodą z kranu, żadnej śliny, DNA ani odcisków palców na zamknięciu. Znaleźliśmy pięć zestawów na samej kopercie. Trzy należały do pracowników poczty: ich odciski są w aktach, jak wszystkich pracowników rządowych. To warunek zatrudnienia. Czwarte zostawił senacki sortowacz poczty, który to nam przekazał. A piąte nasz agent.

Neagley skinęła głową.

- Zostawmy zatem kopertę. Choć woda z kranu to ciekawy szczegół. Gość dużo czyta, jest na bieżąco.

- A sam list? - spytał Reacher.

Froelich uniosła zdjęcie do światła.

- Bardzo dziwny - rzekła. - Laboratoria FBI twierdzą, że papier został wyprodukowany przez firmę Georgia-Pacific. To ich biały 24-funtowy, gładki, bezkwasowy standardowy papier do drukarek laserowych. Format A4. Georgia-Pacific jest trzecim największym dostawcą na rynku biurowym. Sprzedają setki ton papieru tygodniowo. W żaden sposób nie da się wyśledzić pochodzenia jednej kartki. Lecz jego ryza jest droższa o dolara czy dwa niż zwykłego papieru. To może coś znaczyć. Albo nie.

- A druk?

- Drukarka laserowa Hewlett-Packarda. Poznają to po składzie tonera. Nie potrafią podać modelu, bo wszystkie czarno-białe laserówki używają tego samego tonera. Czcionka to Times New Roman z Microsoft Works 4.5 dla Windows 95, czternastka, bold.

- Mogą podać dokładny program komputerowy?

Froelich skinęła głową.

- Mają od tego specja. Czcionki różnią się odrobinę w różnych edytorach. Autorzy oprogramowania lubią majstrować przy kerningu, czyli odstępach pomiędzy poszczególnymi literami, nie między słowami. Jeśli przyjrzeć się bardzo uważnie, można to wyczuć, a następnie zmierzyć i zidentyfikować program. Niespecjalnie jednak nam to pomoże. Na świecie muszą istnieć miliony pecetów z zainstalowanymi Works 4.5.

- I pewnie żadnych odcisków? - wtrąciła Neagley.

- Tu właśnie zaczynają się dziwy - odparła Froelich. Przesunęła o parę centymetrów tacę z kawą i położyła zdjęcie na blacie. Wskazała górną krawędź. - Tu, na samym skraju, znaleźliśmy mikroskopijne ślady talku.

Następnie pokazała punkt parę centymetrów poniżej.

- A tu mamy dwie wyraźne smugi talku. Jedną z wierzchu, drugą od spodu.

- Lateksowe rękawiczki - mruknęła Neagley.

- Zgadza się - przytaknęła Froelich. - Jednorazowe lateksowe rękawiczki. Takie jak u lekarza czy dentysty. Kupuje się je w pudełkach po pięćdziesiąt bądź sto par. Wnętrze wysypane jest talkiem, co ułatwia nakładanie. W pudełku jednak pozostaje zawsze trochę talku, który przywiera też do zewnętrznej strony rękawiczek. Pył na krawędzi został zapieczony, smugi nie.

- Jasne - rzuciła Neagley. - Gość wkłada rękawiczki, otwiera nową ryzę papieru, porusza go, żeby się nie kleił, stąd talk na krawędzi, ładuje do drukarki, drukuje wiadomość, wówczas talk zostaje zapieczony.

- Bo do druku laserowego wykorzystuje się ciepło - dodała Froelich. - Proszek tonera jest przyciągany do papieru ładunkiem elektrostatycznym uformowanym w kształcie litery, a następnie grzałka wtapia toner na stałe. Przez moment temperatura sięga stu stopni. Neagley pochyliła się niżej.

- Potem wyciąga papier z tacki, chwytając go między kciuk i palec wskazujący, stąd smugi po obu stronach blisko krawędzi, niezapieczone, bo powstały już po druku. I wiecie co? Drukował to w domu, nie w biurze.

- Czemu?

- Chwył kartki oznacza, że papier wysuwał się z drukarki pionowo, jak grzanka z tosterka. Gdyby wychodził płasko, ślady wyglądałyby inaczej. Pozostałaby większa smuga z przodu, efekt przesunięcia, mniejszy ślad z tyłu. A jedyne drukarki Hewlett-Packarda, które wysuwają papier pionowo, to najmniejsze modele, domowe. Sama mam taką. Jest zbyt wolna, by używać jej na większą skalę, a toner wystarczy jedynie na 2500 stron. Amatorski sprzęt. Zatem facet zrobił to u siebie w domu.

Froelich przytaknęła.

- Chyba to logiczne. Trochę dziwnie by wyglądał, gdyby drukował na oczach innych w biurze w rękawicz-

kach.

Neagley uśmiechnęła się, jakby robiła postępy.

- No dobrze, siedzi u siebie, wyciąga list z drukarki i wsuwa wprost do koperty, po czym zakleja ją, zwilżając wodą z kranu, nadal w rękawiczkach. Stąd brak odcisków.

Wyraz twarzy Froelich się zmienił.

- Nie. Tu właśnie zaczynają się największe dziwy. - Wskazała ręką zdjęcie i położyła paznokieć w punkcie parę centymetrów pod wydrukowaną wiadomością i odrobinę z prawej. - Gdyby to był zwyczajny list, co zobaczylibyśmy w tym miejscu?

- Podpis - odparł Reacher.

- Właśnie - przytaknęła Froelich. Nadal opierała paznokieć o zdjęcie. - My natomiast znaleźliśmy tu odcisk kciuka. Duży, wyraźny, zdecydowany odcisk kciuka. Niewątpliwie zostawiony specjalnie. Śmiały, wyraźny, dokładnie pionowy, zdecydowanie za duży jak na kobietę. Podpisał list własnym kciukiem.

Reacher wyciągnął zdjęcie spod palca Froelich i obejrzał je uważnie.

- Oczywiście sprawdziliście odcisk - wtrąciła Neagley.

- Niczego nie znajduję - rzucił Reacher. - Facet musi być absolutnie pewien, że jego odcisków nie ma w żadnej bazie danych.

- Jak dotąd go nie zidentyfikowaliśmy - przytaknęła Froelich.

- Bardzo to dziwne - zauważył Reacher. - Podpisuje list odciskiem kciuka i robi to chętnie, bo jego odcisków nie ma w bazie danych, ale stara się, by nie pozostawić ich nigdzie indziej poza tym jednym miejscem. Czemu?

- Dla większego efektu? - podsunęła Neagley. - A może jest po prostu porządny?

- Ale to tłumaczy droższy papier - ciągnął. - Gładka powierzchnia zachowuje odcisk. Tani papier jest zbyt porowaty.

- Czego użyli w laboratorium? - spytała Neagley. - Oparów jodiny, ninhydryny?

Froelich pokręciła głową.

- Zobaczyli go pod fluoroskopem.

Reacher milczał przez chwilę, wpatrując się w zdjęcie. Na dworze zapadła noc, lśniąca, wilgotna miejska noc.

- Co jeszcze? - zwrócił się do Froelich. - Czemu jesteś taka spięta?

- A potrzebuje czegoś jeszcze? - zainteresowała się Neagley.

Przytaknęła. „Wiesz, jak działają te organizacje”, powiedziała jej wcześniej.

- Musi być coś jeszcze - naciskał. - No dobra, jasne, to groźne, duże wyzwanie, intrygujące. Ale ona jest na skraju paniki.

Froelich westchnęła, podniosła kopertę i wyjęła drugą plastikową teczkę, niemal identyczną jak pierwsza. W środku tkwiło kolorowe zdjęcie, 25 na 20 centymetrów. Ukazywało kartkę białego papieru. Na niej wydrukowano pięć słów: Wice-prezydenta elekta Armstronga czeka śmierć. Kartka leżała na innej powierzchni, obok niej inna linijka. Błat był z szarego laminatu, linijka z przezroczystego plastiku.

- Są praktycznie identyczne - oznajmiła Froelich. - Wszystkie ślady te same, ten sam odcisk zamiast podpisu.

- I?

- List pojawił się na biurku mojego szefa - powiedziała.

- Pewnego ranka po prostu tam leżał. Bez koperty, bez niczego. I w żaden sposób nie potrafimy dojść, jak tam trafił.

* * *

Reacher wstał, podszedł do okna, znalazł sznur i zaciągnął zasłony. W sumie bez powodu, po prostu uznał, że tak należy.

- Kiedy to było? - spytał.

- Trzy dni po tym, jak dostaliśmy pierwszy - odparła Froelich.

- Wy byliście celem - zauważyła Neagley. - Nie sam Armstrong. Czemu? Po co? Żebyście potraktowali pierwszy poważnie?

- I tak potraktowaliśmy go poważnie.

- Kiedy Armstrong wyjeżdża z Camp David? - spytał Reacher.

- Dziś jedzą tam kolację. Pewnie trochę się prześpią. Przypuszczam, że wylecą po północy.

- Kto jest twoim szefem?

- Gość nazwiskiem Stuyvesant - wyjaśniła Froelich. - Tak jak papierosy.

- Mówiłaś mu o ostatnich pięciu dniach?

Froelich pokręciła głową.

- Uznałam, że lepiej nie.

- Rozsądnie - mruknął Reacher. - Czego dokładnie od nas chcesz?

Przez chwilę Froelich milczała.

- Tak naprawdę sama nie wiem. Od sześciu dni, odkąd postanowiłam cię odszukać, zadaję sobie to samo pytanie. Pytam samą siebie, czego właściwie chcę w tej sytuacji. I wiesz co? Tak naprawdę chcę z kimś pogadać, a w zasadzie chcę porozmawiać z Joem. Ponieważ jest tu mnóstwo skomplikowanych układów. Widzisz to, prawda? Joe z pewnością umiałby się w nich odnaleźć. Zawsze to potrafił.

- Chcesz, żebym był Joem? - wtrącił Reacher.

- Nie, chcę, żeby Joe wciąż żył.

Reacher skinął głową.

- To jest nas dwoje. Ale nie żyje.

- Może zatem ty mi wystarczysz.

Potem znów umilkła.

- Przepraszam - dodała. - Niezbyt dobrze to zabrzmiało.

- Opowiedz mi o neandertalczykach. Tych w twoim

biurze.

Przytaknęła.

- To była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy.

- Zdecydowanie możliwe - rzekł. - Jakiś facet robi się zazdrosny, czuje niechęć, zwała wszystko na ciebie i ma nadzieję, że pęknieš i zrobisz z siebie kretynkę.

- Pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy - powtórzyła.

- Masz jakichś kandydatów?

Wzruszyła ramionami.

- Z pozoru żaden z nich. Gdyby pogrzebać, nadaje się każdy. Jest sześciu takich, którzy liczyli na ten sam awans. Każdy ma przyjaciół, sojuszników, popleczników wśród niższych kadr. Coś jak siatka wewnątrz siatki. To może być każdy.

- Co ci mówi instynkt?

Pokręciła głową.

- Nie potrafię nikogo wskazać. Ich odciski są w aktach. U nas to też warunek zatrudnienia. A okres pomiędzy wyborami a inauguracją oznacza mnóstwo pracy. Mamy za mało ludzi, nikt nie znalazłby czasu na weekend w Vegas.

- To nie musiał być weekend. Mógł tam przylecieć i wyjechać w ciągu jednego dnia.

Froelich milczała.

- A problemy z dyscypliną? - naciskał Reacher. - Czy komuś nie podoba się sposób, w jaki kierujesz zespołem? Musiałaś na kogoś krzycheć. Czy ktoś nie przykładał się do pracy?

Pokręciła głową.

- Zmieniłam kilka rzeczy, rozmawiałam z paroma osobami. Ale byłam bardzo taktowna, a odcisk i tak nie pasuje do nikogo. Nieważne, z kim rozmawiałam. Uważam więc, że to prawdziwa groźba ze świata zewnętrznego.

- Ja też - wtrąciła Neagley. - Ale uczestniczy w tym ktoś z wewnątrz, prawda? Kto inny mógłby wejść do wa-

szego budynku i zostawić coś na biurku szefa?

Froelich przytaknęła.

- Musicie obejrzeć nasze biuro - rzekła. - Zrobicie to?

* * *

Krótką odległość pokonali rządowym suburbanem. Reacher wyciągnął się z tyłu, Neagley usiadła obok Froelich w fotelu pasażera. W nocnym powietrzu czuć było wilgoć, coś pomiędzy mżawką i wieczorną mgłą. Ulice lśniły pomarańczowym blaskiem, odbijającym się w warstewce wody. Opony z mlaskaniem odrywały się od powierzchni, wycieraczki pracowały bezustannie. Reacher dostrzegł ogrodzenie Białego Domu i fronton budynku Departamentu Skarbu, nim Froelich skręciła i wjechała w wąską uliczkę, kierując się wprost do garażu. Stromy podjazd, wartownik w szklanej budce, ostre białe światła, następnie niskie sufity i grube betonowe filary. Zaparkowała na końcu rzędu sześciu identycznych samochodów. Gdzieś tam stały też lincolny i najróżniejsze cadillaki, wszystkie z wyraźnie nowymi obramowaniami okien, w których zamontowano szyby kuloodporne. Każdy samochód był czarny i błyszczący. Cały garaż pomalowano na lśniąco białe - ściany, sufity, podłogę. W sumie wyglądało to jak biało-czarne zdjęcie. Na górę wchodziło się przez drzwi z niewielkim oszklonym okienkiem, wzmocnionym metalową kratką. Froelich poprowadziła ich wąskimi mahoniowymi stopniami do holu na parterze. Wśród marmurowych kolumn dostrzegli drzwi pojedynczej windy.

- Was dwojga nie powinno tu być - mruknęła. - Nic więc nie mówcie, trzymajcie się blisko mnie i maszerujcie szybko. Dobra?

Nagle się zawahała.

- Ale najpierw chodźcie coś obejrzeć.

Przeprowadziła ich przez kolejne, zwyczajnie wyglądające drzwi. Pokonali zakręt i znaleźli się w wielkiej ciemnej sali. Reacher miał wrażenie, iż dorównuje ona rozmia-

rami boisku piłkarskiemu.

- Główny hol budynku - oznajmiła Froelich. Jej głos odbijał się echem w marmurowej pustce. W przyciemnionym świetle biały kamień nabrał barwy szarości.

- Tutaj - oznajmiła.

Na ścianach widniały wielkie, wypukłe, wyrzeźbione z marmuru klasycznie zdobione płyty. Ta, pod którą stali, nosiła nagłówek Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych. Inskrypcja liczyła mniej więcej dwa i pół metra. Pod nią widniała kolejna. Lista pamięci.

A niżej, od górnego lewego narożnika panelu, zaczynał się spis dat i nazwisk. Na oko trzy, cztery tuziny. Przedostatnia pozycja na liście brzmiała J. Reacher, 1997. Ostatnia: M.B. Gordon, 1997. Po nich zostało jeszcze mnóstwo wolnego miejsca, jakieś półtorej kolumny.

- To Joe - oznajmiła Froelich. - Nasz hołd dla niego.

Reacher obejrzał dokładnie upamiętniający brata napis. Litery wykuto starannie, każda z nich miała około pięciu centymetrów wysokości, każdą wyłożono złotem. Marmur sprawiał wrażenie zimnego, był żyłkowany i cętkowany, jak każdy marmur na świecie. Nagle w umyśle ujrzał twarz Joego liczącego sobie jakieś dwanaście lat, siedzącego przy rodzinnym stole. Zawsze o minisekundę wcześniej rozumiał dowcip, zawsze o minisekundę później się uśmiechał. I kolejna wizja brata, wychodzącego z domu, w owym czasie budynku wojskowego gdzieś w gorącym klimacie, w mokrej od potu koszuli, z torbą na ramieniu. Zmierzał wprost na lotnisko, a stamtąd do odległego o piętnaście tysięcy kilometrów West Point. Cmentarz, podczas pogrzebu matki. Wówczas po raz ostatni widział go żywego. Poznał też Molly Beth Gordon, jakieś piętnaście sekund przed jej śmiercią. Była energiczną, pełną życia jasnowłosą kobietą. Nawet dość podobną do Froelich.

- Nie, to nie Joe - rzekł. - Ani Molly Beth. To tylko

nazwiska.

Neagley na niego zerknęła. Froelich, milcząc, poprowadziła ich z powrotem do małego holu z windą. Wjechali trzy piętra wyżej i znaleźli się w innym świecie, pełnym wąskich korytarzy, niskich pomieszczeń i typowego sprzętu biurowego. Dźwiękochłonne podwieszane sufity, halogeny, białe linoleum i szara wykładzina na podłogach. Biura podzielone na boksy sięgającymi do ramion panelami, obszitymi materiałem, na regulowanych nogach. Całe rzędy telefonów, faksów, stopy papierów i wszędzie komputery. Szum twardych dysków i wentylatorów, stłumione popiskiwanie modemów, ciche dzwonki telefonów - wszystko to łączyło się, tworząc nieustanny dźwięk, odgłos wytężonej pracy. Tuż za głównym wejściem znajdowała się lada recepcji. Siedział za nią mężczyzna w garniturze. Ramieniem podtrzymywał słuchawkę, jednocześnie zapisując coś w notatniku, toteż zdołał jedynie powitać ich zdumionym spojrzeniem i roz-targnionym skinieniem głowy.

- Oficer dyżurny - oznajmiła Froelich. - Pracują na trzy zmiany. Zawsze ktoś tu jest.

- To jedyne wejście? - spytał Reacher.

- Z tyłu są schody przeciwpożarowe - wyjaśniła Froelich. - Ale nie ekscytuj się. Widzisz kamery?

Wskazała sufit. Wszędzie wokół rozmieszczono miniaturowe kamery przemysłowe, które obserwowały każdy korytarz.

- Uwzględnij je, proszę - dodała.

Zaprowadziła ich w głąb kompleksu, skręcając w lewo i w prawo. W końcu znaleźli się na tyłach piętra. Długi, wąski korytarz prowadził do pozbawionego okien kwadratowego pokoju. Przy bocznej ścianie dostrzegli stanowisko sekretarki z miejscem dla jednej osoby. Biurko, szafka na akta, półki pełne segregatorów, stopy notatek. Na ścianie wisiał portret obecnego prezydenta, w kącie stała zwinięta

flaga. Obok niej wieszak. Nic więcej, wszystko w idealnym porządku. Nic nietypowego. Za biurkiem sekretarki ujrzeni wyjście przeciwpożarowe - solidne drzwi z acetatową plakietką przedstawiającą biegnącego zielonego człowieka. Nad wejściem także wisiała kamera, patrząca przed siebie niczym wiecznie czujne szklane oko. Naprzeciwko stanowiska sekretarki zobaczyli samotne drzwi bez tabliczki. Zamknięte.

- Gabinet Stuyvesanta - oznajmiła Froelich.

Otworzyła drzwi i poprowadziła ich do środka. Pstryknęła włącznikiem i pokój zalała fala jasnego, halogenowego światła. Pomieszczenie było niezbyt wielkie, mniejsze niż kwadratowa poczekalnia. Okno przesłaniała roleta z białej tkaniny, nie wpuszczająca do środka nocy.

- Czy okno się otwiera? - spytała Neagley.

- Nie - odparła Froelich. - A poza tym wychodzi na Pennsylvania Avenue. Gdyby jakiś włamywacz próbował wspiąć się na linie trzy piętra w górę, ktoś z pewnością by to zauważył.

Dominującym sprzętem w gabinecie było wielkie biurko z szarym blatem ze sztucznego kamienia, obecnie idealnie pustym. Tuż przy nim ustawiono obite skórą krzesło.

- Czy on nie używa telefonu? - spytał Reacher.

- Trzyma go w szufladzie - wyjaśniła Froelich. - Lubi porządek na biurku.

Pod ścianą stały wysokie szafki z drzwiczkami z tego samego szarego laminatu co biurko. Do tego dwa krzesła dla gości, także obite skórą. Poza tym nic. Surowe wnętrze, świadczące o uporządkowanym umyśle.

- A zatem - zaczęła Froelich - list z groźbą przyszedł w poniedziałek, tydzień po wyborach. Następnie wieczorem w środę Stuyvesant wyszedł do domu około wpół do ósmej. Biurko zostawił puste. Sekretarka skończyła pracę pół godziny później. Jak zawsze tuż przed wyjściem zajrzała do środka. Potwierdza, że blat był pusty, i można jej

chyba wierzyć. Gdyby leżała tu choćby jedna kartka, z pewnością by to zauważyła.

Reacher przytaknął. Błat biurka przypominał pokład dziołowy krążownika, gotowego do admirałkiej inspekcji. Z łatwością można by na nim dostrzec nawet drobinę kurzu.

- O ósmej rano w czwartek zjawia się sekretarka - ciągnęła Froelich. - Podchodzi wprost do swego biurka i zaczyna pracę. Nie zagląda do gabinetu Stuyvesanta. Dzieśnięć po ósmej przychodzi Stuyvesant, w rękę ma teczkę, na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Zdejmuje płaszcz, wieszka na wieszaku. Sekretarka coś do niego mówi. Stuyvesant stawia teczkę na jej biurku, chwilę rozmawiają. Potem otwiera drzwi, wchodzi do gabinetu. Niczego ze sobą nie ma, teczkę zostawił na biurku sekretarki. Jakies cztery-pięć sekund później wychodzi, wzywa ją do środka. Oboje potwierdzają, że w tym momencie kartka papieru leżała tu, na biurku.

Neagley rozejrzała się po gabinecie, wodząc wzrokiem od biurka do drzwi, jakby mierzyła odległość.

- To tylko ich zeznanie? - spytała. - Czy też nakręciły to kamery ochrony?

- Jedno i drugie - odparła Froelich. - Obraz z każdej kamery trafia na osobną taśmę. Obejrzałam tę stąd. Wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak opisali.

- Jeśli więc nie uczestniczą w tym oboje, żadne z nich nie mogło umieścić tu listu.

Froelich przytaknęła.

- Uważam podobnie.

- Kto więc to zrobił? - spytał Reacher. - Kogo jeszcze widać na taśmie?

- Sprzątaczy - powiedziała Froelich.

* * *

Zaprowadziła ich do swego biura, z szuflady biurka wyjęła trzy kasety wideo. Podeszła do półek. Między drukar-

ką i faksem stał mały telewizor Sony.

- To kopie - oznajmiła. - Oryginały trzymamy pod kluczem. Magnetowidy są podłączone do jednego zegara głównego. Jedna taśma to sześć godzin materiału. Od szóstej rano do południa, od południa do szóstej, od szóstej do północy, od północy do szóstej i znowu.

Znalazła w szufladzie pilota, włączyła telewizor, wsunęła do odtwarzacza pierwszą taśmę. Usłyszeli szcęk, cichy pisk i na ekranie pojawił się niewyraźny obraz.

- Środa wieczór - oznajmiła Froelich. - Od osiemnastej.

Obraz był szaromleczny, szczegóły lekko rozmyte. To jednak wystarczyło. Kamera ukazywała całą kwadratową poczekalnię, widzianą zza głowy sekretarki, która siedziała przy biurku i rozmawiała przez telefon. Wyglądała staro, miała siwe włosy. Drzwi gabinetu Stuyvesanta, widoczne po prawej stronie obrazu, były zamknięte. W lewym dolnym rogu ujrzeli datę i godzinę. Froelich nacisnęła przewijanie i obraz przyspieszył. Biała głowa sekretarki poruszała się komicznie. Jej dłoń śmigała w górę, w dół, gdy kobieta kończyła jedną rozmowę i zaczynała następną. Jakiś człowiek znalazł się w polu widzenia i dostarczył na biurko cały stos poczty wewnętrznej. Sekretarka sortowała ją z szybkością automatu. Otwierała każdą kopertę, starannie wyjmowała zawartość, po czym na każdym liście przybijala u góry pieczętę.

- Co robi? - spytał Reacher.

- Data otrzymania - wyjaśniła Froelich. - Cała ta operacja opiera się na bardzo dokładnej pracy papierkowej. Jak zawsze.

Sekretarka lewą ręką odginała kartki, prawą stemplowała datę. Przyspieszone tempo sprawiało, że pracowała oślepiająco szybko. W dolnym rogu obrazu data pozostawała bez zmian, czas płynął tak szybko, że mogli to jeszcze zarejestrować. Reacher odwrócił się od obrazu i rozejrzał po biurze Froelich. Typowe pomieszczenie rządowe.

Cywilny odpowiednik biur, w których sam spędził większość czasu. Uderzająco brzydkie i wielkim kosztem wciśnięte do pięknego starego budynku. Solidna szara nylonowa wykładzina, laminowane meble, kable w prostych białych osłonkach. Wszędzie piętrzyły się wysokie stopy papieru. Na ścianach wisiały raporty i notatki służbowe. Dostrzegł też szafkę ze szklanymi drzwiami. W środku na półkach ułożono jakiś metr książek na temat procedur służbowych. Pomieszczenie nie miało okna. Stała w nim jednak roślina w plastikowej doniczce na biurku - blada, sucha, walcząca o życie. Żadnych zdjęć, pamiątek, niczego osobistego prócz słabej woni perfum w powietrzu i na obiciu krzesła.

- Dobra. Teraz Stuyvesant wychodzi – oznajmiła Froelich.

Reacher obejrzał się na ekran i ujrzał licznik wskazujący 19:30, następnie 19:31. Stuyvesant z trzykrotnym przyspieszeniem wyszedł z gabinetu. Był wysokim mężczyzną o szerokich barkach, lekko zgarbionym, siwiejącym na skroniach. W dłoni trzymał cienką teczkę. Przyspieszenie sprawiało, że poruszał się z absurdalną energią. Niemal podbiegł do wieszaka, zdjął czarny płaszcz przeciwdeszczowy, narzucił go na ramiona, podbiegł z powrotem do biurka sekretarki, pochylił się gwałtownie, powiedział coś i pędem zniknął z ekranu. Froelich jeszcze mocniej nacisnęła przycisk przewijania i taśma zdwoiła prędkość. Sekretarka poruszała się gwałtownie i kręciła na swym krześle. Cyferki licznika stały się nieczytelne. Gdy 19 zmieniła się w 20, sekretarka zerwała się z miejsca, a Froelich spowolniła taśmę z powrotem do potrójnej szybkości, pokazując, jak kobieta na sekundę uchyla drzwi Stuyvesanta. Trzymając je za klamkę i podnosząc stopę z ziemi, zajrzała do środka, natychmiast odwróciła się i zamknęła drzwi. Przebiegła przez poczekalnię, zabrała torebkę, parasolkę i płaszcz, i zniknęła w mroku korytarza. Froelich ponownie

przyspieszyła. Tym razem licznik jeszcze szybciej pędził naprzód, obraz jednak zupełnie się nie zmieniał. Opuszczone biuro trwało w bezruchu, podczas gdy czas pędził naprzód.

- O której przychodzą sprzątacze? - spytał Reacher.
- Tuż przed północą - odparła Froelich.
- Tak późno?
- Pracują na nocną zmianę. Firma działa całą dobę.
- Do tego czasu nie widać nic więcej?
- Absolutnie nic.
- To przewiń, wiemy już, jak to wygląda.

Froelich zaczęła naciskać guziki na pilocie, na zmianę przewijając bez podglądu - ekran pokrywał śnieżny szum - i zaglądając, by sprawdzić wskazanie licznika. O 23:50 zwolniła, licznik cykał, odmierzając sekundy. O 23:52 na końcu korytarza dostrzegli ruch. Z mroku wynurzył się trzyosobowy zespół, dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy w czarnych kombinezonach. Wyglądali na Latynosów - niscy, krępi, ciemnowłosi, opanowani. Mężczyzna pchał przed sobą wózek z czarnym workiem na śmieci podczepionym do pętli z przodu i tacami pełnymi ścierek, środków czyszczących i sprejów. Jedna z kobiet niosła odkurzacz z długą rurą i szeroką końcówką, przewieszony przez ramię niczym plecak, druga w jednej dłoni dźwigała wiadro, a w drugiej mop, zakończony dużą myjką z gąbki. Skomplikowany system przekładni, sięgających do połowy kija, umożliwiał wyciskanie nadmiaru wody. Cała trójka nosiła gumowe rękawiczki, bardzo jasne: przezroczyste bądź lekko żółtawe. Cała trójka sprawiała wrażenie zmęczonych; to typowe u ludzi z nocnej zmiany. Wyglądali też czysto, schludnie i bardzo profesjonalnie. Mieli starannie uczesane włosy, a ich twarze mówiły jasno: wiemy, że to zdecydowanie nie najwspanialsza praca na świecie, ale zamierzamy wykonać ją jak należy. Froelich wcisnęła pauzę i zatrzymała taśmę tuż przed

drzwiami Stuyvesanta.

- Kim oni są? - spytał Reacher.

- Pracownikami rządowymi - odparła Froelich. - Większość sprzątaczy w tym mieście to pracownicy kontraktowi, zatrudnieni za minimalną stawkę bez żadnych premii.

Często się wymieniają, są nikim. My jednak mamy własny personel, FBI też. Potrzebni nam ludzie, którym możemy zaufać. Zawsze zatrudniamy dwa zespoły, przechodzą wywiad, sprawdzamy ich przeszłość. Nie przekroczą progu, jeśli nie okażą się porządnymi ludźmi. Wówczas płacimy im bardzo dobrze, zapewniamy opiekę zdrowotną, dentystyczną, płatny urlop i tak dalej. To pracownicy naszego departamentu, podobnie jak my wszyscy.

- A oni jak na to reagują?

Skinęła głową.

- Zazwyczaj są wspaniali.

- Sądzisz jednak, że to oni przemycili do środka list?

- Nie widzę innego rozwiązania.

Reacher wskazał ekran.

- Gdzie więc jest teraz?

- Może być w worku ze śmieciami, w sztywnej kopercie. Albo w teczce, przyklejony pod spód jednej z tac czy półek. Nawet na plecach mężczyzny pod kombinezonem.

Nacisnęła odtwarzanie. Sprzątacze ruszyli naprzód do gabinetu Stuyvesanta, drzwi się za nimi zatrzasnęły. Kamera obojętnie patrzyła przed siebie. Licznik tykał, pięć minut, siedem, osiem. I wtedy taśma się skończyła.

- Północ - powiedziała Froelich.

Wysunęła kasetę i założyła drugą. Nacisnęła przycisk, data zmieniła się na czwartkową. Dokładnie o północy licznik wystartował od zera. Zaczął pełznąć naprzód, dwie minuty, cztery, sześć.

- Niewątpliwie są dokładni - zauważyła Neagley. - Nasi sprzątacze biurowi w tym czasie załatwiliby cały budynek.

Ot, muśnięcie tu i tam.

- Stuyvesant lubi mieć porządek - odparła Froelich.

Siedem minut po północy drzwi się otworzyły i sprzątacze wyszli.

- Uważasz, że od tej pory list leżał już na biurku? - spytał Reacher.

Froelich przytaknęła. Nagranie ukazywało sprzątaczy zaczynających pracę wokół stanowiska sekretarki. Niczego nie przeoczyli, wszystko zostało energicznie otarte z kurzu, wypolerowane, wymuskane. Każdy centymetr kwadratowy wykładziny oczyszczono odkurzaczem, śmieci z kubłów przesypano do czarnego worka, który powiększył się dwukrotnie. Mężczyzna sprawiał wrażenie nieco rozczochranego. Oddalał się, ciągnąc za sobą wózek. Kobiety cofały się wraz z nim. Szesnaście minut po północy zniknęli w ciemności, pozostawiając za sobą pusty pokój, nieruchomy i spokojny jak wcześniej.

- To wszystko - oświadczyła Froelich. - Nic więcej przez następnych pięć godzin i czterdzieści cztery minuty. Potem znów zmiana taśm i dalej nic od szóstej aż do ósmej, gdy przychodzi sekretarka. Później zaś sytuacja wygląda tak, jak stwierdziła wraz ze Stuyvesantem.

- Jak można oczekiwać - dodał głos dobiegający od drzwi - osobiście uważam, że naszym słowom można zaufać. Ostatecznie pracuję w służbach rządowych od dwudziestu pięciu lat, a moja sekretarka, jak się zdaje, jeszcze dłużej.

5

Stojącym w drzwiach mężczyzną był bez wątpienia Stuyvesant. Reacher rozpoznał go ze zdjęć z kamery. Wysoki, szerokie ramiona, po pięćdziesiątce, wciąż w nie-
złej formie. Przystojna twarz, zmęczone oczy. Mimo nie-

dzieli miał na sobie garnitur i krawat. Froelich patrzyła na niego z obawą, on natomiast wpatrywał się w Neagley.

- To ty jesteś kobietą z taśmy - stwierdził. - Sala balowa, w czwartek.

Wyraźnie intensywnie o czymś rozmyślał, szybko wyciągał wnioski, analizował i niemal niedostrzegalnie kiwał głową, gdy doszedł do czegoś logicznego. Po chwili przeniósł wzrok z Neagley na Reachera. Wszedł do środka.

- A ty jesteś bratem Joego Reachera - oznajmił. - Wyglądasz zupełnie jak on.

Reacher skinął głową.

- Jack Reacher - przedstawił się, podając dłoń.

Stuyvesant ją ujął.

- Przykro mi z powodu twojej straty. Wiem, że minęło pięć lat, ale Departament Skarbu wciąż tęsknie wspomina twojego brata.

Reacher ponownie przytaknął.

- To jest Frances Neagley - przedstawił.

- Reacher ściągnął ją do pomocy w audycie - wyjaśniła Froelich.

Stuyvesant uśmiechnął się lekko.

- Już się domyśliłem - rzekł. - Sprytnie posunięcie. I jak wyniki?

W gabinecie zapadła cisza.

- Przepraszam, jeśli cię obraziłam, szefie - powiedziała Froelich. - No wiesz, wcześniej, kiedy mówiłam tak o taśmie. Po prostu wyjaśniałam im sytuację.

- Jakie były wyniki audytu? - spytał ponownie Stuyvesant. Milczała.

- Aż takie złe? No cóż, taką mam nadzieję. Ja też znałem Joego Reachera, nie tak dobrze jak ty, ale od czasu do czasu się kontaktowaliśmy. Był imponujący. Zakładam, że jego brat przynajmniej w połowie dorównuje mu inteligencją. Pani Neagley jest zapewne jeszcze by-

strzejsza. A w takim razie musieli znaleźć dostęp do celu. Mam rację?

- Trzy pewniaki - oznajmiła Froelich.

Stuyvesant przytaknął.

- Oczywiście sala balowa - domyślił się. - Pewnie dom rodzinny i ta cholerna impreza w Bismarck. Mam rację?

- Tak - przyznała Froelich.

- Najwyższy poziom fachowości - wtrąciła Neagley. - Raczej nie do odtworzenia.

Stuyvesant uniósł dłoń, przerywając jej.

- Przejdźmy do sali konferencyjnej - zaproponował. - Chcę pomówić o baseballu.

* * *

Poprowadził ich wąskimi, krętymi korytarzami do dość przestronnego pomieszczenia w samym sercu kompleksu. Pośrodku ustawiono długi stół, otoczony dziesięcioma krzesłami, po pięć z każdej strony. Sala nie miała okien. Ta sama szara wykładzina pod stopami, ten sam biały podwieszany sufit, te same jaskrawe halogeny. Wzdłuż jednej ściany ustawiono niski kredens z zamkniętymi drzwiczkami, a na nim trzy telefony, dwa białe, jeden czerwony. Stuyvesant usiadł, gestem wskazał krzesła po drugiej stronie stołu. Reacher zerknął przelotnie na dużą tablicę pełną notatek z nadrukiem Poufne.

- Będę z wami nietypowo szczery - zapowiedział Stuyvesant. - Tylko tymczasowo, rozumiecie to chyba. Uważam, że jesteśmy wam winni wyjaśnienie, ponieważ Froelich wciągnęła was w to za moją aprobatą i ponieważ brat

Joego Reachera należy w pewnym sensie do rodziny, zatem jego koleżanka także.

- Pracowaliśmy razem w wojsku - wyjaśniła Neagley.

Stuyvesant skinął głową, jakby już dawno doszedł do podobnego wniosku.

- Porozmawiajmy o baseballu - rzekł. - Śledzicie roz-

grywki?

Wszyscy czekali.

- Washington Senators nie istnieli już, gdy tu trafiłem - podjął. - Musiałem zatem zadowolić się Baltimore Orioles, co nie zawsze mnie zachwycało. Ale czy wiecie, co jest wyjątkowego w tej grze?

- Długość sezonu - odparł Reacher. - Procent zwycięstw.

Stuyvesant uśmiechnął się, zupełnie jakby Reacher zasłużył na nagrodę.

- Może jesteś bardziej niż w połowie tak inteligentny jak brat. W baseballu zwykły sezon rozgrywek obejmuje sto sześćdziesiąt dwa mecze, znacznie, znacznie więcej niż w jakimkolwiek sporcie. W innych sportach sezon to piętnaście, dwadzieścia, najwyżej trzydzieści parę meczów.

Koszykówka, hokej, futbol, piłka nożna - w każdym innym sporcie gracze mogą sądzić, że zdołają wygrać wszystkie mecze w sezonie. To realistyczny cel, zwiększający ich motywację. Od czasu do czasu nawet udaje się go osiągnąć. W baseballu jednak to niemożliwe. Drużyny najlepsze z najlepszych, wielcy mistrzowie, wszyscy przegrywają około jednej trzeciej meczów, przynajmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt na rok. Wyobraźcie sobie, jakie to uczucie, z psychologicznego punktu widzenia. Jesteście wspaniałymi sportowcami, wściekle ambitnymi, lecz wiecie z całą pewnością, że i tak będziecie często przegrywać. Musicie to sobie uświadomić, w przeciwnym razie będzie was to gnębiło. Ochrona osoby prezydenta wygląda dokładnie tak samo. To właśnie chciałem przekazać. Nie możemy zwyciężać każdego dnia. Musimy do tego przywyknąć.

- Tylko raz przegraliście - zauważyła Neagley. - W 1963.

- Nie - odparł Stuyvesant. - Ciągłe przegrywamy, ale nie każda przegrana ma znaczenie. Tak jak w baseballu, nie każde udane odbicie to punkty, nie każda klęska oznacza spadek w światowych rozgrywkach. A u nas nie każdy

nasz błąd zabija podopiecznego.

- Co więc chcesz nam powiedzieć? - naciskała Neagley.
Stuyvesant pochylił się lekko.

- Mówię, że mimo tego, co pokazał wasz audyt, powinniście wciąż w nas wierzyć. Nie każdy błąd kosztuje punkty. Doskonale wiem, że dla człowieka z zewnątrz podobna pewność siebie może wydawać się czymś oburzającym. Musicie jednak zrozumieć, że nie mamy innego wyjścia. Musimy tak myśleć. Wasz audyt pokazał kilka dziur w ochronie. Należy teraz ocenić, czy da się je zamknąć, i czy to w ogóle ma sens. Zostawię to osądowi Froelich.

Proponuję jednak, abyście pozbyli się wątpliwości co do naszej pracy. Jako zwykli obywatele. Nie uważajcie, że przegrywamy, bo nie przegrywamy. Zawsze będą istniały jakieś luki. To część naszej pracy. Demokracja. Przywyknijcie do niej.

Odchylił się na krześle, jakby skończył.

- A co z tą najnowszą groźbą? - spytał Reacher.

Stuyvesant zastanowił się chwilę, po czym pokręcił głową. Jego twarz się zmieniła, podobnie nastrój panujący w pomieszczeniu.

- W tym miejscu przestaję mówić szczerze - oznajmił.
- Zapowiedziałem już, że to tylko tymczasowe. Froelich popełniła poważny błąd, ujawniając wam istnienie jakiegokolwiek zagrożenia. Mogę tylko rzec, że przechwytuje my mnóstwo gróźb, a potem się nimi zajmujemy. To co robimy, pozostaje tajne. Proszę zatem, abyście przyjęli do wiadomości, że od tej pory obowiązuje was bezwzględny zakaz wspominania o tej sytuacji komukolwiek poza obecnymi tutaj. O sytuacji i o wszelkich naszych procedurach. Wynika to z przepisów federalnych. Mogę uciec się też do pewnych sankcji.

Odpowiedziała mu cisza. Reacher milczał, Neagley siedziała bez słowa, Froelich sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Stuyvesant całkowicie ją ignorował - patrzył na

Reachera i Neagley, z początku wrogo, a potem, o dziwo, z namysłem. Znow zaczął się nad czymś zastanawiać. Wstał, podszedł do niskiego kredensu z telefonami, przykucnął przed nim, otworzył drzwiczki, wyjął dwa żółte notatniki i dwa długopisy. Wrócił, położył je przed Reacherem i Neagley. Ponownie okrążył stół i usiadł na swoim miejscu.

- Zapiszcie wasze pełne nazwiska - polecił. - Wszystkie imiona, przydomki, pseudonimy, daty urodzenia, numery ubezpieczenia społecznego, numery identyfikacyjne z woj-ska i aktualne adresy.

- Po co? - spytał Reacher.

- Po prostu to zróbcie - odparł Stuyvesant.

Reacher zawahał się chwilę, po czym podniósł długopis. Froelich spojrzała na niego niespokojnie. Neagley uniosła wzrok, wzruszyła ramionami i zaczęła pisać. Reacher odczekał sekundę, po czym poszedł w jej ślady. Skończył jednak znacznie wcześniej. Nie miał drugiego imienia, nie miał też adresu. Stuyvesant podszedł do nich od tyłu, zebrał ze stołu notatniki i bez słowa wyszedł z sali, trzymając je pod pachą. Drzwi zatrzasnęły się za nim ze szczękiem.

- No to mam kłopoty - oznajmiła Froelich. - I wam też narobiłam kłopotów.

- Nie przejmuj się - odparł Reacher. - Każe nam podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy, to wszystko. Przypuszczam, że poszedł je przygotować.

- Ale co zrobi ze mną?

- Pewnie nic.

- Zdegraduje, wyleje?

- Zgodził się na audyt. Audyt był konieczny z powodu gróźb. Te dwie sprawy łączą się ze sobą. Powiemy mu, że cię wypytywaliśmy.

- Zdegraduje mnie - upierała się Froelich. - Od początku nie podobał mu się ten pomysł z audytem. Mówił, że oznacza on brak wiary we własne siły.

- Bzdura - mruknął Reacher. - U nas ciągle robi się takie rzeczy.

- Audyty rozwijają wiarę we własne siły - dodała Neagley.
- Mówię z doświadczenia. Lepiej wiedzieć coś na pewno, niż liczyć na szczęście.

Froelich odwróciła wzrok, nie odpowiedziała. W sali zapadła cisza, wszyscy czekali. Pięć minut, dziesięć, piętnaście. Reacher wstał, przeciągnął się, podszedł do kredensu i obejrzał czerwony telefon. Podniósł słuchawkę, przyłożył do ucha; ani śladu sygnału. Przebiegł wzrokiem poufne notatki na tablicy. Sufit był niski, Reacher czuł na głowie ciepło lamp halogenowych. Usiadł ponownie, odwrócił krzesło, odchylił się i oparł stopy na siedzeniu sąsiedniego. Zerknął na zegarek. Stuyvesanta nie było już dwadzieścia minut.

- Co on, do diabła, robi? - spytał. - Sam je pisze?

- Może dzwoni do swoich agentów - podsunęła Neagley.
- Może wszyscy trafimy do więzienia. W ten sposób zapewni sobie nasze wieczne milczenie.

Reacher ziewnął i uśmiechnął się.

- Damy mu jeszcze dziesięć minut, potem wychodzimy. Pójdziemy gdzieś razem na kolację.

Stuyvesant wrócił po kolejnych pięciu minutach. Wszedł do sali, zamknął za sobą drzwi. W rękach nie miał żadnych papierów. Usiadł na swym wcześniejszym miejscu, położył dłonie płasko na blacie. Palcami zaczął wystukiwać szybki rytm.

- Dobra - rzekł. - Na czym skończyliśmy? Reacher miał chyba pytanie?

Reacher zdjął nogi z krzesła i odwrócił się.

- A miałem? - spytał.

Stuyvesant przytaknął.

- Spytałeś o tę szczególną groźbę. To albo robota kogoś z wewnątrz, albo z zewnątrz. Oczywiście, prawda?

- Teraz o tym rozmawiamy?

- Owszem - odparł Stuyvesant.

- Czemu? Co się zmieniło?

Stuyvesant puścił jego pytania mimo uszu.

- Jeśli to robota z zewnątrz, czy powinniśmy się martwić? Może nie, bo to także przypomina baseball. Jeśli Jankeși przyjadą do miasta, twierdząc, że pokonają Orioles, czy znaczy to, że tak się stanie? Przechwałki to nie to samo co spełnienie groźby.

Nikt się nie odezwał.

- Tu powinniście się wypowiedzieć - rzucił Stuyvesant.

Reacher wzruszył ramionami.

- No dobra - powiedział. - Myślisz, że to robota kogoś z zewnątrz?

- Nie. Myślę, że to zastraszenie z wewnątrz, mające zaszkodzić karierze Froelich. A teraz spytaj, co zamierzam z tym zrobić.

Reacher zerknął na niego, potem na zegarek, na ścianę. Dwadzieścia pięć minut, sobotni wieczór w samym środku trójkąta DC-Maryland-Wirginia.

- Wiem, co zamierzasz z tym zrobić - oznajmił.

- Wiesz?

- Zamierzasz zatrudnić mnie i Neagley do przeprowadzenia wewnętrznego śledztwa.

- Zamierzam?

Reacher przytaknął.

- Jeśli obawiasz się wewnętrznego zastraszenia, potrzebujesz wewnętrznego śledztwa. To jasne. A nie możesz wykorzystać kogoś ze swoich ludzi, bo mógłbyś trafić przypadkiem na winnego. Nie chcesz też ściągać FBI, bo nie tak pracuje się w Waszyngtonie. Nikt nie pierze brudów publicznie. Potrzebujesz zatem kogoś z zewnątrz. A w tej chwili siedzi przed tobą dwójka takich ludzi. Są już w to zaangażowani, bo Froelich ich włączyła. Albo zatem kończysz ich angażować, albo najmujesz do nowej roboty. A wolałbyś nająć, bo dzięki temu nie musiałbyś obwiniać o nic świet-

nej agentki, którą właśnie awansowałeś. Czy możesz nas zatem do czegoś wykorzystać? Oczywiście, że tak. Kto byłby lepszy niż młodszy brat Joego Reachera? W Departamencie Skarbu Joe Reacher to ktoś w rodzaju świętego. Jesteś zatem kryty, i ja także, dzięki Joemu, od początku jestem dla was wiarygodny. Byłem też dobrym śledczym w wojsku, podobnie jak Neagley. Wiesz, bo właśnie sprawdziłeś. Domyślałam się, że spędziłeś dwadzieścia pięć minut, rozmawiając z Pentagonem i Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. Po to były ci te wszystkie szczegóły. Sprawdzili nas w swoich komputerach i wyszło, że jesteśmy czyści. Bardziej niż czyści. Zapewne wciąż mają nasze wszystkie uprawnienia i zapewne są one dużo szersze, niż potrzebujesz.

Stuyvesant przytaknął. Sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego.

- Doskonała analiza - pochwalił. - Dostaniecie tę robotę, gdy tylko otrzymam na papierze oficjalną informację o waszym poziomie dostępu. To powinno potrwać jakąś godzinę, dwie.

- Możesz to zrobić? - wtrąciła Neagley.

- Mogę zrobić, co tylko zechcę - odparł Stuyvesant. - Prezydenci dają dużą władzę ludziom, którzy mają utrzymywać ich przy życiu.

Cisza.

- Czy będę podejrzany? - spytał Stuyvesant.

- Nie - odparł Reacher.

- A może powinienem? Może powinienem być waszym numerem jeden? Może zmuszono mnie, bym awansował kobietę? Uczyniłem to pod naciskiem, ale w głębi duszy jestem przeciw, toteż działałam za jej plecami, by doprowadzić ją do paniki i tym samym zdyskredytować.

Reacher milczał.

- Mogłem znaleźć przyjaciela bądź krewnego, od którego nigdy nie pobrano odcisków. Mogłem położyć list na własnym biurku o wpół do ósmej w środę wieczór i polecić

sekretarce, by go nie zauważyła. Posłuchałaby mojego polecenia. Albo mógłbym kazać sprzątacjom, by przemyćli go tamtej nocy. Oni też by mnie posłuchali. Równie dobrze jednak mogliby posłuchać poleceń Froelich. Ona najpewniej powinna być waszym numerem dwa. Może mieć przyjaciela bądź krewnego, od którego nie pobierano odcisków. I mogła wszystko zaaranżować tak, by świetnie sobie z tym poradzić i zwiększyć swą wiarygodność.

- Tyle że tego nie zrobiłam - wtrąciła Froelich.

- Żadne z was nie jest podejrzanym - odparł Reacher.

- Czemu nie? - spytał Stuyvesant.

- Bo Froelich sama do mnie przyszła, a wiedziała coś o mnie od mojego brata. Ty zaś zatrudniłeś nas tuż po obejrzeniu naszych akt wojskowych. Żadne z was nie zrobiło by tego, gdybyście mieli coś do ukrycia. Ryzyko byłoby zbyt duże.

- Może sądzimy, że jesteśmy mądrzejsi od was. Śledztwo wewnętrzne, które nas nie obejmie, to najlepsza przykrywką.

Reacher pokręcił głową.

- Żadne z was nie jest aż takie głupie.

- Doskonale. - Stuyvesant znów wyglądał na usatysfakcjonowanego. - Zgódźmy się zatem, że to zazdrosny rywal gdzieś z departamentu. Założmy, że spiskował ze sprzątacami.

- Albo rywalka - wtrąciła Froelich.

- Gdzie są teraz sprzątacze? - spytał Reacher.

- Zawieszeni - wyjaśnił Stuyvesant. - W domu. Wciąż pobierają pełne pensje, mieszkają razem. Jedna z kobiet to żona mężczyzny, druga to szwagierka. Pozostały zespół wyrabia nadgodziny, to mnie kosztuje majątek.

- Co mówią?

- O niczym nie wiedzą. Nie przynieśli ze sobą żadnej kartki, nigdy jej nie widzieli, nie było jej tam, gdy sprząтали.

- Ale wy im nie wierzycie?

Przez długą chwilę Stuyvesant milczał. Bawił się mankietami koszuli, w końcu znów ułożył ręce na stole.

- To zaufani pracownicy - rzekł. - Bardzo denerwują się tym, że ich podejrzewamy. Bardzo. Więcej, są przerażeni. Ale są też spokojni. Jakbyśmy nigdy nie zdołali im niczego dowieść. Bo niczego nie zrobili. Są też zaskoczeni. I przeszli test na wykrywaczu kłamstw, cała trójka.

- A zatem im wierzycie?

Stuyvesant pokręcił głową.

- Nie mogę im wierzyć. No bo jak? Widzieliście nagrania. Kto inny mógł umieścić tam to cholerstwo? Duch?

- To jaka jest twoja opinia?

- Myślę, że ktoś, kogo znają, ktoś z zewnątrz, poprosił ich, by to zrobili, i wyjaśnił, że to rutynowa procedura sprawdzająca. Coś w rodzaju zabawy wojennej albo tajnej misji. Powiedział, że nie ma w tym nic złego, i przeszkolił dokładnie, tłumacząc, co stanie się później, opowiadając o nagraniach, przesłuchaniach, wykrywaczu kłamstwa. Myślę, że dzięki temu zdobyli dość pewności siebie, by przejść próbę na poligrafie. W końcu byli przekonani, że nie robią nic złego i ich czyn nie będzie miał żadnych złych skutków. Może nawet wierzyli, że tak naprawdę pomagają departamentowi.

- Pytałeś ich o to?

Stuyvesant pokręcił głową.

- To będzie wasze zadanie - stwierdził. - Nie jestem specem od przesłuchań.

* * *

Wyszedł równie nagle, jak się pojawił. Po prostu wstał i wymaszerował z pokoju. Drzwi się za nim zatrzasnęły. Reacher, Neagley i Froelich zostali razem przy stole, skąpani w jasnym świetle. Milczeli.

- Nie zyskacie sobie zbyt wiele sympatii - mruknęła Froelich. - Zawsze tak jest podczas dochodzeń we-

wewnętrznych.

- Niespecjalnie zależy mi, by być lubianym - odparł Reacher.

- A ja mam już pracę - dodała Neagley.

- Weź sobie wakacje - zaproponował. - Zostań, bądź nie lubiana razem ze mną.

- A zapłacą mi?

- Z pewnością dostaniecie honorarium - wtrąciła Froelich. Neagley wzruszyła ramionami.

- No dobra. Przypuszczam, że moi współpracownicy uznają to za robotę prestiżową. No wiecie, praca dla rządu. Skoczę do hotelu, załatwię parę telefonów i zobaczę, czy jakiś czas poradzą sobie beze mnie.

- Chciałabyś najpierw zjeść kolację? - spytała Froelich. Neagley pokręciła głową.

- Nie, zjem u siebie. Wy dwoje idźcie razem.

Po krótkiej wędrówce korytarzami dotarli do biura Froelich, która wezwała kierowcę dla Neagley. Następnie odprowadziła ją do garażu, wróciła na górę i ujrzała Reachera siedzącego spokojnie za biurkiem.

- Czy was dwoje coś łączy? - spytała.

- Kogo?

- Ciebie i Neagley.

- Co to niby za pytanie?

- Dziwnie zareagowała na propozycję kolacji.

Pokręcił głową.

- Nie, nic nas nie łączy.

- A łączyło? Wydajecie się bardzo sobie bliscy.

- Czyżby?

- Ona wyraźnie cię lubi, a ty wyraźnie lubisz ją. Do tego jest bardzo ładna.

- Owszem, lubię ją i jest ładna. Ale nigdy nic nas nie łączyło.

- Czemu nie?

- Czemu nie? Po prostu nigdy do tego nie doszło. Wiesz,

co mam na myśli?

- Chyba tak.

- Zresztą nie mam pojęcia, czemu w ogóle cię to obchodzi. Jesteś byłą mojego brata, nie moją. Nawet nie wiem, jak masz na imię.

- M.E. - odparła.

- Martha Enid? - spytał. - Mildred Eliza?

- Chodźmy, kolacja u mnie.

- U ciebie?

- W niedzielny wieczór tutejsze restauracje są okropnie zatłoczone. Zresztą i tak mnie na to nie stać. Poza tym, zostało mi jeszcze parę rzeczy Joego. Może powinnam ci je oddać.

* * *

Mieszkała w małym, przytulnym bliźniaku, w spokojnej, niedrogiej dzielnicy na drugim brzegu rzeki Anacostia, w pobliżu bazy lotniczej Bolling. Był to jeden z tych miejskich domków, w których człowiek szybko zasuwa kotary i skupia się wyłącznie na wnętrzu. Miejsce parkingowe na ulicy, drewniane frontowe drzwi, niewielki przedpokój, wychodzący wprost na salon. Wszystko wygodnie urządzone. Drewniane podłogi, dywan, staroświeckie meble. Mały telewizor i podłączony do niego kanciasty tuner kablówki. Trochę książek na półce, nieduża wieża i oparty o nią stos kompaktów. Grzejniki podkreślono na wysokie obroty, toteż Reacher zdjął czarną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

- Nie chcę, żeby to był ktoś z wewnątrz - oznajmiła Froelich.

- To lepsze niż prawdziwe zagrożenie.

Skinęła głową i ruszyła na tyły pokoju. Łukowate przejście prowadziło do otwartej kuchni. Rozejrzała się lekko zdekoncentrowana, jakby zastanawiała się, do czego służą wszystkie sprzęty i szafki.

- Moglibyśmy zamówić chińskie - podsunął Reacher.

Froelich zdjęła marynarkę, złożyła w pół i położyła na stołku.

- Może powinniśmy - odparła.

Miała na sobie białą bluzkę; bez zakietu wydawała się łagodniejsza, bardziej kobieca. Kuchnię oświetlały zwykłe, niezbyt mocne żarówki. W ich blasku jej skóra wyglądała lepiej niż w ostrym świetle biurowych halogenów. Reacher spojrzął na nią i ujrzał to, co musiał widzieć Joe osiem lat wcześniej. Znalazła w szufladzie menu z chińskiej restauracji, wybrała numer i złożyła zamówienie: zupa ostro-kwaśna i kurczak generała Tso, dwa razy.

- Może być? - spytała.

- Nie mów mi - odparł. - Ulubiona potrawa Joego?

- Nadal mam parę jego rzeczy - oznajmiła. - Powinieneś je obejrzeć.

Poprowadziła go z powrotem do przedpokoju i schodami na górę. Przednią część piętra zajmował pokój gościnny, wyposażony w głęboką, jednodrzwiową szafę. Gdy ją otworzyła, w środku automatycznie zapaliła się żarówka. Szafę wypełniały najróżniejsze śmieci. Na wieszaku Reacher ujrzał długi rząd garniturów i koszul, wciąż zapakowanych w worki z pralni chemicznej. Folia odrobinę pożółkła ze starości.

- Należały do niego - oświadczyła Froelich.

- Zostawił je tutaj? - spytał Reacher.

Froelich przez folię dotknęła ramienia jednego z garniturów.

- Myślałam, że po nie wróci - rzekła. - Ale nie wrócił przez cały rok. Widać ich nie potrzebował.

- Musiał mieć sporo garniturów.

- Ze dwa tuziny - odparła.

- Jak ktoś mógł mieć dwadzieścia cztery garnitury?

- Lubił się stroić. Z pewnością to pamiętasz.

Reacher stał bez ruchu. Joemu, którego pamiętał, wystarczyła para szortów i jeden podkoszulek. Zimą nosił

drelichy; gdy było bardzo zimno, dorzucił do nich znożoną kurtkę lotniczą, to wszystko. Na pogrzebie matki miał na sobie bardzo oficjalny czarny garnitur. Reacher założył wówczas, że pochodzi on z wypożyczalni. Ale może nie. Może praca w Waszyngtonie go zmieniła.

- Powinieneś je wziąć - powiedziała Froelich. - Zresztą i tak do ciebie należą. Byłeś chyba jego najbliższą rodziną.

- Chyba byłem - przyznał.

- Jest też pudełko — dodała. - Rzeczy, które zostawił i po które nigdy nie wrócił.

Podążył za jej wzrokiem ku dolnej półce szafy i ujrzał kartonowe pudło, stojące pod wieszakiem. Było zamknięte.

- Opowiedz mi o Molly Beth Gordon - poprosił.

- Ale co?

- Po ich śmierci wywnioskowałem, że byli ze sobą.

Pokręciła głową.

- Owszem, coś ich łączyło, bez wątpienia, ale razem pracowali. Była jego asystentką. Nigdy nie umawiałby się z kimś z pracy.

- Czemu zerwaliście? - spytał.

Na dole odezwał się dzwonek. W niedzielnej ciszy zabrzmiał bardzo głośno.

- Jedzenie - mruknęła Froelich.

Zeszli i zjedli razem przy kuchennym stole, w dziwnie intymnej atmosferze, ale jednocześnie Reacher czuł się bardzo odległy. Zupełnie jakby siedział obok obcej osoby w samolocie podczas długiego lotu. Człowiek czuje się związany z sąsiadem, a równocześnie kompletnie niezwiązany.

- Możesz przenocować - zaproponowała Froelich. - Jeśli chcesz.

- Nie wymeldowałem się z hotelu.

Skinęła głową.

- No to wymelduj się jutro i zamieszkać tutaj.

- A Neagley?

Sekunda wahania.

- Ona też, jeśli zechce. Na drugim piętrze jest wolna sypialnia.

- Dobra - rzekł.

Skończyli posiłek. Reacher wyrzucił pojemniki i przepłukał talerze, Froelich włączyła zmywarkę. Nagle zadzwieczał telefon. Przeszła do salonu, odebrała. Rozmawiała długą chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

- To był Stuyvesant - oznajmiła. - Macie oficjalne pozwolenie.

Skinął głową.

- Zadzwoń więc do Neagley i powiedz, żeby brała tyłek w troki.

- Teraz?

- Kiedy ma się problem, należy go rozwiązać - stwierdził. - To moja zasada. Powiedz, żeby czekała przed hotelem za pół godziny.

- Od czego zaczniecie?

- Od taśm - odparł. - Chcę obejrzeć je jeszcze raz i chcę porozmawiać z facetem, który zajmuje się tą częścią operacji.

* * *

Pół godziny później zgarnęli Neagley z chodnika przed hotelem. Przebrała się w czarny kostium z krótkim żakiem. Do tego obcisłe spodnie. Z tyłu wyglądały świetnie, przynajmniej według Reachera. Dostrzegł, że Froelich doszła do tego samego wniosku, nic jednak nie powiedziała. Prowadziła w milczeniu przez pięć minut, po czym znaleźli się z powrotem w siedzibie Secret Service. Froelich skierowała się wprost do swego biura, zostawiając Reachera i Neagley z agentem zajmującym się taśmami z kamer - drobnym, szczupłym, nerwowym mężczyzną w niedzielnym stroju, który został pilnie wezwany na spotkanie. Sprawiał wrażenie nieco oszołomionego. Poprowadził ich do pomieszczenia technicznego, niewiele większego od szafy. Wypełniały je rzędy magnetowidów. Na jednej ścianie stał

regał z setkami kaset VHS w czarnych plastikowych pudełkach. Same magnetowidy były proste, szare, pozbawione ozdóbek. Pomieszczenie wypełniały starannie ułożone kable, notatki służbowe przypięte do ścian, cichy szum małych silniczków i woń rozgrzanych obwodów. Zielone cyferki na wyświetlaczach zmieniały się niestrużenie.

- Tak naprawdę ten system nie wymaga opieki - oznajmił ich przewodnik. - Do każdej kamery podłączone są cztery magnetowidy, każdy z sześciogodzinną taśmą. Raz dziennie zmieniamy wszystkie kasety, opisujemy, przechowujemy trzy miesiące, a potem używamy ponownie.

- Gdzie są oryginały z tamtej nocy? - spytał Reacher.

- O tutaj - odparł mężczyzna. Pogrzebał w kieszeni, znalazł pęk małych mosiężnych kluczy. Przycupnął w ciasnym pokoju i otworzył niską szafkę. Wyjął trzy pudełka.

- To te trzy, które przegrałem dla Froelich - oznajmił, wciąż kucając.

- Można je gdzieś obejrzeć?

- Nie różnią się od kopii.

- Kopiowanie powoduje utratę szczegółów - wyjaśnił Reacher. - Pierwsza zasada brzmi: zawsze sprawdzać oryginały.

- Dobra - mruknął tamten. - Chyba możecie obejrzeć je tutaj.

Wstał niezręcznie, przesunął kilka przedmiotów na stole, przekreślił niewielki monitor i włączył samotny odtwarzacz. Na ekranie pojawił się szary prostokąt.

- Nie mają pilotów - rzekł. - Musicie obsłużyć go sami. Ułożył trzy pudełka w odpowiedniej kolejności.

- Masz tu krzesła? - spytał Reacher.

Mężczyzna wymknął się na zewnątrz; wrócił po chwili, ciągnąc za sobą dwa krzesła maszynistek. Na moment

ugrzęzły w drzwiach. Z pewnym trudem ustawił je oba przed wąską ławą. Potem rozejrzał się z nieszczęśliwą miną, jakby nie chciał zostawiać obcych w swoim maleńkim królestwie.

- Chyba zaczekam w holu - zdecydował w końcu. - Wezwijcie mnie, jak skończycie.

- Jak się nazywasz? - spytała Neagley.

- Nendick - odparł nieśmiało mężczyzna.

- Dobra, Nendick - stwierdziła - na pewno cię wezwiemy.

Nendick wyszedł z pokoju. Reacher wsunął do odtwarzacza trzecią taśmę.

- Wiesz co? - zagadnęła Neagley. - Facet nie zerknął nawet na mój tyłek.

- Nie?

- Mężczyźni zwykle to robią, gdy mam na sobie te spodnie.

- Naprawdę?

- Zwykle.

Reacher nie spuszczał wzroku z szarego ekranu.

- Może to gej? - podsunął.

- Na palcu miał obrączkę.

- Może więc stara się unikać niestosownych uczuć. Albo jest zmęczony.

- Albo może się starzeje - dodała.

Nacisnął przewijanie w tył. Silnik zapiszczał cicho.

- Trzecia taśma - rzekł Reacher. - Czwartek rano. Będziemy szli do tyłu.

Odtwarzacz przewijał szybko. Reacher obserwował licznik. Nacisnął odtwarzanie i na ekranie pojawiło się puste biuro wraz z TTR ukazującym czwartkową datę i godzinę, 7:55 rano. Przewinął taśmę i zatrzymał w chwili, gdy na ekranie dokładnie o ósmej pojawiła się sekretarka. Reacher rozsiadł się wygodnie na krześle, wcisnął odtwarzanie. Sekretarka weszła do środka, zdjęła płaszcz, powiesiła na wieszaku. Mi-

nęła o metr drzwi Stuyvesanta i pochyliła się za biurkiem.

- Chowa torebkę - mruknęła Neagley. - Kładzie na podłodze pod nogami.

Sekretarka miała około sześćdziesiątki. Przez moment patrzyła wprost w kamerę - typ matrony, surowej, lecz miłej. Usiadła ciężko i przesunęła krzesło, po czym otworzyła leżący na biurku zeszyt.

- Sprawdza kalendarz - skomentowała Neagley.

Sekretarka cały czas siedziała za biurkiem. Przez chwilę czytała coś w kalendarzu, potem zaczęła przeglądać wysoki stos dokumentów. Część schowała do szuflady, inne opieczętowała i przełożyła ze stosu po prawej na nowy po lewej stronie blatu.

- Widziałś kiedyś tyle papierów? - spytał Reacher. - Gorzej niż w wojsku.

Sekretarka dwukrotnie oderwała się od stosu dokumentów, by odebrać telefon, ani na moment jednak nie wstała z miejsca. Reacher znów przewinął taśmę. Dziesięć po ósmej na ekranie pokazał się Stuyvesant, w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym - może czarnym, może grafitowym. W dłoni trzymał wąską teczkę. Zdjął płaszcz, powiesił na wieszaku, ruszył w głąb pokoju. Głowa sekretarki się poruszała. Wyglądało na to, że rozmawiają. Stuyvesant postawił teczkę na jej biurku pod kątem prostym i poprawił lekko. Pochylił się, naradzając się z kobietą. Raz jeden skinął głową, wyprostował się i ruszył do drzwi, bez teczki. Zniknął w głębi gabinetu. Na liczniku przeskoczyły cztery sekundy. Stuyvesant pojawił się ponownie, wzywając sekretarkę.

- Znalazł go - mruknął Reacher.

- Ten numer z teczką jest dziwny - zauważyła Neagley.

- Czemu ją zostawił?

- Może miał wczesne spotkanie - podsunął Reacher. - Może zostawił ją, bo wiedział, że i tak zaraz wyjdzie.

Przewinął następną godzinę. Ludzie pojawiali się i znika-

li. Froelich dwa razy zajrzała do gabinetu. Potem pojawili się technicy z kryminalistyki. Dwadzieścia minut później wyszli, zabierając list w plastikowej torebce na dowody. Reacher przewinął taśmę, wciąż na podglądzie, i znów obejrzał wydarzenia całego poranka, tym razem od tyłu. Zespół z kryminalistyki wyszedł i znów się pojawił. Froelich dwa razy wyszła i weszła. Stuyvesant zjawił się i zniknął. Tak samo sekretarka.

- Teraz zaczynają się nudy - westchnął Reacher. - Całe godziny niczego.

Obraz na ekranie znieruchomiał, ukazując puste biuro. Licznik cofał się szybko. Nie działało się absolutnie nic. Na oryginalnej taśmie szczegóły widać było lepiej, nie dostrzegli ich jednak zbyt wiele - jedynie szarość i mleczną biel. Wystarczy do podglądu, ale nagranie nie dostałoby raczej żadnych nagród technicznych.

- Wiesz co - powiedział Reacher. - Przez trzynaście lat byłem gliną i nigdy nie znalazłem niczego istotnego na taśmie z kamery przemysłowej. Ani razu.

- Ja też nie - dodała Neagley. - A ile godzin zmarnowałam.

O szóstej rano taśma zatrzymała się gwałtownie. Reacher wysunął ją, przewinął drugą taśmę do końca i ponownie rozpoczął cierpliwe oglądanie od tyłu. Licznik przeskoczył na piątą i dalej ku czwartej. Nic. Jedynie biuro, puste, szare, nieruchome.

- Czemu robimy to dziś wieczór? — spytała Neagley.

- Bo jestem niecierpliwy - wyjaśnił Reacher.

- Chcesz zdobyć punkt dla wojska? Chcesz pokazać tym cywilom, jak pracują prawdziwi zawodowcy?

- Nie muszę niczego udowadniać - odparł Reacher. - Zdobyliśmy już trzy i pół punktu.

Pochylił się bliżej ekranu, walcząc z chęcią zamknięcia oczu. Czwarta rano. Nic, nikt nie dostarczał żadnych listów.

- A może jest inny powód, dla którego robimy to już

dzisiaj? - zagadnęła Neagley. - Może starasz się przeskoczyć swojego brata?

- Nie muszę. Wiem dokładnie, czym się różniliśmy. I nie obchodzi mnie zdanie nikogo innego.

- Co się z nim stało?

- Umarł.

- Już się domyśliłam. Ale jak?

- Został zabity, na służbie. Tuż po tym, jak wyszedłem z wojska. W Georgii, na południe od Atlanty. Tajne spotkanie z informatorem w sprawie fałszerstw. Wpadli w zasadzkę. Dwukrotnie strzelono mu w głowę.

- Znaleźli ludzi, którzy to zrobili?

- Nie.

- To straszne.

- Niezupełnie. Ja ich znalazłem.

- I co zrobiłeś?

- A jak myślisz?

- Dobra. Jak?

- Było ich dwóch, ojciec i syn. Syna utopiłem w basenie, ojciec spłonął w pożarze. Wcześniej strzeliłem mu w pierś z czterdziestkiczwórki.

- To powinno załatwić sprawę.

- A morał historii brzmi: nie zaczepiaj mnie ani moich bliskich. Szkoda tylko, że nie wiedzieli o tym wcześniej. - Jakież konsekwencje?

- Szybko zniknąłem, trzymałem się z daleka, musiałem. Nie mogłem przyjechać na pogrzeb.

- Kiepska sprawa.

- Facet, z którym się spotykał, też zginął. Wykrwawił się na śmierć pod autostradą. Była też kobieta z biura Joego, jego asystentka Molly Beth Gordon. Zabili ją nożem na lotnisku w Atlancie.

- Widziałam jej nazwisko na liście honorowej.

Reacher umilkł. Taśma cofała się niestrudzenie. Trzecia rano, druga pięćdziesiąt pięć. Druga czterdzieści. Nic.

- Cała ta sprawa była jednym wielkim bagnem - rzekł. - Tak naprawdę to wyłącznie jego wina.

- Ostre słowa.

- Wyszedł poza swoją działkę. Czy ty dałabyś się złapać w zasadzkę podczas spotkania?

- Nie.

- Ja też nie.

- Zrobiłabym wszystko, co trzeba - powiedziała Neagley. - No wiesz, przyjechała trzy godziny wcześniej, wszystko sprawdziła, obserwowwała, zablokowała podejścia.

- Ale Joe tego nie zrobił. Nie znał się na tym. Chodzi o to, że wyglądał na twardziela. Metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, sto trzydzieści kilo, zbudowany jak skała, ręce jak łopaty, groźna twarz. Pod względem fizycznym byliśmy jak bliźniacy. Ale nasze mózgi działały inaczej. W głębi ducha Joe był typem mózgowca, niewinnym, więcej - naiwnym. Nigdy nie uciekał się do nieczystych zagrań. Dla niego wszystko przypominało partię szachów. Odbiera telefon, ustala termin spotkania, jedzie na nie. Zupełnie jakby przesuwiał swego skoczka czy wieżę. Nie spodziewał się, że ktoś może się zjawić i rozwalić całą szachownicę.

Neagley nie odpowiedziała. Taśma pędziła do tyłu. Na ekranie nic się nie działo. Puste kwadratowe biuro, szare, nieruchome.

- Po wszystkim byłem wściekły, że zachował się tak nie ostrożnie - ciągnął Reacher. - Potem jednak zrozumiałem, że nie mogę go za to obwiniać. Żeby być nieostrożnym, trzeba wiedzieć, jak zachować ostrożność. A on nie wie działał, po prostu nie wiedział. Nie dostrzegał takich rzeczy. Nie myślał w ten sposób.

- I?

- Chyba byłem wściekły, że nie załatwiłem tego za niego.

- A mogłeś?

Pokręcił głową.

- Nie widziałem go od siedmiu lat, nie miałem pojęcia, gdzie się podziewa. On nie miał pojęcia, gdzie ja jestem. Ale ktoś taki jak ja powinien był to zrobić. Joe powinien poprosić o pomoc.

- Był zbyt dumny?

- Nie, zbyt naiwny. W tym właśnie problem.

- Mógł jakoś zareagować? Już na miejscu?

Reacher się skrzywił.

- W sumie byli całkiem niezli. Według naszych kryteriów, półzawodowcy. Musiał mieć jakąś szansę, ale wszystko zależało od ułamka sekundy. Czysty instynkt. A instynkt Joego tkwił głęboko pogrzebany pod całą warstwą mózgową. Pewnie zawahał się, żeby pomyśleć, jak zawsze. Był po prostu zbyt ostrożny.

- Naiwny i zbyt ostrożny - powtórzyła Neagley. - Ludzie stąd nie podzielają tej opinii.

- W oczach ludzi stąd musiał wyglądać jak dzikus. Wszystko jest rzeczą względną.

Neagley poprawiła się na krześle, nie spuszczać wzroku z ekranu.

- Uwaga - rzuciła - zbliża się godzina duchów.

Zegar cofał się nieustannie. Wpół do pierwszej. Spokój. A potem, szesnaście minut po północy, z pogrążonego w mroku korytarza wynurzyła się maszerująca tyłem ekipa sprzątaczy. Reacher obserwował ich poruszających się w przyspieszonym tempie, póki siedem po dwunastej nie zniknęli w gabinecie Stuyvesanta. Wówczas odtworzył taśmę normalnie, ze zwykłą prędkością, patrząc, jak wychodzą z gabinetu i sprzątaję stanowisko sekretarki.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

- Wyglądają całkiem normalnie - odparła Neagley.

- Gdyby właśnie zostawili tam list, czy byłiby tacy spokojni?

Nie spieszyli się. Nie byli niepewni, zdenerwowani, spłoszeni, podnieceni. Nie oglądali się na drzwi Stuyvesanta,

po prostu sprząтали, sprawnie i szybko. Ponownie cofnął taśmę do dwunastej siedem i dalej. Zatrzymała się dokładnie o dwunastej. Wyjął kasetę, wsunął na jej miejsce pierwszą. Przewinął. Cofnął na podglądzie, póki nie zjawili się na ekranie, tuż przed dwudziestą trzecią pięćdziesiąt dwie. Nacisnął odtwarzanie; razem patrzyli, jak sprzątacze zjawiają się w biurze. Gdy widać ich było wyraźnie, zatrzymał taśmę.

- Gdzie mogli go schować? - spytał.

- Tak jak mówiła Froelich - odparła Neagley. - Wszędzie. Przytaknął. Miała rację. Trzy osoby, do tego wózek. Mogli ukryć przy sobie ze dwadzieścia takich listów.

- Czy sprawiają wrażenie zdenerwowanych? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Puść taśmę, zobaczymy, jak się poruszają. Pozwolił im iść naprzód. Skierowali się wprost do drzwi

Stuyvesanta i zniknęli wewnątrz, dokładnie o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dwie.

- Pokaż jeszcze raz - poprosiła Neagley.

Ponownie odtworzył ten fragment.

Neagley odchyliła się, przymknęła oczy.

- Kiedy wyszli, poziom ich energii był nieco inny - oznajmiła.

- Tak sądzisz? Przytaknęła.

- Teraz poruszają się nieco wolniej, jakby z wahaniem.

- Albo jakby się bali, że muszą zrobić coś złego.

Jeszcze raz puścił taśmę.

- No nie wiem. - Neagley westchnęła. - Trudno to zinterpretować. I z całą pewnością nie można uznać za do wód, jedynie za subiektywne odczucie.

Znów odtworzył taśmę. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegł żadnej różnicy. Może wchodząc, wyglądali na nieco mniej nakręconych, niż kiedy wychodzili. Na nieco bardziej zmęczonych? Ale też spędzili tam piętnaście minut, a biuro było względnie małe i panował w nim idealny po-

rządek. Może mieli w zwyczaju odpoczywać tam dziesięć minut poza oknem kamer. Sprzątacze nie są głupi. Może kładli na biurku własne stopy, nie list.

- Nie wiem - powtórzyła Neagley.
- Nic rozstrzygającego? - spytał Reacher.
- Oczywiście. Ale kogo innego mamy?
- Absolutnie nikogo.

Nacisnął przewijanie, wpatrując się w pustkę, póki nie dotarł do ósmej wieczór. Sekretarka wstała zza biurka, wsunęła głowę za drzwi pokoju Stuyvesanta i poszła do domu. Reacher cofnął do siódmej trzydzieści jeden. Patrzył, jak Stuyvesant wychodzi.

- Dobra - rzekł. - Zrobili to sprzątacze. Z własnej inicjatywy?
- Poważnie w to wątpię.
- No to kto im kazał?

* * *

Przystanęli w holu, znaleźli Nendicka i posłali go, by posprzątał w swoim schowku. Potem ruszyli na poszukiwanie Froelich. Zastali ją pogrążoną w robocie papierkowej za biurkiem. Rozmawiała przez telefon, koordynując powrót Brooka Armstronga z Camp David.

- Musimy pomówić ze sprzątacami - oznajmił Reacher.
- Teraz? - spytała Froelich.
- Najlepsza pora. Nocne przesłuchania są najbardziej owocne.

Spojrzała na niego, przez moment miała pustkę w oczach.

- Dobrze, zawiozę was.
 - Lepiej, żeby cię tam nie było - wtrąciła Neagley.
 - Czemu nie?
 - Jesteśmy z wojska. Pewnie trochę ich poobijamy.
- Froelich spojrzała na nią wstrząśnięta.
- Nie możecie tego zrobić. To pracownicy naszego departamentu, tacy sami jak ja.

- Ona żartuje - uspokoił ją Reacher. - Ale poczują się lepiej, gdy będą rozmawiać tylko z nami, bez nikogo z pracy.

- Dobrze, zaczekam na zewnątrz, ale jadę z wami.

Skończyła rozmawiać przez telefon, uporządkowała papiery i poprowadziła ich z powrotem do windy i na dół, do garażu. Wsiedli do suburbana. Reacher zamknął oczy, odpoczywał przez dwadzieścia minut. Był zmęczony, pracował ciężko przez sześć pełnych dni. Nagle samochód się zatrzymał. Reacher uniósł powieki i ujrzał biedną dzielnicę, pełną dziesięcioletnich samochodów i metalowych ogrodzeń. Stojące tu i ówdzie latarnie rzucały wokół pomarańczowy blask. Połatany asfalt, zeschnięte chwasty na chodnikach. Gdzieś z bliska dobiegał łomot rozkręconego na pełny regulator samochodowego radia.

- To tutaj - powiedziała Froelich. - Numer 2301. 2301 okazał się lewą połówką dwurodzinnego domu, niskiej, drewnianej budowli z bliźniaczymi drzwiami pośrodku i symetrycznymi oknami po prawej i lewej. Podwórko otaczała druciana siatka. Jego część zajmował uschnięty trawnik. Ani śladu krzaków, kwiatów, roślin ozdobnych, ale czysto, żadnych śmieci. Prowadzące do drzwi stopnie zostały starannie zmiecione.

- Zaczekam tutaj - dodała Froelich.

Reacher i Neagley wysiedli z samochodu. Nocne powietrze było zimne, łoskot muzyki głośniejszy niż przedtem. Przeszli przez furtkę, chodnikiem z popękanego betonu dotarli do drzwi. Reacher nacisnął dzwonek i usłyszał go gdzieś wewnątrz. Czekali. Nagle rozległ się odgłos kroków na pustej podłodze, hurgot czegoś metalowego, odsuwanego na bok. Drzwi się otworzyły, stanął w nich mężczyzna trzymający klamkę. To był sprzętacz z kasy, bez cienia wątpliwości. Oglądali go przecież całymi godzinami. Nie był ani młody, ani stary, ani niski, ani wysoki. Kompletnie przeciętny gość, ubrany w bawełniane spodnie i bluzę Red Skinsów.

Skórę miał ciemną, kości policzkowe szerokie i wysokie. Włosy czarne i błyszczące, ostrzyżone w staroświecki sposób, jakby niedawno wyszedł od fryzjera.

- Tak? - spytał.

- Musimy porozmawiać o tym, co zdarzyło się w biurze - oznajmił Reacher.

Mężczyzna nie zadawał żadnych pytań, nie poprosił o dokumenty. Po prostu spojrział Reacherowi w twarz, cofnął się o krok i przekroczył przedmiot, który odsunął, by otworzyć drzwi. Była to dziecięca huśtawka z kolorowych metalowych rur. Po obu stronach umieszczono niewielkie siedzenia, jak na dziecinnych trzykołowych rowerkach, i plastikowe końskie głowy z małymi uchwytami wychodzącymi z boków za uszami.

- Nie mogę jej zostawić na dworze - wyjaśnił mężczyzna. - Ktoś by ją ukradł.

Neagley i Reacher przeszli nad huśtawką i znaleźli się w wąskim przedpokoju. Na półkach ułożono kolejne zabawki. W widocznej na końcu kuchni na lodówce wisiały kolorowe szkolne obrazki. W powietrzu unosił się zapach jedzenia. Z boku dostrzegli salon. Siedziały w nim dwie milczące, spłoszone kobiety w niedzielnych sukienkach, jakże różnych od roboczych kombinezonów.

- Podajcie nam swoje imiona - poleciła Neagley.

Jej głos balansował w połowie drogi pomiędzy ciepłym, przyjaznym tonem a lodowatym powiewem grozy. Reacher uśmiechnął się w duchu. Oto cała Neagley. Doskonale to pamiętał, nikt nigdy nie sprzeciwiał się Neagley. Taka już była.

- Julio - powiedział mężczyzna.

- Anita - oznajmiła pierwsza z kobiet. Reacher dostrzegł, jak zerknęła na Julia, nim odpowiedziała, i domyślił się, że to jego żona.

- Maria - dodała druga. - Jestem siostrą Anity.

W salonie stała niewielka kanapa i dwa fotele. Anita i

Maria przytuliły się do siebie, robiąc miejsce dla Julia. Reacher uznał to za zaproszenie. Usiadł w jednym z foteli, Neagley zajęła drugi. Siedzieli symetrycznie, zupełnie jakby kanapa była telewizorem, a oni mieli właśnie obejrzeć jakiś program.

- Uważamy, że to wy umieściliście list w gabinecie - oznajmiła Neagley.

Nikt nie odpowiedział. W ogóle nie zareagowali, trzy twarze nie wyrażały niczego, jedynie tępy, bezradny stoicyzm.

- Zrobiliście to? - spytała Neagley. Brak odpowiedzi.

- Dzieci już śpią? - spytał Reacher.

- Nie ma ich tutaj - odparła Anita.

- Są twoje czy Marii?

- Moje.

- Chłopcy czy dziewczynki?

- Dwie dziewczynki.

- Gdzie są teraz? Zawahała się.

- U kuzynów.

- Czemu?

- Bo pracujemy nocami.

- Już niedługo - wtrąciła Neagley. - Jeśli czegoś komuś nie powiecie, w ogóle nie będziecie pracować.

Brak odpowiedzi.

- Koniec z ubezpieczeniem zdrowotnym i premiami.

Brak odpowiedzi.

- Może nawet zamkną was w więzieniu. Cisza.

- Cokolwiek się stanie, to się stanie - powiedział Julio.

- Czy ktoś kazał wam go tam położyć? Ktoś, kogo znacie, ktoś z pracy?

Zero reakcji.

- Ktoś, kogo znacie spoza pracy?

- Nie mieliśmy nic wspólnego z żadnym listem.

- Co zatem zrobiliście? - spytał Reacher.

- Sprzątaliśmy. Po to tam jesteśmy.

- Siedzieliście tam bardzo długo.

Julio spojrzął na żonę, jakby coś go zaskoczyło.

- Oglądaliśmy taśmę - wyjaśnił Reacher.

- Wiemy o kamerach - powiedział Julio.

- Co noc pracujecie tak samo?

- Musimy.

- Każdej nocy siedzicie tam tak długo? Julio wzruszył ramionami.

- Pewnie tak.

- Odpoczywacie tam?

- Nie, sprzątamy.

- Pracujecie według ścisłej rutyny?

- Chyba tak. Odkurzamy, ścieramy kurze, opróżniamy kosz, układamy wszystko, przechodzimy do następnego biura.

W pokoju zapadła cisza, słysząc było jedynie odległy rytm z samochodowego radia, wytłumiony przez otaczające ich ściany i okna.

- W porządku - rzuciła Neagley. - Teraz posłuchajcie. Taśma pokazuje, że weszliście do środka. Rano na biurku znaleziono list. Uważamy, że położyliście go tam, bo ktoś was poprosił. Może twierdził, że to dowcip albo zwykły kawał. Może wmówił wam, że to nic takiego. I rzeczywiście to nic takiego, nic się nie stało. Musimy jednak wiedzieć, kto to był, ponieważ to także stanowi część gry. Chcemy go znaleźć, a wy musicie nam powiedzieć. W przeciwnym razie gra dobiegnie końca i będziemy musieli założyć, że zostawiliście tam list z własnej inicjatywy. A to już nie jest w porządku. To naprawdę złe wieści, bo list to groźba pod adresem wiceprezydenta elekta Stanów Zjednoczonych. Za to można pójść do więzienia.

Brak reakcji. Kolejna długa cisza.

- Zwolnią nas? - spytała w końcu Maria.

- Nie słuchałaś? - odparła Neagley. - Jeśli nie powiecie nam, kto to był, pójdziecie do więzienia.

Twarcz Marii była nieruchoma niczym wyrzeźbiona z ka-

mienia. Podobnie twarze Anity i Julia. Kamienne rysy, puste oczy, stoickie, nieszczęśliwe miny. Przez tysiące lat chłopci nauczyli się jednego: wcześniej czy później nadchodzi rok głodu.

- Chodźmy - powiedział Reacher.

Wstali, przeszli przez przedpokój, przeskoczyli huśtawkę i sami otworzyli sobie drzwi. Gdy dotarli do suburbana, Froelich zamykała właśnie swój telefon komórkowy. W oczach miała panikę.

- Co się stało? - spytał Reacher.

- Dostaliśmy następnego - odparła - dziesięć minut temu. Jest gorszy.

6

Czekał już na nich na środku długiego stołu w sali konferencyjnej. Wokół zebrała się niewielka grupka ludzi. Zamontowane w suficie halogeny oświetlały go idealnie. Brązowa koperta 20 na 30 centymetrów z metalowym zamknięciem, rozdarta z jednej strony. I pojedyncza kartka białego papieru, na której wydrukowano osiem słów: Dzień, w którym umrze Armstrong, zbliża się niechybnie. Wiadomość wydrukowano w dwóch liniach, idealnie wyśrodkowanych między marginesami, nieco powyżej środka kartki. Oprócz liter na papierze nie było nic innego. Ludzie przyglądali mu się w milczeniu. Mężczyzna w garniturze, wcześniej pilnujący recepcji, przecisnął się przez tłumek i zagadnął Froelich.

- Ja miałem w ręku kopertę - oznajmił. - Listu nie dotknąłem, wytrząsałem go.

- Jak się tu znalazł? - spytała.

- Strażnik z garażu poszedł do łazienki. Gdy wrócił, znalazł go na półce wewnątrz budki i przyniósł wprost do mnie. Przypuszczam, że też zostawił odciski na kopercie.

- Kiedy dokładnie?
- Pół godziny temu.
- W jaki sposób strażnik robi sobie przerwę? - spytał Reacher.

W sali zapadła cisza, ludzie odwrócili się, słysząc nowy głos. Mężczyzna z recepcji spojrzał na niego ostro z miną: kim ty do diabła jesteś?, później jednak dostrzegł twarz Froelich, wzruszył ramionami i odpowiedział posłusznie:

- Spuszcza szlaban i zamyka go. To wszystko. Biegnie do łazienki, wraca też biegiem. Dwa, trzy razy na zmianę. Siedzi tam pełnych osiem godzin.

Froelich skinęła głową.

- Nikt nie ma do niego pretensji. Czy ktoś wezwał już ekipę z laboratorium?

- Czekaliśmy na ciebie.

- W porządku, zostawcie go na stole. Niech nikt niczego nie dotyka. Zamknijcie pomieszczenie.

- Czy w garażu jest kamera? - zapytał Reacher.

- Tak, jest.

- Każ, by Nendick natychmiast przyniósł nam dzisiejszą taśmę.

Neagley wyciągnęła szyję, spoglądając na stół.

- Ujęli to dość kwieście, nie sądzisz? A „niechybnie” zdecydowanie eliminuje możliwość zwykłej zapowiedzi. To otwarta groźba.

Froelich przytaknęła.

- Masz rację - powiedziała cicho. - Jeśli ktoś chciał zrobić dowcip, nagle stał się on bardzo poważny.

Wymówiła te słowa głośno, wyraźnie, i Reacher dostatecznie szybko zrozumiał, jaki miała w tym cel, by powieść wzrokiem po twarzach zebranych w sali osób. Żadna z nich nie zareagowała. Froelich zerknęła na zegarek.

- Armstrong jest już w powietrzu - oznajmiła. - W drodze do domu.

Przez sekundę milczała.

- Wezwijcie dodatkowy zespół - poleciła. - Połowa ludzi do Andrews, druga połowa do domu Armstronga. I dodatkowy samochód w konwoju. Jedźcie okrężną trasą.

Jeszcze przez chwilę ludzie czekali, potem zaczęli działać, szybko i sprawnie: elitarny zespół szykujący się do akcji. Reacher obserwował ich uważnie i podobało mu się to, co widział. Wraz z Neagley poszli za Froelich do jej biura. Tam zadzwoniła pod numer FBI i prosiła o pilne przysłanie zespołu z laboratorium. Wysłuchiła odpowiedzi i odwiesiła słuchawkę.

- Nie ma raczej wątpliwości, co znajdują - rzuciła w przestrzeń. W tym momencie zapukał Nendick i wszedł do środka, niosąc w dłoni dwie kasety.

- Dwie kamery - wyjaśnił. - Jedna wewnątrz budki, wysoko na ścianie, skierowana w dół i na bok. Ma identyfikować kierowców w samochodach. Druga na zewnątrz, patrzy w głąb podjazdu, rejestruje zbliżające się wozy.

Położył obie kasety na biurku i wyszedł. Froelich podniosła pierwszą. Przysunęła krzesło do swego telewizora, włożyła kasetę do odtwarzacza i nacisnęła przycisk. To była kamera z budki. Filmowała pod ostrym kątem, mogła jednak uchwycić twarz kierowcy w oknie samochodu. Froelich przewinęła trzydzieści pięć minut, ponownie nacisnęła odtwarzanie. Wartownik siedział na swym stołku. Na ekranie widzieli jego lewy bark. Nie poruszał się. Froelich przewinęła taśmę do miejsca, w którym wstał. Dotknął kilku przycisków i zniknął. Przez trzydzieści sekund nic się nie działo. Potem na ekranie z prawej strony pojawiła się ręka, jedynie ręka w grubym miękkim rękawie, może tweedowym. Dłoń okrywała skórzana rękawiczka, w palcach tkwiła koperta. Właściciel ręki przepchnął ją przez na wpół

zamknięte przesuwane okienko i zsunął na półkę. Następnie ręka zniknęła.

- Wiedział o kamerze - podsumowała Froelich.

- Najwyraźniej - odparła Neagley. - Stał metr od budki i wyciągał rękę.

- Ale czy wiedział o drugiej? - spytał Reacher.

Froelich wyjęła pierwszą kasetę, wsadziła drugą. Przewinęła trzydzieści pięć minut, nacisnęła odtwarzanie. Ujrzeni przed sobą uliczkę podjazdową. Kiepskiej jakości nagranie sprawiło, że padające z zewnątrz plamy światła ostro kontrastowały z obszarami ukrytymi w cieniu. Cieniom brakowało szczegółów. Wszystko kręcono z wysoka, pod ostrym kątem. Góra obrazu obejmowała wyjazd na główną ulicę. Od dołu kończył się jakieś półtora metra od budki. Szerokość natomiast była doskonała, znakomita, wyraźnie widzieli obie ściany. Nikt nie zdołałby podejść do wejścia garażu, nie przechodząc przez pole widzenia kamery.

Taśma przesuwiała się, nic się nie działo. Obserwowali licznik, póki nie dotarł do momentu wcześniejszego o dwadzieścia sekund od pojawienia się ręki. Wówczas skupili uwagę na ekranie. U góry pojawiła się postać, niewątpliwie męczyzna, bez dwóch zdań. Ramiona i krok świadczyły o tym wyraźnie. Intruz miał na sobie ciężki tweedowy płaszcz, szary bądź ciemnobrązowy, ciemne spodnie, grube buty, szalik i kapelusz na głowie - z szerokim rondem, ciemny, zsunięty na czoło. Maszerował szybko, ze spuszczoną głową. Kamera cały czas ukazywała bardzo wyraźnie czubek kapelusza.

- Wiedział o drugiej kamerze - skomentował Reacher.

Taśma przesuwiała się dalej. Męczyzna szedł szybko, lecz wyraźnie miał swój cel. Nie spieszył się, nie biegł, cały czas panował nad sobą. W prawej dłoni trzymał kopertę, którą przyciskał do ciała. Dotarł do dolnej krawędzi obrazu i zniknął, po czym pojawił się trzy sekundy później, już bez koperty. W tym samym tempie pomaszerował do końca uliczki i ostatecznie zniknął. Froelich zatrzymała taśmę.

- Opis?

- Niemożliwy - odparła Neagley. - Męczyzna, nieco

niski i przysadzisty, zapewne praworęczny. Nie widać, by kulał. Poza tym nie wiemy nic. Niczego nie widzieliśmy.

- Może nie aż tak przysadzisty - dodał Reacher. - Ten kąt skraca sylwetkę.

- Dysponował informacjami z wewnątrz - oświadczyła Froelich. - Wiedział o kamerach i przerwach wartownika. A zatem to jeden z nas.

- Niekoniecznie - nie zgodził się Reacher. - Może być z zewnątrz i po prostu was śledzić. Zewnętrzną kamerę da się dostrzec, jeśli dobrze poszukać. I mógł założyć istnienie tej drugiej. Większość firm używa podobnych. A wystarczyłoby parę dni obserwacji, by dowiedział się, jak wyglądają przerwy wartownika. Ale wiesz co? Nieważne, czy to ktoś z wewnątrz, czy z zewnątrz. Minęliśmy go o włos, musieliśmy, gdy pojechaliśmy przesłuchać sprzętaczę. Bo nawet jeśli to wasz człowiek, potrzebował czasu, by trafić na odpowiednią chwilę. Musiał obserwować. Zapewne siedział po drugiej stronie ulicy, wpatrując się w wejście, może przez lornetkę.

W biurze zapadła cisza.

- Nikogo nie widziałam - odparła Froelich.

- Ja też nie - dodała Neagley.

- Miałem zamknięte oczy - rzekł Reacher.

- I tak byśmy go nie zauważyli - mruknęła Froelich. - Kiedy usłyszał silnik, z pewnością się schował.

- Pewnie tak - przyznał Reacher. - Ale przez chwilę byliśmy bardzo blisko.

- Cholera. - Froelich westchnęła.

- Tak, cholera - powtórzyła Neagley.

- To co robimy teraz? - spytała Froelich.

- Nic - odparł Reacher. - Nic nie możemy zrobić.

Wszystko to działo się ponad czterdzieści minut temu. Jeśli to ktoś z wewnątrz, zdążył już wrócić do domu, może leży w łóżku. Jeśli z zewnątrz, jest już na autostradzie i jedzie na zachód, północ, południe. Mógł już przejechać

nawet pięćdziesiąt kilometrów. Trudno, abyśmy zawiadomili policję w czterech stanach i kazali im szukać jadącego samochodem praworęcznego mężczyzny, który nie kuleje. A lepszego opisu nie mamy.

- Mogliby poszukać płaszcza i kapelusza na tylnym siedzeniu.

- Jest listopad, Froelich. Wszyscy noszą płaszcze i kapelusze.

- Co zatem zrobimy? - spytała ponownie.

- Liczmy na najlepsze, uwzględniajmy najgorsze. Skup się na Armstrongu, na wypadek gdyby groźba była prawdziwa. Pilnuj go bardzo dokładnie. Jak mówił Stuyvesant, groźby to nie to samo co prawdziwy zamach.

- Jak wyglądają jego plany? - spytała Neagley.

- Dzisiejszą noc spędzi w domu. Jutro jedzie na Kapitol.

- No to wszystko w porządku. Na Kapitolu spisałaś się wzorowo. Jeśli nawet Reacher i ja nie zdołaliśmy przejść przez tamtejszą ochronę, nie uda się to żadnemu krępemu mężczyźnie w płaszczu. Zakładając, że krępy mężczyzna w płaszczu chce cokolwiek zrobić, a nie tylko trochę ci podenerwować.

- Tak sądzisz?

- Jak mówił Stuyvesant, odetchnij głęboko i bierz się do roboty. Bądź pewna siebie.

- To nie wystarczy. Muszę wiedzieć, kto to jest.

- Wcześniej czy później się dowiemy. Do tego czasu, jeśli nie możesz atakować, musisz się bronić.

- Ona ma rację - potwierdził Reacher. - Na wszelki wypadek skup się na Armstrongu.

Froelich z roztargnieniem skinęła głową. Wyjęła kasetę z odtwarzacza i z powrotem wsadziła pierwszą. Puściła ją ponownie, wpatrując się w ekran. Strażnik wrócił z łazienki, zauważył kopertę, podniósł ją i wybiegł z pola widzenia obiektywu.

- Nie wygląda to dobrze - rzekła.

* * *

Ekipa laboratoryjna z FBI zjawiła się godzinę później. Technicy sfotografowali kartkę papieru leżącą na stole konferencyjnym; do ustalenia skali użyli biurowej linijki. Następnie sterylną plastikową pincetą unieśli kartkę i kopertę i umieścili w dwóch osobnych workach na dowody. Froelich podpisała formularz potwierdzający ich przekazanie, a technicy zabrali list do siebie. Następnie dwadzieścia minut spędziła, rozmawiając przez telefon. Pilnowała Armstronga, który wysiadł z helikoptera marynarki wojennej w bazie Andrews i ruszył do domu.

- W porządku, wszystko bezpieczne - oznajmiła w końcu. - Na razie.

Neagley ziewnęła i przeciągnęła się.

- To zrób sobie przerwę. Bądź gotowa na ciężki tydzień.

- Czuję się tak głupio - mruknęła Froelich. - Nie wiem, czy to zabawa, czy wszystko dzieje się serio.

- Za bardzo się przejmujesz - powiedziała Neagley.

Froelich wbiła wzrok w sufit.

- Co teraz zrobiłby Joe?

Reacher uśmiechnął się i zawiesił głos.

- Pewnie poszedłby do sklepu i kupił sobie garnitur.

- Mówię poważnie.

- Na minutę zamknąłby oczy i rozpracował całą sprawę niczym zadanie szachowe. Czytał Karola Marksa, wiedziałś? Mówił, że Marks tłumaczył każde zdarzenie jednym prostym pytaniem, które brzmiało: kto na tym zyska?

- I co?

- Założmy, że to rzeczywiście ktoś z wewnątrz. Karol Marks powiedziałby: w porządku, jeden z waszych ludzi chce na tym zyskać. Joe zapytałby: dobra, ale jak zamierza zyskać?

- Sprawiając, że zbłąźnię się na oczach Stuyvesanta?

- I zostaniesz zdegradowana bądź zwolniona. Bo w ten sposób on na tym zyska. To byłby jego cel. I to jedyny cel. W takiej sytuacji Armstrongowi nic nie grozi. To najważ-

niejsze. A potem Joe powiedziałby: dobra, załóżmy, że to nie ktoś z wewnątrz. Załóżmy, że to człowiek z zewnątrz. W jaki sposób on chce na tym zyskać?

- Zabijając Armstronga.

- I to coś mu daje. Joe stwierdziłby, że musisz zachowywać się tak, jakby to był człowiek z zewnątrz. Działać bardzo spokojnie, bez paniki i przede wszystkim skutecznie. W ten sposób upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zachowując spokój, nie pozwolisz zyskać człowiekowi z wewnątrz. Jeśli ci się uda, udaremnisz plany człowieka z zewnątrz.

Froelich, wyraźnie sfrustrowana, skinęła głową.

- Ale z kim mamy do czynienia? Co powiedzieli sprzątacze?

- Nic - odparł Reacher. - Osobiście uważam, że ktoś, kogo znają, przekonał ich, by przemycili list do środka, lecz nie chcą się do tego przyznać.

- Powiem Armstrongowi, żeby jutro został w domu.

Reacher pokręcił głową.

- Nie możesz. Jeśli to zrobisz, co dzień będziesz w każdym cieniu widziała zagrożenie. A on będzie się ukrywał przez następne cztery lata. Po prostu zachowaj spokój. Bądź twarda.

- Łatwo powiedzieć.

- Łatwo zrobić. Odetchnij głęboko.

Przez chwilę Froelich stała bez ruchu, milczała. W końcu przytaknęła.

- Dobrze - zdecydowała. - Załatwię wam kierowcę. Bądźcie tu o dziewiątej rano. Mamy kolejną naradę strategiczną, dokładnie tydzień po pierwszej.

* * *

Poranek był wilgotny i bardzo zimny, jakby przyroda miała już dosyć jesieni i szykowała się do zimy. Spaliny snuły się po ulicach niskimi białymi pasmami. Piesi maszerowali szybko chodnikami, ukrywając twarze pod maskami szalików. Neagley i Reacher spotkali się o ósmej

czterdzieści na postoju taksówek przed hotelem. Czekał już tam na nich samochód Secret Service, parkujący nieprzepisowo z włączonym silnikiem. Kierowca stał tuż obok. Miał około trzydziestki, ubrany był w ciemny płaszcz i rękawiczki. Wspiął się na palce, niespokojnie wodząc wzrokiem po twarzach tłumu. Oddychał ciężko, wydmuchując w powietrze biały obłok pary.

- Sprawia wrażenie zdenerwowanego - zauważyła Neagley.

Wewnątrz samochodu było bardzo ciepło. Przez całą drogę kierowca nie odezwał się ani razu. Nie powiedział nawet, jak się nazywa; po prostu przeciskał się przez poranny korek. Z piskiem opon wjechał do podziemnego garażu.

Poprowadził ich szybko do holu i do windy. Wjechali trzy piętra w górę i dotarli do recepcji. Za ladą siedział inny mężczyzna. Ręką wskazał korytarz prowadzący do sali konferencyjnej.

- Zaczęli już bez was - poinformował. - Lepiej się pośpieszcie.

W sali konferencyjnej zastali wyłącznie Froelich i Stuyvesanta siedzących naprzeciw siebie po przeciwnych stronach stołu. Oboje milczeli, oboje byli bladzi. Na lśniącym blacie między nimi leżały dwa zdjęcia. Jedno oficjalne, zrobione wczoraj przez techników FBI, przedstawiające liczącą osiem słów wiadomość. Dzień, w którym umrze Armstrong, zbliża się niechybnie. Drugie wykonane polaroidem i przedstawiało inną kartkę papieru. Reacher podszedł bliżej i pochylił się nad nią.

- Cholera - rzucił.

Polaroid przedstawiał pojedynczy arkusik papieru listowego, dokładnie taki jak poprzednie trzy, ten sam format. Wydrukowana wiadomość, dwie linijki starannie wypośrodkowane w połowie wysokości. Sześć słów: Jutro zostanie przeprowadzona demonstracja waszej nieskuteczności.

- Kiedy to przyszło? - spytał.

- Dziś rano - odparła Froelich. - Poczta. Adresowane do Armstronga w jego biurze, ale cała jego poczta przechodzi przez nas.

- Gdzie nadane?

- W Orlando na Florydzie, stempel z piątku.

- Następny popularny ośrodek turystyczny - zauważył Stuyvesant.

Reacher przytaknął.

- Wyniki badania tego z wczoraj?

- Właśnie dostałam potwierdzenie przez telefon - odparła Froelich. - Wszystko jest identyczne, odcisk kciuka i tak dalej. Jestem pewna, że z tym będzie tak samo. Właśnie nad nim pracują.

Reacher długą chwilę wpatrywał się w zdjęcia. Odciski były całkowicie niewidoczne, miał jednak wrażenie, że je dostrzega. Zupełnie jakby świeciły w ciemności.

- Kazałem aresztować sprzątaczy - oznajmił Stuyvesant. Nikt się nie odezwał.

- Jaka jest wasza pierwsza reakcja? - spytał Stuyvesant.

- Żart czy prawdziwa groźba?

- Prawdziwa - odparła Neagley. - Tak myślę.

- Na razie to nie ma znaczenia - dodał Reacher. - Ponieważ jak dotąd nic się nie stało, a póki nie dowiemy się czegoś więcej, zachowujmy się, jakby była prawdziwa.

Stuyvesant skinął głową.

- To samo zalecała Froelich. Zacytowałem jej Karola Marksa, Manifest komunistyczny.

- Raczej Kapitał - poprawił Reacher. Podniósł ze stołu zdjęcie z polaroidu i obejrzał je ponownie. Było odrobinę rozmazane, papier wydawał się bardzo biały w świetle lampy błyskowej. Ale wiadomość pozostawała aż nadto wyraźna. - Dwa pytania - rzekł. - Po pierwsze: jak dobrze jest dziś zabezpieczony?

- Tak dobrze, jak tylko można - odparła Froelich. - Podoiłam jego zespół. Ma opuścić dom o jedenastej. Za-

miast zwykłej limuzyny wezwałam opancerzoną, pełna obsada. Po obu stronach domu montujemy namioty, ani na moment nie znajdzie się na otwartej przestrzeni. Powiemy mu, że to kolejne ćwiczenia.

- Wciąż jeszcze o niczym nie wie?

- Nie - odparła Froelich.

- Standardowa procedura - dodał Stuyvesant. - Nie mówimy im.

- Tysiące gróźb rocznie? - spytała Neagley.

Stuyvesant skinął głową.

- Właśnie. Większość to zwykły szum informacyjny. Czekamy, póki nie zyskamy absolutnej pewności, a nawet wtedy nie zawsze naciskamy. Mają na głowie ważniejsze rzeczy. Zmartwienia to nasza praca.

- Dobra, drugie pytanie - podjął Reacher. - Gdzie jest jego żona? Ma też dorosłe dziecko, zgadza się? Musimy założyć, że atak na rodzinę stanowiłby całkiem niezłą demonstrację waszej nieskuteczności.

Froelich przytaknęła.

- Jego żona jest tu, w Waszyngtonie. Wczoraj przyjechała z Dakoty Północnej. Póki zostanie w domu bądź w pobliżu, nic jej nie grozi. Córka jest na praktykach na Antarktydzie, meteorologia czy coś w tym stylu. Siedzi w chacie otoczonej setkami tysięcy kilometrów kwadratowych lodu. Nie moglibyśmy jej zapewnić lepszej ochrony.

Reacher odłożył zdjęcie na stół.

- Jesteś pewna siebie? - spytał. - Co do dzisiejszego dnia?

- Denerwuję się jak cholera.

- Ale?

- Jestem tak pewna, jak tylko potrafię.

- Chcę obserwować wszystko z Neagley.

- Sądzisz, że schrzanimy sprawę?

- Nie, ale i tak będziesz miała pełne ręce roboty. Jeśli nasz człowiek znajdzie się w pobliżu, możesz okazać się

zbyt zajęta, by go dostrzec. A jeżeli groźba jest prawdziwa i zechce zorganizować swoją demonstrację, będzie musiał znaleźć się w pobliżu.

- Zgoda - rzucił Stuyvesant. - Jedźcie tam z Neagley, będziecie wszystko obserwować.

* * *

Froelich zawiozła ich do Georgetown swym suburbanem. Przyjechali tuż przed dziesiątą, wysiedli trzy przecznice przed domem Armstronga, Froelich pojechała dalej. Dzień był zimny, lecz blade słońce starało się, jak mogło. Neagley stanęła nieruchomo i rozejrzała się na wszystkie strony.

- Pozycje? - spytała.

- Zataczamy kręgi w promieniu trzech przecznic. Ty zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ja przeciwnie. Po-tem zostaniesz na południu, ja na północy. Spotkamy się w jego domu, gdy wyjedzie.

Neagley skinęła głową i odeszła na zachód. Reacher po-maszerował na wschód, prosto w słabe poranne słońce. Nie-zbyt dobrze znał Georgetown. Poza zeszłym tygodniem, gdy obserwował dom Armstronga, zwiedzał je tylko raz, krótko, tuż po odejściu ze służby. Pamiętał studencką at-mosferę, kafejki i eleganckie rezydencje. Nie znał jednak tego miejsca tak, jak zna je policjant. Policjant polega na uczuciu, że coś nie pasuje, coś jest nie tak, wygląda nie-zwykle. Jakiś typ twarzy, marka samochodu nie pasują do tej dzielnicy. Kiedy ktoś nie mieszka w danym miejscu, nie potrafi odpowiedzieć na podobne pytania. Możliwe też, że w miejscu takim jak Georgetown w ogóle się nie da na nie odpowiedzieć. Wszyscy tutejsi mieszkańcy pochodzą skądinąd, są tu z jakiegoś powodu: studiują, pracują dla rządu. To miejsce przejściowe, ma tymczasową, stale zmie-niającą się populację. Kończysz studia, wyjeżdżasz. Zo-stajesz przegłosowany, przeprowadzasz się gdzie indziej. Robisz majątek, przenosisz się do Chavy Chase. Bankru-

tujesz, lądujesz w parku.

Zatem praktycznie każdy, kogo widział, mógł być podejrzany. Reacher potrafiłby przekonująco oskarżyć każdego. Kto był tu na miejscu? Stary porsche z zepsutą rurą wydechową przejechał obok z łoskotem. Tablice z Oklahomy, nieogolony kierowca. Kim był? Obok zardzewiałego rabbita parkował nowiuteńki mercury sable. Sable był czerwony, niemal na pewno wynajęty. Kto go wynajął? Jakiś gość, który przyjechał tu z zadaniem specjalnym? Reacher okrążył samochód, zajrzał przez szybę na tylne siedzenie: ani śladu płaszcza czy kapelusza. Nie dostrzegł też otwartej ryzy papieru biurowego firmy Georgia-Pacific ani pudełka lateksowych lekarskich rękawiczek. Do kogo należał rabbit? Studenta czy anarchysty z prowincji, który w domu ma drukarkę Hewlett-Packarda?

Na chodnikach dostrzegł ludzi. W każdej chwili było widać co najmniej cztery, pięć osób - młodych, starych, białych, czarnych, brązowych. Mężczyzn, kobiety, młodzież z plecakami pełnymi książek. Niektórzy kroczyli szybko, inni spacerowali. Jedni zmierzali wyraźnie do sklepu, inni równie wyraźnie wracali. Jeszcze inni sprawiali wrażenie, jakby szli gdzieś bez celu. Obserwował ich wszystkich kątem oka, ale nie zauważył nic wyjątkowego.

Od czasu do czasu sprawdzał wyższe okna. Było ich mnóstwo. Świetny teren dla strzelca. Labirynt domów, tylnych wyjść, wąskich alejek. Lecz karabin niczego by nie zdziałał w starciu z opancerzoną limuzyną. Zamachowiec potrzebowałby do tego pocisku przeciwpancernego. Choćby najpopularniejszego, AT-4. Dziewięćdziesięciocentymetrowa rura z włókna szklanego, wystrzeliwująca trzy-kilowy pocisk, zdolny przebić dwudziestosiedmiocentymetrowy pancerz. A potem w grę wchodził już efekt kumulacyjny. Dziura wlotowa pozostawała niewielka, toteż wybuch ograniczał się do wnętrza pojazdu. Z Armstronga

zostałyby maleńkie, zwęglone strzępy, nie większe niż ślubne konfetti. Reacher przebiegł wzrokiem po wysokich oknach. Wątpił, by limuzyna miała zbyt gruby pancierz na dachu. Uznał, że musi spytać o to Froelich. A także o to, czy często jeździ tym samym samochodem co jej podopieczny.

Skreślił za róg i znalazł się na końcu ulicy Armstronga. Ponownie uniósł wzrok ku wysokim oknom. Zwykła demonstracja nie wymagałaby prawdziwego pocisku. Karabin na nic by się nie zdał, ale dowód stanowiłby całkiem niezły. Parę odłupanych kawałków kuloodpornej szyby limuzyny z pewnością zostałyby zauważonych. Wystarczyłby nawet pistolet do paintballu. Kilka czerwonych plam na tylnym oknie też stanowiłoby jasną wiadomość. Lecz jak okiem sięgnąć na górnych piętrach panował spokój, okna były czyste, zasłonięte i zamknięte w obronie przed chłodem. Same domy wyglądały spokojnie i cicho, pogodnie i bogato.

Niewielka grupka gapiów zebrała się nieopodal oddziału Secret Service wznoszącego markizę pomiędzy domem Armstronga i krawężnikiem. Przypominała ona długi, wąski, biały namiot. Ciężkie białe płótno, całkowicie nieprzejrzyste. Z jednej strony przylegało dokładnie do cegieł wokół drzwi frontowych Armstronga, z drugiej wyjście otaczał kołnierz przypominający rękawy lotniskowe. Miał za zadanie dopasować się do kształtu limuzyny. Drzwi limuzyny otworzą się wewnątrz, Armstrong przejdzie z bezpiecznego zamknięcia w domu wprost do opancerzonego samochodu, ani na moment nie ukazując się obserwatorom.

Reacher obszedł szerokim łukiem grupkę ciekawskich. Nie wyglądali groźnie. Przypuszczał, że w większości to sąsiedzi, ubrani, jakby nie musieli iść daleko. Ruszył w głąb ulicy, cały czas szukając otwartych okien na górze. Z pewnością byłyby podejrzane przy takiej pogodzie. Ale niczego nie dostrzegł. Szukał też ludzi, którzy nic nie robią, i zna-

laż ich wielu. W tej dzielnicy w co drugim lokalu mieściła się kawiarenka, a w każdej z nich siedzieli klienci zabijający czas. Sączyli kawę z ekspresu, czytali gazety, rozmawiali przez telefony komórkowe, zapisywali coś w wymiętych notesach, bawili się elektronicznymi gadżetami. Reacher wybrał kafejkę, z której miał znakomity widok na południe, na całą ulicę, a także odrobinę na wschód i zachód. Kupił zwykłą czarną kawę i usiadł. Zaczął czekać, obserwując wszystko uważnie. O 10:55 na ulicy zjawił się czarny suburban i zaparkował tuż przy krawężniku na północ od namiotu. Po nim pojawił się długi czarny cadillac, który stanął dokładnie przy markizie. Za nim czarny lincoln town car. Wszystkie trzy sprawiały wrażenie bardzo ciężkich, wszystkie trzy miały wzmocnione okna i zaciemnione szyby. Z pierwszego wysypało się czterech agentów, którzy zajęli pozycje na chodniku - dwaj na północ od domu, dwaj na południe. Dwa radiowozy przejechały wolno ulicą. Pierwszy zatrzymał się na środku drogi spory kawałek przed konwojem Secret Service, drugi dalej, z tyłu. Oba zapaliły koguty, zatrzymując ruch. Nie był zbyt duży. Niebieski chevy malibu i złoty lexus czekały cierpliwie na przejazd. Reacher żadnego z nich nie widział wcześniej, żaden nie krążył po okolicy. Spojrzał na namiot, próbując zgadnąć, kiedy przejdzie nim Armstrong. Nie dało się. Wciąż wpatrywał się w koniec pod domem, gdy usłyszał ciche trzaśnięcie opancerzonych drzwi. Czterej agenci biegiem wrócili do suburbana i cały konwój wystartował. Pierwszy radiowóz śmignął naprzód. Suburban, cadillac

i town car dogoniły go i odjechały ulicą. Konwój zamykał drugi radiowóz. Cała piątka skręciła na wschód dokładnie przed kawiarenką Reachera. Opony zapiszczały na asfalcie, samochody przyspieszyły. Odprowadził je wzrokiem, potem odwrócił się z powrotem, popatrzył, jak tłumek na ulicy rozchodzi się powoli. W okolicy znów zapanował

spokój.

* * *

Obserwowali odjazd kawalkady z punktu obserwacyjnego około osiemdziesięciu metrów od miejsca, w którym siedział Reacher. Obserwacja potwierdziła to, co już wiedzieli. Duma zawodowa nie pozwalała im skreślić dojazdów do pracy jako niemożliwych, lecz nie uznali ich za sprzyjającą sposobność. Zdecydowanie nie. W istocie gorszej już nie znali. Całe szczęście strona sieciowa oferowała znacznie bardziej kuszące okazje.

Nieco okrężną trasą pokonali kolejne ulice i bez żadnych przygód wrócili do wynajętego czerwonego sable'a.

* * *

Reacher pociągnął ostatni łyk kawy i pomaszerował w stronę domu Armstrongów. W miejscu gdzie drogę blokował namiot, zszedł na jezdnię. Biały płócienny tunel prowadził wprost do frontowych drzwi Armstronga. Drzwi były zamknięte. Reacher szedł dalej; zatrzymał się na chodniku tuż przed Neagley, nadchodzącą z przeciwnej strony.

- W porządku? - spytał.

- Kilka okazji - odparła. - Nie widziałam nikogo, kto chciałby je wykorzystać.

- Ja też nie.

- Podoba mi się namiot i opancerzony wóz.

Reacher przytaknął.

- To eliminuje karabiny.

- Nie do końca - rzekła Neagley. - Snajperski kaliber pięćdziesiąt przebiłby pancerz pociskiem AP lub API Browninga.

Reacher się skrzywił. Oba pociski budziły respekt. Standardowy pocisk przeciwpancerny przebija stalowy pancerz, pocisk przeciwpancerno-zapalający przepala się przezeń na wylot. W końcu jednak pokręcił głową.

- Nie miałby szansy wycelować. Najpierw musiałby za-

czekać, aż zjawi się samochód. Mieć pewność, że Armstrong jest w środku. A potem strzelić do dużego jadącego pojazdu o ciemnych oknach. Szansa jedna na sto, że trafiłby akurat siedzącego w środku Armstronga.

- Potrzeba zatem AT-4.

- Tak też pomyślałem.

- Wyposażonego w ładunek wybuchowy do ataku na samochód. Można też wstrzelić bombę fosforową do domu.

- Skąd?

- Wykorzystałbym okno na piętrze w domu obok rezydencji Armstronga, po drugiej stronie uliczki. Ochrona skupia się z przodu.

- Jak byś się tam dostała?

- Udając kogoś uprawnionego, hydraulika, pracownika elektrowni. Kogokolwiek, kto mógłby przyjść z dużą skrzynką na narzędzia.

Reacher przytaknął, milczał.

- To będą ciężkie cztery lata - dodała Neagley.

- Albo osiem.

W tym momencie usłyszeli za sobą syk opon i szum potężnego silnika. Gdy się odwrócili, Froelich wyskakiwała już ze swego suburbana. Przystanęła obok nich, dwadzieścia metrów przed domem Armstronga. Gestem wezwała ich do samochodu. Neagley siadła z przodu, Reacher wyciągnął się na tylnych siedzeniach.

- Widzieliście kogoś? - spytała.

- Mnóstwo ludzi - odparł Reacher. - Od żadnego nie kupiłbym taniego zegarka.

Froelich zdjęła stopę z hamulca i powoli ruszyła naprzód, nie dodając gazu. Cały czas trzymała się krawężnika. Zaha-mowała ponownie, gdy tylne drzwi ustawiły się dokładnie na poziomie wyjścia z namiotu. Oderwała dłoń od kierownicy i przemówiła do mikrofonu zamocowanego na przegubie.

- Jedynka gotowa.

Reacher spojrział w prawo poprzez płócienny tunel, ujrzał otwierające się drzwi frontowe i wychodzącego mężczyznę. To był Brook Armstrong we własnej osobie. Od pięciu miesięcy gazety prześcigały się w drukowaniu jego fotografii, a niedawno Reacher sam przez cztery dni śledził każdy jego krok. Armstrong miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze khaki, w rękę trzymał skórzaną teczkę. Maszerował przez namiot - ani wolno, ani szybko. Zza progu obserwował go agent w garniturze.

- Konwój był fałszywy - oznajmiła Froelich. - Od czasu do czasu tak robimy.

- Mnie nabraliście - odparł Reacher.

- Nie mówcie mu, że to nie ćwiczenia - poprosiła Froelich. — Pamiętajcie, on wciąż o niczym nie wie.

Reacher wyprostował się i przesunął, by zrobić miejsce. Armstrong otworzył drzwi, siadł obok niego.

- Dzień dobry, M.E. - rzekł.

- Dzień dobry, proszę pana - odparła. - To moi współpracownicy, Jack Reacher i Frances Neagley.

Neagley odwróciła się nieco, Armstrong wyciągnął długą rękę między siedzeniami, by uścisnąć jej dłoń.

- Ja panią znam - powiedział. - Spotkaliśmy się na przyjęciu w czwartek. Jest pani jedną z darczyńców.

- Prawdę mówiąc, pracuje dla ochrony - odparła Froelich. - Przeprowadzaliśmy tam pewne tajne ćwiczenia. Analizę skuteczności zabezpieczeń.

- Byłam zachwycona - dodała Neagley.

- Wspiania! - chwalił Armstrong. - Proszę mi wierzyć, jestem bardzo wdzięczny za to, jak doskonale wszyscy się mną zajmują. Nie zasłużyłem sobie na to, naprawdę.

Wspianiały, pomyślał Reacher. W głosie Armstronga, jego wyrazie twarzy, oczach widać było wyłącznie prężne zainteresowanie osobą Neagley, jakby wołał rozmawiać z nią niż z kimkolwiek innym na całym świecie. Musiał mieć też świetną pamięć, skoro zdołał ją zapamię-

tać spośród tysiąca osób obecnych na przyjęciu cztery dni temu. O tak, urodzony polityk. Teraz odwrócił się, uściśnął dłoń Reachera i rozświetlił wnętrze samochodu uśmiechem szczerej radości.

- Miło mi pana poznać, panie Reacher - zapewnił.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Reacher i odkrył, że także się uśmiecha. Od razu polubił faceta. Armstrong miał mnóstwo uroku osobistego, otaczała go aura charyzmy. A jeśli nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tego uznać za polityczne udawanki, wciąż można było zachwycić się tym, co zostało, i to bardzo.

- Pan też pracuje w ochronie? - spytał Armstrong.

- Jestem doradcą - wyjaśnił Reacher.

- Spisujecie się naprawdę na medal. Cieszę się, że z nami pracujecie.

W słuchawce Froelich coś pisnęło i kobieta ruszyła na przód, zmierzając w stronę Wisconsin Avenue. Dołączyła do ruchu, kierując się na południe i wschód, do centrum miasta. Słońce znów zniknęło, za przyciemnianymi szybami miasto wyglądało szaro i smutno. Armstrong westchnął cicho, z ukontentowaniem wpatrując się w domy za oknem, jakby wciąż budziły w nim zachwyty. Pod płaszczem miał na sobie nieskazitelny garnitur, gładką koszulę i jedwabny krawat. Wyglądał imponująco. Reacher miał nad nim pięć lat, siedem i pół centymetra i dwadzieścia kilo przewagi, ale w porównaniu z Armstrongiem czuł się drobny, nieciekawym i słabym. Jednocześnie jednak wiceprezydent wyglądał bardzo prawdziwie, uczciwie - można było z łatwością wyobrazić go sobie w starej, podartej kraciastej kurtce rąbiącego drewno na podwórzu. Wyglądał na poważnego polityka, ale też fajnego faceta. Był wysoki, kipiał energią. Błękitne oczy, przeciętne rysy twarzy, niesforne włosy migoczące złotem. Sprawiał wrażenie sprawnego fizycznie - nie sprawnością nabytą na siłowni, lecz jakby urodził się silny. Miał silne ręce, pozbawione

ozdób poza wąską złotą obrączką. Popękane, niezadbane paznokcie.

- Wojskowe szkolenie? Mam rację? - spytał.

- Ja? - odparła Neagley.

- Myślę, że oboje. Oboje jesteście cały czas czujni. On obserwuje mnie, a pani okna, zwłaszcza na światłach. Znam takie zachowanie, mój ojciec był wojskowym.

- Zawodowym?

Armstrong się uśmiechnął.

- Nie czytała pani mojej oficjalnej biografii. Zamierzał zostać na służbie, ale jeszcze przed moimi narodzinami zdrowie zmusiło go do odejścia i zajął się przemysłem drzewnym. Ale nigdy nie stracił tego czegoś, zawsze wyglądał na wojskowego.

Froelich zjechała z M Street i ruszyła równolegle do Pennsylvania Avenue, mijając biura prezydenckie i Biały Dom. Armstrong wyciągnął szyję, przyglądając mu się z uwagą. Uśmiechnął się, wokół jego oczu zarysowała się sieć kurzych łapek.

- Niewiarygodne, prawda - rzekł. - Ze wszystkich ludzi zdumionych moim pojawieniem się tutaj ja jestem zaskoczony najbardziej, wiercie mi.

Froelich minęła własne biuro w budynku Departamentu Skarbu, kierując się w stronę widocznej w dali kopuły Kapitolu.

- Czy w Departamencie Skarbu nie pracował przypadkiem Reacher? - spytał Armstrong.

Świetna pamięć do nazwisk, pomyślał Reacher.

- Mój starszy brat - wyjaśnił.

- Jaki ten świat mały - zauważył jego rozmówca.

Froelich dotarła do Constitution Avenue, okrążyła Kapitol, skręciła w lewo w First Street i skierowała się w stronę białego namiotu prowadzącego do bocznego wejścia biur senackich. Po obu stronach parkowały dwie limuzyny Secret Service, czterech agentów stało na chod-

niku. Sprawiali wrażenie czujnych i mocno zmarzniętych. Froelich zatrzymała się tuż przy krawężniku przy wylocie namiotu. Sprawdziła pozycję, podjechała kilka centymetrów dalej, tak aby drzwi Armstronga znalazły się wewnątrz osłony. Reacher ujrzał czekającą w tunelu trójkę agentów. Jeden z nich wystąpił naprzód, otworzył drzwi suburbaną. Armstrong uniósł brwi, jakby cała ta krzątanina mocno go bawiła.

- Miło mi było was poznać - rzekł. - I dzięki, M.E.
Potem wysiadł w płócienny półmrok, zamknął za sobą drzwi, agenci otoczyli go i odprowadzili w stronę budynku.

Reacher dostrzegł czekających wewnątrz strażników w mundurach. Armstrong przeszedł przez próg, drzwi się za nim zatrzasknęły. Froelich odjechała od krawężnika, minęła zaparkowane samochody i skierowała się na północ, w stronę Union Station.

- W porządku - rzuciła z wyraźną ulgą. - Jak dotąd wszystko dobrze.

- Trochę ryzykowałeś - zauważył Reacher.

- Ryzyko jak dwa do dwustu osiemdziesięciu jeden milionów - dodała Neagley.

- O czym wy mówicie?

- Jedno z nas mogło wysłać te listy.

Froelich się uśmiechnęła.

- Uznałam, że to nie wy. Co o nim myślicie?

- Spodobał mi się - powiedział Reacher. - Naprawdę.

- Mnie też - dodała Neagley. - Podoba mi się od czwartku. I co teraz?

- Przez cały dzień będzie tam miał spotkania. Lunch zje w jadalni, około siódmej zabierzemy go do domu. Żona będzie już czekać. Wypożyczymy im kasetę czy coś w tym stylu. Pozostaną tam cały wieczór.

- Potrzebne nam informacje - stwierdził Reacher. - Nie wiemy, jak dokładnie może wyglądać ta demonstracja ani gdzie się odbędzie. To może być wszystko, począwszy od

graffiti. Nie chcemy, by coś nam umknęło, jeśli w ogóle się wydarzy.

Froelich skinęła głową.

- Sprawdzimy o północy, zakładając, że dożyje do północy.

- Chcę też, żeby Neagley jeszcze raz przesłuchała sprzętaczki. Jeśli dowiemy się od nich tego, czego potrzebujemy, będziemy mogli odpocząć.

- Chciałabym - westchnęła Froelich.

* * *

Wysadzili Neagley przed aresztem federalnym, po czym wrócili do biura Froelich. Czekały już tam na nich pisemne raporty z laboratoriów FBI, dotyczące dwóch ostatnich listów. Niczym nie różniły się od pierwszych dwóch. Znaleźli też jednak dodatkowy raport chemika, który wykrył coś nietypowego w odciskach palców.

- Skwalen - powiedziała Froelich. - Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

Reacher pokręcił głową.

- To acykliczny węglowodór, rodzaj oleju. Chemicy znaleźli jego ślady w odciskach palców. W trzecim i czwartym nieco więcej niż w pierwszym i drugim.

- W odciskach zawsze jest olej. W ten sposób powstają.

- Ale zwykle to typowy olej z ludzkiej skóry. To co innego. $C_{30}H_{50}$. To rybi olej, występuje w wątrobie rekinów.

Przesunęła kartkę po biurku. Pokrywały ją skomplikowane informacje na temat chemii organicznej. Skwalen był olejem naturalnym używanym jako staroświecki smar w delikatnych urządzeniach, takich jak zegarki mechaniczne. Na dole dopisano też, że po uwodornieniu skwalen pisany przez „e” zamienia się w skwalan pisany przez „a”.

- Co to znaczy uwodornianie? - spytał Reacher.

- Dodaje się wody? - zgadywała Froelich.

Wzruszył ramionami, a ona sięgnęła na półkę, wyjęła

słownik i otworzyła na literze „u”.

- Nie — rzekła. - To znaczy, że do cząsteczki przyłącza się dodatkowe atomy wodoru.

- No tak, teraz wszystko jasne. Miałem marne oceny z chemii.

- To znaczy, że nasz człowiek może zajmować się łowieniem rekinów.

- Albo zarabia na życie, patrosząc ryby - dodał Reacher.

- Albo pracuje w sklepie rybnym. Albo to zegarmistrz i miał wybrudzone ręce, bo smarował jakiś mechanizm.

Froelich otworzyła szufladę, pogrzebała w teczce i wyciągnęła kolejną kartkę. Podała mu ją. Było to zdjęcie wielkości naturalnej, przedstawiające odcisk kciuka.

- To nasz człowiek? - spytał Reacher.

Froelich przytaknęła. Odcisk był bardzo wyraźny, może najwyraźniejszy, jaki Reacherowi zdarzyło się oglądać. Wszystkie krawędzie i spirale odcisnęły się idealnie. Wyraźnie i zdumiewająco prowokująco. Był też wielki, bardzo duży. Poduszczerka kciuka liczyła niemal trzy centymetry szerokości.

Reacher położył obok własny kciuk. Był mniejszy, a nie miał najdelikatniejszych dłoni na świecie.

- To nie jest kciuk zegarmistrza - mruknęła Froelich.

Reacher powoli skinął głową. Facet musiał mieć ręce jak kiście bananów i szorstką skórę, by odcisk rysował się tak wyraźnie.

- Pracuje fizycznie - stwierdził.

- Czyli rybak - odparła Froelich. - Gdzie się łowi rekiny?

- Może na Florydzie.

- Orlando jest na Florydzie.

W tym momencie zadzwieczał jej telefon. Podniosła słuchawkę, jej twarz zmarkotniała, wbiła wzrok w sufit, przyciskając słuchawkę ramieniem.

- Armstrong musi złożyć wizytę w Departamencie Pracy - powiedziała. - I chce iść pieszo.

Budynek Departamentu Skarbu od biur senackich dzieliło dokładnie cztery i pół kilometra. Froelich całą drogę prowadziła jedną ręką, rozmawiając przez telefon. Niebo było szare, ruch gęsty, jazda bardzo wolna. Zaparkowała u wylotu białego namiotu przy First Street, wyłączyła silnik i jednocześnie zatrzasnęła telefon.

- Czy goście z Departamentu Pracy nie mogliby przyjść tutaj? - spytał Reacher.

Pokręciła głową.

- To kwestia polityczna. Czekają ich spore zmiany i będzie uprzejmiej, jeśli to Armstrong złoży im wizytę.

- A czemu chce iść pieszo?

- Bo nie znosi zamknięcia. Lubi świeże powietrze i jest uparty.

- Gdzie dokładnie ma iść?

Wskazała wprost na zachód.

- Niecały kilometr w tę stronę. Jakies sześćset, siedemset metrów przez Capitol Plaza.

- On do nich dzwonił czy oni do niego?

- On do nich.

- Możesz go powstrzymać?

- Teoretycznie. Ale naprawdę bym nie chciała. W tej chwili nie mam ochoty na takie spory.

Reacher odwrócił się i powiódł wzrokiem po ulicy za nimi. Nie dostrzegł niczego poza szarym niebem i samochodami pędzącymi Constitution Avenue.

- No to mu pozwól - rzekł. - On do nich dzwonił. Nikt nie wywabia go z budynku, to nie podstęp.

Froelich zerknęła przez szybę, potem odwróciła się i wyjrzała bocznym oknem nad ramieniem Reachera, spoglą-

dając w głąb namiotu. Otworzyła telefon i znów zamieniła kilka słów z ludźmi z biura. Posługiwała się skrótami i żargonem, którego nie znał. Skończyła rozmowę, zamknęła telefon.

- Ściągamy tu helikopter policyjny - oznajmiła. - Będzie latał nisko, demonstracyjnie nisko. Armstrong musi przejść obok ambasady Armenii, rozmieścimy tam dodatkowych policjantów, wtopią się w tłum. Ja pojedę za nim, będę się trzymać pięćdziesiąt metrów z tyłu. Chcę, żebyś poszedł przodem. Miej oczy szeroko otwarte.

- Kiedy zaczynamy?

- W ciągu dziesięciu minut. Idź w głąb ulicy i w lewo.

- Dobra - zgodził się Reacher.

Froelich ponownie uruchomiła silnik i podjechała nieco naprzód, by mógł wysiąść na chodnik obok namiotu. Natychmiast zapiął kurtkę i ruszył naprzód First Street, a potem w lewo C Street. Przed sobą widział sznur samochodów na Delaware Avenue, dalej rozciągał się Capitol Plaza: niskie drzewa o nagich konarach, szerokie brązowe trawniki, ścieżki wysypane kamieniami, pośrodku fontanna, staw z prawej, po lewej czyjś pomnik.

Wymijając samochody, przebiegł przez Delaware i wyszedł na plac. Pod stopami zachrzęściły mu kamyki. Było bardzo zimno, a podeszwy miał cienkie. Odnosił wrażenie, że kamienie na ścieżce zmieszano z tłuczonym lodem.

Zatrzymał się tuż przed fontanną i rozejrzał. Całkiem nieźle. Na północy otwarty teren, a potem półokrąg flag stanowych, kolejny pomnik i potężny budynek Union Station. Na południe nic aż do Kapitolu po drugiej stronie Constitution Avenue. Z przodu na zachód budynek, w którym zapewne mieścił się Departament Pracy. Reacher okrążył fontannę, skupiając wzrok przed sobą. Nie dostrzegł niczego, co wzbudzałoby niepokój. Praktycznie brak kryjówek, żadnych okien w pobliżu. W parku było trochę ludzi, ale żaden zabójca nie tkwi w pobliżu cały

dzień, licząc, że ofiara akurat zmieni plany.

Szedł dalej. Po drugiej stronie placu, dokładnie naprzeciwko pomnika, zaczynał się kolejny odcinek C Street. W istocie pomnik bardziej przypominał sterczącą kamienną płytę. Na wskazującym go znaku napisano, że to pomnik Tafta. C Street przecinała New Jersey Avenue, a potem Louisiana Avenue. Przejścia dla pieszych, duży ruch. Armstrong straci trochę czasu, czekając na światłach. Po lewej stronie widział ambasadę Armenii, przed którą zatrzymywał się właśnie radiowóz. Zaparkował przy krawężniku, wysiadło z niego czterech policjantów. Reacher usłyszał łoskot helikoptera. Odwrócił się i ujrzał maszynę lecącą nisko z północnego zachodu, okrążającą zamknięty obszar powietrzny nad Białym Domem. Tuż przed sobą widział Departament Pracy, mnóstwo wygodnych bocznych przejść. Przeszedł C Street i znalazł się na północnym chodniku. Spacerkiem cofnął się pięćdziesiąt metrów w stronę placu. Zaczął czekać. Helikopter wisiał w powietrzu, dość nisko, by rzucać się w oczy, wystarczająco wysoko, by nie ogłuszać rykiem silnika. Reacher dostrzegł suburbaana Froelich wyłaniającego się zza zakrętu.

Samochód przystanął, czekał przy krawężniku, on zaś obserwował ludzi. Większość wyraźnie się spieszyła. Było zbyt zimno na wolne spacerowanie. Dostrzegł grupkę mężczyzn po przeciwnej stronie fontanny. Sześciu facetów w ciemnych płaszczach otaczało siódmego w zgniłozielonym płaszczu przeciwdeszczowym. Maszerowali samym środkiem ścieżki z piaskowca. Dwaj agenci z przodu rozglądali się czujnie, pozostali skupiali się ciasno wokół Armstronga. Wyminęli fontannę i skierowali się w stronę New Jersey Avenue. Stanęli na światłach. Armstrong nie miał czapki, wiatr rozwiewał mu włosy. Obok przejeżdżały samochody, nikt nie zwracał na niego uwagi. Kierowcy i piesi żyli w zupełnie innych światach, różniących się podejściem do czasu i przestrzeni. Froelich

utrzymywała dystans. Jej suburban czekał przy krawężniku pięćdziesiąt metrów z tyłu. Światło się zmieniło, Armstrong wraz z ochroną ruszył naprzód. Jak dotąd, operacja przebiegała gładko.

A potem przestała.

Najpierw powiew wiatru zepchnął helikopter policyjny ze stanowiska. A później, gdy Armstrong i jego ochrona znaleźli się w połowie trójkątnego klina pomiędzy New Jersey Avenue i Louisiana Avenue, do gry wkroczył gwałtownie samotny pieszy, oddalony od nich o dziesięć metrów, mężczyzna w średnim wieku, wychudzony, długowłosy, brodaty, wyraźnie zaniedbany. Na sobie miał przewiązany paskiem płaszcz przeciwdeszczowy, wyświecony ze starości. Przez ułamek sekundy zamarł bez ruchu, po czym rzucił się w stronę Armstronga, stawiając długie, energiczne kroki i wymachując bezsensownie rękami. Usta miał szeroko otwarte, wykrzywione grymasem. Dwaj najbliżsi agenci skoczyli naprzód, by go przechwycić.

Pozostała czwórka cofnęła się i ciasno otoczyła Armstronga, manewrując tak, by stanąć między nim i szaleńcem, co sprawiło, że Armstrong został całkowicie odsłonięty z przeciwnej strony.

Zmyłka, pomyślał Reacher i obrócił się gwałtownie. Nic. Nigdzie nic nie dostrzegł. Tylko miasto - zimne, nieruchome, obojętne. Sprawdził okna, szukając śladów ruchu. Szukał błysku słońca na szkle. Nic, absolutnie nic. Przyglądał się samochodom na ulicach. Przejeżdżały szybko, obojętnie, żaden nie zwalniał. Odwrócił się z powrotem i ujrzał szaleńca leżącego na ziemi. Przytrzymało go dwóch agentów, dwaj kolejni pilnowali go z odległości paru kroków, celując z broni. Suburban Froelich przyspieszył, szybko pokonał zakręt. Froelich zatrzymała się gwałtownie i dwaj agenci przeprowadzili Armstronga przez chodnik na tylne siedzenie.

Ale suburban nie ruszył, po prostu tam tkwił. Samochodo-

dy wymijały go spokojnie. Helikopter powrócił na poprzednią pozycję, obniżył pułap i zawisł nad miejscem wypadku. Nic się nie działo. Po chwili Armstrong wysiadł z wozu. Dwaj agenci wyszli wraz z nim, podprowadzili go do szalonego mężczyzny na chodniku. Armstrong przykucnęła, oparł łokcie na kolanach. Wyglądało na to, że coś mówi. Froelich, nie gasząc silnika, dołączyła do niego. Uniosła rękę, powiedziała coś do mikrofonu na przegubie. Po długiej chwili zza zakrętu wynurzył się miejski radiowóz. Podjechał do suburbana. Armstrong wstał, patrząc, jak agenci z bronią ciągną mężczyznę do radiowozu. Policjanci odjechali, Froelich wróciła do swojego samochodu, a Armstrong znów otoczony eskortą pomaszzerował dalej w stronę Departamentu Pracy. Śmigłowiec płynął im nad głowami. Gdy w końcu przekroczyli Louisiana Avenue, Reacher wrócił przez jezdnię i podbiegł do siedzącej w wozie Froelich. Przekręcona w swym fotelu obserwowała oddalającego się Armstronga. Postukał w jej okno, a ona szarpnęła się gwałtownie, zaskoczona. Zobaczyła, kto to, i opuściła szybę.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Z powrotem odwróciła się, by obserwować Armstronga.

- Chyba oszalałam.

- Kto to był?

- Jakiś włóczęga. Sprawdzimy go, ale już w tej chwili mogę powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego. To niemożliwe. Gdyby to on przysłał nam listy, w biurze jeszcze czulibyśmy woń burbona. Armstrong chciał z nim pomówić. Twierdził, że mu go żal. A potem uparł się, że dalej pójdzie pieszo. To wariat, a ja chyba zwariowałam, bo mu pozwoliłam.

- Czy wracać też chce piechotą?

- Najprawdopodobniej. Marzę o tym, żeby spadł deszcz. Czemu deszcz nigdy nie pada, gdy go potrzebujesz? Gdyby za godzinę lunęło, naprawdę by mi to pomogło.

Reacher zerknął w niebo, było szare i zimne, ale chmury wisiały wysoko, nie wyglądały groźnie. Nie zanosiło się na deszcz.

- Powinnaś mu powiedzieć - stwierdził. Froelich pokręciła głową i spojrzała na niego.

- My tego nie robimy. Po prostu nie.

- No więc powinnaś kazać komuś z jego ludzi, by wezwał go pospiesznie, jakby zdarzyło się coś pilnego. Wtedy będzie musiał podjechać.

Ponownie pokręciła głową.

- To on wszystkim kieruje, sam ustala tempo. Nic nie jest pilne, chyba że on tak powie.

- No to wyjaśnij mu, że potrzebujecie kolejnych ćwiczeń. Sprawdźcie nową taktykę czy coś w tym stylu.

Zerknęła na niego.

- To chyba mogłabym zrobić. Wciąż jesteśmy na etapie wstępnym. Wolno nam z nim ćwiczyć. Może?

- Spróbuj - poradził. - Powrót jest bardziej niebezpieczny. Ktoś ma parę godzin, by dowiedzieć się o wszystkim.

- Wsiadaj - rzuciła. - Wyglądasz na zmarzniętego.

Reacher okrążył maskę suburbana i wsunął się na fotel pasażera. Rozpiął kurtkę, pozwalając, by do środka wniknęło rozgrzane powietrze. Siedzieli i patrzyli, póki Armstrong i jego opiekunowie nie zniknęli w budynku Departamentu Pracy. Froelich natychmiast zadzwoniła do biura. Pozostawiła instrukcje, że mają ją poinformować, nim Armstrong cokolwiek zrobi. Następnie wrzuciła bieg, ruszyła na południe i zachód, w stronę wschodniego skrzydła Galerii Narodowej. Tam skręciła w lewo, minęła lśniący staw kapitolijski, i znów w prawo, w Independence Avenue.

- Dokąd jedziemy? - spytał Reacher.

- W sumie donikąd - odparła. - Po prostu zabijam czas. I próbuję zdecydować, czy powinnam zrezygnować już dzisiaj, czy też dalej się wysilać.

Minęła kolejne muzea, skręciła w lewo, w Czternastą Ulicę. Po prawej ujrzeni Biuro Druków i Grawerunków, oddzielające ich od zbiornika wodnego. Wielki szary budynek. Froelich zatrzymała się przy krawężniku naprzeciw głównego wejścia. Nie wyłączała silnika, stopę trzymała na pedale hamulca. Uniosła głowę i spojrzała w jedno z okien na piętrze.

- Joe spędził tu sporo czasu - rzekła. - Kiedy projektowali nową studolarówkę. Uznał, że jeśli ma ją chronić, powinien mieć swój wkład w jej powstanie. To było dawno temu.

Wciąż unosiła głowę. Reacher widział linię jej szyi i miejsce, w którym zniknęła w kołnierzyku bluzki. Milczał.

- Czasem spotykaliśmy się tutaj - ciągnęła Froelich. - Albo na stopniach pomnika Jeffersona. Wieczorami spacerowaliśmy wokół zbiornika, wiosną, latem.

Reacher zerknął w prawo. Niski pomnik przycupnął pośród nagich drzew, odbijając się w nieruchomej wodzie.

- Kochałam go, wiesz? - dodała Froelich.

Milczał. Spojrzał tylko na jej rękę spoczywającą na kierownicy, na przegub. Był szczupły, idealna skóra, ślady wyblakłej letniej opalenizny.

- A ty jesteś do niego bardzo podobny.

- Gdzie mieszkał?

Zerknęła na niego.

- Nie wiesz?

- Chyba nigdy mi nie powiedział.

Cisza w samochodzie.

- Miał apartament w Watergate.

- Wynajęty?

Skinęła głową.

- Prawie pusty, zupełnie jak tymczasowy.

- Pewnie. Reacherowie nie mają żadnego majątku. Nigdy nie mieli.

- Ale rodzina waszej matki owszem. Mieli posiadłości

we Francji.

- Naprawdę?

- Tego też nie wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście wiedziałem, że pochodzili z Francji, ale chyba nigdy nie słyszałem o ich stanie majątkowym.

Froelich zsunęła nogę z hamulca, spojrziała w lusterko, wrzuciła bieg i dołączyła do sznura samochodów.

- Obaj mieliście dziwne pojęcie o rodzinie - zauważyła.

- Wtedy wydawało się nam normalne - odparł. - Myśleliśmy, że wszystkie rodziny są takie.

Rozległ się niski elektroniczny świergot, to zadzwonił jej telefon. Froelich odebrała, posłuchała przez chwilę, rzuciła „dobra” i zamknęła klapkę.

- To Neagley - oznajmiła. - Skończyła ze sprzątacami.

- Ma coś?

- Nie powiedziała. Spotkamy się w biurze. Froelich okrążyła The Mail od strony południowej, po czym skręciła na północ, w Czternastą Ulicę. Znow zadzwoniła komórka. Otworzyła ją jedną ręką, słuchała, nie zwalniając. Nie odezwała się ani słowem, zatrzasnęła telefon. Zerknęła na ruchliwą ulicę przed nimi.

- Armstrong jest gotów do powrotu. Spróbuję go przekonać, żeby pojechał ze mną. Zostawię cię pod garażem.

Zjechała rampą i zatrzymała się tak, by Reacher mógł wyskoczyć. Potem zawróciła w ciasnej przestrzeni i zniknęła na ulicy. Reacher znalazł drzwi ze wzmocnioną szybą. Schodami pomaszerował do holu zjedną windą. Wjechał na trzecie piętro i zastał Neagley czekającą w recepcji. Siedziała wyprostowana w obitym skórą fotelu.

- Jest tu gdzieś Stuyvesant? - spytał Reacher.

Pokręciła głową.

- Poszedł obok, do Białego Domu.

- Chcę obejrzeć tę kamerę.

Razem ruszyli w głąb piętra i po chwili znaleźli się w

kwadratowym biurze poczekalni przed gabinetem Stuyvesanta. Sekretarka siedziała przy biurku. Z otwartej torebki wyjęła małe lustro w rogowej oprawie i błyszczący do ust. Sprawiały, że wyglądała niemal ludzko. Niezwykle sprawna sekretarka, ale też miła osoba. Dostrzegła ich i szybko odłożyła akcesoria kosmetyczne, jakby zawstydziała się, że ją z nimi ujrzeli. Reacher spojrział nad jej głową na kamerę. Neagley popatrzyła na drzwi Stuyvesanta, potem zerknęła na sekretarkę.

- Pamięta pani tamten ranek, gdy pojawił się tu list? - spytała.

- Oczywiście - odparła sekretarka.

- Czemu pan Stuyvesant zostawił tu swoją teczkę?

Sekretarka zastanowiła się przez moment.

- Bo był czwartek.

- Co się dzieje w czwartki? Ma jakieś wczesne spotkanie?

- Nie, jego żona jeździ do Baltimore. We wtorki i czwartki.

- Jaki to ma związek?

- Pracuje jako ochotniczka w szpitalu.

Neagley spojrzała jej prosto w oczy.

- Jaki to ma wpływ na teczkę jej męża?

- Ona prowadzi - wyjaśniła sekretarka. - Zabiera samochód, mają tylko jeden. Nie mają wozu służbowego, bo pan Stuyvesant nie jest już agentem operacyjnym. Musi zatem przyjeżdżać do pracy metrem.

Neagley patrzyła na nią zdumiona.

- Pociągiem?

Sekretarka przytaknęła.

- Ma specjalną teczkę na wtorki i czwartki. Musi stawić ją na podłodze wagonika metra. Nie zrobiłby tego ze swoją zwykłą teczką, bo uważa, że podłoga jest brudna.

Neagley stała bez ruchu. Reacher powrócił pamięcią do taśm wideo. Przypomniał sobie Stuyvesanta wychodzące-

go z pracy wieczorem we środę, powracającego w czwartek rano.

- Nie dostrzegłem żadnej różnicy - wtrącił. - Dla mnie wyglądały tak samo.

Sekretarka skinęła głową.

- Bo są identyczne. Ta sama firma, ten sam typ. Pan Stuyvesant nie chce, by ludzie się zorientowali, ale jedna jest do samochodu, a druga do metra.

- Czemu?

- On nienawidzi brudu. Myślę, że się go boi. We wtorki i czwartki nie zabiera teczek do gabinetu, zostawia ją tu na cały dzień. To ja muszę przynosić mu potrzebne rzeczy. Jeśli pada deszcz, zostawia tu też buty, zupełnie jakby jego gabinet był japońską świątynią.

Neagley spojrzała z ukosa na Reachera, skrzywiła się lekko.

- To nieszkodliwe dziwactwo - dodała szybko sekretarka. Potem zniżyła głos, jakby szef mógł ją usłyszeć aż w Białym Domu. - I według mnie absolutnie zbędne. Waszyngtońskie metro słynie z tego, że jest najczystsze na całym świecie.

- W porządku - odparła Neagley. - Ale mimo wszystko to dziwne.

- Nieszkodliwe - powtórzyła sekretarka.

Reacher stracił zainteresowanie, wyminął ją i obejrzał drzwi przeciwpożarowe. Na wysokości pasa ujrzał poręcz blokady. Z pewnością wymagały jej miejskie przepisy przeciwpożarowe. Nacisnął palcami i blokada kliknęła gładko. Pchnął nieco mocniej, a ona opadła, dotykając lakierowanego drewna. Drzwi otworzyły się lekko. Były ciężkie, ognioodporne, utrzymywały je trzy potężne stalowe zawiasy. Reacher przekroczył próg i znalazł się na niewielkiej kwadratowej klatce schodowej. Stopnie zrobiono z betonu, były nowsze niż kamienne ściany budynku. Biegły z samej góry na poziom ulicy, zabezpieczone stalowymi poręczami.

czami. Na ścianach rozmieszczono szklane lampy awaryjne osłonięte metalowymi klatkami. Najwyraźniej cała ta konstrukcja powstała podczas modernizacji budynku i przystosowywania go do pracy biurowej.

Z drugiej strony drzwi wyposażono w zwykłą gałkę uruchamiającą ten sam zatrzask co blokada. Choć dostrzegł dziurkę od klucza, nie była zamknięta, obróciła się z łatwością. To ma sens, pomyślał. Budynek był zabezpieczony jako całość, nie ma potrzeby dodatkowego izolowania poszczególnych pięter. Pozwolił, by drzwi zamknęły się za nim i przez sekundę stał na pograżonej w półmroku klatce schodowej. Ponownie przekręcił klamkę, otworzył drzwi. Wystarczył krok, by znów znalazł się w jasnej poczekalni. Obrócił się na pięcie, spojrzał wprost w kamerę telewizji przemysłowej. Wisiała mu tuż nad głową, ustawiona tak, by uchwycić go podczas drugiego kroku. Reacher przesunął się odrobinę naprzód, pozwalając, by drzwi się za nim zamknęły. Znów sprawdził kamerę. Teraz już go widziała, a od drzwi Stuyvesanta dzieliły go ponad dwa metry.

- To sprzątacze zostawili list - powiedziała sekretarka. - Nie ma innej możliwości.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Przepraszyła uprzejmie i odebrała. Reacher i Neagley ruszyli z powrotem labiryntem korytarzy i znaleźli biuro Froelich. Było ciche, ciemne i puste. Neagley zapaliła lampy halogenowe i usiadła przy biurku. W pomieszczeniu stało tylko jedno krzesło, toteż Reacher usiadł na podłodze, wyciągając nogi, oparty plecami o boczną ściankę szafek.

- Opowiedz mi o sprzątaczach - poprosił.

Neagley wystukiwała na blacie długimi palcami skomplikowany rytm. Ostre postukiwanie paznokci kontrastowało z miękkimi plaśnięciami poduszczyk palców.

- Zaprawnikowani po uszy - oznajmiła. - Departament przysłał im adwokatów, poznali też swoje prawa. Ich pra-

wa obywatelskie są w pełni chronione. Jakież cudowny jest świat cywilny, prawda?

- Rewelacyjny. Co powiedzieli?

- Niewiele. Zaniknęli się w sobie, uparci jak diabli. Ale też widać, że diabelsko się denerwują. Tkwią w potrzasku. Najwyraźniej boją się ujawnić, kto im kazał umieścić tam list. Równie mocno jednak boją się utraty pracy i może więzienia. Tak czy inaczej, nie mogą wygrać. Kiepsko to wygląda.

- Wspomniałaś nazwisko Stuyvesanta?

- Głośno i wyraźnie. Oczywiście je znają, ale nie jestem pewna, czy wiedzą, kim dokładnie jest. Pracują na nocną zmianę, oglądają wyłącznie puste biura, nie ludzi. W ogóle nie zareagowali na jego nazwisko. Na nic nie zareagowali, po prostu tam siedzieli śmiertelnie przerażeni, patrzyli na swych adwokatów i milczeli.

- Kiedyś byłaś lepsza. O ile pamiętam, ludzie jedli ci z ręki.

Skinęła głową.

- Mówiłam, starzeję się. Nie mogłam znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Zresztą ich adwokaci mi nie pozwolili. Cywilny wymiar sprawiedliwości jest bardzo irytujący. Nigdy nie czułam się tak odizolowana od podejrzanych.

Reacher milczał, zerknął na zegarek. - I co teraz? - spytała Neagley.

- Czekamy - odparł.

* * *

Czas płynął powoli. Froelich wróciła po półtorej godziny, meldując, że Armstrong jest bezpieczny w swoim biurze. Przekonała go, by pojechał z nią samochodem. Powiedziała, iż rozumie, że wolałby spacer, ale jej zespół musi jeszcze popracować nad zgraniem wszystkich działań, a nie ma lepszej okazji niż w tej chwili. Naciskała do tego stopnia, że odmowa wydawałaby się kaprysem gwiaz-

dy, a Armstrong nie był taki. Toteż radośnie wsiadł do suburban. Przejście przez namiot w biurach senackich poszło gładko.

- Teraz zajmij się telefonami - polecił Reacher. - Sprawdź, czy stało się coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

Najpierw zadzwoniła do policji waszyngtońskiej. Dysponowali zwykłą listą przestępstw i wykroczeń, ale żadnego z nich nie dało się uznać za demonstrację nieskuteczności ochrony Armstronga. Froelich przełączyła się na posterunek, do którego trafił szaleniec z chodnika. Wysłuchiwała długiego raportu na jego temat. Odwiesiła słuchawkę i pokręciła głową.

- Żadnego związku - oznajmiła. - Znają go: iloraz inteligencji poniżej osiemdziesięciu, alkoholik, sypia na ulicach, ledwie umie czytać. Odciski palców też nie pasują. Ma bogate akta, rzuca się na każdego, kogo widział w gazetach, którymi się przykrywa. Coś w rodzaju cyklofrenii. Możemy o nim zapomnieć.

- W porządku - odparł Reacher.

Następnie Froelich otworzyła bazę danych Narodowego Centrum Informacji Kryminalnej i sprawdziła najnowsze rekordy. Spływały z całego kraju w tempie ponad jeden na sekundę, szybciej, niż zdołałaby je czytać.

- To beznadziejne - uznała. - Musimy poczekać do północy.

- Albo pierwszej nad ranem - dodała Neagley. - W Bismarck może wydarzyć się coś według czasu środkowoamerykańskiego. Mogą ostrzelać mu dom albo wybić szybę kamieniem.

Froelich zadzwoniła więc do policji w Bismarck i poprosiła o natychmiastowe powiadomienie, gdyby wydarzyło się tam cokolwiek choćby najsłabiej powiązanego z osobą Armstronga. Potem przekazała tę samą prośbę policji stanowej Dakoty Północnej i FBI w całym kraju.

- Może do niczego nie dojdzie - rzekła.

Reacher odwrócił wzrok.

Módl się, aby doszło, pomyślał.

* * *

Około siódmej wieczorem budynek zaczął się wyludniać. Większość osób widocznych na korytarzach wędrowała w stronę głównego wyjścia. Mieli na sobie płaszcze, w rękach dźwigali torby i teczki.

- Wymeldowaliście się z hotelu? - spytała Froelich.

- Tak - rzekł Reacher.

- Nie - powiedziała Neagley. - Jestem nieznośnym gościem.

Froelich zawahała się, jakby lekko urażona. Reachera jednak nie zdziwiły słowa Neagley. Jego koleżanka była osobą ceniącą samotność, zawsze trzymała się z boku, nie wiedział dlaczego.

- Dobrze - mruknęła Froelich. - Ale powinniśmy zrobić sobie przerwę, odpocząć, spotkać później. Podrzucę was, a potem spróbuję bezpiecznie odwieźć Armstronga do domu.

Razem zjechali do garażu, Froelich odpaliła silnik suburbana i zawiozła Neagley do hotelu. Reacher poszedł wraz z nią aż do recepcji i odebrał swoje ubrania z Atlantic City. Wraz ze starymi butami, szczoteczką do zębów i maszynką do golenia tkwiły w czarnym worku na śmieci, który zabrał z wózka pokojówki. Boy hotelowy patrzył na niego wzgardliwie, ale Reacher się nie przejął. Zresztą portier i tak zaniósł torbę do suburbana. Tam Reacher odebrał mu ją i wręczył dolara napiwku. Potem usiadł z powrotem obok Froelich. Na dworze było zimno, ciemno i wilgotno. Samochody poruszały się leniwie we wszechobecnych korkach. Przed sobą widzieli długie linie oślepiających czerwonych świateł stopu, naprzeciwko równie długie linie jasnych, białych reflektorów. Jechali na południe mostem Jedenastej Ulicy i dalej poprzez labirynt ulic aż do domu Froelich, która zatrzymała samochód, blokując uliczkę. Nie wyłączając silnika, zdjęła z

breloczka klucz od domu, wręczyła go Reacherowi.

- Wróć za parę godzin - oznajmiła. - Rozgość się.

Reacher zabrał worek, wysiadł i odprowadził ją wzrokiem. Froelich skręciła w prawo, zamierzała zatoczyć pętlę i wrócić innym mostem. Wkrótce zniknęła mu z oczu. Przeszedł przez chodnik, otworzył drzwi frontowe. W domu było ciepło i ciemno, w powietrzu unosił się zapach perfum właścicielki. Reacher zamknął za sobą drzwi, pomacał w poszukiwaniu włącznika. Na niewielkiej komo-dzie zapłonęła słaba żarówka, osłonięta żółtym abażurem, dająca miękkie, łagodne światło. Położył obok niej klucz, worek cisnął pod schody i wszedł do salonu. Zapalił światło, przeszedł do kuchni, rozejrzał się.

Za drzwiami dostrzegł stopnie wiodące do piwnicy. Przez sekundę stał bez ruchu, czując ukłucie rutynowej ciekawości. Był to wyuczony odruch, podobnie jak oddychanie. Ale czy uprzejmość pozwala przeszukać dom gospodarza, bo tak nakazuje nawyk? Oczywiście, że nie. Nie potrafił jednak oprzeć się pokusie. Zszedł schodami, zapalając po drodze światła. Sama piwnica okazała się ciemnym pomieszczeniem o gładkich betonowych ścianach. Stał w niej piec i filtr do wody, pralka i elektryczna suszarka, regały, stare walizki, mnóstwo najróżniejszych śmieci, ale nic ważnego. Wrócił na górę, zgasił światła. Naprzeciw schodów, obok kuchni, dostrzegł kolejne pomieszczenie, za duże na szafę, za małe na pokój. Może kiedyś mieściła się w nim spiżarka. Teraz wyposażono je jak niewielkie domowe biuro. Krzesło na kółkach, biurko, półki, wszystkie na oko liczące sobie kilka lat. Wyglądały jak tanie wersje mebli biurowych, mocno już zużyte, może kupione z drugiej ręki. Na biurku stał komputer, także dość stary, grubym kablem połączony z drukarką atramentową. Reacher wrócił do kuchni.

Sprawdził tam wszystkie miejsca, w których kobiety zwykle coś ukrywają, i znalazł pięćset dolarów w różnych

banknotach, schowane w kamionkowym garnku na najwyższej szafie kredensu. Gotówka na czarną godzinę, może jeszcze z czasu pluskwy roku dwutysięcznego. W szufladzie, starannie przykrytą stosem śniadaniowych mat, odkrył też dziewięćmilimetrową berettę M9, starą, podrapaną, poplamioną zaschniętym smarem. Prawdopodobnie broń z demobilu, przekazana do innego departamentu. Bez wątplenia należała do Secret Service. Pistolet nie był naładowany, brakowało magazynka. Reacher otworzył następną szufladę po lewej i jego dłoń spoczęła na czterech magazynkach ułożonych w szeregu pod rękawicą kuchenną. Wszystkie były załadowane standardowymi pociskami w metalowych płaszczach. Dobre wieści i złe wieści. Kryjówkę wybrała mądrze: broń wyciągasz prawą ręką, magazynek lewą. Ergonomiczne. Ale przechowywanie pełnych magazynków to kiepski pomysł. Gdy leżą zbyt długo, sprężyna magazynka słabnie i przestaje prawidłowo działać. Zużyte sprężyny to najczęstszy powód zablokowania broni. Lepiej przechowywać pistolet z jednym pociskiem w komorze, a pozostałe trzymać luzem. Można strzelić prawą ręką, lewą wsuwając kule do pustego magazynka. To nieco wolniejsze, ale znacznie lepsze niż sytuacja, gdy po naciśnięciu spustu słyszy się jedynie głuchy szcęk.

Zasunął szuflady kuchenne i wrócił do salonu. Nic, poza wydrażoną książką na półce, na dodatek pustą. Reacher włączył telewizor, działał. Znał kiedyś faceta, który przechowywał różne rzeczy wewnątrz wybebeszonego telewizora. Jego kwaterę przeszukano osiem razy, nim komukolwiek przyszło do głowy, by sprawdzić, czy wszystko działa jak należy.

W przedpokoju nic nie znalazł, nic nie zostało przyklejone pod szufladami w niewielkiej komódce. W łazienkach także nic. Nic ważnego w sypialniach, prócz pudełka na buty pod łóżkiem Froelich, pełnego listów zaadresowanych

pismem Joego. Odłożył je, nie czytając. Wrócił na dół i zabrał swój worek do pokoju gościnnego. Postanowił, że odczeka godzinę, po czym zje sam, jeśli Froelich nie wróci. Zamówi zupełną ostro-kwaśną i generała Tso, były całkiem niezłe. Ułożył szczoteczkę i maszynkę obok umywalki. Ubranie z Atlantic City powiesił w szafie obok porzuconych garniturów Joego. Przyjrzał się im uważnie, po czym długą chwilę stał bez ruchu. W końcu wybrał jeden na oślep i wyciągnął.

Plastikowy worek rozdarł się podczas zdejmowania. Był sztywny i kruchy. Na metce wewnątrz garnituru widniało jedno włoskie słowo, wyhaftowane pełnym zawijasów pismem. Nie rozpoznał marki. Materiał przypominał w dotyku najlepszą wełnę, był ciemnoszary i nieco połyskliwy. Acetatowa podszewka udawała ciemnoczerwony jedwab - a może faktycznie był to jedwab. Widniało na nim logo firmy. Na plecach nie było rozcięcia. Reacher ułożył marynarkę na łóżku, obok niej spodnie, zwykłe, proste, bez zaszewek i mankietów.

Wrócił do szafy i poszukał koszuli, zdjął z niej worek. Czyste białe płótno, kołnierzyk bez guziczków, niewielka metka na szyi, z dwoma nazwiskami zbyt niewyraźnymi, by je przeczytać. Ktoś & Ktoś. Albo ekskluzywny londyński krawiec, albo też naprawdę niezła podróbka. Materiał był dość ciężki, nie gruby jak mundur, ale też nie zwiewny jak puch.

Reacher rozsznurował buty, zdjął kurtkę i dzinsy, powiesił na krześle. To samo uczynił z podkoszulkiem i białą koszulką. Wszedł do łazienki, odkręcił prysznic, stanął pod nim. Znalazł mydło i szampon. Mydło było zaschnięte i twarde jak kamień, szampon zgęstniał, niemal zatykając butelkę. Froelich najwyraźniej rzadko miewała gości. Reacher wsunął butelkę pod strumień gorącej wody i po chwili otworzył siłą. Umył włosy, namydlił ciało. Wychylił się, chwycił maszynkę i ogolił się starannie. Spłukał pianę, wyszedł

spod prysznicą i ociekając wodą, zaczął szukać ręcznika. Znalazł go w końcu w szafce - gruby i nowy, zbyt nowy, by dobrze wchłaniał wodę, jedynie rozmazywał ją po skórze. Reacher postarał się wytrzeć, potem owinał się wokół pasa i przeczesał palcami włosy. Wrócił do sypialni, podniósł koszulę Joego. Zawahał się sekundę, po czym nałożył

ją, podniósł kołnierzyk i zapiął pod szyją. Zapiął resztę guzików, otworzył drzwi szafy i sprawdził odbicie w lustrze. Pasowała idealnie, zupełnie jakby uszyto ją na niego. Zapiął mankiety. Długość rękawów w sam raz. Przekręcił się w prawo i w lewo i dostrzegł półkę za wieszakiem. Widać ją było dzięki temu, że wcześniej wyjął garnitur i koszulę. Na półce leżały starannie zwinięte, ułożone obok siebie krawaty. Obok nich paczki w bibułce wprost z pralni. Otworzył jedną z nich i ujrzał stos czystych, białych bokserek. W drugiej leżały poskładane parami czarne skarpety.

Wrócił na łóżko i ubrał się w strój brata. Wybrał ciemnobrazowy krawat z dyskretnym wzorem, angielskim, niczym jeden z krawatów szkolnych bądź klubowych. Reacher zawiązał go i wsunął pod kołnierzyk. Naciągnął parę bokserek i skarpetki, potem spodnie od garnituru. W końcu włożył marynarkę, do tego nowe buty. Wytarł je rozdartą bibułką, oczyszczając z błota. Wyprostował się i wrócił do lustra. Garnitur pasował doskonale; miał odrobinę za długie rękawy i nogawki, bo Joe był nieco wyższy od niego, i może trochę opinał ramiona, ponieważ Reacher był ciut masywniejszy. W sumie jednak wyglądał imponująco, jak zupełnie inny człowiek. Starszy, bardziej władczy, poważniejszy. Ktoś taki jak Joe.

Pochylił się i wyciągnął z szafy tekturowe pudełko. Było ciężkie. W tym momencie usłyszał dobiegający z dołu dźwięk. Ktoś stał przed drzwiami i pukał. Reacher odłożył pudełko na miejsce, zszedł po schodach, otworzył drzwi.

To była Froelich. Stała w wieczornej mgle, unosząc rękę, gotowa znów zapukać. Padające z ulicy światło sprawiało, że jej twarz kryła się w cieniu.

- Oddałam ci swój klucz - rzekła.

Cofnął się, wpuszczając ją do środka. Froelich uniosła wzrok i zamarła. Na oślep sięgnęła za siebie, zatraskując drzwi, i oparła się o nie ciężko. Cały czas na niego patrzyła. Dostrzegł coś w jej oczach, sam nie wiedział - wstrząs, strach, panikę, ból?

- Co się stało? - spytał.

- Wzięłam cię za Joego - odparła. - Przez chwilę.

Do jej oczu napłynęły łzy. Odchyliła głowę, opierając ją o drewniane drzwi. Zamrugła, próbując się opanować. Znów spojrzała na niego i rozplakała się gwałtownie. Przez sekundę Reacher stał bez ruchu, potem podszedł do niej i objął ją. Froelich upuściła torebkę i wtuliła mu się w pierś.

- Przepraszam - powiedział. - Mierzyłem jego garnitur.

Nie odpowiedziała, cały czas płakała.

- To głupie z mojej strony.

Pokręciła głową, nie potrafił jednak stwierdzić, czy chciała powiedzieć: owszem, to głupie, czy też nie, wcale nie. Objęła go mocno i trzymała. Jedną ręką przyciskał ją w pasie, drugą przygładził jej włosy. Stali tak kilka minut. Froelich próbowała powstrzymać łzy, zachłysnęła się dwukrotnie i odsunęła. Otarła oczy wierzchem dłoni.

- Nie twoja wina - rzekła.

Nie odpowiedział.

- Wyglądałeś zupełnie jak on. Kupiłam mu ten krawat.

- Przepraszam, nie pomyślałem.

Pochyliła się, sięgnęła do torebki i wyjęła chusteczkę. Wydmuchała nos i przygładziła włosy.

- O Boże - westchnęła.

- Przepraszam - powtórzył.

- Nie przejmuj się, nic mi nie będzie.

Milczał.

- Po prostu świetnie wyglądałeś - mruknęła - kiedy tam stałeś.

Wpatrywała się w niego otwarcie. Po chwili wyciągnęła rękę i wyprostowała mu krawat. Dotknęła plamki na koszuli w miejscu, gdzie materiał zmoczyły jej łzy. Przesunęła palcami po kłapach marynarki. Podeszła bliżej, wspięła się na palce, objęła go za szyję i ucałowała w usta.

- Świetnie - powtórzyła i pocałowała go mocno jeszcze raz.

Reacher przez chwilę się powstrzymywał, potem odpowiedział mocnym pocałunkiem. Usta miała zimne, język szybki, zręczny. Lekko smakowała szminką, zęby miała małe i gładkie. Reacher czuł na jej skórze i we włosach nutkę perfum. Jedną rękę położył nisko na boku Froelich, drugą za głową. Czuł napierające na swe ciało piersi. Jej szyja ustępowała lekko pod dotykiem. Włosy wciskały się między palce. Dłoń na jego karku była zimna, nagłaca. Palce przeczesywały króciutkie włosy. Czuł na skórze dotyk paznokci. Przesunął rękę na plecy Froelich. Nagle zamarła. Zastygła bez ruchu, odsunęła się, oddychała ciężko, oczy miała zamknięte. Zakryła usta wierzchem dłoni.

- Nie powinniśmy tego robić - stwierdziła.

Spojrzał na nią.

- Zapewne nie - przytaknął.

Otworzyła oczy, milczała.

- Co w takim razie powinniśmy zrobić? - spytał.

Froelich przeszła bokiem do salonu.

- Nie wiem - odparła. - Chyba zjeść obiad. Czekałeś?

Poszedł za nią.

- Tak - powiedział. - Czekałem.

- Jesteś do niego bardzo podobny.

- Wiem.

- Wiesz, co mam na myśli?

Reacher skinął głową.

- Widzisz we mnie część tego, co widziałaś też w nim.

- Ale czy jesteś taki jak on?

Wiedział dokładnie, o co pyta. Czy tak samo patrzy na świat, ma podobny gust, pociągają go podobne kobiety?

- Jak już mówiłem - odparł - są między nami podobieństwa i są różnice.

- To nie jest odpowiedź.

- On nie żyje - oznajmił Reacher. - Tu masz odpowiedź.

- A gdyby żył?

- Wówczas wiele rzeczy wyglądałoby inaczej.

- Przypuśćmy, że w ogóle bym go nie znała, że zdobyłabym skądinąd twoje nazwisko.

- Wtedy pewnie by mnie tu nie było.

- A gdybyś jednak był?

Spojrzał na nią, odetchnął głęboko, wstrzymał powietrze w płucach i wypuścił powoli.

- W takim wypadku wątpię, abyśmy stali tu i rozmawiali o obiedzie.

- Może nie byłbyś substytutem - rzekła. - Może to ty jesteś ten właściwy, a Joe był substytutem.

Reacher milczał.

- To wszystko jest strasznie dziwne - mruknęła. - Nie możemy tego robić.

- Nie - zgodził się. - Nie możemy.

- Minęło tyle czasu, sześć lat.

- Z Armstrongiem wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziała. - Wszystko w porządku.

Reacher milczał.

- Pamiętaj, że zerwaliśmy ze sobą rok przed jego śmiercią. Nie jestem pogrążoną w rozpacz widową czy kimś w tym rodzaju.

Nie odpowiedział.

- A ty też nie przypominasz pogrążonego w smutku brata - dodała. - Prawie go nie znałeś.

- Jesteś za to wściekła?

Skinęła głową.

- Był samotny, potrzebował kogoś. No więc tak, jestem trochę wściekła.

- Nie tak bardzo jak ja.

Froelich milczała. Uniosła rękę i zerknęła na zegarek. Gest ten zaskoczył Reachera, toteż również sprawdził godzinę. Mała wskazówka pokazała 9:30. W tym momencie w stojącej w przedpokoju otwartej torebce odezwał się telefon. Jego dzwonek zabrzmiał ogłuszająco.

- To moi ludzie - wyjaśniła Froelich - z domu Armstronga.

Cofnęła się do przedpokoju, pochyliła i odpowiedziała. Rozłączyła się bez słowa.

- Cisza i spokój. Prosiłam, by dzwoniли co godzinę.

Reacher przytaknął. Froelich unikała jego wzroku. Chwila minęła.

- Powtórka z chińskiej? - spytała.

- Pasuje - odparł. - To samo.

Froelich zadzwoniła z kuchni do restauracji, po czym zniknęła na górce, by wziąć prysznic. Reacher czekał w salonie. Kiedy zjawił się dostawca, odebrał od niego jedzenie. Po chwili Froelich zeszła, usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Zaparzyła kawę i powoli, w milczeniu wypili po dwa kubki. Dokładnie o wpół do jedenastej znów zadzwieczał telefon. Froelich położyła go obok na blacie i odpowiedziała natychmiast. Krótka wiadomość.

- Spokój - oznajmiła. - Wszystko gra.

- Przestań się martwić - poradził. - Nie zorganizują nalołu, by go załatwić.

Froelich uśmiechnęła się nagle. - Pamiętasz Harry'ego Trumana?

- Mój ulubiony prezydent - wyznał Reacher. - Z tego, co mi wiadomo.

- Nasz też, z tego, co nam wiadomo. Pewnego razu, gdzieś

w roku 1950, w Białym Domu urządzono remont i Truman mieszkał w Blair House, po drugiej stronie Pennsylvania Avenue. Dwóch facetów próbowało go zabić. Jednego zgarnęli gliniarze na ulicy, drugi dotarł do drzwi. Nasi ludzie musieli odciągać od niego Trumana. Upierał się, że odbierze mu spluwę i wsadzi w dupę.

- Truman już taki był.

- O tak. Powinieneś usłyszeć kilka historyjek.

- Czy Armstrong też będzie taki?

- Możliwe. To zależy od danej chwili. Jest dość spokojny, ale to nie tchórz. I widziałam, że potrafi się wściec.

- No i wygląda na twardziela.

Froelich przytaknęła, spoglądając na zegarek.

- Powinniśmy wracać do biura, sprawdzić, czy coś się gdzieś stało. Ty zadzwoń do Neagley, ja posprzątam. Po wiedz, żeby była gotowa za dwadzieścia minut.

* * *

Przed 23:15 znaleźli się z powrotem w biurze. Żadnych wiadomości. Policja waszyngtońska nie miała dla nich nic ciekawego, podobnie Dakota Północna i FBI. Do bazy danych Narodowego Centrum Informacji Kryminalnych wciąż sływały informacje. Froelich zaczęła sprawdzać raporty z całego dnia. Nie znalazła niczego ciekawego. O 23:30 zadzwoniła komórka. W Georgetown nadal panowała cisza i spokój. Froelich wróciła do komputera. Nic. Czas płynął, nadeszła północ. Po poniedziałku nastał wtorek. W biurze zjawił się Stuyvesant. Po prostu stanął w drzwiach, tak jak wcześniej. Nic nie powiedział. Jedyne krzesło w pomieszczeniu należało do Froelich. Stuyvesant oparł się o framugę, Reacher siedział na podłodze, Neagley przysiadła na szafce.

Froelich odczekała dziesięć minut i zadzwoniła do policji waszyngtońskiej. Nic dla niej nie mieli. Skontaktowała się z budynkiem Hoovera. FBI twierdziło, że na wschodzie przed północą nie zdarzyło się nic ważnego.

Powróciła do monitora. Od czasu do czasu otwierała raport, lecz ani Stuyvesant, ani Reacher, ani Neagley w żaden sposób nie potrafili powiązać kolejnych wydarzeń z osobą Armstronga. Zegar przeskoczył na pierwszą w nocy, północ według czasu środkowoamerykańskiego. Froelich zadzwoniła na posterunek w Bismarck, nic dla niej nie mieli. Połączyła się z policją stanową Dakoty Północnej. Nic. Ponownie sprawdziła w FBI. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu minut z lokalnych biur nie spłynęło nic interesującego. W końcu odłożyła słuchawkę i odsunęła się od biurka. Odetchnęła z ulgą.

- Cóż, to tyle - rzekła. - Nic się nie wydarzyło.

- Wspaniale - ucieszył się Stuyvesant.

- Nie - nie zgodził się Reacher. - Wcale nie wspaniale.

To najgorsza wiadomość, jaką mogliśmy otrzymać.

8

Stuyvesant poprowadził ich prosto do sali konferencyjnej. Neagley szła obok Reachera, przez wąskie korytarze, tuż przy jego ramieniu.

- Świetny garnitur - szepnęła.

- To mój pierwszy - odszepnął. - Myślisz to samo co ja?

- Dokładnie to samo i pewnie oboje tak samo stracimy zaraz pracę. To znaczy, jeśli uważasz podobnie.

Korytarz skręcił, szli dalej. Stuyvesant zatrzymał się w końcu i gestem zaprosił ich do sali. Wszedł ostatni, zamknął drzwi, zapalił światło. Reacher i Neagley usiedli razem po jednej stronie długiego stołu. Stuyvesant zajął miejsce obok Froelich po przeciwnej. Zupełnie jakby się spodziewał, że rozmowa może doprowadzić do spięcia.

- Wyjaśnijcie mi to - polecił.

Sekunda ciszy.

- To z pewnością nie robota kogoś z wewnątrz - oznaj-

miła Neagley.

Reacher przytaknął.

- Choć sami okłamywaliśmy się, sądząc, że mamy do czynienia z jednym albo z drugim, cały czas chodziło o jedno i drugie naraz. Ale był to dość użyteczny skrót myślowy. Prawdziwe pytanie brzmiało: jakie są proporcje. Czy to przede wszystkim robota kogoś z wewnątrz z niewielką pomocą zewnętrzną. Czy też odwrotnie, kogoś z zewnątrz, komu pomaga ktoś z waszych.

- A pomoc to...? - spytał Stuyvesant.

- Potencjalny sprawca z wewnątrz potrzebował odcisku kciuka nie należącego do niego. Potencjalny zamachowiec spoza firmy musiał dostarczyć do budynku drugi list.

- I uznaliście, że to ktoś z zewnątrz? Reacher ponownie skinął głową.

- A to absolutnie najgorsza wiadomość, jaką mogliśmy dostać. Ponieważ podczas gdy ktoś z wewnątrz to po prostu irytująca przeszkoda, czynnik zewnętrzny może być naprawdę niebezpieczny.

Stuyvesant odwrócił wzrok.

- Kto to?

- Nie mam pojęcia - przyznał Reacher. - Człowiek spoza firmy, którego łączy coś z kimś od was. Dostatecznie mocna więź, by mógł dostarczyć wiadomość. I nic ponadto.

- A ktoś z wewnątrz to jeden ze sprzątaczy.

- Albo wszyscy - dodała Froelich.

- Tak zakładam, owszem - przyznał Reacher.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie.

- Skąd? - chciał wiedzieć Stuyvesant.

Reacher wzruszył ramionami.

- Mam wiele powodów. Niektóre drobne, jeden bardzo poważny.

- Wyjaśnij - powtórzył Stuyvesant.

- Zawsze szukam najprostszych rozwiązań - zaczął Reacher.

Stuyvesant skinął głową.

- Ja też. Jeśli słyszę tętent, myślę o koniach, nie zebrach. Ale w tym wypadku najprostsze rozwiązanie to ktoś z firmy próbujący zaleźć za skórę Froelich.

- Nie do końca - nie zgodził się Reacher. - Zastosowana metoda jest na to zbyt złożona. Ktoś z firmy robiłby to co zwykle. Najłatwiejsze wyjście. Wszyscy z pewnością widzieliśmy już podobne sytuacje. Tajemnicze awarie łączności i komputera, fałszywe wezwania pod nieistniejące adresy w najgorszej części miasta. Froelich zjawia się, wzywa wsparcie, nikt się nie pokazuje, ona wpada w panikę, zaczyna wrzeszczeć przez radio, powstaje nagranie i zaczyna krążyć. Każda organizacja zajmująca się prawem i porządkiem dysponuje mnóstwem podobnych przykładów.

- W tym żandarmeria wojskowa?

- Jasne, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety oficerów.

Stuyvesant pokręcił głową.

- Nie, to zwykły domysł. Ja pytam, skąd wiesz.

- Wiem, bo dziś nic się nie stało.

- Wyjaśnij - rzekł po raz trzeci Stuyvesant.

- To sprytny przeciwnik - oświadczył Reacher. - Jest inteligentny i pewny siebie, panuje nad wszystkim. Ale zagroził nam czymś i nie spełnił groźby.

- I co z tego? Po prostu mu nie wyszło.

- Nie - rzekł Reacher. - Nawet nie spróbował, bo nie wiedział, że musi. Bo nie wiedział, że dostaliśmy dziś jego list.

W sali zapadła cisza.

- Spodziewał się, że dotrze do nas jutro - ciągnął Reacher.

- Nadano go w piątek. Od piątku do poniedziałku to bardzo szybko jak na amerykańską pocztę. Zrządzenie losu. On założył, że list dojdzie we wtorek.

Nikt się nie odezwał.

- To człowiek z zewnątrz - kontynuował Reacher. - Nie ma żadnych bezpośrednich powiązań z departamentem, nie wie zatem, że jego groźba dotarła dzień wcześniej. W przeciwnym razie z pewnością spełniłby ją dzisiaj, bo to arogancki sukinsyn i nie chce sprawić nam zawodu. Możecie na to liczyć. Teraz czeka gdzieś gotów jutro spełnić groźbę. Dokładnie tak, jak planował od początku.

- No świetnie - mruknęła Froelich. - Jutro mamy kolejne przyjęcie dla darczyńców.

Stuyvesant milczał przez sekundę.

- Co proponujesz? - spytał.

- Musimy je odwołać - rzuciła Froelich.

- Nie, chodziło mi o strategię długoterminową - uściślił Stuyvesant. - I nie możemy niczego odwołać. Nie możemy po prostu się poddać i oznajmić, że nie potrafimy chronić naszego pracodawcy.

- Musicie być twardzi - oznajmił Reacher. - To tylko demonstracja, ma wam dopieć. Osobiście zgaduję, że w ogóle nie dotknie samego Armstronga. Wydarzy się gdzieś, gdzie był albo dopiero będzie.

- Na przykład? - spytała Froelich.

- Może w jego domu - podsunął Reacher. - Tu albo w Bismarck, są jeszcze biura. No wiecie, dramatyczny pokaz, podobnie jak te cholerne listy. Coś spektakularnego w miejscu, które Armstrong właśnie opuścił albo do którego się wybiera. Ponieważ w tej chwili mamy tu do czynienia z próbą sił. Facet obiecał nam demonstrację i myślę, że dotrzyma słowa. Założę się jednak, że jego następny ruch nie będzie bezpośredni. W przeciwnym razie czemu miałyby tak właśnie sformułować wiadomość? Po co ta gadka o demonstracji? Czemu po prostu nie napisze: Armstrong, dziś zginiesz.

Froelich milczała.

- Musimy go zidentyfikować - powiedział Stuyvesant.

- Co o nim wiemy?

Cisza.

- Cóż, wiemy, że znów zaczynamy oszukiwać samych siebie - odparł w końcu Reacher. - Albo znów mamy do czynienia ze skrótem myślowym. Bo to nie jest on, to oni. Zespół. To zawsze jest zespół. Dwie osoby.

- Domysły - mruknął Stuyvesant.

- Chciałbyś - upierał się Reacher. - Można tego dowieść.

- Jak?

- Od początku nie dawał mi spokoju fakt, że na liście oprócz śladów rękawiczek jest też odcisk kciuka. Czemu jedno i drugie? Albo jego odciski są w aktach, albo ich nie ma. Ale tu chodzi o dwie osoby. Gościowi od kciuka ni gdy nie pobierano odcisków. Temu w rękawiczkach owszem. To dwie osoby pracujące wspólnie.

Stuyvesant sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Dochodziła druga nad ranem.

- Już nas nie potrzebujecie - wtrąciła Neagley. - To nie jest dochodzenie wewnętrzne. Właśnie wyszło poza ten budynek.

- Nie - rzucił Stuyvesant. - Wciąż jest wewnętrzne, bo sprzątacze nadal coś ukrywają. Musieli spotkać się z tymi ludźmi, muszą wiedzieć, kto to.

Neagley wzruszyła ramionami.

- Daliście im prawników i bardzo utrudniliście sprawę.

- Na miłość boską, muszą mieć adwokatów - zaprote stował Stuyvesant. - Zostali aresztowani, takie jest prawo wynikające z szóstej poprawki.

- Pewnie tak - zgodziła się Neagley. - Powiedz mi w takim razie, czy jest jakieś prawo, które mówi, co robić, kiedy wiceprezydent zostanie zabity przed inauguracją?

- Owszem - odparła cicho Froelich. - Dwudziesta poprawka. Kongres wybiera innego.

Neagley przytaknęła.

- Z pewnością mają już gotową listę kandydatów. W sali zapadła cisza.

- Powinniście wciągnąć w to FBI - powiedział Reacher.

- Zrobię to - odparł Stuyvesant - kiedy zdobędziemy nazwiska, nie wcześniej.

- Widzieli już listy.

- Tylko w laboratorium. Ich lewica nie ma pojęcia, co czyni prawica.

- Potrzebujecie ich pomocy.

- I poproszę o nią, gdy tylko zdobędziemy nazwiska. Dam je Biuru na srebrnej tacy, ale nie powiem, skąd się wzięły. Nie powiem, że pomagał im ktoś z wewnątrz i z całą pewnością nie ściągnę ich, dopóki ktoś z wewnątrz wciąż w tym uczestniczy.

- To takie ważne?

- Żartujesz? CIA miała problem z tym Amesem, pamiętasz? Biuro się połapało i latami się z nich nabijali. Potem pojawił się Hanssen i sami zaczęli mieć kłopoty. Nie wyglądali już tak sprytnie. To gra w ekstraklasie, Reacher. W tej chwili Secret Service jest bezdyskusyjnym numerem jeden. W całej naszej historii zanotowaliśmy tylko jedną porażkę i to prawie czterdzieści lat temu. Nie zamierzamy zatem spaść w dół tabeli, ot tak, dla zabawy.

Reacher milczał.

- I nawet się nie nadymaj - ciągnął Stuyvesant. - Nie mów mi, że w wojsku zareagowalibyście inaczej. Nie przypominam sobie, abyście biegli po pomoc do Biura. Nie przypominam sobie, by wasze wstydlive sekrety trafiły do „Washington Post”.

Reacher przytaknął. Większość wstydliwych sekretów wojska została skremowana bądź pochowana sześć stóp pod ziemią, albo siedzi gdzieś w twierdzy, zbyt przerażona, by choćby otworzyć usta, ewentualnie tkwi w domu i boi się powiedzieć choć słowo nawet własnej matce. Parę takich spraw załatwił osobiście.

- Będziemy działać spokojnie i powoli, krok za krokiem - podjął Stuyvesant. - Udowodnijmy, że ci goście to ludzie z zewnątrz. Wyciągnijmy ich nazwiska od sprzątaczy

i do cholery z prawnikami.

Froelich pokręciła głową.

- Najważniejszą rzeczą jest dopilnować, by Armstrong dożył północy.

- To będzie tylko demonstracja - przypomniał Reacher.

- Słyszałam - odparła. - Ale tutaj decyzja należy do mnie. Ty tylko zgadujesz. Dysponujemy jedynie kilkoma słowami na kartce papieru. Twoja interpretacja może być błędna. W końcu, czy istnieje lepsza demonstracja niż doświadczenie, że naprawdę można to zrobić? To obnażyłoby naszą nieskuteczność. Czy jest jakiś lepszy sposób?

Neagley skinęła głową.

- A przy okazji mogliby zachować twarz. Nieudaną próbę wzięlibyśmy za zwykłą demonstrację.

- Jeśli w ogóle macie rację - dodał Stuyvesant.

Reacher milczał. Kilka minut później spotkanie dobiegło końca. Stuyvesant kazał Froelich sprawdzić dokładny plan zajęć Armstronga na następny dzień. Stanowił on połączenie znajomych elementów. Najpierw spotkanie w domu z agentami CIA, tak jak w piątek rano. Potem, po południu, spotkania na Wzgórzu Kapitołińskim, jak zwykle. Następnie wieczorne przyjęcie w tym samym hotelu co w czwartek. Stuyvesant zapisał wszystko i tuż przed wpół do trzeciej nad ranem pojechał do domu, zostawiając Froelich samą przy długim, skąpanym w jasnym blasku stole, siedzącą w ciszy naprzeciw Reachera i Neagley.

- Jakież rady? - spytała.

- Jedź do domu i prześpij się - odparł Reacher.

- Super.

- A potem rób dokładnie to, co do tej pory - dodała Neagley. - W domu nic mu nie grozi. W biurze nic mu nie grozi. Nie zdejmujcie namiotów, przesiadki też są bezpieczne.

- A przyjęcie w hotelu?

- Powinno być krótkie i dobrze zabezpieczone. Froelich

skinęła głową.

- Nic więcej i tak nie mogę zrobić.

- Jesteś dobra w swojej pracy? - spytała Neagley.

Froelich się zawahała.

- Tak - odpowiedziała. - Dość dobra.

- Nie - podkreślił Reacher. - Jesteś najlepsza, absolutnie najlepsza ze wszystkich. Jesteś tak dobra, że trudno w to uwierzyć.

- Tak właśnie musisz myśleć - uzupełniła Neagley. - Nakręć się, podkreść tak mocno, że nie będziesz mogła sobie wyobrazić, że jakkolwiek palant mógłby zbliżyć się do ciebie nawet na milion kilometrów ze swym durnowatym liścikiem.

Froelich uśmiechnęła się przelotnie.

- Czy to szkolenie wojskowe?

- Dla mnie owszem - odparła Neagley. - Reacher już się taki urodził.

Froelich uśmiechnęła się ponownie.

- Dobra - zdecydowała. - Do domu, do łóżka. Jutro czeka nas wielki dzień.

* * *

Waszyngton w środku nocy jest cichy i pusty. Jazda do hotelu Neagley zabrała im zaledwie dwie minuty, kolejnych dziesięciu potrzebowali na dotarcie do domu Froelich. Na całej ulicy tłoczyły się zaparkowane samochody. Wyglądały, jakby spały - ciemne, nieruchome, ciche, pokryte grubą warstwą rosy. Suburban, długi na ponad pięć metrów, potrzebował sporo miejsca. Dopiero dwie przecznice dalej znaleźli dostatecznie dużą lukę, by móc go zostawić. Zamknęli drzwi i razem ruszyli z powrotem. Na dworze było zimno. Po chwili dotarli do domu, otworzyli drzwi i weszli do środka. Lampy wciąż się paliły, ogrzewanie pracowało pełną parą. Froelich przystanąła w przedpokoju.

- Czy wszystko w porządku? - spytała. - Mówię o tym,

co zdarzyło się wcześniej.

- Jasne - rzekł.

- Chcę po prostu, żebyśmy mieli jasność.

- Myślę, że mamy.

- Przepraszam, że nie zgodziłam się z tobą co do demonstracji.

- To twoje prawo. Ty tu rządysz.

- Miałam innych chłopaków - zaczęła. - No wiesz, po.

Milczał.

- A Joe miał inne dziewczyny - dodała. - Nie był aż taki nieśmiały.

- Ale zostawił tu swoje rzeczy.

- To ma znaczenie?

- Nie wiem. Coś musi znaczyć.

- On nie żyje, Reacher. Teraz nic go już nie obchodzi.

- Wiem.

Milczała przez sekundę.

- Zaparzę herbaty - oznajmiła. - Chcesz? Pokręcił

głową.

- Idę do łóżka.

Froelich skręciła do salonu i dalej do kuchni, a on po-
maszerował na górę. Cicho zamknął za sobą drzwi pokoju
gościnnego. Otworzył szafę. Zdjął garnitur Joego i odwie-
sił z powrotem na metalowy wieszak z pralni chemicznej.
Rozwiązał krawat, zwinął i położył na półkę. Zdjął koszulę
i rzucił na dno szafy. Nie musiał jej oszczędzać. Na wie-
szaku wisały jeszcze cztery. Nie spodziewał się, że pozo-
stanie tu dłużej niż cztery dni. Ściągnął skarpetki, posłał w
ślad za koszulą. Przeszedł do łazienki ubrany jedynie w
bokserki.

Spędził w środku trochę czasu. Gdy wyszedł, Froelich
stała w drzwiach pokoju gościnnego. Na sobie miała ko-
szulę nocną z białej bawełny, dłuższą niż podkoszulek, ale
niezbyt. Światła w korytarzu za jej plecami sprawiły, że
materiał stał się przejrzysty. Włosy miała rozczochrane.

Bez butów sprawiała wrażenie niższej, bez makijażu - młodszej. Miała świetne nogi, wspaniałą figurę, jednocześnie miękka i umięśniona.

- On ze mną zerwał - oznajmiła. - To był jego wybór, nie mój.

- Czemu?

- Poznał kogoś.

- Kogo?

- Nieważne, nie słyszałeś o niej. Po prostu kogoś.

- Czemu nie powiedziałaś?

- Wypierałam to wspomnienie. Może starałam się chronić samą siebie i twoje wspomnienia o starszym bracie.

- Nie zachował się ładnie?

- Niezbyt ładnie.

- Jak to się stało?

- Po prostu mi powiedział. - I wyszedł?

- W sumie nie mieszkaliśmy razem. Spędzał tu trochę czasu, a ja trochę u niego. Ale zatrzymaliśmy osobne mieszkania. Jego rzeczy wciąż tu są, bo nie pozwoliłam mu po nie wrócić. Nie wpuściłam go za drzwi. Byłam wściekła i zraniona.

- Domyślam się.

Wzruszyła ramionami. Rąbek koszuli nocnej powędrował w górę.

- Nie, to było głupie. W końcu takie rzeczy się zdarzają. Zwykły związek, miał swój początek i koniec. Nic wyjątkowego w dziejach ludzkości czy nawet w moich własnych dziejach. Często to ja odchodziłam.

- Czemu mi to mówisz?

- Wiesz czemu.

Skinął głową, nie odezwał się.

- Żebyśmy mogli zacząć od zera. Twoja reakcja na moją osobę ma mieć związek z tobą i ze mną, nie ze mną i z Joem. On sam się odsunął, to był jego wybór. Zatem gdyby

nawet wciąż żył, nie powinno go to obchodzić.

Reacher ponownie skinął głową.

- Ale czy ty potrafisz zacząć od zera?

- Joe był świetnym facetem - powiedziała. - Kiedyś go kochałam. Ale ty nie jesteś nim, jesteś zupełnie kimś innym, wiem o tym. Nie chcę go odzyskać, nie chcę ducha.

Postąpiła krok naprzód, w głąb pokoju.

- To dobrze - powiedział Reacher. - Bo ja nie jestem taki jak on. Musisz to zrozumieć, od samego początku.

- Rozumiem - rzekła. - Od początku czego?

Kolejny krok. Po nim zatrzymała się nagle.

- Tego, co będzie - odparł Reacher. - Ale wiesz, że skończy się tak samo. To też musisz zrozumieć. Odejdę tak jak on. Zawsze odchodzę.

Zbliżyła się, dzielił ich od siebie jeszcze metr.

- Wkrótce? - spytała.

- Może. Może nie.

- Zaryzykuję - oznajmiła. - Nic nie trwa wiecznie.

- Nie czuję się z tym dobrze - wyznał.

Spojrzała mu w twarz.

- Z czym?

- Stoję tu ubrany w rzeczy twojego byłego kochanka.

- Niezbyt wiele rzeczy - poprawiła. - To akurat z łatwością można zmienić.

Reacher zawiesił głos.

- Czyżby? - spytał. - Pokażesz mi jak?

Podszedł do niej, a ona objęła go w pasie. Wsunęła palce pod gumkę bokserek i zmieniła sytuację. Cofnęła się odrobinę, uniosła ręce nad głowę. Jeden płynny ruch i koszula wylądowała na ziemi. Ledwo dotarli do łóżka.

* * *

Przespali trzy godziny i obudzili się o siódmej, gdy w pokoju Froelich zadzwieczał budzik - słaby i odległy, ledwo słyszalny przez ścianę pokoju gościnnego. Reacher leżał na

plecach, Froelich skulona u jego boku, z udem zarzuconym na jego nogę. Głowę oparła na ramieniu Reachera, jej włosy muskały mu twarz. Odpowiadała mu ta pozycja. Był też zmęczony. Ciepło, wygodą, zmęczenie sprawiły, że miał ochotę puścić dźwięk mimo uszu i zostać w łóżku. Froelich jednak wysłiznęła się i usiadła, oszołomiona i senna.

- Dzień dobry - powitał ją Reacher.

Z okna sączyło się szare światło. Froelich uśmiechnęła się, ziewnęła, odsunęła łokcie i przeciągnęła się. Budzik w sąsiednim pokoju wciąż dzwonił. Nagle dźwięk stał się głośniejszy. Reacher przesunął dłońmi po brzuchu Froelich i wyżej, ku piersiom. Ponownie ziewnęła, uśmiechnęła, przekręciła i trąciła twarzą jego szyję.

- Tobie też dzień dobry - odparła.

Budzik brzęczał za ścianą. Wyglądało na to, że ignorowany dzwonek z każdą chwilą staje się głośniejszy. Reacher przyciągnął do siebie Froelich, ręką odgarnął jej włosy i ucałował. Odległy budzik zaczął piszczeć i zawodzić jak radiowóz. Reacher z ulgą pomyślał, że dobrze, iż nie stoi w tym samym pokoju.

- Musimy wstawać - oznajmiła.

- I wstaniemy - zapewnił. - Wkrótce.

Przytrzymał ją, przestała się szamotać. Bez tchu zaczęli się kochać, szybko, gwałtownie, jakby budzik poganiał każdy ich ruch. Reacher miał wrażenie, że znaleźli się w schronie przeciwatomowym, a wyjące syreny odliczają ostatnie sekundy ich życia. Gdy skończyli zdyszani, Froelich dzwignęła się z łóżka, pobiegła do swej sypialni i wyłączyła dzwonek. Cisza wydała się ogłuszająca. Reacher leżał na wznak wsparty o poduszkę, patrząc w sufit. Smuga padającego z okna szarego światła ukazywała drobne uszkodzenia tynku. Po chwili Froelich wróciła, wciąż naga.

- Chodź do łóżka - poprosił.

- Nie mogę - odparła. - Muszę brać się do pracy.

- Przez jakiś czas Armstrong sobie poradzi, a jeśli nie,

zawsze mogą wybrać kolejnego. Dwudziesta poprawka, pamiętasz. Kolejka już czeka.

- A ja trafię do kolejki po zasilek. Może zacznę smażyć hamburgery.

- Zdarzyło ci się to kiedyś?

- Co? Smażenie hamburgerów?

- Nie. Utrata pracy. Pokręciła głową.

- Nigdy.

Reacher uśmiechnął się.

- Od pięciu lat praktycznie nie pracowałem.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Wiem, sprawdziłam w komputerach. Ale dziś pracujesz. Zabieraj tyłek z łóżka.

Odwróciła się i pomaszerowała do łazienki. Reacher jeszcze przez sekundę leżał bez ruchu. W głowie zadźwięczała mu stara piosenka Dawn Penn *You Don 't Love Me*. Otrząsnął się ze wspomnień, odrzucił kołdrę, wstał i przeciągnął się, wyciągając ku sufitowi najpierw jedną, potem drugą rękę. Wygiął plecy, uniósł palce u stóp i kolejno wyciągnął nogi. To były całe jego poranne ćwiczenia. Ruszył do gościnnej łazienki i odprawił pełen dwudziestodwuminutowy rytuał. Zęby, golenie, włosy, prysznic. Potem ubrał się w kolejny stary garnitur Joego. Ten był czarny - ta sama marka, te same detale. Do tego kolejna świeża koszula, ta sama metka z napisem *Ktoś & Ktoś*, ta sama biała bawełna. Czyste bokserki, czyste skarpety. Granatowy jedwabny krawat w małe srebrne spadochrony. Brytyjska metka - może z Królewskich Sił Lotniczych? Przejrzał się w lustrze i zepsuł cały efekt, wkładając na wierzch nową kurtkę z Atlantic City. W porównaniu ze strojem Joego wydawała się ciężka i niezgrabna, kolory też nie pasowały. Uznał jednak, że spędzi dziś sporo czasu na dworze, a Joe nie zostawił po sobie żadnego płaszcza. Pewnie zerwali latem.

Froelich czekała już u dołu schodów. Na sobie miała ko-

biecą wersję jego stroju: czarny kostium ze spodniami i rozpiętą pod szyją białą bluzkę. Do tego płaszcz, ale znacznie lepszy, uszyty z ciemnoszarej eleganckiej wełny. Właśnie zakładała słuchawkę ze spiralnym kablem, który po piętnastu centymetrach przekształcał się w prosty i znikał jej na plecach.

- Pomożesz? - poprosiła.

Znów odciągnęła do tyłu łokcie tym samym gestem co wcześniej, w sypialni, dzięki czemu kołnierzyk marynarki wygiął się w tył. Reacher wsunął kabel pomiędzy marynarkę i bluzkę. Niewielka wtyczka zadziałała jak ciężarek, ściągając kabel aż do pasa. Froelich odsunęła płaszcz i marynarkę i Reacher ujrzał czarne radio przypięte do pasa z tyłu. Przewód mikrofonu był już podłączony, przebiegał po plecach i lewym rękawem. Reacher wsunął na miejsce wtyczkę słuchawki. Froelich opuściła płaszcz i marynarkę, ujrzał jej pistolet w kaburze przypiętej do pasa na lewym biodrze, kolbą do przodu. Dawało to lepszy dostęp prawej dłoni. Był to wielki kanciasty sig-sauer P226. Na szczęście, pomyślał Reacher. Znacznie lepsza broń niż stara beretta w kuchennej szufladzie.

- Dobra - mruknęła Froelich, odetchnęła głęboko i spojrzała na zegarek. Reacher uczynił to samo. Dobiegła za kwadrans ósma.

- Jeszcze szesnaście godzin i szesnaście minut - oznajmiła Froelich. - Zadzwoń do Neagley i powiedz, że już jedziemy.

Reacher skorzystał z jej komórki. Ruszyli do suburbana. Poranek był zimny i wilgotny, dokładnie taki sam jak noc, tyle że niebo nad ich głowami jaśniało niechętnie. Okna suburbana pokrywała warstewka rosy. Silnik wystartował jednak natychmiast, ogrzewanie działało świetnie i gdy przed hotelem dołączyła do nich Neagley, w kabinie panowało już przyjemne ciepło.

Armstrong zarzucił na sweter skórzaną kurtkę i wyszedł tylnymi drzwiami. Wiatr natychmiast potargał mu włosy. Armstrong zapiął kurtkę w drodze do furtki. Dwa kroki przed nią znalazł się w polu widzenia lunetki Hensoldt 1.5-6x42BL, oryginalnie dołączanej do karabinu snajperskiego SIG SSG3000. Ta jednak została przerobiona przez rusznikarza z Baltimore i dopasowana do nowej broni, Vaime Mk2. Vaime to marka zarejestrowana przez Oy Vaimennin Metalli AB, fińskiego producenta broni, który uznał, że jeśli chce sprzedawać na Zachodzie swe wspaniałe wyroby, to musi uprościć nazwę. A Mk2 był istotnie wspaniałym wyrobem. Wytlumiony karabin snajperski, zasilany odmianą standardowej amunicji natowskiej 7,62 milimetra o zmniejszonym ładunku miotającym. Chodziło o to, by pocisk leciał z prędkością poddźwiękową, nie zakłócając ciszy, zapewnianej przez zintegrowany tłumik broni. Naprawdę świetny karabin. W połączeniu z dobrą lunetką, taką jak Hensoldta, praktycznie gwarantował eliminację celu z odległości do dwustu metrów. A mężczyznę, który przykładał oko do lunetki, od tylnej furtki Armstronga dzieliło sto dwadzieścia sześć metrów. Wiedział to dokładnie, bo właśnie zmierzył odległość laserowym dalmierzem. Był odsłonięty, ale dobrze przygotowany. Dokładnie wiedział, co ma zrobić. Na sobie miał ciemnozieloną puchową kurtkę i czarną czapkę ze sztucznego futra oraz rękawiczki z tego samego materiału z obciętymi palcami prawej dłoni, co umożliwiała panowanie nad bronią. Leżał, osłaniając głowę od wiatru, dzięki czemu nie łzawiły mu oczy. Nie oczekiwał najmniejszych problemów.

Kiedy człowiek przechodzi przez furtkę, robi to następująco: na moment przystaje, zastyga w bezruchu, niezależnie od tego, w którą stronę otwiera się furtka. Jeśli ku niemu, wyciąga rękę, naciska klamkę, otwiera, ciągnie do siebie furtkę i staje na palcach, uginając nogi tak, by mogła go minąć. Jeśli na zewnątrz, stoi nieruchomo, znajduje kłam-

kę i popycha bramkę. Tak jest szybciej, ale wciąż pozostaje moment bezruchu. A ta furtka otwierała się do wewnątrz. Widać to było wyraźnie przez hensoldta. Dwusekundowe okienko.

Armstrong dotarł do furtki, zatrzymał się. Sto dwadzieścia sześć metrów dalej mężczyzna przyciskający lunetkę do oka przesunął karabin odrobinę w lewo, tak że cel znalazł się dokładnie pośrodku. Wstrzymał oddech, powoli poruszył palcem, zaczął naciskać spust i nagle docisnął go aż do końca. Karabin zakasłał głośno i lekko podskoczył. Pokonanie stu dwudziestu sześciu metrów wymagało od pocisku około czterech dziesiątych sekundy. Kula z wilgotnym młaśnięciem trafiła Armstronga w sam środek czoła, przebiła czaszkę i podążyła w dół poprzez płat czołowy mózgu, komorę mózgową i mózdzek. Strzaskała pierwszy krąg i wyleciała, przebijając miękkie tkanki karku u góry kręgosłupa. Potem poleciała naprzód i wbiła się w ziemię dwa i pół metra dalej.

Armstrong zginął, nim jeszcze upadł na ziemię. Pocisk spowodował śmiertelne obrażenia mózgu. Jego energia przeszła przez tkanki mózgowie i odbiła się od kości czaszki niczym wielka fala w małym basenie, niszcząc wszystko na swojej drodze. Funkcje mózgu ustały, nim siła grawitacji ściągnęła ciało w dół.

Sto dwadzieścia sześć metrów dalej mężczyzna z okiem przysuniętym do lunetki przez sekundę leżał bez ruchu. Potem przycisnął karabin do tułowia, odturlał się na bok, by móc bezpiecznie wstać. Odsunął zamek karabinu, ręką w rękawiczkach złapał gorącą łuskę i wsadził do kieszeni. Potem cofnął się i osłonięty przed wzrokiem ciekawskich odszedł.

* * *

W samochodzie Neagley nie odezwała się ani słowem. Może martwił ją nadchodzący dzień, może wyczuwała zmianę atmosfery. Reacher nie wiedział. Tak czy inaczej

nie zależało mu aż tak szybko na odpowiedzi. Siedział cicho, patrząc, jak Froelich manewruje wśród samochodów. Skręciła na północny zachód, mostem Whitneya Younga przekroczyła rzekę, przejechała obok stadionu piłkarskiego RFK, skręciła w Massachusetts Avenue i wyminęła wielki korek w rządowej części miasta. Ale Mass Avenue także była zapchana i nim dotarli na ulicę w Georgetown, przy której mieszkał Armstrong, dochodziła dziewiąta. Froelich zaparkowała za innym suburbanem w pobliżu wylotu namiotu. Z chodnika zeskoczył agent, okrążył maskę, by zamienić z nią parę słów.

- Gość z CIA właśnie dotarł na miejsce. Zaczęli już pewnie podstawowy kurs szpiegostwa.

- Myślę, że do tej pory osiągnęli już poziom zaawansowany - odparła Froelich. - Te lekcje trochę już trwają.

- Nie, sprawy CIA są bardzo skomplikowane - rzekł agent. - Przynajmniej dla normalnych ludzi.

Froelich uśmiechnęła się, jej człowiek odszedł, ponownie zajmując pozycję na chodniku. Podniosła szybę, częściowo odwróciła się tak, by móc patrzeć na Reachera i Neagley.

- Pieszy patrol? - zaproponowała.

- Po to włożyłem kurtkę - odparł Reacher.

- Co czworo oczu, to nie dwoje - dodała Neagley.

Wysiedli razem, pozostawiając Froelich w ciepłym wnętrzu samochodu. Ulica przed domem była cicha i dobrze

strzeżona, toteż skręcili na północ i w prawo, by obejrzeć go z tyłu. U obu wylotów uliczki stały radiowozy, nic się nie działo. Wszystkie okna pozamykano dla ochrony przed zimnem. Ruszyli w stronę sąsiedniej ulicy. Tam też czekały radiowozy.

- Strata czasu - mruknęła Neagley. - W domu nikt go nie dopadnie. Zakładam, że policja zauważyłaby, gdyby ktoś spróbował ściągnąć tu artylerię.

- No to zjedzmy śniadanie - zaproponował Reacher.

Wrócili na poprzeczną ulicę i znaleźli cukiernię. Kupili kawę, ciastka i przysiedli na stołkach przed długą ladą stojącą pod oknem. Szybę pokrywała nieprzejrzysta mgiełka. Neagley serwetką wytarła na zaparowanym szkle dwa półksiężycy, przez które mogli wyjrzeć na zewnątrz.

- Masz inny krawat - zauważyła. Reacher zerknął w dół.

- Inny garnitur - dodała.

- Podoba ci się?

- Podobałby, gdybyśmy wciąż mieli lata dziewięćdziesiąte.

Reacher nie odpowiedział, Neagley się uśmiechnęła.

- A więc tak - rzekła.

- Co?

- Pani Froelich skompletowała kolekcję.

- Zauważyłaś?

- Jasne.

- Nie stawiałem oporu - mruknął Reacher.

Neagley uśmiechnęła się ponownie.

- Nie podejrzewałam, że cię zgwałciła.

- Będziesz mi teraz prawić morały?

- To twój wybór. Ładna z niej babka, ale ze mnie też.

A mnie nigdy nie podrywałeś.

- A chciałaś?

- Nie.

-No właśnie. Lubię, kiedy ktoś reaguje pozytywnie na moje zainteresowanie.

- To musi cię trochę ograniczać.

- Owszem - przyznał - ale nie do końca.

- Najwyraźniej - przytaknęła Neagley.

- Nie podoba ci się to?

- Ależ nie, baw się dobrze. Jak sądzisz, czemu zostałam w hotelu? Nie chciałam wchodzić jej w drogę, i tyle.

- Jej w drogę? To było takie oczywiste?

- Błagam - mruknęła Neagley.

Reacher pociągnął łyk kawy, zjadł ciastko. Był głodny, a ono smakowało świetnie. Twarda warstwa lukru z wierzchu, leciutkie w środku. Schrubał kolejne i oblizwał palce. Poczul dopływ cukru i kofeiny do krwi.

- A więc co to za ludzie? - spytała Neagley. - Coś czujesz?

- Coś - odparł Reacher. - Będę musiał skupić się na tym, jak ich znaleźć, ale nie warto zaczynać, póki nie dowiemy się, czy zostaniemy w tej robocie.

- Nie zostaniemy - odparła Neagley. - Nasza robota zakończy się wraz ze sprzątacami. Zresztą to i tak strata czasu. Z całą pewnością nie podadzą nam nazwiska. A jeśli podadzą, będzie fałszywe. W najlepszym razie możemy liczyć na opis, który z pewnością do niczego się nie przyda.

Reacher przytaknął, skończył kawę.

- Chodźmy - zaproponował. - Dla porządku przejdźmy się wokół kwartału.

Szli w panującym chłodzie, najwolniej jak tylko mogli. Nic się nie działo, cisza i spokój. Na każdej ulicy stały radiowozy albo samochody Secret Service. Białe obłoki spalin rozpyły się powoli w nieruchomym powietrzu. Poza tym nic się nie poruszało. Po kilku zakrętach powrócili na ulicę Armstronga od strony południowej. Przed sobą po prawej widzieli biały namiot. Froelich wysiadła z samochodu, machała do nich nagłaco. Przyspieszyli kroku i pomaszzerowali w jej stronę.

- Zmiana planów - oznajmiła. - Były pewne problemy na Kapitolu. Armstrong skrócił spotkanie z CIA.

- Już pojechał? - spytał Reacher. Froelich skinęła głową.

- Właśnie jedzie.

Przez chwilę nasłuchiwała głosu w słuchawce.

- Dojeżdża - dodała.

Podniosła przegub, przemówiła do mikrofonu.

- Podajcie raport, odbiór.

Znów zaczęła słuchać.

Czekali trzydzieści sekund, czterdzieści.

- W porządku, jest w środku - oznajmiła. - Bezpieczny.
- I co teraz? - spytał Reacher.

Froelich wzruszyła ramionami.

- Teraz czekamy. Na tym polega ta praca. To głównie czekanie.

* * *

Wrócili do biura i czekali cały ranek i większość popołudnia. Froelich regularnie wysłuchiwała kolejnych raportów. Po jakimś czasie Reacher miał już obraz ogólnej organizacji ich pracy. Przed budynkiem biur senackich stały policyjne radiowozy. Agenci Secret Service pilnowali chodnika. Wewnątrz czuwali członkowie policji Kapitolu, po jednym przy każdym wykrywaczu metalu; kolejni patrolowali korytarze. Wśród nich byli też agenci Secret Service. Sam żmudny proces przejmowania władzy odbywał się w biurach na górze. Każdych drzwi pilnowało dwóch agentów. Osobista ochrona Armstronga nie opuszczała go ani przez moment. Raporty opisywały dość spokojny dzień, mnóstwo siedzenia i gadania. Mnóstwo zawieranych umów i układów. Reacher przypomniał sobie, jak ktoś kiedyś pisał o naradach w zadymionych pokojach. Tyle że w dzisiejszych czasach zapewne w biurach nie wolno już palić. O czwartej po południu podjechali do hotelu Neagley, w którym ponownie miało odbyć się przyjęcie dla darczyńców. Początek zaplanowano na siódmą. Mieli trzy godziny na zabezpieczenie budynku. Froelich zaplanowała wszystko wcześniej, poczynając od przeszukania, które rozpoczęło się jednocześnie w magazynach kuchennych i najdroższych apartamentach. Policjanci z psami towarzyszyli ludziom z Secret Service, sprawdzając cierpliwie piętro po piętrze. Po przeszukaniu każdego trzech policjantów zajmowało posterunki po obu końcach korytarza oraz przy windach i schodach przeciwpożarowych. Dwa zespoły spo-

tkwały się na ósmym piętrze o szóstej wieczór. Do tego czasu w holu i przy drzwiach sali balowej zamontowano przenośne wykrywacze metalu. Rozstawione kamery rejestrowały wszystko niestrudzenie.

- Tym razem proście o dwa dokumenty ze zdjęciem - poradziła Neagley. - Prawo jazdy i może kartę kredytową.

- Nie martw się - odparła Froelich. - Taki mam zamiar. Reacher stanął w drzwiach sali balowej i rozejrzał się po pomieszczeniu. Było wielkie, lecz gdy znajdzie się w nim tysiąc ludzi, zapanuje prawdziwy ścisk.

* * *

Armstrong zjechał windą z biura, w holu skręcił w lewo. Otworzył nieoznakowane drzwi prowadzące do tylnego wyjścia. Na sobie miał płaszcz przeciwdeszczowy, w rękę trzymał teczkę. Korytarz za drzwiami był wąski, unosiła się w nim woń środków czyszczących, silnych detergentów. Musiał wyminąć dwa stosy pudeł, jeden równiutki i nowy z najświeższych dostaw, drugi chwiejny, nieporządny: puste kartony, czekające na wywóz śmieci. Armstrong obrócił się, przeciskając się obok stosu. Teczkę trzymał za sobą, prawe ramię wysunął do przodu. Pchnął drzwi i wyszedł na dwór.

Znalazł się na niewielkim, kwadratowym wewnętrznym podwórku, częściowo otwartym od północy. Nie było to zbyt atrakcyjne miejsce. Ze ścian nad głową sterczały metalowe przewody wentylacyjne. Niżej, na wysokości łydek, rozmieszczono czerwone rury i mosiężne zawory systemu przeciwpożarowego. Na podwórku stały też ustawione w szereg trzy granatowe pojemniki na śmieci: wielkie stalowe skrzynie rozmiaru samochodów. Armstrong musiał je wyminąć, żeby dotrzeć do uliczki na tyłach. Przeszedł koło pierwszego, koło drugiego i wtedy ktoś zawołał go cicho.

- Hej!

Armstrong odwrócił się i ujrzał mężczyznę wciśniętego w ciasną szczelinę między drugim i trzecim pojemnikiem. Dostrzegł jedynie ciemny płaszcz, czapkę i groźną, brutalną broń, krótką, masywną i czarną. Broń uniosła się i zakasłała.

Był to wytłumiony pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5SD6, ustawiony na strzelanie krótkimi seriami po trzy pociski, standardową dziewięciomilimetrową amunicją parabellum. Tym razem pociski były standardowe, ponieważ w lufie SD6 wywiercono trzydzieści otworów, przez które uchodził gaz, zmniejszając prędkość wylotową kuli do poddźwiękowej. MP5 strzela z prędkością ośmiuset pocisków na minutę, toteż wystrzelenie każdej trójki trwało odrobinę ponad jedną piątą sekundy. Pierwsza trafiła Armstronga w sam środek klatki piersiowej, druga w środek twarzy.

Podstawowy model H&K MP5 ma wiele zalet, w tym wysoką niezawodność i niezwykłą celność. Wersja wytłumiona działa nawet lepiej, ponieważ ciężar wewnętrznego kompensatora niweluje naturalną tendencję każdego pistoletu maszynowego do unoszenia lufy w czasie strzelania. Jedyną wadą tego modelu broni jest siła, z jaką wyrzuca puste łuski. Wyskakują z boku niemal równie szybko jak pociski z przodu i pokonują duże odległości. W zwykłych warunkach, podczas operacji elitarnych jednostek wojskowych i paramilitarnych to nie problem. Jednak w tej sytuacji, owszem. Oznaczało bowiem, że strzelec musiał pozostawić po sobie sześć łusek. Mężczyzna szybko wepchnął broń pod płaszcz, przeszedł nad zwłokami Armstronga i spokojnym krokiem opuścił niewielkie podwórko, zmierzając do samochodu.

* * *

O 18:40 w holu hotelowym zgromadziło się niemal siedemset osób, ustawionych w długą kolejkę od drzwi wejściowych, przez szatnię, do wejścia na salę balową. Wszędzie wokół słychać było szmer podnieconych rozmów. W

powietrzu unosiła się ciężka woń najróżniejszych perfum. W tłumie widać było nowe suknie, białe smokingi, ciemne garnitury, kolorowe krawaty, malutkie torebki i aparaty fotograficzne w skórzanych futerałach. Błyszczące lakierki, szpilki, migotliwe diamenty. Świeże trwałe, odsłonięte ramiona i spore poruszenie.

Reacher obserwował wszystko wsparty o filar obok wind. Przez okno widział trzech agentów stojących na ulicy, dwóch przy drzwiach, obsługujących wykrywacz metalu.

Nastawiona na najwyższą czułość bramka popiskiwała przy co czwartym, co piątym gościu. Agenci spokojnie przeszukiwali torebki i klepali przybyszów po kieszeniach. Cały czas uśmiechali się porozumiewawczo, nikomu to nie przeszkadzało. W holu krążyła ósemka agentów. Spokojne twarze, nieustannie wędrujący wzrok. Przy drzwiach sali balowej czekało kolejnych trzech. Sprawdzali dokumenty i zaproszenia. Ich wykrywacz metalu był równie czuły. Niektórych gości przeszukiwano po raz drugi. Ze środka sali dobiegała już muzyka, słyszana w falach, gdy głosy tłumu wznosiły się i opadały.

Neagley zajmowała strategiczną pozycję na drugim stopniu schodów po przeciwnej stronie holu. Jej oczy poruszały się niczym radar, tam i z powrotem, lustrując morze ludzi. Co chwilę spoglądała na Reachera i leciutko kręciła głową. Reacher widział też Froelich poruszającą się pozornie bez celu. Wyglądała świetnie. Jej czarny kostium był dość elegancki na wieczór, ale nikt nie wzięłby jej za gościa. Promieniowała z niej władza. Od czasu do czasu zamieniała kilka słów z którymś z agentów albo przemawiała do przegubu. Reacher doszedł do etapu, że widział dokładnie, w którym momencie Froelich słucha informacji ze słuchawki. Poruszała się nieco mniej energicznie, skupiona na kolejnym raporcie.

O siódmej większość gości znalazła się już bezpiecznie

w sali balowej. Przed pierwszym wykrywaczem metalu czekała kolejka spóźnialskich. Druga grupka zebrała się przy drzwiach sali. Goście, którzy wykupili noclegi w hotelu, parami bądź czwórkami wysypywali się z wind. Neagley stała teraz samotnie na schodach. Froelich kolejno posyłała agentów z holu do sali balowej, gdzie dołączali do czekającej tam już ósemki. Chciała, by nim wszystko się zacznie, w tłumie krążyła cała szesnastka. Do tego trzech członków ochrony osobistej Armstronga, trzech przy drzwiach do sali balowej i dwóch przy wyjściu, oraz policjanci w kuchni, przy rampie wyładowniczej, na wszystkich siedemnastu piętrach i na ulicy.

- Ile to wszystko kosztuje? - spytał ją Reacher.

- Nie chcesz tego wiedzieć - odparła. - Naprawdę nie chcesz.

Neagley zeszła ze schodów i dołączyła do nich obok filara.

- Przyjechał już? - spytała.

Froelich pokręciła głową.

- Skracamy do minimum jego kontakty z ludźmi. Przyjedzie później, wyjedzie wcześniej.

Nagle zeszywniała, nasłuchując uważnie. Przycisnęła palce do słuchawki, odcinając hałasy z zewnątrz. Uniosła drugi przegub i przemówiła do mikrofonu.

- Rozumiem, wyłączam się - rzuciła. Była bardzo blada.

- Co się stało? - spytał Reacher.

Froelich zignorowała go, odwróciła się gwałtownie i wezwała ostatniego agenta krążącego po holu. Poinformowała go, że od tej pory będzie pełnił obowiązki dowódcy grupy. Przemówiła do mikrofonu, przekazując tę informację wszystkim agentom. Kazała podwoić czujność, zacieśnić szyki i jeśli tylko można, jeszcze bardziej ograniczyć kontakty Armstronga z ludźmi.

- Co się stało? - spytał ponownie Reacher.

- Wracamy do bazy - oznajmiła Froelich. - W tej chwili.

To był Stuyvesant. Wygląda na to, że mamy wielki problem.

9

Froelich włączyła czerwony migacz suburbana, przebijając się przez wieczorny ruch, jakby było to kwestią życia lub śmierci. Przy każdym świetle włączała koguta i syrenę. Przyspieszała, wykorzystując każdą lukę między samochodami. Nie odzywała się ani słowem. Reacher siedział bez ruchu na przednim fotelu. Neagley pochylała się naprzód, wpatrzona w drogę przed nimi. Trzytonowy wóz kołysał się i podskakiwał, opony z trudem trzymały się śliskiego asfaltu. Po niecałych czterech minutach znaleźli się w garażu, trzydzieści sekund później byli już w windzie. Kolejna minuta i dotarli do gabinetu Stuyvesanta, który siedział sztywno za nieskazitelnie czystym biurkiem, zgarbiony, jakby ktoś rąbnął go pięścią w brzuch. W dłoni trzymał plik papierów. Światło przeświecało przez nie, ukazując długie kodowane nagłówki, charakterystyczne dla wydruków z bazy danych. Pod nimi widniały dwa gęste bloki tekstu. Obok Stuyvesanta stała sekretarka i wręczała mu kolejne kartki. Twarz miała śmiertelnie bladą. Bez słowa wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi, co podkreśliło jeszcze panującą w środku ciszę.

- Co się stało? - spytał Reacher.

Stuyvesant uniósł wzrok.

- Teraz i ja już wiem.

- Co wiesz?

- Że to robota z zewnątrz. Z całą pewnością. Bez najmniejszych wątpliwości.

- Skąd?

- Przewidywałeś coś dramatycznego, coś spektakular-

nego, tak mówiłeś. Możemy do tego dodać jeszcze wstrząsającego, niewiarygodnego i tak dalej.

- Co to było?

- Wiesz, ile co roku odnotowujemy zabójstw w całym kraju?

Reacher wzruszył ramionami.

- Pewnie dużo.

- Niemal dwadzieścia tysięcy.

- Jasne.

- To około pięćdziesięciu czterech zabójstw dziennie.

Reacher policzył szybko w pamięci.

- Raczej pięćdziesiąt pięć - poprawił. - Pomijając lata przestępne.

- Chcecie usłyszeć o dwóch dzisiejszych? - spytał Stuyvesant.

- Kto zginął? - wtrąciła Froelich.

- Niewielka farma w Minnesocie, uprawa buraków cukrowych. Farmer wyszedł dziś rano tylną furtką i dostał kulkę w głowę. Bez żadnego powodu. Następnie po południu w niewielkim centrum handlowym na przedmieściach Boulder w Kolorado, w którym na górze mieści się filia CPA, jeden z pracowników opuścił biuro, wyszedł tylnym wyjściem i został zabity na podwórku strzałami z broni maszynowej. I znów bez żadnego powodu.

- I co z tego?

- Farmer nazywał się Bruce Armstrong, księgowy Brian Armstrong. Obaj biali, mniej więcej w wieku Brooka Armstronga, tego samego wzrostu, tej samej budowy, podobni z wyglądu, koloru włosów, oczu.

- To jakaś rodzina, krewni?

- Nie - odparł Stuyvesant. - W ogóle niepowiązani, ani ze sobą, ani z wiceprezydentem. Pytanie zatem, jakie są szanse, by w dniu, w którym zapowiedziano demonstrację przeciw naszemu podopiecznemu, zginęło dwóch przypadkowych mężczyzn, obaj nazwiskiem Armstrong, obaj o

imionach zaczynających się na Br? Pewnie jakieś jeden do tryliona miliardów.

W gabinecie zapadła cisza.

- Demonstracja - mruknął Reacher.

- Tak - potwierdził Stuyvesant. - To była demonstracja. Morderstwo z zimną krwią, dwaj niewinni ludzie. Toteż zgadzam się z wami. To nie jest dowcip kogoś z firmy.

* * *

Neagley i Froelich bez pytania usiadły na krzesłach dla gości. Reacher, oparty o wysoką szafkę, wyjrzał przez okno. Rolety były podniesione, lecz na zewnątrz panowała już ciemność. Dostrzegał jedynie pomarańczową nocną łunę nad Waszyngtonem.

- Jak was zawiadomiono? - spytał. - Czy zadzwonili i przyznali się?

Stuyvesant pokręcił głową.

- Zaalarmowało nas FBI. Mają oprogramowanie, które przeszukuje raporty NCIK, między innymi pod kątem nazwiska Armstrong.

- Czyli teraz i tak już wiedzą.

Stuyvesant ponownie pokręcił głową.

- Przekazali nam tylko informacje, to wszystko. Nie rozumiemy ich znaczenia.

W gabinecie wciąż panowała cisza, słychać było tylko oddechy czwórki ludzi pogrążonych w ponurych rozmyślaniach.

- Mamy jakieś szczegóły z miejsc zbrodni? - spytała Neagley.

- Trochę - odparł Stuyvesant. - Pierwsza ofiara zginęła zabita jednym strzałem w głowę, natychmiast. Nie mogą znaleźć pocisku. Jego żona nic nie słyszała.

- Gdzie była?

- Jakies sześć metrów dalej, w kuchni. Drzwi i okna pozamykane z powodu pogody, ale powinna była coś usłyszeć. Cały czas słyszy myśliwych.

- Jak duży był otwór w czaszce? - spytał Reacher.

- Większy niż po dwudziestcedwójce - odparł Stuyvesant - jeśli to masz na myśli.

Reacher przytaknął. Jedyne pistolet niesłyszalny z odległości sześciu metrów to dwudziestkadwójka z tłumikiem. Przy większym kalibrze coś byłoby słychać, niezależnie od wytłumienia i zamkniętych okien.

- A zatem użyli karabinu - stwierdził.

- Trajektoria to potwierdza - dodał Stuyvesant. - Patolog twierdzi, że strzał padł z góry: rana wlotowa jest wyżej, wylotowa niżej.

- To płaska okolica?

- Pagórkowata.

- Zatem albo strzał z dużej odległości, albo karabin był wytłumiony. Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie. Strzał z daleka oznacza, że mamy do czynienia ze świetnym strzelcem. Strzał z bliska, że zamachowiec dysponuje znakomitą bronią.

- A druga ofiara? - spytała Neagley.

- Niecałe osiem godzin później - powiedział Stuyvesant.

- Ale ponad tysiąc kilometrów dalej. Najpewniej zatem na ten dzień się rozdzielili.

- Szczegóły?

- Spływają po kawałku. Mężczyzna zginął od strzałów z broni maszynowej. Ale znów nikt niczego nie słyszał.

- Wytłumiony pistolet maszynowy? - spytał Reacher. - Są pewni?

- Co do tego, że maszynowy, nie ma wątpliwości - odparł Stuyvesant. - Zwłoki były poszarpane. Dwie serie, w głowę i w pierś. Prawdziwa jatka.

- Prawdziwa demonstracja - dodała Froelich.

Reacher wyjrzał przez okno, w powietrzu snuła się lekka mgielka.

- Ale co dokładnie nam demonstruje? - spytał.

- Że mamy do czynienia z niezbyt miłymi ludźmi.

Skinął głową.

- I niewiele więcej, prawda? Nie demonstruje przecież

waszej nieudolności. Ci ludzie nie byli powiązani z Armstrongiem. Na pewno to nie są krewni? Na przykład bardzo dalecy kuzyni? Choćby farmer. Minnesota graniczy z Dakotą Północną, prawda?

Stuyvesant pokręcił głową.

- Od razu o tym pomyślałem - rzekł. - Ale sprawdziłem kilka razy. Po pierwsze wiceprezydent wcale nie pochodzi z Dakoty. Przeniósł się tam z Oregonu. Po drugie, po nominacji FBI dokładnie zbadało wszystkie jego powiązania. Bardzo dokładnie. Nie ma żadnych żyjących krewnych poza starszą siostrą mieszkającą w Kalifornii. Jego żona ma kilkoro kuzynów, ale żaden nie nosi nazwiska Armstrong, a większość jest młodsza. To niemal dzieci.

- Dobra - rzucił Reacher. Dzieci. Nagle przed oczami stanęła mu huśtawka, wypchane zabawki, kolorowe obrazki przypięte magnesami do lodówki. Kuzyni.

- To dziwne - dodał po chwili. - Jasne, zabicie dwóch przypadkowych, podobnych z wyglądu facetów nazwiskiem Armstrong to wyczyn bardzo dramatyczny, ale nie ma w tym zbyt dużej pomysłowości. Niczego nie dowodzi, nie sprawia, że niepokoiśmy się o stan naszej ochrony.

- Po prostu żal nam tych ludzi - wtrąciła Froelich. - I ich rodzin.

- Owszem - przytaknął Reacher. - Ale dwóch martwych wieśniaków nie wystarczy, by nas zdenerwować. Przecież ich nie chroniliśmy. Nie zaczynamy wątpić w siebie. Naprawdę przypuszczałem, że to będzie coś bardziej osobistego, ciekawszego. Odpowiednik listu, który zjawił się nagle na tym biurku.

- Mówisz, jakbyś był rozczarowany.

- Bo jestem. Myślałem, że zbliżą się na tyle, byśmy mieli szansę ich złapać. Ale oni trzymają się z daleka. To tchórze.

Nikt się nie odezwał.

- Tchórze często biją słabszych - dodał Reacher. - To oznaka tchórzostwa.

Neagley na niego zerknęła. Znała go dość dobrze, by wiedzieć, kiedy nacisnąć.

- No i? - spytała.

- Musimy cofnąć się do początku i przemyśleć parę rzeczy. Szybko pojawiają się coraz to nowe informacje, a my ich nie analizujemy. Na przykład teraz wiemy, że to ludzie z zewnątrz. Teraz wiemy, że nie jest to jakaś biurowa gierka.

- No i? - powtórzyła Neagley.

- A to, co się wydarzyło w Minnesocie i Kolorado dowodzi, że ci ludzie są gotowi na wszystko.

- No i?

- Sprzątacze. Co dokładnie o nich wiemy?

- Że są w to zamieszani. Że się boją. Że nic nie mówią.

- Zgadza się - przytaknął Reacher. - Ale czemu się boją, czemu nic nie mówią? Z początku sądziliśmy, że uczestniczą w gierce z kimś z wewnątrz. Ale nie, bo ci ludzie nie są z wewnątrz i z całą pewnością nie jest to żadna gierka.

- Czyli?

- Czyli poważni przeciwnicy zmusili ich do współpracy. Przerazili i uciszili. Poważni ludzie.

- Ale jak?

- Ty mi powiedz. Jak można kogoś wystraszyć, nie zostawiając śladów?

- Zagrozić czymś prawdopodobnym. Na przykład tym, że spotka ich krzywda.

Reacher przytaknął.

- Ich albo kogoś, na kim im zależy. Tak że dosłownie sparaliżuje ich strach.

- Jasne.

- Gdzie wcześniej słyszałaś słowo „kuzyni”?

- Wszędzie. Sama mam kuzynów.

- Nie, ostatnio.

Neagley zerknęła w okno.

- Sprzątacze - sapnęła. - Ich dzieci są u kuzynów, tak powiedzieli.

- Ale trochę się wahali, pamiętasz?

- Tak?

Reacher skinął głową.

- Przez sekundę milczeli i spojrzeli po sobie.

- To znaczy?

- Może ich dzieci wcale nie są u kuzynów.

- Czemu mieliby kłamać? Reacher na nią spojrział.

- Czy istnieje lepszy sposób zmuszenia kogoś do współpracy niż uwięzienie jego dzieci?

* * *

Działali szybko, lecz Stuyvesant dopilnował, by wszystko działo się zgodnie z prawem. Zadzwoił do adwokatów sprzątaczy i powiedział, że musi dostać odpowiedź na tylko jedno pytanie. Nazwisko i adres opiekunów dzieci. Dodał, że zależy mu na szybkiej odpowiedzi. I dostał ją szybko. Adwokaci zadzwonili po piętnastu minutach. Nazwisko brzmiało Galvez. Mieszkali w domu odległym o półtora kilometra od domu sprzątaczy.

Wówczas Froelich gestem nakazała im ciszę, włączyła mikrofon i poprosiła o pełny raport z hotelu. Rozmawiała ze swym zastępcą na miejscu i czterema agentami zajmującymi kluczowe pozycje. Nie dostrzeżono żadnych problemów, wszystko przebiegało gładko. Armstrong krążył po sali, ochrona była szczelna. Froelich poleciła, by po wyjściu z hotelu wszyscy agenci towarzyszyli Armstrongowi. Zażądała nieprzeniknionego kordonu, aż do limuzyny.

- I to szybko - dodała. - Skróćcie wystąpienie.

Potem wszyscy razem wsiedli do windy i zjechali do garażu. Suburbanem ponownie pokonali trasę, którą Reacher za pierwszym razem przespał. Tym razem miał oczy szeroko otwarte. Froelich pędziła naprzód do taniej dzielnicy.

Minęli dom sprzątaczy, pokonali kolejne półtora kilometra krętych, ciemnych ulic, manewrując między zaparkowanymi samochodami, i zatrzymali się przed wysokim, wąskim, dwurodzinnym budynkiem. Otaczała go siatka, do słupka furtki łańcuchem przypięto pojemniki na śmieci. Z jednej strony z domem graniczył sklep, z drugiej długi szereg identycznych budynków. Przy chodniku parkował dwudziestoletni cadillac. Przez mgłę sączyło się żółte światło lamp sodowych.

- Co teraz zrobimy? - spytał Stuyvesant.

Reacher wyjrzał przez okno.

- Musimy pomówić z tymi ludźmi, ale tak, żeby ich nie spłoszyć. I tak się już boją. Nie chcemy, by wpadli w panikę. Mogą uznać, że źli ludzie powrócili. Niech Neagley idzie pierwsza.

Stuyvesant już miał zaprotestować, lecz Neagley wyskoczyła z samochodu i skierowała się w stronę furtki. Reacher patrzył, jak obraca się szybko na chodniku, sprawdzając otoczenie. Widział, jak zerka w prawo i w lewo, maszerując ścieżką. W pobliżu nie było nikogo, za zimno. Dotarła do drzwi, poszukała dzwonka. Nie znalazła, toteż zapukała głośno.

Po minucie drzwi uchyliły się odrobinę, zablokowane krótkim łańcuchem. Z wnętrza wylała się fala ciepłego światła. Chwila rozmowy, drzwi poruszyły się lekko, szcęknał łańcuch, smuga światła zwęziła się i rozszerzyła gwałtownie. Neagley odwróciła się, pomachała ręką. Froelich, Stuyvesant i Reacher wysiedli z suburbana i popieszyli naprzód. W drzwiach stał drobny ciemnoskóry mężczyzna. Czekał na nich z nieśmiałym uśmiechem.

- To jest pan Galvez — powiedziała Neagley.

Przedstawili się. Galvez cofnął się do przedpokoju, zapraszając ich skinieniem ręki niczym lokaj. Drobnej budowy, miał na sobie spodnie od garnituru i wzorzysty sweter. Twarz pod świeżo ostrzyżonymi włosami była szczera,

uczciwa. Ruszyli za nim do środka. Dom był mały, wyraźnie zatłoczony, ale bardzo czysty. Na wieszakach po drugiej stronie drzwi wisiało siedem dziecięcych kurtek - niektóre małe, inne nieco większe. Pod nimi na podłodze ustawiono siedem szkolnych tornistrów, siedem par butów. Tu i tam leżały porządnie ułożone zabawki. W kuchni ujrzeni trzy kobiety, zza ich spódnic wyglądały nieśmiało dzieci. Kolejne spoglądały na nich z salonu. Cały czas się poruszały, znikwały i pojawiały na nowo. Wszystkie wyglądały tak samo. Reacher nie zdołał ich policzyć. Ze wsząd patrzyły na nich szeroko otwarte ciemne oczy.

Stuyvesant wydawał się nieco zagubiony, jakby nie wiedział, jak wyjaśnić, co ich tu sprowadza. Reacher przecisnął się obok niego i ruszył w stronę kuchni. Przystanął w drzwiach. Na blacie stało siedem szkolnych pudełek na lunch z uniesionymi pokrywkami, gotowych do zapakowania wczesnym rankiem. Wrócił do przedpokoju. Przecisnął się obok Neagley i obejrzał kurtki. Uszyte z kolorowego nylonu przypominały miniaturowe wersje okryć, które przeglądał w Atlantic City. Zdjął jedną z wieszaka. Wewnątrz pod kołnierzykiem naszyto białą metkę. Ktoś wypisał na niej niezmywalnym markerem J. Galvez, dużymi, wyraźnymi literami. Reacher odłożył kurtkę, sprawdził pozostałe. Każdą opisano nazwiskiem i inicjałem. W sumie pięciu Galvezów i dwóch Alvarezów.

Nikt się nie odzywał. Stuyvesant sprawiał wrażenie zakłopotanego. Reacher, czując na sobie wzrok pana Galveza, skinieniem głowy pokazał mu salon. Gdy weszli do środka, dwójka dzieci wybiegła z pokoju.

- Ma pan pięcioro dzieci? - spytał Reacher.

Galvez przytaknął.

- Jestem szczęściarzem.

- Czyje są te dwie kurtki z podpisem Alvarez?

- To kurtki dzieci kuzyna mojej żony, Julia.

- Julia i Anity?

Galvez milczał.

- Muszę się z nimi widzieć - oznajmił Reacher.

- Nie ma ich tutaj.

Reacher odwrócił wzrok.

- Gdzie są? - spytał cicho.

- Nie wiem - odparł Galvez. - Chyba w pracy. Pracują nocami, dla rządu federalnego.

Reacher przyjrzał mu się uważnie.

- Nie, chodzi mi o dzieci, nie o ich rodziców. Muszę zobaczyć dzieci.

Galvez spojrział na niego zdumiony.

- Ich dzieci?

- Sprawdzić, czy nic im nie jest.

- Właśnie je pan widział, w kuchni.

- Muszę wiedzieć, które to dokładnie.

- Nie bierzemy pieniędzy - powiedział szybko Galvez. - Tylko na jedzenie.

Reacher skinął głową.

- Nie chodzi tu o licencję ani nic takiego. To nas nie interesuje. Musimy tylko sprawdzić, czy dzieciom nic nie jest.

Galvez nadal sprawiał wrażenie zaskoczonego. Wykrzyknął jednak szybko długie zdanie po hiszpańsku. Od grupki w kuchni odłączyła dwójka małych dzieci i manewrując między Stuyvesantem i Froelich, wbiegła do pokoju. Dzieci zatrzymały się przy drzwiach, stanęły obok siebie. Dwie małe dziewczynki, prześliczne, o wielkich ciemnych oczach i miękkich czarnych włosach. Ich twarze miały poważny wyraz. Na oko pięcio- i siedmiolatka, może cztero- i sześć-, może trzy- i pięcio-. Reacher nie miał pojęcia.

- Cześć, dzieciaki - rzucił. - Pokażcie mi swoje kurtki.

Zrobiły dokładnie to, co kazał, tak jak się to zdarza dzieciom. Poszedł za nimi do przedpokoju, patrząc, jak wspinają się na palce i dotykają dwóch kurtek, które jak wiedział, podpisano nazwiskiem Alvarez.

- W porządku - rzekł. - A teraz idźcie, zjedzcie ciastko czy coś.

Biegiem ruszyły do kuchni. Odprowadził je wzrokiem, przez sekundę stał bez ruchu, potem wrócił do salonu. Zbliżył się do Galveza i ponownie zniżył głos.

- Czy ktoś jeszcze o nie pytał?

Galvez jedynie pokręcił głową.

- Jest pan pewien? Nikt ich nie śledzi, nie widzieliście żadnych obcych?

Galvez ponownie zaprzeczył.

- Możemy pomóc - zapewnił Reacher. - Jeśli cokolwiek was martwi, powinniście powiedzieć nam od razu. Zajmiemy się tym.

Galvez patrzył na niego nic niepojmującym wzrokiem. Reacher uważnie obserwował jego oczy. Przez całe życie wpatrywał się w oczy, a te były kompletnie niewinne. Spoglądały z zaskoczeniem, oszołomione, ale Galvez niczego nie ukrywał, nie miał żadnych tajemnic.

- No dobrze - powiedział Reacher. - Przepraszamy, że wam przeszkadziliśmy.

Milczał przez całą drogę powrotną do biura.

* * *

Ponownie skorzystali z sali konferencyjnej, najwyraźniej jedyne pomieszczenia, w którym mogły usiąść więcej niż trzy osoby. Neagley pozwoliła Froelich zająć miejsce obok Reachera. Sama usiadła u boku Stuyvesanta po drugiej stronie stołu. Froelich przez radio połączyła się z agentami i usłyszała, że Armstrong właśnie wychodzi. Skrócił swój pobyt na balu. Na szczęście nikomu to nie przeszkadzało - jeśli polityk spędza z ludźmi dużo czasu, są zachwyceni, jeśli natomiast wyraźnie się spieszy, są równie zachwyceni, że ktoś tak ważny i zajęty znalazł dla nich wolną chwilę. Froelich wysłuchiwała raportów przez całą drogę z sali balowej, przez kuchnię, rampę wyładowczą, aż do limuzyny. Potem się odprężyła. Pozostał tylko kon-

wój do Georgetown i przejście przez pogrążony w ciemności namiot. Pomajstrowała za plecami i lekko przyciszyła dźwięk w słuchawce. Wyprostowała się, wodząc pytającym wzrokiem po twarzach pozostałych.

- Dla mnie to nie ma sensu - oznajmiła Neagley. - Sugeruje, że jest coś, co martwi ich bardziej niż własne dzieci.

- To znaczy? - chciała wiedzieć Froelich.

- Może zielone karty? Są tu legalnie?

Stuyvesant skinął głową.

- Oczywiście, że tak. To pracownicy służb specjalnych Stanów Zjednoczonych, tacy sami jak wszyscy w tym budynku. Dokładnie sprawdzeni, przenicowani. Kontroluje my ich sytuację finansową i tak dalej. O ile nam wiadomo, są czyści.

Reacher pozwolił, by rozmowa toczyła się bez niego. Podrapał się dłonią po karku. Niedawno ostrzyżone włosy już rosły, wydawały się miększe. Zerknął na Neagley, spuścił wzrok, przyglądając się wykładzinie. Szary nylon, prążkowany, nie szorstki i nie miękki. W ostrym blasku halogenów dostrzegał pojedyncze włókienka. Wykładzina była idealnie czysta. Zamknął oczy. Ponownie odtworzył w głowie film z kamery przemysłowej. Osiem minut przed północą zjawiają się sprzątacze, wchodzą do gabinetu Stuyvesanta. Siedem minut po północy wychodzą. Przez dziewięć minut sprzątaję pokój sekretarki. Potem znikają, tam skąd przyszli, szesnaście po północy. Raz jeszcze odtworzył film

w przód i w tył, skupiając się na każdej pojedynczej klatce, każdym ruchu. W końcu otworzył oczy. Wszyscy wpatrywali się w niego, jakby ignorował zadane mu pytanie. Reacher zerknął na zegarek; dobiegała dziewiąta. Uśmiechnął się szeroko, radośnie.

- Spodobał mi się pan Galvez - oznajmił. - Sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego z faktu, że jest ojcem. Te

wszystkie pudełka na lunch. Założę się, że dzieci dostają kanapki z pełnoziarnistego chleba i pewnie owoce. Dobre odżywianie.

Jego towarzysze obserwowali go uważnie.

- Ja byłem dzieckiem wojskowego - ciągnął. - Też miałem pudełko na lunch, zrobione ze starego pojemnika na amunicję. Wszyscy mieliśmy takie, w bazach stanowiły ostatni krzyk mody. Wypisałem na nim swoje nazwisko czerwonym wojskowym pisakiem. Moja matka go nie znosiła, uważała, że jest zbyt militarne jak dla dziecka. Ale i tak dawała mi same dobre rzeczy.

Neagley patrzyła na niego z uwagą.

- Reacher, mamy poważny problem. Dwóch ludzi nie żyje, a ty mówisz o pudełkach na lunch.

Skinął głową.

- Mówię o pudełkach na lunch, a myślę o strzyżeniu. Pan Galvez był świeżo od fryzjera, zauważyliście?

- I co z tego?

- I z całym szacunkiem, Neagley, myślę też o twoim tyłku.

Froelich spojrzała na niego z dziwną miną. Neagley zarumieniła się lekko.

- O co ci chodzi? - spytała.

- Chodzi mi o to, że wątpię, by dla Julia i Anity istniało na świecie coś ważniejszego niż ich dzieci.

- Czemu zatem tak się zamknęli?

Froelich wyprostowała się nagle, przycisnęła palec do słuchawki. Przez sekundę nasłuchiwała, uniosła przegub.

- Zrozumiałam - rzuciła. - Dobra robota, wszyscy.

Koniec.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Armstrong jest w domu - oznajmiła. - Bezpieczny.

Reacher ponownie zerknął na zegarek. Punkt dziewiąta. Spojrzał na Stuyvesanta.

- Czy mogę jeszcze raz obejrzeć twój gabinet? W tej

chwili?

Stuyvesant wyraźnie nic nie rozumiał, ale wstał i wyprowadził ich z sali. Razem podążyli korytarzami i dotarli na tyły piętra. Pokój sekretarki stał pusty, cichy. Drzwi Stuyvesanta były zamknięte. Pchnął je i zapalił światło.

Na biurku leżała kartka papieru.

Wszyscy ją ujrzeni. Stuyvesant przez sekundę trwał bez ruchu, potem przeszedł parę kroków i pochylił się. Przełknął ślinę, wypuścił powietrze, uniósł kartkę.

- Faks z policji w Boulder - rzekł. - Wstępny raport balistyczny. Musiała go zostawić moja sekretarka. - Uśmiechnął się z ulgą.

- A teraz sprawdź - poprosił Reacher. - Skup się. Czy tak zwykle wygląda twój gabinet?

Przytrzymując faks w palcach, - Stuyvesant rozejrzał się po pokoju.

- Dokładnie tak.

- I to właśnie widzą co wieczór sprzątacze?

- No, na biurku jest zwykle czysto. Ale poza tym, owszem.

- Dobra - mruknął Reacher. - Chodźmy.

Wrócili do sali konferencyjnej. Po drodze Stuyvesant czytał raport.

- Znaleźli sześć łusek - powiedział. - Dziewięćmilimetrowe, parabellum. Dziwne ślady po bokach, przysłali rysunek.

Podsunał kartkę Neagley. Przeczytała dokładnie, skrzywiła się, przekazała faks Reacherowi, który spojrzął na rysunek i pokiwał głową.

- Heckler & Koch MP5 - stwierdził. - Wyrzuca puste łuski z naprawdę potężnym kopem. Facet ustawił go na krótkie serie. Dwie serie, sześć łusek. Pewnie wylądowały dwadzieścia metrów dalej.

- Najprawdopodobniej model SD6 - dodała Neagley. - Jeśli był wytłumiony. Świetna broń, pistolet maszynowy

pierwszej klasy, drogi i dość rzadki.

- Czemu chciałeś obejrzeć mój gabinet? - spytał Stuyvesant.

- Myliliśmy się co do sprzątaczy - oznajmił Reacher.

W sali zapadła cisza.

- Pod jakim względem? - spytała Neagley.

- Pod każdym względem. Z każdej możliwej strony. Co się stało, gdy z nimi rozmawialiśmy?

- Kompletnie zamknęli się w sobie.

Skinął głową.

- Ja też tak sądziłem. Pograżyli się w stoickim milczeniu, niemal w transie. Uznałem to za reakcję na jakieś zagrożenie, jakby okopali się i bronili przed kimś, kto coś na nich ma. Coś niezmiernie ważnego. Jakby wiedzieli, że nie mogą sobie pozwolić nawet na jedno słowo. Ale wiecie co?

- Co?

- Oni po prostu nie mieli pojęcia, o czym my mówimy, najmniejszego. Dwójka zwariowanych białasów, zadających im dziwaczne pytania. Byli zbyt uprzejmi i zbyt nieśmiali, by kazać nam spadać. Po prostu siedzieli cierpliwie i słuchali, jak bredzimy.

- Co chcesz powiedzieć?

- Pomyślcie, co jeszcze wiemy? Na taśmie mamy dziwną sekwencję wydarzeń. Gdy wchodzi do gabinetu Stuyvesanta, sprawiają wrażenie nieco zmęczonych. Kiedy wychodzą, są nieco mniej zmęczeni. Wchodząc, wyglądają bardzo porządnie, wychodząc - mniej porządnie. W gabinecie spędzili piętnaście minut, w pokoju sekretarki zaledwie dziewięć.

- I co? - spytał Stuyvesant. Reacher się uśmiechnął.

- Twój gabinet jest prawdopodobnie najczystszy po mieszczeniu świata; można by tam przeprowadzić operację chirurgiczną. Świadomie utrzymujesz taki porządek. A przy okazji, wiemy o twoich nawykach z teczką i mo-

krymi butami.

Froelich wyraźnie nie miała pojęcia, o czym mowa. Tym razem to Stuyvesant się zarumienił.

- Jest wręcz obsesyjnie czysty - ciągnął Reacher. - A jednak sprzątacze spędzili w nim piętnaście minut. Czemu?

- Wypakowywali list - odparł Stuyvesant. - Układali na miejscu.

- Nie, nie wypakowywali.

- Może sama Maria? Czy Julio i Anita nie wyszli pierwsi?

- Nie.

- To kto go tam położył? Moja sekretarka?

- Nie.

W sali zapadła cisza.

- Twierdzisz, że ja to zrobiłem? - spytał Stuyvesant.

Reacher pokręcił głową.

- Pytam tylko, czemu sprzątacze spędzili piętnaście minut w gabinecie, który był idealnie czysty?

- Odpoczywali? - podsunęła Neagley.

Reacher znów pokręcił głową. Froelich uśmiechnęła się nagle.

- Robili coś, co sprawiło, że wyglądali nieporządnie? - spytała.

Reacher odpowiedział uśmiechem.

- Na przykład co?

- Na przykład uprawiali seks?

Stuyvesant pobladł.

- Mam szczerą nadzieję, że nie. A poza tym było ich troje.

- Istnieje coś takiego jak trójkąty - mruknęła Neagley.

- Mieszkają razem - przypomniał Stuyvesant. - Gdyby mieli na to ochotę, mogliby to robić w domu.

- To może być przygoda erotyczna - wyjaśniła Froelich.

- No wiesz, zabawa w pracy.

- Zapomnijcie o seksie - uciął Reacher. - Zastanówcie

się nad wrażeniem nieporządku. Co dokładnie je wywołało?

Wszyscy po kolei wzruszyli ramionami. Stuyvesant nadal był blady. Reacher się uśmiechnął.

- Na taśmie widać coś jeszcze - powiedział. - Gdy wchodzili, worek na śmieci był prawie pusty, gdy wychodzili niemal pełny. Czy w biurze zostało dużo śmieci?

- Nie. - Stuyvesant wyglądał na urażonego. - Nigdy nie zostawiam tam śmieci.

Froelich pochyliła się nagle.

- Co więc było w worku?

- Śmieci - odparł Reacher.

- Nie rozumiem - przyznała Froelich.

- Piętnaście minut to bardzo długo - zaczął Reacher. - W pokoju sekretarki pracowali sprawnie i bardzo dokładnie, a jednak sprzątanie zajęło im zaledwie dziewięć minut. Jest nieco większy i bardziej zaśmiecony niż gabinet. Wszędzie coś leży. Porównajcie te dwa pomieszczenia, po równajcie ich wyposażenie. Załóżcie, że pracują wszędzie równie ciężko, i powiedzcie mi, ile czasu powinni byli spędzić w gabinecie.

Froelich wzruszyła ramionami.

- Siedem minut, osiem. Mniej więcej tyle.

Neagley przytaknęła.

- Powiedziałabym, że góra dziewięć minut.

- Lubię porządek - zaprotestował Stuyvesant. - Zostawiam odpowiednie instrukcje. Chciałbym, by byli tam co najmniej dziesięć minut.

- Ale nie piętnaście - rzekł Reacher. - To przesada. Spytaliśmy ich o to. Spytaliśmy, czemu byli tam tak długo. A oni co odpowiedzieli?

- Nie odpowiedzieli - odparła Neagley. - Po prostu spojrzeli na nas ze zdumieniem.

- Potem zapytaliśmy, czy co noc spędzają w gabinecie tyle samo czasu, a oni odparli, że tak.

Stuyvesant spojrzął na Neagley, szukając potwierdzenia. Kobieta skinęła głową.

- Dobra - rzucił Reacher. - Mamy piętnaście minut, wszyscy widzieliście taśmy. Teraz powiedzcie mi, co tam robili?

Nikt się nie odezwał.

- Są dwie możliwości - podjął Reacher. - Albo nie spędzili tam tego czasu, albo też poświęcili go na hodowanie włosów.

- Co? - nie wytrzymała Froelich.

- Dlatego właśnie wyglądają nieporządnie, zwłaszcza Julio. Po wyjściu ma nieco dłuższe włosy niż w chwili, gdy wchodzi.

- Jak to możliwe?

- To możliwe, bo nie oglądaliśmy wydarzeń z jednej nocy. Oglądaliśmy dwie różne noce połączone ze sobą. Dwie połówki różnych nocy.

Cisza.

- Dwie taśmy - ciągnął Reacher. - Klucz stanowi zmiana kasety o północy. Pierwsza taśma jest autentyczna, musi być, bo wcześniej pokazuje Stuyvesanta i sekretarkę wychodzących do domu. To się zdarzyło naprawdę, w środę. O 23:52 pojawiają się sprzątacze. Sprawiają wrażenie zmęczonych, bo być może był to ich pierwszy dzień na nocnej zmianie. Może wcześniej przez cały dzień coś robili. Ale jak dotąd wszystko szło bez problemów. Nie mają opóźnienia. Nikt nigdzie nie rozlał kawy, nie zostawił gór śmieci. Worek na śmieci jest niemal pusty. Przypuszczam, że skończyli sprzątać w jakieś dziewięć minut. To pewnie ich zwykłe tempo, całkiem niezłe. Dlatego właśnie zdziwili się, gdy stwierdziliśmy, że siedzieli tam długo. Szacuję, że w rzeczywistości wyszli minutę po północy, przez kolejnych dziewięć minut sprząтали pokój sekretarki i dziesięć po dwunastej zniknęli.

- Ale... - wtrąciła Froelich.

- Ale po północy mamy już zupełnie inną noc. Może sprzed paru tygodni, nim Julio odwiedził fryzjera. Noc, gdy zjawili się później i później wyszli, bo w jakimś innym biurze coś ich zatrzymało. Może kupa śmieci, które trafiły do worka. Wychodząc, sprawiali wrażenie nieco bardziej energicznych, bo spieszyli się, żeby nadgonić pracę. Możliwe też, że był już środek tygodnia, przywykli do nocnych zmian i zdołali się wyspać. Widzieliśmy zatem, jak wchodzi w środę i wychodzą zupełnie innej nocy.

- Ale data była właściwa - przypomniała Froelich. - Niewątpliwie czwartkowa.

Reacher przytaknął.

- Nendick zaplanował wszystko z wyprzedzeniem.

- Nendick?

- Wasz facet od kamer - przypomniał Reacher. - Przypuszczam, że przez cały tydzień ustawił tę szczególną kamerę tak, by od północy do szóstej nagrywała czwartkową datę. Może nawet dwa tygodnie, bo potrzebował trzech wersji. Sprzątacze mogli wejść i wyjść przed północą. Wejść przed północą i wyjść po północy. Albo wejść i wyjść po północy. Musiał odczekać, żeby zdobyć wszystkie trzy. Gdyby weszli i wyszli przed północą, wręczyłby ci taśmę niepokazującą absolutnie niczego. Gdyby weszli i wyszli po północy, to właśnie byś zobaczyła. Ale stało się inaczej i musiał użyć taśmy pokazującej wyłącznie wyjście.

- To Nendick zostawił list? - spytał Stuyvesant.

Reacher skinął głową.

- To Nendick jest ich człowiekiem, nie sprzątacze. Tak naprawdę kamera zarejestrowała tamtej nocy sprzątaczy wychodzących tuż po dwunastej, a potem, gdzieś przed szóstą, Nendicka wchodzącego przez drzwi przeciwpożarowe. Na rękach miał rękawiczki, w dłoni trzymał list. Przypuszczam, że zrobił to około wpół do szóstej, tak by nie czekać długo, móc wyrzucić prawdziwą taśmę i wybrać odpowiedni zamiennik.

- Ale na taśmie widać, jak przychodzi rano. Moja sekretarka też.

- To była trzecia kaset. O szóstej znów się zmieniły. Podmienił tylko środkową.

Zebrani milczeli.

- Zapewne opisał im też kamery w garażu, by mogli dostarczyć list w niedzielę.

- Jak to zauważyłeś? - spytał Stuyvesant. - Dzięki włósom?

- Oczywiście. Ale tak naprawdę dzięki tyłkowi Neagley. Nendick był tak zdenerwowany, że nie zwrócił uwagi na tyłek Neagley. Zauważyła. Powiedziała mi, że to bardzo nietypowe.

Stuyvesant znów się zarumienił, jakby mógł o tym zaświadczyć osobiście.

- Powinniśmy zatem wypuścić sprzątaczy - podsumował Reacher. - A potem porozmawiać z Nendickiem. To on spotkał się z naszymi ludźmi.

Stuyvesant skinął głową.

- I zapewne został przez nich zaszantażowany.

- Taką mam nadzieję - odparł Reacher. - Mam nadzieję, że nie uczestniczy w tym z własnej, nieprzymuszonej woli.

* * *

Stuyvesant skorzystał ze swojego klucza i wraz z wezwanym na świadka oficerem dyżurnym wszedł do pokoju wideo. Odkryli, że dziesięć kolejnych kaset z datami sprzed interesującego ich czwartku z godzin 00-06 zniknęło. Nendick spisał je ze stanu, podając jako przyczynę błąd techniczny. Następnie wybrali losowo kilkanaście taśm z ostatnich trzech miesięcy i obejrzel fragmenty. Stwierdzili z całą pewnością, że sprzątacze nigdy nie spędzali w gabinecie więcej niż dziewięć minut, toteż Stuyvesant zadzwonił i zażądał ich natychmiastowego zwolnienia.

Mieli teraz trzy wyjścia: mogli zadzwonić do Nendicka i wezwać go pod jakimś pretekstem, wysłać agentów, by

go aresztowali, albo pojechać do jego domu i zacząć przesłuchanie, nim do gry wejdzie szósta poprawka i wszystko skomplikuje.

- Powinniśmy jechać natychmiast - oznajmił Reacher. - Wykorzystać element zaskoczenia.

Oczekiwał oporu, Stuyvesant jednak skinął tylko głową bez słowa. Był blady i zmęczony, wyglądał na człowieka dręczonego problemami, na człowieka, w którym poczucie zdrady i słusznego gniewu walczy ze standardowym urzędniczym instynktem ukrywania wszystkiego, co się da. A w przypadku kogoś takiego jak Nendick instynkt ów musiał działać znacznie silniej niż w przypadku zwykłych sprzątaczy. Sprzątacze to jedynie pionki, wcześniej czy później ktoś zinterpretowałby to jak zawsze: eh, sprzątacze, co na to poradzić. Ale ktoś taki jak Nendick to zupełnie inna sprawa. Ktoś taki stanowił ważny element organizacji, która powinna zorientować się wcześniej. Toteż Stuyvesant bez protestów uruchomił komputer sekretarki i znalazł adres domowy Nendicka - przedmieścia, piętnaście kilometrów od biura, za granicą Wirginii. Dwadzieścia minut jazdy. Nendick mieszkał w cichej, krętej uliczce w spokojnej dzielnicy - dość starej, by wyrosły drzewa, a fundamenty zapuściły korzenie, lecz dość nowej, by wyglądać wciąż elegancko i nowocześnie. Średni przedział cenowy. Na większości podjazdów parkowały zagraniczne samochody, ale nie najnowsze modele; czyste, lecz wyraźnie używane. Dom Nendicka okazał się niskim budynkiem w stylu wiejskim, z dachem koloru khaki i ceglany kominem. Poza błękitnym migotaniem telewizora widocznym przez jedno z okien panowała w nim ciemność.

Froelich skręciła wprost na podjazd i zaparkowała przed garażem. Wysiedli i nie zważając na chłód, pomaszrowali do drzwi frontowych. Stuyvesant nacisnął kciukiem dzwonek i nie puszczał. Trzydzieści sekund później w przedpokoju zapłonęło światło. Półokrągłe okienko nad drzwiami

zajaśniało pomarańczowym blaskiem. Nad ich głowami zaświeciła żółta zewnętrzna lampa. Drzwi się otworzyły, ujrzeni Nendicka. Stał za progiem, nie mówiąc ani słowa. Na sobie miał garnitur, jakby dopiero co wrócił z pracy. Wyglądał na chorego ze strachu, jak gdyby oprócz wcześniejszych tortur spodziewał się też nowych. Stuyvesant spojrział na niego, zawahał się chwilę i wszedł do środka. Za nim Froelich, potem Reacher, na końcu Neagley, która zamknęła drzwi i zajęła pozycję przed nimi niczym wartownik, stojąc w rozkroku z rękami splecionymi na plecach.

Nendick wciąż milczał, po prostu stał oszołomiony. Stuyvesant położył mu rękę na ramieniu i obrócił; pchnął w stronę kuchni. Mężczyzna nie stawiał oporu. Potykając się, szedł chwiejnie naprzód. Stuyvesant maszerował za nim. Nacisnął przełącznik i jarzeniówki nad blatami nagle ożyły.

- Siadaj - polecił, jakby mówił do psa.

Nendick posłusznie usiadł na stołku przy bufecie. Wciąż milczał. Skulił się, jakby wstrząsały nim gorączkowe dreszcze.

- Nazwiska - warknął Stuyvesant.

Nendick milczał, usilnie starał się nie odpowiedzieć. Patrzył tępo w ścianę naprzeciwko. Jedna z jarzeniówek się zepsuła, cały czas próbowała się zapalić, kondensator brzęczał gniewnie we wszechobecnej ciszy. Dłonie Nendicka zaczęły się trząść, toteż wsunął je pod pachy i począł kołysać się na stołku w przód i w tył. Krzesło skrzypiało cicho pod jego ciężarem. Reacher odwrócił wzrok i rozejrzał się. Ładna kuchnia, żółte kraciaste zasłony, żółty sufit. W wazonach stały kwiaty, wszystkie zwiędłe. W zlewie piętrzył się stos naczyń, z co najmniej kilku tygodni. Niektóre pokrywała zaschnięta warstwa jedzenia.

Cofnął się do przedpokoju, do salonu. Wielki, paroletni telewizor nastawiony na stację kablową. Program składał

się ze zmontowanych fragmentów taśm policyjnych sprzed kilkunastu lat. Mocno ściszony dźwięk był jedynie nieustającym pomrukiem, sugerującym niezwykle, niezdrowe podniecenie. Na poręczy fotela naprzeciwko ekranu leżał pilot. Na półce nad kominkiem ustawiono w rzędki sześć zdjęć w mosiężnych ramkach. Wszystkie przedstawiały Nendicka i kobietę mniej więcej w jego wieku, dostatecznie atrakcyjną i pełną energii, by nie móc jej nazwać brzydką. Fotografie ukazywały kolejno dzień ślubu, obrazki z wakacji i innych ważnych wydarzeń. Nie dostrzegł zdjęć dzieci. Nie był to zresztą dom, w którym mogłyby mieszkać dzieci. Nigdzie nie leżały zabawki, zero bałaganu, wszystko było wysmakowane, starannie dobrane, pełne ozdób i wyraźnie dorosłe.

Pilot na poręczy miał napis „Video”, nie „TV”. Reacher spojrzął na ekran i nacisnął „play”. Szum policyjnych radiostacji ucichł natychmiast. Magnetowid włączył się ze szcękaniem i sekundę później ekran pociemniał, po czym pojawił się na nim amatorski film ze ślubu. Nendick i jego żona, sprzed kilkunastu lat, uśmiechali się do kamery, pochylali ku sobie, wyglądali na bardzo szczęśliwych. Kobieta była ubrana na białą, on miał na sobie garnitur. Stali na trawniku w wietrzny dzień, jej włosy fruwały wokół. Większość odgłosów zagłuszał świst wiatru. Miała miły uśmiech, błyszczące oczy. Mówiła coś dla potomności, ale Reacher nie słyszał słów.

Nacisnął „stop” i ekranem znów zawładnęły policyjne pościgi. Wrócił do kuchni. Nendick wciąż trząsał się i kołysał. Nadal trzymał dłonie pod pachami i wciąż nic nie mówił. Reacher ponownie powiódł wzrokiem po zwiędłych kwiatach i brudnych naczyniach.

- Możemy ją uwolnić - powiedział. Nendick milczał.

- Po prostu powiedz nam kto, a my ci ją odwieziemy.

Brak odpowiedzi.

- Im wcześniej, tym lepiej - ciągnął Reacher. - Nie chce-

my przecież, by musiała zbyt długo czekać, prawda?

Nendick, całkowicie skupiony, wbijał wzrok w ścianę.

- Kiedy po nią przyszedli? - pytał Reacher. - Parę tygodni temu?

Nendick milczał. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. W tym momencie dołączyła do nich Neagley. Przeszła głębiej do części kuchni przerobionej na jadalnię. Pod jedną ze ścian stały pasujące do siebie meble. Biblioteczka, kredens i znów biblioteczka.

- Możemy ci pomóc — mówił Reacher. - Ale musimy wiedzieć, skąd mamy zacząć.

Nendick nie odpowiadał. Patrzył przed siebie, dygotał, kołysał się i kulił.

- Reacher! - zawołała Neagley, w jej miękkim głosie słychać było napięcie.

Reacher odwrócił się od Nendicka i dołączył do niej przy kredensie. Wręczyła mu coś - kopertę. W środku tkwiło zdjęcie zrobione polaroidem. Przedstawiało siedzącą na krześle kobietę. Twarz miała bladą, przerażoną, szeroko otwarte oczy, brudne włosy. To była żona Nendicka, choć wyglądała na sto lat starszą niż na fotografiach w salonie. W rękach trzymała egzemplarz gazety „USA Today”, nagłówek tkwił tuż pod brodą. Neagley podała mu drugą kopertę. Kolejne zdjęcie z polaroidu. Ta sama kobieta, ta sama pozycja, ta sama gazeta, ale inna data.

- Dowody życia - skomentował Reacher.

Neagley przytaknęła.

- Ale spójrz na to. Czego to dowodzi?

Podawała mu następną kopertę, wypchaną, brązową. W środku coś miękkiego i białego. Bielizna, para majtek, odbarwionych, nieco brudnych.

- Świetnie - mruknął.

Neagley znalazła czwartą kopertę. Znowu brązowa, wyscielana, mniejsza. W środku tkwiło pudełko, małe tekturowe pudełko w rodzaju tych, w które pakuje się kolczyki

u jubilera. Wyściełała je wata poplamiona na brązowo zaszniętą krwią, bo pośrodku leżał czubek palca odcięty przy pierwszym stawie czymś twardym i ostrym, może sekatorem. Sądząc z rozmiaru i zakrzywienia, pochodził z małego palca lewej dłoni; na paznokciu wciąż pozostały ślady lakieru. Reacher przyglądał mu się długą chwilę, w końcu skinął głową i oddał pudełko Neagley. Wrócił do kuchni, stanął naprzeciw Nendicka po drugiej stronie bufetu. Spojrzał mu prosto w oczy i zaryzykował.

- Stuyvesant - zawołał - i Froelich, wyjdźcie do przedpokoju.

Przez sekundę stali bez ruchu, zaskoczeni. Posłał im ostre spojrzenie. Posłusznie wyszli na zewnątrz.

- Neagley - rzucił Reacher. - Podejdz tu do mnie.

Cicho stanęła u jego boku.

Reacher pochylił się, oparł łokcie na blacie tak, że jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciw Nendicka.

Przemówił cicho.

- W porządku, już sobie poszli - rzekł. - Zostaliśmy tylko my, a my nie jesteśmy z Secret Service. Wiesz o tym, prawda? Nigdy wcześniej nas nie widziałeś poza tamtym dniem. Możesz nam zaufać, nie schrzaniemy sprawy tak jak oni. Pochodzimy z miejsca, w którym nie wolno niczego speprzyć. Z miejsca, w którym nie ma żadnych zasad. Możemy ją odzyskać, wiemy, jak to zrobić. Załatwimy złych ludzi i sprowadzimy ją tu, bezpieczną, bez pudła. Jasne? Obiecuję ci to. Ja ci obiecuję.

Nendick odchylił głowę, otworzył usta; były suche, pokryte drobinkami lepkiej piany. Potem zamknął je mocno, zacisnął szczęki, tak że wargi stały się bezkrwistą cienką linią. Wyciągnął spod pachy drżącą dłoń i przyłożył do siebie kciuk i palec wskazujący, jakby trzymał coś małego. Powoli przesunął tym czymś wzdłuż ust, jak gdyby zamykał zamek błyskawiczny. Z powrotem wsunął dłoń pod pachę, znów zaczął się trząść. Wbijał wzrok w ścianę. W

jego oczach widać było szalony strach, absolutną nieopanowaną zgrozę. Zaczął się kołysać, kasłać. Kasłał i dławił się głośno, ale wciąż nie otwierał zaciśniętych ust. Podskakiwał i trząsał się na stołku, ciasno skulony, rozpaczliwie dławiąc się przez zamknięte usta. Szeroko otwarte oczy przepełniało bezrozumne przerażenie. A potem wywróciły się nagle, rozbłysły białka, a Nendick runął na ziemię.

10

Starali się pomóc, ale nic to nie dało. Nendick leżał bez ruchu na kuchennej podłodze. Nie był w pełni przytomny, ale też nie nieprzytomny, jakby pogrążony w transie, zahibernowany. Skórę miał bladą, wilgotną od potu, słaby puls. Oddychał płytko. Reagował na dotyk i światło, i nic poza tym. W godzinę później znalazł się w strzeżonym pokoju w wojskowym centrum medycznym Waltera Reeda. Wstępna diagnoza brzmiała: katatonia wywołana psychozą.

- Mówiąc po ludzku, jest sparaliżowany strachem - wyjaśnił lekarz. - Medycyna zna takie przypadki, najczęściej zdarzają się wśród ludzi przesądnych, na Haiti, w częściach Luizjany. Innymi słowy w krajach voodoo. Objawy to bladłość, zimne poty, spadek ciśnienia krwi, stan bliski nieświadomości. Zupełne przeciwieństwo działania adrenalinu. To proces neurogeniczny. Serce pracuje wolniej, duże naczynia krwionośne jamy brzusznej odciągają krew od mózgu. Wyłącza się większość świadomych funkcji.

- Jakie zagrożenie może wywołać taką reakcję? - spytała cicho Froelich.

- Takie, w które ofiara naprawdę wierzy - odparł lekarz.
- To właśnie klucz. Ofiara musi być przekonana. Powiedziałbym, że porywacze żony opisali mu, co z nią zrobią,

jeśli zacznie mówić. Następnie wasze przybycie wywołało kryzys, bo przestraszył się, że będzie mówił. Może nawet chciał mówić, ale wiedział, że mu nie wolno. Nie chciałbym zgadywać, czym dokładnie mu zagrozili.

- Czy on wyzdrowieje? - spytał Stuyvesant.

- To zależy od stanu jego serca. Jeśli ma skłonności do chorób serca, mogą pojawić się kłopoty. Takiemu stanowi towarzyszą niezwykle obciążenia.

- Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać?

- Nieprędko. Najogólniej mówiąc, to zależy od niego. Musi dojść do siebie.

- To bardzo ważne. Dysponuje niezbędnymi informacjami.

Doktor pokręcił głową.

- Może za kilka dni - rzekł. - Może nigdy.

Czekali długą, bezowocną godzinę, podczas której nic się nie działo. Nendick leżał bez ruchu, otoczony pikającymi maszynami. Oddychał powoli i to wszystko. W końcu zrezygnowali, zostawili go tam i w ciemności w milczeniu wrócili do biura. Ponownie zajęli miejsca w pozbawionej okien sali konferencyjnej, zmagając się z następną poważną decyzją.

- Musicie powiedzieć Armstrongowi - oznajmiła Neagley.

- Urządzili już demonstrację, teraz pozostaje im tylko prawdziwy zamach.

Stuyvesant pokręcił głową.

- Nigdy im nie mówimy. To nasza polityka. Robimy tak od stu jeden lat i nie zamierzamy tego zmieniać.

- Więc powinniśmy ograniczyć jego występy - wtrąciła Froelich.

- Nie - odrzekł Stuyvesant. - Coś takiego samo w sobie stanowiłoby przyznanie się do porażki. Poza tym to bilet w jedną stronę. Jeśli raz tak postąpimy, będziemy to robić zawsze, przy każdym następnym zagrożeniu. Nie może do tego dojść. Musimy go bronić, jak tylko umiemy. Zaczynij-

my zatem planować, przed czym go bronimy. Co wiemy?

- Że zginęło już dwóch mężczyzn - odparła Froelich.

- Dwóch mężczyzn i jedna kobieta - poprawił Reacher.

-Przyjrzyjcie się statystykom. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto porwanie równa się zabójstwu.

- Zdjęcia dowodziły, że żyje - nie zgodził się Stuyvesant.

- Dopóki Nendick nie zrobił tego, co kazano. A zrobił prawie dwa tygodnie temu.

- Wciąż to robi. Nie mówi, toteż nie zamierzam tracić nadziei.

Reacher nie odpowiedział.

- Wiesz coś o niej? - spytała Neagley.

Stuyvesant pokręcił głową.

- Nigdy jej nie spotkałem, nawet nie wiem, jak się nazywa. Praktycznie nie znam też Nendicka. To tylko technik, widuję go od czasu do czasu.

W sali zapanowała cisza.

- Musicie też zawiadomić FBI - powiedziała Neagley.

- Teraz nie chodzi już tylko o Armstronga. Mamy ofiarę porwania, może już nieżyjącą albo poważnie zagrożoną. To z całą pewnością jurysdykcja Biura. No i zabójstwo poza stanem. To ich sprawa.

Cisza dosłownie dźwięczała w uszach. W końcu Stuyvesant westchnął, rozejrzał się wokół, wodząc spojrzeniem po twarzach zebranych.

- Tak - rzekł - zgadzam się. Sprawy zaszły za daleko. Bóg jeden wie, że nie chcę tego robić, ale im powiem. Pozwolę, byśmy stracili punkty. Przekażę im wszystko.

Odpowiedziała mu cisza, nikt się nie odezwał, nie mieli nic do powiedzenia. Zważywszy na okoliczności, było to najlepsze wyjście, aprobata jednak mogłaby się wydać czystym sarkazmem, a wyrazy współczucia czymś niestosownym. Owszem, należały się Nendickom i dwóm niespokrewnionym rodzinom nazwiskiem Armstrong. Ale

nie Stuyvesantowi.

- Tymczasem skupimy się na Armstrongu - zdecydowałam. - To wszystko, co możemy zrobić.

- Jutro jest znów Dakota Północna - oznajmiła Froelich.
- Zabawa i igrzyska na świeżym powietrzu. To samo miejsce co przedtem, niezbyt bezpieczne. Wyruszamy o dziesiątej.

- A w czwartek?

- Czwartek to Święto Dziękczynienia. Będzie podawał indyka w schronisku dla bezdomnych tu, w Waszyngtonie. Bardzo odstępniety.

Odpowiedziała jej długa cisza. Stuyvesant westchnął ciężko i oparł dłonie na długim drewnianym blacie.

- W porządku - rzekł. - Bądźcie tu jutro o siódmej rano. Z pewnością Biuro bardzo chętnie przyśle nam swojego łącznika.

To rzekłszy, dźwignął się z miejsca i poszedł do gabinetu, skąd zamierzał przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, które na zawsze rzucą cień na jego karierę.

* * *

- Czuję się bezradna - mruknęła Froelich. - Chciała bym być bardziej aktywna.

- Nie lubisz grać w obronie? - spytał Reacher. Leżeli w jej łóżku, w jej sypialni, większej niż pokój gościnny, ładniejszej i cichszej, ponieważ znajdowała się z tyłu domu. Sufit też miała gładszy, choć ostatecznie mogły tego dowieść dopiero ukośne promienie słońca, które wpadały tu wieczorem, nie rano, bo okno wychodziło na zachód. Łóżko było ciepłe, dom także: kokon ciepła w morzu szarej, zimnej miejskiej nocy.

- Obrona nie jest zła - rzekła Froelich. - Lecz przecież atak to też obrona, prawda? Zwłaszcza w takiej sytuacji. Ale my zawsze pozwalamy, by wszystko przychodziło do nas, a wtedy uciekamy. Jesteśmy za bardzo nastawieni na reakcje. Za mało uwagi poświęcamy analizom.

- Macie przecież analityków - przypomniał Reacher. -
Choćby tego gościa, który ogląda filmy.

Skinęła głową opartą na jego ramieniu.

- Biuro badawcze. To dziwna praca, raczej akademicka,
strategiczna niż taktyczna.

- W takim razie zrób to sama. Spróbuj kilku rzeczy.

- Na przykład?

- Wyeliminowanie Nendicka sprawia, że wracamy do
pierwotnych dowodów. Musimy zacząć od początku. Po-
winnaś skupić się na odcisku kciuka.

- Nie ma go w bazach danych.

- W bazach danych zdarzają się błędy, są też uzupełnia-
ne, cały czas pojawiają się nowe odciski. Powinnaś spraw-
dzać co kilka dni i poszerzyć poszukiwania. Sprawdź w in-
nych krajach, w Interpolu.

- Wątpię, czy ci ludzie są z zagranicy.

- Ale może to Amerykanie, którzy podróżowali po świe-
cie. Może mieli kłopoty w Kanadzie, Europie, Meksyku
czy Ameryce Południowej.

- Może - mruknęła.

- Powinnaś też sprawdzić odcisk kciuka jako sposób
działania. No wiesz, przeszukać bazę danych i sprawdzić,
czy ktokolwiek kiedykolwiek podpisał listy z groźbami od-
ciskiem. Jak daleko w przeszłość sięgają archiwa?

- Do zarania dziejów.

- To nałóż ograniczenie, dwadzieścia lat. Myślę, że u za-
rania dziejów mnóstwo ludzi podpisywało się odciskiem
kciuka.

Froelich uśmiechnęła się sennie. Czuł to na ramieniu.

- Bo jeszcze nie umieli pisać - uzupełnił.

Nie odpowiedziała. Zasnęła twardo, oddychając wolno,
rytmicznie, wtulona w niego. Poruszył się lekko i poczuł
niewielkie wgniecenie po swej stronie materaca. Zastano-
wił się, czy to Joe je zrobił. Przez dłuższą chwilę leżał bez
ruchu, potem wyciągnął rękę i zgasił światło.

* * *

Zdawało się, że minęła zaledwie minuta, gdy znów wstali, wzięli prysznic i znaleźli się z powrotem w sali konferencyjnej Secret Service, zjadając donuty i pijąc kawę wraz z łącznikiem FBI, niejakim Bannonom. Reacher miał na sobie kurtkę z Atlantic City oraz trzeci z porzuconych włoskich garniturów Joego, trzecią koszulę Ktosia & Ktosia i gładki niebieski krawat. Froelich znów ubrała czarny kostium ze spodniami. Neagley założyła ten sam strój co w sobotę wieczór, podkreślający figurę, ten, który zignorował Nendick. Wykorzystywała swą garderobę tak szybko, jak tylko pozwalała na to pralnia hotelowa. Stuyvesant jak zwykle ubrany był w nieskazitelny garnitur od Brooks Brothers, może ten sam co wczoraj, może nie, nie dało się poznać - wszystkie były identyczne. Sprawiał wrażenie wyczerpanego. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych i Reachera nieco to martwiło. Doświadczenie podpowiadało mu, że zmęczenie wpływa na sprawność operacyjną równie źle, jak o jeden drink za wiele.

- Prześpijmy się w samolocie - powiedziała Froelich. -
Każemy pilotowi lecieć powoli.

Bannon miał na oko około czterdziestki. Ubrany w tweedowy sportowy płaszcz i szare flanele wyglądał surowo, twardo i bardzo irlandzko. Spacer na porannym mrozie podkreślił jeszcze czerwień jego cery. Był też jednak uprzejmy, wesoły i sam przyniósł dla wszystkich kawę i pączki, z dwóch różnych sklepów, wybranych z powodu jakości sprzedawanych produktów. Został też dobrze przyjęty. Jedzenie i picie za dwadzieścia dolarów przełamało część międzyagencyjnych lodów.

- Żadnych tajemnic z obu stron - powiedział. - Oto co proponujemy. I żadnego obwiniania. Ale też żadnych bzdur. Myślę, że musimy przyjąć, że żona Nendicka nie żyje. Będziemy jej szukać, oczywiście, ale nie okłamujmy się. Zatem są już trzy ofiary, trochę dowodów, ale niezbyt wiele.

Przypuszczamy, że Nendick spotkał się z tymi ludźmi, i zakładamy, że byli u niego w domu, choćby po to, by porwać żonę. Zatem to miejsce zbrodni. Sprawdzimy je dzisiaj i prześlemy wam wyniki. Nendick nam pomoże, jeśli kiedykolwiek się ocknie. Zakładając jednak, że nie nastąpi to prędko, zabierzemy się do sprawy od trzech stron. Po pierwsze, listy, które przychodziły tu, do Waszyngtonu. Po drugie, zabójstwo w Minnesocie. Po trzecie, to w Kolorado.

- Czy wasi ludzie przejęli tam śledztwa? - spytała Froelich.

- W obu miejscach - odparł Bannon. - Nasi specje od balistyki stwierdzili, że broń z Kolorado to pistolet maszynowy Heckler & Koch, zwany MP5.

- Doszliśmy do tego samego wniosku - dodała Neagley.
- Zapewne wytłumiony, co oznacza MP5 SD6.

Bannon skinął głową.

- Ty jesteś jedną z byłych wojskowych, tak? W takim razie widziałeś już MP5. Ja też. To broń wojskowa i paramilitarna. Używa jej policja, federalne oddziały szturmowe SWAT i podobne grupy.

Umilkł i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych ludzi, jakby w jego słowach kryło się coś ważnego.

- A Minnesota? - spytała Neagley.

- Znaleźliśmy pocisk - odparł Bannon. - Przeczesałismy podwórze wykrywaczem metalu. Tkwił zagrzebany ponad dwadzieścia centymetrów w błocie, co odpowiada strzałowi z niewielkiego zadrzewionego wzgórza około stu dwudziestu metrów dalej na północ. Jakies dwadzieścia pięć metrów wysokości.

- Jaki to pocisk? - spytał Reacher.

- Natowski, 7,62 milimetra.

Reacher skinął głową.

- Sprawdziliście go?

- Pod jakim względem?

- Ładunku miotającego. Bannon przytaknął.

- Był zmniejszony.

- Amunicja poddźwiękowa - mruknął Reacher. - Przy takim kalibrze to musiał być wytłumiony karabin snajperski Vaime Mk2.

- Także broń policyjna i paramilitarna - dodał Bannon. - Często dostarczana jednostkom antyterrorystycznym.

Ponownie rozejrzał się po sali, jakby czekał na komentarze. Nikt się nie odezwał, toteż sam przeszedł do rzeczy.

- Wiecie co?

- Co?

- Jeśli porównacie listy oficjalnych amerykańskich nabywców pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP5 i karabinów Vaime Mk2, tylko jedna nazwa powtórzy się na obu.

- Jaka?

- Tajnych Służb Stanów Zjednoczonych. Secret Service.

W sali zapadła cisza, nikt się nie odezwał. Nagle usłyszeli pukanie do drzwi. Oficer dyżurny. Stał tam oparty o framugę.

- Właśnie przyszła poczta - oznajmił. - Powinniście to zobaczyć.

* * *

Położyli ją na stole w sali konferencyjnej. Znajoma brązowa koperta, klejona, z metalowym zapięciem. Wydrukowana na komputerze samoprzylepna nalepka z adresem. Brook Armstrong, Senat Stanów Zjednoczonych, Waszyngton DC. Wyraźne czarne litery na białym tle, czcionka Times New Roman. Bannon otworzył teczkę i wyjął parę białych bawełnianych rękawiczek. Naciągnął je na prawą, potem lewą dłoń. Poprawił na palcach.

- Dostałem je z laboratorium - wyjaśnił. - To szczególne okoliczności. Nie chcemy używać rękawiczek lateksowych i zostawić własnych śladów talku.

Rękawiczki były dość grube, Bannon musiał przesunąć kopertę na skraj stołu, by ją podnieść. Przytrzymał jedną

ręką, szukając czegoś, czym mógłby otworzyć list. Reacher wyjął z kieszeni ceramiczny nóż, otworzył go, podał rękojeścią do przodu. Bannon wsunął czubek ostrza pod klapkę. Pociągnął kopertę w tył, a nóż do przodu. Klinga przecięła papier jak masło. Agent oddał Reacherowi nóż, naciśnął krawędzie koperty, tak by się rozchyliła. Zajrzał do środka. Odwrócił ją i wytrząsnął coś na blat.

Była to pojedyncza kartka grubego białego papieru listowego. Prześliznęła się kawałek po błyszczącym blacie, po czym znieruchomiała. Na środku w dwóch linijkach, nieco ponad połowę wysokości kartki, widniało pytanie, pięć słów, wydrukowanych znajomą prostą czcionką: *Podobała się wam nasza demonstracja?* Ostatnie słowo jako jedyne przeszło do drugiej linii, co jeszcze podkreśliło jego znaczenie.

Bannon odwrócił kopertę, sprawdził znaczek.

- Znów Vegas - oświadczył. - Sobota. Są bardzo pewni siebie, prawda? Pytają, czy spodobała ci się demonstracja trzy dni przed jej urzędzeniem.

- Musimy już ruszać - oznajmiła Froelich. - Startujemy o dziesiątej. Chcę, żeby Reacher i Neagley pojechali ze mną. Już tam byli, znają teren.

Stuyvesant uniosł rękę w niewyraźnym geście oznaczającym albo „w porządku”, albo „nieważne”, albo „nie zawracaj mi głowy”. Reacher nie potrafił określić, która z tych interpretacji jest prawdziwa.

- Chcę, żebyśmy spotykali się dwa razy dziennie - powiedział Bannon. - Tutaj. O siódmej co rano i może o dziesiątej wieczór.

- Jeśli będziemy w mieście - odparła Froelich. Wstała i ruszyła do drzwi. Reacher i Neagley wyszli za nią na korytarz. Reacher dogonił ją, trącił łokciem i popchnął w lewo, nie w prawo, w stronę jej biura.

- Przeszukaj bazę danych - szepnął. Zerknęła na zegarek.

- To trwa za długo.
- W takim razie zacznij teraz i niech sprawdza cały dzień.

- Bannon tego nie zrobi?

- Pewnie zrobi, ale zawsze warto sprawdzić samemu.

Przystanęła, potem odwróciła się i ruszyła w głąb piętra. Zapaliła lampę w pokoju, włączyła komputer. Baza NCIK miała bardzo skomplikowany interfejs przeszukiwania. Froelich wprowadziła hasło, kliknęła kursorem w pierwsze pole i wpisała: odcisk kciuka.

- Więcej szczegółów - poradził Reacher. - Przy czymś takim otrzymasz miliony najzwyczajniejszych, niewinnych spraw.

Froelich wróciła do pierwszego pola i napisała: odcisk kciuka + dokument + list + podpis.

- W porządku? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Urodziłem się, nim jeszcze wynaleziono ten sprzęt.

- Niezły początek - powiedziała Neagley. - Jeśli trzeba, możemy uściślić to później.

Froelich kliknęła na „szukaj”. Twardy dysk zaszumił, a pytanie zniknęło z ekranu.

- Ruszajmy - rzekła.

* * *

Przewiezienie zagrożonego wiceprezydenta elekta z Dystryktu Columbii do wielkiego stanu Dakota Północna okazało się skomplikowanym przedsięwzięciem. Wymagało ośmiu osobnych pojazdów Secret Service, czterech radiowozów, w sumie dwudziestu agentów i samolotu. Miejscowy wiec polityczny ochraniało dwunastu agentów, czterdziestu miejscowych policjantów, cztery radiowozy policji stanowej i dwie miejscowe jednostki z psami. Froelich przez cztery godziny koordynowała przez radio całą operację.

Suburbana zostawiła w garażu. Wykorzystała długą li-

muzynę town car z kierowcą, by móc skupić się na wydawaniu rozkazów. Reacher i Neagley siedzieli obok niej z tyłu. Razem wyjechali z Georgetown i zaparkowali przed domem Armstronga. Trzydzieści minut później dołączył do nich samochód artylerii i dwa suburbany. Kwadrans potem tuż pod namiotem zaparkował opancerzony cadillac. Następnie dwa radiowozy zablokowały ulicę z obu stron.

Miały włączone koguty. Wszystkie samochody ani na moment nie gasiły reflektorów. Niebo było ciemnoszare, padał lekki deszcz, nikt nie wyłączał silników, żeby nie stracić ogrzewania. Spaliny unosiły się w powietrzu i zbierały obok krawężników.

Czekali. Froelich rozmawiała z obstawą osobistą w domu, obsługą naziemną z bazy lotniczej Andrews. Rozmawiała z policjantami w radiowozach, słuchała raportów o ruchu przesyłanych z helikoptera. Pogoda sprawiła, że miasto było zakorkowane. Drogówka doradzała długi objazd dookoła centrum. Ludzie z Andrews meldowali, że mechanicy sprawdzili samolot i załoga już czeka. Obstawa osobista poinformowała, że Armstrong skończył poranną kawę.

- Ruszamy - poleciała Froelich.

Nie widzieli przejścia przez namiot, lecz Froelich na bieżąco wysłuchiwała relacji przez słuchawkę. Limuzyna odjechała od krawężnika. Jeden z suburbanów wyprzedził ją natychmiast i ustawił się za pierwszym radiowozem. Następna była artyleria, potem limuzyna Froelich, później drugi suburban i zamykający kawalkadę radiowóz. Cały konwój wyjechał na Wisconsin Avenue przez Bethesdę, oddalając się od bazy Andrews, następnie jednak skręcił w prawo i szybko zatoczył pętlę. Tymczasem Froelich połączyła się z Bismarck i sprawdzała szczegóły dotyczące przylotu. Zaplanowano go na godzinę 13:00. Chciała wszystko z góry ustalić, by móc się przespać w samolocie.

Konwój wjechał do Andrews bramą północną i wtoczył się wprost na płytę lotniska. Limuzyna Armstronga zatrzy-

mała się siedem metrów od stopni. Samolot, dwusilnikowy odrzutowiec Gulfstream, oznaczony był ceremonialnym niebieskim godłem Stanów Zjednoczonych. Jego silniki skowyczały, ulatujące z nich powietrze porywało ze sobą krople deszczu. Z suburbanów wysypali się agenci. Armstrong wysiadł z limuzyny i przebiegł szybko siedem metrów do schodów. Tuż za nim podążała ochrona osobista, za nimi Froelich, Neagley i Reacher. Z czekającej furgonetki prasowej wyskoczyło dwóch reporterów. Szereg zamykała druga trójka agentów. Obsługa lotniska odczołyła stopnie, steward zamknął drzwi samolotu.

Wnętrze odrzutowca nie przypominało Air Force One, który Reacher oglądał na filmach - raczej autobus, jakim mógłby podróżować niezbyt znany zespół rockowy; zwykły niewielki pojazd, wyposażony w dwanaście lepszej klasy foteli. Osiem z nich ustawiono w dwóch grupach po cztery wokół stołów, pozostałe cztery w jednym rzędzie z przodu. Skórzane fotele i drewniane blaty wydawały się dziwnie nie na miejscu w prostym przedziale pasażerskim. Niewątpliwie kolejność zajmowania miejsc ściśle regulowała hierarchia służbowa. Ludzie tłoczyli się w przejściu, póki Armstrong nie usiadł. Wybrał miejsce tyłem do dziobu samolotu, przy oknie przy prawym stole. Dwaj reporterzy usiedli naprzeciwko; może umówili się z góry na wywiad w czasie przelotu. Froelich i ochrona osobista zajęli krzesła przy drugim stole. Agenci ze wsparcia i Neagley usiedli w pierwszym rzędzie. Reacher nie miał wyboru. Jedyne puste fotel był blisko Froelich - rozdzielało ich tylko przejście - ale także tuż obok Armstronga.

Szybko schował kurtkę w skrytce nad głową i usiadł. Armstrong zerknął na niego jak na starego znajomego, reporterzy zmierzli go uważnym wzrokiem. Czuł na sobie pytające spojrzenia. Oglądali jego garnitur. Niemal widział obracające się w ich głowach trybiki: zbyt drogi i elegancki jak na agenta. Kto to jest? Asystent? Ktoś ważny? Reacher za-

piął pas, jakby siedzenie obok wiceprezydenta elekta było dla niego czymś naturalnym, jakby robił to co cztery lata. Armstrong nie uczynił nic, by wyjaśnić sytuację. Po prostu siedział spokojnie, czekając na pierwsze pytanie.

Silniki zawyły głośniej i samolot pokołował na pas. Gdy wystartował i wyrównał lot, niemal wszyscy w samolocie już spali, poza tymi przy stole Reachera. Po prostu wyłączyli się jak zawodowcy dysponujący chwilą przerwy między intensywnymi zajęciami. Wyraźnie widział, że Froelich przywykła do sypiania w samolotach: głowę oparła o ramię, ręce złożyła na kolanach. Wyglądała świetnie. Trzech agentów obok niej przyjęło nieco mniej eleganckie pozy. Byli to potężni faceci o szerokich karkach, masywnych ramionach, grubych przegubach. Jeden z nich wysunął nogę w przejście. Stopa na oko miała rozmiar czternaście. Reacher zakładał, że Neagley śpi za jego plecami. Potrafiła zasnąć wszędzie; kiedyś widział, jak podczas długiej zasadzki spała na drzewie. Znalazł przycisk i odrobinę odchylił fotel, sadowiąc się wygodniej. W tym momencie jednak reporterzy zaczęli mówić - do Armstronga, ale o Reacherze.

- Czy możemy prosić o nazwisko? - spytał jeden z nich. Armstrong pokręcił głową.

- Obawiam się, że na tym etapie nie możemy jeszcze ujawniać nazwisk.

- Ale zakładamy, że wciąż mowa tu o instytucjach bezpieczeństwa narodowego?

Armstrong uśmiechnął się, niemal mrugnął.

- Nie mogę wam zabronić zakładania czegokolwiek. Reporterzy coś zapisali. Zaczęli rozmowę o stosunkach międzynarodowych, kładąc szczególny nacisk na zasoby i wydatki wojskowe. Reacher nie słuchał, starał się zasnąć. Ocknął się ponownie, gdy usłyszał powtórzone pytanie i poczuł na sobie wzrok. Jeden z reporterów patrzył w jego stronę.

- Ale czy nadal popiera pan doktrynę miażdżącej przewagi sił? - dopytywał się drugi.

Armstrong zerknął na Reachera.

- Zechciałbyś skomentować?

Reacher ziewnął.

- Tak, nadal popieram ideę miażdżącej przewagi sił. Bez dwóch zdań. Popieram ją całym sercem i zawsze popierałem.

Obaj reporterzy zapisali te słowa. Armstrong z mądrą miną skinął głową. Reacher odchylił nieco bardziej oparcie i zasnął.

* * *

Ocknął się w chwili, gdy schodzili do lądowania w Bismarck. Wszyscy wokół niego już się obudzili. Froelich rozmawiała cicho z agentami, wydając standardowe polecenia operacyjne. Neagley słuchała wraz z trzema mężczyznami ze swego rządu. Wyrzwał przez okno Armstronga i ujrzwał czyste, błękitne niebo, bez chmur. Trzy tysiące metrów w dole leżała ziemia, brązowa i uśpiona. Widział rzekę Missouri przecinającą ją z północy na południe poprzez niekończącą się serię jasnoniebieskich jezior. Dostrzegł też biegnące ze wschodu na zachód wąskie pasmo autostrady I 94. W miejscu gdzie się krzyżowały, widniała brązowa miejska plama: Bismarck.

- Ochronę kordonu pozostawiamy miejscowej policji - mówiła Froelich. - Mamy ich do dyspozycji czterdziestu, może więcej. A także policję stanową w radiowozach. Naszym zadaniem jest trzymanie się razem. Wchodzimy i wychodzimy. Przyjeżdżamy po rozpoczęciu spotkania, wyjeżdżamy przed zakończeniem.

- Tak żeby chcieli więcej - dodał Armstrong, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- W show-biznesie to się sprawdza - zauważył jeden z reporterów.

Samolot zakołysał się, przechylił i zaczął schodzić do lądowania. Fotele wyprostowały się, wokół szczęknięty kłamry pasów. Reporterzy schowali notesy. Mieli zostać w samolo-

cie. Ważnych dziennikarzy od polityki zagranicznej nie interesują lokalne polityczne wiece. Froelich spojrzała na Reachera i uśmiechnęła się, lecz w jej oczach dostrzegł niepokój.

Samolot wylądował gładko i odkołował na róg płyty, gdzie czekało już pięć samochodów: dwa radiowozy i trzy identyczne limuzyny między nimi. Obok stała niewielka grupka ludzi z obsługi, trzymających w pogotowiu stopnie. Armstrong wraz z obstawą jechał środkową limuzyną. Agenci ze wsparcia zajęli tę z tyłu. Froelich, Reacher i Neagley wsiedli do pierwszej. W powietrzu czuć było mróz, ale niebo nad głowami jaśniało, słońce świeciło oślepiająco.

- Macie wolną rękę - oznajmiła Froelich. - Róbcie, co uznacie za stosowne.

Droga była zupełnie pusta, jakby okolica kompletnie się wyludniła. Po krótkiej podróży gładkimi betonowymi jezdniami Reacher ujrzał nagle w dali znajomą kościelną wieżę i otaczające ją niskie domy. Po jednej stronie drogi dojazdowej gęsto parkowały samochody. Sto metrów przed wejściem na tereny kościelne ustawiono policyjną blokadę. Kawalkada wyminęła ją i skierowała się na parking. Ogrodzenia udekorowano wstęgami. Wokół kościoła zebrał się już spory tłum, jakieś trzysta osób. Nad wszystkim górowała dzwonnica, wysoka, masywna, potężna i oślepiająco biała w promieniach zimowego słońca.

- Mam nadzieję, że tym razem sprawdzili każdy mili metr - mruknęła Froelich.

Pięć samochodów zatrzymało się ze zgrzytem na zwi-rze. Pierwsi wysiedli agenci ze wsparcia, rozsypali się przed samochodem Armstronga, sprawdzając twarze w tłumie, czekając, aż Froelich odbierze przez radio meldunek od miejscowego szefa policji. Gdy tylko go dostała, przekazała dowódcy wsparcia, który potwierdził, podszedł do drzwi Armstronga i otworzył je uroczyście. Reacher był pod wrażeniem. Wszystko to przypominało balet - pięć

spokojnych, godnych, niespiesznych sekund, bez żadnego wahania. A jednak wystarczyło na nawiązanie trzy stronnej łączności radiowej i potwierdzenie wizualne. Bardzo sprawna organizacja.

Armstrong wysiadł z samochodu na mróz. Uśmiechał się już, przybierając perfekcyjną minę miejscowego chłopaka, zakłopotanego tym całym zamieszaniem, i wyciągał rękę, by powitać swego następcę, czekającego na czele kolejki. Głowę miał gołą. Osobista ochrona otaczała go tak blisko, że niemal go dotykała. Agenci wsparcia także się zbliżyli, manewrując tak, by najwyższa dwójka zawsze stała pomiędzy Armstrongiem i kościołem. Ich twarze były pozbawione wyrazu. Płaszczki mieli rozpięte, oczy poruszały się nieustannie.

- Ten przekłety kościół - mruknęła Froelich. - Przypomina strzelnicę.

- Powinniśmy jeszcze raz go sprawdzić - odparł Reacher.

- Sami, tak żeby mieć pewność. Do tego czasu każ mu krążyć w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

- Wtedy podejdzie jeszcze bliżej kościoła.

- Bliżej kościoła jest bezpieczniejszy, kąć strzału jest zbyt ostry. Dzwony otaczają drewniane żaluzje, pole rażenia zaczyna się około dwunastu metrów od podstawy wieży. Jeśli znajdzie się bliżej, będzie bezpieczny.

Froelich uniosła przegub i przekazała wiadomość swemu zastępcy. Kilka sekund później ujrzeli, jak mężczyzna zaczyna prowadzić Armstronga w prawo i głębiej w stronę kościoła. Nowy senator dreptał tuż obok. Tłum zmienił kierunek i poruszył się wraz z nimi.

- A teraz znajdziemy gościa, który ma klucze - zaproponował Reacher.

Froelich wywołała miejscowego dowódcę policji. Wyслуchała krótkiej odpowiedzi.

- Kościelny spotka się z nami na miejscu - oznajmiła. - Za pięć minut.

Wysiedli z samochodu i przeszli przez żwirowy parking w stronę bramy kościelnej. Było bardzo zimno. Widzieli głowę Armstronga pośród morza ludzi. W promieniach słońca jego włosy lśniły. Był już daleko, dziesięć metrów od wieży. Nowy senator trwał u jego boku. Otaczało ich sześciu agentów. Tłum poruszał się wraz z nimi, powoli zmieniając kształt niczym ewoluująca żywa istota. Wszędzie wokół widzieli ciemne płaszcze, kapelusze, szaliki, okulary przeciwsłoneczne. Po nocnych przymrozkach trawa była martwa i brązowa.

Froelich zeszywniała, osłoniła dłonią ucho, uniosła drugą rękę i przemówiła do mikrofonu na przegubie.

- Utrzymujcie go blisko kościoła - poleciła. Następnie opuściła ręce, rozpięła płaszcz, przesunęła pistolet w kaburze.

- Zgłosili się policjanci stanowi z najdalszego kordonu - oznajmiła. - Niepokoi ich jakiś pieszy mężczyzna.

- Gdzie? - spytał Reacher.

- Tuż poza kordonem.

- Opis?

- Nie dostałam.

- Ilu masz policjantów.

- Ponad czterdziestu, wszędzie wokół.

- Każ im patrzeć na zewnątrz, stać plecami do tłumu.

Niech skupią się na kordonie.

Froelich przez radio przekazała rozkaz dowódcy policji. Sama także patrzyła naokoło.

- Muszę iść - oznajmiła.

Reacher odwrócił się do Neagley.

- Sprawdź ulicę - poprosił. - Wszystkie punkty dostępu, które znaleźliśmy.

Neagley przytaknęła i ruszyła w stronę podjazdu długimi, szybkimi krokami, czymś pomiędzy marszem i biegiem.

- Znaleźliście punkty dostępu? - spytała Froelich.

- Całe mnóstwo.

Froelich uniosła rękę.

- Ruszajcie, ruszajcie. Utrzymujcie go blisko ściany wieży, pilnujcie z trzech stron, samochody niech czekają. Szybko.

Wysłuchała odpowiedzi, skinęła głową. Z drugiej strony Armstrong zbliżał się do dzwonnicy. Dzieliło go od nich jakieś trzydzieści pięć metrów, nie widzieli go.

- Ty idź - powiedział Reacher. - Ja sprawdzę kościół. Podniosła rękę.

- Utrzymujcie go tam - poleciła. - Już idę.

Bez jednego słowa skierowała się wprost w głąb terenu kościelnego. Reacher pozostał sam przy bramie. Przeszedł przez nią i ruszył ku budynkowi. Zaczekał przy drzwiach, były wielkie, z rzeźbionego drewna dębowego, grube na dziesięć centymetrów, z żelaznymi okuciami i zawiasami ozdobione wielkimi, czarnymi, żelaznymi ćwiekami. Nad nimi wznosiła się dwudziestometrowa wieża. Na szczycie ujrzał flagę, piorunochron i kurka. Kurek nie poruszał się, flaga wisiała ciężko. Powietrze było kompletnie nieruchome, zimne, gęste, ani śladu wiatru. To powietrze, które przyjmuje pocisk, otula go i unosi miłośnie wprost do celu. Minutę później Reacher usłyszał zgrzyt kroków na żwirze. Obejrzał się i ujrzał zbliżającego się kościelnego. Był to drobny mężczyzna w czarnej, sięgającej ziemi sutannie, na którą nałożył kaszmirowy płaszcz. Głowę okrywała mu futrzana czapka z nausznikami. Do tego nosił grube okulary w złotej oprawce. W dłoni trzymał metalowe kółko z dużym żelaznym kluczem, tak wielkim, że wyglądał jak rekwizyt z kreskówki traktującej o średniowiecznych lochach. Kościelny wyciągnął rękę i Reacher wziął od niego klucz.

- To oryginał - oznajmił duchowny. - Z tysiąc osiemset siedemdziesiątego.

- Oddam go panu - odparł Reacher. - Proszę poczekać na błoniach.

- Mogę poczekać tutaj - powiedział tamten.

- Lepiej tam - nie zgodził się Reacher. - Proszę mi wierzyć.

Za grubymi szklami widział oczy mężczyzny, szeroko otwarte, powiększone. Kościelny zawrócił na pięcie i pomaszerował tam, skąd przyszedł. Reacher zważył w dłoni wielki stary klucz, podszedł do drzwi, wsunął go do dziurki i przekręcił mocno. Nic się nie stało. Spróbował ponownie, nic. Zawahał się, sprawdził klamkę. Drzwi były otwarte.

Z piskiem starych żelaznych zawiasów uchyliły się o piętnaście centymetrów. Reacher pamiętał ten dźwięk. Gdy sam otwierał drzwi o piątej rano, wydawał się znacznie głośniejszy. Teraz szmer głosów trzystu osób zebranych w pobliżu zagłuszył go niemal całkowicie.

Reacher pchnął mocno drzwi. Przystanął ponownie, po czym cicho wszedł do pogrążonego w półmroku kościoła.

Był to prosty drewniany budynek z wysklepionym dachem. Ściany pomalowano pergaminowobiałą, teraz pożółkłą farbą. Ławki były stare, wypolerowane do połysku. Zobaczył wysokie witrażowe okna, na końcu ołtarz i wysoką ambonę ze schodkami. Dostrzegł też drzwi prowadzące do dalszych pomieszczeń.

Zamknął drzwi i od środka przekręcił klucz. Ukrył go w drewnianej skrzyni, pełnej psalterzy. Powoli przekradł się środkiem nawy głównej. Stał bez ruchu, nasłuchując. Nie słyszał niczego. Powietrze pachniało starą wełną, zakurzonym materiałem, woskowymi świecami i zimnem. Znów ruszył naprzód, sprawdzając pomieszczenia za ołtarzem. Były trzy - małe, puste, z drewnianymi posadzkami. Znalazł w nich tylko stosy starych książek i kościelnych strojów.

Zawrócił cicho, uchylił drzwi i stanął u podstawy wieży, w kwadratowym wysokim pomieszczeniu, na którego środku wisiały trzy sznury od dzwonów. Ich końcówki osłaniały długie na metr, wyblakłe haftowane pokrowce. Wzdłuż ścian zbudowano wąskie, strome stopnie niknące

w półmroku. Reacher zatrzymał się u ich stóp, nasłuchując uważnie. Niczego nie usłyszał. Powoli ruszył naprzód. Po trzech skrętach w prawo schody się skończyły. Znalazł się na półce przed drewnianą drabiną przyśrubowaną do wewnętrznej strony ściany. Drabina biegła sześć metrów w górę, aż do kłapy w suficie. Klapę zrobiono z grubego drewna, w którym wycięto starannie trzy dwudziestodwucentymetrowe otwory, przez które przechodziły sznury. Jeśli ktokolwiek tam był, widział przez nie i słyszał wszystko, co działo się w dole. Reacher doskonale o tym wiedział. Pięć dni temu sam słyszał węszące w dole psy.

Zatrzymał się u stóp drabiny, zachowywał możliwie najciszej. Z kieszeni wyjął ceramiczny nóż, ściągnął kurtkę i marynarkę i zostawił na półce. Wszedł na drabinę. Drewno zatrzeszczało głośno pod jego ciężarem. Wspiął się na kolejny szczebel. Kolejny głośny dźwięk.

Zatrzymał się. Jedną ręką puścił szczebel i obejrzał dłoń. Pieprz. Ten sam pieprz, który rozsypał pięć dni temu, wciąż pokrywał drabinę. Tkwił rozmazany na szczeblach. Być może uczynił to on sam, schodząc pięć dni temu. Może policjanci, gdy wspinali się tu dziś rano. Albo ktoś inny. Znów zamarł. Powoli pokonał następny szczebel. Drabina zatrzeszczała.

Reacher przystanął. Ocena sytuacji. Tkwił na trzeszczącej drabinie, sześć metrów pod klapą. Nad klapą kryła się niewiadoma. Nie miał bronii poza nożem z dziewięciocentymetrowym ostrzem. Odetchnął głęboko, otworzył nóż, chwycił w zęby, wyciągnął ręce i złapał się drabiny możliwie jak najwyżej. Gwałtownie szarpnął się w górę, pokonując sześć metrów w ciągu trzech sekund. Na szczycie nogą i ręką przytrzymał się drabiny i przekreślił, oparty palcami o sufit. Chwilę czekał, czy nie wyczuje ruchu.

Nie wyczuł. Wyciągnął rękę, uchylił odrobinę klapę i

zamknął ponownie. Znow przyłożył czubki palców do sufitu. Ani śladu ruchu. Żadnego drżenia, wibracji. Odczekał trzydzieści sekund, wciąż nic. Wrócił na drabinę, pchnął mocno kłapę i wskoczył na dzwonnice.

Ujrzał nieruchomo wiszące dzwony. Były trzy, zamocowane do żelaznych kół, poruszane sznurami. Zupełnie nie przypominały arcydzieł z brązu zdobiących średnio-wieczne katedry w Europie. Ot, zwykłe małe, czarne, wiejskie dzwony. Przez szczeliny w żaluzjach przeświecało słońce, omiatając je smugami zimnego światła. Reszta pomieszczenia była pusta. Nie było tu niczego. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak przed pięcioma dniami.

A jednak nie.

Kurz został poruszony. Na podłodze Reacher dostrzegł nowe, obce ślady. Obcasy i czubki butów, kolana i łokcie. Z całą pewnością nie zostawił ich tu pięć dni temu. A w powietrzu, na skraju postrzegania unosiła się słaba woń: potu, napięcia, smaru z broni maszynowej, stali i nowych mosiężnych łusek.

Reacher powoli obrócił się na pięcie. Zapach zniknął, jakby nigdy go tam nie było. Przez chwilę stał bez ruchu, przykładając palce do żelaznych dzwonów, błagając w duchu, by przekazały mu skrywane we wnętrzach wibracje.

Żaluzje wpuszczały do środka nie tylko światło, ale też dźwięki. Reacher słyszał ludzi stłoczonych pod wieżą, dwadzieścia metrów niżej. Podszedł do ściany i spojrzał w dół. Żaluzje były stare, drewniane, szeroko rozstawione i zamocowane pod kątem jakichś trzydziestu stopni. Widział stąd sam skraj tłumy. Większość ludzi kryła się przed jego wzrokiem. Dostrzegał też policjantów pilnujących kordonu, stojących co trzydzieści metrów, zwróconych plecami do kościoła. Za nimi ujrzał budynek miejscowego ośrodka, samochody czekające cierpliwie na parkingu. Ich białe spaliny kłębiły się w mroźnym powietrzu. Widział otaczające kościół domy, widział całe mnóstwo rzeczy. Świetna

pozycja strzelecka. Trochę ograniczone pole widzenia, ale wystarczyłby jeden strzał.

Spojrzał w górę, ujrzał kolejną klapę w suficie i wiodącą ku niej kolejną drabinę. Obok drabiny biegły grube, miedziane przewody uziemienia, zamocowane do piorunochronu, zaśniedziałe ze starości. Podczas swej poprzedniej wizyty kompletnie zignorował sufit. Nie miał ochoty włączyć na dach i czekać osiem godzin na zimnie. Lecz dla kogoś poszukującego lepszego pola do strzału w słoneczne popołudnie kłapa była idealna. Zapewne zamocowano ją tam, aby móc zmieniać flagę. Prawdopodobnie piorunochron i kurek tkwiły na dachu od tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, ale flaga z całą pewnością nie. Od tego czasu przybyło jej wiele gwiazd.

Reacher ponownie chwycił nóż w zęby i zaczął wdrapywać się na nową czterometrową drabinę. Drzewo uginało się i trzeszczało pod jego ciężarem. Zatrzymał się w połowie drogi. Jego ręce spoczywały na bocznych słupkach drabiny, przed sobą miał górne szczeble, stare i zakurzone. Tyle że w kilku miejscach coś wytarło je do czysta. Istnieją dwie metody wspinania się na drabinę. Człowiek albo chwyta boczne paliki, albo też łapie z góry kolejne szczeble. Reacher zastanowił się szybko, jak wyglądałyby ślady takich uchwytów. Miejsca kontaktu na zmianę po lewej i po prawej, na co drugim szczeblu. Odchylił ciało i spojrzał w dół. Następnie wyciągnął szyję i popatrzył w górę. Widział czyste plamy, dokładnie w takim układzie - po lewej i prawej na co drugim szczeblu. Ktoś wspiął się na drabinę, niedawno. Może w ciągu ostatnich dwóch dni, może w ciągu ostatnich dwóch godzin. Może zrobił to kościelny, wywieszając wypraną flagę. A może nie.

Przez chwilę wisiał bez ruchu. Przez szczeliny słyszał dobiegające z dołu głosy. Wspiął się już ponad dzwony. Ich producent oznaczył je w miejscach zwężenia swymi inicjałami. Trzy razy AHB, wypisane chwiejnymi liniami

stopionej cyny.

Powoli ruszył naprzód. Jak wcześniej przyłożył palce do drewna nad głową. To jednak były grube belki, prawdopodobnie z zewnątrz okute ołowiem, twarde jak kamień. Ktoś mógłby tańczyć mu nad głową kankana, a on i tak niczego by nie poczuł. Pokonał kolejne dwa szczeble, zgarbił plecy, wspiął się jeszcze szczebel wyżej, tak że przykucnął na szczycie drabiny wsparty o klapę. Wiedział, że będzie ciężka. Zapewne dorównywała grubością samemu dachowi i ją także zabezpieczono ołowianą blachą z dodatkową osłoną przed deszczem. Obrócił głowę i przyjrzał się zawiasom. Były żelazne, lekko zardzewiałe, może dość sztywne.

Wciągnął do płuc długi haust wilgotnego powietrza, zaciskając zęby na rękojeści noża, po czym gwałtownie wyprostował nogi i wystrzelił w górę. Klapa z donośnym hukiem runęła na bok i Reacher znalazł się na dachu skąpanym w oślepiających promieniach słońca. Ręką złapał nóż i odczył się na bok. Twarzą dotknął ołowiu, odbarwionego, sfatygowanego starego ołowiu, który stawiał już czoło ponad stu trzydziestu zimom. Reacher podniósł się i obrócił na kolanach. Nie ujrzał nikogo.

Znalazł się jakby w płytkiej, wyłożonej ołowiem skrzyni otwartej z góry. Otaczające go ściany miały około metra wysokości. Podłoga wznosiła się pośrodku wokół masztu flagowego, drugiego z kurkiem i piorunochronu. Z bliska okazały się wielkie. Dach ułożono z ołowianych blach, starannie skutych i zaspawanych na łączach. W rogach metal tworzył leje odprowadzające deszczówkę i topniejący śnieg.

Reacher podczołgał się naprzód na czworakach. Nie chciał wstawać. Podejrzewał, że czekający w dole agencji mogliby zareagować gwałtownie na nagły ruch w górze. Powoli wysunął głowę ponad krawędź. Zadrżał w mroźnym powietrzu. Dokładnie pod sobą, dwadzieścia metrów

w dole, ujrzał Armstronga. Obok niego stał nowy senator.

Szóstka agentów otaczała ich, tworząc krąg. A potem kątem oka dostrzegł ruch. Sto metrów dalej, po drugiej stronie łąki biegli policjanci. Zbierali się w miejscu tuż przy jednym z narożników terenu. Patrzyli na coś leżącego na ziemi, po czym kucając, sięgali po krótkofalówki. Ponownie spojrzął w dół. Froelich przeciskała się przez tłum. Palec przyłożyła do słuchawki, poruszała się szybko, zmierzała w stronę policjantów.

Reacher cofnął się ostrożnie, zszedł przez klapę, zatrzasnął ją nad głową i zjechał po drabinie. Szybko pokonał kolejną klapę i drabinę. Zabrał z ziemi marynarkę i kurtkę i zbiegł po wąskich, krętych schodach, mijając haftowane końcówki sznurów. Błyskawicznie przebiegł przez nawę główną.

Dębowe drzwi stały otworem. Wieko skrzynki z psalterzami było uniesione, klucz tkwił w zamku od strony wewnętrznej. Reacher podszedł bliżej, zatrzymał się metr od wyjścia. Czekał, nasłuchiwał. Wybiegł na mróz i ponownie zatrzymał się dwa metry dalej, obrócił na pięcie. Nikt na niego nie czekał, nikogo tam nie było. Wokół panowały cisza i spokój. Słyszał dobiegające z dala głosy. Pospiesznie naciągnął kurtkę i ruszył ku nim. Ujrzał biegnącego w jego stronę mężczyznę. Poruszał się szybko, gwałtownie. Miał na sobie długi brązowy płaszcz, coś pośredniego między prochowcem i płaszczem zimowym. Poły łopotwały mu za plecami, odsłaniając tweedową marynarkę i flanelowe spodnie. Solidne buty. Uniósł rękę w geście przypominającym powitanie. Na dłoni załśniła złota odznaka. Policjant z Bismarck, może nawet dowódca we własnej osobie.

- Czy dzwonnica jest zabezpieczona? - krzyknął z odległości dziesięciu metrów.

- Jest pusta - odkrzyknął Reacher. - Co się dzieje?
Policjant zatrzymał się gwałtownie i pochylił, dysząc z

rękami na kolanach.

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Ale coś się stało.

Potem przez ramię Reachera popatrzył w stronę kościoła.

- Do diabła, powinien pan zamknąć drzwi - krzyknął. - Nie można ich tak zostawić.

Biegiem ruszył w stronę kościoła. Reacher odbiegł w drugą stronę, na pole. Po drodze dołączyła do niego Neagley.

- Co się stało? - zawołała.

- Coś się posypało - odpowiedział.

Dalej biegli razem przez bramę na łąkę. Froelich poruszała się szybko w stronę samochodów. Zmienili kierunek i zastąpili jej drogę.

- Karabin ukryty pod płotem - wyjaśniła.

- Ktoś był w kościele - odparł Reacher, dysząc. - Na wieży, prawdopodobnie na dachu. Pewnie wciąż jest gdzieś w pobliżu.

Froelich spojrzała wprost na niego, na sekundę zamarła bez ruchu. Potem uniosła rękę i przemówiła do mikrofonu na przegubie.

- Przygotować się do wyjazdu - poleciła. - Ewakuacja alarmowa. Na mój rozkaz. - Jej głos był bardzo spokojny. - Wszystkie samochody czekają, główny wóz i artyleria na mój znak ruszają do celu.

Odczekała ułamek sekundy.

- Raz, dwa, trzy, zaczynamy. Zaczynamy ewakuację.

Dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Po pierwsze na parkingu ryknęły silniki. Kawalkada rozpadła się gwałtownie. Pierwszy radiowóz wyskoczył naprzód, tylny cofnął się, zawrócił i wypadł na pole. Jednocześnie ochrona

osobista otoczyła Armstronga, dosłownie osłaniając go murem z własnych ciał. Jeden z agentów zajął pozycję na przedzie, dwaj chwycili go z boku. Trójka ze wsparcia podbiegła od tyłu, zarzucając ręce nad głowę Armstronga i po-

pychając go przez tłum. Przypominało to manewr piłkarski, szybki i brutalny. Tłum rozpieczętnął się w panice, uciekając przez zbliżającymi się samochodami. Wozy zatrzymały się w poślizgu, ochrona wepchnęła Armstronga do pierwszego z nich, agenci zajęli miejsca w drugim.

Radiowóz tymczasem włączył już koguta i syrenę i ruszył w stronę drogi wyjazdowej. Dwie załadowane limuzyny ciężko skrzyły na trawie i potoczyły się w stronę asfaltu. Jechały tuż za radiowozem. Potem jednocześnie przyspieszyły gwałtownie. Tymczasem trzecia zmierzała w stronę Froelich.

- Możemy ich złapać - rzucił Reacher. - Są tutaj, w tej chwili.

Froelich nie odpowiedziała. Chwyliła go za rękę, drugą złapała Neagley i pociągnęła ich do limuzyny, która z piśkiem opon wystartowała za pozostałymi pojazdami. Drugi radiowóz trzymał się jej ogona. W zaledwie dwadzieścia sekund po pierwszym rozkazie cała kawalkada utworzyła ciasny szereg i oddaliła się od kościoła z prędkością stu kilometrów na godzinę, wśród migających świateł i wyjących syren.

Froelich opadła bezwładnie na fotel.

- Widzicie - rzekła. - Nie działamy aktywnie. Jeśli coś się dzieje, uciekamy.

11

Froelich na mrozie rozmawiała z Armstrongiem u stóp schodów prowadzących do samolotu. To była krótka rozmowa. Poinformowała go o znalezieniu ukrytego karabinu i wyjaśniła, że to dostateczny powód do ewakuacji. Armstrong nie protestował, nie zadawał żadnych niewygodnych pytań. Sprawiał wrażenie

całkowicie nieświadomego tego, co dzieje się naprawdę, i najwyraźniej zupełnie nie przejmował się własnym bezpieczeństwem. Bardziej niepokoiły go możliwe konsekwencje polityczne dla jego następcy. Odwrócił wzrok i pospiesznie przeanalizował w myślach wszystkie plusy i minusy całej sytuacji. W końcu uśmiechnął się powoli - nic nie szkodzi - i wbiegł do ciepłego samolotu, gotów podjąć przerwana rozmowę z dziennikarzami. Tym razem Reacher szybciej dokonał wyboru miejsca. Zajął fotel w pierwszym rzędzie, obok Froelich, po drugiej stronie przejścia od Neagley. Froelich wykorzystwała czas kołowania na to, by pomówić ze swym zespołem i cicho pogratulować wszystkim sprawnego działania. Rozmawiała z każdym kolejno, nachylając się blisko, mówiąc, słuchając i kończąc wymianę zdań szybkim klepnięciem dłoni jak u sportowców po zdobyciu punktu. Reacher obserwował ją uważnie. Jest świetnym przywódcą, pomyślał. W końcu wróciła na miejsce i zapięła pas. Przyglądała włosy, mocno nacisnęła palcami skronie, jakby starała się oczyścić umysł z niedawnych wydarzeń, szukając go na to, co dopiero nastąpi.

- Powinniśmy byli tam zostać - oznajmił Reacher.

- Na miejscu roi się od policji - odparła Froelich. - Niedługo dołączy do nich FBI. To ich praca. My koncentrujemy się na Armstrongu i nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie.

- Co to był za karabin? Widziałas go? Pokręciła głową.

- Dostaniemy raport. Mówili, że schowano go w torbie, w winylowym futerale.

- Ukryty w trawie? Przytaknęła.

- W kępie długiej trawy pod ogrodzeniem.

- Kiedy zamknięto kościół?

- W niedzielę wieczorem, ponad sześćdziesiąt godzin temu.

- Przypuszczam zatem, że nasi ludzie się włamali. Za-

mek jest stary, prymitywny, a dziurka tak duża, że da się w nią wsadzić całą rękę.

- Na pewno ich nie widziałeś?

Reacher pokręcił głową.

- Ale oni mnie widzieli. Byli tam ze mną, widzieli, gdzie schowałem klucz, otworzyli sobie drzwi.

- Najprawdopodobniej ocaliłeś życie Armstronga i mój tyłek. Choć nie rozumiem ich planu. Byli w kościele, a karabin ukryli sto metrów dalej.

- Zaczekaj, póki nie dowiemy się, co to za karabin. Może wtedy zrozumiemy.

Samolot skręcił na końcu pasa i natychmiast przyspieszył. Wystartował, wznosząc się ostro. Po pięciu minutach silniki przycichły. Reacher usłyszał, jak dziennikarze znów zaczynają rozmowę o stosunkach zagranicznych. Nie zadawali żadnych pytań dotyczących wcześniejszego powrotu wiceprezydenta.

* * *

Wylądowali w Andrews o 18:30 czasu miejscowego. Wmieście panował spokój, zaczął się już długi weekend Święta Dziękczynienia. Konwój przejechał Branch Avenue przez serce stolicy, na drugą stronę do Georgetown. Agenci przeprowadzili Armstronga do domu białym namiotem, a potem samochody jednocześnie zawróciły i skierowały się do bazy.

Stuyvesanta nie było w biurze. Reacher i Neagley poszli za Froelich. Patrzyli, jak sprawdza wyniki przeszukiwania bazy danych. Okazały się beznadziejne. U góry ekranu pojawiła się niewielka tabelka, informująca z dumą, że program zakończył przeszukiwanie po pięciu godzinach i dwudziestu trzech minutach, odnajdując 243 791 odnośników. Lista obejmowała każdą wzmiankę, dotyczącą co najmniej dwóch elementów: odcisku kciuka, dokumentu, listu bądź podpisu. Zaczynała się dokładnie dwadzieścia lat temu, i średnio obejmowała ponad trzydzieści haseł na

każdy z 7305 dni. Froelich sprawdziła pierwsze dziesięć wyników, a potem kilkanaście nowych, losowo. Nie znalazła nic przydatnego.

- Musimy zawęzić poszukiwania - oznajmiła Neagley.

Przykucnęła obok Froelich, przysunęła sobie klawiaturę. Oczyszczyła ekran, wywołała tabelę wyszukiwania i wpisała w odpowiednie pole: odcisk palca jako podpis. Sięgnęła po mysz i kliknęła „szukaj”. Twardy dysk zaszumiał, tabela zniknęła. W tym momencie zadzwonił telefon, Froelich podniosła słuchawkę, chwilę słuchała i odłożyła bez słowa.

- Wrócił Stuyvesant - oznajmiła. - Ma wstępny raport FBI dotyczący karabinu. Wzywa nas do sali konferencyjnej.

* * *

- Dziś byliśmy bliscy porażki - oznajmił Stuyvesant.

Siedział u szczytu stołu, przed sobą rozłożył kartki papieru faksowego. Pokrywał je gęsty druk, lekko rozmazany po transmisji. Reacher nawet do góry nogami potrafił odczytać nagłówkę pierwszej kartki. Po lewej widniało niewielkie godło. Po prawej napis: Departament Sprawiedliwości USA, Federalne Biuro Śledcze.

- Pierwszy element to otwarte drzwi - zaczął Stuyvesant. - W FBI przypuszczają, że włamano się do środka dziś nad ranem. Twierdzą, że mogło to zrobić nawet dziecko wygiętym szydełkiem. Powinniśmy byli założyć własny tymczasowy zamek.

- Nie mogliśmy - wtrąciła Froelich. - To zabytek, nie wolno go tknąć.

- W takim razie trzeba było zmienić miejsce.

- Za pierwszym razem sprawdziłam wszystkie inne propozycje. Były znacznie gorsze.

- Trzeba było ustawić agenta na dachu - wtrąciła Neagley.

- Nie mamy środków - wyjaśnił Stuyvesant. - Aż do inauguracji.

- Jeśli dożyje - mruknęła Neagley.

- Co to za karabin? - spytał w ciszy Reacher.

Stuyvesant wyprostował przed sobą kartkę.

- A jak sądzisz?

- Coś niepotrzebnego - odparł Reacher. - Coś, czego nie zamierzali użyć. Według mojego doświadczenia, jeśli znajdujemy coś tak łatwo, to dlatego, że miało zostać łatwo znalezione.

Stuyvesant przytaknął.

- Trudno to w ogóle nazwać karabinem. Stara strzelba na lisy, w wiejskim stanie, zardzewiała, pewnie nieużywana od pokoleń. Nie była załadowana, brakowało też amunicji.

- Znaki identyfikacyjne?

- Brak.

- Odciski palców?

- Oczywiście brak. Reacher skinął głową.

- Wabik - mruknął.

- Otwarte drzwi wyglądają bardzo przekonująco - zauważył Stuyvesant. - Na przykład ty. Co zrobiłeś, kiedy tam wszedłeś?

- Zamknąłem je za sobą.

- Czemu?

- Tak wolę przy obserwacji.

- Ale gdybyś zamierzał strzelać?

- Wówczas zostawiłbym je otwarte, zwłaszcza gdybym nie miał klucza.

- Czemu?

- Żeby móc jak najszybciej uciec.

Stuyvesant przytaknął.

- Otwarte drzwi oznaczały, że zamierzali strzelać. Osobiście uważam, że czekali w środku z H5 albo vaime Mk2, albo jednym i drugim. Założyli, że znajdziemy starą strzelbę pod płotem, większość policjantów ruszy w jej stronę, pociągniemy Armstronga w stronę kawalkady i wówczas będą mogli strzelić.

- Brzmi nieźle - odparł Reacher. - Problem w tym, że nikogo tam nie widziałem.

- W wiejskim kościele jest mnóstwo kryjówek - zauważył Stuyvesant. - Sprawdziłeś kryptę?

- Nie.

- Strych?

- Nie.

- Mnóstwo kryjówek - powtórzył Stuyvesant.

- Kogoś wyczułem.

- Tak - rzekł Stuyvesant. - Oni tam byli, na pewno.

W sali zapadła cisza.

- Jacys obcy uczestnicy? - spytała Froelich. Stuyvesant pokręcił głową.

- To był czysty chaos. Wszędzie wokół biegali policjanci, tłum się rozproszył. Nim przywrócono porządek, zniknęło co najmniej dwadzieścia osób. To zrozumiałe. Jesteś w tłumie na otwartym polu, ktoś zaczyna strzelać, uciekasz. Jak ty byś postąpiła?

- A ten pieszy w okolicy?

- Zwykły mężczyzna w płaszczu. Policjant stanowy nie zdołał znaleźć nic więcej. Pewnie to niewinny cywil. Nikt. Osobiście przypuszczam, że nasi ludzie byli już wtedy w kościele.

- Coś musiało wzbudzić podejrzenia policjanta - wtrąciła Neagley.

Stuyvesant wzruszył ramionami.

- Wiecie, jak to jest. Jak reaguje facet z policji stanowej Dakoty Północnej w obecności Secret Service? Denerwuje się, wie, że tak czy inaczej zawsze będzie jego wina. Jeśli ktoś wygląda podejrzanie, musi wezwać wsparcie, choć później nie potrafi wyjaśnić dlaczego. A my nie możemy go za to winić. Lepsza nadmierna ostrożność, lepiej, by nie bał się zachować czujności.

- Nadal więc nic nie mamy - westchnęła Froelich.

- Nadal mamy Armstronga - nie zgodził się Stuyvesant.

- A Armstrong wciąż jest cały. Zjedzmy kolację i wróćmy tu na dziesiątą, na spotkanie z FBI.

* * *

Najpierw zahaczyli o biuro Froelich, żeby sprawdzić wyniki wyszukiwania. Dobiegło już końca. W istocie dobiegło końca, nim jeszcze odeszli od biurka. Rubryka u góry ekranu informowała, że wyszukiwanie trwało dziewięć setnych sekundy, wynik - zero trafień. Froelich ponownie wywołała tabelkę. Wpisała: odcisk kciuka na liście. Kliknęła „szukaj”, obserwując ekran. Obraz natychmiast uległ zmianie. Zero trafień, osiem setnych sekundy.

- Wciąż zmierzamy donikąd, ale coraz szybciej. Spróbowała: kciuk + wiadomość. Ten sam wynik. Brak rezultatów, osiem setnych sekundy. Odcisk kciuka i groźba. Rezultat identyczny, identyczne osiem setnych sekundy. Westchnęła sfrustrowana.

- Pozwól mi spróbować - poprosił Reacher. Wstała, on zajął miejsce w jej fotelu i napisał: krótki list podpisany dużym odciskiem kciuka.

- Idiota - prychnęła Neagley.

Reacher kliknął myszką, ekran pociemniał natychmiast i doniósł, że w ciągu siedmiu setnych sekundy program nie znalazł żadnych trafień.

- Ale ustanowiłem nowy rekord. - Reacher się uśmiechnął.

Neagley odpowiedziała uśmiechem i nastrój frustracji nieco zelżał. Reacher wpisał: odcisk kciuka i skwalen. Nacisnęła „szukaj”. Jedną dziesiątą sekundy później otrzymał wynik, zero.

- Wolniej - zauważył.

Sprawdził sam skwalen. Brak trafień, osiem setnych sekundy.

Wpisał skwalan, przez „a”. Brak trafień, osiem setnych sekundy.

- Zostawmy to - rzekł. - Chodźmy coś zjeść.

- Zaczekaj - nie zgodziła się Neagley. - Pozwól mi spróbować. To przypomina zawody olimpijskie.

Wypchnęła go z krzesła. Wpisała: pojedynczy niewyjaśniony odcisk kciuka. Nacisnęła „szukaj”. Brak trafień, sześć setnych sekundy. Uśmiechnęła się.

- Sześć setnych. Ludzie, mamy nowy rekord świata.

- Bravo - pogratulował jej Reacher.

Wpisała: jeden niewyjaśniony odcisk kciuka. „Szukaj”.

- Niezła zabawa - rzuciła.

Brak trafień, sześć setnych sekundy.

- Rekord wyrównany - wtrąciła Froelich. - Teraz moja kolej.

Zajęła miejsce Neagley przy klawiaturze. Zastanowiła się przez chwilę.

- No dobra, ruszamy - stwierdziła. - Teraz albo zdobędę złoty medal, albo spędzimy tu całą długą noc.

Kliknęła odpowiednie pole i wpisała jedno słowo: kciuk. Nacisnęła „szukaj”. Tabelka zniknęła, ekran pulsował długą sekundę, w końcu wyrzucił jedno trafienie. Krótki akapit, raport policyjny z Sacramento w Kalifornii. Pięć tygodni wcześniej lekarz z izby przyjęć szpitala miejskiego zawiadomił miejscową policję, że opatrzył mężczyznę, który przypadkiem podczas cięcia drzewa odciął sobie kciuk. Z powodu natury obrażeń lekarz jednak uważał, że chodziło o amatorski, lecz świadomy zabieg. Policjanci to sprawdzili. Ofiara zapewniła ich, że istotnie doszło do wypadku z piłą mechaniczną. Sprawa zamknięta, raport złożony.

- Dziwne rzeczy można znaleźć w tym systemie - mruknęła Froelich.

- Chodźmy coś zjeść - powtórzył Reacher.

- Może spróbujemy czegoś wegetariańskiego - dodała Neagley.

* * *

Pojechali do Dupont Circle i zjedli kolację w ormiańskiej restauracji. Reacher zamówił jagnię, Froelich i Neagley zadowolili się różnymi potrawami z soczewicy. Na deser do-

stali baklawę i po trzy niewielkie filiżanki mocnej, mętnej kawy. Dużo rozmawiali, choć w sumie o niczym. Nikt nie chciał mówić o Armstrongu, Nendicku, jego żonie czy ludziach zdolnych do tego, by niemal na śmierć przestraszyć człowieka i zabić dwóch niewinnych cywilów, noszących przypadkiem niewłaściwe nazwisko. Froelich nie chciała wspominać przy Reacherze o Joem, Neagley nie chciała wspominać o Reacherze przy Froelich. Rozmawiali zatem o polityce, jak wszyscy inni w restauracji i zapewne w całym mieście. Lecz rozmowa o polityce pod koniec listopada była praktycznie niemożliwa bez wspomnienia o nowej administracji, co prowadziło z powrotem do Armstronga. Toteż przeszli na ogólniki, poglądy osobiste, przekonania. To z kolei wymagało dodatkowych informacji i ani się obejrzeli, jak Froelich zaczęła pytać Neagley o jej życie i karierę zawodową.

Reacher się wyłączył. Wiedział, że Neagley nie odpowie na pytania dotyczące życia osobistego. Nigdy nie odpowiadała. Znał ją od wielu lat, ale nie miał pojęcia, co robiła przedtem, skąd pochodzi. Zakładał, że musiało spotkać ją coś złego. Często zdarza się to u ludzi z wojska. Niektórzy wstępują, ponieważ potrzebują pracy, chcą nauczyć się czegoś nowego. Inni, bo chcą sobie postrzelać i wysadzić coś w powietrze. Jeszcze inni, jak Reacher, robią to, bo jest im to przeznaczone. Większość jednak wstępuje do wojska w poszukiwaniu zaufania, lojalności, przyjaźni.

Szukają braci, sióstr i rodziców, których nie mają.

Neagley zatem pominęła milczeniem początek swego życia i opowiedziała Froelich o kolejnych etapach służby. Reacher tymczasem rozglądał się po restauracji. Była pełna, mnóstwo par i rodzin. Przypuszczał, że ludzie, których jutro czeka przygotowanie wielkiego obiadu na Święto Dziękczynienia, dziś nie mieli ochoty gotować. Dostrzegł kilka twarzy, które wydały mu się znajome, może polityków czy dzien-

nikarzy telewizyjnych. Gdy z powrotem zaczął rejestrować rozmowę, Neagley opowiadała właśnie o nowej pracy w Chicago. Wyglądało to niezłe. Zawiązała spółkę z grupą ludzi z policji i wojska. Duża firma, proponująca szeroki zakres usług od zabezpieczeń komputerowych do ochrony przed porwaniami podczas podróży za granicą. Gdyby miał mieszkać w jednym miejscu i pracować co dzień, byłoby to niezłe wyjście. Neagley wydawała się zadowolona z życia.

Mieli właśnie zamówić czwartą kawę, kiedy zadzwoniła komórka Froelich. Minęła już dziewiąta, w restauracji było dość głośno i z początku nie usłyszeli dzwonka. Potem jednak dotarł do nich cichy, uporczywy świergot dobiegający z torebki. Froelich wyciągnęła komórkę, odpowiedziała. Reacher obserwował jej twarz, ujrzał zaskoczenie, a potem lekką troskę.

- W porządku - rzuciła i zamknęła telefon. Spojrzała wprost na niego. - Stuyvesant chce, żebyś wracał do biura, natychmiast, w tej chwili.

- Ja? - spytał Reacher. - Czemu?

- Nie powiedział.

* * *

Stuyvesant czekał na nich przy recepcji, tuż za drzwiami. Oficer dyżurny krzątał się z drugiej strony. Wszystko wydawało się zupełnie normalne, poza aparatem telefonicznym, przestawionym na koniec blatu, na całą długość kabla. Stuyvesant wpatrywał się w niego.

- Mieliśmy telefon - oznajmił.

- Od kogo? - spytała Froelich.

- Nie znamy nazwiska ani numeru. Zablockowana identyfikacja, męski głos, żadnego charakterystycznego akcentu. Zadzwonił na centralę i chciał rozmawiać z wysokim facetem. Coś w jego głosie sprawiło, że oficer dyżurny potraktował go poważnie i przełączył. Uznał może, że chodzi mu o mnie, no wiecie, aluzja do szefa. Ale nie. Dzwoniący

nie chciał rozmawiać ze mną. Chciał mówić z wysokim facetem, który pojawił się niedawno.

- Ze mną? - spytał Reacher.

- Tylko ty jesteś tu nowy.

- Czemu chciałby ze mną rozmawiać?

- Niedługo się dowiemy. Zadzwoń o dziewiątej trzydzieści.

Reacher zerknął na zegarek. 9:22.

- To oni - wtrąciła Froelich. - Widzieli cię w kościele.

- Też tak sądzę - dodał Stuyvesant. - To nasz pierwszy prawdziwy kontakt. Przygotowaliśmy już magnetofon, zarejestrujemy głos. Przełączyliśmy linię, możemy go wysłuchać. Musisz rozmawiać z nim jak najdłużej.

Reacher zerknął na Neagley, która spojrzała na zegarek i pokręciła głową.

- Za mało czasu - rzekła. Reacher przytaknął.

- Możemy dostać raport o pogodzie w Chicago?

- Mogłabym zadzwonić do Andrews - odparła Froelich.

- Ale po co?

- Po prostu to zrób, dobrze?

Odeszła na bok i skorzystała z innego telefonu. Służby meteorologiczne lotnictwa już po czterech minutach powiadomiły ją, że w Chicago jest zimno, ale pogodnie. Pogoda ma się utrzymać. Reacher ponownie spojrzał na zegarek.

9:27.

- Dobra - mruknął.

- Pamiętaj, rozmawiaj jak najdłużej - przypomniał Stuyvesant. - Nie potrafisz wyjaśnić twojej obecności, nie wiesz, kim jesteś, martwią się.

- Czy impreza w Święto Dziękczynienia jest na stronie?

- spytał Reacher.

- Tak - powiedziała Froelich.

- Z podaną dokładną lokalizacją?

- Tak - powtórzyła.

9:28.

- Co jeszcze macie w planach na najbliższe dni?
- Wall Street za dziesięć dni - odparła Froelich. - To wszystko.
- A ten weekend?
- Powrót do Dakoty z żoną, jutro późnym popołudniem.
- Umieściliście to na stronie?

Pokręciła głową.

- Nie, to wyjazd prywatny - odparła. - Nigdzie go nie zapowiadaliśmy.

9:29.

- Dobra - powtórzył Reacher.

W tym momencie zadzwonił telefon. W ciszy dzwonek brzęczał bardzo głośno.

- Trochę za wcześnie - zauważył Reacher. - Ktoś się niecierpliwi.

- Rozmawiaj jak najdłużej - przypomniał Stuyvesant.

- Wykorzystaj ich ciekawość, nie przerywaj.

Reacher podniósł słuchawkę.

- Halo - rzekł.

- Następnym razem ci się nie poszczęści - powiedział czyjś głos.

Reacher zignorował te słowa, nasłuchując uważnie w poszukiwaniu jakichkolwiek towarzyszących im dźwięków.

- Hej - powiedział mężczyzna - chcę z tobą pogadać.

- Ale ja nie chcę gadać z tobą, dupku - odparł Reacher i odłożył słuchawkę.

Stuyvesant i Froelich patrzyli na niego wstrząśnięci.

- Co ty robisz, do diabła? - spytał Stuyvesant.

- Nie miałem ochoty na pogawędki - wyjaśnił Reacher.

- Mówiłem, żebyś rozmawiał jak najdłużej.

Reacher wzruszył ramionami.

- Jeśli chciałeś, by to zrobić inaczej, trzeba było same-mu załatwić sprawę. Mogłeś udawać, że jesteś mną i roz-

mawiać do woli.

- To był świadomy sabotaż!

- Wcale nie. Jedynie kolejny ruch w grze.

- To nie jest jakaś cholerna gra.

- Ależ jest.

- Potrzebujemy informacji.

- Przestań marzyć - odparł Reacher. - I tak byście ich nie zdobyli.

Stuyvesant milczał.

- Chcę dostać kawy - oznajmił Reacher. - Wyciągnąłeś nas z restauracji, nim skończyliśmy.

- Zostaniemy tutaj - warknął Stuyvesant. - Mogą jeszcze zadzwonić.

- Nie zadzwonią - zapewnił go Reacher.

* * *

Pięć minut czekali przy recepcji, w końcu zrezygnowali, zabrali ze sobą plastikowe kubki z kawą i przeszli do sali konferencyjnej. Neagley trzymała się z boku, Froelich była cicha i milcząca, Stuyvesant wyraźnie wściekły.

- Wyjaśnij - rzucił.

Reacher usiadł sam po jednej stronie stołu, Neagley zajęła neutralne miejsce w połowie drugiej strony. Froelich i Stuyvesant siedli razem na końcu.

- Ci ludzie używają wody z kranu do zaklejania kopert - powiedział Reacher.

- I co z tego? - naciskał Stuyvesant.

- To z tego, że nie ma najmniejszych szans, by dzwoniąc do siedziby Secret Service, dali się wyśledzić. Na miłość boską, to oni zakończyliby rozmowę. Nie chciałem dać im tej satysfakcji. Muszą wiedzieć, że jeśli zaczynają ze mną, ja mam przewagę, nie oni.

- Spieprzyłeś sprawę, bo uznałeś, że to jakieś ambiciozalne gierki?

- Niczego nie spieprzyłem - odparł Reacher. - Zdobyliśmy już wszystkie informacje, jakie mogliśmy zdobyć.

- Nic nie zdobyliśmy.

- Ależ tak. Zarejestrowaliście głos. Facet powiedział jedenaście słów, prawie wszystkie samogłoski, większość spółgłosek, głoski świszczące, szczelinowe.

- Musimy się dowiedzieć, gdzie byli, idioto!

- Byli przy automacie telefonicznym z zablokowaną identyfikacją numeru, gdzieś na środkowym zachodzie. Zastanów się, Stuyvesant. Jeszcze dziś rano byli w Bismarck, mieli ze sobą broń, czyli przyjechali samochodem. Do tej chwili mogli przejechać sześćset kilometrów. Są gdzieś w jednym z sześciu wielkich stanów, w barze bądź wiejskim sklepiku przy telefonie. A każdy, kto ma dość rozumu, by zakleić kopertę wodą z kranu, wie dokładnie, jak długo rozmawiać, by nie dało się go wyśledzić.

- Nie wiesz na pewno, że korzystają z samochodu.

- Nie - potwierdził Reacher. - Masz rację, nie wiem na pewno. Istnieje niewielka możliwość, że dzisiejsze wydarzenia ich zirytowały, może nawet wkurzyły. A ze strony w Sieci wiedzą, że jutro będą mieli kolejną szansę. I to tutaj, a potem długo nic. Możliwe zatem, że porzucili broń i zamierzają przylecieć tu dziś wieczór. W takim wypadku w tej chwili są na lotnisku O'Hare i czekają na połączenie. Może i warto było wysłać tam policjantów, by sprawdzili, kto korzysta z automatów. Ale miałem zaledwie osiem minut. Gdybyś pomyślał o tym wcześniej, można by to zrobić. Ty miałeś pół godziny. Na miłość boską, poinformowali cię z góry, mogłeś z łatwością coś zaaranżować. Wtedy rozmawiałbym jak najęty po to, by gliniarze mogli się rozejrzeć. Ale nie wpadłeś na ten pomysł, niczego nie załatwiłeś. Niczego. Więc nie oskarżaj mnie o sabotaż, nie mów, że to ja coś spieprzyłem.

Stuyvesant spuścił wzrok, milczał.

- Teraz spytajcie go, czemu prosił o informacje o pogodzie - podsunęła Neagley.

Stuyvesant milczał.

- Czemu prosiłeś o informacje o pogodzie? - zapytała Froelich.

- Bo wciąż mogliśmy mieć czas, by coś załatwić. Mamy dzień przed Świętem Dziękczynienia. Gdyby w Chicago była zła pogoda, na lotnisku panowałby chaos, siedzieliby tam całymi godzinami. W takim razie sprowokowałbym ich do oddzwonienia później, kiedy już wezwalibyśmy policjantów. Ale pogoda jest dobra. Żadnych opóźnień, czyli znów brak czasu.

Stuyvesant milczał.

- Akcent? - spytała cicho Froelich. - Czy jednaście słów, jakie łaskawie pozwoliłeś im powiedzieć, cokolwiek dało?

- Przecież je nagraliście - przypomniał Reacher. - Ale nie zauważyłem nic ciekawego. Z pewnością nie obcy, nie z południa, nie ze wschodniego wybrzeża. Pewnie z jednego z tych miejsc, w których nie mówi się z wyraźnym akcentem.

Długą chwilę w sali panowała cisza.

- Przepraszam - powiedział w końcu Stuyvesant. - Chyba zrobiłeś to, co należało.

Reacher pokręcił głową, odetchnął głośno.

- Nie przejmuj się - pocieszył. - I tak chwytam się brzytwy. Istniała szansa jedna na milion, że zdołamy ich zlokalizować. Tak naprawdę decyzję podjąłem błyskawicznie, odruchowo. Jeśli ich niepokoję, chcę, żeby niepokoiли się dalej, zgadywali. Chciałem też ich wkurzyć, odciągnąć od Armstronga. Lepiej, żeby na jakiś czas skupili się na mnie.

- Chcesz, żeby ci ludzie cię zaatakowali?

- Lepiej mnie niż Armstronga.

- Oszalałeś? Jego pilnuje Secret Service, ty nie masz nikogo.

Reacher się uśmiechnął.

- Niespecjalnie się ich boję.

Froelich przesunęła odrobinę krzesło.

- A zatem to jest ambicjonalna gierka. Boże, jesteś zupełnie taki jak Joe. Wiesz?

- Tyle że ja wciąż żyję - odparł Reacher.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Oficer dyżurny wsunął do środka głowę.

- Przyszedł agent Bannon - oznajmił. - Gotów do wieczornego spotkania.

Stuyvesant osobiście poinformował Bannona w swym gabinecie o rozmowach telefonicznych. Do sali konferencyjnej wrócili razem dziesięć po dziesiątej. Bannon nadal bardziej przypominał doświadczonego policjanta niż agenta federalnego - tweedowa marynarka, szare flanelowe spodnie, solidne buty, ogorzała rumiana twarz. Wszystko jak u starego, doświadczonego detektywa z Chicago, Bostonu czy Nowego Jorku. W rękę trzymał cienką teczkę, minę miał bardzo poważną.

- Nendick wciąż na nic nie reaguje - rzekł.

Nikt nie odpowiedział.

- Jego stan nie polepszył się ani nie pogorszył - ciągnął Bannon. - Nadal się o niego martwię.

Usiadł ciężko na krześle naprzeciw Neagley, otworzył teczkę, wyjął cienki plik kolorowych zdjęć i rozdał niczym karty, po dwie dla każdego.

- Bruce Armstrong i Brian Armstrong - oznajmił. - Do niedawna z Minnesoty i Kolorado.

Mieli przed sobą duże wydruki z drukarki atramentowej, na błyszczącym papierze, nie faksy. Oryginalne zdjęcia zostały zapewne wypożyczone od rodzin, a potem przeskanowane i przesłane e-mailem. Były to zwykłe amatorskie fotki, powiększone i przycięte tak, że zostały na nich tylko głowy i ramiona. Zapewne załatwiło to miejscowe biuro FBI. Otrzymane portrety wyglądały dość sztucznie - dwie proste szczere twarze, dwa niewinne uśmiechy, dwa ciepłe spojrzenia skierowane w stronę czegoś, co także

powinno być na zdjęciu. Na dolnych marginesach ktoś starannie wypisał cienkopisem dwa nazwiska. Zapewne uczynił to sam Bannon. Bruce Armstrong. Brian Armstrong.

Tak naprawdę nie byli specjalnie podobni ani do siebie, ani do Brooka Armstronga. Nikt nawet przez moment nie mógłby ich ze sobą pomylić, nawet w ciemności czy w pośpiechu. Ot, trzech zwykłych Amerykanów, jasne włosy, niebieskie oczy, trochę po czterdziestce. To wszystko. Ale w pewnym sensie byli też bardzo podobni. Jeśli zaczynamy dzielić na grupy populację całego świata, zwykle posługujemy się kolejnymi charakterystykami. Według większości z nich byli identyczni. Mężczyzna albo kobieta. Czarny bądź biały. Wysoki lub niski, gruby, chudy, średniej budowy. Młody, stary, w średnim wieku. Jasne bądź ciemne włosy. Oczy niebieskie albo brązowe. Według wszystkich tych podziałów trzech Armstrongów wyglądało tak samo.

- I jak sądzicie? - spytał Bannon.

- Dostatecznie podobni, by dać do myślenia - odparł Reacher.

- Zgadza się - przytaknął Bannon. - Zostawili dwie wdowy i piątkę osieroconych dzieci. Fajnie, nie?

Nikt nie odpowiedział.

- Masz dla nas coś jeszcze? - spytał Stuyvesant.

- Cały czas pracujemy. Ponownie sprawdzamy odcisk kciuka we wszystkich bazach danych całego świata. Ale nie jesteśmy dobrej myśli. Przepytyaliśmy sąsiadów Nendicka. Prawie nie miewali gości. Najczęściej wychodzili razem, zwykle do baru około piętnastu kilometrów od domu w stronę lotniska Dullesa. To bar policyjny. Najwyraźniej Nendick wykorzystywał pozycję służbową. Wciąż staramy się znaleźć kogokolwiek, z kim miał bliższy kontakt.

- A dwa tygodnie temu? - spytał Stuyvesant. - Kiedy porwali mu żonę? Wówczas musiało się coś dziać.

Bannon pokręcił głową.

- Nawet w dzień na ulicy jest zawsze sporo ludzi. Matki, gospodynie domowe i tak dalej. Ale to dziura, nikt niczego nie pamięta. Oczywiście mogli załatwić to w nocy.

- Nie, sądzę, że Nendick sam ją gdzieś zawiózł - wtrącił Reacher. - Myślę, że go zmusili, w ramach dodatkowej tortury, by podkreślić, że jest odpowiedzialny, jeszcze zwiększyć strach.

- Możliwe - przyznał Bannon. - Niewątpliwie się boi, to pewne.

Reacher skinął głową.

- Myślę, że ci ludzie świetnie sobie radzą z okrutnymi niuansami psychologicznymi. To dlatego część listów przychodziła bezpośrednio tutaj. Dla Armstronga nie byłoby nic gorszego, niż dowiedzieć się od ludzi, którym płacą za to, by go chronić, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

- Tyle że się nie dowiedział - wtrąciła Neagley.

Bannon nie skomentował jej słów.

Stuyvesant milczał przez sekundę.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Doszliśmy do wniosku, że więcej listów nie będzie - oznajmił Bannon. - Uderzą w wybranym przez siebie czasie i miejscu i - co chyba oczywiste - nie poinformują was gdzie i kiedy. Z drugiej strony, jeśli spróbują i im się nie uda, nie będą chcieli, abyście wiedzieli o tym z góry, bo wówczas wydałoby się, że są nieskuteczni.

- Podejrzewacie, gdzie i kiedy mogą spróbować?

- Pomówimy o tym jutro rano. W tej chwili opracowujemy pewną teorię. Zakładam, że będziecie tu jutro rano?

- Czemu miałyby nas nie być?

- To Święto Dziękczynienia.

- Armstrong pracuje, czyli my też.

- Co robi?

- Rozdaje obiady w schronisku dla bezdomnych.

- To rozsądne?

Stuyvesant wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyboru - wyjaśniła Froelich. - Konstytucja nakazuje, by politycy podawali w Święto Dziękczynienia indyka w najgorszych dzielnicach miasta.

- Cóż, zaczekajcie do jutra rana - powiedział Bannon.
- Może spróbujecie go przekonać albo poprawić konstytucję.

To rzekłszy, wstał, okrążył stół i zebrał zdjęcia, jakby zależało mu na nich osobiście.

* * *

Froelich podrzuciła Neagley do hotelu, po czym zabrała Reachera do domu. Całą drogę milczała, podejrzanie, agresywnie. Znosił to aż do mostu nad rzeką, po czym się poddał.

- Co się stało? - spytał.

- Nic - odparła.

- Coś musiało się stać.

Nie odpowiedziała, jechała naprzód. Zaparkowała możliwie najbliżej domu, czyli dwie ulice dalej. W okolicy panował spokój. Był późny wieczór przed dniem świątecznym, ludzie siedzieli w domach, odpoczywali. Froelich zgasiła silnik, ale nie wysiadła. Siedziała bez ruchu, patrząc wprost przed siebie. Milczała.

- Co się stało? - spytał ponownie.

- Chyba tego nie wytrzymam.

- Czego?

- Dasz się zabić - oznajmiła. - Zginiesz, tak jak przez ciebie zginął Joe.

- Słucham?

- Słyszałeś.

- Joe nie zginął przeze mnie.

- Nie nadawał się do takich zadań, ale pojechał tam, bo zawsze się z tobą porównywał. Musiał.

- Kto go zmusił? Ja?

- A kto inny? Był twoim bratem, śledził twoją karierę.

Reacher nie odpowiedział.

- Czemu musicie być tacy, czemu?

- My? - spytał. - Jacy my?

- Wy, mężczyźni - odparła. - Wojskowi. Cały czas ładujecie się w coś głupiego.

- To właśnie robię?

- Wiesz, że tak.

- Nie ja przysiągłem, że dam się zastrzelić w ochronie bezwartościowego polityka.

- Ja też nie. To tylko takie powiedzenie. I nie wszyscy politycy są nic niewarci.

- A zatem osłoniłabyś go przed kulą czy nie? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- A ja w nic się nie ładuję.

- Owszem, ładujesz. Rzucono ci wyzwanie i niech Bóg broni, byś zachował spokój i po prostu odszedł.

- Chcesz, żebym odszedł, czy też chcesz, żebym załatwił sprawę?

- Nie zrobisz tego, stając do walki jak jeleń na rykowisku.

- Czemu nie? Wcześniej czy później wszystko sprowadza się do jednego: my albo oni. Tak to wygląda. Zawsze tak wygląda. Czemu udawać, że jest inaczej?

- A czemu sam szukasz kłopotów?

- Nie szukam. Nie uważam ich za kłopoty.

- A czym niby są?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Milczał przez chwilę.

- Znasz jakichś prawników? - spytał w końcu.

- Kogo?

- Słyszałaś.

- Prawników? Żartujesz? W tym mieście? Tu się roi od prawników.

- No dobra. Wyobraź sobie prawnika. Dwadzieścia lat

po studiach, mnóstwo doświadczenia. Ktoś go pyta: czy mógłby pan przygotować mi skomplikowany testament? Co odpowie prawnik? Co zrobi? Zacznie dygotać ze strachu? Uzna to za wyzwanie? Zagra w nim testosteron? Nie, po prostu odpowie: jasne, mogę to zrobić. A potem to zrobi, bo taką ma pracę. Po prostu.

- To nie twoja praca, Reacher.

- Owszem, w gruncie rzeczy to właśnie moja praca. Wujek Sam przez trzynaście lat płacił mi dolarami z twoich podatków dokładnie za takie zadania. I z całą pewnością nie oczekiwał, że w najważniejszej chwili zacznę uciekać i przeżywać konflikty psychologiczne.

Froelich cały czas patrzyła przed siebie. Szyba zachodziła mgiełką od ich oddechów.

- W innych oddziałach Secret Service pracują setki ludzi - powiedziała w końcu. - W wydziale przestępstw finansowych setki. Nie wiem dokładnie ilu, ale całe mnóstwo. To dobrzy ludzie. My nie zajmujemy się dochodzeniami, oni tak. To ich żywioł. Po to właśnie są. Joe mógł wyznaczyć dziesięciu z nich i wysłać do Georgii, mógł wysłać nawet pięćdziesięciu. Ale nie zrobił tego, musiał jechać tam sam, osobiście, bo ktoś rzucił mu wyzwanie. Nie umiał się wycofać, bo zawsze się z tobą porównywał - powtórzyła.

- Zgadzam się, nie powinien tego robić - przyznał Reacher. - Tak jak lekarz nie powinien spisywać testamentu ani prawnik przeprowadzać operacji.

- Ale ty go zmusiłeś.

Pokręcił głową.

- Nie, nie zmusiłem go - rzekł.

Milczała.

- Dwie sprawy, Froelich. Po pierwsze, ludzie nie powinni wybierać sobie pracy pod kątem tego, co może pomyśleć o tym ich brat. A po drugie, gdy ostatni raz mieliśmy ze sobą bliższy kontakt, ja byłem szesnastolatkiem, a on osiemnastolatkiem. Właśnie wyjeżdżał do West Point.

Byłem dzieckiem, nawet nie przyszłoby mu do głowy mnie naśladować. Oszałałaś? A potem tak naprawdę nigdy nie rozmawialiśmy, widywaliśmy się tylko na pogrzebach. Bo cokolwiek myślisz o mnie jako o bracie, on wcale nie był lepszy. Nie interesował się mną, przez całe lata się nie odzywał.

- Ale śledził przebieg twojej służby. Wasza matka przysyłała mu różne rzeczy. Wciąż się z tobą porównywał.

- Nasza matka zmarła siedem lat przed nim. Wtedy praktycznie zacząłem służbę.

- Na samym początku w Bejrucie odznaczono cię Srebrną Gwiazdą.

- Bomba o mało mnie nie zabiła - wyjaśnił. - A potem dali mi medal, bo nie wiedzieli, co innego mogliby zrobić. Tak właśnie działa armia. Joe o tym wiedział.

- Wciąż się z tobą porównywał - upierała się.

Reacher przesunął się lekko, patrzył, jak obłoczki pary osiadają na szybie.

- Może - przyznał. - Ale nie ze mną.

- To z kim?

- Może z naszym ojcem.

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy mi o nim nie opowiadał.

- I proszę - rzekł Reacher. - Wyparcie, odrzucenie.

- Tak sądzisz? Co było takiego niezwykłego w waszym ojcu?

Reacher odwrócił wzrok, zamknął oczy.

- Służył w piechocie morskiej - powiedział. - W Korei i Wietnamie. Bardzo zorganizowany człowiek. Łagodny, nieśmiały, uroczy, kochający, ale jednocześnie zimny morderca, twardy jak skała. W porównaniu z nim jestem miękkim jak Liberace.

- A ty się z nim porównujesz?

Reacher pokręcił głową, otworzył oczy.

- Nie ma sensu, przy nim zawsze będę wyglądał jak Li-

berace. Nieważne, co zrobię. W sumie dla świata to nawet nie tak źle.

- Nie lubiłeś go?

- Był w porządku. Ale był też dziwołagiem. Na świecie nie ma już miejsca dla takich ludzi.

- Joe nie powinien był wyjeżdżać do Georgii - stwierdziła.

Reacher przytaknął.

- Bez dwóch zdań - rzucił. - Absolutnie. Ale zrobił to, bo tak chciał. Powinien być rozsądniejszy.

- Ty też.

- Ja jestem rozsądny. Na przykład, nie wstąpiłem do piechoty morskiej, tylko do żandarmerii wojskowej. Na przykład, nie czuję potrzeby zaharowywać się, projektując nową studolarówkę. Trzymam się tego, co umiem.

- I sądzisz, że umiesz załatwić tych ludzi?

- Tak jak śmieciarz umie pozbyć się śmieci. To żadna filozofia.

- Zabrzmiało to dość arogancko.

Pokręcił głową.

- Posłuchaj, nie mam ochoty dłużej się tłumaczyć. To śmieszne. Znasz swoich sąsiadów, ludzi, którzy mieszkają w pobliżu?

- Niespecjalnie - przyznała.

Reacher starł ręką mgiełkę z szyby i kciukiem wskazał jeden z domów.

- Może jest wśród nich staruszka, która robi na drutach swetry. Czy podejdziesz do niej i powiesz: o mój Boże, czy pani oszalała? Nie mogę uwierzyć, że ma pani dość odwagi, by umieć robić na drutach swetry!

- Porównujesz walkę z robieniem na drutach?

- Mówię tylko, że każdy z nas jest w czymś dobry. A tak się składa, że ja jestem dobry akurat w tym. Może tylko w tym. Nie jestem z tego dumny, ale też się nie wstydzę. To i tak niczego nie zmieni, nic nie mogę poradzić. Jestem

genetycznie zaprogramowany do tego, by wygrywać. To kwestia kilku pokoleń.

- Joe miał te same geny.
- Nie. Miał tych samych rodziców, a to różnica.
- Oby twoja wiara w siebie miała jakieś podstawy.
- Owszem, ma, zwłaszcza teraz, gdy pomaga mi Neagley.

Przy niej też wyglądam jak Liberace.

Froelich odwróciła wzrok, umilkła.

- O co chodzi? - spytał.
- Ona cię kocha.
- Bzdura.

Froelich popatrzyła wprost na niego.

- Skąd miałbyś wiedzieć?
- Nigdy nie była mną zainteresowana.

Froelich jedynie pokręciła głową.

- Dopiero co rozmawiałem z nią o tym - dodał. - Wczoraj. Mówiła, że nigdy nie była zainteresowana. Sama mi powiedziała, dokładnie tymi słowami.

- A ty jej uwierzyłeś?
- A nie powinienem?

Froelich milczała. Reacher uśmiechnął się powoli.

- A co? Myślisz, że jest zainteresowana? - spytał.

- Uśmiechasz się zupełnie jak Joe - odparła. - Nieco nieśmiało, nieco krzywo. To najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Nie do końca ci przeszło, prawda? - spytał. - Pewnie jak zwykle zorientowałem się ostatni i mówię rzecz oczywistą.

Froelich milczała. Po prostu wysiadła z samochodu i ruszyła naprzód. Reacher podążył za nią. Na ulicy było zimno i mokro. Wilgoć wisiała w powietrzu. Czuł zapach rzecki i benzyny. Dotarli do domu, Froelich przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Weszli do środka.

Na środku przedpokoju leżała kartka.

Był to znajomy biały papier listowy. Leżał starannie ułożony wzdłuż dębowych klepek, na geometrycznym środku przedpokoju, w pobliżu schodów, dokładnie w miejscu, gdzie Reacher dwie noce wcześniej zostawił swój worek z rzeczami. Na kartce wydrukowano jedno proste zdanie znajomą czcionką komputerową Times New Roman, czternastką, wytłuszczoną. Pięć słów, podzielonych na dwa wiersze pośrodku kartki: To zdarzy się już wkrótce. Trzy słowa to zdarzy się tworzyły pierwszy wiersz, już wkrótce - drugi. Układ ten przywodził na myśl poezję albo tekst piosenki, jakby podzielono go dla podkreślenia znaczenia słów. Jakby między wierszami miała nastąpić przerwa, zawieszenie głosu, werble, fanfara. To zdarzy się... ta da!... już wkrótce. Reacher wpatrywał się w kartkę jak zahipnotyzowany. Już wkrótce. Już wkrótce.

- Nie dotykaj tego - rzuciła Froelich.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł.

Wystawił głowę za drzwi i rozejrzał się po ulicy. Wszystkie pobliskie samochody były puste, wszystkie pobliskie okna zamknięte i zasłonięte. Ani śladu przechodniów, nikt nie krył się w ciemnościach. Cisza i spokój. Wrócił do środka i powoli, ostrożnie zamknął drzwi, by nagły przeciąg nie poruszył listu.

- Jak się tu dostali? - spytała Froelich.

- Przez drzwi - odparł Reacher. - Pewnie te z tyłu.

Froelich wyciągnęła z kabury sig-sauera. Razem przeszli przez salon do kuchni. Drzwi prowadzące na podwórko były zamknięte, ale nie na klucz. Reacher uchylił je, przebiegł wzrokiem okolicę, niczego nie zobaczył. Powoli pociągnął drzwi do siebie, otwierając je tak, by światło ze

środką padło na obudowę zamka. Pochylił się i obejrzał ją uważnie.

- Ślady - rzekł. - Bardzo drobne. Są niezli.

- Są tutaj, w Waszyngtonie - odparła. - W tej chwili.

Nie w barze na środkowym zachodzie.

Patrzyła za siebie w głąb salonu.

- Telefon - rzuciła.

Był przestawiony na stolik obok kominka.

- Skorzystali z mojego telefonu - dodała.

- Pewnie, żeby do mnie zadzwonić - odparł Reacher.

- Odciski? Pokręcił głową.

- Rękawiczki.

- Byli w moim domu - westchnęła. Odsunęła się od drzwi, przystanąła koło blatu. Spojrzała na coś i szarpnięciem otworzyła szufladę.

- Zabrali mój pistolet - oznajmiła. - Miałam tu zapasowy pistolet.

- Wiem - odparł Reacher. - Starą beretę.

Froelich otworzyła sąsiednią szufladę.

- Magazynek też zniknęły. Trzymałam tu amunicję.

- Wiem - powtórzył Reacher. - Pod rękawicą kuchenną.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłem w poniedziałek wieczorem.

- Czemu?

- Nawyk - wyjaśnił. - Nie bierz tego do siebie.

Przez chwilę patrzyła na niego, potem otworzyła szafkę, w której trzymała pieniądze. Widział, jak sprawdza kamionkowy słój. Nic nie powiedziała, założył zatem, że pieniądze wciąż tam są. Zarejestrował to w zawodowym zątku umysłu. Potwierdzenie od dawna żywionych podejrzeń: ludzie nie lubią szukać nad głowami.

Nagle Froelich zeszywniała. Nowa myśl.

- Nadal mogą być w domu - powiedziała cicho.

Ale się nie ruszyła. Pierwszy raz dostrzegł u niej jakąkolwiek oznakę strachu.

- Sprawdzę - odparł. - Chyba że to niezdrowa reakcja na rzucone wyzwanie.

Bez słowa wręczyła mu pistolet. Zgasił światło kuchenne, by nie stać się łatwym celem na schodach do piwnicy i powoli ruszył w dół. Słuchał uważnie potrzaskiwań, westchnień i szmerów domu, pomruku ogrzewania. Stojąc nieruchomo w ciemnościach, czekał, aż oczy przywykną do mroku. Nikogo tam nie było. Na górze też nie. Nikt nie czaił się w kącie. Czekających ludzi otaczają ludzkie wibracje, cichy szmer, drżenie, a on niczego nie czuł. Dom był pusty, niewzruszony, nietknięty, jeśli nie liczyć przesuniętego telefonu, brakującej beretty i listu na podłodze w przedpokoju. Reacher wrócił do kuchni i oddał jej siga kolbą naprzód.

- Bezpieczny - rzekł.

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc - odparła.

* * *

Agent FBI Bannon pojawił się czterdzieści minut później. Przyjechał służbowym samochodem z trzema członkami swego zespołu. Stuyvesant przybył pięć minut po nim, służbowym suburbanem. Obaj zostawili niedbale swoje

wozy na ulicy, blokując inne samochody. Działające koguty zalewały najbliższe domy promieniami czerwonego, niebieskiego i białego światła. Stuyvesant przystanął nieruchomo w otwartych drzwiach.

- Podobno mieliśmy nie dostać więcej listów - przypomniał.

Bannon klęczał, przyglądając się kartce.

- To ogólniki - odparł. - Przewidywaliśmy, że nie podadzą nam żadnych więcej szczegółów. I nie podali. Słowo „wkrótce” nie ma znaczenia, nic nie mówi o czasie i miejscu. To tylko szyderstwo. Chcieli nam zaimponować.

- Już wcześniej mi zaimponowali - odparł Stuyvesant.

Bannon uniósł głowę, spojrzął na Froelich.

- Jak długo cię nie było?
- Cały dzień - odparła. - Wyjechaliśmy dziś rano o wpół do siódmej na spotkanie z tobą.

- Wy?

- Reacher tu mieszka - wyjaśniła.

- Już nie - rzucił Bannon. - Żadne z was tu nie zostanie, to zbyt niebezpieczne. Umieścimy was w bezpiecznym lokalu.

Froelich milczała.

- Są w Waszyngtonie - ciągnął Bannon. - Prawdopodobnie gdzieś się szykują. Zapewne przyjechali z Dakoty Północnej parę godzin po was. Wiedzą, gdzie mieszkasz. A poza tym, musimy tu popracować. To miejsce przestępstwa.

- To mój dom - przypomniała Froelich.

- I miejsce przestępstwa - powtórzył Bannon. - Oni tu byli. Musimy wszystko przeczesać. Lepiej, żebyś trzymała się z daleka, póki tego nie załatwimy.

Froelich milczała.

- Nie kłóć się - poprosił Stuyvesant. - Chcę, żebyś miała ochronę. Umieścimy was w motelu. Poślę tam paru szeryfów federalnych.

- Neagley też - odezwał się Reacher.

Froelich na niego zerknęła. Stuyvesant przytaknął.

- Nie martw się - rzekł. - Wysłałem już po nią kogoś.

- Sąsiedzi? - spytał Bannon.

- Praktycznie ich nie znam - odparła.

- Mogli coś widzieć - Bannon spojrzał na zegarek - i może jeszcze nie śpią. Oby. Wywlekanie świadków z łóżek zwykle pogarsza im humor.

- Bierzcie to, czego potrzebujecie - zawołał Stuyvesant.

- Zmywamy się stąd, ale już.

* * *

Reacher stanął pośrodku pokoju gościnnego Froelich. Miał przecucie, że już tu nie wróci. Dlatego zabrał z ła-

zienki swoje rzeczy i worek z ciuchami z Atlantic City, a także wszystkie wciąż czyste garnitury i koszule Joego. Do kieszeni wepchnął czyste skarpety i bieliznę. Wziął ubrania w jedną rękę, a w drugą kartonowe pudełko Joego. Zszedł po schodach, wyszedł na zewnątrz i nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy od ponad pięciu lat opuszcza jakieś miejsce, zabierając bagaż. Wsadził go do bagażnika suburban, okrążył samochód i usiadł z tyłu, by zaczekać na Froelich. Po chwili wyłoniła się z domu; w ręku trzymała niewielką walizkę. Stuyvesant wziął ją i schował. Jednocześnie wsiedli z przodu i ruszyli w dół ulicy. Froelich nie oglądała się za siebie.

Przez chwilę jechali wprost na północ, potem skręcili na zachód, mijając wszystkie znane zabytki. Znow skręcili, by w końcu zatrzymać się przed motelem w Georgetown, jakieś dziesięć przecznic od ulicy Armstronga. Na ulicy parkował stary crown vic i nowy town car. W tym drugim siedział kierowca, crown vic był pusty. Sam motel okazał się miłym, niewielkim budynkiem z ciemnego drewna, z dyskretnym szyldem. Otaczały go trzy ambasady, ogrodzone wysokimi płotami. Ambasady należały do nowych krajów, o których Reacher nigdy wcześniej nie słyszał, ale ogrodzenia miały solidne. W sumie było to bardzo dobrze chronione miejsce - tylko jedno wejście, stacjonujący w holu szeryf federalny wystarczył aż nadto, by go upilnować. Dodatkowy szeryf w korytarzu to już nawet przesada.

Stuyvesant zarezerwował trzy pokoje. Neagley była już na miejscu, znaleźli ją w holu. Kupowała colę z automatu i rozmawiała z potężnym mężczyzną w tanim czarnym garniturze i policyjnych butach, niewątpliwie szeryfem federalnym, kierowcą crown vica. Ich budżet samochodowy musi być mniejszy niż Secret Service, pomyślał Reacher. Podobnie reprezentacyjny.

Stuyvesant załatwił wszystko w recepcji i wrócił, niosąc

trzy karty. Wręczył im je, wyraźnie zakłopotany. Wymienił trzy numery pokojów obok siebie. Następnie po-grzebał w kieszeni, wyciągnął kluczyki do suburbana, od-dał je Froelich.

- Wrócę z agentami, którzy przywieźli Neagley - oznaj-mił. - Widzimy się jutro o siódmej rano w biurze na spot-kaniu z Bannonom.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł. Neagley ruszyła pierwsza, zonglując kartą, puszką coli i torbą z ciuchami. Froelich i Reacher podążyli za nią, każde z nich trzymało własną kartę. Na końcu korytarza czekał drugi szeryf. Sie-dział na niewygodnym, twardym krześle oparty o ścianę. Reacher precisnął się obok niego i przystanął przy własnych drzwiach. Froelich otwierała pokój po drugiej stronie. Nie patrzyła na niego.

Wszedł do środka i ujrzał kompaktową wersję tego, co oglądał już wcześniej tysiące razy - jedno łóżko, jedno krze-sło, stół, zwykły telefon, niewielki telewizor. Reszta wyglą-dała jak spod sztancy. Zaciągnięte zasłony w kwiatowy wzór, taka sama kapa wykrochmalona do sztywności. Bezbarwna bambusowa plecionka na ścianach. Nad łóżkiem tania repro-dukcja, udająca odręczny architektoniczny szkic przedsta-wiający część starożytnej greckiej świątyni. Reacher schował swój bagaż, na półce nad umywalką ustawił przybory toaletowe. Zerknął na zegarek, minęła już północ. Nadeszło Święto Dziękczynienia. Zdjął marynarkę Joego, ułożył na stole. Po-luzował krawat i ziewnął. W tym momencie rozległo się pu-kanie do drzwi. Otworzył i ujrzał stojącą w progu Froelich.

- Wejdz - rzekł.

- Tylko na chwilkę - odparła.

Reacher cofnął się, usiadł na końcu łóżka, zostawiając jej krzesło. Włosy miała potargane, jakby dopiero co prze-czesala je palcami. Wyglądała z tym świetnie, młodziej, bardziej krucho.

- Naprawdę już go nie kocham - powiedziała.

- W porządku - rzucił.
- Ale rozumiem, czemu sądzisz inaczej.
- W porządku - powtórzył.
- Toteż myślę, że dzisiejszą noc powinniśmy spędzić osobno. Nie chciałabym, żebyś martwił się, dlaczego tu jestem, gdybym tu była.
- Jak chcesz - powiedział.
- Po prostu jesteś taki do niego podobny. Nic na to nie poradzę, że mi go przypominasz. Rozumiesz to, prawda? Ale nigdy nie byłeś namiastką. Musisz to wiedzieć.
- Nadal sądzisz, że zginął przeze mnie?

Odwróciła wzrok.

- Zginął przez coś - odparła. - Coś, co nie dawało mu spokoju. Coś, co sprawiło, iż sądził, że potrafi pokonać kogoś, z kim nie mógł wygrać. Coś, co sprawiło, że uważał, iż nic mu nie będzie, a było. To samo może spotkać ciebie. Jeśli tego nie widzisz, jesteś głupcem.

Reacher skinął głową, nie odpowiedział. Froelich wstała, przeszła obok niego. Przez moment czuł woń perfum.

- Zadzwoń, jeśli będę ci potrzebny - rzekł.
Nie odpowiedziała. On nie wstał.

* * *

Pół godziny później rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Otworzył, oczekując Froelich, ale to była Neagley - wciąż ubrana, nieco zmęczona, lecz spokojna.

- Jesteś sam? - spytała. Skinął głową.
- A ona gdzie?
- Wyszła.
- Sprawy służbowe czy brak przyjemności?
- Zagubienie - odparł. - Na zmianę albo chce, żebym był Joem, albo obwinia mnie o jego śmierć.
- Wciąż go kocha.
- Oczywiście.
- Sześć lat po zerwaniu.

- To normalne?

Wzruszyła ramionami.

- Mnie pytasz? Pewnie niektórzy ludzie zakochują się na długo. Musiał być supergościem.

- Tak naprawdę nie znałem go zbyt dobrze.

- Zginął przez ciebie?

- Oczywiście, że nie. Byłem wtedy milion kilometrów stąd. Od siedmiu lat z nim nie rozmawiałem, mówiłem już.

- To o co jej chodzi?

- Twierdzi, że zachowywał się nieostrożnie, bo porównywał się ze mną.

- A porównywał się?

- Wątpię.

- Mówiłeś, że po wszystkim czuleś się winny. Powiedziałeś mi to, gdy oglądaliśmy taśmy z kamer.

- Mówiłem, że byłem wściekły, nie winny.

- Wściekły, winny, to w sumie to samo. Skąd poczucie winy, skoro to nie przez ciebie?

- Teraz twierdzisz, że to przeze mnie?

- Pytam po prostu, skąd poczucie winy.

- Dorastał w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

Reacher umilkł, cofnął się w głąb pokoju. Neagley poszła za nim. Położył się na łóżku i wyciągnął ręce, zwieszając dłonie za krawędź. Ona usiadła na krześle, tam gdzie wcześniej Froelich.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

- Był duży i silny, ale był też kujonem - wyjaśnił Reacher.

- W szkołach, do których chodziliśmy, równie dobrze mógł mieć wytatuowane na czole „skopcie mi tyłek”. A do tego, mimo że silny, nie był wcale taki twardy. I faktycznie, ktoś regularnie skopywał mu tyłek.

- I co?

- Ja byłem dwa lata młodszy, ale też duży, silny i twardy, i do tego niespecjalnie zakuwałem, toteż zacząłem się nim opiekować, pewnie przez lojalność. Poza tym, i tak

lubiłem się bić. Miałem wtedy jakieś sześć lat, mieszałem się do wszystkiego i szybko się uczyłem. Wkrótce zrozumiałem, że najważniejszy jest styl. Trzeba wyglądać poważnie, jak ktoś, kto nie żartuje, a wtedy ludzie zaczynają się wycofywać. Czasami nie rezygnowali. W pierwszej klasie cały czas tłukłem się z ósmiolatkami. Ale szybko się uczyłem i potrafiłem zrobić im krzywdę. Byłem jak wariat, całkiem świadomie. Gdy przyjeżdżaliśmy w nowe miejsce, koledzy szybko orientowali się, że lepiej nie zaczepiać Joego, w przeciwnym razie oberwą od świra.

- Uroczy był z ciebie chłopczyk, nie ma co.

- To wojsko. W każdym innym miejscu wysłaliby mnie do poprawczaka.

- Twierdzisz, że Joe nauczył się na tobie polegać.

Reacher skinał głową.

- I tak to się ciągnęło przez dziesięć lat. Czasem było gorzej, czasem lepiej. W miarę jak dorastaliśmy, coraz rzadziej dochodziło do scysji. Ale gdy się zdarzały, było gorzej. Myślę, że podświadomie do tego przywykłem. Dziesięć lat w okresie dorastania to naprawdę kawał czasu. Weszło mu to w krew, świadomość, że może ignorować niebezpieczeństwo, bo świr zawsze go ochrania. Toteż w pewnym sensie Froelich miała rację. Owszem, był nieostrożny. Nie dlatego, że starał się ze mną konkurować, ale ponieważ w głębi ducha uważał, że może sobie na to pozwolić. Bo zawsze go pilnowałem, tak jak matka zawsze go karmiła, a armia zapewniała mu dom.

- Ile miał lat, gdy zginął?

- Trzydzieści osiem.

- To dwadzieścia lat, Reacher. Miał dwadzieścia lat, by przywyknąć do nowej sytuacji. Wszyscy przywykamy.

- Czyżby? Czasami wciąż czuję się jak tamten sześciolatek. Wszyscy patrzą kątem oka, czujnie obserwując świra.

- Na przykład kto?

- Na przykład Froelich.
- Mówiła ci coś?
- Wyraźnie budzę w niej niepokój.
- Secret Service to organizacja cywilna, najwyżej paramilitarna. Są równie okropni jak zwykli obywatele.

Reacher uśmiechnął się, nie odpowiedział.

- Jak więc brzmi werdykt? - spytała Neagley. - Będziesz odtąd krążył po świecie przekonany, że zabiłeś swojego brata?

- Może odrobinę - odparł. - Ale mi przejdzie.

Przytaknęła.

- O tak, i powinno. To nie była twoja wina. Miał trzydzieści osiem lat. Nie czekał, aż zjawi się jego braciszek.

- Mogę cię o coś zapytać?

- O co?

- O coś innego, co mówiła Froelich.

- Zastanawia się, czemu tego nie robimy?

- Szybka jesteś - mruknął.

- Wyczułam to - wyjaśniła Neagley. - Odebrałam ją jako częściowo zatroskaną, częściowo zazdrosną, wręcz zimną. Ale też z drugiej strony skopałam jej tyłek podczas audytu.

- O tak.

- Wiesz, że nigdy nawet się nie dotknęliśmy, ty i ja? Nigdy nie mieliśmy żadnego kontaktu fizycznego. Nigdy nie poklepałeś mnie po plecach, nie uścisnąłeś dłoni.

Spojrzał na nią i przypomniał sobie ostatnich piętnaście lat.

- Naprawdę? - spytał. - To dobrze czy źle?

- Dobrze - odparła. - Ale nie pytaj czemu.

- W porządku - rzucił.

- Mam swoje powody, nie pytaj jakie. Nie lubię, gdy się mnie dotyka, a ty nigdy mnie nie dotknąłeś. Miałam wrażenie, że to wyczuwasz, i zawsze to doceniałam. To jedna z przyczyn, dla których tak bardzo cię lubię.

Nie odpowiedział.

- Choć faktycznie powinieneś być wylądować w poprawczaku.

- A ty zapewne wraz ze mną.

- Tworzymy dobry zespół - rzekła. - Wróc ze mną do Chicago.

- Lubię wędrować - odparł.

- Dobra, nie naciskam. I spójrz na to z jaśniejszej strony. Opuść trochę Froelich, pewnie jest tego warta. To miła babka. Zabawcie się, dobrze wam razem.

- Okay - mruknął. - Chyba tak.

Neagley wstała i ziewnęła.

- Wszystko w porządku? - spytał. Skinęła głową.

- Super.

A potem ucałowała koniuszki palców i posłała mu pocałunek z odległości dwóch metrów. Bez jednego słowa wyszła z pokoju.

* * *

Był zmęczony, ale też nabuzowany, a zimny pokój i niewygodne łóżko zniechęcały do snu. Włożył zatem z powrotem spodnie i koszulę, podszedł do szafy i wyciągnął pudełko Joego. Nie spodziewał się, że znajdzie w nim coś ciekawego. Po prostu stare rzeczy, to wszystko. Nikt nie zostawia ważnych rzeczy w domu dziewczyny, gdy wie, że pewnego dnia już tam nie wróci.

Postawił pudełko na łóżku i otworzył. Pierwszym co ujrzał, była para butów. Leżały na boku, złożone podeszwami, z jednej strony pudełka. Eleganckie czarne buty, z dobrej skóry, dość ciężkie. Staranne szwy, mocne noski, cienkie sznurowadła w pięciu dziurkach. Najpewniej z importu, ale nie włoskie. Na to były zbyt solidne. Może angielskie, tak jak krawat w samoloty.

Reacher postawił je na kapie. Rozsunął obcasy o piętnaście centymetrów, noski nieco szerzej. Prawy obcas był mocniej starty niż lewy. Buty wyglądały na solidnie znoszone. Dostrzegął w nich kształt stóp Joego, cały kształt

ciała wznoszącego się nad nimi, jakby stał tu niewidzialny. Przypominały maskę pośmiertną.

W pudełku były też trzy położone grzbietami do góry książki. Pierwsza to „W stronę Swanna”, pierwszy tom „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta. Francuskie wydanie w miękkiej okładce, nieozdobionej żadnym obrazkiem. Przerzucił ją szybko. Z językiem dawał sobie radę, ale treść przelatywała mu gdzieś nad głową. Drugi był podręcznik uniwersytecki dotyczący analiz statystycznych, gruby i ciężki. Reacher przejrzał go, szybko jednak się poddał. Nie rozumiał ani języka, ani treści. Położył książkę obok Prousta.

Wyciągnął trzecią. Jedno spojrzenie wystarczyło, by ją rozpoznał. Sam kupił ją Joemu dawno temu, na trzydzieste urodziny. „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego, po angielsku, lecz kupiona w Paryżu w antykwariacie. Reacher pamiętał dokładnie, ile kosztowała: niezbyt wiele. Paryski księgarz wyrzucił ją na półkę książek obcojęzycznych. Nie było to pierwsze wydanie, ani nic takiego. Po prostu ładna edycja i świetna powieść.

Otworzył na stronie tytułowej. Napisał na niej: Joe - unikaj jednego i drugiego, dobrze? Wszystkiego najlepszego, Jack. Pióro pożyczyl od księgarza i atrament rozmazał się lekko. Teraz nieco wyblakł. Potem Reacher wypisał nalepkę adresową, bo księgarz zaproponował, że może wysłać książkę. Na adres Pentagonu, jako że Joe w wieku trzydziestu lat służył jeszcze w wywiadzie wojskowym. Księgarzowi wyraźnie to zaimponowało. Pentagon, Arlington, Wirginia, USA.

Reacher obrócił kartkę i przeczytał pierwsze zdanie. „W początku lipca pod wieczór niezwykle upalnego dnia pewien młodzieniec wyszedł na ulicę ze swej izdebki, którą podnajmował od lokatorów...”*. Zaczął przeglądać dalej, szukając sceny morderstwa, gdy ze środka wyleciała

złożona kartka papieru. Zapewne służyła za zakładkę, gdzieś w połowie, w miejscu gdzie Raskolnikow spiera się ze Swidrygajłowem.

Rozłożył kartkę. Wojskowy papier; poznał to natychmiast po barwie i fakturze. Kremowy, gładki. Był to początek listu, nakreślonego znajomym, starannym pismem Joego, datowanego na sześć tygodni po jego urodzinach. List brzmiał następująco:

Mój drogi Jacku, dziękuję za książkę, w końcu tu dotarła. Zawsze będę ją sobie cenił, może nawet kiedyś przeczytam, ale zapewne nieprędko, bo zaczynam mieć masę pracy. Zastanawiam się nad rzuceniem tego i przejściem do Departamentu Skarbu. Ktoś (z pewnością rozpoznałbyś jego nazwisko) zaproponował mi pracę i

To wszystko. List urywał się nagle w połowie strony. Reacher położył go obok butów. Wsadził książki do pudełka. Przez chwilę przyglądał się butom i listowi, nasłuchując wewnątrz głowy jak wieloryb, poszukujący słuchem

* przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

innego wieloryba, odległego o tysiąc kilometrów lodowatego oceanu. Niczego jednak nie usłyszał. Nic tu nie było, absolutnie nic. Wepchnął buty z powrotem do pudełka, złożył list, cisnął na wierzch. Zamknął ponownie kłapy, dźwignął pudełko i ustawił na koszu ze śmieciami. Odwrócił się w stronę łóżka. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. To była Froelich. Miała na sobie spodnie od kostiumu i marynarkę. Bez koszuli, pewnie w ogóle bez niczego pod spodem. Reacher domyślił się, że ubrała się szybko, bo wiedziała, że będzie musiała minąć czuwającego na korytarzu szeryfa.

- Wciąż nie śpisz - zauważyła.

- Wejdz - powiedział.

Weszła do pokoju i zaczekała, aż Reacher zamknie drzwi.

- Nie jestem na ciebie zła - oznajmiła. - Joe nie zginął przez ciebie. Naprawdę tak nie myślę. I nie jestem zła na Joego, że dał się zabić. To po prostu się stało.

- Ale na coś jesteś zła - zauważył.

- Jestem zła na niego za to, że mnie opuścił.

Reacher wrócił do pokoju, usiadł na końcu łóżka.

Tym razem Froelich przysiadła tuż obok niego.

- Już nic do niego nie czuję - ciągnęła. - Naprawdę, daję słowo. Od dawna nic nie czuję. Ale wciąż nie mogę się pogodzić z tym, że po prostu mnie rzucił.

Reacher milczał.

- I przez to jestem zła na samą siebie - dodała cicho. -Bo gdzieś w głębi duszy źle mu życzyłam. Po wszystkim chciałam, żeby spotkało go to, co najgorsze. A potem spotkało i czułam się okropnie winna. I teraz martwię się, że źle mnie osądzisz.

Reacher odczekał chwilę.

- Nie mam co osądzać - powiedział. - I nie masz powodów, by czuć się winna. Zważywszy na sytuację, miałaś prawo źle mu życzyć, i w żaden sposób nie wpłynęło to na to, co go spotkało. Bo niby jak?

Milczała.

- Wszedł na obcy grunt, to wszystko - kontynuował Reacher. - Zaryzykował i nie udało się. Ty tego nie sprawiłaś, ja też nie. Po prostu się stało.

- Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu.

Pokręcił głową.

- Nieprawda. Wcale nie. Po prostu się dzieje. To nie była twoja wina. Nie jesteś odpowiedzialna.

- Tak myślisz?

- Nie jesteś odpowiedzialna - powtórzył. - Nikt nie jest.

Poza facetem, który pociągnął za spust.

- Źle mu życzyłam. Chcę, żebyś mi wybaczył.

- Nie mam co wybaczać.

- Chcę, żebyś to powiedział.

- Nie mogę - odparł Reacher. - I nie zrobię tego. Nie potrzebujesz wybaczenia. To nie była twoja wina i nie moja.

Ani nawet Joego. Tak po prostu wyszło. Bywa.

Przez długą chwilę Froelich milczała. W końcu lekko skinęła głową i przysunęła się odrobinę bliżej.

- Dobrze - szepnęła.

- Masz coś pod tym kostiumem? - spytał.

- Wiedziałeś, że w kuchni trzymam pistolet?

- Owszem.

- Czemu przeszukałeś mój dom?

- Bo mam gen, którego brakowało Joemu. Mnie nic się nie przytrafia. Nie miewam pecha. Teraz jesteś uzbrojona?

- Nie jestem.

Cisza.

- I nie mam nic pod spodem - dodała.

- Sam muszę to sprawdzić - oznajmił. - To kwestia wrodzonej ostrożności, rozumiesz.

Rozpiął pierwszy guzik jej żakietu, potem drugi. Wsunął do środka dłoń. Skórę miała ciepłą i gładką.

* * *

O szóstej rano zadzwonił telefon z recepcji. Stuyvesant musiał wczoraj zamówić budzenie, pomyślał Reacher. Szkoda, że nie zapomniał. Froelich poruszyła się u jego boku, potem gwałtownie otworzyła oczy i usiadła, całkowicie rozbudzona.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia - rzekł.

- Oby było szczęśliwe - odparła. - Mam dziwne przecucie. Myślę, że dziś wygramy albo przegramy.

- Lubię takie dni.

- Tak?

- Jasne - rzucił. - Przegrana nie wchodzi w grę, co ozna-

cza, że dziś wygramy.

Froelich odrzuciła kołdrę. Pokój ze zbyt zimnego stał się w nocy za ciepły.

- Ubierz się nieoficjalnie - powiedziała. - Garnitury nie pasują do święta w schronisku. Uprzedzisz Neagley?

- Sama to zrób. Przejdiesz obok jej pokoju. Nie ugryzie.

- Nie?

- Nie - zapewnił.

Froelich włożyła z powrotem kostium i zniknęła. Reacher podbiegł do szafy, wyciągnął worek z ciuchami z Atlantic City. Wysypał je na łóżko i postarał się przyglądzić wymięty strój. Potem wziął prysznic, nie golił się. Chciała, żebym nie wyglądał oficjalnie, pomyślał. Neagley czekała już w holu. Miała na sobie dżinsy, bluzę i sfatygowaną kurtkę skórzaną. W kącie ustawiono stół z kawą i babeczkami. Szeryfowie zdążyli już pochłonąć większość.

- Ucałowaliście się na zgodę? - spytała Neagley.

- Tak jakby - odparł.

Wziął kubek, napełnił kawą. Wybrał babeczkę z rodzynkami. W tym momencie zjawiała się Froelich, świeża i wykąpana, ubrana w czarne dżinsy, czarną koszulkę polo i czarną nylonową kurtkę. Zjedli wszystko, co zostawili szeryfowie i razem wsiedli do suburbańskich Stuyvesanta. Było przed siódmą rano w Święto Dziękczynienia. Miasto sprawiało wrażenie całkowicie wyludnionego. Wszędzie panowała cisza. Było zimno, lecz przyjemnie i bezwietrznie. Świeciło już słońce, niebo miało barwę bladego błękitu, jasne promienie powlekały złotem kamienne fasady. Ulice były kompletnie puste, toteż błyskawicznie dotarli do biura. Stuyvesant czekał na nich w sali konferencyjnej. Na jego wersję nieoficjalnego stroju składały się odprasowane szare spodnie i różowy sweter pod jaskrawoniebieską kurtką golfową. Reacher domyślał się, że na wszystkich metkach widnieje napis Brooks Brothers

i że pani Stuyvesant jak zwykle w czwartek pojechała do szpitala w Baltimore, nie przejmując się świętem. Naprzeciw Stuyvesanta siedział Bannon, jak zawsze w tweedach i flanelach. Niezależnie od dnia zawsze wyglądał na policjanta. Wątpliwe, by dysponował różnorodnymi strojami.

- Zaczynamy - powiedział Stuyvesant. - Mamy dziś ważny dzień.

- Po pierwsze - zaczął Bannon - FBI oficjalnie zaleca odwołanie dzisiejszej imprezy. Wiemy, że przeciwnicy są w mieście. Należy zatem założyć, że mogą podjąć próbę zamachu.

- Odwołanie nie wchodzi w grę - odparł Stuyvesant. - Darmowy indyk w schronisku dla bezdomnych może wydawać się czymś trywialnym, ale to miasto żyje symbolami. Gdyby Armstrong się wycofał, szkody polityczne byłyby ogromne.

- Dobrze, zatem będziemy tam z wami - zapowiedział Bannon. - Nie żeby was dublować, nie zamierzamy wchodzić wam w drogę, jeśli chodzi o osobistą ochronę Armstronga. Jeżeli jednak coś się wydarzy, im bliżej będziemy, tym lepiej.

- Macie jakieś dokładniejsze informacje? - spytała Froelich.

Bannon pokręcił głową.

- Nie - rzekł. - Tylko przecucie, ale nalegam, abyście potraktowali je bardzo poważnie.

- Ja wszystko traktuję bardzo poważnie - oznajmiła Froelich. - Szczerze mówiąc, zmieniam cały plan dnia. Przenoszę wszystko na zewnątrz.

- Na zewnątrz? - spytał Bannon. - To chyba gorzej?

- Nie - wyjaśniła Froelich. - To lepiej. Wszystko miało się odbyć w jednej długiej, wąskiej sali z kuchnią na tyłach. W środku byłoby bardzo tłoczno. Praktycznie nie mamy szans użycia wykrywaczy metalu przy drzwiach. Jest

koniec listopada, większość tych ludzi ma na sobie pięć warstw ubrań i ukrywa w nich najróżniejsze metalowe przedmioty. Nie możemy ich zrewidować, trwałoby to wieki i Bóg jeden wie, ile paskudnych choróbsk złapałoby moi ludzie. Nie możemy nałożyć rękawiczek, ponieważ uznano by to za obraźliwe. Musimy zatem pogodzić się z faktem, iż istnieje spora szansa, że przeciwnicy mogliby wmieszać się w tłum i zbliżyć do celu. A my w żaden sposób nie zdołalibyśmy ich powstrzymać.

- W czym pomoże przeniesienie wszystkiego na zewnątrz?

- Obok budynku jest dziedziniec. Ustawimy stoły w długiej linii pod kątem prostym do ścian budynku. Jedzenie będzie podawane przez kuchenne okno. Za stołem ciągnie się mur. Ustawimy Armstronga, jego żonę i czterech agentów w rzędzie za stołem, plecami do muru. Goście będą podchodzić z lewej, kolejno, pomiędzy agentami. Dostaną jedzenie i ruszą do środka, żeby móc usiąść. Ludziom z telewizji bardziej się to spodoba, zdecydowanie wolą kręcić na dworze. I wszystko będzie odbywać się szybko i sprawnie. Ruch od lewej do prawej, wzdłuż stołu. Indyk od Armstronga, nadzienie od pani Armstrong, a potem dalej, by usiąść i zjeść. Łatwiej to ogarnąć wzrokowo.

- Zalety? - spytał Stuyvesant.

- Liczne - odparła Froelich. - Znacznie lepsza kontrola tłumy. Nikt nie zdoła wyciągnąć broni przed zbliżeniem się do Armstronga, bo cały czas ludzie będą przechodzić między agentami. Jeśli zaś zamachowiec zaczeka, aż znajdzie się dokładnie naprzeciw niego, obezwładni go czwórka agentów.

- Wady?

- Ograniczone. Z trzech stron będziemy osłonięci murem. Ale z przodu dziedziniec jest otwarty. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy mamy szereg pięcio-

piętrowych budynków. Stare magazyny. Okna zabite deskami, to plus. Ale będziemy musieli rozmieścić agentów na każdym dachu. Możemy się pożegnać z budżetem.

Stuyvesant skinął głową.

- Możemy to zrobić. Świetny plan.

- Pogoda już raz nam pomogła - przypomniała Froelich.

- Czy to typowy plan? - chciał wiedzieć Bannon. - Zwykle postępowanie Secret Service?

- Wolałabym tego nie komentować - odpowiedziała Froelich. - Secret Service nie ujawnia swoich procedur.

- Proszę o odrobinę współpracy - rzucił Bannon. - Wszyscy jedziemy na jednym wózku.

- Możesz mu powiedzieć - dodał Stuyvesant. - I tak tkwimy w tym już po uszy.

Froelich wzruszyła ramionami.

- W porządku - rzekła. - Tak, to dość typowy plan. W takich miejscach nie mamy zbyt dużego wyboru. A czemu pytasz?

- Bo sporo nad tym pracowaliśmy - wyjaśnił Bannon. - I dużo myśleliśmy.

- I? - naciskał Stuyvesant.

- Musimy uwzględnić cztery ważne czynniki. Po pierwsze, wszystko zaczęło się siedemnaście dni temu. Zgadza się?

Stuyvesant przytaknął.

- I komu zaszkodziło? - spytał Bannon. - To pierwsze pytanie. Po drugie, przypomnijcie sobie ową demonstrację, zabójstwa w Minnesocie i Kolorado. Jak was o nich powiadomiono? Oto drugie pytanie. Po trzecie, jakiej użyto broni? I po czwarte, jakim cudem ostatni list trafił na środek przedpokoju pani Froelich?

- Co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że wszystkie odpowiedzi wskazują w jednym kierunku.

- Jakim?

- Jaki jest cel tych listów?
- To groźby - odparła Froelich.
- Pod którym adresem?
- Armstronga oczywiście.
- Czyżby? Niektóre adresowano do was, niektóre do niego. Ale czy on w ogóle je widział? Nawet te adresowane wprost do niego? Czy w ogóle ma pojęcie o ich istnieniu?
- Nigdy nie mówimy osobom chronionym, to nasza polityka. Zawsze taka była.
- Zatem Armstrong się nie boi, prawda? Kto się boi?
- My.
- Czy zatem listy tak naprawdę miały zaszkodzić Armstrongowi, czy też służbom specjalnym Stanów Zjednoczonych? W prawdziwym, nie teoretycznym sensie tego słowa?

Froelich nie odpowiedziała.

- Dobra - mruknął Bannon. - A teraz zastanówcie się nad Minnesotą i Kolorado. Niesamowita demonstracja, nie łatwa do zorganizowania. Kimkolwiek są ci ludzie, strzelanie do człowieka wymaga nerwów, umiejętności, staranności i dokładnego przygotowania. To niełatwe, trzeba się do tego przygotować, podjąć rozważną decyzję. Oni ją podjęli, bo chcieli wam coś przekazać. A potem co zrobili? Jak was powiadomili? Czy powiedzieli, gdzie macie szukać?

- Nie.

- Właśnie - rzucił Bannon. - Zadali sobie tyle trudu, tak bardzo zaryzykowali, a potem nic nie zrobili. Po prostu czekali. Jasne, miejscowa policja przesłała raporty do NCIK, a komputery FBI przeszukały bazę danych, tak jak im każe program. Wyłapały słowo „Armstrong”, tak jak im każe program. A my wysłaliśmy wam dobre wieści.

- I co z tego?

- I co? Powiedzcie, jak wielu Johnów Smithów wie, że

coś takiego się wydarzy? Jak wielu zwykłych Johnów Smithów czekałoby bezczynnie, ryzykując, że ich pokazówka pozostanie niedostrzeżona, póki nie przeczytacie o niej w gazetach?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Kim oni są?

- Jakiej broni użyli?

- H&K MP5 SD6 i vaime Mk2 - odparł Reacher.

- To bardzo rzadka broń - przypomniał Bannon. - Nie da się jej kupić legalnie, bo jest wytłumiona. Mogą ją nabyć wyłącznie agencje rządowe, a tylko jedna agencja kupuje oba modele.

- My - powiedział cicho Stuyvesant.

- Tak, wy - przytaknął Bannon. - I wreszcie szukałem nazwiska pani Froelich w książce telefonicznej. I wiecie co? Nie ma jej tam. Numer zastrzeżony. Z pewnością też nie powiesiła nigdzie tabliczki: jestem szefową Secret Service i tu właśnie mieszkam. Skąd zatem ci ludzie wiedzieli, gdzie dostarczyć ostatni list?

W sali zapadła cisza.

- Znają mnie - powiedziała cicho Froelich.

Bannon przytaknął.

- Przykro mi, ale od tej pory FBI sprawdza pracowników Secret Service. Nie aktualnych, bo aktualni wiedzieliby o wczesnym przyjsciu listu z zapowiedzią demonstracji i zorganizowaliby ją dzień wcześniej. Skupiamy się zatem na osobach niedawno zwolnionych, które wciąż znają procedury. Ludziach, którzy wiedzieli, że nie powiecie Armstrongowi, znali panią Froelich. Znali też Nendicka, wiedzieli,

gdzie go znaleźć. Może musieli odejść ze służby i mają pretensje do Secret Service, nie do Brooka Armstronga. Bo nasza teoria głosi, że Armstrong to tylko środek, nie cel. Załatwią wiceprezydenta elekta po to, by wam dopiec. Dokładnie tak, jak załatwili pozostałych dwóch Armstrongów.

Odpowiedziała mu cisza.

- Jaki byłby motyw? - spytała w końcu Froelich.
Bannon się skrzywił.
- Rozgoryczeni byli pracownicy to chodzące, gadające, żyjące i oddychające motywy. Wszyscy to wiemy. Wszyscy mieliśmy z tym problemy.
- A odcisk kciuka? - wtrącił Stuyvesant. - Pobieramy odciski wszystkim naszym ludziom, zawsze to robiliśmy.
- Zakładamy, że mamy do czynienia z dwiema osobami. Według naszej oceny gość od odcisku kciuka to nieznaną współnik kogoś, kto kiedyś tu pracował, kto nosi lateksowe rękawiczki. Mówimy zatem „oni” wyłącznie dla wygody. Nie twierdzimy, że obaj tutaj pracowali. Nie sugerujemy, że macie dwóch renegatów.
- Tylko jednego.
- Taka jest nasza teoria - przytaknął Bannon. - Lecz określanie ich słowem „oni” ma sens, bo to zespół. Musimy ich traktować jako jednostkę, bo dzielą się informacjami. Mówię zatem, że choć tylko jeden z nich tu pracował, obaj znają wasze sekrety.
- To bardzo duży departament - zauważył Stuyvesant. - Sporo ludzi się zmienia. Niektórzy odchodzą, inni zostają zwolnieni, jeszcze inni przechodzą na emeryturę. Niektórych o to prosimy.
- Już sprawdzamy - oznajmił Bannon. - Departament Stanu przekazuje nam bezpośrednio listy personelu z ostatnich pięciu lat.
- To długie listy.
- Mamy dość ludzi.
Nikt się nie odezwał.
- Naprawdę mi przykro. Nikogo nie zachwyca wieść, że problem jest tak bliski. Ale to jedyny możliwy wniosek i niedobrze wróży dniom takim jak dzisiejszy. Ci ludzie są już w mieście, wiedzą dokładnie, jak myślicie i co robicie. Radzę zatem odwołać imprezę. A jeśli jej nie odwołacie, to radzę bardzo, bardzo uważać. Stuyvesant powoli skinął

głową.

- Będziemy uważać - rzekł. - Możesz na to liczyć.

- Moi ludzie zajmą miejsca dwie godziny przed czasem - oświadczył Bannon.

- Nasi będą na miejscu godzinę wcześniej - odparła Froelich.

Bannon uśmiechnął się lekko, z napięciem. Odsunął krzesło i wstał.

- W takim razie do zobaczenia - rzucił. Wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi, stanowczo, lecz cicho.

* * *

Stuyvesant zerknął na zegarek.

- I co?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem przeszli do recepcji napić się kawy. Wrócili do sali konferencyjnej i zajęli te same krzesła. Każde z nich patrzyło w miejsce zwolnione przez Bannona, jakby agent wciąż tam był.

- I co? - powtórzył Stuyvesant.

Nikt nie odpowiedział.

- To pewnie nieuniknione - podjął. - Nie mogą dowalić nam gościa od odcisków, ale ten drugi to „bez wątpienia jeden z nas”. W Budynku Hoovera mają prawdziwe święto. Śmieją się od ucha do ucha, umierają ze śmiechu.

- Ale czy to znaczy, że się mylą? - spytała Neagley.

- Nie - odparła Froelich. - Ci ludzie wiedzieli, gdzie mieszkam. Myślę więc, że Bannon ma rację.

Stuyvesant wzdrygnął się, jakby licytator zawołał właśnie: po raz pierwszy.

- A ty? - spytał Neagley.

- Troska o DNA na kopertach wskazywałaby na kogoś stąd - odparła Neagley. - Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju. Jeśli ci ludzie znają wasze procedury, to nie najlepiej zinterpretowali sytuację w Bismarck. Twierdzicie, że oczekiwali, iż policjanci ruszą w stronę podrzuconego karabinu, a Armstrong w stronę samochodów, przez co znalazłby

się w polu rażenia. Ale do tego nie doszło. Armstrong czekał pod osłoną, a samochody podjechały do niego.

Froelich pokręciła głową.

- Nie, obawiam się, że ich interpretacja była właściwa. W zwykłych okolicznościach Armstrong byłby na środku pola, pokazywał się ludziom, w samym centrum zamieszania. Na ogół nie każemy im się kryć na uboczu. To była zmiana wprowadzona w ostatniej chwili po to, by utrzymać go w pobliżu kościoła, pod wpływem Reachera. W zwykłych okolicznościach w żadnym razie nie pozwoliłabym limuzynie z napędem na tylne koła wjechać na trawę. Zbyt łatwo się zakopać. To podstawowa zasada. Ale wiedziałam, że ziemia jest sucha i twarda, praktycznie zamrznięta. Toteż improwizowałam. Ten manewr mógł całkowicie zaskoczyć kogoś z naszych. Nigdy nie oczekiwaliby czegoś podobnego. Nie wiedzieliby, jak zareagować.

Cisza.

- Zatem teoria Bannona jest bardzo prawdopodobna - oznajmiła Neagley. - Przykro mi.

Stuyvesant powoli skinął głową. Po raz drugi.

- Reacher? - spytał.

- Nie mogę się nie zgodzić.

Po raz trzeci. Głowa Stuyvesanta opadła, jakby opuściła go ostatnia nadzieja.

- Ale w to nie wierzę - dodał Reacher.

Stuyvesant wyprostował się gwałtownie.

- Cieszę się, że badają tę sprawę - dodał Reacher. - Bo uważam, że należy ją zbadać. Musimy wyeliminować wszystkie możliwości, a oni rzucą się na to jak szaleni. Jeśli mają rację, załatwią to za nas. Nie mamy się więc czym przejmować. Ale jestem niemal pewien, że tylko marnują czas.

- Czemu? - spytała Froelich.

- Bo jestem niemal pewien, że żaden z tych gości nigdy tu nie pracował.

- Kim zatem są?

- Uważam, że to ludzie z zewnątrz. Uważam, że są od dwóch do dziesięciu lat starsi niż sam Armstrong. Obaj wychowani i wykształceni na dalekiej prowincji, na wsi, gdzie szkoły są niezłe, ale podatki niskie.

- Co takiego?

- Pomyślcie o wszystkim, co mamy, wszystkim, co wiedzieliśmy. O najmniejszych drobiazgach.

- Powiedz nam - rzuciła Froelich.

Stuyvesant ponownie spojrzał na zegarek, pokręcił głową.

- Nie teraz - rzekł. - Musimy ruszać. Opowiesz nam później. Ale czy jesteś pewien?

- To ludzie z zewnątrz - powtórzył Reacher. — Gwarantuję. To pewne jak konstytucja.

13

W każdym mieście jest takie miejsce, w którym dobre dzielnice stają się złymi. Pod tym względem Waszyngton nie różni się od innych miast. Na planie granica ta zataczała nieregularną pętlę, od czasu do czasu przesuając się naprzód i obejmując odnowione kwartały, w innych miejscach cofając się gwałtownie. Gdzieniedzie przecinały ją uporządkowane korytarze, w innych miejscach przejście odbywało się swobodnie, niemal niedostrzeżalnie - są takie ulice, gdzie przy jednym końcu można kupić trzydzieści różnych odmian herbaty, a przy drugim zrealizować skradziony czek za trzydzieści procent jego wartości.

Schronisko wybrane na odwiedzinę Armstronga znajdowało się w połowie drogi w głąb strefy niczyjej, na północ od Union Station. Od strony wschodniej teren ogra-

niczały tory kolejowe i dworzec przetokowy, od zachodniej biegnąca podziemnym tunelem autostrada. Wokół wznosiły się niszczące budynki, część mieszkalnych, część zwykłych magazynów. Niektóre stały opuszczone, W innych wciąż mieszkali ludzie. Samo schronisko wyglądało dokładnie tak, jak opisała Froelich: długi, niski, parterowy, ceglany budynek z oknami w metalowych ramach, rozmieszczonymi w równych odstępach. Obok niego rozciągał się dziedziniec, dwukrotnie większy od schroniska, z trzech stron ograniczony wysokimi, ceglany murami. W żaden sposób nie dało się odszyfrować pierwotnego przeznaczenia budynku. Może w czasach, gdy towary z Union Station przewożono zaprzęgami konnymi, mieściły się tu stajnie. Może później, gdy minęła epoka koni, wyposażono go w nowe okna i odprawiano tu ciężarówki. Może w przeszłości urządzono tu biura. Trudno zgadnąć.

Co dzień w schronisku nocowało pięćdziesięciu bezdomnych. Personel budził ich wczesnym rankiem, podawał śniadanie i wypuszczał na ulicę. Następnie pięćdziesiąt prycz składano, chowano w magazynie, myto podłogę, w powietrzu rozpylano środki dezynfekcyjne. Miejsce łóżek zajmowały metalowe stoły i krzesła. Co dzień podawano tu lunch i obiad. Potem dokonywano drugiej zmiany i o dziewiątej wieczór jadalnia z powrotem stawała się noclegownią.

Ten dzień jednak wyglądał inaczej. Święto Dziękczynienia zawsze się wyróżnia, a w tym roku było jeszcze bardziej nietypowe. Pobudkę ogłoszono nieco wcześniej, śniadanie podano nieco szybciej. Bezdomni pół godziny wcześniej musieli opuścić schronisko. Nie byli tym zachwyceni, bo w Święto Dziękczynienia w miastach jest bardzo pusto, toteż nie da się użebrać zbyt wiele. Podłogę umyto dokładniej niż zazwyczaj, zwiększono też ilość środków odkażających. Stoły ustawiono starannie, krzesła równiej.

Przybyło też więcej niż zwykle wolontariuszy, ubranych w świeże białe bluzy z czerwonym logo darczyńców.

Pierwszymi agentami Secret Service, którzy zjawili się na miejscu, był dwuosobowy zespół obserwacyjny, wyposażony w bardzo szczegółowy plan miasta i lunetę celowniczą, zdjętą z karabinu snajperskiego. Jeden z agentów krok po kroku odtwarzał wszystkie zaplanowane poruszenia Armstronga. W każdym miejscu zatrzymywał się, obracał i mrużąc oczy, spoglądał przez lunetę, wymieniając wszystkie okna i dachy, które widział. Bo jeśli on widział dach bądź okno, potencjalny strzelec na owym dachu bądź w oknie widział też jego. Agent z mapą identyfikował kolejne budynki, sprawdzał skalę, obliczał odległość. Wszystko poniżej siedmiuset metrów zaznaczał na czarno.

Jednak miejsce wybrano doskonale. Jedyne dostępne kryjówkami dla snajperów pozostawały dachy opuszczonych pięciopiętrowych magazynów po drugiej stronie ulicy. Pod koniec na mapie widniało zaledwie pięć czarnych krzyżyków, nic więcej. Agent napisał: Sprawdzone lunetą przy dobrej pogodzie, godzina 8:45, wszystkie podejrzane miejsca zaznaczone. Obok na dole mapy zapisał datę i złożył podpis. Agent z lunetą podpisał się obok. Mapę zwinięto i położono z tyłu firmowego suburbana, czekającego na przyjazd Froelich.

Następnie na miejscu zjawili się konwój furgonetek policyjnych z pięcioma zespołami z psami. Jeden z nich sprawdził schronisko, dwa kolejne wkroczyły do magazynów. Ostatnie dwa specjalizowały się w wyszukiwaniu ładunków wybuchowych. Szybko sprawdziły otaczające schronisko ulice w promieniu czterystu metrów. Poza tą granicą labirynt ulic gęstniał, co oznaczało, że istnieje zbyt wiele potencjalnych dróg dojazdowych. Zamachowcy musieliby rozmieścić zbyt wiele bomb, a szanse powodzenia byłyby nieduże. Gdy tylko sprawdzono budynek bądź ulicę, na miejscu zjawiał się pieszy policjant. Niebo wciąż

było czyste, słońce wciąż świeciło, dając iluzję ciepła. Dzięki temu ludzie niezbyt nawet narzekali.

O 9:30 schronisko stanowiło epicentrum ponad pół kilometra kwadratowego zabezpieczonego terenu. Jego granic pilnowali policjanci - piesi i w radiowozach. Ponad pięćdziesięciu krążyło wewnątrz. W sumie mieli wyraźną przewagę liczebną nad miejscowymi. W mieście wciąż panowała cisza i spokój. Niektórzy mieszkańcy schroniska kręcili się w pobliżu. Nie mieli nic lepszego do roboty i z doświadczenia wiedzieli, że lepiej być z przodu niż z tyłu kolejki. Politycy nie umieją równo dzielić porcji i po pierwszych trzydziestu minutach nie będzie już czego zbierać.

Froelich zjawiła się na miejscu dokładnie o dziesiątej. Przyjechała suburbanem wraz z Reacherem i Neagley. Tuż za nimi identycznym wozem nadjechał Stuyvesant. Za nim podążały cztery furgonetki, wiozące pięciu strzelców wyborowych i piętnastu agentów. Froelich zaparkowała tuż pod ścianą magazynu. W zwykłych okolicznościach zablokowałyby ulicę za wejściem do schroniska, ale nie chciała zdradzać przechodniom, z której strony przyjedzie Armstrong. W istocie miał przyjechać z południa, lecz sama ta informacja i dziesięć minut przy mapie wystarczyłoby, by przewidzieć całą drogę jego konwoju z Georgetown.

Froelich zebrała swych ludzi na dziedzińcu, wysłała strzelców, by zabezpieczyli dachy. Oznaczało to, że znajdują się na dachach trzy godziny przed rozpoczęciem całej imprezy, ale dla nich było to zupełnie normalne. Zwykle zjawiali się pierwsi i odjeżdżali ostatni. Stuyvesant odciągnął na bok Reachera i poprosił, by poszedł z nimi na górę.

- Potem mnie znajdziesz - rzekł. - Chcę dostać raport z pierwszej ręki. Chcę wiedzieć, jak jest źle.

Toteż Reacher przeszedł przez ulicę z agentem nazwiskiem Crosetti. Ominęli policjanta i znaleźli się w wilgotnym holu, pełnym śmieci i szurzych bobków. Przed sobą wi-

dzieli schody wiodące na górę. Crosetti miał na sobie kewlarową kamizelkę, niósł też karabin w sztywnym futerale. Był bardzo wysportowany - na górze wyprzedzał już Reachera o kilkanaście stopni.

Schody kończyły się wewnątrz nadbudówki. Drewniane drzwi prowadziły wprost na zalany promieniami słońca płaski, wyłożony papą dach. Tu i ówdzie, między brudnymi świetlikami ze wzmocnionego drutem szkła i małymi metalowymi wieżyczkami osłaniającymi przewody wentylacyjne, leżały truchła gołębi. Dach okalał niski murek, zwieńczony zniszczonymi ozdobnymi kamieniami. Crosetti podszedł do krawędzi po lewej, potem po prawej, nawiązując kontakt wzrokowy z kolegami po obu stronach. Potem przeszedł na przód, sprawdzając widok. Reacher już tam stał.

Widok był jednocześnie dobry i zły. Dobry w typowym znaczeniu tego słowa, bo świeciło słońce, a oni znajdowali się pięć pięter nad nisko zabudowaną częścią miasta. Zły, ponieważ tuż pod nimi rozciągał się dziedziniec schroniska. Zupełnie jakby zaglądali do pudełka na buty z wysokości metra i metr po przekątnej. Dokładnie naprzeciwko widniał mur, pod którym miał stać Armstrong. Wzniesiony ze starych cegieł, przypominał ściany, pod którymi w zagranicznych więzieniach dokonuje się egzekucji. Trafienie stąd człowieka było łatwiejsze niż zastrzelenie ryby w beczce.

- Odległość? - spytał Reacher.

- Na ile ją oceniasz? - odpowiedział pytaniem Crosetti.

Reacher oparł kolana o krawędź dachu, spojrzał przed siebie i w dół.

- Dziewięćdziesiąt metrów.

Crosetti odpiął kieszeń kamizelki i wyjął dalmierz.

- Laserowy - mruknął. Włączył go, ustawił. - Dziewięćdziesiąt dwa do muru - rzekł. - Dziewięćdziesiąt jeden do jego głowy. Niezła ocena.

- Wiatr?

- Lekki prąd wznoszący z betonu pod nami - ocenił Crosetti. - I chyba nic więcej. Bułka z masłem.

- Praktycznie jakbyś stał obok niego - zauważył Reacher.

- Nie martw się - pocieszył Crosetti. - Póki ja tu będę, nikt inny nie przejdzie. Taką dziś mamy pracę. Jesteśmy wartownikami, nie strzelcami.

- Gdzie chcesz zająć pozycję? - spytał Reacher.

Crosetti rozejrzał się po swej niewielkiej posiadłości i wskazał ręką.

- Chyba tam - zdecydował. - W najdalszym narożniku. Twarzą równolegle do muru. Lekki zwrot w lewo i widzę dziedziniec, lekki zwrot w prawo i mam przed sobą klatkę schodową.

- Dobry plan - pochwalił Reacher. - Potrzebujesz czegoś?

Crosetti pokręcił głową.

- W porządku - rzekł Reacher. - Zostawię cię. Postaraj się nie zasnąć, dobra?

Crosetti się uśmiechnął.

- Zwykle się staram.

- To dobrze - uznał Reacher. - Lubię to u wartowników. Pokonał pięć pogrążonych w mroku ciągów schodów i znów znalazł się na słońcu. Przeszedł przez ulicę i uniósł głowę. Ujrzał Crosettiego przycupniętego wygodnie w zakątku dachu. Z dołu widać było jego głowę i kolana, a także lufę karabinu, sterczącą w górę na jasnym tle pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Pomachał ręką. Crosetti odpowiedział tym samym. Reacher ruszył dalej, znalazł Stuyvesanta na dziedzińcu. Trudno go było nie dostrzec, biorąc pod uwagę kolor swetra i jasne promienie słońca.

- Na górze wszystko w porządku - oznajmił Reacher. - Świetne miejsce do strzału, ale póki pilnują go wasi ludzie, jesteśmy tu bezpieczni.

Stuyvesant przytaknął, odwrócił się i powiódł wzrokiem

po dachach. Z dziedzińca widać było wszystkie pięć magazynów, na wszystkich czekali strzelcy wyborowi. Pięć ciemnych głów, pięć luf na tle nieba.

- Froelich cię szukała - powiedział Stuyvesant.

W pobliżu budynku personel i agenci ustawiali na miejscach długie drewniane stoły. Chodziło o to, by utworzyć z nich barierę, z prawej strony opartą o ścianę schroniska, z lewej odległą o metr od ogrodzenia. Za linią stołów pozostanie dwumetrowa przestrzeń, w której zajmą miejsca Armstrong, jego żona i czterech agentów mających tuż za sobą ścianę straceń. Z bliska mur nie wyglądał nawet tak źle. Stare cegły rozgrzane słońcem sprawiały rustykalne, przyjazne wrażenie. Reacher odwrócił się na pięcie i spojrział w górę na dachy. Crosetti pomachał mu ponownie, jakby mówił: jeszcze nie śpię.

- Reacher! - zawołała Froelich.

Spojrzał w jej stronę i ujrzał, jak wychodzi ze schroniska, kierując się ku niemu. W dłoni trzymała sztywny notatnik z przypiętym plikiem papierów. Była pobudzona, bardzo zajęta, władcza. Kontrolowała wszystko. Wyglądała świetnie. Czarny strój podkreślał szczupłą sylwetkę i sprawiał, że oczy płonęły błękitnym ogniem. Dziesiątki agentów i mnóstwo policjantów krążyło wokół niej, a ona miała każdego pod kontrolą.

- Idzie nam nieźle - oznajmiła. - Chcę więc, żebyś spacerował się po okolicy, sprawdził wszystko. Neagley już tam jest. Wiesz, czego szukać.

- To przyjemne uczucie, prawda? - spytał.

- Co takiego?

- Gdy robi się coś jak należy, przejmuje pałeczkę.

- Sądziś, że robię to jak należy?

- Jesteś najlepsza - rzekł. - Wszystko idzie super. Armstrong to szczęściarz.

- Mam nadzieję - odparła.

- Lepiej w to uwierz.

Froelich uśmiechnęła się szybko, nieśmiało, i ruszyła dalej, przeglądając papiery. Reacher skręcił w przeciwną stronę. Z powrotem wyszedł na ulicę, potem w prawo, planując trasę, która pozwoli mu okrążyć schronisko w promieniu paru przecznic.

Na rogu stali policjanci oraz grupka obdartych ludzi, czekających na darmowy lunch. Pięćdziesiąt metrów od schroniska na ulicy rozstawiała sprzęt ekipa telewizyjna. Uliczne maszty wystrzelały w górę, talerze satelitarne obracały się powoli, technicy rozwijali kable i dźwigali kamery. Dostrzegł Bannona wraz z szóstką mężczyzn i kobietą, zapewne grupą specjalną z FBI. Właśnie przyjechali. Bannon rozłożył na dachu samochodu mapę, jego agenci zebrali się wokół, patrząc na nią uważnie. Reacher pomachał mu, skręcił w lewo i minął wylot alejki prowadzącej na tyły magazynów. Przed sobą słyszał łoskot przejeżdżającego pociągu. Na końcu uliczki stał policjant, zrelaksowany, patrzący przed siebie. Obok parkował radiowóz, w środku siedział kolejny funkcjonariusz. Wszędzie roilo się od glin; wołał nie myśleć, ile wyniosą rachunki.

Tu i ówdzie widział zrujnowane sklepiki i warsztaty, wszystkie zamknięte z powodu święta. Między nimi dostrzegał kościoły, także zamknięte. W pobliżu torów pojawiły się warsztaty samochodowe, ciche i puste. Zgarbiony staruszek mył okno w lombardzie. Stanowił jedyny ruchomy element na całej ulicy. Jego sklep był wysoki i wąski. Tuż za wystawą ustawiono szerokie lady, uginające się pod ciężarem najprzeróżniejszych śmieci. Leżały na nich zegary, płaszcze, instrumenty muzyczne, radia z budzikiem, czapki i kapelusze, adaptory, radia samochodowe, lornetki, łańcuchy lampek choinkowych. Napisy na szybie głosiły, że w środku kupuje się każdy produkt ludzkich rąk. Jeśli tylko dany obiekt nie wyrósł sam z ziemi albo nie poruszał się samodzielnie, właściciel za niego

zapłaci. Proponował też usługi. Realizował czeki, oceniał biżuterię, naprawiał zegarki. Na ladzie wystawiono całą tacę zegarków, zwykle staroświeckich, nakręcanych, ze sterzącymi szkiełkami i wielkimi świecącymi w ciemnościach cyferkami oraz wskazówkami. Reacher raz jeszcze zerknął na szyld. Naprawa zegarków. Potem ponownie przyjrzał się staruszkowi, który właśnie zanurzył ręce w mydlinach.

- Naprawia pan zegarki? - spytał.

- A co pan ma? - odparł staruszek. Mówił z wyraźnym akcentem, najpewniej rosyjskim.

- Pytanie - odparł Reacher.

- Sądziłem, że ma pan zegarek do naprawy. Z początku tym się zajmowałem, zanim weszły kwarcowe.

- Przykro mi, mój zegarek chodzi dobrze - mruknął Reacher.

Uniósł mankiet, sprawdzając godzinę. Kwadrans po jedenastej.

- Mogę zobaczyć? - poprosił staruszek.

Reacher wyciągnął rękę.

- Bulova - mruknął tamten. - Amerykański, wojskowy, sprzed wojny w Zatoce. Dobry zegarek. Kupił go pan od żołnierza?

- Nie, sam byłem żołnierzem. Staruszek skinął głową.

- Ja też, w Armii Czerwonej. Jak brzmi pytanie?

- Słyszał pan kiedyś o skwaleniu?

- To smar.

- Używa go pan?

- Od czasu do czasu. Nie naprawiam już zbyt wielu zegarków, nie od czasu gdy weszły kwarcowe.

- Skąd go pan bierze?

- Żartuje pan?

- Nie - odparł Reacher - zadaję pytanie.

- Chce pan wiedzieć, skąd biorę mój skwalen?

- Do tego właśnie służą pytania. Do zdobywania infor-

macji.

Staruszek się uśmiechnął.

- Noszę go przy sobie.

- Gdzie?

- Patrzy pan na niego.

- Naprawdę? Staruszek przytaknął.

- A ja patrzę na pańskie.

- Moje co?

- Pańskie źródło skwalenu.

- Nie mam przy sobie skwalenu - zaprotestował Reacher.

- Otrzymuje się go z wątrób rekinów. Od bardzo dawna nie przebywałem w pobliżu rekina.

Stary mężczyzna pokręcił głową.

- Widzi pan, system radziecki często krytykowano i proszę mi wierzyć, zawsze chętnie mówiłem o nim prawdę. Ale przynajmniej zapewnialiśmy dobrą edukację, zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych.

- C trzydzieści, H pięćdziesiąt - oznajmił Reacher. - To węglowodór acykliczny. Po uwodornieniu zamienia się w skwalan, pisany przez „a”.

- Rozumie pan coś z tego?

- Nie - przyznał Reacher - niespecjalnie.

- Skwalen to olej - wyjaśnił staruszek. - W naturze występuje tylko w dwóch miejscach w znanej nam biosferze. Jedna to wnętrze wątroby rekina. Drugą jest łojowa wydzielina skóry otaczającej ludzki nos.

Reacher dotknął swego nosa.

- To to samo? Wątroby rekinów i ludzkie nosy?

Staruszek przytaknął.

- Identyczna struktura cząsteczkowa. Jeśli zatem potrzebuję skwalenu do nasmarowania zegarka, po prostu nabieram go czubkiem palca. O tak.

Otarł o nogawkę spodni mokrą dłoń, wyciągnął palec i zaczął nim pocierać w miejscu, gdzie nos łączy się z twarzą. Potem uniósł rękę i przyjrzał się opuszcze.

- Wystarczy teraz nasmarować zębatkę i działa jak złoto.

- Rozumiem - mruknął Reacher.

- Chce pan sprzedać bulowę? Reacher pokręcił głową.

- Ma dla mnie wartość sentymentalną.

- Z wojska? - spytał tamten. - Jest pan niekultuwny.

Wrócił do swego zajęcia, Reacher odszedł.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia! - zawołał. Staruszek nie odpowiedział.

Spotkali się z Neagley przecnicę od schroniska. Nadeszła właśnie z przeciwnej strony. Zawróciła i poszła wraz z nim, utrzymując stały dystans.

- Piękny dzień - powiedziała. - Prawda?

- Sam nie wiem - odparł.

- Jak ty byś to zrobił?

- Nie zrobiłbym. Nie tu, nie w Waszyngtonie. To ich podwórko. Zaczekałbym na lepszą sposobność.

- Ja też - mruknęła. - Ale nie udało im się w Bismarck. Wall Street za dziesięć dni nic im nie da. A potem zaczyna się grudzień, kolejne święta i wreszcie inauguracja. Zaczyna brakować okazji. No i wiemy, że są teraz w mieście.

Reacher nie odpowiedział. Minęli Bannona siedzącego w samochodzie.

* * *

Gdy znaleźli się z powrotem pod schroniskiem, była punkt dwunasta. Stuyvesant stał przy wejściu, pozdrowił ich ostrożnym skinieniem głowy. Na dziedzińcu wszystko było gotowe. Ustawiono już stoły i pokryto śnieżno-białymi, zwisającymi aż do ziemi obrusami. Na blatach ustawiono w szeregu podgrzewacze do jedzenia. Obok ułożono długie łyżki i chochelki. W zamykającej wąską przestrzeń ścianie otwierało się kuchenne okienko. Samo schronisko zamieniono w jadalnię. Policja rozstawiła blokady, tak by tłum skupiał się po lewej stronie dziedzińca. Następnie skręcał w prawo, przed stoły i znów w prawo,

wzdłuż ściany, do środka przez drzwi. Froelich przydziałała kolejno pozycje wszystkim agentom. Czterech miało czekać przy wejściu na dziedziniec. Sześciu ustawić się rzędem przy podejściu do stołów. Kolejni zabezpieczali oba końce stołów od zewnątrz. Trzech patrolowało wyjście.

- No dobra, słuchajcie - zawołała Froelich. - Pamiętajcie, bardzo łatwo sprawiać pozory bezdomnego, ale bardzo trudno wyglądać dokładnie jak bezdomny. Obserwujcie ich stopy, czy mają porządne buty. Patrzcie na dłonie. Chcemy widzieć rękawiczki albo stary brud. Patrzcie na twarze, muszą być wychudzone, z zapadniętymi policzkami. Chcemy widzieć brudne włosy, włosy niemyte od miesiąca bądź roku. Ubrania klejące się do ciała. Jakies pytania?

Nikt się nie odezwał.

- W razie wątpliwości najpierw działajcie, potem myślcie - dodała Froelich. - Ja będę podawać jedzenie razem z Armstrongami i osobistą ochroną. Polegamy na was. Liczymy, że nie przyślecie nam nikogo, kto się wam nie spodoba.

Spojrzała na zegarek.

- Pięć po dwunastej - oznajmiła. - Jeszcze pięćdziesiąt pięć minut.

Reacher precyzyjnie się z lewej strony stołów i stanął w wąskiej przestrzeni. Za sobą miał mur, po prawej mur, po lewej okna schroniska. Dalej po prawej podejście. Każdy człowiek, nim znajdzie się obok Armstronga, będzie musiał minąć czterech agentów przy wejściu i sześciu kolejnych. Dziesięć par podejrzliwych oczu. Przed sobą po lewej widział dalszy ciąg trasy. Trzech agentów czekało, by kierować ludzi do środka. Uniósł wzrok. Naprzeciwko wznosiły się magazyny. Pięciu wartowników na pięciu dachach. Crosetti pomachał. Reacher pozdrowił go gestem.

- W porządku? - spytała Froelich.

Stała naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu. Reacher się uśmiechnął.

- Skrzydełko czy nóżka? - spytał.

- My zjemy później - odparła. - Chcę, żebyście z Neagley kręcili się po dziedzińcu. Trzymaj się blisko zejścia, żeby wszystko widzieć.

- Dobra - odparł.

- Nadal sądzisz, że dobrze mi idzie?

Wskazał na lewo.

- Nie podobają mi się te okna - stwierdził. - Przypuść my, że ktoś przeczeka całą kolejkę, zachowa się jak należy, spuszczaając głowę, odbierze jedzenie, wejdzie do środka, usiądzie, a potem wyciągnie spluwę i zacznie strzelać przez okno.

Froelich skinęła głową.

- Już o tym pomyślałam - oznajmiła. - Ściągnę tu trzech gliniarzy z kordonu. Ustawię w oknach twarzami do środka.

- To powinno wystarczyć - powiedział. - Dobra robota.

- I wszyscy włożymy kamizelki - dodała. - Wszyscy za stołem, łącznie z Armstrongami. Ponownie spojrzała na zegarek.

- Czterdzieści pięć minut. Chodź ze mną - poprosiła.

Razem wyszli na dziedziniec, na drugą stronę ulicy, gdzie czekał jej suburban zaparkowany w głębokim cieniu magazynu. Froelich otworzyła bagażnik, uniosła klapę. Cień i przyciemnione szyby sprawiły, że wewnątrz panował mrok. W bagażniku leżał starannie ułożony sprzęt, lecz tylne siedzenie było puste.

- Moglibyśmy wsiąść na chwilę - podsunął Reacher. - No wiesz, trochę się zabawić.

- Nie moglibyśmy.

- Twierdziłaś, że zabawa w pracy jest podniecająca.

- Chodziło mi o biuro.

- To zaproszenie?

Przez chwilę nie odpowiadała, w końcu wyprostowała się z uśmiechem.

- Jasne - rzekła. - Czemu nie. Może mi się spodoba.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Jasne - powtórzyła. - Gdy tylko Armstrong będzie bezpieczny, zrobimy to na biurku Stuyvesanta, żeby uczcić sukces.

Nachyliła się, chwyciła kamizelkę, a potem ucałowała go w policzek. Następnie zawróciła i szybkim krokiem pomaszzerowała z powrotem. Reacher zatrzasnął bagażnik, a Froelich zamknęła go pilotem z odległości dziesięciu metrów.

* * *

Trzydzieści minut przed czasem nałożyła kamizelkę, z powrotem naciągnęła kurtkę i sprawdziła wszystko przez radio. Poinformowała dowódcę policji, że może zacząć przepuszczać ludzi do wejścia. Uprzedziła media, że mogą już przyjść i włączyć kamery. Piętnaście minut przed godziną zero ogłosiła, że Armstrongowie już jadą.

- Wystawiajcie jedzenie - zawołała.

Personel kuchenny wyroił się na zewnątrz. Kucharze zaczęli sprawnie podawać sobie przez okno kolejne naczynia. Reacher stanął pod ścianą schroniska tuż obok stołów, po stronie publicznej. Oparł plecy o cegły pomiędzy kuchennym okienkiem i pierwszym oknem jadalni. Z tego miejsca będzie miał widok wprost na kolejkę oczekujących. Lekki zwrot głowy w lewo pozwoli mu sprawdzić nadchodzących ludzi. Po prawej miał przestrzeń za stołami. Ludzie będą musieli go omijać, dźwigając talerze. Chciał ich widzieć z bliska. Neagley stała dwa metry dalej między koziółkami. Froelich nerwowo krążyła obok niej, po raz setny sprawdzając wszystkie szczegóły.

- Zaraz tu będą - powiedziała do mikrofonu na przegubie. - Kierowca twierdzi, że jeszcze dwie przecznice. Wy na dachu, widzicie ich?

Wysłuchiwała odpowiedzi w słuchawce.

- Dwie przecznice - powtórzyła.

Personel kuchenny skończył napełniać podgrzewacze i zniknął. Reacher nie widział konwoju, zasłaniały go mury. Słyszał jednak narastający szum potężnych silników, odgłos szerokich opon podjeżdżających szybko, gwałtownie zwalniających. Obok bramy przejechał radiowóz, potem suburban, wreszcie limuzyna cadillac, która zatrzymała się tuż obok. Jeden z agentów otworzył drzwi. Ze środka wysiadł Armstrong, odwrócił się, podał dłoń żonie. Kamerzyści ruszyli naprzód. Armstrongowie przez chwilę stali przy drzwiach limuzyny, uśmiechając się do kamer. Pani Armstrong była wysoką jasnowłosą kobietą, której przodkowie paręset lat temu przybyli wprost ze Skandynawii. Na sobie miała odprasowane dżinsy i grubą puchową kurtkę, o rozmiar za dużą, by pomieścić kamizelkę kuloodporną. Wylakierowane włosy otaczały jasną twarz. Widać było, że nie czuje się zbyt dobrze w dżinsach, jakby przywykła do innych strojów.

Armstrong także miał na sobie dżinsy, on jednak zachowywał się, jakby się w nich urodził. Do tego włożył czerwoną, kraciastą, ciasno zapiętą kurtkę, nieco zbyt małą, by ukryć przed okiem fachowca zarys kamizelki. Głowę miał gołą, włosy starannie zaczesane. Agenci z ochrony osobistej towarzyszyli im w drodze na dziedziniec. Kamery kręciły całą scenę. Członkowie ochrony byli ubrani podobnie jak Froelich: czarny dżins, czarne nylonowe kurtki, pod nimi kamizelki. Dwaj mieli na nosach okulary przeciwsłoneczne, jeden na głowie czarną czapkę. W uszach wszystkich tkwiły słuchawki, kurtki u pasa odstawały lekko, ukrywając kabury.

Froelich zaprowadziła ich do miejsca za stołami. Dwóch agentów zajęło pozycje po bokach. Stanęli z rękami splecionymi na piersiach i zaczęli obserwować tłum. Trzeci agent, Froelich i Armstrongowie mieli podawać posiłki.

Przez chwilę krążyli w środku, w końcu zajęli miejsca. Trzeci agent po lewej, następnie Armstrong, Froelich i żona Armstronga po prawej. Armstrong w jednej ręce trzymał chochelkę, w drugiej łyżkę. Sprawdził, czy obserwują go kamery i uniósł utensylia niczym broń.

- Szczęśliwego Święta Dziękczynienia - krzyknął.

Tłum ruszył powoli przez bramę. Bezdumni nie przypominali jednak gości na przyjęciu w hotelu. Byli spokojni, pokorni, poruszali się ospale, niewiele rozmawiali, nie gawędzili ze sobą. Większość dreptała ciężko, zakutana w liczne warstwy grubego odzienia. Niektórzy przepasali się sznurkami. Wszędzie widać było stare czapki, rękawiczki bez palców, spuszczone głowy. Każdy po kolei musiał lawirować w lewo, w prawo, w lewo, w prawo, pomiędzy sześcioma agentami. Pierwszy minął ostatniego z nich, odebrał od agenta plastikowy talerz i znalazł się pod ostrzałem promiennego uśmiechu Armstronga. Wiceprezydent elekt nałożył mu nóżkę indyka. Bezdumny ruszył naprzód. Froelich podała jarzyny, żona Armstronga nadzienie. A potem mężczyzna, szurając nogami, minął Reachera i skierował się do środka, by usiąść za stołem. Jedzenie pachniało apetycznie, on wręcz przeciwnie.

Wszystko szło gładko przez pięć minut. Każdy opróżniony pojemnik zjedzeniem natychmiast zastępowano pełnym, podanym przez okno z kuchni. Armstrong uśmiechał się, jakby świetnie się bawił. Kolejka bezdomnych posuwała się naprzód. Kamery kręciły. Na dziedzińcu słychać było jedynie brzęk metalowych sztućców uderzających o tace i wielokrotnie powtarzane banalne słowa serwujących indyka: smacznego, szczęśliwego Święta Dziękczynienia, dziękuję, że przyszedłeś.

Reacher zerknął na Neagley, która uniosła brwi. Spojrzał w górę na dachy, potem na Froelich manewrującą łyżką o długim trzonku, na wyraźnie znudzoną ekipę telewizyjną. Operatorzy kręcili całą godzinę; wiedzieli, że zоста-

nie z niej najwyżej ośmiosekundowa migawka ze sztam-powym komentarzem: „Wiceprezydent elekt podawał dziś w Waszyngtonie tradycyjny świąteczny posiłek w schro-nisku dla bezdomnych. A teraz wyniki meczów.”

W kolejce czekało wciąż trzydzieści osób, gdy to się stało.

Reacher poczuł, że coś uderza w ścianę nieopodal, coś ukuło go w prawy policzek. Kątem oka dostrzegł obłoczek kurzu otaczający niewielkie zagłębienie w murze. Niczego nie słyszał, absolutnie nic. W ułamek sekundy później mózg poinformował go: kula, tłumik. Spojrzał na kolejkę, nikt się nie ruszał. Gwałtownie uniósł głowę, obracając ją w lewo. Dach. Crosettiego nie było na posterunku. Nie, był, osiem metrów dalej, strzelał. To nie był Crosetti.

A potem Reacher zaczął walczyć z czasem, próbując po-ruszać się szybciej, niż pozwalało mu na to zwolnione, pa-niczne tempo. Odepchnął się od ściany, napełnił płuca po-wietrzem i odwrócił w stronę Froelich, powoli niczym czło-wiek biegnący przez basen. Jego usta otworzyły się i za-częły formować rozpaczliwe słowa. Próbował je wykrzy-czyć, ale ona okazała się szybsza. Krzyczała.

- Strzela-a-a-a-a-a-ja!

Obracała się w zwolnionym tempie, jej łyżka wleciała w powietrze, zataczając łuk nad stołem, połyskując w słoń-cu, rozsiewając wokół jedzenie. Froelich znajdowała się po lewej stronie Armstronga. Skoczyła ku niemu bokiem, unosząc gwałtownie lewą rękę, by go osłonić. Poruszała się niczym koszykarz próbujący wsadzić piłkę do kosza, z obrotem w powietrzu. Prawą dłonią oparła mu się o ramię i wykorzystwała ją jako dźwignię, pozwalając, by siła rozpędu obróciła ją twarzą do Armstronga. Uniosła kolana i wylądowała mu na piersi, tak że stracił oddech. Nogi ugię-ły mu się i zaczął upadać w tył, dokładnie w chwili, gdy drugi wytłumiony pocisk trafił ją w kark. Nadal nie towa-rzyszyl temu żaden dźwięk, absolutnie żaden - jedynie

jaskrawoczerwona mgielka krwi w blasku słońca, drobna niczym jesienna mżawka.

Przez chwilę obłok krwi wisiał w powietrzu - długa stożkowata chmura, różowa, połyskująca w słońcu. Chmura wydłużała się w miarę, jak Froelich padała na ziemię. Przeleciała przez nią wirująca łyżka. W powietrzu pozostał długi, wdzięczny, krwawy łuk. Froelich leżała na ziemi, ciągnąc za sobą smugę krwi niczym znak zapytania. Reacher odwrócił z trudem głowę, jakby przygniatał ją olbrzymi ciężar, i ujrzał kształt ramienia daleko na dachu, oddalający się, cofający. Nieskończenie powoli odwrócił się z powrotem, zobaczył mokrą różową strzałę krwi Froelich, wskazującą w dół na miejsce gdzieś poza stołami.

A potem czas znów ruszył z miejsca, jednocześnie zdarzyło się sto rzeczy naraz, wszystkie przyspieszone, wszystkie ogłuszająco głośne. Ochrona skoczyła na żonę Armstronga i pociągnęła ją na ziemię. Kobieta krzyczała głośno, rozpaczliwie. Agenci wyciągnęli broń i zaczęli ostrzeliwać dach magazynu. W tłumie rozległy się krzyki i zawodzenia.

Ludzie uciekali w panice, rozbiegali się, umykając przed ciężkim łoskotem potężnej broni. Reacher chwycił gwałtownie stół, odrzucił do tyłu i przecisnął się naprzód w stronę Froelich. Agenci wywlekali spod niej Armstronga. Na ulicy kolejno startowały silniki, piszczwały opony, słychać było strzały. W powietrzu wisiał dym. W dali odezwały się syreny. Armstrong zniknął z ziemi. Reacher padł na kolana w kałużę krwi obok Froelich i uniósł jej głowę w ramionach. Zniknęły wszystkie ślady gibkości. Froelich była całkowicie bezwładna i nieruchoma, jakby ktoś opróżnił jej ubranie. Ale oczy miała szeroko otwarte. Poruszały się wolno z boku na bok, jakby czegoś szukały.

- Nic mu nie jest? - szepnęła.

Głos miała bardzo cichy, lecz czujny.

- Bezpieczny - odparł Reacher. Wsunął dłoń pod jej szyję, poczuł kabel od słuchawki. I krew. Była zalana krwią,

pulsującą, więcej, tryskającą niczym ciepła potężna fontanna, całą mocą wewnętrznego ciśnienia. Wyciekała mu między zaciśniętymi palcami niczym woda z szerokiego kranu, który ktoś na zmianę odkręca i zakręca, odkręca i zakręca. Odrobinę uniósł jej głowę, pozwolił, by opadła, i ujrzał poszarpaną ranę wylotową po prawej stronie u podstawy gardła. Wypływała z niej krew, jak rzeka, powódź, krew tętnicza pospiesznie opuszczała ciało.

- Lekarza! - krzyknął.

Nikt go nie usłyszał. Jego głosowi brakowało siły, a hałas wokół był zbyt duży. Agenci wciąż ostrzeliwali dach magazynu. Słyszał nieustającą kanonadę, jego plecy zasypywały wypadające łuski, które odbijały się od ciała i lądowały na ziemi z cichym, metalicznym grzechotem.

- Powiedz mi, że to nie był jeden z nas - szepnęła Froelich.

- To nie był jeden z was - odparł Reacher.

Spuściła brodę na pierś, krew tryskała spomiędzy fałdów skóry, spływała na dół, mocząc koszulę. Zbierała się na ziemi i ściekała szczelinami w betonie. Reacher przycisnął mocno płaską dłoń do karku Froelich. Był mokry. Naparł jeszcze mocniej. Strumień krwi odpychał mu rękę, splukiwał ją. Jego dłoń ślizgała się w morzu wilgoci.

- Lekarza! - zawołał głośniejsze.

Wiedział jednak, że to nic nie da. Froelich na oko ważyła jakieś sześćdziesiąt kilo, co oznaczało, że miała w sobie jakieś cztery, cztery i pół litra krwi. Większość już straciła. Klęczał w niej. Serce Froelich robiło, co do niego należy, dzielnie uderzając raz po raz, wyrzucając bezcenną krew wprost na beton, na którym leżała.

- Lekarza! - wrzasnął.

Nikt sienie zjawił. Froelich spojrzała mu prosto w twarz.

- Pamiętasz? - szepnęła. Pochylił się niżej.

- Jak się poznaliśmy?

- Pamiętam - odparł.

Uśmiechnęła się słabo, jakby ta odpowiedź całkowicie ją usatysfakcjonowała. Była już bardzo blada. Otaczała ją krew, szybko poszerzająca się kałuża krwi, ciepła i lepka. Krew pieniała się jej na szyi, tętnice miała już puste, wypełniały się powietrzem. Oczy Froelich poruszyły się i skupiły na jego twarzy. Usta miała trupio blade, siniejące. Zatrzepotały bezgłośnie, uwalniając ostatnie słowa.

- Kocham cię, Joe - szepnęła. A potem uśmiechnęła się błogo.

- Ja też cię kocham - odparł Reacher.

Tulił ją jeszcze długą chwilę, aż wykrwawiła się i umarła mu w ramionach, mniej więcej w chwili, w której Stuyvesant polecił przerwać ogień. Wokół nagle zapadła ogłuszająca cisza. W powietrzu wisiała silna miedziana woń gorącej krwi i zimny, kwaśny smród prochu. Reacher uniósł wzrok, ujrzał operatora przepychającego się w jego stronę z kamerą wycelowaną niczym broń. Patrzył, jak Neagley zastępuje mu drogę. Operator ją popchnął. Zdawało się, że nie poruszyła nawet mięśniami, jednak mężczyzna runął nagle na ziemię. Widział, jak Neagley łapie kamerę i ciska nią wprost w ścianę straceń. Usłyszał łoskot, gdy sprzęt uderzył o mur. W oddali odezwała się syrena karetki, potem kolejna. Słyszał radiowozy, tupot stóp. Ujrzał obok swej twarzy odprasowane szare spodnie Stuyvesanta. Mężczyzna stał we krwi Froelich.

Stuyvesant nic nie zrobił, po prostu stał tam, jak się zdawało, przez bardzo długą chwilę. Karetka dotarła już na dziedziniec. Wówczas mężczyzna pochylił się, próbując odciągnąć Reachera. Reacher odczekał, aż zjawią się sanitariusze. Wówczas delikatnie złożył głowę Froelich na betonie. Wstał, chwiejąc się na nogach, ogłuszony. Miał mdłości. Stuyvesant chwycił go za łokieć i odprowadził na bok.

- Nie znałem nawet jej imienia - powiedział Reacher.

- Nazywała się Mary Ellen - poinformował go Stuyvesant.

Sanitariusze przez chwilę krzżeli się, potem zrezygnowali. Po prostu poddali się i okryli ją płachtą, pozostawiając ciało na miejscu, by mógł zbadać je patolog i zespół śledczy. Reacher potknął się, usiadł gwałtownie, plecami oparty o ścianę. Łokcie oparł na kolanach, głowę ukrył w dłoniach, cały ociekał krwią. Neagley siadła obok niego, parę centymetrów dalej. Stuyvesant przykucnął naprzeciwko.

- Co się dzieje? - spytał Reacher.

- Blokują miasto - odparł Stuyvesant. - Drogi, mosty, lotniska. Bannon wszystkim kieruje. Rozesłał swoich ludzi, policjantów, szeryfów federalnych, gliniarzy z Wirginii, policję stanową oraz część naszych ludzi. Złapiemy ich.

- Wybiorą kolej - rzekł Reacher. - Tuż obok jest Union Station.

Stuyvesant skinął głową.

- Przeszukują wszystkie pociągi. Złapiemy ich.

- Armstrongowi nic nie jest?

- Absolutnie nic. Froelich spełniła swój obowiązek.

Zapadła długa cisza. Reacher uniósł wzrok.

- Co się stało na dachu? - spytał. - Gdzie był Crosetti?

Stuyvesant odwrócił głowę.

- Musieli go jakoś zwabić - wyjaśnił. - Jest na klatce schodowej, nie żyje. Postrzał w głowę. Zapewne z tego samego wytłumionego karabinu.

Kolejna długa cisza.

- Skąd pochodził Crosetti? - spytał Reacher.

- Chyba z Nowego Jorku - odrzekł Stuyvesant. - Może z Jersey. Gdzieś tutaj.

- To na nic. Skąd była Froelich?

- Dziewczyna z Wyoming. Reacher przytaknął.

- To się nada. Gdzie jest teraz Armstrong?

- Nie mogę ci powiedzieć - oznajmił Stuyvesant. - Procedura.

Reacher podniósł rękę, przyjrzał się swej dłoni. Pokrywała ją krew, wypełniająca wszystkie linie, załamania i blizny.

- Powiedz mi - rzucił - albo skreć ci kark.

Stuyvesant milczał.

- Gdzie on jest? - powtórzył Reacher.

- W Białym Domu - powiedział w końcu Stuyvesant. -

W bezpiecznym pomieszczeniu. Tak każe procedura.

- Muszę z nim pomówić.

- Teraz?

- Natychmiast.

- Nie możesz.

Reacher spojrzał na bok na zwalone stoły.

- Mogę.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Spróbuj mnie powstrzymać.

Długą chwilę Stuyvesant milczał.

- Pozwól, że najpierw zadzwonię - mruknął w końcu.

Podniósł się niezgrabnie i odszedł.

- Nic ci nie jest? - spytała Neagley.

- Zupełnie jakby znów zginął Joe - odparł Reacher. -

I Molly Beth Gordon.

- Nic nie mogłeś poradzić.

- Widziałaś to?

Neagley skinęła głową.

- Zasłoniła go własnym ciałem. Mówiła, że to tylko takie powiedzenie.

- Instynkt - odparła Neagley. - No i miała pecha. Centymetr niżej i kula trafiłaby w kamizelkę. Odbiłaby się od niej jak nic.

- Widziałaś strzelca?

Neagley pokręciła głową.

- Patrzyłam przed siebie. A ty?

- Kątem oka - odparł Reacher. - Jeden mężczyzna.

- Fatalna sprawa - mruknęła Neagley.

Reacher przytaknął, wytarł obie strony dłoni w nogawki spodni. Potem przeczesał palcami włosy.

- Gdybym wystawiał polisy ubezpieczeniowe, omijał bym na kilometr wszystkich dawnych przyjaciół Joego. Powiedziałbym, żeby od razu popełnili samobójstwo, oszczędzając trudu przestępcom.

- I co teraz? Wzruszył ramionami.

- Ty powinnaś wracać do Chicago.

- A ty?

- Zamierzam tu zostać.

- Czemu?

- Wiesz czemu.

- FBI ich znajdzie.

- Nie, jeśli ja znajdę ich pierwszy.

- Podjąłeś już decyzję?

- Trzymałem ją, gdy wykrwawiała się na śmierć. Nie mogę tak po prostu odejść.

- Zatem ja też zostanę.

- Poradzę sobie sam.

- Wiem, że tak - odparła Neagley. - Ale lepiej ci będzie ze mną.

Reacher skinął głową.

- Co ci powiedziała? - spytała Neagley.

- Mnie nic. Sądziła, że jestem Joe.

Ujrzał Stuyvesanta zmierzającego ku nim przez dziedziniec. Oburącz oparł się o ścianę i podciągnął.

- Armstrong z nami porozmawia - poinformował go Stuyvesant. - Chcesz się najpierw przebrać?

Reacher spojrzał na swoje ubranie. Pokrywały je wielkie nieregularne plamy krwi Froelich, stygnącej, zasychającej i czerniejącej krwi.

- Nie - odparł. - Nie chcę się najpierw przebrać.

* * *

Skorzystali z suburbana, którym przyjechał Stuyvesant. Wciąż było Święto Dziękczynienia, w Waszyngtonie nadal

panował spokój. Niemal nie dostrzegali cywilów na ulicach. Praktycznie wszyscy krążący po nich ludzie i samochody należeli do służb państwowych. Na ulicach dojazdowych wokół Białego Domu ustawiono pospiesznie podwójny pierścień blokad policyjnych. Stuyvesant nie gasił koguta i bez problemu przepuszczono go przez wszystkie. Przy bramie Białego Domu pokazał legitymację. Zaparkował przed zachodnim skrzydłem. Wartownik z piechoty morskiej przekazał ich agentowi Secret Service, który zaprowadził gości do środka. Zeszli po dwóch ciągach stopni do sklepionej piwnicy zbudowanej z cegły. Mieściły się tu pomieszczenia pełne roślin oraz inne, zaopatrzone w stalowe drzwi. Eskortujący ich agent przystanął przed jednymi z nich i zapukał mocno.

Drzwi otworzył od wewnątrz jeden z osobistych ochroniarzy Armstronga. Wciąż miał na sobie kamizelkę kuloodporną i okulary przeciwsłoneczne, choć pokój pozbawiony był okien. Oświetlały go wyłącznie wbudowane w sufit mocne jarzeniówki. Armstrong i jego żona siedzieli razem przy stole pośrodku pomieszczenia. Pozostali dwaj agenci opierali się o ściany. W pokoju panowała cisza. Żona Armstronga niedawno płakała. Na jej twarzy pozostały ślady łez. Na policzku Armstronga widać było smugę krwi Froelich. Mężczyzna sprawiał wrażenie zdruzgotanego, jakby przygoda z Białym Domem nagle straciła dla niego cały urok.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał.

- Dwie ofiary śmiertelne - odparł cicho Stuyvesant. - Wartownik na dachu magazynu i sama M.E. Oboje zginęli na miejscu.

Żona Armstronga odwróciła głowę, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

- Złapaliście ludzi, którzy to zrobili? - zapytał Armstrong.

- FBI kieruje poszukiwaniami. To tylko kwestia czasu.

- Chcę pomóc - rzucił Armstrong.
- Pomoże pan - wtrącił Reacher.
- Co mogę zrobić?
- Może pan wydać oficjalne oświadczenie - oznajmił Reacher. - Natychmiast. Tak by sieci telewizyjne zdążyły je umieścić w wieczornych dziennikach.

- Co mam powiedzieć?
- Ma pan powiedzieć, że z szacunku dla pamięci dwójga nieżyjących agentów odwołuje pan wakacje w Dakocie Północnej. Ma pan powiedzieć, że zaszyje się pan w swym domu w Georgetown i pozostanie tam aż do dnia pogrzebu szefowej ochrony w jej rodzinnym mieście w stanie Wyoming, w niedzielę rano. Proszę dowiedzieć się, jak się nazywa miasto i wymienić tę nazwę, głośno i wyraźnie.

Armstrong ponownie skinął głową.

- W porządku - rzekł. - Chyba mogę to zrobić. Ale czemu?

- Bo nie spróbują więcej w Waszyngtonie. Nie przy ochronie, jaką będzie pan miał u siebie w domu. Wrócą do swej nory i zaczną czekać. Będę miał czas do niedzieli, by ich odnaleźć.

- Pan? A FBI ich dzisiaj nie znajdzie?
- Jeśli znajdzie, super. Wówczas będę mógł odejść.
- A jeśli nie?
- Wtedy sam ich znajdę.
- A jeżeli się panu nie uda?
- Nie przewiduję takiej możliwości. Ale gdyby jednak, zjawią się w Wyoming, by spróbować ponownie, na pogrzebie Froelich. A ja będę na nich czekał.

- Nie - wtrącił Stuyvesant - nie mogę na to pozwolić. Oszalałeś? Nie możemy zabezpieczyć takiej imprezy, dysponując zaledwie siedemdziesięcioma dwiema godzinami. I nie mogę użyć osoby chronionej jako przynęty.

- Nie będzie musiał tam jechać - odparł Reacher. - Prawdopodobnie w ogóle nie dojdzie do pogrzebu. Wystarczy,

żeby to powiedział.

Armstrong pokręcił głową.

- Nie mogę zapowiedzieć czegoś takiego, jeśli nie będzie pogrzebu. A jeśli pogrzeb się odbędzie, nie mogę powiedzieć, że wezmę w nim udział, a potem się tam nie zjawić.

- Jeśli chce pan pomóc, to właśnie musi pan zrobić.

Armstrong nie odpowiedział.

* * *

Zostawili Armstrongów w piwnicy zachodniego skrzydła i pod eskortą wrócili do suburbana. Słońce wciąż świeciło, niebo nadal było czyste i niebieskie, budynki białe i złociste. Piękny pogodny dzień.

- Zawieź nas z powrotem do motelu - poprosił Reacher.

- Chcę wziąć prysznic, a potem muszę się spotkać z Bannonem.

- Czemu? - spytał Stuyvesant.

- Bo jestem świadkiem - odparł Reacher. - Widziałem strzelca na dachu. Kawałek pleców, gdy się odsuwał.

- Masz opis?

- Niedokładnie - odparł Reacher. - Widziałem go tylko przez moment. Nie potrafiłbym go opisać, ale coś w jego sposobie poruszania się mnie uderzyło. Widziałem go już wcześniej.

14

Reacher ściągnął ubranie, sztywne, zimne i lepkie od krwi. Rzucił je na dno szafy. Wszedł do łazienki, odkręcił prysznic. Brodzik pod jego stopami zabarwił się czerwienią, potem różem, w końcu płynęła już tylko czysta woda. Dwukrotnie umył włosy, ogolił się starannie. Włożył kolejną koszulę Joego i jego garnitur. Aby uczcić Froelich, dołożył wojskowy krawat, który mu

kupiła. Potem wyszedł z pokoju.

Neagley czekała już w holu, ona także się przebrała. Nałożyła czarny kostium. Stara wojskowa zasada: w razie wątpliwości ubierać się oficjalnie. Nalała mu kawy. Rozmawiała z jednym z szeryfów. Byli nowi, zapewne dzienna zmiana.

- Stuyvesant właśnie wraca - poinformowała go. - Potem pojedziemy na spotkanie.

Reacher skinął głową. Szeryfowie w jego obecności milczeli, niemal z szacunkiem - nie wiedział, czy do niego, czy do Froelich.

- Paskudna sprawa - mruknął jeden z nich.

Reacher odwrócił wzrok.

- Tak, chyba tak - odparł. Potem spojrział wprost na rozmówcę. - Ale cóż, tak to już bywa.

Neagley uśmiechnęła się przelotnie. Stara wojskowa zasada: w razie wątpliwości udawaj, że nic się nie stało.

* * *

Stuyvesant zjawił się godzinę później. Zawiózł ich do Budynku Hoovera. Równowaga sił uległa zmianie. Zabójstwo agentów rządowych to przestępstwo federalne, toteż FBI przejęło sprawę. Teraz chodziło już tylko o pościg. Bannon wyszedł po nich do głównego holu i windą zawiózł do sali konferencyjnej. Wyglądała lepiej niż ta w Departamencie Skarbu - miała drewnianą boazerię i okna. Pośrodku ustawiono długi stół, a na nim szklanki i butelki wody mineralnej. Bannon zachowywał się podejrzanie demokratycznie, unikając miejsca u szczytu stołu. Bez słowa usiadł ciężko z boku. Neagley zajęła miejsce po tej samej stronie, dwa krzesła dalej. Reacher siadł naprzeciw niej, Stuyvesant trzy krzesła od Reachera. Bez pytania nalał sobie szklankę wody.

- Paskudny dzień - zaczął Bannon. - Moja agencja chciałaby przekazać waszej agencji najserdeczniejsze kondolencje.

- Nie znaleźliście ich - powiedział Stuyvesant.

- Mamy informacje od patologa - oznajmił Bannon. - Crosetti został zabity strzałem w głowę natowskim pociskiem 7,62. Zginął natychmiast. Froelich: postrzał z tyłu, w kark, z tej samej broni. Kula rozerwała jej tętnicę szyjną, ale pewnie już o tym wiecie.

- Nie znaleźliście ich - powtórzył Stuyvesant.

Bannon pokręcił głową.

- Jest Święto Dziękczynienia - rzekł. - Ma to plusy i minusy. Główny minus jest taki, że brak nam personelu. Wam także. I policji, i wszystkim innym. Główny plus: w mieście także było pusto. W sumie z nawiązką równoważyło to nasze braki w ludziach. W ciągu pięciu minut zyskaliśmy przewagę w całym mieście.

- Ale ich nie znaleźliście.

Bannon ponownie pokręcił głową.

- Nie - przyznał - nie znaleźliśmy. Oczywiście wciąż szukamy, ale bądźmy realistami. Musimy zakładać, że są już poza Dystryktem Columbii.

- Super - mruknął Stuyvesant.

Bannon się skrzywił.

- Też nie skaczemy z radości, ale ochrzaniecie nas niczego nie zmieni. Ponieważ odpowiemy tym samym. Ktoś przedostał się przez kordon - wasz kordon. Ktoś zmylił waszego człowieka na dachu. - Mówiąc to, patrzył wprost na Stuyvesanta.

- Zapłóciliśmy za to - odrzekł Stuyvesant. - Z nawiązką.

- Jak to się stało? - spytała Neagley. - Jak się tam dostali?

- Nie od frontu - odparł Bannon. - Front obserwowało całe mnóstwo gliniarzy. Niczego nie widzieli, a z pewnością nie zasnęli jednocześnie wszyscy w krytycznej chwili. Z tyłu też nie. Ulicy po obu stronach pilnowało po dwóch policjantów, pieszo i w radiowozie. Cała czwórka twierdzi, że nikogo nie widziała, i wierzymy im. Uważamy zatem, że sprawcy dostali się do budynku przecznicę dalej.

Przeszli przez budynki, tylnymi drzwiami w alejkę, przebiegli trzy metry, weszli z tyłu magazynu i wspięli się po schodach. Bez wątpienia wydostali się tą samą drogą. Ale wtedy pewnie już biegli.

- Jakim cudem odciągnęli Crosettiego? - spytał Stuyvesant. - To był dobry agent.

- Owszem - potwierdził Reacher. - Podobał mi się.

Bannon ponownie wzruszył ramionami.

- Zawsze jest jakiś sposób.

Potem rozejrzał się po sali, jak wtedy gdy chciał, by słuchacze zrozumieli, że w jego słowach kryje się coś więcej. Nikt nie odpowiedział.

- Sprawdziliście pociągi? - spytał Reacher.

Bannon skinął głową.

- Bardzo dokładnie. Było sporo ludzi, wyjeżdżali na rodzinne kolacje. Ale sprawdziliśmy wszystko gruntownie.

- Znaleźliście karabin?

Bannon jedynie pokręcił głową. Reacher patrzył na niego ze zdumieniem.

- Uciekli wam, mając przy sobie karabin?

Nikt się nie odezwał. Bannon popatrzył na Reachera.

- Widziałeś strzelca - rzekł.

Reacher przytaknął.

- Najwyżej przez ćwierć sekundy, samą sylwetkę, właśnie się oddalał.

- I twierdzisz, że widziałeś go już wcześniej.

- Ale nie wiem gdzie.

- Super - mruknął Bannon.

- Było coś znajomego w jego sposobie poruszania się, postawie, może ubraniu. Nie mogę tego określić. Mam na końcu języka, jak refren znanej piosenki.

- Czy to ten gość z taśmy w garażu?

- Nie.

Bannon przytaknął.

- To zresztą nie ma znaczenia. Całkiem logiczne, że już

go widziałeś. Byłeś przecież w tym samym miejscu o tej samej porze w Bismarck, może jeszcze gdzie indziej. Wiemy przecież, że oni cię widzieli, bo zadzwonili. Miło jednak byłoby poznać twarz i nazwisko.

- Dam wam znać - obiecał Reacher.

- Podtrzymujecie swoją teorię? - spytał Stuyvesant.

- Tak - odparł Bannon. - Nadal szukamy byłych pracowników Secret Service. Dzisiejsze wydarzenia jeszcze potwierdzają to założenie. Bo uważamy, że to dlatego Crosetti zszedł ze stanowiska. Zobaczył kogoś, kogo znał i komu ufał.

* * *

Pojechali niecały kilometr na zachód Pennsylvania Avenue, zaparkowali w garażu i windą wjechali do sali konferencyjnej Secret Service. Reacher przez całą drogę boleśnie odczuwał nieobecność Froelich.

- Paskudna sprawa - powiedział Stuyvesant. - Nigdy wcześniej nie straciłem agenta. Dwadzieścia pięć lat służby. A teraz w ciągu jednego dnia dwoje. Bardzo chcę dorwać tych drani.

- Oni już nie żyją - odparł Reacher.

- Wszystkie dowody świadczą przeciw nam - przypomniał Stuyvesant.

- Co zatem twierdzisz? Nie chcesz ich dopaść, jeśli to wasi ludzie?

- Nie chcę, żeby to byli nasi ludzie.

- Nie sędzę, by nimi byli - odrzekł Reacher. - Ale tak czy inaczej, już nie żyją. Wyjaśnijmy to sobie od razu. Przekroczyli tyle granic, że nie chce mi się już nawet liczyć.

- Nie chcę, by to byli nasi - powtórzył Stuyvesant. - Ale obawiam się, że Bannon może mieć rację.

- Albo, albo - powiedział Reacher. - To wszystko. Albo ma rację, albo się myli. Jeśli ma rację, wkrótce się dowiemy, bo wypruje sobie żyły, żeby nam pokazać. Problem w

tym, że nie dopuszcza do siebie myśli, iż mógłby się mylić. Za bardzo mu zależy, by mieć rację.

- Powiedz mi, że się myli.

- Tak uważam. A jeśli nawet ja nie mam racji, nic nie szkodzi, bo Bannon sprawdzi wszystko, tego możemy być pewni. Nie potrzebuje naszej pomocy. Nam pozostaje sprawdzenie tego, czego on nie dostrzega. A uważam, że i tak od tego właśnie powinniśmy zacząć.

- Po prostu powiedz mi, że się myli.

- Cała jego teoria przypomina wielką odwróconą piramidę, ustawioną na czubku. Imponująca, póki się nie zawali. Całe rozumowanie oparł na fakcie, że nie poinformowaliście Armstronga. Ale brak w tym logiki. Może tym ludziom chodzi właśnie o Armstronga, może po prostu nie wiedzieli, że mu nie powiecie.

Stuyvesant przytaknął.

- Mógłbym to kupić - rzekł. - Bóg jeden wie, jak bardzo bym chciał. Ale pozostaje jeszcze NCIK. Bannon miał tu rację. Gdyby byli spoza naszego kręgu, powiadomiliby nas o Minnesocie i Kolorado. Musimy się z tym pogodzić.

- Broń także wygląda przekonująco - wtrąciła Neagley.
- I adres Froelich.

Reacher skinął głową.

- Prawdę mówiąc odcisk kciuka też. Jeśli naprawdę mamy ochotę się zdołować, powinniśmy uwzględnić teorię, że może ci ludzie wiedzieli, że nie znajdziemy go w bazach danych. Może sami sprawdzili to wcześniej.

- Świetnie - westchnął Stuyvesant.

- Ale nadal w to nie wierzę - dodał Reacher.

- Czemu nie?

- Przynieś ich listy i przyjrzyj im się dokładnie.

Stuyvesant odczekał sekundę, potem powoli wstał i wyszedł z sali. Wrócił trzy minuty później, w dłoni niósł teczkę. Otworzył ją i ułożył pośrodku stołu w równym rzędzie sześć oficjalnych fotografii FBI. Wciąż miał na sobie ró-

żowy sweter, jaskrawa plama koloru odbijała się w błyszczących powierzchniach zdjęć. Neagley obeszała stół. Cała trójka usiadła obok siebie, by móc bez trudu odczytać kolejne wiadomości.

- W porządku - polecił Reacher. - Przyjrzyjcie im się, absolutnie wszystkiemu. I pamiętajcie, czemu to robicie. Dla Froelich.

Rząd zdjęć miał ponad metr długości, musieli wstać i przesunąć się na lewo, by obejrzeć wszystkie.

Czeka cię śmierć.

Wice-prezydenta elekta Armstronga czeka śmierć.

Dzień, w którym umrze Armstrong, zbliża się niechybnie.

Jutro zostanie przeprowadzona demonstracja waszej nieskuteczności.

Podobała się wam nasza demonstracja?

To zdarzy się już wkrótce.

- I co? - spytał Stuyvesant.

- Przyjrzyjcie się trzeciej wiadomości - powiedział Reacher. - „Niechybnie” napisali prawidłowo.

- I co?

- To trudne słowo. Mnóstwo ludzi napisałoby je źle, ale nie oni. Na końcu każdego zdania jest też kropka albo znak zapytania.

- I co?

- To zdradza pewne wykształcenie.

- Zgoda.

- Teraz spójrzcie na trzeci list.

- Co z nim?

- Neagley? - spytał Reacher.

- Jest nieco wydumany - odparła. - Brzmi staroświecko, to „zbliża się niechybnie”.

- Zgadza się - przytaknął Reacher. - Wygląda nieco archaicznie.

- Ale czego to wszystko dowodzi? - chciał wiedzieć Stuyvesant.

- Tak naprawdę niczego - stwierdził Reacher. - Ale sporo sugeruje. Czytałeś kiedyś konstytucję?

- Czego? Stanów Zjednoczonych?

- Jasne.

- Chyba tak, dawno, dawno temu.

- Ja też - dodał Reacher. - Jedna ze szkół, do których chodziłem, podarowała nam po egzemplarzu. To była cienka książeczka w grubej, kartonowej oprawie. Po zamknięciu bardzo wąska, krawędzie miała twarde. Tłukliśmy się nimi po zajęciach, cholernie bolało.

- I co z tego?

- To dokument prawniczy. Oczywiście również historyczny, jasne, ale przede wszystkim prawniczy. Gdy zatem ktoś ją drukuje, nie może niczego zmieniać, musi odtworzyć wszystko słowo po słowie. W przeciwnym razie jego wersja będzie nieważna. Nie może unowocześnić języka, niczego poprawić.

- Oczywiście.

- Pierwsze części pochodzą z tysiąc siedemset osiemdziesiątego siódmego. Ostatnia poprawka w moim egzemplarzu to dwudziesta szósta z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego, obniżająca minimalny wiek wyborczy do osiemnastu lat. Przestrzeń stu osiemdziesięciu czterech lat. A wszystko odtworzone dokładnie tak, jak to kiedyś zapisano.

- I co z tego?

- Zapamiętałem jedną rzecz. W pierwszej części „vice prezydent” pisany jest razem, bez dywizu między dwoma członami, tak samo w ostatniej, bez dywizu. Ale w częściach środkowych pojawia się dywiz. „Wice-prezydent”, z dywizem pomiędzy słowami. Widać więc wyraźnie, że od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku do jakichś trzydziestych dwudziestego uważano to za prawidłową pisownię.

- Ci ludzie użyli dywizu - powiedział Stuyvesant.

- Zgadza się - potwierdził Reacher. - W drugim liście. -
I co to znaczy?

- Dwie rzeczy - podjął Reacher. - Wiemy, że uważali w szkole, bo nie robią błędów. Oznacza to zatem, że chodzili do szkoły w miejscu, gdzie korzystano ze starych podręczników, starych, przestarzałych książek. To częściowo tłumaczy archaiczne brzmienie trzeciego listu. Dlatego założyłem, że mogą pochodzić z biednej prowincji, miejsca gdzie płaci się niskie podatki na szkolnictwo. Po drugie znaczy to, że nigdy nie pracowali w Secret Service, bo wy dosłownie toniecie w papierach. Nigdy w życiu nie widziałem tyłu dokumentów, nawet w wojsku. Każdy z waszych ludzi w ciągu swej pracy zapisywał słowo „wiceprezydent” chyba z milion razy i pisał to prawidłowo, bez dywizu. To dla niego odruch.

Na moment w sali zapadła cisza.

- Może list napisał ten drugi? - podsunął Stuyvesant. - Ten, który tu nie pracował, ten od odcisku palca.

- Żadna różnica - odparł Reacher. - Tak jak mówił Bannon, to zespół, współpracują ze sobą. W dodatku są perfekcjonistami. Jeśli jeden z nich napisałby to źle, drugi z pewnością by go poprawił. Ale nie poprawił. Czyli żaden nie wiedział, że to błąd. A to znaczy, że żaden tu nie pracował.

Stuyvesant milczał przez długą chwilę.

- Chcę w to uwierzyć - rzekł wreszcie. - Ale opierasz całą swą hipotezę na jednym dywizie.

- Nie lekceważ go.

- Nie lekceważę - przyznał Stuyvesant. - Po prostu głośno myślę.

- Zastanawiasz się, czy zwariowałem?

- Zastanawiam się, czy mogę sobie pozwolić na poparcie takiej teorii.

- W tym właśnie urok sytuacji - stwierdził Reacher. - Nieważne, czy się mylę, czy nie, bo alternatywny scena-

riusz przerabia FBI.

- Może napisali tak rozmyślnie - podsunęła Neagley. - Może chcieli nas zmylić, próbowali zamaskować swoje pochodzenie albo wykształcenie, podsunąć fałszywy trop?

Reacher pokręcił głową.

- Wątpię - rzucił. - To zbyt subtelne. Postąpiliby tak, jak to się zwykle robi. Poważne błędy pisowni, interpunkcji. Dywiz pomiędzy „vice” i „prezydent” to coś, czego się nie dostrzega, po prostu wstawia odruchowo bądź nie.

- Co dokładnie to sugeruje? - spytał Stuyvesant.

- Krytycznym czynnikiem jest wiek - oznajmił Reacher. - Nie mogą być mocno po pięćdziesiątce, bo to, co robią, wymaga dużego wysiłku. Wspinają się po drabinach, zbiegają po schodach. Nie mogą też mieć mniej niż sporo po czterdzieście, bo konstytucję czyta się w liceum, a z pewnością do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego każda szkoła w Ameryce zaopatrzyła się w nowe książki. Przypuszczam, że obaj uczęszczali do liceum pod koniec okresu, gdy wiejskie szkoły wciąż posługiwały się przestarzałymi podręcznikami i sprzętem. No wiecie, jednoizbowa szkoła, pięćdziesięcioletnie książki, przestarzałe mapy na ścianach, uczniowie siedzą w ławkach w otoczeniu kuzynów, słuchając wykładu siwowłosej nauczycielki.

- To wszystko tylko domysły - wtrącił Stuyvesant. To także piramida balansująca na czubku. Wygląda świetnie, póki się nie zawali.

Odpowiedziała mu cisza.

- Mimo wszystko mam zamiar ją zbadać - oznajmił w końcu Reacher. - Z Armstrongiem lub bez niego, z tobą lub bez ciebie. Jeśli trzeba sam, dla Froelich. Zastużyła na to.

Stuyvesant skinął głową.

- Jeśli żaden z nich dla nas nie pracował, skąd wiedzieli, że FBI przeanalizuje wszystkie raporty z NCIK?

- Nie wiem - odparł Reacher.

- Jakim cudem zabili Crosettiego?

- Nie wiem.
- Jak zdobyli naszą broń?
- Nie wiem.
- Skąd wiedzieli, gdzie mieszka M.E.?
- Nendick im powiedział. Stuyvesant skinął głową.
- W porządku. Ale jaki mogą mieć motyw?
- Wrogość wobec Armstronga. Polityk musi mieć mnóstwo wrogów.

Znów cisza.

- Może jedno i drugie - podsunęła Neagley. - Może to ludzie z zewnątrz żywiący niechęć do Secret Service, odrzuceni kandydaci, którzy naprawdę chcieli tu pracować. Może to jacyś maniacy broni, hobbyści wiedzący o istnieniu NCIK, znający wasze uzbrojenie.

- To możliwe - przyznał Stuyvesant. - Odrzucamy wielu kandydatów. Niektórzy są z tego powodu bardzo niezadowoleni. Może masz rację?

- Nie - wtrącił Reacher. - Nie ma racji. Po co mieliby czekać? Nadal upieram się przy mojej ocenie wieku. Żaden pięćdziesięciolatek nie zgłasza się do pracy w Secret Service. Jeżeli ich odrzuciliście, było to dwadzieścia pięć lat temu. Czemu mieliby czekać tak długo?

- Dobre pytanie - mruknął Stuyvesant.

- Tu chodzi o Armstronga, właśnie o niego - dodał Reacher. - Tak musi być. Zastanówcie się nad kwestią czasu, przyczyny i skutku. Armstrong latem wystartował w kampanii, wcześniej nikt nawet o nim nie słyszał. Sama Froelich mi to powiedziała. Teraz nagle dostajemy pogroźki. Czemu teraz? Z powodu czegoś, co zrobił podczas kampanii. Ot co.

Stuyvesant spuścił wzrok i wpatrywał się w blat. Ułożył ręce płasko na stole i poruszał nimi, zataczając niewielkie kręgi, jakby chciał wygładzić pomarszczony obrus. Po chwili pochylił się, wsunął pierwszy list pod drugi, następnie oba pod trzeci i tak dalej, aż uzyskał równy stosik pa-

pierów. Wetknął pod nie teczkę i zaniknął ją.

- Dobra, oto co zrobimy - rzekł. - Przekażemy teorię Neagley Bannonowi. Ktoś, kogo nie chcieliśmy zatrudnić, należy w zasadzie do tej samej kategorii co ktoś, kogo wywaliliśmy. Poziom pretensji jest mniej więcej podobny. FBI może się tym zająć. My mamy dokumentację, oni odpowiednich ludzi. Prawdopodobieństwo wskazuje, że mogą mieć rację. Ale nie możemy niczego zaniedbać, musimy rozważyć alternatywę. To, że mogą się mylić. Toteż sami poświęcimy ten czas sprawdzaniu teorii Reachera. Bo musimy coś zrobić dla Froelich, pomijając inne względy. Od czego zaczniemy?

- Od Armstronga - odparł Reacher. - Musimy ustalić, kto go nienawidzi i dlaczego.

* * *

Stuyvesant zadzwonił do pracownika biura badawczego i polecił mu natychmiast stawić się w firmie. Pracownik odparł błagalnie, że je właśnie obiad świąteczny z rodziną. Stuyvesant zlitował się i dał mu dwie godziny. Potem pojechał z powrotem do Budynku Hoovera, aby spotkać się z Bannonem. Reacher i Neagley czekali w recepcji. Stał tam telewizor. Reacher chciał sprawdzić, czy Armstrong dotrzymał słowa. Od najbliższego dziennika dzieliło ich pół godziny.

- Jak się trzymasz? - spytała Neagley

- Czuję się dziwnie - odparł Reacher. - Jakbym był dwiema osobami. Pod koniec myślała, że jestem Joe.

- Co Joe zrobiłby w takiej sytuacji?

- Prawdopodobnie to samo co ja.

- Zatem rób to - powiedziała Neagley. - Jeśli o nią chodzi, zawsze byłeś Joem. Równie dobrze możesz zamknąć krąg.

Nie odpowiedział.

- Przymknij oczy - poleciła Neagley. - Oczyść umysł. Musisz się skupić na strzelcu.

Reacher pokręcił głową.

- Jeśli się na nim skupię, do niczego nie dojdę.

- To pomyśl o czymś innym. Udawaj, że patrzysz gdzie indziej. Może na następny dach.

Zamknął oczy, ujrzał krawędź dachu rysującą się ostro w blasku słońca. Ujrzał niebo, jasne, wyblakłe. Zimowe niebo, ślad mroźnej mgiełki. Patrzył w górę, przypomniał sobie dźwięki, które słyszał. Praktycznie brak głosów dobiegających z tłumu, szcęk sztućców, Froelich mówiąca: „Dziękuję, że pan przyszedł”. Panią Armstrong mówiącą: „Smacznego”, nerwowo, jakby sama nie wiedziała, w co się wpakowała. A potem usłyszał miękkie „łup”: pierwszy wytłumiony pocisk uderzył w mur. Kiepski strzał, chybił Armstronga o ponad metr. Prawdopodobnie oddany w pośpiechu. Facet wbiega po schodach, staje w drzwiach, woła cicho Crosettiego. A Crosetti odpowiada. Sprawca czeka, aż Crosetti podejdzie bliżej, może cofa się na klatkę. Crosetti podchodzi i ginie. Ściany nadbudówki tłumią hałas. Sprawca przeskakuje nad ciałem, podbiega zgarbiony wprost do krawędzi dachu, klęka i strzela pospiesznie. Zbyt szybko, zanim zdołał się uspokoić. Toteż chybia o metr. Kula uderza o cegłę, jej odprysk trafia Reachera w policzek. Sprawca reperuje, celuje staranniej, szykując się do drugiego strzału. Otworzył oczy.

- Chcę, żebyś zastanowiła się nad tym jak - rzekł.

- Jak co, dokładnie? - spytała Neagley.

- Jak zdołali odciągnąć Crosettiego z posterunku. Chcę wiedzieć, jak to zrobili.

Przez chwilę Neagley milczała.

- Obawiam się, że teoria Bannona pasuje tu najlepiej - powiedziała w końcu. - Crosetti uniósł wzrok, ujrzał kogoś, kogo poznał.

- Załóżmy, że nie - powiedział Reacher. - Jak inaczej?

- Zastanowię się nad tym. Ty myśl o strzelcu.

Reacher ponownie zamknął oczy. Spojrzał na sąsiedni

dach, następnie na stoły. Froelich. Ostatnia minuta jej życia. Przypomnił sobie tryskającą krew i swą natychmiastową, instynktowną reakcję. Groźny ostrzał. Źródło? Uniósł głowę i ujrzał... Co? Krzywiznę pleców bądź ramienia, poruszała się. Kształt i ruch zlewały się w jedno.

- Jego płaszcz - oznajmił. - To, jak układał się na ciele i poruszał z każdym krokiem.

- Widziałeś już ten płaszcz?

- Tak.

- Kolor?

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy w ogóle miał jakiś kolor.

- Faktura?

- Faktura jest ważna, nie był gruby ani cienki.

- Prążkowany?

Reacher pokręcił głową.

- To nie płaszcz, który widzieliśmy na taśmie z garażu, nie ten człowiek. Ten był wyższy i szczuplejszy. Długi korpus sprawiał, że płaszcz opadał miękko. Chyba też był długi.

- Widziałeś tylko jego ramię.

- Poruszał się jak długi płaszcz.

- Jak dokładnie?

- Energicznie, jakby właściciel biegł szybko.

- Bo pewnie biegł. Przypuszczał, że właśnie zabił Armstronga.

- Nie, jakby zawsze poruszał się energicznie. Był władczy, zdecydowany.

- Wiek?

- Starszy od nas.

- Budowa?

- Średnia.

- Włosy?

- Nie pamiętam.

Cały czas nie otwierał oczu, szukając w pamięci płasz-

cza. Długi płaszcz, nie gruby, nie cienki. Pozwolił wędrować myślom, ale te nieodmiennie powracały do sklepu w Atlantic City. Widział siebie, jak stoi przed wieszakiem z różnorodnymi okryciami. Pięć minut po podjęciu głupiej, przypadkowej decyzji, która sprawiła, że nie siedział w tej chwili w spokojnym, cichym pokoju samotnego motelu w La Jolla w stanie Kalifornia.

* * *

Dwadzieścia minut później Reacher się poddał. Gestem poprosił oficera dyżurnego, by podkreślił dźwięk w telewizorze. Właśnie zaczynał się dziennik. Oczywiście wydarzenia w schronisku były wiadomością dnia. Relację rozpoczynał widok portretu Armstronga nad ramieniem prowadzącego. Następnie na ekranie pojawił się materiał, ukazujący Armstronga wyprowadzającego żonę z limuzyny. Stanęli razem uśmiechnięci i ruszyli naprzód. Cięcie. Armstrong trzymał w dłoniach chochelkę i łyżkę, jego twarz rozjaśniał uśmiech. Komentator umilkł na chwilę, pozwalając, by widzowie usłyszeli głos przyszłego wiceprezydenta. „Szczęśliwego Święta Dziękczynienia!” Potem nastąpiło siedem czy osiem sekund ukazujących podawanie posiłków.

A potem to się zdarzyło.

Tłumik sprawił, że nikt nie usłyszał strzału. A ponieważ nie słychać było strzału, operator nie uskoczył, nie zareagował jak zwykle. Obraz był wyraźny, nieruchomy. Brak odgłosu strzału sprawił, że zupełnie nie wiadomo było, czemu Froelich skoczyła nagle na Armstronga. Z przodu wyglądało to nieco inaczej. Po prostu odepchnęła się lewą nogą, przekreśliła w bok i w górę. Sprawiała wrażenie zdesperowanej, lecz dziwnie wdzięcznej. Realizatorzy pokazali całą scenę w zwykłym tempie, a potem ponownie, w zwolnionym. Froelich oparła prawą dłoń na lewym ramieniu Armstronga, popychając go w dół, a siebie w górę. Siła rozpędu obróciła ją; Froelich uniosła kolana i po pro-

stu go nimi przewróciła. On upadł, ona podążyła za nim.

Była trzydzieści centymetrów poniżej najwyższego punktu, gdy trafiła ją druga kula.

- Cholera - mruknął Reacher.

Neagley powoli pokiwała głową.

- Była za szybka. Jeszcze ćwierć sekundy i wciąż byłaby dość wysoko, by kula trafiła w kamizelkę.

- Była za dobra.

Na ekranie ponownie pojawiła się cała scena. Trwała zaledwie sekundę. A potem wydarzenia potoczyły się dalej. Operator trwał w miejscu niczym przymurowany. Reacher ujrzał samego siebie. Widział, jak wywraca stoły, jak agenci zaczynają strzelać. Froelich leżała na ziemi poza zasięgiem kamery. Obraz poruszył się gwałtownie, operator uskoczył przed strzałami. Potem jednak znów uniósł obiektyw i ruszył naprzód. Obraz podskakiwał, gdy kamerzysta się o coś potykał. Przez chwilę w obiektywie panował absolutny zamęt. A potem operator znów ruszył naprzód, pragnąc sfilmować postrzeloną agentkę. W polu widzenia pojawiła się twarz Neagley i ekran pociemniał. Znów pojawił się prowadzący. Patrząc wprost w kamerę, oznajmił, że reakcja Armstronga była natychmiastowa i pełna współczucia.

Ujrzeli Armstronga stojącego z żoną przed budynkiem. Reacher rozpoznał parking przed zachodnim skrzydłem Białego Domu. Oboje wciąż mieli na sobie codzienne stroje, zdjęli jednak kamizelki kuloodporne. Ktoś stał krew Froelich z policzka polityka. Armstrong był starannie uczesany, sprawiał wrażenie zdecydowanego. Mówił cichym, opanowanym głosem, niczym zwykły człowiek walczący z potężnymi emocjami. Mówił o głębokim smutku z powodu śmierci dwójki agentów. Wychwalał ich zalety i osiągnięcia. Wyraził głębokie współczucie rodzinom.

Następnie rzekł, iż ma nadzieję, że śmierć agentów zostanie potraktowana jako śmierć w obronie demokracji, nie

tylko jego skromnej osoby. Liczył, że może to odrobinę pocieszyć pogrążone w smutku rodziny. A także stać się dla nich powodem do dumy. Przyrzekł szybką i surową karę dla sprawców zbrodni. Zapewnił Amerykę, że żaden akt przemocy czy zastraszania nie wpłynie na pracę rządu i że zmiana administracji odbędzie się zgodnie z planem. Zakończył jednak mówiąc, iż na znak niezwykłego szacunku pozostanie w Waszyngtonie i odwoła wszystkie spotkania, póki nie weźmie udziału w pogrzebie swej bliskiej przyjaciółki i szefowej ochrony osobistej. Oświadczył, że pogrzeb odbędzie się w niedzielę rano, na małym wiejskim cmentarzu w miasteczku w stanie Wyoming zwanym Grace - wspaniała metafora, ukazująca wielkość Ameryki.

- Co za nadęty palant - mruknął oficer dyżurny.

- Nie, jest w porządku - odparł Reacher.

Prowadzący przeszedł do wyników pierwszej rundy rozgrywek futbolowych. Oficer dyżurny ściszył dźwięk i odszedł. Reacher ponownie zamknął oczy. Pomyślał o Joem, potem o Froelich, o nich razem. Znów wrócił myślami na miejsce zbrodni. Spojrzał w górę. Obłok krwi Froelich w powietrzu, opadający łukiem. Krzywizna, krzywizna ramienia strzelca uciekającego, odskakującego, odbiegającego. Płaszcz oddalał się wraz z nim. Płaszcz. Ponownie odtworzył całą scenę, tak jak stacja telewizyjna taśmę. Zatrzymał obraz na płaszczu i już wiedział. Szeroko otworzył oczy.

- Wymyśliłaś już jak? - spytał.

- Nie potrafię odrzucić teorii Bannona - odparła Neagley.

- Powiedz to głośno.

- Crosetti zobaczył kogoś, kogo znał i komu ufał.

- Mężczyznę czy kobietę?

- Według ciebie mężczyznę.

- W porządku, powiedz to jeszcze raz.

Neagley wzruszyła ramionami.

- Crosetti zobaczył jakiegoś mężczyznę, którego znał i któremu ufał.

Reacher pokręcił głową.

- O jedno słowo za mało. Crosetti zobaczył jakiś typ mężczyzny, którego znał i któremu ufał.

- Kogo? - spytała.

- Kto może bez budzenia podejrzeń wchodzić do dowolnego miejsca i stamtąd wychodzić?

Neagley spojrzała na niego.

- Uprawnione służby.

Reacher skinął głową.

- Płaszcz był długi, rdzawobrazowy, z niewyraźnym wzorem. Zbyt cienki jak na płaszcz zimowy, zbyt gruby jak na prochowiec. Rozpięty. Łopotał podczas biegu.

- A kto biegł?

- Ten gliniarz z Bismarck. Porucznik, czy kim tam był. Podbiegł do mnie, gdy wyszedłem z kościoła. To on był na dachu.

- To był policjant?

* * *

- To bardzo poważne oskarżenie - powiedział Bannon.
- Oparte jedynie na ćwierćsekundowej obserwacji z odległości dziewięćdziesięciu metrów podczas potwornego za mieszania.

Znowu siedzieli w sali konferencyjnej FBI. Stuyvesant nie zdążył jej nawet opuścić. Nadal miał na sobie różowy sweter. Sala wciąż wyglądała imponująco.

- To był on - upierał się Reacher. - Bez cienia wątpliwości.

- Wszystkim policjantom pobiera się odciski palców - przypomniał Bannon. - To warunek zatrudnienia.

- Zatem jego współnik nie jest gliniarzem - stwierdził Reacher. - Ten z taśmy w garażu.

Nikt nie odpowiedział.

- To był on - powtórzył Reacher.

- Jak długo widziałeś go w Bismarck? - spytał Bannon.

- Jakieś dziesięć sekund - odrzekł Reacher. - Biegł w stronę kościoła. Może zobaczył mnie w środku, odskoczył, a widząc, że wychodzę, zawrócił, żeby dostać się tam ponownie.

- W sumie dziesięć i jedna czwarta sekundy - oznajmił Bannon. - Za każdym razem w sytuacji bliskiej paniki. Obrona zżarłaby cię żywcem.

- To ma sens - wtrącił Stuyvesant. - Bismarck to rodzinne miasto Armstronga. W rodzinnych miastach najłatwiej znaleźć wrogów.

Bannon się skrzywił.

- Opis?

- Wysoki - rzucił Reacher. - Jasne, siwiejące włosy, podłużna twarz, szczupłe ciało. Długi płaszcz, ciężki materiał, rdzawobrazowy, rozpięty. Tweedowa marynarka, biała koszula, krawat, szare flanelowe spodnie. Duże, stare buty.

- Wiek?

- Czterdzieści pięć do pięćdziesięciu lat.

- Stopień?

- Pokazał mi odznakę, ale stał kilka metrów ode mnie. Nie zdołałem jej odczytać. Sprawiał wrażenie oficera, może przełożonego detektywów, może nawet kapitana.

- Mówił coś?

- Krzyczał z odległości kilku metrów, w sumie kilka słów.

- To z nim rozmawiałeś przez telefon?

- Nie.

- Zatem znamy już obu - podsumował Stuyvesant. - Niski, przysadzisty mężczyzna w prążkowanym płaszczu z taśmy w garażu i wysoki, szczupły policjant z Bismarck. Przysadzisty gość rozmawiał przez telefon, to jego odcisk kciuka. Był też w Kolorado, z pistoletem maszynowym, bo policjant to ich snajper. Dlatego kierował się w stronę ko-

ścioła. Chciał strzelić z dzwonnicy.

Bannon otworzył teczkę, wyciągnął kartkę papieru. Przyjrzał się jej uważnie.

- Nasze biuro w Bismarck podało nam nazwiska wszystkich miejscowych ochraniających imprezę - powiedział. - W sumie było tam czterdziestu dwóch miejscowych policjantów. Nikt powyżej stopnia sierżanta, oprócz dwóch: dowódcy całego zespołu, kapitana, i jego zastępcy, porucznika.

- To mógł być każdy z nich - powiedział Reacher.

Bannon westchnął.

- To nas stawia w trudnym położeniu.

Stuyvesant patrzył na niego z dziwną miną.

- Nie chcecie niepokoić policji w Bismarck? Nas zaniepokoiście bardzo chętnie.

- Nie o to chodzi - odparł Bannon. - Zastanawiam się nad kwestiami taktycznymi. Gdyby to był zwykły szeregowiec, mógłbym zadzwonić do kapitana bądź porucznika i poprosić, by zbadał sprawę. W drugą stronę to nie działa. I zapomnijcie o alibi. Oficerowie mają dziś wolne, jest święto.

- Zadwoń od razu - podsunęła Neagley. - Dowiedz się, kto jest w mieście, z pewnością jeszcze nie wrócili. Obserwujecie lotniska.

Bannon pokręcił głową.

- Ludzi nie ma dziś w domu z najróżniejszych przyczyn. Odwiedzają rodzinę i tak dalej. A poza tym, gość mógł już zdążyć wrócić. Mógł z łatwością przedostać się przez lotnisko. W tym cały problem, prawda? Przy takim zamieszaniu najróżniejsze agencje sprawdzają wszystkich, nikt nikogo nie zna. Wystarczy tylko, żeby ruszył naprzód, unosząc odznakę, i przejdzie gładko. Niewątpliwie tak właśnie dotarli na miejsce wydarzeń. I wydostali się. Cóż bardziej naturalnego w takich okolicznościach niż gliniarz biegnący z uniesioną odznaką?

W sali zapadła cisza.

- Akta personalne - podsunął Stuyvesant. - Powinniśmy zażądać, by posterunek w Bismarck przysłał nam swoje akta. Niech Reacher obejrzy zdjęcia.

- To potrwałoby kilka dni - zaprotestował Bannon. - I kogo miałbym o to prosić? Mógłbym rozmawiać akurat ze sprawcą.

- Pomów zatem z waszym biurem w Bismarck - zaproponowała Neagley. - Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby miejscowe FBI dysponowało nielegalnymi informacjami na temat całego personelu posterunku, łącznie ze zdjęciami.

Bannon się uśmiechnął.

- Nie powinniście wiedzieć takich rzeczy.

Potem wstał powoli i poszedł do swego biura, by zadzwonić.

* * *

- Zatem Armstrong wydał oświadczenie - powiedział Stuyvesant. - Widzieliście? To będzie go kosztowało sporo punktów politycznych, bo nie pozwolę mu tam jechać.

- Potrzebuję przynęty, to wszystko - odparł Reacher. - Dla mnie to lepiej, jeśli się nie zjawi. A polityka jest w tej chwili ostatnią rzeczą, jaka mnie obchodzi.

Stuyvesant nie odpowiedział. Wszyscy milczeli. Po piętnastu minutach Bannon powrócił. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz.

- Mam dobre i złe wieści - oznajmił. - Dobra wiadomość jest taka, że Bismarck to nie największe miasto świata. Posterunek policji zatrudnia sto trzydzieści osiem osób, z których trzydzieści dwie to pracownicy cywilni. Zostaje stu sześciu funkcjonariuszy, dwunastu z nich to kobiety. Mamy zatem dziewięćdziesięciu czterech kandydatów. A dzięki cudom nielegalnego gromadzenia danych i współczesnej technologii za dziesięć minut będziemy już tu mieli

przysłane e-mailem i przeskanowane zdjęcia całej dziewięćdziesiątki czwórki.

- Jakie są złe wieści? - spytał Stuyvesant.

- Później - odrzekł Bannon. - Niech Reacher zmarnuje nam jeszcze trochę czasu.

Rozejrzał się po sali, nie mówiąc nic więcej. Ostatecznie nie czekali nawet krócej niż dziesięć minut. Agent w garniturze wbiegł do środka, niosąc plik papierów. Położył je przed Bannonem. Bannon pchnął stosik w stronę Reachera, który podniósł dokumenty i zaczął przerzucać. Szesnaście kartek, część wciąż wilgotna, świeżo z drukarki. Na piętnastu widniało po sześć zdjęć, na szesnastej tylko cztery. Dziewięćdziesiąt cztery twarze. Zaczął od ostatniej kartki. Żaden z czterech wizerunków nie pasował.

Wziął piętnastą, przebiegł wzrokiem po kolejnych sześciu twarzach i odłożył kartkę. Podniósł czternasty arkusz, sprawdził sześć zdjęć. Pracował szybko, nie musiał przyglądać się dokładnie, doskonale pamiętał rysy tamtego człowieka. Nie było go jednak na czternastej kartce ani na trzynastej.

- Jak bardzo jesteś pewien? - spytał Stuyvesant.

Dwunasta kartka. Nic.

- Jestem pewien - odparł Reacher. - To był on, gliniarz. Miał odznakę i wyglądał jak gliniarz. Wyglądał na gliniarza, tak jak Bannon.

Jedenasty arkusz. Nic. Dziesiąty, to samo.

- Wcale nie wyglądałam na gliniarza - zaprotestował Bannon.

Dziewiąty. Nic.

- Wyglądasz dokładnie jak gliniarz - upierał się Reacher.
- Masz gliniarską kurtkę, gliniarskie spodnie, gliniarskie buty, gliniarską twarz.

Nic na ósmej kartce.

- Zachowywał się jak gliniarz - dodał Reacher. Siódma. Nic.

- Pachniał jak gliniarz.

Na szóstej kartce nic. Na piątej także.

- Co ci powiedział? - spytał Stuyvesant.

Czwarta kartka. Nic.

- Spytał, czy kościół jest zabezpieczony. Zapytałem, co się dzieje. Odparł, że wybuchło zamieszanie. Potem ochrzcił mnie, bo zostawiłem otwarte drzwi kościoła. Właśnie tak, jak zrobiłby każdy gliniarz.

Trzecia kartka - nic. Druga. Uniósł pierwszy arkusik i dostrzegł natychmiast, że nie ma na nim poszukiwanej twarzy. Puścił kartkę i pokręcił głową.

- Dobra, to teraz złe wieści - oznajmił Bannon. - Postęrunek policji w Bismarck nie wystawił nikogo w cywilu, absolutnie nikogo. Uznano, że okazja jest bardzo uroczysta, toteż wszyscy mieli na sobie mundury, cała czterdziestka dwójka, a zwłaszcza oficerowie, kapitan i porucznik włożyli galowe mundury, łącznie z białymi rękawiczkami.

- To był gliniarz z Bismarck - upierał się Reacher.

- Nie - odparł Bannon. - To nie był gliniarz z Bismarck.

Co najwyżej jakiś facet udający gliniarza.

Reacher nie odpowiedział.

- Ale jak widać świetnie sobie radził - dodał Bannon. - Ciebie na przykład przekonał. Najwyraźniej umiał naśladować wygląd i zachowanie policjanta.

Nikt się nie odezwał.

- Obawiam się zatem, że nic się nie zmieniło - oświadczył Bannon. - Wciąż sprawdzamy niedawnych pracowników Secret Service. Bo kto umiałby lepiej udawać policjanta z prowincji niż weteran innej służby rządowej, który całe życie współpracował z policjantami przy takich imprezach?

Gdy Reacher, Neagley i Stuyvesant wrócili do budynku Departamentu Skarbu, czekał już na nich pracownik biura badawczego. Stał w recepcji, ubrany w wełniany sweter i niebieskie spodnie, jakby wstał świeżo od stołu. Mniej więcej w wieku Reachera, wyglądałby zupełnie jak profesor uniwersytecki, gdyby nie oczy - mądre i czujne, jakby widział sporo rzeczy i słyszał o wielu innych. Nazywał się Swain. Stuyvesant przedstawił go i zniknął. Swain poprowadził Reachera i Neagley korytarzami, z których wcześniej nie korzystali, do pomieszczenia służącego niewątpliwie za bibliotekę i salę wykładową. Pośrodku stał tuzin krzeseł, zwróconych w stronę podium. Z trzech stron wzdłuż ścian ustawiono regały, pod czwartą boksy z komputerami na biurkach. Do każdego podłączono drukarkę.

- Słyszałem, co mówi FBI - oznajmił Swain.

- Wierzy pan w to? - spytał Reacher.

Swain jedynie wzruszył ramionami.

- Tak czy nie? - naciskał Reacher.

- Nie jest to niemożliwe - przyznał Swain. - Ale nie ma powodu, by wierzyć w tę teorię. Równie dobrze mogliby to być byli agenci FBI. Albo obecni agenci FBI. Jako agencja jesteście lepsi niż oni, może próbują nas podkopać.

- Sądzi pan, że powinniśmy popracować nad tym aspektem sprawy?

- Jest pan bratem Joego Reachera, prawda?

Reacher przytaknął.

- Pracowałem z nim - oświadczył Swain. - Dawno temu.

- I?

- Zachęcał do czynienia przypadkowych uwag.

- Ja też - odparł Reacher. - Ma pan jakieś?

- Moja praca to czysto akademickie rozważania - powiedział Swain. - Rozumie pan? Jestem wyłącznie teoretykiem, naukowcem. Jestem tu po to, by analizować.

- I?

- Obecna sytuacja wygląda inaczej niż wszystkie, z jakimi zetknąłem się do tej pory. Wyraźnie widać kryjącą się w niej nienawiść. Zabójstwa dzielą się na dwie grupy: ideologiczne bądź praktyczne. Zabójstwo praktyczne to usunięcie danego człowieka ze ściśle określonych pobudek politycznych bądź ekonomicznych. Zabójca ideologiczny morduje kogoś, bo go nienawidzi. W ciągu ostatnich lat podjęto wiele podobnych prób zamachów. Nie mogę opowiedzieć wam o żadnej z nich nic prócz tego, że większość nie posunęła się zbyt daleko i że zawsze pojawiała się głęboka nienawiść, zwykle jednak starannie skrywana na poziomie spiskowca. Ci ludzie szepczą między sobą, a my widzimy wyłącznie rezultaty. Tym razem jednak nienawiść jest wyraźna, nieskrywana. Zadali sobie wiele trudu, bardzo ryzykowali, by nas o niej poinformować.

- Jakie są pana wnioski?

- Uważam, że pierwsza faza była naprawdę niezwykła. Listy? Proszę pomyśleć o ryzyku, o wysiłku wymaganym, by je zminimalizować. Zainwestowali niewiarygodnie dużo środków we wstępną fazę planu. Muszę zatem zakładać, iż uznali, że warto.

- Ale mylili się - wtrąciła Neagley. - Armstrong nie widział na oczy żadnego z tych listów. Zmarnowali tylko czas.

- To kwestia zwykłej ignorancji. Czy pani wiedziała, że w żadnym razie nie rozmawiamy o groźbach z naszymi podopiecznymi?

- Nie - przyznała Neagley. - Zaskoczyła mnie ta informacja.

- Nikt nie wie - odparł Swain. - Każdy jest zaskoczony. Ci ludzie sądzili, że przekazujemy mu wszystko. Dlatego uważam, że to sprawa osobista, że on jest celem, nie my.

- My też tak sądzimy - wtrącił Reacher. - Ma pan jakieś konkretne powody?

- Pomyśli pan, że jestem naiwny - mruknął Swain. - Ale nie wierzę, by ktokolwiek, kto pracuje bądź pracował dla nas, zabił tamtych dwóch Armstrongów. Nie w ten sposób.

Reacher wzruszył ramionami.

- Może istotnie jest pan naiwny. Może nie. Ale to nie ma znaczenia. My i tak jesteśmy przekonani.

- A co was przekonało?

- Dywiz w drugim liście.

- Dywiz? - Swain zastanowił się chwilę. - Tak, rozumiem. To możliwe, lecz nieco poszlakowe.

- Nieważne. Zakładamy, że to sprawa osobista.

- Dobrze, ale czemu? Jedyнным możliwym wyjaśnieniem jest to, że go nienawidzą, chcą z niego zadrwić, pragną go dręczyć, przerazić, sprawić, by najpierw cierpiał. Samo zabójstwo im nie wystarczy.

- Kim zatem są? Kto tak bardzo go nienawidzi?

Swain machnął ręką, jakby odsuwał na bok to pytanie.

- Najpierw coś jeszcze - rzekł. - Trochę teoretyzuję, ale myślę, że popełniliśmy błąd w obliczeniach. Ile wiadomości otrzymaliśmy?

- Sześć - odparł Reacher.

- Nie - zaprzeczył Swain. - Uważam, że było ich siedem.

- Gdzie jest siódma?

- Nendick - wyjaśnił Swain. - Uważam, że Nendick dostarczył drugą wiadomość, a sam był trzecią. Widzicie, przybyliście tutaj i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dowiedzieliście się o prawdziwej roli Nendicka. Szybko, ale z całym szacunkiem, wcześniej czy później my też odkrylibyśmy prawdę. To było nieuniknione. Skoro nie zawinili sprzątacze, musiało być coś nie tak z taśmami. Zatem dotarliśmy do niego. I co na nas czekało? Nendick nie był jedynie posłańcem, był także wiadomością. Pokazał nam, do czego są zdolni ci ludzie. Zakładając, że Armstrong wiedziałby o wszystkim, musiałby zacząć nieźle się dener-

wować.

- W takim razie wiadomości było dziewięć - wtrąciła Neagley. - Bo w tym przypadku powinniśmy dodać też zabójstwa w Minnesocie i Kolorado.

- Niewątpliwie - przyznał Swain. - Widzicie, co mam na myśli? Wszystko sprowadza się do strachu. Każdy najmniejszy element. Załóżmy, że Armstrong od początku wiedziałby o wszystkim. Dostaje pierwszy list, zaczyna się niepokoić. My dostajemy drugi list, niepokój wzrasta. Trafiamy do źródła i co, zaczyna czuć się lepiej? Nie, jeszcze gorzej, bo znajdujemy Nendicka sparaliżowanego ze strachu. Potem zapowiedź demonstracji. Niepokój rośnie.

Następnie dochodzi do demonstracji. Jest porażony ich bezwzględnością.

Reacher milczał, wpatrywał się w podłogę.

- Uważa pan, że przesadnie wszystko analizuję - domyślił się Swain.

Reacher pokręcił głową, nadal patrząc w dół.

- Nie, uważam, że ja za mało wszystko analizuję. Może. Prawdopodobnie. Bo co w tym wszystkim robią odciski kciuka?

- To także drwina, ale innego rodzaju. Przechwałka, zagadka, podpucha. I tak mnie nie złapiecie. Coś w tym stylu.

- Jak długo pracował pan z moim bratem?

- Pięć lat. Tak naprawdę pracowałem dla niego. Mówiąc „z nim”, próbuję jedynie podnieść swój status.

- Był dobrym szefem?

- Był świetnym szefem - odparł Swain. - I w ogóle świetnym facetem.

- I organizował sesje swobodnych skojarzeń?

Swain pokiwał głową.

- Każdy mógł powiedzieć cokolwiek.

- Uczestniczył w nich?

- Zwykle stał z boku.

Reacher uniósł wzrok.

- Powiedział pan, że wszystko sprowadza się do strachu, każdy, nawet najmniejszy element. A potem, że odciski kciuka to drwina, ale innego rodzaju. Zatem nie wszystko jest takie samo, coś jednak się wyróżnia.

Swain wzruszył ramionami.

- Mógłbym nieco naciągnąć tę teorię. Odciski kciuka budzą strach, bo świadczą o tym, że ci faceci są zbyt przebiegli, by ich złapać. To inny rodzaj strachu, ale nadal strach.

Reacher odwrócił wzrok, umilkł. Minęło trzydzieści sekund, minuta.

- No dobra, poddaję się - oznajmił. - W końcu się poddaję. Będę taki jak Joe. Mam na sobie jego garnitur, spałem z jego dziewczyną, wciąż spotykam jego dawnych kolegów z pracy. Toteż teraz podrzucę wam z boku moje swobodne skojarzenie, tak jak miał w zwyczaju mój brat.

- Jakie to skojarzenie? - spytała Neagley.

- Uważam, że coś przeoczyliśmy - oznajmił Reacher. - Że coś nam umknęło.

- Co takiego?

- Widzę w głowie różne dziwne obrazy. Na przykład sekretarkę Stuyvesanta pracującą przy biurku.

- Jakie obrazy?

- Uważam, że całkowicie błędnie zinterpretowaliśmy znaczenie odcisku kciuka. Od początku zakładaliśmy, iż wiedzieli, że nie da się go zidentyfikować. Ale myślę, że całkowicie się myliliśmy. Myślę, że jest dokładnie odwrotnie. Że spodziewali się, iż go zidentyfikujemy.

- Czemu?

- Bo sądzę, że znaczenie odcisku jest dokładnie takie samo jak znaczenie Nendicka. Dziś rano rozmawiałem z zegarmistrzem. Powiedział mi, skąd pochodzi skwalen.

- Z wątrób rekinów - odparła Neagley.

- I ludzkich nosów - dodał Reacher. - To to samo. Tuszcz, z którym budzisz się rano, to skwalen, identyczny

skład chemiczny.

- I co z tego?

- I to z tego, że uważam, iż nasi przeciwnicy zaryzykowali i przegrali rundę. Przypuśćmy, że wybierzemy losowo mężczyznę w wieku pomiędzy sześćdziesiątką i siedemdziesiątką. Jakie jest prawdopodobieństwo, że choć raz w życiu pobrano od niego odciski palców?

- Dość duże - odparła Neagley. - Odciski pobiera się wszystkim imigrantom. Jeśli to Amerykanin, zapewne dostał powołanie do wojska podczas wojny w Korei czy Wietnamie. Nawet jeśli tam nie pojechał, zdjęto mu odciski. Z pewnością zdjęto je też, jeśli kiedykolwiek go aresztowano albo jeżeli pracował dla rządu.

- Bądź prywatnej korporacji - wtrącił Swain. - Wiele z nich wymaga odcisków. Banki, firmy handlowe i tak dalej.

- W porządku - rzucił Reacher. - Oto moja teoria. Nie uważam, by odcisk należał do jednego ze sprawców. Myślę, że zostawił go ktoś zupełnie inny, niewinny, przypadkowy człowiek. Ktoś, kogo wybrali losowo. I uważam, że odcisk miał nas doprowadzić wprost do tego człowieka.

W pokoju zapadła cisza. Neagley patrzyła na Reachera.

- Po co? - spytała w końcu.

- Abyśmy znaleźli kolejnego Nendicka - wyjaśnił. - Odcisk widniał na każdym liście, a jego właściciel sam w sobie także był wiadomością, podobnie jak, według Swaina, był nią Nendick. Mieliśmy zidentyfikować odcisk, znaleźć właściciela i zastać dokładną replikę Nendicka: przerażoną ofiarę, zbyt wystraszoną, by cokolwiek powiedzieć. Wiadomość. Lecz czysty przypadek zrzucił, że tamci natrafili na kogoś, od kogo nigdy nie pobrano odcisków. Toteż go nie znaleźliśmy.

- Ale przecież było sześć listów - przypomniał Swain. - Od wysłania pierwszego do dostarczenia ostatniego do domu Froelich minęło jakieś dwadzieścia dni. Co to znaczy? Wszystkie listy napisano zawczasu? To zbyt śmiałe

założenie.

- Ale możliwe - powiedziała Neagley. - Mogli zostawić odcisk na dziesiątkach różnych wersji, na każdą ewentualność.

- Nie - rzekł Reacher. - Myślę, że nie pisali niczego z góry. Że zatrzymali odcisk, by mieć do niego stały dostęp.

- Jak? - spytał Swain. - Porwali kogoś i więzili jako zakładnika? Ukryli gdzieś? Wożą go wszędzie ze sobą?

- To niewykonalne - dodała Neagley. - Nie mogli oczekiwać, że go znajdziemy, skoro nie ma go w domu.

- Ależ on jest w domu - odparł Reacher. - Nie ma natomiast jego kciuka.

Nikt nie odpowiedział.

- Włączcie komputer - polecił Reacher. - Poszukajcie w NCIK słowa kciuk.

* * *

- Mamy dużą filię w Sacramento - oznajmił Bannon. - Trzech agentów jest już w drodze wraz z lekarzem. Za godzinę będziemy wiedzieć.

Tym razem to Bannon do nich przyjechał. Siedzieli w sali konferencyjnej Secret Service. Stuyvesant zajął miejsce u szczytu stołu, Reacher, Neagley i Swain razem z jednej strony, samotny Bannon z drugiej.

- Niesamowity pomysł - dodał Bannon. - Jak by to zrobili? Przechowywali go w zamrażarce?

- Najprawdopodobniej - odparł Reacher. - Odrobinę rozmrażali, pocierali o nos, odciskali na papierze. Tak jak to robi sekretarka Stuyvesanta ze swoją pieczęcią. Pewnie z czasem kciuk wysycha i dlatego ślady skwalenu są coraz wyraźniejsze.

- Co to sugeruje? - spytał Stuyvesant. - Zakładając, że masz rację.

Reacher się skrzywił.

- Możemy zmienić jedno podstawowe założenie. Zapewne od obu pobierano odciski palców i obaj noszą

gumowe rękawiczki.

- Dwóch renegatów - dodał Bannon.

- Niekoniecznie naszych - wtrącił Stuyvesant.

- Wyjaśnijcie pozostałe poszlaki - zażądał Bannon.

Stuyvesant milczał, Bannon wzruszył ramionami.

- No dalej, mamy godzinę i nie chcę szukać w niewłaściwym miejscu. Przekonajcie mnie, udowodnijcie, że to zwykli obywatele, a celem jest sam Armstrong.

Stuyvesant zerknął na Swaina, ten jednak milczał.

- Czas płynie - przypomniał Bannon.

- Nie są to najbardziej sprzyjające warunki - odparł Swain.

Bannon się uśmiechnął.

- Przekonujecie tylko przekonanych?

Nikt się nie odezwał.

- Nie macie żadnych dowodów - oznajmił Bannon. - Kogo w ogóle obchodzi wiceprezydent? To nikt ważny. Jak brzmiało to powiedzonko: wiadro plwocin?

- Garnek - poprawił Swain. - John Nance Garner powiedział, że wiceprezydent nie jest wart nawet garnka plwocin. Nazywał go też zapasowym kołem rządowego pojazdu. Był pierwszym wice Franklina Delano Roosevelta. John Adams twierdził, że to najbardziej nieważne stanowisko, jakie kiedykolwiek wymyślono, a on był w ogóle pierwszym wiceprezydentem.

- Kto zatem chciałby zabić zapasowe koło czy nieważny garnek plwocin?

- Zacznijmy od początku - powiedział Swain. - Co właściwie robi wiceprezydent?

- Siedzi na tyłku - odparł Bannon. - Ma nadzieję, że numer jeden umrze.

Swain przytaknął.

- Ktoś inny powiedział, że praca wiceprezydenta polega głównie na czekaniu. Jasne, w grę może wchodzić śmierć prezydenta. Ale znacznie częściej własna nominacja po ośmiu latach. Lecz na krótką metę, do czego właściwie słu-

ży wiceprezydent?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał Bannon.

- Służy do tego, by być kandydatem - oznajmił Swain. - Tak to wygląda. Jego życie trwa od dnia, gdy latem zostaje wyznaczony, aż do wyborów. Jest użyteczny przez cztery, najwyżej pięć miesięcy. Zaczyna od kampanii. Do lata wszyscy są już śmiertelnie znudzeni kandydatami na prezydentów, toteż wiceprezydent ożywia kampanię. Nagle mamy jeszcze kogoś, o kim możemy pogadać. Kogoś nowego do analizowania. Sprawdzamy jego charakter i przeszłość. Próbujemy ustalić, do jakiego stopnia zrównoważy szalę. Na tym właśnie polega początkowo funkcja kandydata na wiceprezydenta. Zapewnia równowagę i kontrast. Kandydat na wiceprezydenta jest wszystkim, czym nie jest potencjalny prezydent, i odwrotnie. Młody - stary, ekscentryczny - nudny, z Północy - z Południa, mądry - głupi, twardy - miękki, bogaty - biedny.

- Już rozumiemy - wtrącił Bannon.

- Jego funkcja sprowadza się do tego, kim jest - podkreślił Swain. - Z początku to tylko zdjęcie i biografia. Idea. Potem zaczynają się obowiązki. Oczywiście musi umieć prowadzić kampanię, bo to on jest naczelnym nastnikiem. Musi móc mówić rzeczy, których nie wolno powiedzieć kandydatowi na prezydenta. Jeśli kampania wymaga gwałtownego ataku bądź kompromitacji przeciwnika, zajmuje się tym kandydat na wiceprezydenta. Tymczasem przyszedł prezydent stoi z boku z godną miną męża stanu. A potem nadchodzą wybory. Kandydat na prezydenta trafia do Białego Domu, a wiceprezydent na półkę. Od pierwszego wtorku listopada przestaje być potrzebny.

- Czy Armstrong był w tym dobry?

- Znakomity. Prawda jest taka, że prowadził bardzo negatywną kampanię, ale w sondażach tego nie widać, bo cały czas sympatycznie się uśmiechał. W istocie natomiast był

śmiertelnie groźny.

- I sądzi pan, że naraził się komuś do tego stopnia, by chcieli go zabić.

Swain pokiwał głową.

- Właśnie nad tym pracuję. Analizuję wszystkie przemówienia i komentarze. Dopasowuję jego ataki do profili ludzi, których atakował.

- Czynniki czasowe jest bardzo przekonujący - dodał Stuyvesant. - Przez sześć lat zasiadał w Izbie Reprezentantów, kolejnych sześć w Senacie i prawie nie dostawał nieprzyjaznych listów. Całą tę sprawę zapoczątkowało coś, co wydarzyło się niedawno.

- A niedawno oznacza kampanię - uzupełnił Swain.

- Nie znaleźliście niczego w jego biografii? - spytał Bannon.

Swain pokręcił przecząco głową.

- Sprawdziliśmy na cztery sposoby. Pierwszy i najaktualniejszy załatwiliście wy, gdy go nominowano. Mamy kopię waszego raportu. Nie ma w nim nic. Mamy też wyniki poszukiwań przeprowadzonych przez jego przeciwników w wyborach zarówno prezydenckich, jak i obu wcześniejszych do Kongresu. Ci goście wyszukują nawet więcej brudów niż wy. Jest czysty.

- Źródła z Dakoty Północnej?

- Nic. Rozmawialiśmy ze wszystkimi miejscowymi gazetami. To standardowa procedura, miejscowi dziennikarze wiedzą wszystko. Nic na niego nie mieli.

- Zatem to kampania - rzekł Stuyvesant. - Poważnie kogoś wkurzył.

- Kogoś, kto ma dostęp do broni Secret Service - przypomniał Bannon. - Kogoś, kto wie o współpracy Secret Service i FBI. Kogoś, kto wie, że nie można wysłać czegoś wiceprezydentowi tak, by nie przeszło najpierw przez ręce Secret Service. Kogoś, kto znał adres Froelich. Słyszeliście kiedyś o próbie kaczki? Jeśli coś wygląda jak kaczka,

kwacze jak kaczką i chodzi jak kaczką?

Stuyvesant nie odpowiedział. Bannon zerknął na zegarek, wyjął z kieszeni komórkę i położył na stole. Leżała tam cicha, milcząca.

- Pozostaję przy swojej teorii, tyle że obecnie zakładam, iż obaj zamachowcy to wasi ludzie. Jeśli oczywiście telefon zadzwoni i okaże się, że Reacher miał rację.

W tym momencie zadzwonił telefon. Wybrany przez Bannona dzwonek, piskliwa wersja słynnej klasycznej uwertury, zabrzmiał idiotycznie w ponurej ciszy panującej w pomieszczeniu. Agent FBI otworzył telefon. Wesoła melodyjka ucichła. Ktoś z drugiej strony powiedział chyba: „szefie?”, bo Bannon odparł „tak?”, a potem słuchał niecałe dziesięć sekund. Wreszcie wyłączył telefon i schował do kieszeni marynarki.

- Sacramento? - spytał Stuyvesant.

- Nie - odparł Bannon. - Tutejsi ludzie. Znaleźli karabin.

* * *

Zostawili Swaina w biurze i pojechali do laboratoriów FBI mieszczących się w Budynku Hoovera. Zbierali się już w nich specjaliści. Wszyscy bardzo przypominali Swaina: poważni naukowcy, wyciągnięci z domowych pieleszy. Ubrani jak typowi ojcowie rodzin, którzy zamierzali spędzić resztę dnia przed telewizorem, leniwie oglądając mecz. Kilku wypilo już parę piw, widać to było wyraźnie. Neagley poznała jednego ze szkolenia, jakie wiele lat temu przeszła w laboratorium.

- Czy to vaime Mk2? - spytał Bannon.

- Bez wątplenia - odparł jeden z techników.

- Numer seryjny? Mężczyzna pokręcił głową.

- Wytrawiony kwasem.

- Możecie coś zrobić? Ponowne przeczenie.

- Nie - powiedział mężczyzna. - Gdyby go wybito, moglibyśmy sprawdzić niższe warstwy i znaleźć dość uszkodzonych kryształów, by uzyskać numer. Ale Vaime je gra-

weruje. Nic nie można zrobić.

- Gdzie jest teraz?

- Szukamy odcisków - oznajmił technik. - Ale to bez nadziejna sprawa. Pod fluoroskopem nie znaleźliśmy niczego. Laser także nic nie znalazł. Dokładnie go wytarto.

- Gdzie go znaleziono?

- W magazynie za drzwiami pomieszczenia na drugim piętrze.

- Pewnie tam czekali - domyślił się Bannon - jakieś pięć minut. Wymknęli się w szczycie zamieszania. Twardzi goście.

- Łuski? - spytała Neagley.

- Brak - powiedział technik. - Musieli je pozbierać. Ale mamy cztery kule. Trzy z dzisiaj są uszkodzone po uderzeniu w twarde powierzchnie, ale ta z Minnesoty pozostała nietknięta, idealnie zachowana w błocie.

Podszedł do stołu, na którym na kartce czystego, białego pergaminu ułożono cztery pociski. Trzy z nich były zmiażdżone, przypominały kleksy metalu, jeden czysty - ten, który chybił Armstronga i uderzył w ścianę. Pozostałe dwa pokrywały czarne plamy, pozostałości odpowiednio mózgu Crosettiego i krwi Froelich. Resztki ludzkich tkanek odbiły się na miedzianych płaszcach pocisków i zapiekły, tworząc charakterystyczny, koronkowy wzór. Następnie wzór uległ gwałtownemu zakłóceniu, gdy pocisk przeleciał dalej i zderzył się z czymś twardym - w przypadku Froelich z murem schroniska, w przypadku Crosettiego zapewne ze ścianą nadbudówki. Pocisk z Minnesoty sprawiał wrażenie zupełnie nowego. Przejście przez błoto oczyściło go idealnie.

- Przynieście karabin - polecił Bannon.

Dostarczona z laboratorium broń wciąż roztaczała wokół siebie silną woń rozgrzanych oparów kleju, których działaniu poddano ją w nadziei, że ujawnią ślady odcisków palców. Kanciasty, matowy karabin nie wyglądał zbyt im-

ponująco. Pomalowano go fabryczną, czarną farbą epoksydową. Miał krótki, solidny zamek i względnie krótką lunetę, którą wydłużał gruby tłumik. Przymocowano do niego potężną lunetkę.

- Niewłaściwa luneta - zauważył Reacher. - To Hensoldt. Waime jest wyposażony w Bushnelle.

- Owszem, zmodyfikowano go - potwierdził jeden z techników. - Już to odnotowaliśmy.

- Fabrycznie? Mężczyzna pokręcił głową.

- Wątpię - rzekł. - Znakomita robota, ale nie fabryczna.

- Co to znaczy? - spytał Bannon.

- Nie jestem pewien - odparł Reacher.

- Czy Hensoldt jest lepszy niż Bushnell?

- Raczej nie. Jedno i drugie to świetny sprzęt. Tak jak BMW i Mercedes czy Canon i Nikon.

- Może zatem chodzi o osobiste preferencje?

- Na pewno nie, jeśli ten ktoś pracuje dla rządu. Co byś powiedział, gdyby jeden z twoich fotografów przyszedł do ciebie i oznajmił: nie chcę Nikona, którego dostałem, wolalibyśmy Canona?

- Pewnie kazałbym mu spadać.

- Właśnie. Pracuje się z tym, co się ma. Wątpię zatem, by ktoś przyszedł do zbrojowni swego departamentu i poprosił, aby zbrojmistrz wyrzucił wartego tysiąc dolarów Bushnella, dlatego że on woli Hensoldta za tysiąc dolarów.

- Skąd więc ta zmiana?

- Nie jestem pewien - powtórzył Reacher. - Może z powodu uszkodzenia. Jeśli upuści się karabin, można bez trudu uszkodzić lunetę. Ale w zbrojowni państwowej użyto by innego Bushnella. Agencje rządowe kupują nie tylko karabiny, lecz też całą masę części zamiennych.

- Przypuścimy, że im zabrakło, że lunety często ulegają uszkodzeniu.

- Wówczas pewnie mogliby wziąć Hensoldta. Hensoldt zwykle jest na wyposażeniu karabinów SIG. Musicie

sprawdzić listy. Zobaczcie, czy jest na nich ktoś, kto kupuje dla swych snajperów zarówno vaime, jak i SIG-i.

- Czy SIG także jest wytłumiony?

- Nie - odparł Reacher.

- Czyli proszę - powiedział Bannon. - Jakaś agencja potrzebuje dwóch różnych karabinów snajperskich. Kupuje zatem wytłumione karabiny Vaime i niewytłumione SIG-i. Dwie różne lunetki w magazynie. Kończą im się bushnelle, używają hensoldtów.

- Możliwe - przytaknął Reacher. - Możesz popytać. Pytaj dokładnie, czy ktokolwiek zakładał lunetę Hensoldta na karabin Vaime. A jeśli nie, zacznij pytać u rusznikarzy. Najpierw tych drogich, to rzadka broń. Może dowiemy się czegoś ważnego.

Stuyvesant patrzył w przestrzeń. Układ jego ramion zdradzał troskę.

- O co chodzi? - spytał Reacher.

Starszy mężczyzna otrząsnął się i pokręcił głową z wyrazem rezygnacji.

- Obawiam się, że kupiliśmy też SIG-i - powiedział cicho. - Dokonaliśmy zakupu SG550s jakieś pięć lat temu. Niewytłumione karabinki szturmowe. Ale ich nie używaliśmy, bo po przełączeniu na ogień ciągły robią się niecelne, a my pracujemy w tłumie. Trafiły do magazynów. Te raz wszędzie używamy broni Vaime, więc z pewnością zostało mnóstwo części do SIG-ów.

W sali zapadła cisza. Nagle ponownie zadzwonił telefon Bannona, radosna, piskliwa uwertura, a potem cisza. Bannon przyłożył komórkę do ucha, rzucił krótkie „tak?” i zaczął słuchać.

- Rozumiem - powiedział po chwili.

- Lekarz potwierdza? - zapytał. Słuchał.

- Rozumiem.

- Chyba tak.

- Dwóch?

- W porządku - zakończył i wyłączył telefon. - Na górę - polecił. Był bardzo błady.

Stuyvesant, Reacher i Neagley poszli za nim do windy i wjechali do sali konferencyjnej. Bannon usiadł u szczytu stołu, pozostali obok siebie przy drugim końcu, jakby nie chcieli być zbyt blisko najnowszych wieści. Niebo za oknami pociemniało; Święto Dziękczynienia dobiegało końca.

- Nazywa się Andretti - zaczął Bannon. - Siedemdziesiąt trzy lata, emerytowany stolarz, emerytowany członek ochotniczej straży pożarnej. Ma wnuczki. Stąd wziął się nacisk.

- Mówi? - spytała Neagley.

- Trochę - odparł Bannon. - Najwyraźniej jest nieco twardszy niż Nendick.

- Jak to wyglądało?

- Często chodzi do policyjnego baru pod Sacramento, to nawyk z czasów służby w straży pożarnej. Spotkał tam dwóch mężczyzn.

- Policjantów? - spytał Reacher.

- Podobnych do policjantów - odparł Bannon. - Tak ich opisał. Zaczęli rozmawiać, pokazywać sobie zdjęcia rodzinne. Mówili o tym jak parszywy jest świat i co by zrobili, żeby ochronić przed nim swe rodziny. Wszystko szło bardzo stopniowo.

- I?

- Na jakiś czas zamknął się w sobie, ale wtedy nasz lekarz obejrzał uważnie jego rękę. Lewy kciuk został usunięty chirurgicznie. No, nie do końca chirurgicznie. Coś pomiędzy odcięty i odrąbany, tak twierdzi nasz człowiek. Ale starano się zrobić to czysto. Andretti upierał się przy wersji z wypadkiem przy pracy. Nasz lekarz oznajmił, że nie ma mowy, by zrobiła to piła. Absolutnie nie ma mowy. Andretti jakby ucieszył się, że mu zaprzeczył, i znów zaczął mówić.

- I?

- Mieszka sam, wdowiec. Dwaj podobni do gliniarzy faceci wprosil się do niego. Zaczęli pytać: „Co ty byś zrobił, by ochronić swoją rodzinę? Co byś zrobił, jak daleko się posunął?”. Z początku były to pytania czysto retoryczne, a potem nagle stały się praktyczne. Powiedzieli mu, że straci albo kciuk, albo swoje wnuczki. Wybór należy do niego. Przytrzymali go i zrobili to. Zabrali mu zdjęcia i notes z adresami. Poinformowali, że wiedzą już, jak wyglądają jego wnuczki i gdzie mieszkają. Że wytną im jajniki, tak jak właśnie obcięli mu kciuk. A on oczywiście uwierzył. W końcu to logiczne, właśnie go okaleczyli. Ukradli z kuchni przenośną lodówkę i trochę lodu z zamrażarki. Potem wyszli, a on pojechał do szpitala. Odpowiedziała mu cisza.

- Opis? - spytał Stuyvesant.

Bannon pokręcił głową.

- Za bardzo się boi - rzekł. - Moi ludzie proponowali, że obejmą całą rodzinę programem ochrony świadków, ale nie chwycił przynęty. Przypuszczam, że nic więcej nie dostaniemy.

- Ślady w domu?

- Andretti wszystko dokładnie sprzątnął. Zmusili go, patrzyli, jak to robi.

- A w barze? Ktoś ich widział?

- Spytamy, ale minęło już prawie sześć tygodni. Nie liczyłbym na zbyt wiele.

Długą chwilę wszyscy milczeli.

- Reacher? - rzuciła w końcu Neagley.

- Co?

- O czym myślisz? Wzruszył ramionami.

- Myślę o Dostojewskim - odparł. - Dopiero co znalazłem egzemplarz „Zbrodni i kary”, który posłałem Joemu

w prezencie urodzinowym. Pamiętam, że o mało nie kupiłem zamiast tego „Braci Karamazow”. Czytałaś tę

książkę?

Neagley pokręciła głową.

- Opowiada między innymi o tym, co Turcy robili w Bułgarii - wyjaśnił. - Gwałty, mordy, rabunki. Rano wieszali więźniów, którzy przez całą noc czekali przybici za uszy do płotów. Rzucali w powietrze niemowlęta i nabijali na bagnety. Twierdzili, że najlepiej robić to na oczach matek. Wszystko to pozbawiło Iwana Karamazowa więszkości złudzeń. Powiedział wtedy: „Zwierzę nigdy nie potrafi być tak okrutne jak człowiek, tak artystycznie, tak po mistrzowsku, tak wyszukanie okrutne.”* A potem pomyślałem o tych dwóch facetach, którzy zmusili Andrettiego, by na ich oczach posprzątał dom. Pewnie musiał to robić jedną ręką, z trudem sobie radził. Dostojewski przelał swe uczucia w książkę, ja nie mam takiego talentu. Myślę zatem, że znajdę tych ludzi i przekonam ich, że niesłusznie postępują; wykorzystam w tym celu swój talent i wszystkie zdolności.

- Nie wyglądasz mi na miłośnika literatury - zauważył Bannon.

- Jakoś sobie radzę - odparł Reacher.

- I ostrzegam przed jakąś prywatną zemstą.

- Duże słowo jak na agenta.

- Nie życzę sobie żadnych niezależnych działań.

Reacher skinął głową.

- Zapamiętam.

Bannon się uśmiechnął.

- Rozwiązałeś już zagadkę?

- Jaką zagadkę?

- Zakładamy, że karabin Vaime był we wtorek w Minnesocie, a wczoraj w Dakocie Północnej. Teraz jest tu,

* przeł. Aleksander Wat

w Waszyngtonie. Z pewnością nie przewieźli go samolo-

tem, bo przewóz broni długiej samolotem wymaga mnóstwa dokumentów. A mieli za mało czasu, by jechać samochodem. Zatem albo jeden z nich był sam w Bismarck z hecklerem & kochem, podczas gdy drugi jechał autem z Minnesoty do Waszyngtonu, wioząc vaime, albo też jeśli obaj byli w Bismarck, to muszą mieć dwa vaime, jeden tam, drugi ukryty tutaj. Jeśli natomiast obaj byli w Bismarck, ale mają tylko jeden karabin, ktoś inny musiał przywieźć go z Minnesoty. W takim wypadku mamy do czynienia z trzema sprawcami, nie dwoma. Nikt nie odpowiedział.

- Muszę porozmawiać ze Swainem - oznajmił Reacher.
- Pójdę pieszo, spacer dobrze mi zrobi.
- Idę z tobą - dodała Neagley.

* * *

Maszerowali szybko na zachód pod bezchmurnym niebem, pokonując trzy czwarte kilometra Pennsylvania Avenue. Noc była zimna, przez lekką mgiełkę smogu i pomarańczową miejską łunę przeświecały gwiazdy. W oddali na nieboskłonie wisiał mały księżyc. Ulice były puste. Minęli budynki federalne, przed sobą widzieli rosnący gmach Departamentu Skarbu. Blokady wokół Białego Domu zniknęły. Miasto wyglądało normalnie, zupełnie jakby nic się nie stało.

- Dobrze się czujesz? - spytała Neagley.
- Dopadła mnie rzeczywistość - odparł Reacher. - Starzeję się. Mój umysł zwalnia. Byłem bardzo zadowolony z siebie, że tak szybko dotarłem do Nendicka, w istocie jednak miałem trafić do niego natychmiast, czyli poszło mi fatalnie. To samo z odciskiem kciuka. Godzinami głowiliśmy się nad tym cholernym odciskiem. Więcej, całymi dniami. mNa wszelkie sposoby staraliśmy się go wyjaśnić. I nie dostrzegliśmy prawdziwych zamiarów przeciwnika.

- Ale w końcu zrozumieliśmy.

- A ja czuję się winny, jak zwykle.

- Czemu?

- Powiedziałem Froelich, że dobrze jej idzie. Ale powinienem był jej poradzić, by podwoiła strażę na dachu. Jeden agent na rogu, jeden na klatce schodowej. To mogło ocalić jej życie.

Neagley milczała przez sześć, siedem kroków.

- To była jej praca, nie twoja - rzekła w końcu. - Nie czuj się winny. Nie jesteś odpowiedzialny za wszystkich na tym świecie.

Reacher nie odpowiedział, po prostu szedł dalej.

- Poza tym udawali policjantów - ciągnęła Neagley. - Minęliby dwóch wartowników równie łatwo jak jednego. Nawet dziesięciu; prawdę mówiąc, dokładnie to zrobili. Musieli, wszędzie wokół roło się od agentów. Nikt nie mógł temu zapobiec, żadna zmiana. Tak to bywa i już.

Reacher milczał.

- Gdyby wystawiła dwóch wartowników, zginęliby obydwaj. Kolejna ofiara nikomu by nie pomogła.

- Uważasz, że Bannon wygląda jak gliniarz? - spytał Reacher.

- Myślisz, że jest ich trzech? - odpowiedziała pytaniem Neagley.

- Nie, nie ma szans, to impreza dwuosobowa. Bannon nie dostrzega czegoś bardzo oczywistego. To u niego schorzenie zawodowe.

- Czego nie dostrzega?

- Myślisz, że wygląda jak gliniarz?

Neagley uśmiechnęła się lekko.

- Dokładnie jak gliniarz - odparła. - Pewnie przed przejściem do Biura pracował w policji.

- Co sprawia, że wygląda jak gliniarz?

- Wszystko, każdy najmniejszy szczegół. Ma to we krwi.

Reacher umilkł, szedł naprzód.

- Froelich wspomniała coś przed przyjazdem

Armstronga, gdy przemawiała do agentów. Ostrzegła ich, mówiła, że bardzo łatwo sprawiać pozory bezdomnego, ale bardzo trudno wyglądać dokładnie jak bezdomny. Myślę, że podobnie jest z policjantami. Gdybym włożył tweedowy, sportowy płaszcz, szare flanelowe spodnie, zwykłe buty i uniósł złotą odznakę, wyglądałbym jak gliniarz?

- Trochę, ale niedokładnie.

- Lecz ci faceci wyglądają dokładnie jak policjanci. Widziałem jednego z nich i nic mnie nie uderzyło. Wszędzie wchodzi i wychodzi bez jednego pytania.

- To tłumaczyłoby mnóstwo rzeczy - mruknęła Neagley.

- Świetnie czuli się w policyjnym barze z Nendickiem i z Andrettiem.

- Coś jak test Bannona z kaczką. Wyglądają jak gliniarze, chodzą jak gliniarze, gadają jak gliniarze.

- I tłumaczyłoby to, skąd wiedzieli o DNA na kopertach i o komputerach NCIK. Policja wie dobrze, że FBI analizuje wszystkie informacje.

- I broń. Mogli przeniknąć do służb pomocniczych, drużyn SWAT, specjalistów policyjnych. Mieli dostęp do broni, zwłaszcza drugiej klasy, z niestandardowym wyposażeniem.

- Ale wiemy, że to nie są policjanci. Przejrzałeś dziewięćdziesiąt cztery zdjęcia.

- Wiemy, że to nie policjanci z Bismarck - odparł Reacher.

- Może służą gdzie indziej.

Swain nadal na nich czekał. Sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, niekoniecznie z powodu czekania. Wyglądał jak ktoś, kto spodziewa się złych wieści i ma takie do przekazania. Popatrzył pytająco na Reachera, który raz jeden skinął głową.

- Nazywa się Andretti - rzekł. - Sytuacja identyczna jak w przypadku Nendicka. Trzyma się lepiej, ale też nie będzie mówił.

Swain milczał.

- Punkt dla pana - dodał Reacher. - To pan rozwiązał układankę. A karabin to waime z lunetą Hensoldta zamiast standardowej Bushnella.

- Nie znam się na broni palnej - przyznał Swain.

- Musi nam pan powiedzieć, co pan wie na temat kampanii. Kto wściekł się na Armstronga?

Odpowiedziała im krótka cisza. Swain odwrócił wzrok.

- Nikt. To, co mówiłem, nie było prawdą. Zakończyłem analizę kilka dni temu. Owszem, założyłem za skórę kilkunastu osobom, ale nie było to nic ważnego, nic nadzwyczajnego.

- Czemu więc pan to powiedział?

- Po prostu chciałem nieco zmylić FBI. Nie uważam, by chodziło o kogoś z nas. Nie podoba mi się, że w ten sposób traktują naszą agencję.

Reacher patrzył na niego bez słowa.

- Zrobiłem to dla Froelich i dla Crosettiego - dodał Swain. - Zasłużyli sobie na lepsze traktowanie.

- Zatem pan ma przeczucie, a my dywiz - podsumował Reacher. - Większość spraw, którymi się zajmowałem, opierała się na mocniejszych podstawach.

- Co teraz zrobimy?

- Zaczniemy szukać gdzie indziej - wtrąciła Neagley. - Skoro to nie sprawa polityczna, to musi być osobista.

- Nie jestem pewien, czy mogę pokazać wam te materiały - mruknął Swain. - Są tajne.

- Jest w nich coś złego?

- Nie. Gdyby było, usłyszelibyście podczas kampanii.

- To w czym problem?

- Jest wierny żonie? - spytał Reacher.

- Tak - odparł Swain.

- A ona jemu?

- Tak.

- Nie oszukuje w finansach?

- Nie.

- Zatem wszystko inne to jedynie historia. Możemy spo-

kojnie się z nią zapoznać.

- Chyba tak.

- Zróbmy to więc.

Szybko podążyli za Swainem do biblioteki, gdy jednak dotarli na miejsce, usłyszeli telefon. Swain podniósł słuchawkę, po czym wręczył ją Reacherowi.

- Stuyvesant do pana - rzekł.

Reacher słuchał minutę, po czym odłożył słuchawkę.

- Armstrong tu jedzie - oznajmił. - Jest zdenerwowany, niespokojny i chce porozmawiać ze wszystkimi, którzy byli tam wczoraj.

* * *

Zostawili Swaina w bibliotece i wrócili do sali konferencyjnej. Stuyvesant zjawił się minutę później. Nadal miał na sobie strój do golfa, na jego butach wciąż widzieli ślady krwi Froelich, czarne, zaschnięte zacieki wzdłuż szwów. Sprawiał wrażenie bliskiego wyczerpania i zdruzgotanego psychicznie. Reacher widywał już wcześniej podobne reakcje. Gość radzi sobie świetnie przez dwadzieścia pięć lat, po czym pewnego straszego dnia wszystko wali się w gruzy. Może to sprawić samobójczy zamach bombowy, katastrofa helikoptera, przeciek tajemnic państwowych, atak morderczego szалу na przepustce. A potem rusza machina konsekwencji i jedno pociągnięcie pióra przekreśla wspaniałą, pełną pochwał karierę, bo ktoś musi być winny. Czasem to po prostu kwestia pecha, ale nie można tego napisać w oficjalnym raporcie komisji śledczej.

- Nie będzie nas zbyt wielu - powiedział Stuyvesant. - Dałem większości ludzi dwadzieścia cztery godziny wolnego i nie zamierzam ich tu ściągać tylko dlatego, że nasz podopieczny cierpi na bezsenność.

Pięć minut później do środka weszło jeszcze dwóch mężczyzn. Reacher poznał jednego z nich, snajpera z dachu. Drugim był agent pilnujący kolejki w schronisku. Ze znużeniem pozdrowili obecnych skinieniami głowy, po czym

zniknęli w poszukiwaniu kawy. Wrócili z plastikowymi kubkami dla wszystkich.

Obstawa Armstronga wyprzedzała go niczym ochronny pęcherz. Gdy od budynku dzielił go kilometr, agenci przekazali meldunek; drugi, gdy dotarł do garażu. Zameldowano, kiedy wsiadł do windy. Potem jeden z agentów ochrony pierwszy wszedł do recepcji i sprawdził, czy jest bezpieczna. Pozostała dwójka wprowadziła Armstronga. Procedura powtórzyła się przy drzwiach sali konferencyjnej. Pierwszy agent wszedł do środka, rozejrzał się, przemówił do mankieta i Armstrong przemknął obok niego do sali.

Przebrał się w codzienny strój, który zdecydowanie do niego nie pasował: sztruksy, wzorzysty sweter i zamszową kurtkę. Idealnie zgrane kolory, sztywny, nowiutki materiał.

Patrząc na niego, Reacher po raz pierwszy wyczuł nutkę fałszu, zupełnie jakby Armstrong, zamiast sięgnąć po pierwszą rzecz z brzegu szafy, zadał sobie pytanie: jak powinien ubrać się wiceprezydent? Teraz pozdrowił wszystkich z powagą i usiadł u szczytu stołu. Nie odzywał się, wyglądał na zakłopotanego. Cisza stawała się coraz głośniejsza, wręcz niezręczna.

- Jak się czuje pana żona? - spytał snajper.

Idealnie wyważone pytanie, pomyślał Reacher. Zachęcało do rozmowy o uczuciach innych osób. To zawsze łatwiejsze niż mówienie o własnych. Kryła się też w nim porozumiewawcza nuta, jakby mówili: wszyscy tu wiemy, jak wygląda sytuacja, więc pomówmy o kimś, kto stoi obok. A także: teraz ma pan okazję podziękować nam za to, że ocaliliśmy jej tyłek. Jej i pana.

- Jest bardzo wstrząśnięta - odparł Armstrong. - To było straszne. Chcę, żebyście wiedzieli, jak ogromnie jej przykro. Szczerze mówiąc, miała do mnie poważne pretensje. Twierdzi, że nie powinienem tak was narażać.

Idealna, uprzejma odpowiedź, pomyślał Reacher. Można

na nią zareagować tylko w jeden sposób: to nasza praca.

- To tylko nasza praca - powiedział Stuyvesant. - Nie pan, to kto inny.

- Dziękuję - rzekł Armstrong. - Dziękuję, że jesteście tak łaskawi i że tak wspaniale się dziś spisaliście. Oboje dziękujemy wam z głębi serca. Nie jestem człowiekiem przesadnym, ale czuję się, jakbym był wam coś winien. Jakbym nie mógł uwolnić się od zobowiązań, póki czegoś dla was nie zrobię. Nie wahajcie się zatem, proście. Nie ważne o co, oficjalne czy nie, wspólnie bądź indywidualnie. Do końca życia pozostanę waszym przyjacielem.

Nikt się nie odezwał.

- Opowiedzcie mi o Crosetti - poprosił Armstrong. - Miał rodzinę?

Snajper przytaknął.

- Żonę i syna - powiedział. - Chłopak ma chyba osiem lat. Armstrong odwrócił wzrok.

- Tak mi przykro - mruknął. Cisz.

- Czy mogę coś dla nich zrobić? - spytał.

- Niczego im nie zabraknie - zapewnił Stuyvesant.

- Froelich miała rodziców w Wyoming - rzekł Armstrong. - To wszystko. Nie miała męża, braci ani siostr. Dziś, po waszej wizycie w Białym Domu, rozmawiałem z jej rodzicami. Uznałem, że powinienem osobiście przekazać im kondolencje. Pomyślałem też, że przed wystąpieniem telewizyjnym powinienem uzgodnić z nimi, co powiem. Że bez ich zgody nie wolno mi błędnie przedstawić sytuacji tylko po to, by oszukać spiskowców. Ale spodobał im się pomysł pogrzebu w niedzielę, tak bardzo, że zamierzają go urządzać. Zatem jednak się odbędzie.

Milczenie. Armstrong wpatrywał się intensywnie w jakiś punkt na ścianie.

- Chcę w nim uczestniczyć - dodał. - Ściśle biorąc, zamierzam w nim uczestniczyć.

- Nie mogę na to pozwolić - uciał Stuyvesant.

Armstrong nie odpowiedział.

- To znaczy zdecydowanie odradzam - poprawił szybko agent.

- Zginęła przeze mnie, chcę być na jej pogrzebie. Tyle przynajmniej mogę zrobić. Chcę na nim przemówić. Chyba powinienem jeszcze raz porozmawiać z jej rodzicami.

- Z pewnością będą zaszczyceni, ale względy bezpieczeństwa...

- Oczywiście szanuję twój osąd - przerwał mu Armstrong - ale ta sprawa nie podlega negocjacjom. Jeśli trzeba, pojedę sam. Może tak byłoby lepiej.

- To niemożliwe - powiedział Stuyvesant.

Armstrong skinął głową.

- Znajdź zatem trzech agentów, którzy zechcą mi towarzyszyć. Tylko trzech. Nie możemy zamienić pogrzebu w cyrk. Przyjedziemy i odjedziemy szybko, niezauważeni.

- Ogłosił to pan w telewizji ogólnokrajowej.

- To nie podlega negocjacjom - powtórzył Armstrong.

- Nie chcę, by cały pogrzeb zamienił się w cyrk. To nie byłoby uczciwe. Zatem żadnych mediów, żadnej telewizji, tylko my.

Stuyvesant nie odpowiedział.

- Będę na jej pogrzebie - rzekł z naciskiem Armstrong.

- Zginęła przeze mnie.

- Znała ryzyko - odparł Stuyvesant. - Wszyscy je znamy. Jesteśmy tu dlatego, że sami tego chcemy.

Armstrong przytaknął.

- Rozmawiałem z dyrektorem FBI. Poinformował mnie, że podejrzani uciekli.

- To tylko kwestia czasu - stwierdził Stuyvesant.

- Moja córka przebywa na Antarktydzie. Niedługo będzie tam pełnia lata, temperatura dochodzi do minus trzydziestu stopni. W szczytowym okresie, za tydzień-dwa, osiągnie jakieś minus dwadzieścia dwa. Właśnie rozmawialiśmy przez telefon satelitarny. Mówiła, że wydaje jej

się, jakby było niewiarygodnie ciepło. Podobne rozmowy prowadziliśmy rok i dwa lata temu. Wcześniej uważałem to za wspaniałą dowód na to, że wszystko jest względne. Nic nie jest aż tak złe, do wszystkiego można przywyknąć. Ale dziś sam już nie wiem. Nie sądzę, abym kiedykolwiek doszedł do siebie po tym, co się zdarzyło. Żyję tylko dlatego, że zginął ktoś inny. W sali zapadła cisza.

- Ona wiedziała, co robi - powiedział w końcu Stuyvesant. - Wszyscy jesteśmy ochotnikami.

- Była wspaniała, prawda?

- Proszę dać mi znać, kiedy zechce pan poznać jej następcę.

- Jeszcze nie teraz - oznajmił Armstrong. - Może jutro. I popytaj o niedzielę. Trzech ochotników, jej przyjaciół, którzy tak czy inaczej chcieliby tam być.

Stuyvesant milczał. W końcu wzruszył ramionami.

- Dobrze - rzucił.

Armstrong skinął głową.

- Dziękuję za to. I dziękuję za dzisiaj, wam wszystkim. Oboje dziękujemy. Tak naprawdę tylko po to tu przyjechałem.

Ochrona osobista zrozumiała aluzję i odprowadziła go do drzwi. Niewidoczny, otaczający go pęczerek przesunął się szybko, sprawdzając korytarze z przodu, bok, tyły. Trzy minuty później Stuyvesant odebrał przez radio meldunek z samochodu. Armstrong był bezpieczny, jechał na północ i zachód do Georgetown.

- Cholera - mruknął Stuyvesant. - Jakbyśmy mieli za mało na głowie. Teraz niedziela stanie się prawdziwym koszmarem.

Nikt nie patrzył na Reachera, prócz Neagley. We dwójkę wyszli z sali i zastali Swaina w recepcji. Zdążył już włożyć płaszcz.

- Idę do domu - oświadczył.

- Za godzinę - odparł Reacher. - Najpierw pokaże nam

pan akta.

16

Akta biograficzne liczyły dwanaście teczek. W jedenastu zgromadzono surowe dane, wycinki z gazet, wywiady, zeznania i inne dokumenty pierwszej generacji. Dwunastą wypełniało dokładne podsumowanie pierwszych jedenastu. Grubością dorównywała średniowiecznej Biblii, czytało się ją jak książkę. Opowiadała całą historię życia Brooka Armstronga. Po każdym istotnym fakcie następował podany w nawiasach numer, wskazujący w skali od jednego do dziesięciu, jak solidnie fakt ten został udokumentowany. Większość numerów stanowiły dziesiątki.

Historia zaczynała się na stronie pierwszej od rodziców. Matka Armstronga dorastała w Oregonie. Przeniosła się do stanu Waszyngton, aby skończyć college, po czy wróciła do Oregonu i zaczęła pracę farmaceutki. Pokrótce nakreślono biografię jej rodziców i rodzeństwa, a także historię wykształcenia, od przedszkola po studia. Kolejno wymieniono pracodawców, a początkowi własnego biznesu aptekarskiego poświęcono trzy stronicie. Wciąż była właścicielką apteki i czerpała z niej zyski, przeszła już jednak na emeryturę i chorowała na coś, co mogło okazać się śmiertelne.

Opisano też edukację ojca Armstronga. W historii służby wojskowej podano datę rozpoczęcia i zwolnienia z powodów medycznych, lecz żadnych szczegółów. Armstrong senior urodził się w Oregonie i po powrocie do cywila poślubił tamtejszą farmaceutkę. Razem przenieśli się do samotnej wioski w południowo-zachodnim krańcu stanu. Korzystając z pieniędzy rodziny, Armstrong kupił tartak. Wkrótce po ślubie małżonkom urodziła się córka. Dwa lata później na świat przyszedł Brook Armstrong. Interes pro-

sperował i rozrastał się. Opis całego procesu zajmował kilkanaście stron. Miła historia z prowincji.

Biografia siostry miała ponad centymetr grubości. Reacher pomiął ją i zajął się wykształceniem Brooka. Podobnie jak u wszystkich innych, historia zaczynała się w przedszkolu. Mnóstwo najdrobniejszych szczegółów, zbyt wiele, by poświęcić im uwagę. Zaczął przerzucać kartki. Armstrong przeszedł przez wszystkie kolejne etapy lokalnego szkolnictwa. Świetnie sobie radził w sporcie. Miał znakomite stopnie. Tuż po wyjeździe Armstronga do college'u jego ojciec zmarł na wylew. Rodzina sprzedała tartak. Apteka prosperowała. Armstrong spędził siedem lat na dwóch różnych uniwersytetach - najpierw Cornell w Nowym Jorku, potem Stanforda w Kalifornii. Miał długie włosy, ale nie dowiedziono, że zażywał narkotyki. W Stanfordinie poznał dziewczynę z Bismarck, podobnie jak on sam studentkę na wydziale politologii. Pobrali się. Zamieszkali w Dakocie Północnej, a on rozpoczął karierę polityczną, prowadząc kampanię w wyborach do władz stanowych.

- Muszę wracać do domu - powiedział Swain. - Jest Święto Dziękczynienia. Mam dzieci, a żona mnie zamorduje.

Reacher przyjrzał się reszcie materiałów. - Armstrong zaczynał właśnie swe pierwsze lokalne wybory. Czekają go jeszcze piętnaście centymetrów dokumentów. Przerzucił je kciukiem.

- Nie ma tu nic, co mogłoby nas zaniepokoić? - spytał.

- Nigdzie nic nie ma - odparł Swain.

- Czy wszystko jest takie szczegółowe?

- Jeszcze bardziej.

- Znajdę tu coś, jeśli będę czytał całą noc?

- Nie.

- Czy te materiały wykorzystano w letniej kampanii?

Swain skinął głową.

- Jasne, to świetna biografia. Dzięki niej w ogóle go wy-

brano. Mnóstwo szczegółów poznaliśmy podczas kampanii.

- I jest pan pewien, że w jej trakcie nie przysporzył sobie wrogów?

- Jestem pewien.

- Skąd w takim razie pańskie przecucie? Kto tak bardzo nienawidzi Armstronga i dlaczego?

- Nie wiem - przyznał Swain. - To tylko wrażenie.

Reacher skinął głową.

- Dobrze - rzekł. - Proszę jechać do domu.

Swain chwycił płaszcz i wyszedł pospiesznie, a Reacher na wrywki sprawdził kolejne lata. Neagley grzebała w stosach materiałów źródłowych. Po godzinie oboje zrezygnowali.

- Wnioski? - spytała Neagley.

- Swain ma bardzo nudną robotę. Uśmiechnęła się.

- Zgadza się.

- Ale coś mnie tu uderzyło, poprzez swoją nieobecność, coś, czego tu nie ma. Politycy to ludzie cyniczni, wykorzystują wszystko, co stawia ich w dobrym świetle. Weźmy na przykład jego matkę. Mamy tu mnóstwo niekończących się szczegółów dotyczących jej stopni w college'u i pracy farmaceutki. Po co?

- By zdobyć przychylność niezależnych kobiet i drobnych biznesmenów.

- Zgadza się. A opis choroby. Po co?

- Żeby Armstrong wyglądał na troskliwego syna, obowiązkowego, dla którego cenne są wartości rodzinne. To go ucłowiecza i dodaje szczerości jego poglądom w sprawie opieki zdrowotnej.

- Mamy też sporo na temat tartaku ojca.

- Znow, to dla biznesmenów, i dochodzą względy ochrony środowiska. No wiesz, drzewa, drwale i tak dalej. Armstrong może twierdzić, że dysponuje wiedzą praktyczną. Jego ojciec przerobił to wszystko na własnej skórze.

- Właśnie - przytaknął Reacher. - Zawsze starają się coś

znaleźć. Dla każdego coś miłego.

- No i?

- Całkowicie pominęli jego służbę wojskową. A zwykle uwielbiają takie historie, zwłaszcza podczas kampanii. Jeśli ojciec był w wojsku, wrzeszczą o tym na wszystkie strony, załatwiając dodatkowe poparcie. Ale tu brakuje szczegółów. Wstąpił do wojska, został zwolniony. Wiemy tylko tyle. Widzisz, o co mi chodzi? Wszędzie indziej toniemy po uszy w drobiazgach, ale nie tutaj. Dlatego się wyróżnia.

- Ojciec zmarł wieki temu.

- Nieważne. Gdyby mogli coś zyskać, z pewnością by o tym wspomnieli. A te względy medyczne? Gdyby był ranny, na pewno by to wykorzystali. Nawet wypadek podczas szkolenia. Zrobiliby z niego bohatera. I wiesz co? Nie lubię niewyjaśnionych zwolnień z przyczyn medycznych. Wiesz, jak to jest. Człowiek zaczyna się zastanawiać. Prawda?

- Chyba faktycznie. Ale z pewnością nie ma to związku ze sprawą: zdarzyło się jeszcze przed urodzeniem Armstronga, a facet zmarł prawie trzydzieści lat temu. Sam

mówiłeś, że katalizator stanowiło coś, co Armstrong zrobił podczas kampanii.

Reacher przytaknął.

- Mimo wszystko jednak wolałbym wiedzieć więcej. Chyba możemy spytać wprost Armstronga?

- Nie musimy - odparła Neagley. - Jeśli naprawdę chcesz, mogę się dowiedzieć. Wystarczy parę telefonów, mamy mnóstwo kontaktów. Ludziom, którzy chcą u nas pracować, gdy odejdą na emeryturę, zwykle zależy na tym, by zrobić jak najlepsze wrażenie.

- Dobra, zrób to, jutro rano.

- Załatwię to jeszcze dzisiaj. Wojsko wciąż pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. To się nie zmieniło.

- Powinnaś się przespać. Mogę zaczekać.

- Ja już nie śpiam.

Reacher ziewnął.

- Ja mam zamiar się przespać.

- Kiepski dzień - zauważyła Neagley.

Reacher skinął głową.

- Trudno wyobrazić sobie gorszy. Jeśli chcesz, to dzwoń, ale nie budź mnie, żeby powiedzieć, czego się dowiedziałś. Wysłucham tego jutro.

* * *

Nocny oficer dyżurny załatwił im przewóz do motelu w Georgetown. Reacher wrócił wprost do pokoju. Był cichy, nieruchomy, pusty, starannie wysprzątanym. Zasłano łóżko, pudełko Joego zniknęło. Na chwilę usiadł w fotelu, zastanawiając się, czy Stuyvesant odwołał rezerwację Froelich, a potem poczuł, jak przygniata go nocna cisza i poczucie dziwnego braku, nieobecności. Kogoś, kto powinien tu być, ale kogo nie było. Kogo? Froelich, oczywiście. Tęsknił za nią. Powinna tu być, a jej nie było. Razem opuszczali ten pokój wcześniej rano. Dziś wygramy albo przegramy, powiedziała. Przegrana nie wchodzi w grę, odparł. Kogoś brakowało. Może Joego? Może mnóstwa rzeczy? W jego życiu brakowało ich tak wielu, rzeczy, których nie zrobił, których nie powiedział. Czego dokładnie? Może po prostu wciąż dręczyły go pytania w sprawie ojca Armstronga, a może coś więcej. Czy brakowało czegoś jeszcze? Zamknął oczy, starając się zlokalizować źródło uczucia, widział jednak tylko różową mgiełkę krwi Froelich, opadającą w słońcu. Uniósł powieki, zdjął ubranie i trzeci raz tego dnia wziął prysznic. Odkrył, że patrzy pod nogi, jakby spodziewał się, że brodzik znów zabarwi się czerwienią. Ale pozostał czysty i biały.

Łóżko było zimne i twarde. Nowa pościel poskrzypywała od krochmalu. Samotnie wsunął się pod kołdrę i przez godzinę patrzył w sufit, pogrążony w myślach. W końcu wyłączył się i zmusił do zaśnięcia. Śnił o bracie spacerującym ręką w rękę z Froelich latem

dookoła zalewu. Światło było miękkie i złociste, a krew tryskająca z jej karku wisiała w nieruchomym ciepłym powietrzu niczym połyskliwa czerwona wstęga, półtora metra nad ziemią. Nie poruszały jej przechodzące tłumy, a gdy wraz z Joem przybyli na miejsce, z którego wyruszyli, wstęga zataczała pełny krąg wokół zalewu. Potem Froelich zmieniła się w Swaina, a Joe w policjanta z Bismarck. Jego rozpięty płaszcz łopotał w rytm kroków. Swain mówił każdemu, kogo spotkał: „Chyba popełniliśmy błąd w obliczeniach”. Potem Swain zamienił się w Armstronga. Armstrong uśmiechnął się promiennie uśmiechem polityka. Rzekł: „Tak mi przykro”, a policjant odwrócił się, wyciągnął spod łopoczącego płaszcza długi karabin, powoli odciągnął zamek i strzelił Armstrongowi w głowę. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, bo karabin był wytłumiony. Żadnego dźwięku, nawet gdy Armstrong wpadł do wody i odpłynął w dal.

* * *

O szóstej rano Reachera obudził telefon z recepcji. Minutę później rozległo się stukanie do drzwi. Reacher wyturlał się z łóżka, owinął w pasie ręcznikiem i zerknął w wizjer. To była Neagley, ubrana, gotowa do wyjścia. Przyniosła mu kawę. Wpuścił ją, usiadł na łóżku i pociągnął łyk gorącego płynu. Ona tymczasem krążyła tam i z powrotem po wąskiej przestrzeni między łóżkiem i oknem. Sprawiała wrażenie nakręconej, wyglądała, jakby całą noc piła kawę.

- W porządku. Ojciec Armstronga? - zaczęła, jakby w jego imieniu zadawała pytanie. - Został powołany pod koniec wojny koreańskiej. Nigdy nie uczestniczył w walkach, ale przeszedł szkolenie oficerskie, ukończył je jako podporucznik i został przydzielony do kompanii piechoty. Stacjonowali w Alabamie, w jakiejś dawno zapomnianej bazie. Mieli rozkaz osiągnąć gotowość bojową, szykując się do walki, która - jak wszyscy wiedzieli - już się zakoń-

czyła. Wiesz, jak wyglądają takie przygotowania, prawda?

Reacher przytaknął sennie. Pociągnął łyk kawy.

- Jakiś kretyń kapitan organizuje niekończące się konkursy - rzekł. - Punkty za to, punkty za tamto, premie i kary, pod koniec miesiąca kompania B zabiera do koszar flagę za to, że skopała tyłek kompanii A.

- A Armstrong senior zwykle wygrywał - dodała Neagley.
- Bardzo sprawnie wszystkim kierował, tyle że miał problemy z opanowaniem nerwów. Był nieprzewidywalny. Jeśli ktoś coś schrzanił i stracił punkty, Armstrong potrafił wpaść w szał. Zdarzyło mu się to parę razy. Nie zwykłe oficerskie bzdury. Określono to mianem poważnych ataków niekontrolowanej wściekłości. Posuwał się za daleko, jakby nie umiał się powstrzymać.

- I?

- Dwa razy mu darowali. To nie trwało stale. Zdarzało się od czasu do czasu, lecz po trzecim razie doszło do poważnych obrażeń fizycznych i wykopali go. Ale wszystko ukryli, zorganizowali zwolnienie z przyczyn psychologicznych. Uznali to za typowy stres pola walki, choć nigdy nie uczestniczył w walce.

Reacher się skrzywił.

- Pewnie miał przyjaciół. I ty też, skoro zdołałaś dotrzeć tak głęboko.

- Całą noc wisiałam na słuchawce. Stuyvesant dostanie zawału, gdy zobaczy rachunek telefoniczny.

- Ile było ofiar?

- Też o tym pomyślałam, ale możemy o nich zapomnieć. Trzy, jedna na każdy incydent. Jedna zginęła w Wietnamie. Jedna zmarła dziesięć lat temu w Palm Springs. A trzeci gość ma ponad siedemdziesiąt lat i mieszka na Florydzie.

- Ślepa uliczka - mruknął Reacher.

- Wyjaśnia jednak, czemu nie uwzględnili go w kampanii.

Reacher pokiwał głową, napił się kawy.

- Czy możliwe, by Armstrong odziedziczył skłonność do ataków wściekłości? Froelich mówiła, że widywała, jak się złościł.

- Też mi to przyszło do głowy - odparła Neagley. - W sumie całkiem prawdopodobne. Kiedy upierał się, że pojedzie na jej pogrzeb, czuło się, że musi się hamować, prawda? Zakładałam jednak, że gdyby miał z tym kłopoty, już dawno by to wypłynęło. Facet przez całe życie kandyduje na różne urzędy. A wszystko zaczęło się latem, razem z kampanią. Już to ustaliliśmy.

Reacher przytaknął bezwiednie.

- Kampania - powtórzył.

Siedział bez ruchu z kubkiem w dłoni, patrząc wprost w ścianę, przez minutę, potem dwie.

- Co się stało? - spytała Neagley.

Nie odpowiedział. Po prostu wstał, podszedł do okna, rozsunął zasłony i spojrzął na fragmenty Waszyngtonu widoczne pod szarym porannym niebem.

- Co właściwie Armstrong robił w czasie kampanii? - spytał.

- Mnóstwo rzeczy.

- Ilu reprezentantów ma Nowy Meksyk?

- Nie wiem - przyznała Neagley.

- Myślę, że trzech. Potrafisz ich wymienić?

- Nie.

- Rozpoznałabyś któregoś na ulicy?

- Nie.

- Oklahoma?

- Nie wiem. Pięciu?

- Chyba sześciu. Wymienisz ich?

- Jeden z nich to dupek, tyle wiem. Nie pamiętam, jak się nazywa.

- Senatorzy z Tennessee?

- Do czego zmierzasz?

Reacher wyglądał przez okno.

- Cierpimy na chorobę stolicy - rzekł. - Wszyscy się nią zaraziliśmy. Nie patrzymy na całą sprawę z punktu widzenia normalnych ludzi. Dla przeciętnych obywateli wszyscy ci politycy są absolutnie nikim. Sama to powiedziałaś. Mówiłaś, że interesujesz się polityką, ale nie potrafisz wymienić nazwisk wszystkich stu senatorów. A większość ludzi interesuje się nią tysiąc razy mniej od ciebie. Większość ludzi nie rozpoznałaby młodszego senatora innego stanu, nawet gdyby wpadł na nich i ugryzł ich w tyłek. Albo ugryzła, jak powiedziałyby Froelich. Sama przyznała, że przed wyborami nikt nawet nie słyszał o Armstrongu.

- I co z tego?

- I to, że Armstrong zrobił podczas kampanii coś absolutnie podstawowego, elementarnego. Postawił się na widoku. Po raz pierwszy w jego życiu zwykli ludzie poza ojczystym stanem i kręgiem najbliższych przyjaciół ujrzeli jego twarz, usłyszeli nazwisko. Pierwszy raz. Myślę, że wszystko sprowadza się właśnie do tego.

- W jaki sposób?

- Przypuśćmy, że jego twarz przywołała u kogoś wspomnienia z przeszłości, nagle, niespodziewanie. To był szok.

- Na przykład u kogo?

- Na przykład, wyobraź sobie, że jesteś facetem. Dawno temu młody gość wpadł w szal i ci dokopał. Coś w tym stylu. Może w barze, może z powodu dziewczyny, może cię poniżył. Odtąd nigdy go nie widziałaś, ale wspomnienie tkwi ci w głowie niczym zadra. Mijają lata i nagle w gazetach i na ekranie telewizora widzisz tego faceta. To polityk kandydujący na wiceprezydenta. Przez te wszystkie lata w ogóle o nim nie słyszałaś, bo nie oglądasz C-SPAN ani CNN. Teraz patrzy na ciebie ze wszystkich stron, jest wszędzie. Co zrobisz? Jeśli znasz się na polityce, możesz skontaktować się z jego przeciwnikami i publicznie wyprać brudy. Ale nie znasz się na polityce, bo widzisz go po raz pierwszy od czasu tamtej

bójki w barze wiele lat temu. Co zatem robisz? Jego widok ożywia wspomnienia. Czujesz, że nie dają ci spokoju.

- Uważasz, że to zemsta?

Reacher przytaknął.

- To wyjaśniałoby domysł Swaina, że chcieli, by cierpiał. Może jednak Swain patrzył nie tam, gdzie trzeba. Może wszyscy patrzyliśmy nie tam, gdzie trzeba. Bo może nie chodzi tu ośobiście o Armstronga polityka. Może to kwestia Armstronga człowieka. Sprawa naprawdę osobista.

Neagley zatrzymała się, usiadła w fotelu.

- To bardzo mgliste - stwierdziła. - Ludzie zapominają o takich rzeczach.

- Zapominają?

- Zwykle tak.

Reacher na nią zerknął.

- Ty nie zapomniałas o tym, co sprawiło, że nie lubisz, gdy ludzie cię dotykają.

W pokoju zapadła cisza.

- No dobra - przyznała. - Normalni ludzie zapominają.

- Normalni ludzie nie porywają kobiet, nie obcinają innym kciuków i nie zabijają niewinnych osób.

- Dobra - powtórzyła Neagley. - To jakaś teoria. Do kogo możemy z nią pójść?

- Może wprost do Armstronga? - zaproponował Reacher.

- Ale byłaby to trudna rozmowa z wiceprezydentem elektym. Nie wiem też, czy w ogóle o czymkolwiek pamięta. Jeśli odziedziczył temperament, przez który ojca wywalili z wojska, mógł w młodości toczyć dziesiątki bójek. To silny gość. Nim się opanował, mógł być prawdziwym diablem.

- Może do żony? Są ze sobą od bardzo dawna.

Reacher nie odpowiedział.

- Czas ruszać - oznajmiła Neagley. - O siódmej mamy spotkanie z Bannonom. Powiemy mu?

- Nie - rzucił Reacher. - I tak nie posłucha.

- Idź, weź prysznic.

Reacher skinął głową.

- Najpierw powiem coś jeszcze. Wczoraj przez godzinę nie mogłem przez to zasnąć. Cały czas mnie dręczyło. Coś, czego brakuje, coś, czego nie zrobiliśmy.

Neagley wzruszyła ramionami.

- Dobra - mruknęła. - Zastanowię się. A teraz bierz tyłek w troki.

* * *

Ubrał się w ostatni z garniturów Joego - grafitowoszary, miękki niczym jedwab. Do tego w ostatnią czystą koszulę, sztywną od krochmalu, białą jak świeży śnieg. Ostatni krawat był granatowy w drobny rzucik. Po uważnym przyjrzeniu się Reacher dostrzegł, że powtarzający się element stanowiła ręka miotacza, ściskająca piłkę baseballową, gotowa do rzutu.

Spotkali się z Neagley w holu. Reacher zjadł babeczkę z bufetu i zabrał kubek kawy do lincolna Secret Service. Odrobinę się spóźnili; gdy dotarli do sali konferencyjnej, Bannon i Stuyvesant byli już na miejscu. Strój Bannona wciąż kojarzył się z miejskim policjantem, Stuyvesant z powrotem przywdział garnitur od Brooks Brothers. Reacher i Neagley usiedli obok niego, zostawiając jedno wolne krzesło. Bannon spojrzał na nie, jakby sądził, że symbolizuje nieobecność Froelich.

- FBI nie wysłał agentów do Grace w stanie Wyoming - oznajmił. - To prośba Armstronga, przekazana przez dyrektora. Nie życzy sobie żadnego cyrku.

- To mi odpowiada - odparł Reacher.

- Tracisz tylko czas - zauważył Bannon. - Zgodziliśmy się wyłącznie dlatego, że nam to odpowiada. Przeciwnicy wiedzą, jak działamy, pracowali w tym biznesie.

Z pewnością rozumieją, że to oświadczenie to pułapka, więc się nie zjawia. Reacher skinął głową.

- Nie pierwszy raz pojedę gdzieś na próżno.
- Ostrzegam przed niezależnym działaniem.
- Według ciebie nie dojdzie do żadnego działania.

Bannon skinął głową.

- Dostaliśmy wyniki balistyczne - rzekł. - Karabin znaleziony w magazynie to zdecydowanie ta sama broń, z której strzelano w Minnesocie.

- Skąd więc się tu wzięła? - wtrącił Stuyvesant.

- Wczoraj wieczorem poświęciliśmy temu ponad sto roboczogodzin - odparł Bannon. - Z całą pewnością mogę jedynie stwierdzić, że tu nie przyleciała. Sprawdziliśmy wszystkie przyloty komercyjne na ośmiu lotniskach. Nigdzie nie zgłoszono przewozu broni. Potem sprawdziliśmy prywatne samoloty na tych samych lotniskach. Nic podejrzanego.

- Czyli przywieźli ją samochodem? - spytał Reacher.

Bannon przytaknął.

- Ale z Bismarck do Waszyngtonu jest prawie dwa tysiące kilometrów. Ponad dwadzieścia godzin jazdy, nawet w szalonym tempie. Biorąc pod uwagę ramy czasowe, to niemożliwe. Czyli karabinu nie było w Bismarck. Przyjechał wprost z Minnesoty, ponad tysiąc pięćset kilometrów, czterdzieści osiem godzin. Nawet twoja babcia by sobie poradziła.

- Moja babcia nie miała prawa jazdy - odparł Reacher. - Wciąż uważacie, że sprawców jest trzech?

Bannon pokręcił głową.

- Nie, po zastanowieniu wracamy do teorii dwóch. W ten sposób wszystko układa się lepiej. Zakładamy, że zespół rozdzielił się we wtorek pomiędzy Minnesotę i Kolorado i pozostał rozdzielony. Facet udający policjanta z Bismarck działał samotnie. To ma sens. Wiedział w końcu, że w chwili znalezienia podrzuconej broni agencji ciasno otoczą Armstronga, a pistolet maszynowy, zwłaszcza H&K MP5, wobec tłumu sprawdza się lepiej niż karabin snajperski. Nasi

ludzie twierdzą, że z odległości stu metrów jest równie celny jak karabin i ma dużo większą siłę rażenia. Magazynek na trzydzieści pocisków starczyłby, żeby rozwalić całą szóstkę agentów i z łatwością załatwić Armstronga.

- Po co zatem jego kolega miałby tu w ogóle przyjeżdżać? - chciał wiedzieć Stuyvesant.

- Bo to wasi ludzie - odparł Bannon. - Zawodowcy, realistycznie podchodzący do sprawy. Znali swoje szanse. Wiedzieli, że nie mogą zagwarantować stuprocentowego powodzenia. Sprawdzili więc rozkład zajęć Armstronga i zaplanowali działanie na zmianę, żeby mieć pewność.

Stuyvesant milczał.

- Ale wczoraj byli razem - przypomniał Reacher. - Twierdzisz, że pierwszy facet przywiózł tu vaime. A ja widziałem gościa z Bismarck na dachu magazynu.

- Zgadza się - odrzekł Bannon. - Zeszli się, bo wczorajszy dzień dawał im ostatnią dobrą sposobność na jakiś czas. Facet z Bismarck musiał przylecieć zwykłym lotem wkrótce po tym, jak was tu przywieźli.

- Gdzie więc jest H&K? Musiał porzucić go gdzieś w Bismarck, między kościołem i lotniskiem. Znaleźliście go?

- Nie - przyznał Bannon. - Ale nadal szukamy.

- A kim był facet, którego policja stanowa widziała w okolicy?

- Skreśliliśmy go. Niemal na pewno zwykły cywil.

Reacher pokręcił głową.

- Zatem działający samotnie zamachowiec podrzucił dla zmyłki broń, po czym wrócił do kościoła z H&K?

- Czemu nie?

- Próbowales kiedyś z ukrycia strzelać do człowieka?

- Nie.

- A ja tak - oznajmił Reacher. - To średnio zabawna sprawa. Musisz leżeć wygodnie, odprężony i czujny. Wszystko sprowadza się do mięśni. Z dużym wyprzedzeniem zajmujesz pozycję, poprawiasz ją, oceniasz odległość,

sprawdzasz wiatr i kąt nachylenia bądź wzniesienia, obliczasz tempo opadania kuli. A potem po prostu leżysz, patrząc przez lunetkę, zwalniasz oddech, czekasz, aż serce zacznie wolniej bić. I wiesz, czego w tym momencie pragniesz najbardziej na świecie?

- Czego?

- Chcesz, żeby ktoś, komu ufasz, pilnował ci pleców. Sam koncentrujesz się wyłącznie na tym, co dzieje się przed tobą, i zaczynasz czuć mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Jeśli ci ludzie to realistycznie podchodzący do sprawy profesjonalści, tak jak twierdzisz, nie ma mowy, by jeden z nich był sam na dzwonnicy.

Bannon milczał.

- On ma rację - dodała Neagley. - Trzeba założyć, że ów intruz w istocie pilnował strzelca. Wraciał właśnie, podrzuciwszy karabin, okrążał teren z dala od ogrodzenia. Strzelec ukrywał się w kościele, czekając na jego powrót.

- Co nasuwa nam pytanie - mruknął Reacher. - Któż to w owym czasie jechał samochodem z Minnesoty?

Bannon wzruszył ramionami.

- No dobra, jest ich trzech.

- I wszyscy to nasi ludzie? - spytał pozornie obojętnie Stuyvesant.

- A czemu nie?

Reacher pokręcił głową.

- Masz obsesję. Może po prostu aresztujesz wszystkich dawnych pracowników Secret Service? Pewnie zostało jeszcze kilku stulatków z ochrony Roosevelta.

- Trzymamy się naszej teorii - oznajmił Bannon.

- Super - rzucił Reacher. - Dzięki temu mam was z głowy.

- Już dwukrotnie ostrzegąłem, byś nie zaczynał osobistej zemsty.

- A ja dwukrotnie cię słyszałem.

W sali zapadła cisza.

Nagle twarz Bannona złagodniała. Zerknął na puste krzesło Froelich.

- Choć doskonale rozumiem kierujące tobą motywy - dodał.

Reacher spuścił wzrok.

- Zamachowców jest dwóch, nie trzech - oznajmił. - Zgadzam się z tobą. To lepiej pasuje. W takiej sprawie najlepiej byłoby działać samotnie, ale to niepraktyczne. Zatem musi ich być dwóch, nie trzech. Trzeci stukrotnie zwiększa ryzyko.

- To co zrobili z karabinem?

- Oczywiście wysłali go kurierem - odparł Reacher. - FedExem, UPS albo czymś takim. Może nawet pocztą. Pewnie wsadzili go do pudła wraz z piłami, młotkami, nazywali dostawą próbek narzędzi czy podobną bzdurą. I wysłali na adres tutejszego motelu, gdzie czekał spokojnie na ich przyjazd. Ja przynajmniej tak właśnie bym zrobił.

Bannon sprawiał wrażenie zawstydzonego. Bez słowa wstał i wyszedł. Zamykane drzwi szczęknęły. W sali zapadła cisza. Stuyvesant wciąż siedział na swoim miejscu, poruszył się niezręcznie.

- Musimy pomówić - oznajmił.

- Zwalniasz nas - domyśliła się Neagley.

Skinął głową, wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął dwie wąskie, białe koperty.

- To już nie jest sprawa wewnętrzna, dobrze o tym wiesz. Zaszła stanowczo za daleko.

- Ale wiesz, że Bannon szuka nie tego, kogo trzeba?

- Mam nadzieję, że sam to zrozumie - odparł Stuyvesant. — Wówczas może zacznie szukać bliżej celu. Tymczasem będziemy bronić Armstronga, poczynając od tego wariactwa w Wyoming. To właśnie robimy, tylko tyle możemy zrobić. Reagujemy, ochramiamy. Nie mamy podstaw prawnych, by zatrudniać ludzi z zewnątrz.

Popchnął pierwszą kopertę z dostateczną siłą, by prze-

sunęła się dokładnie dwa metry i zatrzymała przed Reacherem. Potem drugą, lżej. Ta trafiła przed Neagley.

- Później - powiedział Reacher. - Zwolnij nas później. Daj nam resztę dnia.

- Czemu?

- Musimy porozmawiać z Armstrongiem, tylko ja i Neagley.

- O czym?

- O czymś ważnym - powiedział Reacher i znów umilkł.

- Chodzi o to, o czym gadaliśmy dziś rano?

- Nie, o to, co nie dawało mi spokoju wczoraj w nocy.

- Coś, czego brakowało, czego nie zrobiono?

Pokręcił przecząco głową.

- O czymś, czego nie powiedziano.

- Czyli?

Reacher nie odpowiedział. Zebrał obie koperty i podał je z powrotem. Stuyvesant zatrzymał je dłonią, uniósł i popatrzył niepewnie.

- Nie mogę wam pozwolić na rozmowę z Armstrongiem beze mnie.

- Musisz - odrzekł Reacher. - Tylko wtedy zdołamy cokolwiek osiągnąć.

Stuyvesant milczał. Reacher na niego zerknął.

- Opowiedz mi, jak działa system pocztowy. Od jak dawna sprawdzacie pocztę Armstronga?

- Od początku - wyjaśnił Stuyvesant. - Odkąd wybrano go na kandydata. To absolutnie standardowa procedura.

- Jak to działa?

Stuyvesant wzruszył ramionami.

- Bardzo prosto. Z początku agenci w jego domu otwierali wszystko, co tam dostarczono. Mieliśmy też swojego człowieka w biurze Senatu, który otwiera tamtejsze przesyłki, i drugiego w Bismarck, sprawdzającego miejscową pocztę. Lecz po pierwszych paru listach przeorganizowaliśmy wszystko dla wygody. Teraz cała poczta przechodzi

przez to biuro.

- Ale wszystko zawsze trafia do niego, prócz pogrózek?

- Oczywiście.

- Znasz Swaina?

- Teoretyka? Odrobinę.

- Powinieneś go awansować albo dać mu premię i mocnego buziaka w czoło. Bo jest jedynym tutaj człowiekiem, nie pomijając nas, który wpadł na oryginalny pomysł.

- Jaki to pomysł?

- Musimy spotkać się z Armstrongiem jak najszybciej. Ja i Neagley, sami. Potem uznamy się za zwolnionych i nigdy więcej nas nie zobaczysz. I nigdy więcej nie zobaczysz też Bannona, ponieważ twój problem w ciągu kilku dni zostanie rozwiązany.

* * *

Był dzień po Świącie Dziękczynienia, Armstrong rozpoczął już dobrowolny urlop od spraw publicznych, lecz zorganizowanie spotkania okazało się mocno problematyczne. Tuż po porannej naradzie Stuyvesant awansował jednego z sześciu dawnych rywali Froelich. Facet rzucił się w wir pracy z szowinistycznym teraz wreszcie możemy zrobić wszystko jak należy. W obecności Stuyvesanta pannał nad sobą, bo nie chciał go urazić. Rzucił im jednak pod nogi wszelkie możliwe kłody. Podstawową przeszkodą okazała się stara zasada, że żadna osoba chroniona nie może zostać sam na sam z gośćmi, bez obecności co najmniej jednego agenta. Reacher dostrzegał w tym pewną logikę. Nawet gdyby dokładnie ich przeszukano, wraz z Neagley w ciągu półtorej sekundy mogliby rozszarpać Armstronga na strzępy. Ale musieli spotkać się z nim sam na sam. To było najważniejsze. Stuyvesant nie chciał już pierwszego dnia podważać decyzji nowego szefa zespołu, w końcu jednak powołał się na ich uprawnienia z Pentagonu i zarządził, że w tym wypadku wystarczy dwóch agentów pełniących straż przy drzwiach. Następnie zadzwonił

do domu Armstronga, by dograć wszystko osobiście. Po paru słowach rozłączył się, mówiąc, iż Armstrong miał bardzo zatroskany głos i obiecał, że oddzwoni.

Czekali. Armstrong istotnie oddzwonił po dwudziestu minutach i poinformował Stuyvesanta o trzech sprawach: po pierwsze zdrowie jego matki gwałtownie się pogorszyło, toteż po drugie chciał jeszcze tego samego dnia polecieć do Oregonu. Toteż po trzecie spotkanie z Reacherem i Neagley będzie musiało być krótkie i opóźni się o dwie godziny potrzebne mu na pakowanie.

Reacher i Neagley wrócili do biura Froelich, by tam zaczekać, i odkryli, że pokój zajął już nowy szef zespołu.

Roślina zniknęła, przestawiono wszystkie meble, wnętrze uległo zmianie. Po Froelich pozostała tylko słaba woń perfum, wciąż unosząca się w powietrzu. Wrócili do recepcji i usiedli wygodnie w skórzanych fotelach, oglądając telewizję bez dźwięku. Telewizor ustawiono na kanał informacyjny. Raz po raz widzieli umierającą Froelich, ginącą bezgłośnie w zwolnionym tempie. Widzieli też fragmenty późniejszego oświadczenia Armstronga i wywiad z Bannonem przed Budynkiem Hoovera. Nie prosili o włączenie dźwięku, wiedzieli, co powie. Oglądali informacje sportowe z rozgrywek w Święto Dziękczynienia. Wreszcie Stuyvesant wezwał ich do siebie.

Sekretarki nie było, najwyraźniej spędzała długi weekend w domu. Przemaszerowali przez pustą poczekalnię i usiedli przed nieskazitelnie czystym biurkiem Stuyvesanta, podczas gdy on informował ich o zasadach spotkania.

- Żadnego kontaktu fizycznego - zaczął.

Reacher się uśmiechnął.

- Nawet uścisku dłoni?

- Uścisk dłoni chyba może być - ustąpił Stuyvesant. -

Ale nic poza tym. I nie wolno wam ujawniać niczego na temat bieżącej sytuacji. On nie wie i nie chce, żeby dowie-

dział się od was. Zrozumiano?

Reacher skinął głową.

- Zrozumiano - powiedziała Neagley.

- Nie denerwujcie go i nie nękaście. Pamiętajcie, kim jest. I pamiętajcie, że ma na głowie chorą matkę.

- Dobra - rzucił Reacher.

Stuyvesant spojrzął w bok.

- Zdecydowałem, że nie chcę wiedzieć, czemu zależy wam na tym spotkaniu. I nie chcę wiedzieć, co się stanie później, jeśli w ogóle cokolwiek się stanie. Chcę jednak podziękować za to, co już zrobiliście. Wasz audyt nam pomoże. Myślę też, że ocaliliście nam skórę w Bismarck. Przez cały czas robiliście, co należy, i jestem wam za to niezmiernie wdzięczny. Reacher i Neagley milczeli.

- Zamierzam przejść na emeryturę - oznajmił Stuyvesant. - Teraz musiałbym mocno walczyć, by ocalić karierę. A prawda jest taka, że w tej chwili nie zależy mi na niej aż tak bardzo, by o nią walczyć.

- Ci ludzie nigdy nie byli waszymi agentami - powiedział Reacher.

- Wiem - odparł Stuyvesant. - Jednak straciłem dwoje naszych. Wystarczy, bym zakończył karierę. Ale to mój problem i moja decyzja. Powiem też, że bardzo się cieszę, iż miałem sposobność poznać brata Joego. Praca z wami była dla mnie prawdziwym zaszczytem.

Oboje milczeli.

- I cieszę się, że byłeś z M.E. do końca.

Reacher odwrócił wzrok.

Stuyvesant ponownie wyjął z kieszeni koperty.

- Nie wiem, czy wolałbym, abyście mieli rację, czy się mylili - rzekł. - W sprawie Wyoming. Poślemy tam trzech agentów i kilku miejscowych gliniarzy. To kiepska ochrona, jeśli coś pójdzie nie tak.

Przesunął koperty po biurku.

- Na dole czeka samochód - poinformował ich. - Za-

wiezie was do Georgetown. Później zostajecie sami.

Ruszyli do windy. Reacher zboczył z drogi i raz jeszcze odwiedził główny hol, wielki, pusty i mroczny. W ciszy słyhać było echo jego kroków na zimnej marmurowej posadzce. Przystanął pod wyrytą w ścianie listą, przez chwilę patrzył na imię i nazwisko brata. Zerknął na puste miejsce poniżej, gdzie wkrótce pojawią się nowe litery: Froelich. Potem zawrócił i dołączył do Neagley. Przeszli przez niewielkie drzwi ze wzmocnioną szybką i ujrzeli swój samochód.

* * *

Biały namiot nadal stał na chodniku przed domem Armstronga. Kierowca zatrzymał się dokładnie obok i przemówił do mikrofonu na przegubie. Sekundę później drzwi frontowe się otworzyły, na zewnątrz wyszło trzech agentów. Jeden przeszedł jasnym tunelem, otworzył drzwi wozu. Reacher wysiadł, za nim wysunęła się Neagley. Agent zamknął drzwi i stanął spokojnie przy krawężniku. Samochód odjechał. Drugi agent wyciągnął ręce i gestem dał im do zrozumienia, że powinni poczekać i poddać się rewizji. Przez chwilę stali w jasnym płóciennym półmroku. Neagley spięła się, gdy dotknęły jej obce dłonie, ale kontrola była bardzo pobieżna - ledwo ją obszukali i przeoczyli ceramiczny nóż, który Reacher ukrył w skarpecie.

Agenci poprowadzili ich naprzód, do przedpokoju Armstronga. Zamknęli drzwi. Dom był większy, niż wydawał się z zewnątrz - solidna budowla, która stała tu zapewne od stu lat i mogła spokojnie powstać sto kolejnych. Ściany przedpokoju oklejono pasiastą tapetą. Na antycznych meblach stały niezliczone oprawione w ramki zdjęcia. Na pokrywającej podłogę wykładzinie ułożono dywany. W kącie leżała sfatygowana torba, zapewne przygotowana na nagły wyjazd jej właściciela do Oregonu.

- Tędy - rzucił jeden z agentów.

Poprowadził ich w głąb domu, przez odchodzący z przedpokoju korytarzyk do dużej, połączonej z jadalnią kuchni, wyglądającej jak żywcem wyjęta z wiejskiej drewnianej chaty: sosnowe meble, wielki stół w jednym kącie, sprzęt kuchenny w drugim. W powietrzu unosiła się mocna woń kawy. Armstrong i jego żona siedzieli przy stole. Przed sobą mieli ciężkie porcelanowe kubki i cztery różne gazety. Pani Armstrong ubrana była w dres do joggingu. Jej skóra lśniła od potu, jakby gospodyni przed chwilą wyszła z minisłowni w piwnicy. Wyglądało na to, że nie jedzie z mężem do Oregonu. Nie była umalowana, sprawiała wrażenie zmęczonej i zniechęconej, jakby wydarzenia Święta Dziękczynienia wstrząsnęły nią do głębi.

Sam Armstrong był spokojny i opanowany. Pod marynarką z wysoko podciągniętymi rękawami miał czystą koszulę, bez krawata. Czytał komentarze redakcyjne z „New York Timesa” i „Washington Post”.

- Kawy? - zaproponowała pani Armstrong.

Reacher skinął głową. Kobieta wstała, przeszła do aneksu kuchennego, zdjęła z haczyków jeszcze dwa kubki i napełniła. Wróciła, niosąc je w obu rękach. Reacher nie potrafił określić, czy jest wysoka, czy niska. Była jedną z tych kobiet, które na płaskim obszarze sprawiają wrażenie niskich, a w szpilkach bardzo wysokich. Bez słowa wręczyła im kubki. Armstrong uniósł wzrok znad gazet.

- Przykro mi z powodu pańskiej matki - powiedziała Neagley.

Gospodarz skinął głową.

- Pan Stuyvesant poinformował mnie, że chcieliście pomówić prywatnie.

- Tak byłoby najlepiej - odparł Reacher.

- Czy moja żona może do nas dołączyć?

- To zależy od pańskiej definicji prywatności.

Pani Armstrong zerknęła na męża.

- Opowiesz mi później - rzekła. - Przed wyjazdem, jeśli

zajdzie taka potrzeba.

Armstrong ponownie skinął głową, demonstracyjnie złożył gazety. Potem wstał, podszedł do ekspresu i napełnił kubek.

- Chodźmy - rzekł.

Poprowadził ich z powrotem korytarzykiem do pokoju. Dwaj agenci towarzyszyli im krok w krok, zajęli posterunki po obu stronach na zewnątrz. Armstrong zerknął na nich, przepaszając i zamknął drzwi. Jeszcze parę kroków i znalazł się za biurkiem. Pokój urządzone niczym gabinet, ale bardziej wypoczynkowy niż prawdziwy. Brakowało w nim komputera - tylko stare, ciemne, drewniane biurko, obite skórą krzesła i książki, wybrane tak, by pasowały do wystroju. Do tego boazerie i stary perski dywan. Gdzieś w kącie odświeżacz powietrza wyrzucał z siebie nieustannie słodką mgiełkę. Na ścianie wisiało zdjęcie przedstawiające osobę nieokreślonej płci, stojącą na krze. Osoba miała na sobie obszerny puchowy płaszcz z kapturem i grube rękawice sięgające łokci. Z obramowanego futrem kaptura wynurzała się twarz okryta narciarską maską i żółtymi goglami. Jedna z dłoni w rękawicach unosiła się w geście powitania.

- Nasza córka - wyjaśnił Armstrong. - Poprosiliśmy o zdjęcie, bo za nią tęsknimy. Oto co przysłała. Ma poczucie humoru.

Usiadł za biurkiem. Neagley i Reacher zajęli dwa krzesła.

- Wszystko to wygląda bardzo poufnie - zauważył Armstrong.

Reacher przytaknął.

- I w ostatecznym rozrachunku myślę, że wszyscy zgodzimy się, iż powinno takie pozostać.

- Co pan ma na myśli?

- Pan Stuyvesant poinformował nas o zasadach - oznajmił Reacher. - Zamierzam właśnie je złamać. Secret Service

przechwyciła sześć listów z pogrózkami pod pańskim adresem. Pierwszy przyszedł pocztą osiemnaście dni temu. Dwa kolejne także pocztą. Trzy dostarczono bezpośrednio.

Armstrong milczał.

- Nie wygląda pan na zaskoczonego - zauważył Reacher.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Polityka to zaskakujące zajęcie.

- Pewnie tak - przyznał Reacher. - Wszystkie listy podpisano odciskiem kciuka. Zidentyfikowaliśmy go i znaleźliśmy staruszkę z Kalifornii. Obcięto mu kciuk i posłużono się nim niczym pieczętą.

Armstrong milczał.

- Drugi list zjawił się w biurze Stuyvesanta. Ostatecznie dowiedliśmy, że umieścił go tam technik ochrony, niejaki Nendick. Jego żonę porwano, by zmusić go do współpracy. Był tak przerażony niebezpieczeństwem grożącym jej w razie, gdyby cokolwiek zdradził, że zapadł w śpiączkę. Przy puszczaamy jednak, że do tego czasu i tak już ją zabili.

Armstrong milczał.

- W biurze pracuje teoretyk nazwiskiem Swain. To on pierwszy skojarzył fakty. Uznał, że popełniliśmy błąd w obliczeniach. Zrozumiał, że Nendick sam w sobie także miał być wiadomością. Co oznaczało siedem wiadomości, nie sześć. Potem dodaliśmy też staruszkę z Kalifornii, któremu odcięto kciuk. W sumie osiem. A także dwa wtorkowe zabójstwa, dziewiątą i dziesiątą wiadomość. Jedno w Minnesocie, jedno w Kolorado. Dwóch niespokrewnionych, obcych sobie ludzi nazwiskiem Armstrong, których zabito w ramach demonstracji przeciw panu.

- Nie! - westchnął Armstrong.

- A zatem dziesięć wiadomości - ciągnął Reacher. - Wszystkie miały sprawić, by pan cierpiał. Tyle że pana o nich nie poinformowano. Potem jednak zacząłem się zastanawiać, czy wciąż czegoś nie przeoczyliśmy. I wie pan co? Jestem pewien, że tak właśnie było. Myślę, że było co

najmniej jedenaście wiadomości.

- Co było jedenastą? - spytał Armstrong.

- Coś, co się prześliznęło - odparł Reacher. - Coś, co przyszło pocztą na pański adres, coś, czego Secret Service nie uznała za pogróżkę. Coś, co dla nich nic nie znaczyło, ale wiele znaczyło dla pana.

Armstrong milczał.

- Uważam, że to właśnie przyszło pierwsze, na samym początku, nim Secret Service się zorientowała. Myślę, że była to zapowiedź, którą tylko pan mógł zrozumieć. Uważam, że od początku wiedział pan o wszystkim. Myślę, że wie pan, kto to robi i dlaczego.

- Zginęli ludzie - powiedział Armstrong. - To bardzo poważne oskarżenie.

- Zaprzecza pan?

Milczenie.

Reacher pochylił się naprzód.

- Nigdy nie padły pewne kluczowe słowa - rzekł. - Gdybym ja tam stał, podając indyka, i nagle ktoś zaczął strzelać, a ktoś inny wykrwawił się na śmierć, ponieważ osłonił mnie swoim ciałem, wcześniej czy później spytałbym: kto to był, do diabła? Czego, do cholery, chcieli? Czemu, do diabła, to zrobili? To podstawowe pytania i proszę mi wierzyć, zadałbym je jasno i wyraźnie, ale pan ich nie zadał. Widzieliśmy się potem dwukrotnie, w piwnicy Białego Domu i później w biurze. Mówił pan różne rzeczy, pytał, czy już ich złapano. To była pańska największa troska. Ani razu nie spytał pan, kim są, jakimi kierują się motywami. A czemu? Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Pan już wiedział.

Armstrong milczał.

- Przypuszczam, że pańska żona też wie - dodał Reacher. - Wspominał pan, że wściekła się, twierdząc, iż naraża pan życie ludzi. Nie sądzę, by mówiła ogólnie. Myślę, że wie to, co pan, i uważa, że powinien był pan komuś powiedzieć.

Armstrong milczał.

- Przypuszczam zatem, że teraz nękają pana wyrzuty sumienia. Dlatego właśnie zgodził się pan wygłosić oświadczenie w telewizji. Dlatego nagle wybiera się pan na pogrzeb. To poczucie winy, bo pan wiedział i nikomu nie powiedział.

- Jestem politykiem - odparł Armstrong. - Mamy setki wrogów. Domysły nie miały sensu.

- Bzdura - przerwał mu Reacher. - To nie jest sprawa polityczna. To zemsta czysto osobista. Pańscy wrogowie polityczni to hodowca soi z Dakoty Północnej, który przez pana zarabia tygodniowo dziesięć centów mniej, bo zmienił pan wysokość dotacji, albo nadęty stary senator, którego nie chciał pan poprzeć. Hodowca soi może spróbować się odegrać podczas następnych wyborów, senator zaczekać i zepsuć pańskie plany podczas jakiegoś ważnego głosowania. Ale żaden z nich nie zrobi tego, co ci ludzie.

Armstrong milczał.

- Nie jestem głupcem - oznajmił Reacher. - Czuję gniew, bo patrzyłem, jak kobieta, którą bardzo lubiłem, na moich oczach wykrwawia się na śmierć.

- Ja też nie jestem głupcem - odparł Armstrong.

- Myślę, że jednak pan jest. Coś z przeszłości upomina się o pana, a pan sądzi, że może po prostu to zignorować i mieć nadzieję, że sobie pójdzie? Nie wiedział pan, że do tego dojdzie? Wszystkim wam brak stosownej perspektywy.

Sądzi pan, że zdobył światową sławę, bo zasiadał pan w Izbie Reprezentantów i Senacie? Wcale nie. Prawdziwi ludzie nigdy o panu nie słyszeli, aż do tegorocznej kampanii. Sądził pan, że wszystkie pana sekrety wyszły już na jaw? Ależ nie.

Armstrong milczał.

- Kim oni są? - spytał Reacher.

Wiceprezydent wzruszył ramionami.

- A jak pan sądzi? - odpowiedział pytaniem.

Reacher odczekał chwilę.

- Sądzę, że ma pan problemy z opanowaniem złości, tak jak pański ojciec. Sądzę, że kiedyś, nim nauczył się pan samokontroli, dopiekł pan wielu ludziom. Niektórzy zapomnieli, inni nie. Myślę, że krzywda, jakiej doświadczył ten człowiek, odcisnęła się trwałym piętnem na jego życiu. Nieważne, czy był to ból fizyczny, czy też poniżenie, czy inny głęboki wstrząs. Uważam, iż osoba ta stłumiła wspomnienia, kryjąc je w zakątku umysłu aż do dnia, gdy włączyła telewizor i po raz pierwszy od trzydziestu lat ujrzała pańską twarz.

Armstrong przez długą chwilę siedział bez ruchu.

- Jak wiele z tego wie FBI?

- Absolutnie nic. Cały czas szuka ludzi, którzy nie istnieją. Zdecydowanie ich wyprzedzamy.

- A jakie ma pan zamiary?

- Zamierzam panu pomóc - odparł Reacher. - Choć w żaden sposób pan na to nie zasłużył. To czysty przypadek, produkt uboczny. Działam w imieniu Nendicka i jego żony, starszka nazwiskiem Andretti, dwóch mężczyzn nazwiskiem Armstrong, Crosettiego i zwłaszcza Froelich, dawnej przyjaciółki mojego brata.

Cisza.

- Czy to zostanie między nami? - spytał Armstrong.

Reacher skinął głową.

- Będzie musiało. Sam wykorzystam te informacje.

- Wygląda na to, że zamierza pan podjąć bardzo poważne działania.

- Ludzie, którzy igrają z ogniem, w końcu się parzą.

- Takie jest prawo dżungli.

- A jak pan myśli, gdzie pan żyje?

Przez długą chwilę Armstrong milczał.

- Zatem będzie pan znał moją tajemnicę, a ja pańską.

Reacher skinął głową.

- I wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Kolejna chwila ciszy, trwająca całą minutę. Reacher ujrzał, jak Armstrong polityk znika, ustępując miejsca Armstrongowi człowiekowi.

- Większość pańskich założeń jest błędna, ale nie wszystkie - zaczął.

Pochylił się i otworzył szufladę. Wyjął z niej wyścielaną kopertę i rzucił na biurko. Koperta przesunęła się po lśniącej drewnianym blacie i zatrzymała parę centymetrów od krawędzi.

- Przypuszczam, że można to uznać za pierwszą wiadomość - rzekł. - Dotarła do mnie w dzień wyborów. Secret Service zapewne nieco się zdziwiła, ale agenci nie dostrzegli w tym nic złego, toteż przekazali mi list.

Koperta była standardowym produktem pocztowym. Zaadresowano ją do Brooka Armstronga, Senat Stanów Zjednoczonych, Waszyngton D.C. Adres wydrukowano na znajomej samoprzylepnej etykiecie, znajomą komputerową czcionką, Times New Roman, czternastką, wytłuszczoną. List wysłano gdzieś w stanie Utah 28 października. Kopertę kilka razy otwierano i zaklejano.

Reacher uniósł klapkę i zajrzał do środka. Przytrzymał tak, by pokazać Neagley.

Wewnątrz nie było niczego poza miniaturowym kijem baseballowym, z rodzaju tych sprzedawanych jako pamiątki bądź dawanych w prezencie. Miękkie lakierowane drewno barwy miodu. W obwodzie miał około 2,5 centymetra i liczyłby niecałe 40 centymetrów długości, gdyby nie fakt, że złamano go tuż przy uchwycie. Uczyniono to z rozmysłem, częściowo przepiłowano, a potem przełamano siłą. Końcówki zostały podrapane i porysowane, jakby złamanie było dziełem przypadku.

- Nie mam problemów z opanowaniem złości — oznajmił Armstrong. - Ale istotnie miał je mój ojciec. Mieszkaliśmy w niewielkim miasteczku w Oregonie, spokojnym miejscu na odludziu. W gruncie rzeczy było to miasto drwa-

li, nieco rozwarstwione. Właściciele tartaków mieli wielkie domy, szefowie zmian mniejsze, robotnicy mieszkali w chatach bądź wynajmowali pokoje. Była tam też szkoła. Moja matka prowadziła aptekę. Z jednej strony leżała reszta stanu, z drugiej rozciągał się dziewiczy las, zupełnie jakbyśmy mieszkali na pograniczu. Nieco bezprawia, ale nie tak źle. Kilka dziwek, mnóstwo picia. W sumie spokojne amerykańskie miasteczko.

Na chwilę zawiesił głos, oparł dłonie o blat i spuścił wzrok.

- Miałem osiemnaście lat - podjął. - Właśnie skończyłem liceum i szykowałem się do wyjazdu do college'u. Moich ostatnich kilka tygodni w domu. Siostra gdzieś wyjechała. Na bramie mieliśmy skrzynkę pocztową, ojciec zrobił ją własnoręcznie, w kształcie miniaturowego tartaku. Była śliczna, zbudowana z cedrowych listewek. Rok wcześniej, w Halloween, ktoś ją rozwalił. No wiecie, to taka tradycja. W Halloween grupki chuliganów wyruszają na miasto z kijami baseballowymi i rozbijają skrzynki pocztowe. Ojciec słyszał wszystko i wybiegł za nimi, ale nikt go nie zobaczył. Żałowaliśmy nieco, bo była to ładna skrzynka i jej zniszczenie wydało nam się bezsensowne. Ale ojciec zbudował nową, mocniejszą. Popadł na jej punkcie w obsesję. Cały czas jej pilnował. Zdarzało się, że ukrywał się w nocy w pobliżu i czuwał.

- I dzieciaki wróciły - domyśliła się Neagley.

Armstrong przytaknął.

- Późnym latem. Dwóch chłopaków w samochodzie, z kijem. Byli wysocy, silni. Nie znałem ich, ale widywałem wcześniej tu i tam. To byli prawdziwi twardziele, chuligani, młodociani bandyci spoza miasta. Tacy, od których zawsze staramy się trzymać jak najdalej. Zamachnęli się, celując w skrzynkę, ojciec wyskoczył i zaczęli się kłócić. Drwili z niego, grozili, mówili okropne rzeczy o mojej matce. Powtarzali: „Przyprowadź ją tu, a my dogodzimy

jej tym kijem lepiej, niż ty potrafisz”. Wyobrażacie sobie zapewne gesty towarzyszące tym słowom. Doszło do bójki i ojcu się poszczęściło. Zdarza się: dwa szczęśliwe trafienia i wygrał. A może pomogło mu szkolenie wojskowe. Kij pękł na pół, może po trafieniu w skrzynkę. Sądziłem, że to już koniec, ale ojciec zawlókł ich obu na podwórko, wyciągnął łańcuch i kłódki i przykuł ich do drzewa. Kłęczeli naprzeciw siebie, twarzą do pnia. Ojciec zupełnie stracił rozum, wpadł w szał, tłukł ich złamanym kijem. Próbowalem go powstrzymać, nie dało się. Potem oznajmił, że to on im dogodzi złamaną końcówką kija, chyba że będą błagać, by tego nie zrobił. I błagali. Błagali głośno i bardzo długo.

Znów umilkł.

- Cały czas byłem obok - rzekł. - Staralem się uspokoić ojca, nic więcej, ale oni patrzyli na mnie, jakbym w tym uczestniczył. Widziałem to w ich oczach. Zupełnie jakbym był świadkiem najgorszej chwili ich życia, jakbym oglądał ich krańcowe poniżenie, a to chyba najgorsze, co może spotkać takiego bandziora. W ich oczach widziałem absolutną nienawiść. Nienawiść do mnie, jak gdyby mówili: widziałeś to, zatem musisz umrzeć. Naprawdę nie przesadzam.

- Co było dalej? - spytała Neagley.

- Ojciec ich tam zostawił. Powiedział, że zatrzyma ich całą noc i rano znów zaczniesz. Poszliśmy do środka, a godzinę później, gdy się położył, wykradłem się z powrotem. Zamierzałem ich wypuścić, ale już zniknęli. Jakimś cudem wydostali się z łańcuchów, uciekli i nigdy więcej nie wrócili. Już nigdy ich nie widziałem. Wyjechałem do college'u i nie wróciłem już do domu, jeśli nie liczyć krótkich wizyt.

- A pański ojciec umarł.

Armstrong skinął głową.

- Miał problemy z nadciśnieniem. Biorąc pod uwagę

jego temperament, to dość zrozumiałe. Z czasem zapomniałem o tych dwóch, to był tylko incydent z przeszłości, ale tak naprawdę wciąż pamiętałem. Pamiętałem wyraz ich oczu, widzę go nawet teraz. Zimna, zakamieniała nienawiść. Niczym dwaj pewni siebie twardziele, którzy nie mogą znieść, by ktoś mógł ujrzeć ich słabość. Jak bym popełnił grzech śmiertelny, oglądając ich przegraną. Jakbym to ja coś im zrobił, był ich wrogiem. Patrzyli na mnie. Nie próbowałem nawet tego zrozumieć, żaden ze mnie psycholog. Ale nigdy nie zapomniałem tego spojrzenia. Gdy przyszła paczka, nawet przez moment nie zastanawiałem się, kto ją wysłał, choć minęło już niemal trzydzieści lat.

- Znał pan ich nazwiska? - spytał Reacher.

Armstrong pokręcił głową.

- Niewiele o nich wiedziałem poza tym, że mieszkali w pobliskim miasteczku. Co pan zamierza zrobić?

- Wiem tylko, co chciałbym zrobić.

- Co takiego?

- Chciałbym połamać panu obie ręce i nigdy więcej pana nie oglądać. Bo gdyby powiedział pan o tym w dniu wyborów, Froelich wciąż by żyła.

- Czemu, do licha, pan nie powiedział? - spytała Neagley.

Armstrong pokręcił głową, w oczach miał łzy.

- Bo nie miałem pojęcia, że to coś poważnego! - rzekł.

- Naprawdę, daję słowo. Na głowę mojej córki. Nie rozumiecie? Sądziłem, że po prostu chcieli mnie zdenerwować, przypomnieć. Zastanawiałem się, czy nadal uważają, że wówczas źle postąpiłem, czy mi grożą i czy to ma być groźba polityczna. Oczywiście nie bałem się, bo nie zrobiłem nic złego. Każdy by to zrozumiał. I nie widziałem żadnych innych logicznych powodów przysłania mi tego kija. Jestem o trzydzieści lat starszy, oni także. Jestem rozsądnym, dorosłym mężczyzną. Założyłem, że oni również. Pomyślałem zatem, że to zapewne nieprzyjemny dowcip. Nie

czułem w tym żadnego zagrożenia, daję słowo honoru. Bo niby skąd? Owszem, przez jakiś czas martwiłem się odrobinę, ale potem przestałem. Może w głębi ducha spodziewałem się kolejnego listu, ale uznałem, że nie ma się co przejmować z góry. Tyle że nic więcej nie przyszło, absolutnie nic. A przynajmniej ja nie wiedziałem, bo nikt mi nie powiedział. Aż do tej chwili, póki wy mi nie powiedzieliście. A według Stuyvesanta nie powinniście tego robić nawet teraz. Zginęli ludzie, cierpieli ludzie. Boże, czemu on mi nie powiedział? Gdyby tylko spytał, powtórzyłbym mu całą historię. Milczenie.

- Toteż ma pan rację i jednocześnie się myli - oznajmił Armstrong. - Wiedziałem kto i czemu, ale nie cały czas. Nie znałem środka, tylko początek i koniec. Wierzcie mi, gdy tylko zaczęła się strzelanina, zrozumiałem, po prostu zrozumiałem. To był niewiarygodny wstrząs, absolutne za skoczenie. Pomyślałem wówczas: to jest ich następny krok? Kompletne wariactwo. Zupełnie jakbym oczekiwał, że ktoś rzuci we mnie zgniłym pomidorem, a zamiast tego oberwałem głowicą jądrową. Miałem wrażenie, że świat oszalał. Chcecie mnie winić za to, że nic nie powiedziałem? Zgoda, jasne, wińcie mnie, ale skąd miałem wiedzieć. Ja kim cudem mogłem przewidzieć taki obłęd?

Przez chwilę panowała cisza.

- Oto mój sekret - powiedział Armstrong. - Trzydzieści lat temu nie zrobiłem nic złego, ale zabrakło mi wyobraźni. Nie dostrzegłem, co może oznaczać paczka sprzed trzech tygodni.

Reacher i Neagley milczeli.

- Czy powinienem poinformować teraz Stuyvesanta? - spytał Armstrong.

- Wybór należy do pana - odparł Reacher.

Długą chwilę Armstrong nie odpowiadał. Widzieli, jak znika człowiek i znów zastępuje go polityk.

- Nie chcę mu mówić - oznajmił. - To tylko zaszkodzi-

łoby nam obu. Zginęli ludzie, cierpieli ludzie. Widać, że obaj popełniliśmy poważny błąd. On powinien był zapytać, a ja powiedzieć.

Reacher przytaknął.

- Więc proszę to zostawić nam. Pan będzie znał naszą tajemnicę, a my pańską.

- I wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie?

- No, wszyscy będziemy żyli - poprawił Reacher.

- Opisy? - spytała Neagley.

- Zwykle dzieciaki - odparł Armstrong. - Na oko w moim wieku. Pamiętam tylko ich oczy.

- Jak się nazywało miasteczko?

- Underwood w stanie Oregon. Moja matka nadal tam mieszka, a ja jadę tam za godzinę.

- I ci dwaj pochodzili z okolicy?

Armstrong zerknął na Reachera.

- A pan przewidywał, że zaszyją się w domu, czekając na właściwy moment.

- Owszem - potwierdził Reacher.

- Właśnie tam jadę.

- Proszę się nie martwić - rzekł Reacher. - To przestała teoria. Zakładam, iż spodziewali się, że pan ich sobie przypomni, i nie oczekiwali braku porozumienia między panem i Secret Service. Z pewnością zaś nie chcieli, by poprowadził pan agentów wprost do ich drzwi. Zatem zmienili drzwi, nie mieszkają już w Oregonie. Możemy być tego absolutnie pewni.

- To jak zatem zamierza pan ich znaleźć?

Reacher pokręcił głową.

- Nie zdołamy ich znaleźć, nie teraz, nie na czas. Oni będą musieli znaleźć nas, w Wyoming podczas pogrzebu.

- Ja też tam jadę, z minimalną ochroną.

- Miejmy nadzieję, że wszystko zakończy się przed pana przyjazdem.

- Mam powiedzieć Stuyvesantowi? - spytał ponownie

Armstrong.

- Wybór należy do pana - powtórzył Reacher.
- Nie mogę odwołać wyjazdu. To byłoby niewłaściwe.
- Nie - przyznał Reacher. - Nie może pan.
- Nie mogę też powiedzieć Stuyvesantowi.
- Nie - przytaknął Reacher. - Istotnie.

Armstrong milczał. Reacher wstał, Neagley zrobiła to samo.

- I jeszcze jedno - rzucił. - Uważamy, że ci ludzie to policjanci.

Armstrong siedział bez ruchu. Zaczął kręcić głową, ale potem znieruchomiał, spuścił wzrok, jego twarz zachmurzyła się, jakby usłyszał słabe echo sprzed trzydziestu lat.

- Było coś, wtedy na podwórku - rzekł. - Niedokładnie usłyszałem i z pewnością nie przejąłem się tym zbyt. Mam jednak wrażenie, że w pewnym momencie wspomnieli, iż ich ojciec jest policjantem. Mówili, że narobi nam wielkich kłopotów.

Reacher nie odpowiedział.

* * *

Agenci ochrony ich wyprowadzili. Szybko przeszli płóciennym tunelem i znaleźli się na ulicy. Skręcili na wschód i ruszyli chodnikiem do metra. Okolica była wyludniona, nie widzieli nikogo. Neagley otworzyła kopertę, którą dał jej Stuyvesant. W środku znalazła czek na pięć tysięcy dolarów z informacją, że to honorarium za konsultację specjalistyczną. W kopercie Reachera tkwiły dwa чеки, jeden na taką samą hojną sumę, a drugi pokrywający wszystkie wydatki, co do centa.

- Powinniśmy pójść na zakupy - oznajmiła Neagley. - Nie możemy w takich strojach ruszyć na łowy w Wyoming.

- Nie chcę, żebyś jechała ze mną - odparł Reacher.

Nie przerywając marszu przez Georgetown, zaczęli się kłócić.

- Martwisz się o moje bezpieczeństwo? - spytała Neagley. - Bo nie powinienes. Nic mi się nie stanie. Potrafię o siebie zadbać. I umiem podejmować własne decyzje.

- Nie martwię się o twoje bezpieczeństwo.

- Zatem o co? To, jak sobie poradzę? Jestem znacznie lepsza od ciebie.

- Wiem.

- To o co chodzi?

- O twoją licencję. Masz coś do stracenia.

Neagley nie odpowiedziała.

- Bo masz licencję, prawda? - naciskał Reacher. - Musisz, skoro pracujesz w ochronie. Masz też biuro, pracę, dom, stałe zarobki. Można cię znaleźć. Ja mogę po wszystkim zniknąć, ty nie.

- Sądzisz, że nas złapią?

- Mogę sobie pozwolić na to ryzyko. Ty nie.

- Nie ma żadnego ryzyka, jeśli nas nie złapią.

Teraz to Reacher nie odpowiedział.

- Tak jak mówiłeś Bannonowi - ciągnęła - jeśli zajmiesz miejsce w kryjówce i zaczekasz, aż się zjawią, szybko poczujesz mrowienie kręgosłupa. Lepiej, żebym tam była i pilnowała twoich pleców.

- To nie twoja walka.

- A czemu niby twoja? Bo jakaś kobieta, którą kiedyś rzucił twój brat, zginęła na służbie? Kiepski powód.

Reacher milczał.

- No dobra, to twoja walka - przyznała Neagley. - Wiem o tym. Ale cokolwiek kryje się w twoim umyśle i sprawia, że musisz to zrobić, tkwi też w moim. To także moja sprawa. Zresztą nawet gdybyśmy nie myśleli podobnie, gdybym miała jakiś problem, nie pomógłbyś mi?

- Pomógłbym, gdybyś poprosiła.

- No właśnie.

- Tyle że ja nie proszę.

- Na razie nie, ale poprosisz. Od Wyoming dzielą cię trzy tysiące kilometrów. Nie masz karty kredytowej, by móc kupić bilet lotniczy, ja mam. Jesteś uzbrojony w składany nóż o siedmiocentymetrowym ostrzu. Ja znam gościa w Denver, który dostarczy nam każdą broń, jakiej moglibyśmy zaprzagnąć, ty nie znasz. Ja mogę wynająć w Denver samochód, by pokonać resztę trasy. Ty nie.

Szli naprzód, dwadzieścia metrów, trzydzieści.

- No dobra - mruknął Reacher. - Proszę cię.

- Ubrania też kupimy w Denver - oznajmiła. - Znam tam kilka dobrych sklepów.

* * *

Dotarli do Denver przed piętnastą czasu miejscowego. Wokół nich rozciągały się przedgórskie równiny, brązowe, uśpione. W rozrzedzonym górskim powietrzu czuło się szczypiący mróz. Śnieg jeszcze nie spadł, ale wisiał w powietrzu. Na lotnisku obok pasa czekały gotowe pługi śnieżne. Wypożyczalnie samochodów odesłały lżejsze wozy na południe i sprowadziły duże partie terenówek z napędem na cztery koła. Neagley podeszła do filii Avisu i wynajęła GMC yukona. Odebrali go z parkingu. Czarny, błyszczący, bardzo przypominał suburbana Froelich, tyle że był pół metra krótszy.

Wjechali do miasta. Wydawało się, że ciągnie się w nieskończoność. Mnóstwo przestrzeni, nawet w porównaniu z Waszyngtonem, który nie był wcale najbardziej zatłoczoną metropolią świata. Zaparkowali w garażu na przedmieściach, przeszli trzy przecznice i Neagley znalazła sklep, którego szukała. Sprzedawano w nim najróżniejszy sprzęt turystyczny - od górskich butów i kompasów po maść cynkową chroniącą nos przed oparzeniami słonecznymi. Kupili lunetkę do obserwacji ptaków i dokładną mapę turystyczną środkowego Wyoming.

Następnie podeszli do wieszaków z ubraniami. Pełno było na nich rzeczy, które można by wrzucić na siebie przed wycieczką w Góry Skaliste, a jednocześnie wkładać w domu i nie wyglądać jak kompletny idiota. Neagley wybrała gruby strój w odcieniach zieleni i brązu, Reacher powtórzył swój zakup w Atlantic City - tym razem dwukrotnie wyższej cenie towarzyszyła lepsza jakość. Dodał do niego czapkę i parę rękawiczek. Przebrał się w przy mierzalni. Ostatni garnitur Joego wepchnął do kosza na śmieci.

Neagley znalazła na ulicy budkę telefoniczną i przystanęła na mrozie, załatwiając krótką rozmowę. Potem wrócili do samochodu. Wyjechała z garażu i przemierzyła centrum miasta w stronę dzielnicy przemysłowej. W powietrzu pojawiła się silna woń jedzenia dla psów.

- Mają tu fabrykę - wyjaśniła Neagley.

- Poważnie? - zakpił Reacher.

Neagley skręciła w wąską uliczkę, wjechała w coś w rodzaju niewielkiego parku przemysłowego i manewrowała w labiryncie niskich metalowych baraków. Mijali hurtownie linoleum, sklepy z hamulcami, warsztaty, w których można dostać dwie pary opon zimowych za dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, i inne, gdzie za dwadzieścia regulowano układ kierowniczy. Na rogu mieścił się długi, niski budynek, stojący samotnie pośrodku wyasfaltowanego, pełnego dziur terenu. Budynek miał zamknięte metalowe drzwi i ręcznie wymalowany szyld z napisem Warsztat mechaniczny Eddiego Browna.

- To twój facet? - spytał Reacher.

Neagley skinęła głową.

- Czego potrzebujemy?

Reacher wzruszył ramionami.

- Nie ma sensu zanadto komplikować. Czegoś długiego i czegoś krótkiego, po sztuce na głowę. Do tego amunicja. Powinno wystarczyć.

Neagley zatrzymała się przed zamkniętymi podnoszonymi drzwiami i zatrąbiła. W służbowym wejściu pojawił się mężczyzna. Ruszył w stronę samochodu i nagle zatrzymał się, dostrzegłszy, kto siedzi w środku. Był wysoki, mocno zbudowany, o masywnym karku i ramionach, miał krótkie jasne włosy i otwartą przyjazną twarz, ale też wielkie dłonie i grube przeguby. W sumie sprawiał wrażenie faceta, któremu lepiej się nie narażać. Pomachał ręką, zniknął z powrotem w środku i po chwili wielkie drzwi zaczęły się unosić. Neagley przejechała pod nimi, one zaś natychmiast znów opadły.

Wewnątrz budynek był dwa razy krótszy niż powinien, jednak wyglądał całkiem wiarygodnie: podłoga z poplamionego smarem betonu, tu i tam rozrzucone stanowiska mechaników, wiertarki, stopy metalowych blach, pęki stalowych prętów. Lecz tylna ściana była trzy metry bliżej, niż sugerowałyby zewnętrzne proporcje. Najwyraźniej kryło się za nią dodatkowe pomieszczenie.

- To jest Eddie Brown - przedstawiła Neagley.

- Fałszywe nazwisko - dodał rosty mężczyzna.

Dostał się do ukrytego pomieszczenia, odciągając wielki stos złomu zespawanego razem i przymocowanego do metalowego panelu na ścianie. Cała konstrukcja uchyliła się bezszelestnie na doskonale naoliwionych zawiasach niczym olbrzymie trójwymiarowe drzwi. Mężczyzna o personaliach Eddie Brown ruszył pierwszy. Po chwili znaleźli się w zupełnie innym świecie.

Ukryte pomieszczenie było sterylne niczym szpital. Wzdłuż wszystkich czterech pomalowanych na biało ścian ustawiono półki i regały. Na trzech z nich znajdowała się broń - krótka w pudełkach i luzem, długa ułożona w stojakach. Karabiny, strzelby, sztucery, dubeltówki i karabiny maszynowe. Całe rzędy, wszystkie w idealnym porządku. W powietrzu wisiała ciężka woń smaru. Wzdłuż czwartej ściany, niczym książki w bibliotece, ustawiono pudła z

amunicją. Reacher pociągnął nosem, poczuł zapach nowego mosiądzu, kartonu i lekkie ślady prochu.

- Imponujące - rzekł.

- Bierzcie, co chcecie - powiedział Eddie.

- Dokąd prowadzą numery seryjne?

- Do armii austriackiej - odparł Eddie. - Stamtąd donikąd.

Dziesięć minut później znów byli w drodze. Nowa kurtka Reachera wylądowała w bagażniku yukona, starannie zsłaniając dwa dziewięciomilimetrowe steiry GB, niewytlumiony pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5 oraz

karabin M16, a także pudełka z dwustoma pociskami do każdego typu broni.

** *

Po zmroku przekroczyli granicę Wyoming, jadąc na północ autostradą 1-25. W Cheyenne skręcili w lewo w 1-80. Jechali na zachód aż do Laramie, potem znów na północ. Od miasteczka o nazwie Grace dzieliło ich wciąż pięć godzin jazdy. Mapa pokazywała, że leżało daleko za Casper, na pustkowiach między wyniosłymi górami i niekończącymi się stepami.

- Zanocujemy w Medicine Bow - powiedział Reacher. - Nazwa mi się podoba. Mamy dotrzeć do Grace jutro o świcie.

Medicine Bow w ciemności nie sprawiało wrażenia miejsca, które mogłoby się podobać. Był tam jednak motel z wolnymi pokojami. Neagley wpłaciła depozyt. Potem, półtora kilometra dalej w przeciwną stronę, znaleźli knajpkę specjalizującą się w stekach. Zjedli solidne befsztyki z polędwicy, kosztujące mniej niż drink w Waszyngtonie. Gdy właściciel zaczął zamykać, zrozumieli aluzję i wrócili do motelu. Reacher zostawił płaszcz w samochodzie, by ukryć broń przed wzrokiem ciekawskich. Pożegnali się na podwórku. Reacher pomaszerował wprost do łóżka. Sły-

szła Neagley krzątającą się pod prysznicem. Nucila pod nosem. Słysząc ją było nawet przez ścianę.

* * *

Obudził się rano w sobotę. Neagley znów brała prysznic, wciąż śpiewała. Kiedy ona, do diabła, sypia? - pomyślał Reacher. Wygramolił się z łóżka i ruszył do łazienki. Odkręcił ciepłą wodę, najwyraźniej zmniejszając jej ciśnienie pod prysznicem Neagley, bo po sekundzie usłyszał dobiegający zza ściany stłumiony okrzyk. Zakręcił kurek i odczekał, aż skończy. Potem wziął prysznic, ubrał się i wyszedł do samochodu. Na dworze wciąż było ciemno i bardzo zimno. Wiatr z zachodu niósł płatki śniegu, wirujące powoli w promieniach ulicznych latarni.

- Nie znalazłam kawy - powitała go Neagley.

Na miejsce z kawą natknęli się godzinę później. Przydrożny bar, niedawno otwarty. Już z daleka dostrzegli jego światła. Stał u wylotu drogi gruntowej prowadzącej w mroku do Państwowego Lasu Medicine Bow. Sam bar, niski i długi, wzniesiony z czerwonych desek, nieodparcie kojarzył się ze stodołą, zimną na zewnątrz, ciepłą wewnątrz. Usiedli przy stole pod zasłoniętym oknem, zjedli jajka na bekonie, grzanki i popili mocną gorzką kawą.

- Dobrze, nazwijmy ich numer jeden i numer dwa - zaproponowała Neagley. - Numer jeden to gość z Bismarck. Poznasz go. Numer dwa to facet z garażu. Może rozpoznamy go po sylwetce, ale tak naprawdę nie wiemy, jak wygląda.

Reacher przytaknął.

- Będziemy zatem szukać faceta z Bismarck i towarzyszącego mu drugiego gościa. Nie ma sensu zanadto wszystkiego komplikować.

- Nie słyszę w twym głosie entuzjazmu.

- Powinnaś wracać do domu.

- Teraz, kiedy już cię tu przywiozłam?

- Mam złe przeczucia.

- Jesteś spięty, bo Froelich dała się zabić. To wszystko. To nie znaczy, że mnie spotka coś złego.

Milczał.

- Dwoje na dwóch - dodała Neagley. - Ty i ja przeciw dwóm bandziorem. A ty się przejmujesz?

- Niespecjalnie - przyznał.

- Może w ogóle się nie zjawią. Bannon twierdził, iż domyśla się, że to pułapka.

- Zjawią się - nie zgodził się Reacher. - Potraktują to jak wyzwanie. To kwestia testosteronu. I mają też dostatecznie narąbane w głowach.

- Jeśli nawet przyjadą, nic mi nie będzie.

- Gdyby coś ci się stało, czułbym się bardzo źle.

- Ale się nie stanie - upierała się.

- Powiedz mi, że cię do tego nie zmuszam.

- Robię to z własnej, nieprzymuszonej woli.

Skinął głową.

- Ruszajmy więc.

Ruszyli w drogę. Płatki śniegu tańczyły w promieniach reflektorów, szybując lekko z zachodu, rozbłyskując w świetle i znikając w półmroku. Były wielki, suche, pyliste. Wąska droga wiła się w lewo i w prawo. Samochód podskakiwał na wyboistej nawierzchni. Nawet w ciemnościach czuli, że otacza ich przestrzeń tak olbrzymia, iż wysysa dźwięki wydawane przez samochód, które rozplywały się w nieskończoności. Jechali w jasnym tunelu ciszey, przeskakując od jednego samotnego płatka śniegu do następnego.

- Przypuszczam, że w Casper mają posterunek policji - zauważył Reacher.

Neagley kiwnęła głową znad kierownicy.

- Może koło setki pracowników. Casper jest niemal tak duże jak Cheyenne czy może Bismarck.

- A Grace należy do ich rewiru - dodał Reacher.

- Ich i policji stanowej.

- Toteż jeśli znajdziemy tam innych policjantów, będą to nasi ludzie.

- Nadal jesteś pewien, że to gliniarze?

Skinął głową.

- Tylko w ten sposób wszystko nabiera sensu. Pierwszy kontakt z Nendickiem i Andrettim w barach policyjnych, znajomość bazy danych NCIK, dostęp do broni rządowej, a także to, jak wszędzie udawało im się przeniknąć. Tłum, zamieszanie, złota odznaka wystarczy, by przejść każdą blokadę. A jeśli Armstrong ma rację i ich ojciec był gliną, to całkiem niezła prognoza. Ten zawód się dziedziczy, tak jak zawód żołnierza.

- Mój ojciec nie służył w armii.

- Ale mój tak. Proszę: pięćdziesiąt procent. To lepiej niż w innych zawodach. A wiesz, co ostatecznie mnie przekonało?

-Co?

- Coś, co powinniśmy byli dostrzec dawno temu, ale zupełnie to zlekceważyliśmy. Banda ślepców. Dwaj nieżyjący Armstrongowie. Jak, do diabła, można znaleźć dwóch białych facetów o jasnych włosach i niebieskich oczach, w odpowiednim wieku, z odpowiednimi twarzami i, przede wszystkim, imionami i nazwiskami? Trudna sprawa, ale im się udało. Istnieje praktycznie tylko jedno źródło zdobycia takich informacji: ogólnokrajowa baza Departamentu Pojazdów Mechanicznych. Informacje z praw jazdy, nazwiska, adresy, daty urodzenia, zdjęcia. Wszystko tam jest, wszystko, czego trzeba. I nikt nie ma do niej dostępu poza policjantami, którzy mogą z niej korzystać w każdej chwili.

Neagley milczała przez moment.

- Zgoda. To faktycznie policjanci - przyznała. - O tak. A my cierpimy na martwicę mózgu. Powinniśmy odgadnąć to we wtorek

- Ale policjanci już dawno temu usłyszeliby przecież o Armstrongu, prawda?

- Niby czemu? Policjanci mają swój mały zamknięty świat.

Poza tym są tacy jak inni ludzie. Gdybyś pracowała w prowincjonalnym komisariacie w stanie Maine bądź na Florydzie czy na przedmieściach San Diego, być może znalazłabyś nazwisko obrońcy New York Giants czy środkowego z Chicago White Sox, ale z pewnością nie słyszałabyś o młodszym senatorze z Dakoty Północnej. Chyba że miałabyś świra na punkcie polityki. Większości ludzi to jednak nie dotyczy.

Neagley jechała dalej. Daleko po prawej, na wschodzie, wąskie pasmo nieba stało się odrobinę jaśniejsze niż wcześniej. Nabrało barwy ciemnego grafitu, otoczonego nieprzeniknioną czernią. Śnieg padał nadal, spokojnie, bez zmian. Wielkie leniwe płatki napływały znad gór, szybując poziomo, czasem unosiły się lekko.

- O jakim miejscu mówimy? - spytała. - Maine, Florydzie, San Diego? Musimy wiedzieć, bo jeśli tu przylecą, nie będą mogli zabrać ze sobą broni.

- Kalifornia daje spore możliwości - odparł Reacher. - Oregon nie. Nie ujawniliby się przed Armstrongiem, gdyby wciąż mieszkali w Oregonie. Możliwa jest Nevada albo Utah i Idaho. Wszędzie indziej to już za daleko.

- Za daleko? Na co?

- By znaleźć się w rozsądnej odległości od Sacramento. Ile wytrzyma skradziony pojemnik z lodem?

Neagley milczała.

- Nevada, Utah albo Idaho - ciągnął Reacher. - Oto moje domysły. Nie Kalifornia. Myślę, że woleli, by od miejsca, w którym zdobyli kciuk, dzieliła ich granica stanu. To poprawia samopoczucie. Uważam, że do Sacramento mają najwyżej dzień jazdy. Co oznacza dzień jazdy stąd, tyle że w przeciwną stronę. Krótko mówiąc, myślę, że przyjadą samochodem, uzbrojeni po zęby.

- Kiedy?

- Dziś, jeśli mają choć odrobinę rozsądku.

- Kij wysłano z Utah - przypomniała Neagley.

Reacher kiwnął głową.

- Dobra, skreślamy Utah. Wątpię, by wysyłali cokolwiek ze swojego stanu.

- Czyli Idaho albo Nevada - podsumowała Neagley. - Lepiej sprawdzajmy rejestracje.

- To atrakcja turystyczna. Będzie tu wiele pozastanowych tablic. Na przykład my mamy tablice z Kolorado.

- Jak zechcą to zrobić?

- Edward Fox - odparł Reacher. - Chcą przeżyć i nieźle sobie radzą z karabinem. Sto dwadzieścia metrów w Minnesocie. Dziewięćdziesiąt w Waszyngtonie. Będą go chcieli zastrzelić w drzwiach kościoła lub w podobnym miejscu. Może na cmentarzu? Obok czyjś nagrobka?

Neagley zwolniła i skręciła w prawo w drogę 220. Ta szosa miała lepszą, szerszą i nowszą nawierzchnię. Obok niej wiała się rzeka. Niebo na wschodzie cały czas jaśniało. Przed sobą widzieli odległą łunę miasta Casper leżącego trzydzieści kilometrów na północ. Śnieg wciąż napływał falami z zachodu, leniwy, powolny.

- Jaki mamy plan? - spytała Neagley.

- Musimy sprawdzić teren - odparł Reacher.

Zerknął w bok przez okno. Od wyjazdu z Denver widział jedynie ciemność.

* * *

Zatrzymali się na stacji benzynowej pod Casper. Kupili benzynę, napili się kawy, skorzystali z toalety. Potem Reacher zajął miejsce za kierownicą. Skręcił w drogę 87, wychodzącą z miasta na północ. Przez ponad czterdzieści kilometrów jechał szybko, bo droga 87 była jednocześnie autostradą między stanową 1-25, szeroką i wygodną. Przyspieszył też, bo byli spóźnieni. Na wschodzie płonęły zozre poranka, a oni jeszcze nie dotarli do Grace. Niebo było różowe i piękne, poziome promienie wschodzącego słońca

oświetlały zbocza gór na zachodzie. Ich droga wiodła między wzgórzami. Po prawej, na wschodzie, aż do Chicago ciągnęły się płaskie równiny, po lewej, w dali, widać było kilkukilometrowe wierzchołki Gór Skalistych. Na najniższych zboczach dostrzegli białe cętki, szczyty pokrywał biały śnieg i siatka szarych skał. Przez kilka kilometrów po obu stronach drogi rozciągała się wyżynna pustynia. Niskie krzewy i brązowa trawa połyskiwały fioletem w promieniach porannego słońca.

- Byłeś tu już kiedyś? - spytała Neagley.

- Nie - przyznał.

- Musimy skręcić - oznajmiła. - Niedługo, na wschód, w stronę Thunder Basin.

Reacher powtórzył w głowie tę nazwę, bo spodobało mu się jej brzmienie. Thunder Basin. Kotlina Gromu.

* * *

Po jakimś czasie zjechał z autostrady w wąską wiejską drogę. Drogowskazy wskazywały Midwest i Edgerton. Od wschodu pusta przestrzeń malała. Wysokie na trzydzieści metrów sosny rzucały stumetrowe cienie. Od czasu do czasu na pustkowiach dostrzegali ślady starych fabryk i zakładów, masywne kamienne fundamenty i płataninę starego złomu.

- Ropa - oznajmiła Neagley. - I węgiel. Wszystkie zamknięto osiemdziesiąt lat temu.

- Okolica wygląda strasznie płasko - mruknął Reacher. Wiedział jednak, że to tylko złudzenie. Wiszące nisko słońce ukazywało szczeliny i pęknięcia, a także niewielkie wzniesienia - nic w porównaniu z górami po lewej, ale z całą pewnością nie płaskie. Znajdowali się na terenie przejściowym, w miejscu, w którym kończą się góry, a zaczyna wyżyna. Geologiczne wstrząsy sprzed miliona lat pofałdowały teren aż do Nebraski; fałdy zastygły, z czasem zapewniając dość osłony dla miliona różnych

osób.

- Potrzebny nam zupełnie płaski kawałek - oznajmiła Neagley.

Reacher przytaknął znad kierownicy.

- Oprócz jednego wzgórza, sto metrów od miejsca, w którym będzie Armstrong. I drugiego, kolejne sto metrów dalej. Stamtąd możemy wszystko obserwować.

- To nie będzie aż tak łatwe.

- Nigdy nie jest - przypomniał Reacher.

Jechali dalej kolejną godzinę, zmiierzając przez pustkę na północny wschód. Słońce wynurzyło się już spoza horyzontu. Na niebie pozostały pasma różu i fioleto. Za ich plecami Góry Skaliste lśniły odbitym blaskiem. Przed sobą, nieco po prawej, widzieli wzburzony ocean traw. W powietrzu nie czuło się już śniegu. Wielkie leniwe płatki zniknęły.

- Skręć tutaj - poleciła Neagley.

- Gdzie? - Zwolnił, zatrzymał się i rozejrzał w poszukiwaniu zjazdu. Zwykła droga gruntowa, prowadząca na południe, na odludne pustkowia. - Jest tam miasto? - spytał.

- Według mapy, owszem - odparła Neagley.

Reacher cofnął samochód i skręcił. Droga półtora kilometra wiała się między sosnami, po czym wynurzyła się z lasu. I znów ujrzeli upojny widok pustkowia.

- Jedź dalej - rzuciła Neagley.

Jechali. Trzydzieści kilometrów, czterdzieści pięć. Droga wznosiła się i opadała. Potem wspięła się wyżej. Przed sobą widzieli siedemdziesięciopięciometrowe zagłębienie w ziemi, kotlinę pełną trawy i szalwii. Droga przecinała ją linią prostą niczym cienka ołówkowa kreska. W węższym punkcie przekraczała też rzekę. Kolejne dwie drogi wiodły znikąd do mostu. Tu i tam stały maleńkie budynki. Wszystko to przypominało dużą literę K, ozdobioną kropkami oznaczającymi domy w miejscach, w których spoty-

kały się duże kreski.

- Oto Grace w stanie Wyoming - oznajmiła Neagley. - W miejscu, gdzie droga przecina południową odnogę rzeki Cheyenne.

Reacher zwolnił i zatrzymał yukona, zaparkował na poboczu, skrzyżował ręce na kierownicy. Pochylił się naprzód, opierając podbródek na dłoniach, i spojrzał przed siebie.

- Powinniśmy przyjechać konno - rzekł.

- W białych kapeluszach - dodała Neagley. - Uzbrojeni w kolty.

- Wolę jednak steiry - odparł Reacher. - Od ilu stron można wjechać do miasta?

Neagley przesunęła palcem po mapie.

- Z południa albo z północy - rzekła. - Tą drogą. Pozostałe dwie prowadzą donikąd, kończą się w szczerym polu. Może dawniej były tam rancza.

- Którędy przyjadą przeciwnicy?

- Jeśli z Nevady, od południa. Jeśli z Idaho, z północy. Nie możemy zatem zostać tutaj i blokować drogi.

- Może już tam są.

Jeden z budynków odcinał się małą białą plamką pośród kwadratu zieleni. Kościół Froelich, pomyślał Reacher. Otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Podszedł do tyłu, sięgnął do bagażnika i wrócił z lunetką do obserwacji ptaków. Przypominała połówkę wielkiej lornetki. Oparł ją o otwarte drzwi i przyłożył do oka.

System soczewek sprawił, że obraz stał się płaski i ziarnisty, podskakiwał i drżał przy każdym uderzeniu serca. Reacher ustawił ostrość. Po chwili miał już wrażenie, że patrzy w dół na miasto z odległości niecałego kilometra. Wąskie koryto rzeki, kamienny most, gruntowe drogi. Więcej budynków, niż z początku sądził. Kościół stał samotnie na wypielegnowanej działce wewnątrz dolnej części litery K. Miał kamienne fundamenty, na których wzniesiono budynek z białego drewna. Idealnie pasowałby do stanu

Massachusetts. Tereny kościelne rozszerzały się, na południu wśród skoszonej trawy sterczały nagrobki.

Na południe od cmentarza stało ogrodzenie. Za nim skupisko piętrowych budynków z cedrowego drewna, ustawionych pod przypadkowymi kątami. Na północ od kościoła miasteczko wyglądało podobnie. Domy, sklepy, stodoły. Wzdłuż ramion litery K stały kolejne budynki, niektóre pomalowane na biało. W centrum miasta zabudowa stała się gęściej, im dalej, tym rzadsza. Czysta, błękitna rzeka płynęła na północny wschód poprzez morze traw. Tu i tam stały zaparkowane samochody i furgonetki, chodnikami wędrowali nieliczni przechodnie. Na oko oszacował, że w miasteczku mieszka kilkaset osób.

- Kiedyś pewnie była to osada hodowców bydła - mruknęła Neagley. - Kolej dociągnięto aż do Casper, przez Douglas. Zapewne przepędzano stada sto kilometrów na południe i stamtąd odbierano.

- To co robią teraz? - spytał Reacher.

Gdy się odezwał, widoczne przez lunetę miasteczko się zakołysało.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Może wszyscy inwestują w Sieci.

Podał jej lunetkę, Neagley poprawiła ostrość i popatrzyła przed siebie. Widział, jak lunetka porusza się odrobinę w górę, w dół i na boki.

- Zaczają się od południa - oznajmiła. - Przed pogrzebem cały ruch będzie się skupiał na południe od kościoła. Sto metrów dalej stoi parę starych stodoł. To naturalna osłona.

- Jak zaplanują ucieczkę?

Lunetka przesunęła się ćwierć centymetra w prawo.

- Będą oczekiwali blokad na południu i północy - oznajmiła. - Miejsowych gliniarzy, to jasne. Może przedostaliby się, wymachując odznakami, ale nie liczyłabym na to. Sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Zamęt, owszem, ale

nie będzie tłumów.

- Więc jak?

- Wiem, jak ja bym to zrobiła - odparła. - Całkowicie zignorowałabym drogi i pojechała przez łąki, prosto na zachód. Sześćdziesiąt kilometrów otwartej przestrzeni wozem z napędem na cztery koła i jest się na autostradzie. Wątpię, by komisariat w Casper dysponował helikopterem. Tak samo drogówka. W całym stanie są tylko dwie autostrady.

- Armstrong przyleci śmigłowcem - przypomniał Reacher.
- Zapewne z bazy lotniczej w Nebrasce.

- Ale jego śmigłowcem nie będą ścigać sprawców. Wywiezie go albo przetransportuje do szpitala. Z pewnością mają na taką okoliczność procedury postępowania.

- Drogówka sprawdzałaby autostradę na północy i południu. Mieliby na to godzinę.

Neagley opuściła lunetkę i skinęła głową.

- Przewidziałabym to. Przejechałabym przez autostradę i z powrotem zjechała z drogi. Na zachód od autostrady rozciąga się piętnaście tysięcy kilometrów kwadratowych pustki pomiędzy Casper i rezerwatem Rzeki Wiatrów. Teren ten przecina tylko jedna duża droga. Nim ktoś wezwałby helikopter i rozpoczęłyby poszukiwania, już dawno zdążyliby zniknąć.

- Śmiały plan.

- Ja bym się na niego zdecydowała - oznajmiła Neagley.
Reacher się uśmiechnął.

- Wiem, że ty byś to zrobiła. Pytanie brzmi: co zrobią oni. Zastanawiam się, czy nie rzucą raz okiem i nie zawrócą.

- Nieważne. Zgarniemy ich, gdy będą patrzeć. Nie musimy ich łapać na gorącym uczynku.

Reacher wszedł z powrotem do wozu.

- Bierzmy się do pracy.

Kotlina okazała się bardzo płytka. Po pokonaniu trzy-

dziesięciu kilometrów obniżyli się może o trzydzieści metrów. Droga, mimo iż gruntowa, była twardo ubita, gładka jak szkło i starannie oczyszczona. Reacher przypuszczał, że naprawiano ją co roku po spłynięciu zimowych śniegów i wiosennych deszczów. Takimi drogami toczyły się fordyskie model T w filmach dokumentalnych. Zbliżając się do miasta, lekko skręcała, tak by most mógł przeciąć rzekę dokładnie pod kątem prostym.

Sam most stanowił najwyraźniej geograficzny środek miasta. Obok stał sklep wielobranżowy, oferujący także usługi pocztowe i śniadania. Na tyłach mieściła się kuźnia, w której zapewne w dawnych czasach naprawiano sprzęt z okolicznych rancz. Było tam też biuro dostawcy żywności i sklep metalowy. Stacja benzynowa z jedną pompą i napisem: „Wiosenny remont”. Chodniki zrobiono z drewna, tego samego co frontony budynków. Przypominały żeglarskie pomosty na powierzchni ziemi. Spokojny, żylasty mężczyzna ładował zakupy na tył furgonetki.

- Nie przyjadą tutaj - oznajmił Reacher. - To najbardziej odsłonięte miejsce, jakie w życiu widziałem.

Neagley pokręciła głową.

- Nie będą o tym wiedzieć, póki sami nie zobaczą. Mogą wyjechać po dziesięciu minutach, ale dziesięć minut wystarczy.

- Gdzie się zatrzymamy?

Wskazała ręką.

- Tam.

Reacher ujrzał prosty budynek z czerwonego drewna cedrowego. Pod wieloma małymi oknami wisiał szyld z napisem: „Czyste pokoje”.

- Super - mruknął.

- Pokrąż trochę - poprosiła Neagley. - Wycujmy to miejsce.

Litera K daje tylko cztery możliwe kierunki zwiedzania, a oni sprawdzili już odcinek północny. Reacher cofnął się

do mostu, skręcił na północny wschód, wzdłuż rzeki. Wzdłuż drogi stało osiem domów, cztery po każdej stronie. Potem, po niecałym kilometrze, trasa zwężyła się, tworząc kiepską, wyboistą dróżkę. Po lewej wśród traw ujrzeni ogrodzenie z drutu kolczastego. Drugie, takie samo, po prawej.

- Rancza - zauważyła Neagley.

Same rancza mieściły się wyraźnie wiele kilometrów stąd. W dali widzieli fragmenty drogi, gdy wznosiła się i opadała na niskich wzgórzach. Reacher zawrócił, skręcił na krótki odcinek południowo-wschodni. Więcej domów, ciasniej ustawionych. Poza tym jednak wszystko wyglądało podobnie. Po krótkim czasie droga zwężyła się i biegła naprzód, w dal. Ujrzeni następne ogrodzenia z drutu kolczastego i tajemniczą drewnianą szopę pozbawioną drzwi. Wewnątrz stała zardzewiała furgonetka otoczona wysoką, białą trawą. Wyglądała, jakby zaparkowano ją tam jeszcze za prezydentury Richarda Nixona.

- Dobra, jedziemy na południe – rzuciła Neagley. - Obejrzymy kościół.

Południowa część drogi miała sto kilometrów długości i wiodła do Douglas. Pokonali pierwszych pięć. Z tej strony do miasta doprowadzono prąd i linie telefoniczne. Przewody wisały na nasmołowanych słupach, skracając w dali, podążając za drogą. Minęli kościół i cmentarz, skupisko cedrowych budynków, parę opuszczonych obór. Następnie jakieś dwadzieścia, trzydzieści małych domków. A potem miasto się skończyło. Przed sobą widzieli niekończące się łąki. Nie były jednak płaskie - dziesięć tysięcy lat wiatrów i deszczu wyłobilo w nich zagłębienia i szczeliny. Ziemia falowała łagodnie, w górę, w dół, w górę, w dół, opadając maksymalnie mniej więcej cztery metry, niczym leniwe fale oceaniczne, wszystkie ze sobą połączone. Porastała je wysoka na metr trawa, brązowa, zeschnięta i krucha, kołysana nieustającym lekkim wiatrem.

- Można by tu ukryć pułk piechoty - zauważyła Neagley.

Reacher zawrócił, podjechał i zaparkował obok cmentarza. Sam kościół bardzo przypominał ten pod Bismarck: podobny stromy dach nad nawą, podobna kanciasta, solidna wieża. Na górze wieży zegar, kurek, flaga oraz piorunochron. Budynek był biały, ale nie tak jasny. Reacher zerknął na zachód i ujrzał szare chmury gromadzące się ponad odległymi górami.

- Wkrótce spadnie śnieg.

- Stąd niczego nie widać - odparła Neagley.

Miała rację. Kościół wzniesiono na samym dnie doliny rzecznej. Jego fundamenty były zapewne najniżej położoną budowlą w mieście. Widzieli jakieś sto metrów północnego odcinka drogi, tyle samo południowego. Później zniknęła z oczu za wzniesieniem.

- Nim się zorientujemy, wjadą nam wprost na głowy - oznajmiła Neagley. - Musimy ich dostrzec z daleka.

Reacher przytaknął. Otworzył drzwi, wysiadł z samochodu. Neagley do niego dołączyła. Razem ruszyli w stronę kościoła. Powietrze było zimne i suche, pod ich stopami chrzęściła martwa trawa, zupełnie jakby zaczynała się już zima. Jedną z kwater odgrodzono bawełnianą taśmą. Leżała na zachód od kościoła, pośród dziewiczej trawy na końcu rzędu starych nagrobków. Reacher skrzył i ujrzał cztery groby Froelichów. Wkrótce dołączy do nich piąty. Spojrzał na prostokąt taśmy i wyobraził sobie dziurę, głęboką, kanciastą, ciemną.

Potem cofnął się i obejrzał. Naprzeciw kościoła, po wschodniej stronie drogi, rozciągała się duża, płaska parcela, dość duża, by mógł wylądować na niej helikopter. Wyobraził sobie, jak się obniża do wtóru łoskotu rotorów, obraca w powietrzu, tak by drzwi pasażera wychodziły na kościół, siada. Wyobraził sobie wyskakującego zeń Armstronga, przecinającego drogę, podchodzącego do kościoła. Ksiądz zapewne powita go przy drzwiach. Przesunął się na bok, stając w miej-

scu, w którym być może zatrzyma się Armstrong. Uniósł wzrok, badając teren na południe i zachód. Złe wieści. Teren się wznosił. Po stu pięćdziesięciu metrach ujrzał zafalowania i cienie wśród rozkołysanych traw, oznaczające zagłębienia i pęknięcia ziemi. Dalej kolejne, aż po widnokrąg.

- Jak myślisz, jacy są dobrzy?

Neagley wzruszyła ramionami.

- Zawsze są lepsi bądź gorsi, niż się spodziewasz. Jak dotąd wykazali się pewną sprawnością. Przy strzale w dół w rozgrzanym powietrzu, przez trawę, dają im maksymalnie pięćset metrów.

- Jeśli chybią Armstronga, trafią kogoś innego.

- Stuyvesant powinien ściągnąć tu helikopter obserwacyjny. Kąt jest beznadziejny, z powietrza widać wszystko.

- Armstrong mu nie pozwoli - przypomniał Reacher. - Ale przecież mamy jedno wyjście. Wieżę kościelną.

Odwrócił się i ruszył w jej stronę.

- Zapomnij o pensjonacie - dodał. - To tu się zatrzymamy. Zobaczymy, jak się zbliżają, z północy bądź południa, w dzień czy w nocy. Wszystko się skończy, nim Stuyvesant i Armstrong dotrą na miejsce.

Od kościoła dzieliły ich niecałe cztery metry, gdy drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł duchowny, za którym podążała para starszych ludzi. Duchowny był mężczyzną w średnim wieku, sprawiał wrażenie uczciwego. Jego towarzysze liczyli sobie na oko jakieś sześćdziesiąt lat. Mężczyzna był wysoki, przygarbiony, nieco za chudy, kobieta wciąż przystojna, dość wysoka, szczupła, ładnie ubrana. Miała krótkie, jasne włosy, siwiejące tak jak u prawdziwej blondynki. Reacher natychmiast zorientował się, kogo widzi, a ona poznała jego, czy też przynajmniej tak jej się zdawało. Urwała gwałtownie, zatrzymała się i spojrzała na niego, dokładnie tak jak jej córka. Patrzyła mu w twarz oszołomiona, jakby porównywała podobieństwa i różnice z zapisanym w pamięci obrazem.

- To ty? - spytała. - Czy nie?

Twarz miała znużoną, spiętą, pozbawioną makijażu, oczy suche, lecz przez ostatnie dwa dni nie zawsze były takie, dostrzegł to wyraźnie. Powieki były opuchnięte i czerwone.

- Jestem jego bratem - odparł. - Bardzo mi przykro z powodu państwa straty.

- I powinno ci być - odpowiedziała. - Bo to wyłącznie wina Joego.

- Tak?

- Zmusił ją, by zmieniła pracę, prawda? Nie chciał umawiać się ze współpracownicą. Toteż musiała się przenieść, bo on tego nie zrobił. Przeszła do niebezpiecznego działu, a on został tam, gdzie był, cały i zdrowy. I spojrz, do czego doprowadził.

Reacher zawahał się na chwilę.

- Sądzę, że była tam szczęśliwa - stwierdził. - Po wszystkim mogła przecież przenieść się z powrotem, ale tego nie zrobiła. Sądzę, że chciała tam zostać. Była świetną agentką, zajmowała się czymś ważnym.

- Jak mogła się przenieść? Miała widywać się z nim codziennie, jakby nic nie zaszło?

- Mogła odczekać rok i wrócić.

- Rok? Co za różnica? Złamał jej serce! Jak mogłaby jeszcze z nim pracować?

Reacher nie odpowiedział.

- Czy on tu przyjedzie?

- Nie - odparł Reacher. - Nie przyjedzie.

- To dobrze, bo nie byłby mile widziany.

- Nie, chyba nie.

- Pewnie jest zbyt zajęty - prychnęła.

Odeszła w stronę drogi. Duchowny ruszył za nią, podobnie ojciec Froelich. Potem jednak zawahał się i odwrócił.

- Ona wie, że tak naprawdę to wcale nie wina Joego - rzekł. - Oboje wiedzieliśmy. Mary Ellen robiła to, co

chciała.

Reacher skinął głową.

- Była w tym świetna.

- Naprawdę?

- Najlepsza z nich wszystkich.

Starszy mężczyzna przytaknął, jakby te słowa go ucieszyły.

- Jak się miewa Joe? - spytał. - Spotkałem go parę razy.

- Nie żyje - odrzekł Reacher. - Zginął pięć lat temu na służbie.

Przez moment obaj milczeli.

- Bardzo mi przykro - powiedział w końcu ojciec Froelich.

- Ale proszę nie mówić pani Froelich - dodał Reacher. - Jeśli to jej pomoże.

Mężczyzna ponownie skinął głową, odwrócił się i długimi krokami pomaszerował w ślad za żoną.

- Widzisz? - szepnęła Neagley. - Nie wszystko jest twoją winą.

W ziemię obok drzwi kościoła wbito tablicę informacyjną. Przypominała wąziutką szafkę osadzoną na drewnianych nogach. Za szybą rozpięto metr kwadratowy zielonego filcu, do którego ukośnie przyszyto wąskie tasiemki. Wsuwano za nie informacje wypisane na ręcznej maszynie. Na górze wisiała stała lista niedzielnych mszy. Pierwsza odbywała się co tydzień o ósmej rano. Najwyraźniej to akurat wyznaczenie wymagało od parafian częstej obecności w świątyni. Obok listy powieszono pospiesznie wypisane zawiadomienie, że w tę niedzielę msza o ósmej rano zostanie poświęcona pamięci Mary Ellen Froelich. Reacher zerknął na zegarek i zadygotał.

- Dwadzieścia dwie godziny - mruknął. - Czas się szykować.

Podprowadzili yukona bliżej kościoła, otworzyli bagażnik. Razem się nad nim pochylili, oboje wzięli po steyrze. Neagley zabrała H&K, a Reacher M16. Równo podzielili

się zapasową amunicją. Potem zamknęli wóz i odeszli.

- Czy można wносить broń do kościoła? - spytała Neagley.

- W Teksasie owszem - odparł Reacher. - Tu pewnie to obowiązek.

Otworzyli ciężkie dębowe drzwi i weszli do środka. Wnętrze bardzo przypominało kościół z Bismarck. Reacher zastanowił się przelotnie, czy wiejskie miasteczka kupują swoje kościoły za zaliczeniem pocztowym, tak jak wszystko inne. Identyczna pergaminowobiała farba, te same lśniące ławki, ta sama ambona. Te same trzy sznury w wieży, te same schody prowadzące na półkę. Szybko znaleźli przykręconą do ściany drabinę prowadzącą do kłapy w górze.

- Nie ma to jak w domu - mruknął Reacher. Pierwszy wspiął się po drabinie i przez klapę na szczyt dzwonnicy. Ta jednak wyglądała inaczej niż w Bismarck. Oprócz dzwonów był tu zegar, ponadmetrowy sześcian mosiężnej machinerii zamontowany na żelaznych wspornikach tuż nad dzwonami. Zegar miał dwie tarcze. Obie pary wskazówek napędzał jednocześnie ten sam mechanizm. Długie żelazne przekładnie biegły przez niego, przez ściany i same tarcze aż do zewnętrznych wskazówek. Tarcze zamontowano w otworach, z których usunięto żaluzje po stronie wschodniej i zachodniej. Zegar tykał głośno, zębatki i zapadki szczękały, wywołując cichy rezonans w dzwonach.

- Brak widoku na wschód i zachód - zauważył Reacher. Neagley wrzuciła ramionami.

- Wystarczy nam północ i południe - odparła. - Tamtędy biegnie droga.

- Chyba tak - przyznał. - Ty bierzesz południe. Pochylił głowę, przeczołgał się pod żelaznymi prętami do żaluzji od strony północnej. Ukląkł i wyjrzał na zewnątrz. Idealnie. Widział most, rzekę oraz całe miasto. Widział też jakieś piętnaście kilometrów drogi biegnącej na północ - była kompletnie pusta.

- Wszystko w porządku? - zawołał.
- Doskonale - odkrzyknęła Neagley. - Prawie widzę Kolorado.
- Zawołaj, jeśli coś zauważysz.
- Ty też.

Zegar tykał - brzdęk, brzdęk, brzdęk - co sekundę, głośno, dokładnie, niestrudzenie. Reacher obejrzał się na mechanizm i zastanowił, czy wcześniej go uśpi czy doprowadzi do szału. Usłyszał odgłos drogiego stopu dotykającego drewna cztery metry za plecami. To Neagley odłożyła swój pistolet maszynowy. On sam także złożył M16 na deskach obok kolan. Wiercił się chwilę, aż usadowił się możliwie najwygodniej. A potem skupił się całkowicie na obserwacji.

18

Powietrze było zimne, a dwadzieścia metrów nad ziemią wietrzyk zamienił się w całkiem silny wiatr, świszczący między listewkami żaluzji. Od uderzeń powietrza łzawiły im oczy. Siedzieli tu już dwie godziny, nic się nie działo, niczego nie widzieli. Nie słyszeli niczego poza zegarem. Jego odgłosów nauczyli się na pamięć. Na każde brzdęk składała się seria odrębnych metalicznych wibracji, począwszy od niskich, stłumionych basów większych zębatek, poprzez wyższy, cichy szcęk przekładni, aż po słaby, opóźniony ding wpadającego w rezonans najmniejszego dzwonu. Odgłos szaleństwa.

- Mam coś! - zawołała Neagley. - Terenówka, jedzie z południa.

Reacher szybko zerknął na północ, uniósł się na kolana. Był zeszywniały, zmarznięty i obolały.

- Łap! - zawołał.

Cisnął lunetkę nad mechanizmem zegara. Neagley ob-

róciła się i chwyciła ją jedną ręką, po czym z powrotem skupiła się na drodze. Przyłożyła lunetkę do oka.

- Wygląda na nowy model chevy tahoe - zawołała. - Złoty metalik. Słońce świeci wprost w szybę, nie widzę pasażerów.

Reacher ponownie spojrzął na północ. Droga nadal była pusta, widział co najmniej piętnaście kilometrów. Nawet w szybkim tempie pokonanie takiego dystansu zajęłoby dziesięć minut. Wstał, wyprostował się, przeciągnął, po czym schylił się i przeczołgał pod prętami do Neagley, która przesunęła się w prawo, robiąc mu miejsce. Reacher otarł oczy i spojrzął na południe. Natychmiast dostrzegł samotną złotą iskierkę na drodze, odległą o jakieś osiem kilometrów.

- Niezbyt duży ruch - mruknęła Neagley. - Prawda?

Podawała mu lunetkę. Ustawił ostrość, oparł obudowę o żaluzję i spojrzął, mrużąc oko. Powiększenie sprawiło, że wóz wydawał się trwać w miejscu. Kołysał się na drodze, lecz w ogóle nie przesunął naprzód. Brudna, zakurzona karoseria; wielki przedni chromowany zderzak oblepiało błoto i sól. Przednią szybę pokrywały smugi brudu, a odbijające się w szkle słońce sprawiało, że nie dało się stwierdzić, kto siedzi w środku.

- Czemu wciąż świeci słońce? - spytał. - Zdawało mi się, że będzie padać śnieg.

- Spójrz na zachód - mruknęła Neagley.

Reacher opuścił lunetkę, obrócił się i przycisnął lewy policzek do żaluzji. Zamknął prawe oko, lewym spojrzął ukośnie. Niebo sprawiało wrażenie pękniętego na pół - na zachodzie niemal czarne od chmur, na wschodzie jasnoniebieskie i zamglone. W miejscu, gdzie zderzały się dwa fronty pogodowe, mgłę przebijały olbrzymie smugi słonecznego światła.

- Niewiarygodne.

- Jakaś inwersja - zauważyła Neagley. - Mam nadzieję, że to się nie zmieni, albo odmrozimy sobie tyłki.

- Jest jakieś osiemdziesiąt kilometrów od nas.
- A wiatr zwykle wieje z zachodu.
- Super.

Reacher ponownie uniósł lunetkę, sprawdził złoty samochód. Wóz zdążył pokonać półtora kilometra, podskakując i kołysząc się na wyboistej drodze. Na oko jechał prawie setką.

- I co o tym sądzisz? - spytała Neagley
- Ładny samochód - odparł. - Paskudny kolor.

Obserwował go jeszcze przez kilometr i oddał jej lunetkę.

- Muszę sprawdzić północ.

Z powrotem przeczołgał się na miejsce i spojrział przez własną żaluzję. Na północy nic się nie działo. Droga wciąż była pusta. Przycisnął do listewek prawy policzek, ręką zasłonił lewe oko i znów sprawdził zachód. Ciężkie chmury wisiały nieruchomo nad górami. Przypominało to noc i dzień, z ostrą granicą u podnóży.

- To z pewnością chevy tahoe! zawołała Neagley. - Zwalnia.

- Widzisz rejestrację?
- Jeszcze nie. Jest półtora kilometra stąd, zwalnia.
- Widzisz pasażerów?
- Słońce i przyciemniane szyby. Nie. Trzy czwarte kilometra.

Reacher spojrział na północ. Zero ruchu.

- To chyba rejestracja z Nevady - ciągnęła Neagley. - Nie mogę odczytać numeru, zamazany błotem. Wóz jest na skraju miasta, jedzie bardzo wolno. Wygląda to jak rekoniesans. Nie zatrzymuje się, wciąż nie widzę pasażerów. Jest już bardzo blisko. Patrzę z góry na dach, tylna szyba przyciemniana. Za chwilę stracę ich z oczu. Są dokładnie pod nami.

Reacher przywarł do ściany i spojrział w dół pod ostrym kątem. Sposób osadzenia żaluzji sprawiał, że z góry nie widać było terenu w promieniu dziesięciu metrów wokół

wieży.

- Gdzie jest teraz? - zawołał.

- Nie wiem.

Wśród skowytu wiatru Reacher usłyszał łoskot silnika, wielkiego V8 na zwolnionych obrotach. Znów spojrzął w dół i nagle ujrzał złotą, metaliczną maskę, potem dach, tylną szybę. Samochód przejechał pod nim, przetoczył się przez miasto i pokonał most, jadąc z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Jeszcze przez sto metrów jechał wolno, potem przyspieszył, bardzo ostro.

- Lunetka! - krzyknął Reacher.

Neagley odrzuciła mu ją. Reacher oparł obudowę na listewce i patrzył na wóz odjeżdżający na północ. Tylną szybę mocno przyciemniono. Widział na niej łuk w miejscu, gdzie wycieraczka starła słońca mżawkę. Nad tylnym chromowanym błotnikiem ujrzał litery układające się w napis *Chevrolet Tahoe*. Tylna tablica rejestracyjna nie dawała się odczytać; pokrywała ją zaschnięta sól z drogi. Widział ślady rąk w miejscach, gdzie otwierano i opuszczano klapę bagażnika. W sumie wóz sprawiał wrażenie, jakby w ciągu ostatnich kilku dni przejechał spory kawał świata.

- Wyjeżdża! - zawołał Reacher.

Do końca obserwował go przez lunetkę. Samochód podskakiwał, kołysał się, z każdą chwilą stawał się coraz mniejszy. Potrzebował dziesięciu minut, by zniknąć mu z oczu. Na moment jeszcze pojawił się na ostatnim wzniesieniu, a potem pozostał po nim tylko ostatni błysk słońca na złotym lakierze.

- Coś jeszcze? - zawołał Reacher.

- Na południu czysto - odkrzyknęła Neagley.

- Schodzę na dół po mapę. Tymczasem sprawdzaj obie strony. Będiesz musiała trochę polawirować pod tym cholernym zegarem.

Reacher podczołgał się do klapy, spuścił stopy na drabi-

nę i zszedł na dół, sztywny, zmarznięty, obolały. Szybko pokonał półkę, kręte schody, opuścił wieżę i wyszedł z kościoła na słabe południowe słońce. Pokuśtykał przez cmentarz w stronę samochodu. Nagle ujrzał stojącego obok ojca Froelich - starszy mężczyzna patrzył na wóz, jakby czekał, aż odpowie mu na parę pytań. Zauważył odbicie Reachera w szybie i odwrócił się szybko.

- Pan Stuyvesant do ciebie dzwoni - rzekł. - Z biura Secret Service w Waszyngtonie.

- Teraz?

- Czeka od dwudziestu minut. Próbowałem cię znaleźć.

- Gdzie jest telefon?

- W domu.

Froelichowie mieszkali w jednym z białych budynków przy krótszym, południowo-wschodnim odcinku litery K. Stary mężczyzna wskazywał drogę, maszerując długimi krokami - Reacher musiał przyspieszyć, by nie zostać w tyle. Przed domem rozciągał się niewielki ogród, otoczony białym palikowym płotem, pełen ziół i obumarłych z zimna roślin. Wewnątrz panował półmrok. W powietrzu unosił się miły zapach. Podłogi zrobiono z szerokich ciemnych desek, tu i tam leżały wyplatane dywaniki. Pan Froelich wskazał mu drogę do salonu. Pod oknem stał antyczny stolik z telefonem i zdjęciem. Telefon był staroświecki, miał ciężką słuchawkę i skręcony kabel w otoczce z brązowego materiału. Zdjęcie przedstawiało Froelich liczącą około osiemnastu lat. Włosy miała nieco dłuższe i nieco jaśniejsze, twarz otwartą i niewinną, słodki uśmiech. W ciemnoniebieskich oczach jaśniała nadzieja na przyszłość.

Obok stolika nie dostrzegł krzesła. Najwyraźniej Froelichowie należeli do pokolenia, które woli rozmawiać przez telefon na stojąco. Reacher rozplatał przewód i uniósł słuchawkę.

- Stuyvesant? - spytał.

- Reacher? Masz dla mnie dobre wieści?
- Jeszcze nie.
- Jaka jest sytuacja?
- Pogrzeb zaplanowano na ósmą rano - odparł Reacher.
- Ale pewnie już to wiesz.
- Co jeszcze muszę wiedzieć?
- Przylatujecie helikopterem?
- Taki mam plan. W tej chwili Armstrong jest jeszcze w Oregonie. Przewieziemy go do bazy lotniczej w Dakocie Południowej, a stamtąd wojskowym helikopterem. W sumie będziemy mieli ośmiu ludzi, łącznie ze mną.
- Chciał tylko trzech.
- Nie może protestować. Wszyscy jesteśmy jej przyjaciółmi.
- Nie moglibyście mieć jakichś problemów z silnikiem, zostać w Dakocie?
- Zorientowałyby się. A zresztą lotnictwo i tak by na to nie poszło. Nie chcieliby przejść do historii jako powód, dla którego nie mógł tam dotrzeć.
- Reacher wyprostował się, wyrzwał przez okno.
- Bez trudu zobaczysz kościół. Wylądujecie po drugiej stronie ulicy, od wschodu. Jest tam świetne miejsce. Potem Armstrong będzie musiał przejść około pięćdziesięciu metrów do drzwi kościoła. Gwarantuję bezpieczeństwo najbliższego otoczenia, bo zamierzamy całą noc zostać w kościele. Ale to, co dalej, już ci się nie spodoba. Od północy i zachodu rozciąga się pole rażenia, sto pięćdziesiąt stopni, całkowicie otwarte, z mnóstwem kryjówek. Cisza w Waszyngtonie.
- Nie mogę tego zrobić - powiedział Stuyvesant. - Nie mogę go tam przywieźć, ani moich ludzi. Nie chcę nikogo stracić.
- Pozostaje więc mieć nadzieję - rzekł Reacher.
- To nie mój styl. Musicie załatwić sprawę.
- Zrobimy to, jeśli się da.

- Skąd będę wiedział? Nie macie krótkofalówek, komórki tam nie działają, a korzystanie ze zwykłej linii jest zbyt niewygodne.

Reacher zastanowił się przez sekundę.

- Przyjechaliśmy czarnym yukonem - oznajmił. - W tej chwili stoi zaparkowany przy drodze obok kościoła. Jeśli wciąż tam będzie, gdy się zjawicie, zjeżdżajcie stąd. Armstrong będzie musiał to przelknąć. Ale jeśli zniknie, znikniemy i my, a nie znikniemy, póki nie załatwimy sprawy. Chwytasz?

- Jasne, zrozumiałem - odparł Stuyvesant. - Czarny yukon na wschód od kościoła, zwijamy się. Brak yukona, lądujemy. Przeszukaliście miasto?

- Nie możemy przeszukać wszystkich domów, ale to bardzo małe miasteczko. Wierz mi, obcy rzucaliby się w oczy.

- Nendick odzyskał przytomność, trochę nawet mówi. To samo co Andretti. Było ich dwóch, wziął ich za policjantów.

- To są policjanci. Jesteśmy tego pewni. Zdobyliście opis?

- Nie. Wciąż myśli o swojej żonie. Nie uznałem za stosowne powiedzieć, że pewnie nie musi się już martwić.

- Biedak.

- Chciałbym jakoś zamknąć tę sprawę, dla niego. Przy najmniej znaleźć ciało.

- Nie planuję aresztowania.

Cisza w Waszyngtonie.

- No dobra - rzucił Stuyvesant. - Tak czy inaczej chyba już się nie zobaczymy. Zatem powodzenia.

- Tobie też go życzę - odpowiedział Reacher.

Odwiesił słuchawkę na widelki i starannie ułożył przewód na stole. Wyjrzał przez okno. Na północy i wschodzie rozciągało się puste morze wysokich traw. Odwrócił się i ujrzał pana Froelicha obserwującego go od drzwi.

- Przyjadą tutaj, prawda? - powiedział starszy człowiek.

- Ludzie, którzy zabili moją córkę. Przyjadą, bo Armstrong tu będzie.

- Może już tu są - odparł Reacher. Pan Froelich pokręcił głową.

- Wszyscy by o tym mówili.

- Widział pan złotą terenówkę?

Gospodarz skinął głową.

- Minęła mnie, jechała bardzo wolno.

- Kto siedział w środku?

- Nie widziałem, miała ciemne okna. Nie lubię się gapić.

- Dobrze - odpowiedział Reacher. - Jeśli usłyszysz pan o kimś nowym w miasteczku, proszę dać mi znać.

Mężczyzna ponownie skinął głową.

- Gdy tylko się dowiem, wy też będziecie wiedzieć. A dowiem się w chwili, gdy zjawi się ktoś obcy. Wieści rozchodzą się szybko.

- Będziemy na dzwonnicy - powiedział Reacher.

- Jesteś tu z powodu Armstronga?

Reacher nie odpowiedział.

- Nie - mruknął pan Froelich. - Jesteś tu, by wziąć od wet. Oko za oko. Prawda?

Reacher skinął głową. - I ząb za ząb.

- Życie za życie.

- Ściśle biorąc, dwa za pięć - poprawił Reacher. - Zdobyli więcej punktów.

- Nie przeszkadza ci to?

- A panu?

Wodniste oczy starszego mężczyzny błysnęły. Powiodł wzrokiem po ciemnym pokoju i w końcu spojrzął na zdjęcie osiemnastoletniej córki.

- Masz dziecko? - spytał.

- Nie - odparł Reacher. — Nie mam.

- Ja też nie mam - powiedział pan Froelich. - Już nie. Zatem mnie to nie przeszkadza.

* * *

Reacher wrócił do Yukona, z tylnego siedzenia zabrał mapę turystyczną. Potem wspiął się na wieżę i zastał Neagley krążącą niczym wahadłowiec tam i z powrotem między oknami.

- Pusto i spokojnie - oświadczyła, przekrzykując tykanie zegara.

- Dzwonił Stuyvesant - poinformował ją Reacher. - Do domu Froelichów. Jest bliski paniki. A, i Nendick się ocknął. To samo, co u Andrettiego.

Rozłożył mapę na podłodze dzwonnicy. Przytknął palec do punktu oznaczającego Grace. Miasto leżało pośrodku prostokąta ograniczonego czterema drogami, liczącego około stu dwudziestu kilometrów długości i szerokości. Prawą granicę wyznaczała droga 59, biegnąca z Douglas na południu, przez miasto Bill, do Wright na północy. Górną krawędź prostokąta tworzyła droga 387 wiodąca na zachód z Wright do Edgerton. Obie były drugiej klasy. Znali ten fragment 387, pamiętali całkiem przyzwoity asfalt. Lewą granicę prostokąta tworzyła autostrada 25, biegnąca z Montany na północy, obok Edgerton, aż do Casper. Dół prostokąta ograniczała ta sama autostrada wybiegająca z Casper i skręcająca do Douglas. Stamtąd znów skręcała na południe, zmierzając do Cheyenne. Cały teren przecinała po przekątnej droga gruntowa, biegnąca z północy na południe środkiem Grace. Drogę tę na mapie oznaczała cienka, kropkowana, szara linia. W legendzie opisano ją jako nieutwardzaną drogę lokalną.

- Jak myślisz? - spytała Neagley.

Reacher przesunął palcem po krawędziach prostokąta. Potem powiększył promień, zataczając krąg sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, północ, zachód i południe.

- Myślę, że w całej historii Stanów Zjednoczonych nikt tak po prostu nie przejeżdżał przez Grace w stanie Wyoming. To niewiarygodne. Bo niby po co? Jakakolwiek

logiczna trasa z południa na północ albo ze wschodu na zachód całkowicie omija miasto. Powiedzmy, że jedziesz z Casper do Wright, dolny lewy narożnik do prawego górnego. Wybierzesz autostradę 25 na wschód do Douglas i drogę 59 na północ do Wright. Przejazd przez Grace nie ma cienia sensu, nie jest żadnym skrótom. Tylko wydłuża podróż z powodu jakości drogi. Zresztą czy w ogóle byś ją zauważyła? Pamiętasz, jak wyglądała od strony północnej? Sądziłem, że wiedzie donikąd.

- No i my mamy dokładną mapę turystyczną - dodała Neagley. - Na zwykłej mapie drogowej pewnie w ogóle jej nie ma.

- Zatem ten samochód przejechał tędy w jakimś celu. Nie przez przypadek, nie dla zabawy.

- To byli nasi ludzie - podsumowała Neagley.

Reacher skinął głową.

- Przeprowadzali zwiad.

- Zgadzam się - przytaknęła Neagley. - Ale czy spodobало im się to, co ujrzeli?

Reacher przymknął oczy. Co właściwie zobaczyli? Małe miasteczko, brak bezpiecznych kryjówek, lądowisko helikoptera pięćdziesiąt metrów od kościoła i czarny wóz terenowy, przypominający oficjalne pojazdy Secret Service, parkujący na drodze, wielki, wyraźny, z tablicami z Kolorado, a Denver to zapewne najbliższa siedziba filii tajnych służb.

- Nie sądzę, by skakali z radości - rzekł.

- Ale czy zrezygnują, czy raczej wrócą?

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać - odparł Reacher. - Zaczekamy.

* * *

Czekali. Słońce opadało na niebie, temperatura spadała wraz z nim. Zegar tykał trzy tysiące sześćset razy na godzinę. Neagley wyszła się przejść, wróciła, niosąc torbę z zakupami. Zjedli zaimprovizowany lunch. Potem opracowali nowy sposób czuwania. Oparli go na fakcie, że za-

den samochód nie zdołałby dojechać do miasta w krócej niż osiem minut. Siedzieli zatem wygodnie i co pięć minut według zegarka Neagley klękali, przeczolgiwali się do swych żaluzji i sprawdzali drogę. Za każdym razem czuli lekki dreszcz oczekiwania, za każdym razem czekał ich zawód. Lecz regularne wędrówki pomagały się rozgrzać. Wkrótce zaczęli się przeciągać, rozluźniać. Dla rozgrzewki robili pompki. Zapasowa amunicja w ich kieszeniach pobrzękiwała głośno.

- Sygnał bitewny - zaśmiała się Neagley.

Od czasu do czasu Reacher przyciskał twarz do żaluzji i patrzył ku chmurom kłębiącym się na zachodzie. Nadal wisały nisko, przytrzymywane przez niewidzialny mur osiemdziesiąt kilometrów dalej.

- Oni nie wrócą - oznajmiła Neagley. - Musieliby być szaleni, by czegokolwiek tu próbować.

- Myślę, że są szaleni - odparł Reacher.

Patrzył, czekał, słuchał zegara. Tuż przed czwartą poczuł, że ma dosyć. Ostrzem noża przeciął kilka warstw starej białej farby i wyciągnął z ramy jedną z listewek - zwykłą, prostą, długą na jakiś metr, szeroką na dziesięć centymetrów, grubą na dwa i pół. Wysunął ją przed siebie niczym włócznię, podczołgał się naprzód i wepchnął w mechanizm zegara. Zębatki się zacięły, zegar stanął. Reacher wyciągnął listewkę, wrócił i wsunął ją z powrotem. Na wieży zapanowała ogłuszająca cisza.

Patrzyli i czekali. Robiło się coraz zimniej, oboje zaczęli dygotać. Lecz cisza trochę pomagała. Nagle pomogła bardzo dużo. Reacher wrócił na miejsce, znów spojrzął na zachód, po czym przeczolgał się z powrotem i uniósł mapę. Wpatrywał się w nią przez chwilę zatopiony w myślach. Palcem i kciukiem niczym cyrklem odmierzał odległość. Sześćdziesiąt, sto dwadzieścia, dwieście czterdzieści, trzysta kilometrów. Wolno, szybko, wolno, szybko. Średnia prędkość jakieś sześćdziesiąt, cztery godziny.

- Słońce zachodzi na zachodzie, wschodzi na wschodzie
- rzekł głośno.

- Na tej planecie - dodała Neagley.

Nagle usłyszeli dobiegające z dołu skrzypienie schodów. Zatrzeszczały stopnie drabiny. Kłapa uniosła się odrobinę, opadła, po czym otworzyła gwałtownie. Wikary wsunął głowę do środka i spojrzał wprost w celujący w niego pistolet maszynowy z jednej strony i karabin M16 z drugiej.

- Muszę z wami o tym porozmawiać - oznajmił. - Nie możecie oczekiwać, że ucieszy mnie fakt, iż wnieśliście do mego kościoła broń.

Stał bez ruchu na drabinie; zupełnie jakby rozmawiali z głową odciętą od ciała. Reacher odłożył M16. Wikary wspiął się na kolejny szczebel.

- Rozumiem potrzebę bezpieczeństwa - rzekł. - To dla nas zaszczyt, że odwiedzi nas wiceprezydent elekt. Ale naprawdę nie mogę pozwolić na obecność narzędzi zniszczenia w poświęconym budynku. Sądziłem, że ktoś to ze mną omówi.

- Narzędzi zniszczenia? - powtórzyła Neagley.

- O której zachodzi słońce? - spytał Reacher.

Duchowny sprawiał wrażenie zaskoczonego zmianą tematu. Odpowiedział jednak uprzejmie.

- Wkrótce. Dość wcześnie znika za górami, ale dziś tego nie zobaczycie. Chmury je zasłaniają. Z zachodu nadciąga śnieżycyca.

- A o której wschodzi?

- O tej porze roku? Trochę przed siódmą.

- Słyszał pan jutrzejszą prognozę pogody?

- Mówią, że będzie tak samo jak dzisiaj.

- Świetnie - odparł Reacher. - Dzięki.

- To pan zatrzymał zegar?

- Dprowadzał mnie do szafu.

- Dlatego właśnie przyszedłem. Mógłbym go znów uruchomić?

Reacher wzruszył ramionami.

- To pański zegar.

- Wiem, że hałas musi być irytujący.

- Nieważne. Znikniemy stąd tuż po zachodzie słońca, razem z bronią.

Wikary podciągnął się na rękach, wspiął do komory i pochylił nad żelaznymi zębatkami. Chwilę pomajstrował przy mechanizmie. Dołączono do niego specjalne urządzenie do nastawiania wraz z ukrytym wśród kół zębatach odrębnym miniaturowym zegarem, którego Reacher wcześniej nie zauważył. Z boku sterczała dźwigienka. Wikary zerknął na własny zegarek, dźwigienką przestawił zewnętrzne wskazówki na właściwą godzinę. Wskazówki miniaturowego zegarka poruszały się wraz z nimi. Potem po prostu pokręcił zębatką, czekając, aż mechanizm nabierze rozpędu i znów ruszy. W pomieszczeniu odezwało się znajome ciężkie brzdęk, brzdęk, brzdęk. Najmniejszy dzwon odpowiedział cicho, odmierzając kolejne mijające sekundy.

- Dziękuję - powiedział duchowny.

- Najwyżej godzinę - odparł Reacher. - Potem już nas nie będzie.

Wikary przytaknął usatysfakcjonowany i cofnął się do klapy. Zniknął, zamykając ją za sobą.

- Nie możemy stąd zejść - zaprotestowała Neagley. - Zwariowałaś? Równie dobrze mogą przyjechać w nocy. Może na to właśnie czekają. Przyjadą ze zgaszonymi światłami.

Reacher spojrzał na zegarek.

- Oni już tu są - odparł. - Albo prawie tutaj.

- Gdzie?

- Pokażę ci.

Ponownie wyciągnął tę samą listwę i wręczył ją Neagley. Przeczółgał się pod mechanizmem do następnej drabiny, wiodącej na dach. Wspiął się i uniósł klapę.

- Nie wychylaj się - poleciał.

Jednym płynnym ruchem dźwignął się na górę, przywierając do podłoża. Budowla dokładnie przypominała tę w Bismarck - ołowiane blachy, dach w kształcie płytkiego, otwartego pudełka, rynny w rogach, solidnie zamocowany maszt flagowy, kurek i piorunochron. Oraz metrowy murek wokół krawędzi. Reacher obrócił się na brzuchu, wyciągnął rękę i odebrał od Neagley listwę. Następnie odsunął się, pozwalając, by podczołgała się do niego. Wiał silny, przesywająco zimny wiatr.

- Teraz klękniemy bardzo nisko obok siebie, patrząc na zachód.

Uklękli ramię w ramię, przygarbieni, on po lewej, ona po prawej. Wciąż słyszał tykanie zegara, czuł też wibracje przebiegające przez ołów i grube deski dachu.

- Teraz tak - rzekł. Lewą ręką niósł przed twarzą listwę, trzymając ją za koniec. Neagley chwyciła ją z drugiej strony. Przesunęli się naprzód na kolanach, aż do muru. Reacher ustawił swój koniec żaluzji równolegle do jego krawędzi. Neagley uczyniła podobnie.

- Jeszcze - rzekł. - Musimy uzyskać szczelinę, przez którą będziemy patrzeć.

Unieśli listwę, wspólnie, aż zawisła poziomo, pozostawiając dwucentymetrową szparę. Jednocześnie wyjrzeli na zewnątrz. Gdyby ktoś bardzo uważnie obserwował wieżę, zauważyłby ich, w sumie jednak była to niezła taktyka. Zresztą Reacher i tak nie zdołałby zaimprovizować lepszej.

- Patrz na zachód - polecił. - Może też odrobinę na południe.

Mrużąc oczy, wpatrywali się w zachodzące słońce. Przed sobą widzieli ponad sześćdziesiąt kilometrów rozkołysanych traw. Przypominały ocean, jasny i złocisty w promieniach wieczornego słońca. Na horyzoncie panował mrok nadchodzącej burzy śnieżnej. Granicę pomiędzy niebem i ziemią zasnuła mgła, przez którą tu i ówdzie przeświecały świetliste smugi. Widzieli wirujące plamy światła i cienia,

barw i tęczy, które zaczynały się znikąd i donikąd nie zmierzały.

- Obserwuj trawę - polecił.
- Czego szukam?
- Zobaczysz.

Klęczeli kilka minut. Słońce się zniżało, ostatnie promienie uderzyły ich prosto w oczy. I wtedy ujrzeli, razem, jednocześnie. Jakieś półtora kilometra od nich pośród morza traw promienie umierającego słońca odbiły się złociście od dachu tahoe. Samochód pełzył na wschód po łące, bardzo wolno jadąc wprost ku nim, podskakując lekko na nierównym terenie, w górę i w dół, w tempie spacerującego człowieka.

- Są sprytni - powiedział Reacher. - Dokładnie sprawdzili mapę i doszli do tych samych wniosków co ty: że muszą wyjechać przez bezdroża na zachód. Potem jednak przyjrzeni się miastu i zrozumieli, że tak samo muszą przyjechać.

Słońce zniknęło za nisko wiszącymi chmurami osiemdziesiąt kilometrów dalej. Plama cienia pochłonęła łąki. Złociste światło zgasło. Nastął zmierzch, zupełnie jakby nagle ktoś zgasił światło. Nie mieli nic więcej do oglądania. Powoli opuścili listewkę i opadli na dach. Przeczolągali się po ołowiu, wracając do pomieszczenia niżej. Neagley cofnęła się szybko pod mechanizmem i zabrała hecklera & kocha.

- Jeszcze nie - rzucił Reacher.
- No to kiedy?
- Jak myślisz, co teraz zrobią?
- Pewnie podjadą jak najbliżej. Potem zaczną czekać.

Reacher skinął głową.

- Zawrócą wóz, zaparkują go przodem na zachód w najlepszym zagłębieniu, jakie zdołają znaleźć, około stu, dwustu metrów stąd. Znajdą takie stanowisko, by widzieć cmentarz, ale żeby sami nie byli widziani. A potem zaczną czekać na przyjazd Armstronga.

- To czternaście godzin.

- Właśnie - przytaknął Reacher. - Zostawimy ich tam całą noc. Pozwolimy, by zmarzli, zeszywnieli, by się zmęczyli. A potem słońce zacznie wschodzić i świecić im prosto w oczy. Przyjdziemy razem ze słońcem. Nawet nas nie zobaczą.

* * *

Długą broń ukryli pod ławką najbliższą drzwi kościoła. Zostawili yukona na miejscu. Razem ruszyli w stronę mostu, zajęli dwa pokoje w pensjonacie, potem odwiedzili sklep i kupili coś na kolację. Słońce zniknęło, temperatura spadła poniżej zera. W powietrzu znów czuło się śnieg. Wielkie pierzaste płatki szybowwały leniwie wokół, wirując i tańcząc niczym maleńkie białe ptaki.

Bufet śniadaniowy był zamknięty, lecz kobieta ze sklepu zaproponowała, że odgrzeje im coś w mikrofalówce. Najwyraźniej wzięła Reachera i Neagley za zwiadowców Secret Service - wszyscy w mieście wiedzieli, że na pogrzebie zjawi się Armstrong. Odgrzała im zapiekane w cieście mięso i wodniste jarzyny. Zjedli szybko na nieoświetlonym blacie. Posiłek smakował niczym racje polowe. Kobieta nie zgodziła się przyjąć pieniędzy.

Pokoje w pensjonacie okazały się czyste, zgodnie z reklamą. Ściany wyłożono sosnową boazerią, na podłodze leżały szmaciane dywaniki. W każdym pokoju stało pojedyncze łóżko, pokryte kwiecistą kapą praną tyle razy, że wydawała się niemal przezroczysta. Na końcu korytarza była łazienka. Reacher pozwolił, by Neagley zajęła pokój bliżej niej. Po chwili dołączyła do niego w jego sypialni. Była niespokojna, chciała pogadać. Z braku innych mebli usiedli obok siebie na łóżku.

- Będziemy atakować przygotowane pozycje - zaczęła.

- Nas dwoje przeciw dwóm frajerom - odparł Reacher. - Boisz się?

- Robi się trudniej.

- Powiedz mi raz jeszcze. Nie zmuszam cię do tego, prawda?

- Sam nie dasz sobie rady. Pokręcił głową.

- Dałbym sobie radę sam, jedną ręką, z głową w worku.

- Nic o nich nie wiemy.

- Ale możemy dokonać wstępnej oceny. Wysoki facet z Bismarck to strzelec, ten drugi osłania go i prowadzi samochód. Starszy brat, młodszy brat. Łączy ich silna lojalność, typowo braterska. Cała ta sprawa to efekt braterskiej lojalności. Trudno byłoby wyjaśnić komuś obcemu, co nimi kieruje. Nie można po prostu podejść do nieznanego człowieka i oznajmić: cześć, chcę zastrzelić jednego gościa, bo jego ojciec groził, że wsadzi mi kij w dupę, i musiałem go błagać, by tego nie robił.

Neagley milczała.

- Nie proszę, byś w tym uczestniczyła - powiedział Reacher.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś idiotą. O ciebie się martwię, nie o siebie.

- Mnie nic się nie stanie. Umrę jako staruszek w samotnym motelowym łóżku.

- Dla ciebie to też kwestia braterskiej lojalności, prawda?

Przytaknął.

- Niewątpliwie. Armstrong zupełnie mnie nie obchodzi. Lubiałem Froelich, ale nie poznałbym jej, gdyby nie Joe.

- Czujesz się samotny?

- Czasami. Zwykle nie.

Neagley ruszyła ręką, bardzo powoli. Z początku ich dłonie dzieliły dwa centymetry, wydawało się jednak, jakby było to milion kilometrów. Palce Neagley poruszały się niepostrzeżenie ponad spraną kapą, aż w końcu znalazły się tuż obok jego palców. Potem uniosły się, przesunęły, w końcu zawisły dokładnie nad jego dłonią, odrobinę powyżej - zupełnie jakby ich ręce dzieliła warstewka powietrza, skompresowanego tak, że stało się ciepłe i płynne.

Nieruchoma dłoń wisiała w powietrzu. A potem Neagley nacisnęła mocniej, opuściła ją, jej palce bardzo lekko dotknęły palców Reachera. Przekręciła łokieć tak, by dłoń ustawiła się idealnie równolegle, i nacisnęła mocniej. Rękę miała ciepłą, palce długie i chłodne. Ich czubki spoczęły na kostkach Reachera. Przesunęły się, gładząc linie, bliźny, ścięgna. Opadły między jego palce. Odwrócił rękę, przycisnęła do niej dłoń, oplótła palcami i ścisnęła. On także ją uściśniął.

Przez pięć długich minut ścisnął jej dłoń. W końcu Neagley cofnęła ją powoli, wstała, podeszła do drzwi, uśmiechnęła się.

- Do zobaczenia rano - rzuciła.

* * *

Reacher spał kiepsko. Obudził się o piątej dręczony niepokojem. Do głowy przychodziły mu wszystkie możliwe komplikacje. Odrzucił kołdrę, wysliznął się z łóżka, ubrał w ciemności, zbiegł po schodach i wyszedł w mrok. Na dworze było bardzo zimno. Wiatr niósł ze sobą śnieżne płatki, mokre i ciężkie. Zimny front poruszał się na wschód. Chyba dobrze, pomyślał Reacher.

Na zewnątrz było ciemno. Ciemne okna domów, żadnych latarni, księżycy czy gwiazd. Niedaleko dostrzegł kościelną wieżę, niewyraźną, szarą, widmową. Ruszył środkiem drogi, przeciął cmentarz, znalazł drzwi kościoła i wszedł do środka. Po omacku wspiał się po stopniach. Odszukał drabinę i wdrapał się na górę. Zegar tykał głośno, głośniejszy niż za dnia. Zupełnie jakby szalony kowal co sekundę uderzał w kowadło żelaznym młotem.

Reacher schylił się, przecisnął pod mechanizmem i znalazł kolejną drabinę. W ciemności wdrapał się na dach, podczołgał do zachodniej krawędzi i uniósł głowę. Przed sobą widział bezkresną ciemność. Wszędzie niepodzielnie panowała cisza. W mroku nie dostrzegł odległych gór, w ogóle nic nie widział, nic nie słyszał. Czuł tylko mróz. Czekał.

Czekał tak trzydzieści minut. Zimno sprawiło, że z oczu płynęły mu łzy, z nosa śluz. Trząsał się gwałtownie. Jeśli ja tak zmarzęm, to oni prawie już nie żyją, pomyślał. I rzeczywiście, po trzydziestu długich minutach usłyszał to, na co liczył. Silnik tahoe wystartował w oddali. Mimo odległości paruset metrów, w nocnej ciszy dźwięk wydawał się ogłuszający. Dobiegał od strony zachodniej. Silnik pracował na biegu jałowym całe dziesięć minut, napędzając ogrzewanie. Reacher na podstawie samego dźwięku nie zdołał określić dokładnie położenia wozu, potem jednak tamci popełnili fatalny błąd. Na moment zapalili światło. Ujrzał krótki żółty błysk pośród trawy. Samochód stał w jednym z zagłębień, idealnie ukryty, z dachem poniżej większości wzniesień, nieco na południowy zachód od wieży, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od niej. Miejsce wybrali świetnie. Zapewne zamierzali skorzystać z samochodu jako platformy strzeleckiej - położyć się na dachu, wycelować, wystrzelić, zeskoczyć, wpaść do środka i odjechać.

Reacher położył obie ręce płasko na krawędzi. Patrząc dokładnie na wschód, zapisał w pamięci położenie krótkiego żółtego błysku względem dzwonnicy. Sto pięćdziesiąt metrów dalej, jakieś trzydzieści metrów na południe. Poczłogał się z powrotem na dół, mijając brzęczący zegar, aż do nawy. Wyciągnął spod ławki długą broń i zostawił na zmarzniętej ziemi pod yukonem. Nie chciał chować karabinów do środka; wolał uniknąć własnego błysku światła.

Potem wrócił do pensjonatu i ujrzał Neagley, wychodzącą z pokoju. Dochodziła szósta. Neagley była już ubrana, po prysznicu. Poszli do niego, by spokojnie porozmawiać.

- Nie mogłaś spać? - spytał.

- Ja nigdy nie śpiam - odparła. - Nadal tam są? Skinią głową.

- Ale mamy problem. Nie możemy ich załatwić w tym miejscu. Najpierw musimy ich ruszyć.

- Czemu?

- Za blisko miasta - powiedział. - Nie możemy zacząć trzeciej wojny światowej godzinę przed przylotem Armstronga. Ani zostawić dwóch trupów leżących sto pięćdziesiąt metrów od kościoła. Tutejsi ludzie nas widzieli. Rano zjawią się gliniarze z Casper, może też z policji stanowej. Pamiętaj o swojej licencji. Musimy ich przegonić i załatwić gdzieś na osobności. Może na zachodzie podczas śnieżycy. Śnieg nie stopnieje aż do kwietnia. Tego właśnie chcę. Chcę to załatwić daleko stąd i chcę, by dopiero w kwietniu ktokolwiek się zorientował.

- Dobra. Ale jak?

- Są jak Edward Fox, nie jak John Malkovich. Chcą dożyć jutra. Jeśli załatwimy to jak należy, możemy zmusić ich do ucieczki.

* * *

Przed wpół do siódmej siedzieli z powrotem w yukonie. W powietrzu wciąż tańczyły płatki śniegu, lecz na wschodzie niebo zaczynało jaśnieć. Na horyzoncie pojawił się pierwszy ślad fioletu, nad nim szarość i nocna czerń. Sprawdzili broń, zasznurowali buty, zapięli kurtki, rozruszali ramiona, by sprawdzić, czy mogą poruszać się swobodnie. Reacher włożył czapkę i lewą rękawiczkę. Neagley wsunęła do wewnętrznej kieszeni steyra, hecklera & kocha zarzuciła na plecy.

- Do zobaczenia później - szepnęła.

Pomaszerowała na zachód, w głąb cmentarza. Ujrzał, jak przeskakuje przez niskie ogrodzenie, skręca lekko na południe, a potem znika w mroku. On sam poszedł do podstawy wieży, stanął pośrodku zachodniej ściany, raz jeszcze obliczając w pamięci pozycję tahoe. Wyciągnął rękę wprost ku niemu i ruszył w tym kierunku, przesuując rękę tak, by uwzględniła zmianę pozycji. Cały czas namierzał

cel. Położył na ziemi M16 z lufą wycelowaną na południowy zachód. Cofnął się za yukona i oparł o bagażnik, czekając na świt.

Nadszedł w końcu, powoli, stopniowo, dostojnie. Fioletowa smuga stawała się coraz jaśniejsza. U podstaw poczerwieniała. Czerwień zaczęła się rozszerzać, rozlewać, aż w końcu połowę nieba ogarnęła ognista luna. Później, trzysta kilometrów dalej, w Dakocie Południowej, pojawił się pomarańczowy blask. Ziemia obracała się ku niemu i znad horyzontu wyłonił się pierwszy skrawek słońca.

Niebo miało barwę różu. Długie, nisko wiszące chmury płonęły ognistą czerwienią. Reacher obserwował słońce. Odczekał do chwili, gdy zaczęło ranić mu oczy, po czym otworzył drzwi yukona, uruchomił silnik, podkręcił na pełną moc i włączył radio na cały regulator. Przebiegł kolejne częstotliwości, w końcu zdecydował się na stację rockandrollową, zostawiając otwarte drzwi kierowcy, tak by muzyka mogła wylać się na zewnątrz, przeganiając poranną ciszę. Potem podniósł M16, odbezpieczył, przyłożył do ramienia i wypalił jedną krótką trzy strzałową serię, celując odrobinę na południowy zachód, dokładnie ponad ukrytym tahoe. Usłyszał, jak Neagley odpowiada natychmiast trzy pociskową serią. MP5 strzelał szybciej, z charakterystycznym grzechotliwym jękiem. Neagley zajmowała pozycję w trawie, sto metrów na południe od tahoe, strzelając dokładnie na północ. Reacher wypalił ponownie, trzy pociski ze wschodu. Teraz ona, trzy z południa. Odgłosy czterech serii odbiły się echem wśród wzniesień. Mówiły wyraźnie: wiemy... że... tam... jesteście...

Zgodnie z wcześniej ustalonym planem, Reacher odczekał trzydzieści sekund. W miejscu, w którym stał tahoe, nic się nie działo. Żadnych świateł, ruchu, ognia. Ponownie uniósł karabin, wycelował w górę, nacisnął spust. WIE-MY. Heckler & Koch zagrzechotał daleko po lewej. ŻE.

Reacher wypalił raz jeszcze. TAM. Neagley wystrzeliła. JESTEŚCIE.

Brak reakcji. Przez sekundę zwątpił. Może w ciągu ostatniej godziny postanowili uciec? Albo zmądrzeli i przejechali przez miasto na wschód? Pomysł ze strzałem prosto w słońce nie był najmądrzejszy. Obrócił się na pięcie, lecz za plecami nie ujrzał niczego poza światłami zapalającymi się w oknach. Nie słyszał nic oprócz dudnienia w uszach i ogłuszającego rock and rolla. Zawrócił ponownie, gotów do strzału, i ujrzał, jak tahoe wypada z trawy sto pięćdziesiąt metrów przed nim. Pierwsze promienie słońca odbiły się od złotej karoserii i chromowanego błotnika. Samochód podskoczył na wzniesieniu, na moment zawisł w powietrzu, po czym runął na ziemię i przyspieszając, popędził na zachód.

Reacher wrzucił karabin na tylne siedzenie yukona, trzasnął drzwiami, zgasił radio i przyspieszył, przecinając cmentarz. Z rozpędu uderzył w drewniany płot, wybijając w nim dziurę i wypadł na łąkę, skręcając szerokim łukiem na południe. Teren był morderczy, samochód podskakiwał i kołysał się na koleinach. Silnik zawodził, pokonując kotliny i wzniesienia. Reacher prowadził jedną ręką, drugą zapiął pas. Zaciągnął go ciasno, by nie wypaść z fotela. Ujrzał Neagley pędzącą ku niemu wśród trawy po lewej. Gwałtownie nacisnął hamulec. Neagley szarpnięciem otworzyła tylne drzwi i wskoczyła na siedzenie. Znowu ruszył, a ona zatrzasnęła drzwi, przycisnęła się na fotel pasażera, również zapięła pas, hecklera & kocha wsunęła między kolana i oburącz przytrzymała się deski rozdzielczej, niczym pasażerka górskiej kolejki w lunaparku.

- Idealnie - wydyszała. Oddychała ciężko.

Reacher jechał dalej. Znowu szerokim łukiem skręcił na północ. Wkrótce dostrzegli ślad pozostawiony przez tahoe w trawie. Ustawił na nim wóz i dodał gazu. Przejazdźka

okazała się gorsza niż jakakolwiek jazda kolejką górską. Jedna wielka szarpanina. Samochód podskakiwał, dygotał, na zmianę wlatywał w powietrze i ciężko opadał na ziemię. Silnik wył potępieńczo, kierownica wyrywała się Reacherowi z rąk i szarpała tak ostro, że mało nie połamała mu kciuków. Wyprostował palce, kierując wyłącznie za pomocą dłoni. Bał się, że lada moment złamią oś.

- Widzisz ich już? - krzyknął.

- Jeszcze nie! - odkrzyknęła. - Mogą być nawet trzysta metrów przed nami.

- Boję się, że samochód zaraz się rozkraczy.

Dodał gazu. Robił niemal osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, potem dziewięćdziesiąt. Im bardziej przyspieszał, tym lepiej się jechało. Samochód spędzał mniej czasu na ziemi.

- Widzę ich! - krzyknęła Neagley.

Byli dwieście metrów przed nimi, na zmianę widoczni i nie, gdy wyskakiwali w górę i znikali pośród morza traw, niczym oszalały złocisty delfin, skaczący na falach. Reacher cały czas naciskał pedał, powoli zmniejszał dystans. Miał przewagę - oczyszczali mu drogę. Powoli zbliżył się na jakieś sto metrów i utrzymywał odległość. Silnik zawodził, zawieszenie jęczało i trzeszczało.

- Mogą uciekać! - krzyknął.

- Ale się nie ukryją! - uzupełniła Neagley.

Dziesięć minut później znaleźli się piętnaście kilometrów na zachód od Grace. Reacher czuł się, jakby uczestniczył w ostrej bójce. Przy każdym wzniesieniu uderzał głową w dach, ręce bolały go potwornie, ramiona miał napięte. Silnik wciąż wył. Aby stopa nie ześliznęła się z pedału gazu, musiał wciskać go do oporu. Neagley podskakiwała obok w fotelu, kołysząc się w przód i w tył. Zrezygnowała z prób oparcia się na rękach w obawie, że mogłaby połamać łokcie.

Po kolejnych piętnastu morderczych kilometrach teren

nico się zmienił. Byli na absolutnym pustkowiu. Miasteczko Grace zostało trzydzieści kilometrów za nimi, trzydzieści kilometrów przed nimi ciągnęła się autostrada. Teren stawał się coraz bardziej pofałdowany, wzniesienia wyższe, kotliny bardziej strome. Z ziemi zaczynały sterczeć skały. Wokół wciąż rosła trawa, nadal wysoka, ale cieńsza, słabiej ukorzeniona, a ziemię pokrywał śnieg. Sztywne od szronu źdźbła trawy sterczały w górę niczym piętnastocentymetrowy biały dywan. Oba samochody, odległe o sto metrów od siebie, zwolniły. Po kolejnych paru kilometrach pościg jeszcze bardziej zwolnił do śmiesznych trzydziestu kilometrów na godzinę. Powoli wspinali się na czterdziestopięciostopniowe zbocza, aż po maskę zagłębiali w śniegu zebrany na dnie jarów, i znów wdrapywali z napędem przełączonym na cztery koła. Kotliny miały od trzech do pięciu metrów głębokości. Nieustanny wiatr z zachodu zasypał je śniegiem, odsłaniając jedynie część zboczy. W powietrzu pędziły płatki, uderzając wprost w ich szybę.

- Zaraz utkniemy! - zawołała Neagley.

- Już raz tędy przejechali - odparł Reacher. - Muszą znać drogę.

Za każdym razem, gdy tahoe zagłębiał się w kotlinie, tracili go z oczu, dostrzegali jedynie, gdy mozolnie pokonywał kolejne wzniesienie i gdy oni sami akurat docierali na szczyt fali trzy bądź cztery zagłębienia dalej. Brakowało im rytmu, koordynacji. Oba samochody wznosiły się i opadały we własnym tempie. Jeszcze zwolnili, niemal do szybkości zwykłego marszu. Reacher zablokował bieg, samochód zaczął ślizgać się po śniegu. Daleko na zachodzie szalała śnieżycy. Pogoda pogarszała się z każdą chwilą.

- Już czas - rzucił Reacher. - W jednym z takich jarów śnieg zasypie ich aż do wiosny.

- Dobra, zaczynajmy - odparła Neagley.

Nacisnęła przycisk opuszczający szybę. Do środka wraz z powiewem lodowatego wiatru wpadł tuman śniegu. Neagley chwyciła hecklera & kocha i przestawiła na ogień ciągły. Reacher ostro przyspieszył, pokonując następne dwa zagłębienia tak szybko, jak tylko pozwalała na to wytrzymałość wozu. Potem na szczycie trzeciego wzniesienia nacisnęła gwałtownie hamulec i skręcił ostro w lewo. Wóz obrócił się i zatrzymał bokiem. Neagley wychyliła się z okna, czekając. Po chwili sto metrów przed nimi pojawił się złoty tahoe, a ona wypuściła długą serię, celując nisko w tylne opony i zbiornik paliwa. Tahoe zatrzymał się na ułamek sekundy, po czym przeskoczył szczyt wzniesienia i ponownie zniknął.

Reacher zakręcił kierownicą, dodał gazu i ruszył za nim. Przystanek kosztował ich jakieś sto metrów. Pokonał trzy kolejne spadki i wzniesienia, i znów zahamował na czwartym szczycie. Czekali dziesięć sekund, piętnaście. Tahoe się nie pojawił. Odczekali dwadzieścia sekund, trzydzieści.

- Gdzie on jest, do diabła? - mruknął Reacher.

Pozwolił, by wóz zsunął się po zboczach przez śnieg. W górę, i znów w dół, i w górę przez kolejny szczyt. Ani śladu tahoe. Dodał gazu, koła obróciły się szybciej, silnik zawył. Następne wzniesienie. Przystanął na samej górze. Przed nimi grunt opadał siedem metrów, tworząc szeroką kotlinę pokrytą grubą warstwą śniegu, znad którego na trzydzieści centymetrów sterczały oszronione źdźbła trawy. Tuż przed sobą widzieli ślady pozostawione przez tahoe, gdy jechał do miasta, niemal kompletnie zatarte, zasypane śniegiem. Natomiast niedawne ślady, głębokie i świeże, skręcały ostro w prawo, biegły na północ, pokonując wzdłuż kotlinkę, i zniknęły za zaśnieżoną skałą.

Śnieg sypał im prosto w maskę, wzlatając z dna kotliny.

Czas i przestrzeń, pomyślał Reacher. Cztery wymiary.

Klasyczny problem taktyczny. Tahoe mógł zawrócić i starać się dotrzeć z powrotem w kluczowe miejsce o kluczowej porze. Mógł wrócić po własnych śladach i znaleźć się z powrotem obok kościoła tuż przed lądowaniem Armstronga. Lecz pościg na ślepo oznaczałby samobójstwo. Bo możliwe, że tamci wcale nie wracają. Możliwe, że czekają w zasadzce za następnym zakrętem. Lecz zbyt długi namysł to także samobójstwo, bo wóz mógł nie zawrócić ani nie czekać w zasadzce, lecz zamiast tego zataczać krąg, tak by siać im na ogonie. Klasyczny problem. Reacher zerknął na zegarek. Nie mieli już czasu. Jechali niemal trzydzieści minut, tyle samo zabralby powrót, a gdy ruszali, Armstrong miał wylądować za godzinę i pięć minut.

- Chciałabyś trochę zmarznąć? - spytał.

- Nie mam wyjścia - odparła Neagley.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła w śnieg. Pobiegła niezgrabnie w prawo, walcząc z wiatrem wśród skał i kierując się w stronę skręcających śladów. Reacher zdjął stopę z hamulca, poruszył kierownicą i powoli zjechał w dół zbocza. Na dnie skrzył ostro w prawo, podążając śladami tahoe. Było to najlepsze, co przyszło mu do głowy. Jeśli tahoe rzeczywiście zawrócił, nie mogli czekać wiecznie. Nie ma sensu jechać ostrożnie z powrotem do kościoła i dotrzeć na miejsce już po śmierci Armstronga. A jeśli zmierzał wprost w pułapkę, to nic, gdyż za plecami przeciwników znajdzie się Neagley, uzbrojona w pistolet maszynowy. To praktycznie gwarantowało mu przeżycie.

Nie było jednak żadnej zasadzki. Reacher okrążył skałę, skrzył z powrotem na wschód i ujrzał jedynie ślady w śniegu i Neagley stojącą pięćdziesiąt metrów dalej. Słońce miała za plecami, broń unosiła nad głowę. Wyraźny sygnał: droga wolna. Dodał gazu i popędził ku niej. Samochód ślizgał się, kotłował i podskakiwał, podążając śladami tahoe. Szarpiąc się gwałtownie, pokonywał ukryte pod śniegiem skalne

występy. Reacher dotknął hamulca, wóz szarpnął się, zarzucił w lewo i przystanął z przednimi kołami w pełnym śniegu rowie. Neagley przebiła się przez zasy i otworzyła drzwi. Wraz z nią do środka wpadło lodowate powietrze.

- Gazu! - rzuciła. Znów dyszała. - Wyprzedzili nas już o dobre pięć minut.

Reacher nacisnął pedał gazu, cztery koła zawirowały bez skutku. Samochód pozostał w miejscu. Koła buksowały bezradnie w śniegu, przód pochylił się głębiej.

- Cholera - zaklął Reacher.

Spróbował ponownie, z tym samym skutkiem. Samochód kołysał się, drżał, ale nie ruszał z miejsca. Reacher odblokował napęd, spróbował ponownie. To samo. Zostawił silnik na biegu jałowym, potem przrzucił na wsteczny. Pierwszy, wsteczny, pierwszy. Wóz zaczął się huścić tam i z powrotem, tam i z powrotem, dziesięć centymetrów, dwadzieścia, ale nie wydostał się z rowu.

Neagley spojrzała na zegarek.

- Są z przodu, wyprzedzają nas. Mogą zdążyć.

Reacher pokiwał głową, znów lekko dodał gazu, cały czas przrzucając dźwignię biegów w przód, w tył, w przód, w tył. Samochód buksował i podskakiwał, ale nie ruszał się. Opony z piskiem wirowały w sypkim śniegu. Maski przesuwają się na boki w rytm przeskoków silnika, podobnie jak tył wozu.

- Armstrong jest już w powietrzu - oznajmiła Neagley. - A nasz samochód nie stoi obok kościoła, zatem wylądują.

Reacher sprawdził własny zegarek, walcząc z narastającą paniką.

- Ty to zrób - rzucił. - Huśćaj w przód i w tył.

Obrócił się w fotelu, chwycił rękawiczki, odpiął pas otworzył drzwi i wysunął się w śnieg.

- A jeśli ruszy, nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem - dodał.

Przecisnął się na tył wozu. Tupiąc i kopiąc, wydeptał

sobie w śniegu pewne miejsce. Neagley zajęła fotel kierowcy. Rytmicznie przerzucała biegi tam i z powrotem, tam i z powrotem, lekko dodając gazu przy każdej zmianie. Samochód kołysał się na resorach, huśtając się pięćdziesiąt centymetrów w przód i w tył na ubitym śniegu. Reacher oparł się plecami o tył, wsuwając dłonie pod zderzak. Zaczął poruszać się wraz z samochodem, gdy ten napierał na niego, prostując nogi, i popychając, kiedy się oddalał. Bieżniki opon wypełniał śnieg, wirujące koła wyrzucały go w powietrze, kreśląc drobne, białe hieroglify. Spaliny wystrzeliwały na zewnątrz w okolicach jego kolan i wisiały w powietrzu. Reacher chwiejnie pochylił się w przód i pchnął w tył raz, drugi. Teraz samochód unosił się już na sześćdziesiąt centymetrów. Mocniej zacisnął ręce. Padający z zachodu śnieg uderzał go prosto w twarz. Reacher zaczął liczyć. Raz, dwa... trzy. Raz, dwa... trzy. Zaczął przesuwając się wraz z wozem i popychać go naprzód. Kołysanie było coraz gwałtowniejsze, prawie metr. Reacher wydeptywał sobie kolejne ślady. Raz, dwa... trzy. Na ostatnie „trzy” pchnął z całych sił. Poczul, jak samochód wysuwa się z rowu i znów opada. Bagażnik uderzył go mocno w plecy. Reacher cofnął się o krok, walcząc, by utrzymać się na nogach. Podjął przerwany rytm. Mimo zimna był złańny potem i zdyszany. Raz, dwa... trzy. Pchnął i dźwignął ponownie, i samochód zniknął. Pozbawiony podparcia Reacher runął na plecy w śnieg.

Przetoczył się po ziemi, czując ostry smród spalin. Wóz był dwadzieścia metrów dalej. Neagley jechała możliwie najwolniej. Reacher, ślizgając się i potykając, popędził za samochodem, skręcił w prawo na ubity śnieg. Grunt znów się podnosił. Neagley dodała gazu, by utrzymać rozpęd. Biegł szybko, ale wyprzedzała go coraz bardziej. Jeszcze przyspieszył, wbijając palce stóp w śnieg, by się nie wyrzucić. Na szczycie wzniesienia Neagley zwolniła, samochód zniknął, zjeżdżając w dół. Przez moment Reacher

ujrzał całe podwozie, bak, dyferencjał. Zahamowała łagodnie, Reacher chwycił klamkę, szarpnięciem otworzył drzwi i przez sekundę biegł równolegle w dół, póki nie nabrał dość szybkości, by wskoczyć do środka. Wgramolił się na siedzenie, zatrzasnął drzwi, a ona ostro dodała gazu. Znow ruszyli naprzód, podskakując szaleńczo.

- Czas? - krzyknęła.

Z trudem utrzymując rękę nieruchomo, spojrzął na zegarek. Oddychał zbyt ciężko, by zdołać coś powiedzieć. Jedynie pokręcił głową. Mieli co najmniej dziesięć minut straty, kluczowe dziesięć minut. Osiem minut przed ich końcem tahoe wróci dokładnie tam, skąd przyjechał. Pięć minut przed końcem Armstrong wylądował obok kościoła. Neagley jechała naprzód. Pędziła w górę wzniesień, dodawała gazu i przebijała się przez zasy w kolejnych zagłębieniach. Pozbawiony oparcia kierownicy Reacher podskakiwał gwałtownie na wszystkie strony, walcząc na zmianę z uczuciem nieważkości i przygniatającym go potężnym ciężarem. Co jakiś czas rzucał okiem na rozmazaną tarczę zegarka, wpatrując się w niebo na wschodzie. Słońce świeciło mu prosto w oczy. Nic, ani śladu tahoe. Już dawno zniknął, pozostały tylko ślady w śniegu. Głębokie, bliźniacze zagłębienia zwężające się w dali, celujące niczym strzały wprost w miasteczko Grace. Drobne kryształki lodu płonęły złotem i czerwienią w promieniach porannego słońca.

I nagle ślady się zmieniły. Skręciły ostro w lewo pod kątem prostym i zniknęły w zagłębieniu biegnącym z północy na południe.

- Co się stało? - krzyknęła Neagley.

- Jedź za nimi - wykrztusił Reacher.

Kotlinka była wąska niczym okop, biegła stromo w dół. Przez pięćdziesiąt metrów wyraźnie widzieli ślady tahoe. Potem skręciły ponownie, znikając im z oczu, w prawo za skałę wielkości domu. Neagley zahamowała gwałtownie,

zatrzymała się. Przez sekundę czekała. W umyśle Reachera pojawiło się światełko alarmowe. Zasadzka, teraz? W ułamek sekundy po tym, gdy stopa Neagley ponownie nacisnęła pedał gazu, a ręce obróciły kierownicę, yukon podążył śladami tahoe. Dwutonowy ciężar zaczął zsuwać się po lodowatym zboczu. Tahoe wypadł z kryjówki, jadąc tyłem tuż przed nimi. Zatrzymał się w poślizgu dokładnie na ich drodze. Neagley wypadła na zewnątrz, nim jeszcze yukon zdążył zahamować. Przeturlała się w śniegu i odbiegła na północ. Yukon szarpnął się gwałtownie, zarzucił w bok i ugrzązł w zaspie. Głęboki śnieg zablokował drzwi Reachera, który potrzebował całej siły, by otworzyć je do połowy i przecisnąć się przez szparę. Ujrzał kierowcę wyskakującego z tahoe i ślizgającego się w śniegu. Reacher odturlał się na bok, wyciągnął z kieszeni steyra. Szybko uskoczył za yukona i zaczął się czołgać wzdłuż samochodu. Kierowca tahoe trzymał w dłoni karabin, grzebiąc w śniegu końcówką lufy, potykając się i ślizgając. Zmierzał w stronę kryjówki za skałami. Był to facet z Bismarck, bez dwóch zdań. Pociągła twarz, długi tułów. Miał nawet na sobie ten sam płaszcz. Przebijał się przez zaspę, a poły płaszcza łopotały za jego plecami. Każdy krok wzbijał w powietrze niewielki tuman śniegu. Reacher uniósł steyra, oparł go o zderzak yukona, celując w głowę. Powoli zaczął naciskać spust. W tym momencie usłyszał głos, donośny, pełen napięcia, dobiegający dokładnie z tyłu.

- Wstrzymaj ogień - powiedział głos.

Reacher odwrócił głowę i dziesięć metrów dalej ujrzał drugiego przeciwnika. Tuż przed nim, potykając się w śniegu, szła Neagley. Mężczyzna trzymał w lewej ręce jej hecklera & kocha, w prawej - strzelbę wbitą w plecy Neagley. To był facet z kamery w garażu. Tu także cienia wątpliwości. Tweedowy płaszcz, niska, krępa, przysadzista sylwetka. Tym razem nie miał kapelusza. Jego twarz

przypominała gościa z Bismarck, w nieco grubszej wersji. Te same siwiejące jasne włosy, odrobinę gęściejsze. Bracia.

- Proszę rzucić broń! - zawołał.

Typowy policyjny tekst, typowy policyjny głos. Neagley bezgłośnie wypowiedziała jedno słowo: „przepraszam”. Reacher obrócił w dłoni steyra, ujął go za kolbę.

- Proszę rzucić broń - powtórzył przysadzisty mężczyzna.

Jego brat z Bismarck znowu skręcił. Parł ku nim przez śnieg, zbliżając się z każdą sekundą. Uniósł karabin. To także był steyr, długa, piękna broń, cała oblepiona śniegiem. Celowała wprost w głowę Reachera. Poranne słońce sprawiło, że rzucała długi cień. A co z samotnym motelowym łóżkiem? - pomyślał Reacher. Śnieżne płatki tańczyły wokół nich, powietrze było przenikliwie zimne. Cofnął rękę i cisnął swój pistolet, który zatoczył leniwy, dziesięciometrowy łuk w śniegu i wylądował gdzieś w zaspie. Facet z Bismarck lewą ręką pogrzebał w kieszeni, wyciągnął odznakę, przytrzymał ją na dłoni. Złota odznaka w skórzanej oprawie. Brązowa, wytarta skóra. Karabin się poruszył. Mężczyzna schował odznakę, uniósł broń do ramienia i przytrzymał nieruchomo.

- Jesteśmy policjantami - oznajmił.

- Wiem o tym - odparł Reacher.

Obejrzał się. Śnieg padał coraz gęściej, zacinając i wirując w powietrzu. Jar, w którym się znaleźli, przypominał pozbawioną sklepienia jaskinię. Zapewne najbardziej samotne miejsce na całej Ziemi. Mężczyzna z filmu w garażu popchnął Neagley, która się potknęła. Dogonił ją, pchnął ponownie na bok, cały czas przyciskając lufę strzelby do jej pleców.

- Ale kim wy jesteście? - spytał facet z Bismarck.

Reacher nie odpowiedział. W myślach sprawdzał geometrię. Nie wyglądała zbyt ciekawie. Tkwił cztery metry

od każdego z napastników, śnieg pod jego stopami był śliski i lepki.

Facet z Bismarck się uśmiechnął.

- Przybyliście walczyć o wolność i demokrację?

- Przybyłem tu, bo kiepsko strzelasz - odparł Reacher. -

W czwartek trafiłeś niewłaściwą osobę. - Poruszając się bardzo ostrożnie, odciągnął mankiet i sprawdził godzinę.

Uśmiechnął się. - I znów przegraliście. Jest już za późno, nie zdążycie.

Mężczyzna z Bismarck pokręcił głową.

- Mamy skaner policyjny w naszym wozie. Cały czas podsłuchujemy policję z Casper. Armstrong spóźni się o dwadzieścia minut. Mieli problemy z pogodą w Dakocie Południowej. Postanowiliśmy zaczekać i pozwolić wam się doścignąć. Reacher milczał.

- Bo was nie lubimy - ciągnął tamten. Mówił z karabinem przy policzku, jego usta poruszały się tuż obok kolby. - Wtrącacie się w coś, co was nie dotyczy. To sprawa czysto prywatna, nie macie z nią nic wspólnego. Możecie więc się uznać za aresztowanych. Chcecie się przyznać do winy?

Reacher milczał.

- A może wolicie błagać?

- Tak jak wy? - spytał Reacher. - Gdy mieliście poczuć w tyłku kij do baseballu?

Tamten umilkł na chwilę.

- Pańskie nastawienie tylko pogarsza sprawę - rzekł.

Ponownie umilkł na pięć długich sekund.

- Sąd podjął decyzję - oznajmił w końcu.

- Jaki sąd?

- Ja i mój brat. Na innych sędziów nie możecie liczyć.

W tej chwili jesteśmy całym waszym światem.

- Cokolwiek się stało, od tego czasu minęło trzydzieści lat.

- Kiedy ktoś robi coś takiego, powinien zapłacić.

- On już nie żyje.

Gliniarz z Bismarck wzruszył ramionami, kolba poruszała się lekko.

- Powinieneś uważniej czytać Biblię, przyjacielu. Grzechy ojców, słyszałeś o nich kiedyś?

- Jakie grzechy? Po prostu przegraliście w walce. To wszystko.

- My nigdy nie przegrywamy. Wcześniej czy później zawsze wygrywamy. A Armstrong patrzył, nadęty, bogaty bachor wyszczerzony w uśmiechu. Męczyzna nie zapomina takich rzeczy.

Reacher nie odpowiedział. Cisza była ogłuszająca. Słyszeli każdy płatek śniegu wirujący z sykiem w powietrzu. Niech mówi dalej, pomyślał Reacher, niech się rusza. Gdy jednak spojrział w szalone oczy, nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Kobieta pójdzie z nami - oznajmił tamten. - Kiedy już załatwimy Armstronga, zabawimy się z nią. Ale ciebie zastrzelę już teraz.

- Nie z karabinu - odparł Reacher. Niech mówi dalej, niech się porusza. - Lufa jest zapchana śniegiem, wybuchnie ci w rękach.

Zapadła cisza. Męczyzna jednym rzutem oka ocenił odległość dzielącą go od Reachera. Potem opuścił karabin. Odwrócił go w rękach, tam i z powrotem, dostatecznie szybko, by sprawdzić. Całą lufę wypełniał lodowaty śnieg. M16 leży na tylnym siedzeniu yukona, pomyślał Reacher, ale drzwi są zablokowane śniegiem.

- Postawisz swoje życie na odrobinę śniegu? - spytał facet z Bismarck.

- A ty? - odparował Reacher. - Komora eksploduje, zdmuchnie ci buźkę. A potem ja chwycę lufę i wepchnę ci ją w dupę. Będę udawał, że to kij baseballowy.

Twarz mężczyzny pociemniała. Ale nie nacisnął spustu.

- Proszę odejść od wozu - rzucił znów jak policjant,

którym przecież był. Reacher odszedł długi krok od Yukona, brodząc w śniegu.

- Jeszcze krok.

Reacher poruszył się ponownie. Stał teraz dwa metry od wozu. Dwa metry od swego M16. Dziesięć metrów od pistoletu leżącego w śniegu. Obejrzał się. Brat z Bismarck trzymał karabin lewą ręką, prawą wsunął pod płaszcz. Wyciągnął pistolet, Glocka, czarny, kanciasty, paskudny. Pewnie starą broń policyjną. Zwolnił bezpiecznik i wycelował w twarz Reachera.

- Z tego też nie - rzucił Reacher. Niech mówi dalej, niech się porusza.

- Czemu nie?

- To twoja broń z pracy. Zapewne korzystałeś z niej już wcześniej. Jest w rejestrach. Kiedy znajdą moje ciało, policjaci doprowadzą ich wprost do ciebie.

Mężczyzna długą chwilę stał bez ruchu, nie odzywał się. Jego twarz nie zdradzała niczego. Schował jednak Glocka, uniósł karabin. Szurając nogami, powędrował z powrotem przez śnieg w stronę tahoe. Cały czas obserwował Reachera, celując mu w pierś. Po prostu naciśnij ten cholerny spust i wszyscy się pośmiejemy, pomyślał Reacher. Mężczyzna sięgnął za siebie, otworzył tylne drzwi tahoe od strony kierowcy. Odrzucił karabin w śnieg i jednym płynnym ruchem wyciągnął pistolet - starą berettę M9, podrapaną, pokrytą plamami zaschniętego smaru. Ponownie ruszył naprzód. Zatrzymał się dwa metry od Reachera. Uniósł rękę, kciukiem odbezpieczył pistolet i wycelował wprost w środek twarzy Reachera.

- Zapasowa broń - oznajmił. - Żadnych śladów.

Reacher milczał.

- Możesz się pożegnać - szepnął tamten.

Nikt się nie poruszył.

- Kiedy szczerkiem - powiedział Reacher.

Patrzył wprost w pistolet. Kątem oka dostrzegł twarz Neagley. Widział, że niczego nie rozumiała, ale i tak

przytaknęła. Lekko poruszyła powiekami w jednym dyskretnym mrugnięciu. Mężczyzna z Bismarck uśmiechnął się, poruszył palcem. Jego kostka zbieleła, nacisnął spust.

Rozległ się głuchy szcęk.

Reacher wyskoczył naprzód z otwartym ceramicznym nożem. Chlasnął nim w bok przez czoło mężczyzny. Lewą dłonią chwycił kolbę beretty, szarpnął w górę, a potem w dół, unosząc kolano. Siła zderzenia strzaskała przedramię strzelca. Reacher odepchnął go i obrócił się gwałtownie. Neagley prawie się nie poruszyła, lecz mężczyzna z filmu w garażu leżał nieruchomo w śniegu u jej stóp i krwawił z obojga uszu. W jednej dłoni trzymała swego hecklera & kocha, w drugiej strzelbę.

- Tak? - spytała.

Skinął głową. Cofnęła się o krok, by nie poplamić ubrania, wycelowała strzelbę w dół i trzy razy strzeliła do mężczyzny. Bang, bang... bang. Podwójne trafienie w głowę i strzał zabezpieczający w pierś. Strzelba huknęła ogłuszająco, dźwięk odbił się echem niczym grom. Oboje odwrócili się szybko. Mężczyzna z Bismarck potykał się w śniegu. Był kompletnie ślepy. Czoło miał rozcięte do kości, spływająca z rany krew zalewała mu oczy, miał ją w nosie i w ustach, z trudem chwycił oddech. Przyciskał do siebie strzaskaną rękę. Potykając się, obracał się w lewo i w prawo, lewym przedramieniem osłaniając twarz, próbując zetrzeć krew z oczu, by móc coś zobaczyć.

Reacher obserwował go przez moment. Jego twarz nic nie zdradzała. Potem wziął od Neagley hecklera & kocha, przestawił na ogień pojedynczy, odczekał, aż cel obróci się doń plecami i strzelił mu od tyłu w kark, starając się trafić dokładnie w miejsce, w które tamten postrzelił Froelich. Kula przebiła kark mężczyzny i z donośnym łoskotem uderzyła w stojącego siedem metrów dalej tahoe, a facet z Bismarck runął naprzód na twarz. Leżał nieruchomo w śniegu, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej

czerwony.

Echa wystrzału wkrótce umilkły i absolutna cisza ponownie objęła okolicę we władanie. Reacher i Neagley stali bez ruchu, nasłuchiwali, wstrzymując oddech. Nie słyszeli niczego prócz szmeru padających śnieżnych płatków.

- Skąd wiedziałeś? - spytała cicho Neagley.

- To był pistolet Froelich - odparł. - Ukradli go z jej kuchni. Rozpoznałem rysy i ślady smaru. Pięć lat przecho-
wywała w szufladzie załadowane magazynki.

- I tak mógł wypalić - zauważyła Neagley.

- Całe życie to jedno wielkie ryzyko - odrzekł. - Od samego początku do samego końca. Nie sądzisz?

Znow ogarnęła ich cisza i mróz. Byli sami pośrodku se-
tek kilometrów kwadratowych lodowatej pustki. Dyszeli ciężko i drżeli, czując adrenalinowe mdłości.

- Jak długo potrwa impreza w kościele? - spytał Reacher.

- Nie wiem - przyznała Neagley. - Czterdzieści minut,
godzinę.

- To nie musimy się spieszyć.

Powoli ruszył naprzód, zabierając z zasy swojego
steyra. Śnieg zaczynał już zasypywać oba ciała. Wyjął im z
kieszeni portfele i odznaki, wytarł nóż o gruby płaszcz
mężczyzny z Bismarck. Otworzył wszystkie drzwi tahoe,
by śnieg wpadł do środka i szybciej zasypał samochód.
Neagley otarła ręką własnego płaszcz strzelbę
mężczyzny z garażu i rzuciła ją na ziemię. Potem razem
wrócili do yukona, wsiedli do środka, raz jeszcze obejrze-
li się za siebie. Wszystko zdążyła już przysypać warstewka
świeżego śniegu, z każdą chwilą coraz bielsza i grubsza.
Po czterdziestu ośmiu godzinach wszystko zniknie.
Lodowaty wiatr zamrozi cały jar, a wraz z nim wszelkie
ślady aż do wiosny, gdy słońce rozpuści zasy.

Neagley ruszyła wolno naprzód. Reacher ułożył na ko-
lanach portfele, zaczął od odznak. Wóz podskakiwał lek-

ko, tak że niełatwo było utrzymać je nieruchomo przed oczami dostatecznie długo, by każdą obejrzeć.

- Więjscy gliniarze z Idaho - oznajmił. - Gdzieś na wsi na południe od Boise.

Wsunął obie odznaki do kieszeni. Otworzył portfel faceta z Bismarck. Brązowa skóra, zeschnięta, popękana i wypchana. Wewnątrz za zmętniała folią tkwiła legitymacja policyjna. Z fotografii spojrziała na nich pociągła twarz strzelca.

- Nazywał się Richard Wilson - oznajmił Reacher. - Detektyw pierwszego stopnia.

W portfelu tkwiły dwie karty kredytowe i prawo jazdy z Idaho. A także strzępki papieru i niemal trzysta dolarów gotówką. Reacher wysypał papiery na kolana, gotówkę schował do kieszeni. Otworzył portfel faceta z garażu. Sztuczna skóra aligatora, czarna. Legitymacja z tego samego posterunku.

- Peter Wilson - przeczytał. Sprawdził prawo jazdy. Rok młodszy.

Peter miał trzy karty kredytowe i prawie dwieście dolarów. Reacher zabrał gotówkę. Spojrzał naprzód. Chmury zostały za nimi, niebo na wschodzie było czyste, słońce świeciło im w oczy. W powietrzu wisiał czarny punkcik. Reacher widział sam zarys kościelnej wieży trzydzieści kilometrów dalej. Yukon, podskakując, zbliżał się do niej nieubłaganie, czarny punkcik rósł w oczach. Widać już było szarą smugę rotorów. Wisiał nieruchomo w powietrzu. Reacher przytrzymał się deski rozdzielczej i spojrzął w górę. Na szczycie szyby wymalowano przyciemniane pasmo. Helikopter przesunął się przez nie. Dostrzegał już jego kształt, okrągły, ciężki. Prawdopodobnie night hawk. Pilot zobaczył kościół i skierował się ku niemu, szybując w powietrzu niczym tłusty owad. Yukon podskakiwał lekko na coraz płytszych zagłębieniach. Portfele zsunęły się z kolan Reachera, papierki poleciały wokół. Helikopter zawisł w

powietrzu, a potem obrócił się drzwiami w stronę kościoła.

- Kije golfowe - oznajmił Reacher - nie próbki narzędzi.

- Słucham?

Uniósł skrawek papieru.

- Rachunek z UPS. Dostawa lotnicza z Minneapolis na adres Richard Wilson, gość w motelu w Waszyngtonie. Pudełko trzydzieści na trzydzieści na sto dwadzieścia centymetrów. Zawartość: kije golfowe.

Nagle umilkł, wpatrując się w kolejny papierek.

- I coś jeszcze - rzekł. - Może coś dla Stuyvesanta.

* * *

Patrzyli, jak odległy helikopter ląduje i zatrzymuje się pośrodku pustej łąki. Potem wysiedli na mróz i zaczęli krążyć bez celu, przeciągając się i ziewając w złocistych promieniach słońca. Yukon stygł powoli, wydając z siebie głośnie trzaski. Reacher zgarnął z fotela odznaki, legitymacje policyjne i prawa jazdy, po czym cisnął w dal puste portfele.

- Musimy posprzątać - oznajmił.

Wspólnie starli odciski z czterech sztuk broni i porzucili je w trawie na północ, południe, wschód i zachód. Opróżnili kieszenie z zapasowych pocisków, ciskając je w dal. Kawalki mosiądzu błyskały w słońcu, kreśląc w powietrzu lśniące łuki. Za nimi poleciała lunetka. Reacher zatrzymał czapkę i rękawiczki oraz ceramiczny nóż. Polubił go.

Potem powoli, spokojnie pokonali resztę trasy do Grace, przejeżdżając przez łąkę, rozbity płot i cmentarz. Zaparkowali obok helikoptera, wysiedli. Słyszeli jęk organów i dobiegający ze środka śpiew ludzi. Ani śladu tłumów czy mediów. Wszystko wyglądało spokojnie i bardzo godnie. Nieco dalej dyskretnie parkował radiowóz z Casper. Obok helikoptera stał mechanik w kombinezonie lotniczym, czujny, skupiony. Zapewne tak naprawdę nie był to mechanik, lecz jeden z ludzi Stuyvesanta w pożyczonym stroju. Zapewne w kabinie ukrył karabin, zapewne vaine

Mk2.

- Wszystko w porządku? - spytała Neagley.

- Ze mną zawsze jest wszystko w porządku - odparł Reacher. - A z tobą?

- Nic mi nie jest.

Stali bez ruchu piętnaście minut, niepewni, czy jest im gorąco, czy zimno. W końcu organy wydały z siebie długi żalony akord i umilkły. Usłyszeli stłumiony odgłos kroków na zakurzonych deskach. Wielkie dębowe drzwi otworzyły się i ze środka wysypał się niewielki tłumek ludzi. Wikary stanął za progiem z rodzicami Froelich i rozmawiał kolejno z każdym wychodzącym.

Po paru minutach ujrzeni Armstronga. U boku miał Stuyvesanta, obaj założyli długie ciemne płaszcze. Otaczało ich siedmiu agentów. Armstrong zamienił parę słów z księdzem, ucisnął dłonie obojga Froelichów. Jeszcze chwilę rozmawiali. Potem ochrona poprowadziła go do helikoptera. Nagle dostrzegł Reachera i Neagley i skręcił tak, by przejść obok nich, patrząc pytająco.

- Wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie - oznajmił Reacher.

Armstrong raz jeden skinął głową.

- Dziękuję - rzekł.

- Bardzo proszę - odparł Reacher.

Armstrong zawahał się jeszcze sekundę, potem, nie ścisnąc im rąk, odwrócił się i pomaszerował do helikoptera. Następnie podszedł do nich samotny Stuyvesant.

- Szczęśliwie? - powtórzył.

Reacher wyciągnął z kieszeni legitymacje, odznaki i prawa jazdy. Stuyvesant nadstawił dłonie.

- Może szczęśliwiej niż sądziliśmy - powiedział Reacher.

- Z całą pewnością nie byli to wasi ludzie, tylko gliniarze z Idaho, w pobliżu Boise. Masz tu adresy. Na pewno znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Komputer, papier, drukarkę, kciuk Andrettiego w zamrażarce. I może coś

jeszcze.

Wyjął z kieszeni świstek papieru.

- Znalazłem jeszcze to - oznajmił. - W jednym z portfeli, to paragon. W piątek wieczorem poszli do sklepu spożywczego. Kupili sześć mrożonych obiadów i sześć dużych butelek wody.

- I co z tego? - spytał Stuyvesant.

Reacher się uśmiechnął.

- Przypuszczam, że raczej nie robili zwykłych cotygodniowych zakupów. Nie w takiej chwili. Może chcieli się upewnić, że pani Nendick będzie miała co jeść podczas ich nieobecności. Myślę, że ona wciąż żyje.

Stuyvesant chwycił paragon i pobiegł do śmigłowca.

* * *

Późnym rankiem następnego dnia Reacher i Neagley pożegnali się na lotnisku w Denver. Był poniedziałek. Reacher przepisał na nią swój czek, a ona kupiła mu bilet lotniczy pierwszej klasy do Nowego Jorku. Odprowadził ją na samolot do Chicago. Ludzie przechodzili już odprawę. Nie powiedziała ani słowa. Odłożyła tylko torbę na ziemię, stanęła bez ruchu wprost przed nim. Potem wspięła się na palce i uściśnięła go szybko, jakby nie wiedziała, jak to się robi. Po sekundzie puściła, chwyciła torbę i odeszła, nie oglądając się za siebie.

Reacher wylądował na lotnisku La Guardia późnym wieczorem. Pojechał autobusem i metrem na Times Square i ruszył w głąb Czterdziestej Drugiej Ulicy, szukając nowego klubu B.B. Kinga. Kwartet gitarowy kończył właśnie pierwszą część programu. Byli niezli. Wysłuchał ich do końca, po czym podszedł do biletera.

- Czy w zeszłym tygodniu była tu starsza kobieta? Głos trochę podobny do Dawn Penn? Ze staruszką grającym na keyboardzie?

Bileter pokręcił głową.

- Nie było nikogo takiego - odparł. - Nie tutaj.

Reacher raz jeden skinął głową, po czym wyszedł w rozświetloną miejską ciemność. Na ulicy było zimno. Skierował się na zachód, na dworzec Port Authority, aby złapać pierwszy autobus z miasta.